

ROZWIĄZANIA

z konkursu na najlepszą pracę dyplomową

z zakresu Inżynierii i Techniki

ROCZNIK

1 9 5 9

ROCZNIK

ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA
HISTORYCZNEGO

1939

OGÓLNEGO ZBIORU TOM III

ŁÓDŹ

Z ZASIĘKIEM FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ IM. JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO ORAZ ZARZĄDU MIEJSKIEGO W ŁÓDZI

1939



ODBITO W „DRUKARNI POLSKIEJ” LUDOM. MAZURKIEWICZA I S-KI W ŁODZI
KLISZE WYKONAŁ ZAKŁAD FOTOCHEMIGRAF. R. BORKENHAGENA W ŁODZI

Od Redakcji

*K*siążka niniejsza jest dziewiątą z rzędu publikacją Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego. W ciągu dwunastu lat pracy stosowaliśmy różne sposoby i formy wydawnicze: trzeba było liczyć się z możliwościami środowiska i postulatem należytego poziomu. Rocznik 1939, ogólnego zbioru tom III, ukazuje się po bardzo długiej przerwie. Pozostawiamy mu jednak obraną swego czasu nazwę — w tym przekonaniu, że przewyciężyliśmy już główne trudności i w najbliższych latach będziemy mogli każdy rok pracy zamykać podobnym wydawnictwem.

Łódź, czerwiec 1939 r.

TREŚĆ

	Str.
I. ROZPRAWY I ARTYKUŁY:	
Łódź i okęg łódzki jako przedmiot badań historycznych, przez Zygmunta Lorentza	7
Rozsiedlenie rodowe szlachty łęczyckiej na przełomie XIV i XV w., przez Tadeusza Piotrowskiego	17
Przemysł lniany w Łodzi w dobie Królestwa Kongresowego (1824— 1832), przez Annę Rynkowską	65
Położenie geograficzne Tumu i Łęczycy, przez Jana Dylika .	109
Dziesięć lat pracy konserwatorskiej w Tumie pod Łęczycą, przez Tymoteusza Sawickiego	129
Badania gwaroznawcze na obszarze dawnych województw łęczyckiego i sieradzkiego, przez Zdzisława Stiebera	139
Przygotowania do rejestracji archiwaliów w okręgu łódzkim, przez Adama Stebelskiego	145
Studium historii na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi, przez Natalię Gąsiorowską	151
II. ŹRÓDŁA:	
Józefa Oxińskiego wspomnienia z powstania polskiego 1863/64 roku	157
Z pamiętnika Wincentego Walewskiego kartki o powstaniu stycz- niowym	381
Inwentarz rzeczy mieszcżki łódzkiej z końcą XVI wieku, przez Romana Kaczmarka	395
III. BIBLIOGRAFIA:	
Bibliografia jednostek terytorialnych województwa łódzkiego część III, przez Zygmunta Hajkowskiego, Zofię Erdmanową, Jadwigę Krasicką i Gryzeldę Missalową	401
Bibliografia prac Michała Rawity-Witanowskiego (1931—1938) . .	429
IV. SPRAWY ODDZIAŁU:	
Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Łodzi, rys działalności 1927—1939	433
Lista członków Oddziału	458
Komunikaty	460

ILUSTRACJE I MAPY

	Str.
Do rozprawy Tadeusza Piotrowskiego:	
Mapa rozsiadlenia rodowego szlachty łęczyckiej na przełomie XIV i XV wieku	po 64
Do rozprawy Anny Rynkowskiej:	
Plan sytuacyjny osady rękodzielniczej Łódki z 1827 r.	po 72
Plan sytuacyjny bielników i placów na bielniki przeznaczonych w osadzie rękodzielniczej Łódka zwanej z 1826 r.	po 80
Do rozprawy Jana Dylaka:	
Położenie grodziska pod Tumem. Droga na grobli Łęczycy — Topola	po 112
Szkic morfologiczny okolic Łęczycy	114
Rozmieszczenie znalezisk przedhistorycznych w okolicach Łęczycy	115
Rozmieszczenie osad historycznych w okolicach Łęczycy	116
Stosunki komunikacyjne i rozmieszczenie lasów na początku XIX w.	117
Położenie topograficzne Tumu i Łęczycy. Mapa	po 120
Położenie topograficzne grodziska, Tumu i Łęczycy. Blokdiagram	122
Do artykułu Tymoteusza Sawickiego:	
Ściana północna nawy głównej. Ściana południowa po restauracji. Filary empyry (tryforium). Nawa południowa, przejście przy wieży i odkryty filar arkady	po 136
Do Józefa Oxińskiego wspomnień:	
Podobizna autora i podpis z czasów powstania styczniowego	po 160
Autograf wspomnień (część str. 50)	161
Szkice sytuacyjne autora	182, 183, 214, 216, 218, 260
Podobizna autora (ok. 1900 r.)	po 360
Stan służby autora (str. 1 i 2)	po 368
Mapa województwa kaliskiego w 1863 r.	po 380
Do pamiętnika Wincentego Walewskiego:	
Podobizna autora (ok. 1869 r.). Pałac w Woli Wydrzynej	po 384

**ROZPRAWY, ARTYKUŁY
ŹRÓDŁA**

ŁÓDŹ I OKRĘG ŁÓDZKI JAKO PRZEDMIOT BADAŃ HISTORYCZNYCH

Miejscowości i regiony mogą być przez historiografię traktowane różnie. Wynika to z wymagań, jakie badacz stawia źródłom. Źródła lokalne i regionalne bywają potrzebne, a czasem niezbędne przy odtwarzaniu epizodów lub budowaniu syntez z zakresu dziejów narodu i państwa; są one podstawą monografii specjalnych, od których wszakże pilno historykowi odejść na szerszy goścień. Ale mogą także służyć do pełnej i wszechstronnej rekonstrukcji bytu każdej jednostki terytorialnej, mającej własne zespoły źródeł i własną „barwę” dziejową w obrębie większej całości. W tym wypadku powstaje studium regionalne, które jest celem samo dla siebie, a pogłębia znakomicie ogólną wiedzę o epoce i o całości. Z powyższego przypomnienia wynika, że miejscowości często a regiony zawsze wchodzą w zakres pracy historyka, nie może być przeto historykowi obojętny stan źródeł w regionach i stan wiedzy o regionach. Znaleźć się tu musi miejsce także dla naszych stron, tkwiących w centrum Polski etnograficznej, w trójce Poznań-Kraków-Warszawa.

*

Województwo łódzkie jest tworem ostatnich czasów i stanowi całość tylko pod względem administracyjnym. W ciągu dwudziestu lat istnienia ulegało ono zmianom, w minionym roku korektura granic przybrała rozmiary poważne: odpadły na rzecz województw zachodnich cztery powiaty, przybyło od północy i wschodu sześć powiatów. Pełna nowoczesność tych faktów sprawia, że historyk musi traktować sprawę „regionu łódzkiego” z dużą ostrożnością. Jednak właśnie wspomniane zmiany pozwalają sądzić, że ośrodkiem właściwym administracyjnej jednostki terytorialnej łódzkiej jest to, czego nikt nie ma ochoty amputować. Okazuje się po bliższym, choćby powierzchniowym, zbadaniu, że ten ośrodek posiada cechy indywidualne. Obejmuje on łódzki okręg przemysłowy na obszarze historycznych województw łęczyckiego i sieradzkiego, mających tradycje średniowieczne, plemienne i piastowskie, oraz nowożytny, wynikające z przynależności do

Korony i Rzeczypospolitej Polskiej. W wieku XIX ziemie te doświadczane były przez los zawsze jednakowo. Małe biskupie miasteczko Łódzia, erygowane już w roku 1423, wyrosło w krótkim czasie na największą po Warszawie gminę miejską, koncentrującą prawie cały polski przemysł bawełniany. Otacza ją wieniec satelitów podobnej natury, o różnych orbitach. Dawne ośrodki życia publicznego: Łęczyca, Orłów i Brzeziny, Sieradz, Szadek, Piotrków i Wieluń — urzeczzone zostały przez siłę gospodarczą i społeczną wrzecion i krosien. Uformowała się nowa rzeczywistość, której konsekwencją jest rola administracyjna i kulturalna Łodzi w chwili obecnej. Wolno tedy historykowi mówić o Łodzi i okręgu łódzkim, jako przedmiocie studiów.

*

Dotychczasowy plon poszukiwań archeologicznych na omawianym terenie jest bardzo cenny. Ogromne cmentarzyska kultury łużyckiej w pow. łaskim na terenie wsi Podule (20.000 grobów), Kozuby i sąsiednich świadczą o szczególnie intensywnym osadnictwie tej epoki. Okres wczesnohistoryczny zarysowuje się bogato i pociąga szeregiem problemów, wiążących się z genezą państwa polskiego. Dość wspomnieć Łęczycę, dolinę górnej Warty, Wieluń.

Mowa ludu ujawnia odwieczne różnice i związki plemienne, a także rozmiary ekspansji osadniczej Sieradzan i Łęczycan. Ich cechy gwarowe wskazują na bliższe powinowactwo z Małopolską, niż dotychczas sądzono. Materiał etnograficzny jest obfity, w Sieradzkim wyjątkowo wyraźny dla oka przez malowniczość stroju, w Łęczycy — dla ucha przez oryginalność wątków muzycznych.

Czynniki geograficzne i dziejowe wytworzyły tu pewien obraz osadniczy. Pierwotna organizacja grodowa, kasztelanie, sprawa włości książęcych, rola Kościoła, mnogość rycerstwa, porządek ziemiański czasów nowożytnych, funkcje miast — to wszystko nie wyróżnia naszego terytorium spośród innych. Ale wiek XIX pod względem osadniczym w okręgu łódzkim jest jednym z najoryginalniejszych rozdziałów historii społecznej narodu polskiego. Nadto występuje tu w nowoczesności, może najjaskrawiej w obrębie Polski etnograficznej, sprawa elementów napływowych: Niemców i Żydów. Ogromny wzrost przemysłu i handlu mierzony kapitałem i pracą daje tu fakty o dużym wpływie na światopogląd elity i mas w całej Polsce.

W krajobraz łęczycki i sieradzki — pola, łągi w dolinie Warty i Bzury, płaskie i pagórkowate wysoczyzny zalesione i doliny małych

rzeczek na wododziale Wisła-Odra — wmontował człowiek w ciągu wieków bardzo trwale „obiekty”. Gęsto rozsiane grodziska pierścieniowe i stożkowe, dotychczas nawet nie policzone, występują bardzo znamienne. Obok Łęczycy wznosi się najlepiej zachowany i najokazalszy w Polsce masyw romański — kolegiata w Tumie. Na krańcu omawianego terytorium, nad Pilicą, zachowało się warowne opactwo cystersów w Sulejowie — największy po Wawelu kompleks budowli od późno-romańskiego kościoła do barokowych baszt. Dużo jest gotyckich kościołów — wśród nich najstarsze, tkwiące początkami w romańszczyźnie, np. fara piotrkowska, i schyłkowe, np. w Będkowie i Łasku. Zasługuje na monografię zamek piotrkowski. Do najładniejszych w Polsce zabytków renesansu należy zameczek kanoników krakowskich w Pabianicach. Dość często występują zabytkowe budowle drewniane: kościołki, dwory, słynna bożnica w Parzęczewie, śpichlerz w Brodni. Klasycyzm zapisał się bardzo wyraźnie w budowlach publicznych we wszystkich miastach regionu oraz w wielu dobrach ziemskich niekiedy w postaci dużych całości z podwórcami i parkami (np. Gostków w pow. łęczyckim). Z epoką klasycyzmu wiąże się początek fabryk — domów rękodzielniczych, budowanych według szablonu rządowych architektów Królestwa Kongresowego, oraz piętrowych koszar fabrycznych, wzorowanych na pałacach klasycystycznych. Łódź jest pod tym względem jednym z największych w Polsce pomników budownictwa przemysłowego.

Na całym terenie regionu występują zabytki rzeźby i malarstwa. Portal w Tumie, ornamenty zamku w Piotrkowie, polichromia w kościele po-jezuickim w Piotrkowie, stauroteka łęczycka, nagrobki Jana Michałowica z Urzędowa i Cini'ego w Brzezinach, długi szereg obrazów i rzeźb (rewelacyjne były wyniki spisu w pow. sieradzkim) — to ważne pozycje w rejestrze ogólnopolskim.

*

Przez całe średniowiecze był dzisiejszy region łódzki terenem centralnym państwa polskiego. W różnych okolicach Polski, jednej czy dzielnicowej, powstawały akty prawne z własnej lub przymuszonej woli władców polskich, ale to w zakresie prawa, co rodziło się jako skutek porozumienia i kompromisu aktywnych żywiołów politycznych, — rodziło się wtedy właśnie w centrum Polski, w Łęczycy i Piotrkowie.

Ostatni Piastowie traktowali to swoje niewątpliwe dziedzictwo surowo, bodaj dopiero za Jagiełły nadeszły pomyślne i łaskawe lata dla

tutejszej szlachty i mieszczan. Samo społeczeństwo przejawiało wtedy dość dużą inicjatywę polityczną, prężność gospodarczą i ciekawość intelektualną.

Z tych warunków wywodzi się i kanclerz Łaski, i wójt woborski Frycz Modrzewski, i szlachcic sieradzki Jan Mączyński. Dwór arcybiskupi w niedalekim od naszego terenu Uniejowie i dwór biskupów kujawskich, właściciele Łodzi, w Wolborzu — mają czym promieniować i promieniują. W czasach ożywionej dyskusji religijnej w Polsce — i tu się wadzono, w gościnie u antytrynitarzy Lasockich w Brzezinach. U kresu lat spokoju i narastania dóbr występuje wielki Sieradzanin — Stanisław Koniecpolski, ostatni hetman regalista.

W wieku XVI istnieje już w naszych stronach przemysł sukienniczy. W Dąbiu, Lutomierniku, Pabianicach stukają liczne krosna, Brzeziny są miejscem dużej produkcji i jednym z najpoważniejszych w Polsce ośrodków handlu suknem krajowym oraz wyrabianą na miejscu odzieżą.

Powoli centrum Polski stawało się partykularzem. Lublin, Warszawa, wschodnie szlaki, Pomorze gasiły świetność naszych stron. Został tylko trybunał w ciasnym Piotrkowie. Nie było na tym obszarze fortun magnackich. Średnia szlachta zależna była od koniunktury — politycznej, gospodarczej, kulturalnej. To samo dotyczy mieszczan w małych miastach, gdzie niewiele było kapitału, a obrót zależał od siły nabywczego ziemiaństwa. Toteż nasz partykularz ubożeje. Rujną go ostatecznie wojny na czas kilku pokoleń.

Nowa era zaczyna się w dobie stanisławowskiej, którą biskup kujawski Rybiński w ostatnim przywileju dla łodzian i w ich wszystkich imieniu (190 dusz) określa jako „czas światła i przezorności“.

W tym czasie zaczęły się u nas inwestycje i już nie ustawały pomimo katastrof politycznych i burz wojennych.

Krótkie rządy pruskie po drugim rozbiore zaznaczyły się tu fiskalizmem i falą kolonizacji niemieckiej. Osobliwością w dziejach gospodarczych całej Polski jest zapoczątkowane za Księstwa Warszawskiego i udane na obszarze regionu łódzkiego wcale nie wspólne dzieło jednego magnata i dziesiątka nienajbogatszych ziemian: szereg odnowionych lub zgoła nowych osad miejskich wyrabiających sukno. Starzyński, Bratoszewski, Okołowicz, Złotnicki, Kaczkowski, Zakrzewski, wreszcie Ostrowski zaprowadzają przemysł sukienniczy w Ozorkowie, Aleksandrowie, Konstancynie, Zduńskiej Woli, Bełchatowie, Poddębicach i Tomaszowie. Wstępne doświadczenia inicjatorów prywatnych wyzyskuje rząd Królestwa Kongresowego. Realizuje on wtedy

własny plan gospodarczy, ułożony w zakresie przemysłu włókienniczego przez Mostowskiego i Staszica a podjęty przez Druckiego-Lubckiego, i tworzy swoje placówki przemysłowe przez rozbudowę istniejących od wieków osad miejskich nad rzeczkami i stawami leśnymi. Można ten konkurent bije właścicieli prywatnych i oto zaczynają kwitnąć miasta rządowe: Zgierz, Pabianice i Łódź. W doliny i na zbocza wzgórz Wyżyny Łódzkiej przenosi się przemysł sukienniczy z okolic Leszna i Krobi w Wielkopolsce, tutaj podążają szeroką falą emigranci ze Śląska i krajów niemieckich, tu osiedlają się obok drobnych rękodzielników pierwsi więksi przedsiębiorcy: przedzalnicy wełny i bawełny, farbiarze, apreterzy, kupcy „en gros”. Ta akcja przybiera zdumiewające rozmiary i absorbuje uwagę całego społeczeństwa polskiego.

Wszystkie późniejsze wydarzenia dziejowe, z wojną światową włącznie, wpływają tak lub inaczej na obrót rzeczy, ale przemysł raz zakorzeniony przez statystów polskich i dziedziców, a zasobami krajowymi podkarmiony — już na zawsze zostaje tu elementem życia gospodarczego tak naturalnym w mniemaniu ludności, jak rolnictwo. Staje się on także narastającym elementem krajobrazu, w którym szybko giną odwieczne puszcze i ciche dąbrowy. Obok wsi, gdzie szlachta i chłopci przebudowują swe gospodarstwo, powstają ludne miasta przemysłowe, w których tworzy się nowoczesność. Bez własnego państwa rozwija się mieszczaństwo, pod względem narodowym różne, i polski proletariats fabryczny. W warunkach politycznych niepomysłnych dla polskiej racji stanu i kultury narodowej ukształtowało się w Łęczyckim i Sieradzkim dzisiejsze oblicze Łodzi i województwa Łódzkiego.

*

Przed stu laty sukiennicy, prządkowie i tkacze bawełniani, przeważnie bardzo biedni, uciekali gromadnie z krajów niemieckich do Polski; wypędzali ich ostre kryzysy gospodarcze, coraz większe ciężary podatkowe i uciążliwa służba wojskowa. Przyśpieszyło to i ułatwiło industrializację i urbanizację w Królestwie Kongresowym, świadomie zasilaną przez kapitał polski (rząd, dysponujący znacznym budżetem i kredytami, oraz właściciele ziemscy).

Realizatorem planu rządowego, organizatorem i opiekunem rządowych osad fabrycznych w ówczesnym województwie mazowieckim był prezes komisji wojewódzkiej Rajmund Rembieniński. Człowiek dużej kultury, świetny znawca spraw gospodarczych i administracyjnych, zarządzał województwem przez 16 lat i stworzył system

postępowania rządu z „ludem zagranicznym“. Do ostatnich dni swego urzędowania pilnował polskiej racji stanu. Katastrofa 1831 roku pochłonięła ten zasadniczy element zarządu. Rembieliński otrzymał od Mikołaja I dymisję „bez prawa powrotu do służby“.

Pierwszym kapitalistą-przedsiębiorcą, który w charakterze męża zaufania polskiego czynnika rządowego pojawił się w naszych stronach (1820), był Jan Fryderyk Zachert, pochodzenia niemieckiego, rodem z Wielkopolski, kupiec warszawski, były legionista, uczestnik wyprawy na San Domingo.

Pierwsi fabrykanci w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, którym udało się założyć i utrwalić większe przedsiębiorstwa w Łęczyckim: Zachert z Wielkopolski w Zgierzu, Schösser z Nadrenii w Ozorkowie i Geyer z Saksonii w Łodzi — korzystali od pierwszej chwili i przez długie lata z protekcji władz krajowych, mianowicie z nadań gruntowych, pożyczek rządowych i Banku Polskiego, przywilejów podatkowych i celnych etc.

Twórcą największego przedsiębiorstwa włókienniczego w Polsce i największego w Europie był Karol Scheibler, rodem z Montjoie, obywatel belgijski, uczeń słynnego Kokerilla i Anglików. Już przed pięćdziesięciu laty zakłady jego w Łodzi wyrabiały w ciągu jednego dnia 120 km tkanin, a na uprzedzenie nici, którą można by opasać kulę ziemską, potrzebowały 36 minut. Znakomity organizator tego olbrzymiego zakładu przyniósł ze sobą do Polski bardzo szczerpłe zasoby pieniężne, ale za to dużą i dokładną znajomość zasad organizacji przemysłu, rozwiniętych nad Atlantykiem.

Obce kapitały w przemyśle włókienniczym regionu łódzkiego pojawiły się właściwie dopiero w ostatniej ćwierci XIX wieku. Wielkie przedsiębiorstwa łódzkie urosły kosztem kraju i ze swych stopniowych zysków. Zyski te osiągnano w sposób podobny, jak w innych krajach: z korzystnej sprzedaży produktów na rynku wewnętrznym, w danym wypadku rynku Polski historycznej, oraz zewnętrznym — wschodnim, sięgającym Pacyfiku.

Rynki zbytu dla przemysłu włókienniczego polskiego znajdowały się na wschodzie, bowiem ogniska tego przemysłu formowały się od wieków w dzielnicach zachodnich. Przemysł Królestwa Polskiego, respective okresu łódzkiego, zbywał zawsze dużą część produkcji włókienniczej w obrębie dawnej Rzeczypospolitej.

Proletariat fabryczny regionu łódzkiego wytworzył się z dawnych mieszczan polskich, którzy przenieśli się z cichych miasteczek rolni-

czych do miast przemysłowych, oraz z chłopów (zwłaszcza po reformie 1863 r.), napływających z bliskich i dalszych stron. Zachował on wiele cennych pierwiastków kultury chłopskiej. Świadomość klasowa robotnika łódzkiego jest tak zupełna, jak świadomość przynależności do narodu polskiego. Historia udziału robotników w walce o wolność człowieka pracy i niepodległość Polski jest bohaterska. Na takiej tradycji rozwija się t. zw. kultura robotnicza.

Niemcy łódzcy ulegali w ciągu wieku różnym wpływom. Jedni polonizowali się dokumentując to rzetelną pracą obywatelską i krwią na polach walk o niepodległość Polski; inni zachowywali swoją kulturę plemienną, ale przywiązywali się do kraju i stosunków miejscowych, dzięki czemu uważali się za obywateli „tutejszych”. Byli jednak tacy, i to dość liczni, którzy czuli nienawiść do Polski i reprezentowali odwieczną agresywność żywiołu niemieckiego; występowali oni jawnie przeciwko dążeniom Polaków już w 1831 roku.

Żydzi przyszli do regionu łódzkiego z miasteczek i wsi całej dawnej Rzeczypospolitej. Zbogacili się tu. Industrializacja ludności żydowskiej była początkowo słaba, trudnili się Żydzi głównie handlem i wykazywali świetną intuicję na rynkach wschodnich. Stopniowo inwestowali swoje kapitały w przemysł i osiągalni dobre wyniki. Pod względem kulturalnym ulegali wpływom polskim, maconym jednak coraz silniej przez urok Niemiec i Rosji, a potem także przez żydowski prąd nacjonalistyczny.

Sprawy kulturalne w łódzkim okręgu przemysłowym były od samego początku głównie w ręku inteligencji polskiej. Właściciele miast fabrycznych, urzędnicy Królestwa Polskiego, inżynierowie fabryczni, przedstawiciele t. zw. wolnych zawodów, księża, nauczyciele, czasem przemysłowiec lub kupiec — organizowali życie kulturalne i reprezentowali okręg łódzki przy milczącej zgodzie biernych kulturalnie „czynników gospodarczych”. Praca oświatowa prowadzona była prawie wyłącznie przez inteligencję polską. Organizacje pracownicze typu nowoczesnego — związki zawodowe i spółdzielnie — miały od początku charakter polski. Ruchy masowe — udział w powstaniu styczniowym, strajki (pierwszy wielki strajk w r. 1892), t. zw. rewolucja 1905 — były przygotowane i prowadzone przez Polaków.

Polityka władz rosyjskich w całym okresie 1832—1914 była wyraźnie antypolska. Miasta regionu łódzkiego rząd uważał za niemieckie, a chciał je rusyfikować. Popierał kapitalistów przeciwko masie ludności polskiej. Robotnikom odmawiał reform społecznych. Nie dopuszczał do samorządu i inwestycji miejskich. Konserwował ciemnotę.

Institucje użyteczności publicznej rozbudowali wielcy przemysłowcy; były to ich przedsiębiorstwa dochodowe (gazownia, elektrownia, tramwaje, rzeźnia), dzieła samoobrony (straż ogniowa) albo filantropii (szpitale, szkoły fabryczne). Przemysłowcy reprezentowali interesy gospodarcze regionu wobec rządu. Mieli duże wpływy i różnymi sposobami odpierali ataki moskiewskiego okręgu przemysłowego, uważającego Łódź za groźnego konkurenta na rynku rosyjskim. Ich sukcesy nad Newą okupowane były często przykrym dla społeczeństwa polskiego demonstrowaniem uczuć wiernopoddańczych wobec Rosji. Doktryna „wcielenia organicznego” miała w okręgu łódzkim grunt podatny i stanowiła duże niebezpieczeństwo dla sprawy polskiej.

Ujawniło się to niebezpieczeństwo w pierwszym roku wojny światowej, zwłaszcza wobec nowych okupantów — Niemców, którzy byli niszczycielami przemysłu łódzkiego, ale w ogniu wojny zamarło. Tak mocne na pozór skutki „faktów dokonanych” okazały się wątle wobec tradycji państwowości polskiej. W całym regionie łódzkim wystąpiła silnie wola odbudowy państwa polskiego. Wystąpiła także zaradność społeczeństwa, zwłaszcza mieszczan. Zachowano zgodę obywatelską. Miasta regionu weszły do Rzeczypospolitej z czynnym samorządem. Szukano zerwanych, zapomnianych wątków, aby nową epokę związać z dorobkiem dziejowym narodu. W pierwszej zaraz chwili związane zerwane nitki na wrzecionach i region łódzki znów się przystroił pióropuszcami dymów fabrycznych.

*

Tu kończy się historia, a zaczyna terazniejszość.

Są jednak powody, dla których łódzka współczesność powinna by interesować ogół historyków polskich.

Ekonomiści czasów minionych, polscy i niepolscy (np. Rosjanin Brandt i niemiecka socjal-demokratka Róża Luxemburg), którzy wyręczali historyków, a odznaczali się doktryneryzmem i nie sięgali do właściwych źródeł historycznych, sprawili wyjątkowy nieporządek w historiografii regionu łódzkiego. Nie zdołały temu zapobiec trafne oceny Ludwika Janowicza, Zofii Daszyńskiej-Golińskiej i Henryka Tenenbauma. W dobie obecnej zaczynają coraz częściej występować różnej miary historycy narodowości niemieckiej i żydowskiej, usposobieni szowinistycznie. Biorą się także do trudnych historycznych zadań publicyści i przygodni poszukiwacze tematów. W rezultacie region łódzki pozostaje nadal w cieniu, a czasem ukazuje się w fałszywym świetle. Jest obowiązkiem nauki polskiej poprawić ten

stan rzeczy zgodnie z wymaganiami metody historycznej. Nie chodzi tu o pośpiech, popularyzowanie czy aktualizowanie. Nie chodzi także o partykularne ciekawostki. Należy naukowo badać i przedstawiać sprawy zasadnicze, ważne zwłaszcza dla polskiej historii społeczno-gospodarczej i historii kultury.

Łódź, stolica regionu, jest miastem o stosunkowo słabym tętnie życia intelektualnego. Studia historyczne w Łodzi i regionie są organizowane w miarę sił i środków przez czynniki miejscowe (Polskie Towarzystwo Historyczne, Archiwum Miejskie, Wolną Wszechnicę Polską). Niektórzy pracownicy naukowci przebywający stale w Łodzi pracują pożytecznie na niwie historii regionalnej. Mogą być i są wykonywane pewne prace kolegialne. Wolno stwierdzić, że w Łodzi istnieje środowisko historyczne zupełnie zorientowane w sprawie źródeł do dziejów regionu, obecnego stanu opracowań i najważniejszych potrzeb. Ale dopiero pełna życzliwość i pomoc głównych polskich środowisk naukowych zapewni naszym wysiłkom należyte wyniki.

ZYGMUNT LORENTZ

ROZSIEDLENIE RODOWE SZLACHTY ŁĘCZYCKIEJ NA PRZEŁOMIE XIV i XV WIEKU

Przyczyny, które skłoniły mnie do obrania końca XIV stulecia za punkt wyjścia w studiach nad zagadnieniami z zakresu dziejów wewnętrznych Polski, miałem możność podać już w publikacji pokrewnej tematowi niniejszej pracy¹⁾. Sprowadzają się one sumarycznie do dwóch punktów, mianowicie 1) brzemienności przełomu XIV i XV wieku w przemiany polityczne, społeczne i gospodarcze dawnej Polski Piastowskiej, 2) pojawienia się ksiąg sądowych, zmieniających radykalnie warunki źródłowe dla badań nad dziejami wewnętrznymi. Wypada mi zatrzymać się na drugim punkcie ze względu na problem rozsiedlenia rodowego szlachty.

Historycy średniowiecza polskiego rozporządzają dokumentami i pomnikami historiograficznymi, jako podstawą źródłową naszych studiów; są one uzupełniane zabytkami materialnymi. Choć źródła powyższe w ciągu ubiegłego i bieżącego stulecia zostały wydobyte na światło dzienne i przeważnie opublikowane, zaś znikomy był pomimo ciągłych poszukiwań licznych rzesz historyków przyrost nowych nieznanych jeszcze przekazów źródłowych, nie możemy w obecnej chwili odpowiedzieć na wiele pytań, nasuwających się przy badaniu odległej przeszłości. Wynika to z typu i charakteru tych materiałów, przy których, mimo doskonalącej się coraz bardziej aparatury metodyczno-naukowej, możliwości są i pozostaną zawsze ograniczone. Zagadnienie rozsiedlenia rodowego i jego rozwoju w wiekach średnich, stanowiące część zagadnień osadniczych, należy właśnie do problemów, przy których przede wszystkim występuje ograniczonosc możliwości badawczych na podstawie materiałów wcześniejszego średniowiecza. Materiały powyższe tym się odznaczają, iż tylko bardzo fragmentarycznie oświetlają niektóre odcinki życia średniowiecznego, a w pierwszym rzędzie właśnie obraz rozsiedlenia rodowego rycerstwa, który aż po koniec XIV wieku jest

¹⁾ Dostojnicy województwa łęczyckiego za pierwszych Jagiellonów, Warszawa 1935, str. 11/12.

w historiografii bardzo daleki od stanu minionej rzeczywistości. Dopiero ostatnie lata tego stulecia przynoszą wielką poprawę w warunkach źródłowych w postaci zapisek streszczających sprawy rozpatrywane w sądach ziemskich i grodzkich — początkowo bardzo zwięzłych, stopniowo rozrastających się do rozmiarów obszernych protokółów sądowych. Główna wartość zapisek polega na tym, iż objęły one wszystkie dzielnice Polski przekazując potomnym bogate wiadomości imienne o szlachcie przesuwej się przed sądami ziem własnych lub innych, które to wiadomości łącznie z zapiskami heraldycznymi, wyjaśniającymi przynależność rodową, oraz z danymi z innych kategorii źródeł pozwalają na pogłębienie i rozszerzenie stanu badań nad rozsiedleniem począwszy od końca XIV wieku. Konserwatyzm bytu średniowiecznego i powolność jego rozwoju sprawiają, że uzyskany w tym okresie obraz jest w znacznej mierze odbiciem dawniejszych stosunków rodowo-osadniczych.

Księgi sądowe wydatnie posuwają naprzód pracę historyków w zakresie powyższych studiów; i tu jednak otrzymane rezultaty nie dają nam jeszcze pełni obrazu osadnictwa rodowego. Musimy pamiętać, iż księgi sądowe nie zawsze zachowały się w stanie kompletnym, a także, że nawet bardzo duża ilość osób, uwiecznionych w kompletnych księgach sądowych, nie jest jeszcze równoznaczna z całą szlachtą danego terytorium, część jej bowiem mimo wrodzonego szlachcie pieniąctwa mogła pozostać poza księgami sądowymi. Dalszym minusem rezultatów badań nad rozsiedleniem jest zazwyczaj niemożność zidentyfikowania pod względem przynależności rodowej wszystkiej szlachty znanej z materiałów źródłowych. Jeżeli do powyższych zastrzeżeń dodamy jeszcze trudności w określaniu położenia niektórych osad, szczególnie wsi o pospolitych nazwach, albo — w imiennej identyfikacji szlachty, wreszcie jeżeli uprzytomnimy sobie, iż szlachta poza dobrami, z których pisała się, często władała jeszcze innymi dziedzinami (co w ówczesnym systemie gospodarczym było objawem powszechnym) nie zawsze znajdującymi swój wyraz w materiałach źródłowych, pojmujemy, dlaczego otrzymany obraz rozsiedlenia rodowego szlachty, nawet oparty o nowe źródła, księgi sądowe, nie jest pełnym odtworzeniem dawnego stanu rzeczy. Ideałem badań historycznych byłoby uzyskanie takiego obrazu. Skoro jednak stan materiałów źródłowych nie pozwala nam na to, winniśmy przynajmniej dążyć do zbliżenia się jak najbardziej do idealnego obrazu. Pierwszym w tej mierze obowiązkiem jest wyczerpanie, prócz źródeł dyplomatycznych i histo-

riograficznych, ksiąg sądowych badanego terytorium. Ponieważ szlachta poza własną ziemią występowała nieraz przed sądami innych dzielnic, księgi sądowe tych ziem, zwłaszcza sąsiednich, mogą dostarczyć cennego materiału, uzupełniającego dotychczasowe wiadomości. Jednak o przeglądaniu tych ksiąg, z reguły przecież niedrukowanych i niezindeksowanych, dla celów uzupełniających — nie może być oczywiście w zasadzie mowy. Zadanie to podjęły specjalne wydawnictwa i zbiory zapisek heraldycznych, wyławiające z ksiąg sądowych przechowywanych w archiwach materiały do dziejów rodów rycerskich. Postulatem pod adresem tych zbiorów byłoby, aby 1) systematycznie wyczerpały księgi sądowe wszystkich ziem, 2) obejmowały nie tylko zapiski heraldyczne z bezpośrednimi informacjami o przynależności rodowej, ale i bez takowych, gdyż łącznie z innymi danymi mogą one ułatwić wyjaśnienie tej przynależności, 3) były zaopatrywane w skorowidze nie tylko nazw rodów, ale i gniazd rodowych z podaniem ich położenia według dawnego podziału administracyjnego¹⁾.

Braki w materiałach źródłowych starają się badacze wypełnić własną hipotetyczną konstrukcją lub posilkują się źródłami późniejszymi albo wcześniejszymi. Przypuszczenie nie powinno jednak iść za daleko i być pozbawione pewnych podstaw źródłowych. Opieranie przypuszczenia przynależności rodowej na tej zasadzie, iż w tej samej lub sąsiedniej wsi siedzi współcześnie względnie później klejnotnik odpowiedniego rodu, jest zupełnie bezzasadne²⁾. Sprawy opierania przynależności do rodu na podstawie imion nie będę tu poruszał, zajmuję się tym poniżej w konkretnych wypadkach.

Posiłkowanie się niewspółczesnymi źródłami ma dwojaki charakter: polega na oparciu się o źródło późniejsze niż czasy badane lub o źródło wcześniejsze oraz na zastosowaniu wnioskowania progresywnego lub retrospektywnego. Wnioskowania te w badaniach nad rozsiedleniem rodowym są bardzo niebezpieczne, prowadzić mogą do zupełnie mylnych wniosków. Mnożące się pod koniec średniowiecza źródła wykazują wielką ruchliwość osadniczą szlachty, działy ziemi przechodzą z rąk do rąk, właściciele zmieniają się nieraz bardzo często, w jednej wsi dziedziczą przedstawiciele różnych rodów; wnoszenie w powyższych warunkach o ciągłości i tożsamości rodu w danej osadzie jest ryzykowne bez

¹⁾ PW, str. 3.

²⁾ Kozierowski. Ród Nowinów, ród Porajów-Rożyców i inne; Piekosiński, pt. niżej: Calina.

naależytego poparcia odpowiednimi danymi lub udowodnienia filiacją genealogiczną. Z powyższych uwag wynika, że obraz rozsiadlenia rodowego nie może być jednolity chronologicznie; nie będzie to przekrój rozwojowy, lecz mozaika o pewnych odchyleniach w czasie.

Pierwszorzędnej wagi rzeczą w badaniach nad rozsiadleniem rodowym jest trafne umiejscowianie nazw osad, od tego bowiem zależy prawdziwość konfiguracji gniazd rodowych oraz trafność wysnuwanych wniosków. Oznaczanie położenia gniazd utrudnia fakt istnienia osad o identycznych nazwach i to niejednokrotnie w jednej okolicy¹⁾. Położenie wsi określam w niniejszej pracy podług wskazówek „Instrukcji wydawniczej dla średniowiecznych źródeł historycznych“²⁾. Poza tym jednak starałem się o wyzyskanie w tej mierze zapisek sądowych, śledząc, zwłaszcza w wypadkach wątpliwych, za związkiem topograficznym gniazda z innymi osadami okolicznymi; wykrywszy to uzyskiwałem ważną wskazówkę do ustalenia położenia gniazda. Nazwy osad podaję w brzmieniu źródłowym, a nie dzisiejszym, chodzi mi o przedstawienie osadnictwa rodowego i jego nomenklatury ściśle w stanie współczesnym, za czym przemawia jeszcze ta okoliczność, iż niektóre z osad wymienianych przez materiały źródłowe dziś nie istnieją i tylko z posiadanych wskazówek można wnosić o ich dawny położeniu.

Rozsiadlenie rodowe szlachty, obejmujące województwo łęczyckie pod koniec XIV i w początkach XV stulecia, przedstawiam w porządku alfabetycznym nazw rodowych. Ponieważ może mnie tu spotkać zarzut, że rozsiadlenie niektórych rodów omawiam pod paroma nazwami (np. Jastrzębiec—Łazęki—Kamiona), właściwymi jednemu rodowi, usprawiedliwiam powyższe tym, iż te osobne nazwy rodowe występują w Łęczyckim zupełnie wyraźnie w materiałach źródłowych, odnosząc się stale do pewnych osobników, oddzielne zatem traktowanie takich ugrupowań może ułatwić z czasem wyświetlenie w naszej heraldyce zagadnienia wielkich konglomeratów rodowych, z którymi przeszłość związała różne określenia heraldyczne.

Do pracy niniejszej dołączam wykaz źródeł i literatury, cytowanych w tekście w formie skróconej, wykaz więc stanowi rozwinięcie lakonicznych wzmianek bibliograficznych w przypisach.

¹⁾ W województwie łęczyckim np. Łagiewniki, Chodów, Byszewy, Będków.

²⁾ Str. 20—21.



1. AMADEJ

Ród ten jest nam znany w trzech wsiach: Pruskowicach, Walewie i Włostowicach. Semkowicz uważa Pruskowice i Walewo, skąd występują klejnotnicy powyższego rodu, za położone w województwie sieradzkim: Pruskowice — pod Widawą, a Walewo — pod Pajęcznem. Otóż nie mogę zgodzić się na takie umiejscowienie powyższych nazw topograficznych, jako gniazd rodu Amadejów. Widzę je na północ od Łęczycy, a przekonanie moje potwierdzają następujące fakty: 1) Pruskowice i Walewo, położone w województwie łęczyckim, znajdują się blisko siebie, gdy Pruskowice i Walewo z województwa sieradzkiego oddziela znaczniejsza przestrzeń, 2) Amadejowie z Pruskowic i Walewa pozostają w kontakcie ze szlachtą z okolicznych osad dzielnicy łęczyckiej, 3) w roku 1424 klejnotnicy Amadejów z Pruskowic i Walewa świadczą w Łęczycy na rzecz krewniaków z Wysokiej w towarzystwie innej szlachty województwa łęczyckiego¹⁾. *545A 492A*

Amadejami w Pruskowicach są Paweł i Ochal. Z Walewa jest nam wiadomy jeden współrodowiec Amadejów, mianowicie Stanisław²⁾. Trzecie znane na terenie łęczyckim gniazdo Amadejów, Włostowice, leży nad Bzurą, na północ od Piątku. Dziedziczy tam ziemianin Mikołaj³⁾.

2. AWDANIEC

Stary ten ród silnie rozsiadłony w Małopolsce i Wielkopolsce posiada na obszarze województwa łęczyckiego stosunkowo niezbyt liczne gniazda. Osiedla Awdańców sprowadzają się do dwóch okolic, mianowicie jedną serię stanowią wsie na północ od grodu łęczyckiego, drugą — wsie w zachodniej części województwa, od rzeki Neru ku południowemu krańcowi tej dzielnicy. Naprzód omówimy północne osiedla Awdańców.

W okolicy Kutna, w południowej stronie, leżą sąsiadujące z sobą wsie: Wały i Świniary. W Wałach spotykamy ziemianina Szczędryka, a o ćwierćwiecze później braci Dawida i Jana, klejnotników Awdańców⁴⁾. Semkowicz przypuszcza, że byli to może synowie

¹⁾ O pochodzeniu i rozsiadleniu rodu Amadejów, str. 143; Milewski I. Kapica Herbarz, str. 97/98; Księgi sądowe łęczyckie *passim*.

²⁾ ŁZH 50; SWS 276; Milewski I. Kapica, str. 97; PŁ II 6342, 6542.

³⁾ Milewski I. Kapica Herbarz, str. 97; I 5579.

W sądzie ziemskim na roczku w Orłowie występuje Jan z Gumina zwany Hamdey.

⁴⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 1060; SWS 6, 279. Mylnie odczytanie w księdze sądowej brzmienia nazwy tej osady, mianowicie — „Bali“: pisarz napisał „Vali“ (Łęcz. ziem. 4, p. 970).

Szczedrzyka¹⁾. Szczedrzyk z Wałów dziedziczył także w sąsiednich Konarach²⁾. W Świniarach siedzi Awdaniec Pakosław³⁾. O milę na zachód, w Wargawie, znajdujemy Wilczka, a w sąsiednim Walewie — Szczedrzyka, Wilczka i Wojciecha Wilczka, ziemian o imionach pierwiastkowo wybitnie awdańcowych⁴⁾. W kierunku północnym, pod Krośniewicami, leżą Jankowice. Semkowicz uważa szlachtę z tej wsi, Pakosława i Michała, za klejnotników herbu Awdaniec⁵⁾. Tymczasem byli to ziemianie z rodu Ogończyków i nie możemy dopatrzeć się Awdańców w Jankowicach⁶⁾. Po między Kutnem a Piątkiem leży osada Dobiesławice. Spotykamy w niej Pakosza, którego Semkowicz zalicza do Awdańców na podstawie imienia, a samą nazwę Dobiesławice przyjmuje za wskazówkę awdańcowego pochodzenia tej wsi⁷⁾. Co do imienia Pakosław, Pakosz, to wprawdzie spotykamy je często w rodzie Awdańców, lecz nie wyłącznie już w tym czasie, czego dowodem ów Pakosław z Jankowic herbu Ogony. Jeżeli zaś chodzi o nazwę osadniczą Dobiesławice, to imienia Dobiesław nie uważałbym za dowód przynależności do rodu Awdańców, gdyż imię to jest bardzo pospolite wśród szlachty łęczyckiej i trzebawy przyjmując założenie Semkowicza widzieć klejnotników naszego rodu w wielu innych osadach łęczyckich⁸⁾. Dla pierwszych wieków rozwoju rodów rycerskich pewne imiona stanowiły ważny wskaźnik rozpoznawania przynależności rodowej, z biegiem czasu jednak wskutek rozkładu terytorialnego rodów i osłabiania się węzłów rodowych, a także przez związki rodzinne między rodami, imiona przestają być charakterystycznymi oznakami przynależności do ściśle

1) Ród Awdańców t. 45, str. 235/6.

2) Łęcz. ziem. 4, p. 857.

3) SWS 6; Łęcz. ziem. 5, p. 603.

4) Łęcz. ziem. 5, f. 71; PŁ I 1345, 3612, II 4120.

5) L. c., str. 236.

6) SWS 61; PŁ II 5049.

Semkowicz podaje Pakosława z Jankowic wraz z Przedwojem, jego bratem, jako klejnotników rodu Ogonów, lecz uważa tego Pakosława za innego zupełnie osobnika, pochodzącego z Jankowic w Tureckim, gdy Pakosław, rzekomy klejnotnik Awdańców, miał pochodzić według Semkowicza z Jankowic pod Krośniewicami w powiecie łęczyckim. Powyższego stanowiska Semkowicza nie podzielam i obu Pakosławów sprowadzam do jednej osoby, mianowicie Pakosława z Jankowic w Łęczyckim, za czym przemawia fakt, że w Jankowicach łęczyckich występują i Pakosław i Przedwój, jako dziedzice tej wsi (SWS str. 289, Księgi sądowe passim).

7) L. c., str. 235.

8) W Krośniewicach, Bilanowie, Byszewach, Drwalewie, Brunowicach, Bogusławicach, Rozdżicach, Gołocicach, Tarnowie, Sówkach, Skoszewach, Sławoszewie, Szamowie, Idzikowicach, Dąbrowie, Jankowie, Dąbiu, Czyrnikowie, Jagniątkach, Łyczkach, Komaszycach, Michałowicach, Oporowie, Osędowicach i in. (Księgi sądowe passim).

określonych rodów, stają się zaś właściwymi dla różnych ugrupowań rodowych. Imię Dobiesław jest znane w końcu XIV i początkach XV wieku w różnych rodach w Łęczyckim; wiemy więc o Dobiesławie z Sobiesławic, klejnotniku Ogończyków, Dobiesławie z Kaszewa herbu Prawda, Dobiesławie z Koluszkowic z rodu Nowinów¹⁾. Według ks. Kozierowskiego imię Dobiesław spotyka się często u Nowinów²⁾. Widzimy zatem, że w badaniach nad rodami w późniejszym średniowieczu imiona nie stanowią pewnego kryterium i jak największa ostrożność musi tu być zachowana.

Na powyższych kończą się znane gniazda Awdańców, położone na północ od Łęczycy. Drugą serię gniazd stanowią wsie na południe od Łęczycy, począwszy od granicy sieradzkiej ku południowschodowi. Na wschód od Neru, w parafii Domaniewo, gniazdem Awdańców są Moszkowice. Stąd pochodzi Jakusz syn Jana³⁾. Ziemianina z tychże Moszkowic, Andrzeja, który pisał się również z sąsiednich Psar, Semkowicz uważa za prawdopodobnego Awdańca⁴⁾. Z Psar znamy także Wilczka⁵⁾. W sąsiedztwie Moszkowic są położone Wilkowice, a poza Nerem, już w województwie sieradzkim, Wilczkowice, które według Semkowicza świadczą swym brzmieniem o osadnictwie Awdańców⁶⁾. Z Wilkowic pochodził Pakosław⁷⁾; był on może, jak również Wilczek z Psar, klejnotnikiem omawianego rodu. Na wschód od powyższych wsi znajdują się Woźniki, w których dziedziczą Pakosław i Skarbek, uważani przez Semkowicza oraz ks. Kozierowskiego za Awdańców⁸⁾. Co do imienia Pakosław, uczyniłem już wyżej uwagę. Jeżeli zaś imię Skarbek ma oznaczać klejnotnika Awdańców, to wypadałoby tu wymienić jeszcze kilku znanych mi na przełomie XIV i XV wieku Skarbków, ziemian łęczyckich, których Semkowicz nie wymienia w monografii o rodzie Awdańców, mianowicie: Skarbka z Borzysławic, położonych na północno-zachodnim krańcu województwa nad rzeczką Rgilewką, Skarbka z Gumina w powiecie orłowskim, Skarbka z Jasionny koło Piątku oraz Skarbka z Domanikowa pod Krośniewicami⁹⁾. Zarówno jednak co do nich, jak i co do Skarbka

¹⁾ Pt. niżej.

²⁾ Ród Nowinów.

³⁾ SWS 23; PŁ I 6159.

⁴⁾ L. c., str. 236/7.

⁵⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 644; PŁ I 210, 2715.

⁶⁾ L. c., str. 236/7.

⁷⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 647.

⁸⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 647; Ród Awdańców. Rocznik T. P. N. P. t. 45, str. 237; Kozierowski. Badania nazw topograficznych na obszarze dawnej wschodniej Wielkopolski, II str. 249.

⁹⁾ Łęcz. ziem. 6, f. 512 v; PŁ I 531, 5844; II 6300.

z Woznik nie mamy pewnych wskazówek, dotyczących się ich rodowego pochodzenia. Na prawym brzegu Bzury w trzech sąsiadujących z sobą osadach Dzierżążnie, Białej i Warszycach siedzieli Awdańce, w Dzierżążnie — Michał i Wilczek, a w Białej — Mikołaj Szpak. O Awdańcach w Warszycach mamy wiadomość późniejszą. Może z sąsiedniego Będkowa pochodził Awdaniec Pakosław¹⁾. Na południe stąd, nad Moszczenicą, leży Dobieszkowo, które Semkowicz uważa za gniazdo Awdańców, zaś Dobiesława, dziedzica Dobieszkowa, przyjął za prawdopodobnego Awdańca²⁾. Zagadnienie to było już poruszane przy osadzie Dobiesławice, tu tylko jeszcze dodam, że ks. Kozierowski w pracy swej o Nowinach widzi w Dobiesławie z Dobieszkowa członka rodu Nowinów, natomiast w później wydanych „Badaniach nazw topograficznych na obszarze dawnej wschodniej Wielkopolski“ skłania się ku stanowisku Semkowicza³⁾. Stwierdzonym źródłowo gniazdem Awdańców są Byszewy, świadczy stąd ziemianin Michał⁴⁾. Semkowicz w wywodach szlachectwa zaznacza, że wieś ta leży w powiecie brzezińskim (nad Moszczenicą), natomiast w monografii o Awdańcach przenosi ją w okolice Grabowa, niedaleko Neru⁵⁾. Ks. Kozierowski przyjmuje położenie Byszew nad Moszczenicą⁶⁾. Żadnych bliższych danych dla definitywnego oznaczenia topografii powyższego gniazda nie udało mi się uzyskać. Wreszcie gniazdem rodu Awdańców były Łągiewniki nad Wolbórką, dziedziczyli tam Paweł i Piotr⁷⁾. Semkowicz wlicza to gniazdo do siedlisk awdańcowych w Sieradzkim, ale Łągiewniki leżały jeszcze na terenie województwa łęczyckiego, przy województwie sieradzkim⁸⁾.

Na zakończenie przeglądu gniazd i klejnotników rodu Awdańców wypada zaznaczyć, iż według Semkowicza należeli jeszcze do tego rodu w dzielnicy łęczyckiej Florian ze Świniar i Florian, syn Henryka, z Jackowa⁹⁾. Imię Florian występuje często wśród szlachty. Znamy ziemian tego imienia w Brachowicach, Lisicach, Osędowicach, Kołoszynie, Dobieszkowie, Siedlewie, Stanisławicach, Gościnie, Przewiskach, Drzewoszewicach, Bilanowie¹⁰⁾. O przynależ-

¹⁾ Semkowicz l. c., str. 237; KZH 4.

²⁾ L. c., str. 237/8.

³⁾ Ród Nowinów, str. 58; Badania I, str. 85.

⁴⁾ SWS 26.

⁵⁾ SWS str. 278; Ród Awdańców, mapka.

⁶⁾ Badania II, str. 48.

⁷⁾ PZH 20, 22.

⁸⁾ Semkowicz l. c., str. 244; Pawiński. Polska XVI wieku t. II, str. 95.

⁹⁾ L. c., str. 236.

¹⁰⁾ Księgi sąd. passim.

ności rodowej powyższej szlachty nic nie wiemy. Z pomienionego Jackowa pisał się ziemianin Wilk¹⁾, który pochodził może z rodu Awdańców.

3. BELINA a. BIELINA

W południowej części województwa łęczyckiego, na północ od Pilicy oraz dopływu jej, Wolborki, siedzą licznie w końcu XIV i początkach XV wieku klejnotnicy rodu Belina a. Bielina. Strumień Bielina i położona nad nim osada Bielina wymownie świadczą o tym zakątku łęczyckiej ziemi, jako kolebce powyższego rodu. Dokoła rozsiane wsie są siedzibami braci herbowej Belinów²⁾. W Sągrodziu nad Piasecznicą spotykamy Tomka z przezwiskiem Bocian, Stanisława Szaputa oraz Jakusza z dziećmi³⁾. Po drugiej stronie Wolborki, w kącie między tą rzeczką a Pilicą, już poza granicami województwa łęczyckiego, jest położona wieś Bocian, pozostająca niezawodnie w związku ze wspomnianym wyżej przezwiskiem. Tomek i Stanisław mieli również ziemię w Bielinie, układali się w sprawie pastwisk i drzewa na opał dla swych kmieci w tejsze wsi i w Sągrodziu⁴⁾. W sąsiednim Ojrzeńcu dziedziczyli: Andrzej procesujący się z pomienionym wyżej Tomkiem o las koło Bieliny i brat jego Dadźbóg oraz ich bratankowie⁵⁾. Wdowa po jakimś Bielinie, Helena, szuka sprawiedliwości na wiecu w Łęczycy, oskarżając Stanisława Szaputa o zamordowanie jej męża, a Tomka o zadane mu rany⁶⁾. Nieopodal, w Ujeździe nad Piasecznicą, także niewątpliwie dziedziczyli Belinowie⁷⁾. Z pobliskiego Zaosia znamy szlachtę tego rodu, Jana i Piotra⁸⁾. Z Woli, osady nieznanej dziś w tej okolicy, a położonej niegdyś w kompleksie gniazd rodu Belina, pisał się Ścibor herbu Belina⁹⁾. Na północ od wymienionych wsi do klejnotników niniejszego rodu należała wieś Janków, skąd możemy wymienić ziemianina Włosta¹⁰⁾. Południowy kraniec gniazd Belinów w województwie łęczyckim stanowiły Bogusławice nad Wolborką, naprzeciw Wolborza leżącego już w województwie sieradzkim, oraz Zacharz. Łukasz z Bogusławic

¹⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 983.

²⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 533, 726; PŁ II 2131.

³⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 1057, 644; KZHS 2; SWS 52; PZH 29, 61.

⁴⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 727.

⁵⁾ PŁ II 2131, 2134.

⁶⁾ PŁ I 5556.

⁷⁾ PŁ I 2941.

⁸⁾ KZH 8; PZH 62.

⁹⁾ ŁZH 22; PŁ I 5411.

¹⁰⁾ KZHS 2; PZH 29; SWS 52, tu winno być „Jancowo“, a nie „Janicowo“.

naganiony w szlacheństwie odpiera zarzut twierdząc, że jest szlachcicem zawołania Belina i klejnotu przedstawiającego strzałę i krzyż w podkowie, czyli właśnie herb Belina. Z tychże Bogusławic wiadomymi Belinami są także Grzegorz i Tomek¹⁾. Z Zacharza pisał się Piotr²⁾.

Powyższe siedziby Belinów tworzyły wyraźny i skonsolidowany obraz na południowym krańcu województwa³⁾. Ks. Kozierowski wymienia również jako gniazdo Belinów Zelgoszcz Dobrską położoną na północny-zachód od Brzezin, a więc dość daleko wysuniętą ku północy od kompleksu osad tego rodu; twierdzenie swe opiera jednak na danych z w. XVI, nie przytaczając wcześniejszego dowodu źródłowego, którego też we własnych poszukiwaniach nie znalazłem⁴⁾.

4. BUJNY

Przedstawiciele tego rodu zasiedlają kilka osad w północnej części województwa. Pniewo na drodze z Kłodawy do Krośniewic ma klejnotników Jana, Marcisza i Andrzeja. W roku 1403 żona tegoż Jana pozwała Jakóba z Szolayd o głów szczyzną po mężu⁵⁾. Na wschód, pomiędzy Krośniewicami a Kutnem, we wsi Ocice dziedziczyli Andrzej Gość⁶⁾ oraz Jan Gość⁷⁾. Andrzeja z Ocic spotykamy także w Odolinie, wsi położonej w powiecie orłowskim na południe od Żychlina⁸⁾.

5. BYLINY

Ród Bylinów licznie rozrodzony w województwie poznańskim⁹⁾ występuje na terenie ziemi łęczyckiej w jednym znanym gnieździe, mianowicie w Dobiesławicach nad Bzurą; klejnotnikiem Bylinów jest tam na przełomie XIV i XV wieku ziemianin Jasiek¹⁰⁾.

6. CALINA

W dwóch wsiach powiatu brzezińskiego, Chojnach i Pszanowicach, szlachta określa swą przynależność rodową herbem Calina. Są to: dziedzic chojnacki Jasiek, a z Pszanowic Aleksander¹¹⁾. Pie-

¹⁾ UM 16; PŁ I 647, 5527.

²⁾ PZH 61.

³⁾ Cf. Semkowicz. Uwagi metodyczno-krytyczne, str. 74.

⁴⁾ Badania I, str. 17; II, str. 283.

⁵⁾ PZH 34; SWS 21, 33; Łęcz. ziem. 4, p. 750.

⁶⁾ Albo Kość.

⁷⁾ SWS 5; PŁ I 2032; KW V 232.

⁸⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 643; PŁ II 255.

⁹⁾ Kozierowski. Ród Bylinów.

¹⁰⁾ SWS 6.

¹¹⁾ ŁZH 19.

kosiński uważa Calinę za identyczną z herbem Nowina, opierając swe przypuszczenie na zasadzie, iż rodzina Pszanowskich pieczętuje się tym herbem¹). Gdyby Piekosiński poparł swe stanowisko identycznością obrazów herbowych Caliny i Nowiny, wtedy jego sąd znalazłby w tym przekonywujące potwierdzenie. Niestety, godło Caliny nie jest znane, a to, że jakiś szlachcic Pszanowski pieczętował się Nowiną, nie uzasadnia bynajmniej przynależności do Nowinów Aleksandra z Pszanowic i tym bardziej Jaśka z Chojen. Pszanowice i Chojny, jak wykazują księgi sądowe, były kollokacjami i mogli w nich siedzieć przedstawiciele różnych rodów. Poza tym, przy ówczesnej ruchliwości osadniczej i płynności nazwisk szlachty byłoby metodycznie błędne łączenie późniejszej rodziny Pszanowskich herbu Nowina z naszym klejnotnikiem w sposób powierzchowny, bez zbadania strony genetyczno-genealogicznej tych Pszanowskich. Nie mając na razie podstaw utożsamiania Caliny z Nowiną, podaję Calinę jako osobny ród.

7. CHOLEWA

Ród Cholewów miał swych przedstawicieli w północnej części województwa. Pod Krośniewicami wieś Morawce należała w tym czasie do Staśka i Waclawa herbu Cholewa²). W pobliżu Morawców wieś Łyczki także jest gniazdem tego rodu. Wiemy stąd o Stefanie oraz Janie³). Na wschód od Morawców, w Szubinie, dziedziczył Andrzej⁴). Ku wschodowi od wymienionych osad, pod Kutnem, znajdujemy dwa dalsze gniazda Cholewów: Żakowice i Malinino. Z Żakowic pisał się ziemianin Andrzej⁵). Ze wsi tej zapiski sądowe notują też Bogusława „cum suis fratribus concleno dialibus“⁶). Czy byli oni klejnotnikami Cholewów, nie wiemy, nie mamy bowiem bliższych danych źródłowych. Z pomienionego Malinina pochodził Paweł, który był także wójtem w Błoniu pod Łęczycą, oraz Miczek⁷).

8. CIELECHY

Ród Cielechów znamy w ziemi łączyckiej z jednego gniazda. Jest nim wieś Kozuby pod Łęczycą, dziedziczą tam w końcu

¹) *Heraldyka Polska*, str. 209.

²) *PEL II* 5049.

³) *SWS* 12, 14, tu mylnie oznaczono położenie Łyczek — w Przasnyskim (str. 500, skorowidz); *PW* 27.

⁴) *Łęcz. ziem.* 5, f. 81, 219.

⁵) *Łęcz. ziem.* 4, p. 584; *SWS* 15.

⁶) *Łęcz. ziem.* 4, p. 1284.

⁷) *PW* 10, 27.

XIV wieku: Jan Przesakowicz, Bartosz oraz Mikołaj¹⁾. Poza tym gniazdem stwierdzamy dwie wsie zasiedlone przez członków powyższego rodu nad granicą rawską, Jemielno i Wilkowyja; osady te leżą już w ziemi gostyńskiej²⁾.

9. DOLIWA

Doliwowie tworzą znaczne skupienie osadnicze w północno-wschodniej części województwa, mianowicie we wsiach: Grzybowie, Śleszynie, Rakowie, Pleckiej Dąbrowie, Guminie i Sobocie. Z osad tych tylko Sobota jest bardziej wysunięta na południe, podczas gdy pozostałe osady grupują się zwarcie w okolicy Żychlina. W nadgranicznym Grzybowie doliwczykiem był szlachcic Jan, sąsiedni Śleszyn stanowił posiadłość kasztelana słońskiego Wojciecha, który miał też dziedzinę w graniczącej ze Śleszynom Pleckiej Dąbrowie³⁾. Tenże Wojciech rozprawił się z Maciejem z Drwalewa o część Gumina⁴⁾. Rakowo koło Żychlina było własnością Doliwczyka Jana⁵⁾. Ks. Kozierowski przyjmuje także za prawdopodobnych Doliwów Wojciecha i Bogumiła, dziedziców Rakowa⁶⁾, jednak nie ma na to żadnych dowodów. Klejnotnik Doliwów komornik łęczycki Filip dziedziczył w Sobocie nad Bzurą, na granicy rawskiej. Z tego gniazda wyszli w następnych dziesiątkach lat: Tomasz, który został miecznikiem, a potem sędzią ziemskim łęczyckim, oraz brat jego Jan, stolnik dobrzyński⁷⁾. Semkowicz w studium poświęconym genezie zawołań rycerskich określił mylnie położenie tej Soboty, utożsamiając ją ze wsią o analogicznym brzmieniu na Mazowszu w okolicy Liwa⁸⁾. Mając szereg nazw miejscowości zamieszkałych przez Doliwczyków, szukał ich położenia w okolicy Liwa dla uzasadnienia swej tezy o pochodzeniu zawołania „Doliwa“ od miejscowości Liw, pierwotnego gniazda powyższego rodu, mimo iż nazwy takie niekoniecznie musiały odnosić się do osad leżących koło Liwa. Tak było właśnie z naszą Sobotą, wsią komornika Filipa, której położenia nie należy szukać na Mazowszu koło Liwa, gdyż leży ona w województwie łęczyckim nad Bzurą, o czym świadczy choćby częste występowanie Filipa w sądzie

1) UIC 1343; SWS 48.

2) PZH 13; Pawiński. Polska XVI wieku, V str. 195.

3) SWS 27; PŁ I 5779, II 765; Kozierowski. Ród Doliwów, str. 33, 34.

4) Kozierowski l. c.

5) SWS 27; PŁ II 765.

6) L. c., str. 35.

7) Piotrowski. Dostojnicy, str. 59, 60 oraz 82, 83.

8) Doliwa, Dołęga, Doraja, str. 58.

powiatowym w Orłowie, w którego okręgu leży Sobota, oraz jego związku z okoliczną szlachtą¹⁾. Powyższą grupę gniazd rodowych Doliwów na terenie województwa łęczyckiego uzupełnia osada Drwalewo, odsunięta bardzo znacznie od kompleksu omówionych posiadłości Doliwów w kierunku południowo-zachodnim. Z tego Drwalewa znamy Doliwczyka Jaśka, a Kozierowski dopatruje się także klejnotnika omawianego rodu w osobie Macieja z Drwalewa²⁾.

10. DOŁĘGA

Gniazda Dołężan znajdujemy w północnej i centralnej części województwa. Ze Zdun koło Łęczycy pisał się chorąży (mniejszy, następnie większy) Mikołaj. Miał on też inne dobra rozciągające się między Nerem i Bzurą powyżej Łęczycy, mianowicie Wolę Zaleską i Leźnicę, a za Nerem, już w województwie sieradzkim, Wartkowice³⁾. Brat chorążego Mikołaja, Pietrasz, dziedziczył w Woli, osadzie nieznanego położenia⁴⁾. Z pomienionych Zdun pisał się Andrzej, miecznik łęczycki⁵⁾, może także klejnotnik Dołęgów; przynależność jego nie jest stwierdzona źródłowo. W Wojszycach, wsi w powiecie orłowskim położonej, w okolicy Żychlina, spotykamy Dołężan: Pietrasza, Mikołaja i Wojciecha⁶⁾. Lasocki uważa Pietrasza z Wojszyc za identycznego z Pietraszem z Pomorzan pod Krośniewicami. Z tychże Pomorzan zalicza on do Dołęgów Jarosława, a także szlachcica zwanego Grabya na zasadzie przydomku⁷⁾, który jednak jest również częstym w rodzie Grabiów⁸⁾. W niedalekich od Wojszyc Wioteskach siedział klejnotnik tego rodu Klemens zwany Nicholt⁹⁾. Częste nagany szlachectwa Dołęgów z Wojszyc wskazywałyby na to, iż byli oni przybyszami w Łęczyckim i niedawno nabyli część Wojszyc, a dla udowodnienia swego szlachectwa musieli powoływać bądź to współrodowca z osiadłej już dawniej w tej dzielnicy rodziny ze Zdun, bądź też krewnych z ziemi gostyńskiej i dobrzyńskiej¹⁰⁾.

¹⁾ Księgi sądowe *passim*.

²⁾ ŁZH 54; Kozierowski l. c., str. 35.

³⁾ Piotrowski. Dostojnicy, str. 83.

⁴⁾ ŁZH 39.

⁵⁾ Łęcz. ziem. 2 a, f. 15; 4, p. 368; Lasocki. Dołęga czy do Łęga? str. 11. Tenże: Zakład, str. 184.

⁶⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 874; 2 a, f. 158; PŁ II 1492, 1511; PW 15; SWS 89, 90, 34 (w ostatniej winno być „Nicolaus do Wojszicze“, a nie „Nicolaus de Wenzicze“), cf. łęcz. ziem. 6, f. 207.

⁷⁾ L. c., str. 11, 12.

⁸⁾ Gieysztor. O pochodzeniu i rozsiedleniu rodu Grabiów, str. 106.

⁹⁾ PŁ II 990, 1808.

¹⁰⁾ Lasocki l. c., str. 11.

11. DROGOSŁAW

Do rodu tego, który miał główne swe gniazda w Wielkopolsce, ks. Kozierowski zalicza przypuszczalnie Drogosławę z Krzęlewic pod Łęczycą¹⁾. Księgi sądowe łęczyckie notują też Drogosława z Chodakowic²⁾, ale wieś ta jest położona poza naszym województwem, prawdopodobnie w województwie rawskim³⁾. Innych Drogosławów nie zauważyliśmy.

12. DRZEWICA

Znamy cztery gniazda rodu Drzewica: koło Łęczycy Witaliszewice nad Bzurą i Zieleniewo, pod Żychlinem Wojszyce i pod Brzezinami Brunowice. Drzewiczaniem w Witaliszewicach był Grzegorz, a w Zieleniewie Jakusz⁴⁾. Z Wojszyc pisał się klejnotnik Drzewiczian Wetrzych, jego siostra Katarzyna również miała dział w Wojszycach⁵⁾. W osadzie tej spotykamy więcej szlachty o cudzoziemskich imionach: Frydryka, Dytrycha i Jałbrzyka oraz Walpurgę, córkę Stefana Gdala⁶⁾. Byli oni zapewne, jak Wetrzych⁷⁾, Drzewiczaniem, których przodek według podania u Paprockiego miał być obcego pochodzenia. Imiona powyższe świadczyłyby, że podanie to nie jest bezpodstawne⁸⁾. Wreszcie, w ostatnim ze znanych nam osiedli Drzewiczian, Brunowicach, współklejnotnikiem ich był ziemianin Jakusz⁹⁾.

13. GODZIEMBA

Godziembowie zasiedlali w naszym okresie dwie wsie w północnej stronie województwa. W Chodowie, między Kłodawą a Krośniewicami, spotykamy Bogusława Lubrańskiego¹⁰⁾. Drugie gniazdo Godziembów znajdowało się również w tej okolicy, była nim wieś Wysoka koło Krośniewic. Stąd znamy braci Dersława i Dymitra, brata ich stryjecznego Piotra, Andrzeja zw. Wanglecz, Jana zw. Kyczka oraz braci Stanisława i Jakóba¹¹⁾.

1) PŁ II 4340; Kozierowski. Ród Drogosławowiczów str. 26.

2) PŁ I 1286.

3) Pawiński. Polska XVI wieku, t. V str. 138.

4) SWS 16, 18, 52.

5) PŁ II 1248, 1592.

6) PŁ II 205, 504, 1042, 1722.

7) Rzadkie to nader imię wśród szlachty łęczyckiej nosił jeden z klejnotników rodu Rawów, z Bowętowa (pt. niżej). Imię to było niezawodnie śladem związków rodzinnych Drzewiczian z Rawiczami.

8) Lasocki. Dołęga czy do Łęga? str. 11/12.

9) SWS 16, 18.

10) Milewski I. Kapica Herbarz, str. 97; Księgi sądowe passim.

11) Milewski I. Kapica l. c.; PW 27, 31.

14. GRZYMAŁA

Ród ten, szeroko rozrodzony w Wielkopolsce, w województwie łęczyckim znajduje słabe odbicie źródłowe. Znalezliśmy tu Grzymalitów tylko w dwóch wsiach. W Orynicach koło Piątku notujemy Przeclawa¹⁾); było tam może więcej rodzin pieczętujących się Grzymałą, lecz ogólne informacje znanych kilku zapisek nie pozwalają na definitywne stwierdzenie tego²⁾). Na północo-zachód od Łęczycy leży wieś Borowo, zapiski sądowe podają ją jako gniazdo Grzymalitów, klejnotników jednak nie znamy³⁾). Również nie znamy przynależności osadniczej współklejnotnika Grzymały Orynickiego, szlachcica Dziewierza, występującego w grodzie łęczyckim w obrobie naganionego w szlachectwie krewniaka z Orynic⁴⁾).

15. JANINA

Członków tego rodu spotykamy przede wszystkim w kilku wsiach wzdłuż zachodniego brzegu województwa: w Starzynach, Turze nad Nerem i w pobliskiej osadzie Małe. Ze Starzyn znamy szlachtę Jakóba⁵⁾ oraz Wojciecha⁶⁾. Z Tura pisał się sędzia ziemski łęczycki (poprzednio podstoli) Pietrasz. Miał synów Pełkę i Adama, późniejszego podstolego, podsędka, wreszcie sędziego ziemskiego⁷⁾. Po śmierci Pełki w roku 1418 nastąpił podział dóbr między jego córkami: Katarzyną, Helzką, Małgorzatą i Jadwigą oraz ich stryjem Adamem. Z aktów dzielczych dowiadujemy się, że do Janinów Turskich należały w ziemi łęczyckiej prócz Tura: Ujazd (pewnie nad Piasiecznicą, w powiecie brzezińskim), Orzeszkowo i Truskawiec koło Tura⁸⁾). Poza tym, na południe od wsi powyższych dziedziczyli Turscy w Woli i Zdziechowie. Również należały do nich dobra w stronie południowo-wschodniej, Zgierz, Wiażyn i Będoń, na co wskazują procesy sądowe toczone przez sędziego Pietrasza⁹⁾. Pod Turem, we wsi Małe, szlachcic Bartłomiej był prawdopodobnym klejnotnikiem Janinów¹⁰⁾. Nakoniec możemy jeszcze zanotować

¹⁾ SWS 63; KW V, str. 530, tu mylnie „Brynice“, zamiast „Orynicze“.

²⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 524; PŁ I 1566; II 4848.

³⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 1238.

⁴⁾ PŁ II 4848.

⁵⁾ PŁ I 932, tu mylnie „Johannis“ zamiast „Jacobi“ (Łęcz. ziem. 3, p. 136).

⁶⁾ PŁ I 932, 6015.

⁷⁾ Piotrowski. Dostojnicy, s.r. 59.

⁸⁾ Łęcz. ziem. 5, f. 321v; 6, f. 270v, 276, 323.

⁹⁾ Piotrowski l. c., str. 82; Łęcz. ziem. 4, p. 256, 518.

¹⁰⁾ PŁ I 932.

gniazdo powyższego rodu na szlaku z Łęczycy do Kutna; była nim wieś Byszew, siedziba ziemianina Pełki¹⁾.

16. JASTRZĘBIEC

Wykrywa się osadnictwo Jastrzębców na obszarze województwa łęczyckiego głównie w związku z akcją majątkową i gospodarczą wybitnego klejnotnika tego rodu, arcybiskupa Wojciecha. Wpływowy ten mąż stanu w miarę gromadzonych bogactw nabywał dobra ziemskie w różnych okolicach, między innymi i w naszej dzielnicy. Ośrodkiem jego działalności były Borzysławice nad Rgilewką, gdzie wystawił zamek okazały²⁾; stąd rozchodziła się ekspansja osadnicza Wojciecha Jastrzębca po okolicy. W nabywanych dobrach osadzał swych licznych krewnych³⁾. Już w roku 1384 występował z Borzysławic Mikołaj Jastrzębiec, późniejszy podstoli łęczycki, następnie podkomorzy. Synami jego byli Marcin, Ścibor i Wojciech; dwaj pierwsi znani na licznych urządach ziemskich w województwie łęczyckim, trzeci — duchowny⁴⁾. Do dóbr Borzysławskich należały wsie: Barłogi, Grodna, Dąbrówka, Górki, Pomorzany oraz za Rgilewką, nad granicą województwa, Słupca. Poza powyższymi osadami, które przedstawiały zwartą grupę, panowie na Borzysławicach posiadali szereg wsi ciągnących się od wymienionego kompleksu ku Łęczycy i Bzurze. W kierunku południowo-wschodnim leżała wieś Jastrzębia, a dalej, pod Łęczycą, Siemszyce i Oraczewice. Tę ostatnią wieś nabył Ścibor drogą zamiany za osadę Zaraz leżącą w województwie sandomierskim. Tenże sam Jastrzębczyk skupił dobra nad Bzurą powyżej Łęczycy: Sierpowo i Konary. W tej okolicy mieli jeszcze Borzysławscy Chociszewo, Wolę Chociszewską i Leźnicę. Wreszcie należały do nich dobra znajdujące się na wschód od Łęczycy, mianowicie Gaj i Łubnica⁵⁾.

Poza Jastrzębcami Borzysławskimi zapiski sądowe wzmiankują o Jastrzębczykach: Andrzeju synu Ścibora z Nowego pod Krośniewicami oraz Piotrze nieznanego pochodzenia osadniczego⁶⁾. Może byli oni także krewnymi poprzednich, nic bliższego jednak o nich nie wiemy.

1) PŁ I 6015.

2) Witanowski. Borzysławice Zamkowe.

3) Kłapkowski. Działalność kościelna biskupa Wojciecha Jastrzębca, str. 97 i n.

4) Piotrowski l. c., str. 55, 6.

5) Piotrowski l. c., str. 68, 9.

6) SWS 7; Łęcz. ziem. 4, p. 513, 116, 1178.

17. JEZIERZA

Stwierdzamy istnienie szlachty z rodu Jezierza w czterech wsiach położonych w różnych okolicach województwa. W Słupcy koło Kłodawy dziedziczył Dersław, a drugim znanym przedstawicielem tego rodu był Adam w Rudołtowiu pod Kutnem¹⁾. Wreszcie gniazda Jezierzan znajdujemy w Wielkich i Małych Witkowicach w powiecie brzezińskim. Z osad tych pisali się ziemianie Pełka, Stefan i Wacław²⁾.

18. JUNOSZA

Główna część gniazd tego rodu grupuje się wzdłuż wschodniej ściany województwa. Łańcuch ten zaczynał się od powiatowego Orłowa, u ujścia Ochni do Bzury. Z Orłowa pochodził podkoniuszy, późniejszy kasztelan brzeziński Jakusz, znany Junosza; miał synów Ziemaka, Jana i Dadźboga³⁾. Przypuszczenie ks. Kozierowskiego, iż Dadźbóg z Orłowa był klejnotnikiem Junoszów⁴⁾, dzięki uzyskanej tu informacji źródłowej okazuje się trafne. Prócz Orłowa należały do Jakusza jeszcze inne dobra: wieś Zagaj leżąca nad Bzurą poniżej Łęczycy, dziedzina w Jankowicach w okolicy Piątku oraz w Dobrej i Kiełminie w powiecie brzezińskim, blisko rzeczki Mośczenicy⁵⁾. W Dobrej musiało być więcej klejnotników Junoszów, skoro księgi sądowe przekazały w roku 1396 wiadomość, iż woźny pozwał ze strony szlachty Junosza tych wszystkich, którzy uczynili szkody w Dobrej⁶⁾. Pomieniony Jakusz z Orłowa występował również w sądzie „cum suis participibus de Dobra”⁷⁾. Wiadomo nam, że miał bratanków⁸⁾. W położonych na południe od Orłowa Piaskach, koło Piątku, dziedziczyli Ziemak oraz Paweł podkoniuszy następnie wojski łęczycki, brat jego. Bratem ich był Dadźbóg, późniejszy kasztelan kazimierski. Ziemak z Piasków sprawował urząd miecznika łęczyckiego, a potem wojskiego, pisał się niekiedy z Jankowic, położonych w pobliżu granicznej rzeczki Przysowy. Należały doń opodal Piasków Sułkowice i Marzyce. Wymieniony wyżej Paweł poza wspomnianymi Piaskami dzierżył posiadłość w Garbowie koło Orłowa i w Woźnikach. Dziedziczył również w Łęzkach

1) SWS 10.

2) SWS 10, 13; PW 31.

3) Piotrowski l. c., str. 58.

4) Badania nazw I, str. 313.

5) Piotrowski l. c., str. 78.

6) PŁ II 5323.

7) Łęcz. ziem. 4, p. 1058.

8) Łęcz. ziem. 4, p. 1063.

blisko Woźnik. W Jackowicach współdziedziczył z bratem Ziemakiem i Dadźbogiem. W znaczniejszym odosobnieniu od powyższych włości należały do Junoszków na Piaskach i Jackowicach wsie znajdujące się na północo-wschód od Łęczycy: Sławęcín i Kotkowo¹⁾. Zespół gniazd rodowych zamykają na południe osady: Brunowice, Ujazd i Ojrzanowo. W Brunowicach pod Brzezunami szlachtą spod znaku Junoszków byli ziemianie Bartłomiej i Andrzej. Z Ujazdu nad Piasecznicą, blisko granicznej Pilicy, szlachcic Zbilut naganiony przez sąsiada z Zaosia, Piotra Belinę, zaprzeczył temu, że nie jest szlachcicem i oświadczył, iż należy do klejnotu Junosza²⁾. Ziemianami tego rodu w Ojrzanowie byli Stanisław i Janusz, jego bratanek piszący się również z Sągrodzia³⁾. Powyższe dane o Junoszach na terenie województwa łęczyckiego powiększa jeszcze wiadomość o klejnotniku Junoszy w północnej części dzielnicy łęczyckiej, mianowicie w Krzesinie pod Kutnem, skąd pisał się Mikołaj⁴⁾. Wreszcie w uzupełnieniu powyższych informacji należy zanotować przekazaną przez księgi sądowe waśń, jaka wywiązała się między rodami Junoszków i Łazeków. Z powodu zatargu starosta łęczycki Piotr Szafranec założył w roku 1412 w imieniu króla zakład wysokości tysiąca grzywien między Ziemakiem z Piasków oraz braćmi i ich rodem, a cześnikiem Stanisławem z braćmi wraz z rodem ich Łazęki. Starosta i zebrani licznie dygnitarze nakazali stronom zachowanie rozejmu do czasu przyjazdu króla do Łęczycy⁵⁾.

19. KAMIONA

Członkowie tego rodu są znani w Lisicach i Lesznie; były to osady położone blisko zachodniego biegu Neru. W końcu XIV i na początku XV wieku Kamionowie pozostawali w stanie walki ze szlachtą rodu Luba⁶⁾. Właśnie z tą wróżdą i próbami pojednania zwaśnionych rodów dowiadujemy się o całym gronie Kamiończyków siedzących w Lisicach i Lesznie: są to Dersław z Leszna z synami Andrzejem, Piotrem i Horacym, bracia stryjeczni Jaśko i Wolimir, synowie Racibora z Leszna, dalej bracia rodzeni Andrzej Trun, Jaśko Bąk i Filip oraz Włodzimierz z Lisic. Z Leszna znamy także Sędziwoja⁷⁾. Kamiończykowie z Lisic pozostawali w bliskich

1) Piotrowski l. c., str. 58 oraz 78, 79.

2) SWS 91; PŁ II 3395.

3) PW 24, 25.

4) PŁ II 4205.

5) Łęcz. ziem. 5, f. 224.

6) Pawiński. O pojednaniu w zabójstwie.

7) Pawiński l. c., str. 15 i n.; Łęcz. ziem. 4, p. 1063; SWS 75.

stosunkach pokrewieństwa ze współklejnotnikami z Leszna, np. Dersław z Leszna miał bratanków wśród Kamiończyków w Lisicach¹⁾. Przypuszczalnym klejnotnikiem tego rodu był Florian z Lisic²⁾.

20. KUCZABA

Kuczabitów znajdujemy głównie w północnej części Łęczyckiego, we wsiach koło Krośniewic, a więc przede wszystkim w Bielicach, Iwicznej, Niegłosowie i Szczeglu. Z Bielic znamy Wojciecha i Sławobora, którzy byli służebnikami sędziego Turskiego, brata ich Macieja oraz ziemian Jakóba, Stanisława i Mikołaja³⁾, z Iwicznej zaś Marmicę⁴⁾. Marmicza sprawował czynności komornika w sądzie powiatowym w Orłowie, w roku 1412 został usunięty od tych czynności z nieznanych przyczyn⁵⁾. W sąsiednim Niegłosowie dziedziczyło kilku braci Kuczabitów: Jan, Walkierz, Mikołaj, Bogusław i Piotr⁶⁾. Na północ od powyższej wsi leży osada Szczegle, z której pisał się Mironieg⁷⁾. W Krośniewicach był wójtem współrodowiec Kuczabów Adam, a w niedalekich Starzynach dziedziczył członek tego rodu Klemens⁸⁾. W odosobnieniu od powyższych gniazd rodowych znajduje się wieś Rozdzice, na południe od Łęczycy; występuje stąd Kuczabita nieznanego nam imienia⁹⁾.

21. LIS

Do rodu Lisów należała szlachta ze wsi Koziel leżącej w powiecie brzezińskim nad strumieniem Dzieweczka, mianowicie bracia Stefan, Pełka, Piotr i Mikołaj. Klejnotnicy tego rodu siedzieli również w Sułkowicach koło Piątku, bliżej jednak ziemian tych nie znamy¹⁰⁾.

1) PŁ I 6104.

2) PŁ II 6135.

Może w związku z zawołaniem Kamiona pozostaje osada Kamiona w powiecie orłowskim, między Kutnem i Żychlinem.

3) PZH 39; ŁZH 47; PŁ I 6323; SWS 33; PW 27.

4) PZH 39.

5) Orłow. ziem. 2 a, f. 113.

6) Łęcz. ziem. 4, p. 1000; PŁ I 1612, II 5182; UIC 1343, tu winno być „de Negłosowo“, zamiast „de Negłosowa“, oraz „Cuczaba“, zamiast „Cuczawa“ (Łęcz. ziem. 4, p. 205).

7) PŁ II 6496; SWS 61, 275, tu mylnie oznaczono położenie wsi Szczegle -- w opatowskim (pt. Skorowidz).

8) SWS 61; PW 1.

9) Łęcz. ziem. 6, f. 453.

10) SWS 80.

22. LUBA

Gniazda tego rodu przeważają w powiecie orłowskim, jego północnej części; są to wsie: Jagniątki blisko rzeczki Ochni, koło Żychlina Gumino, Marszewo, Gągolino i niedaleko rzeczki Przyssowy Grzybowo. Z Jagniątek możemy zanotować Jana, z Gumina również szlachcica tego imienia, z Marszewa Mikołaja, a z Gągolina Dersława, w Grzybowie dziedziczył Lubicz imieniem Jakusz¹⁾. Prawdopodobnie w Żychlinie też siedzieli Lubicze: mianowicie „Zichino“²⁾ jest to chyba zepsuta nazwa Żychlina, ponieważ osady o tamtej nazwie nie znamy, a współklejnotnicy Lubów występujący z Janem „de Zichino“ pochodzą właśnie z osad położonych w okolicy Żychlina. Uzupełnienie powyższej grupy już za granicą łączycką w kluczu łowickim stanowiła wieś Bednary, skąd pisał się klejnotnik Lubiczów Mroczek³⁾. W okolicy Łęczycy omawiany ród miał swych przedstawicieli w Kucharach i Jarochowie. Lubiczami w Kucharach byli bracia Mikołaj i Szymon⁴⁾. Współklejnotnikiem ich był tu Wojdyło⁵⁾. Z Jarochowa znamy wielu Lubiczów. Jarochowscy Lubicze pozostawiali w interesujących nas latach w stanie walki z rodem Kamionów z Lisic i Leszna, stąd księgi sądowe przekazały nam znaczniejszą liczbę członków wspomnianych rodów⁶⁾. Znamy więc z Jarochowa Rafała świadczącego na rzecz współrodowca Jana z Gumina. Bratem Rafała był Tomek z Jarochowa; mieli siostry Hankę, Dorotę i Helenę. Wszyscy oni byli dziećmi Aleksego z Jarochowa⁷⁾. Grono tych Lubiczów uzupełniają: Dominik Jarochowski, zabójca Kamieńczyka Włodzimierza z Lisic, brat jego Jan, wreszcie Tomek zw. Albus i Ninota⁸⁾. Do gniazd rodowych Lubiczów należała również wieś Gołygów położona w okolicy Łodzi, z której pochodził szlachcic Wawrzyniec⁹⁾.

Polackówna mylnie zaliczyła do Lubiczów Janka Borowskiego i Dersława z Odolina, świadków Jana z Gumina w procesie o naganę szlachectwa. Wśród sześciu występujących tam stryjców her-

¹⁾ SWS 51; PŁ I 1106, II 366, w ostatniej u Pawińskiego „l.ba“, w oryginale natomiast zamiast kropki u niewyraźnie, jak a; PW 16, 20.

²⁾ PW 20.

³⁾ PW 20, tu oznaczenie położenia Bednar mylne.

⁴⁾ SWS 48.

⁵⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 980; UIC 1341.

⁶⁾ Pt. Kamiona.

⁷⁾ PŁ I 1106; Łęcz. ziem. 4, p. 980.

⁸⁾ Pawiński. O pojednaniu w zabójstwie, str. 15 i n.; PW 17.

⁹⁾ UIC 1341; PŁ II 5326; Łęcz. ziem. 4, p. 270.

bowych byli przedstawiciele trzech różnych rodów (ojca, matki i babki ojczystej), a nie, jak przyjęła Polaczkówna, sami klejnotnicy z rodu ojca, czyli Lubicze⁴⁾. Przynależności rodowej Janka Borowskiego nie znamy, natomiast Dersław z Odolina był stwierdzonym źródłowo Ogończykiem⁵⁾.

23. LUBRZA⁵⁾

Na północny zachód od Łęczycy znajdujemy kompleks osad, w których mieszka szlachta podająca swą przynależność do rodu Lubrza. W Dąbiu pod Łęczycą do Lubrów zaliczał się ziemianin Sławęta⁴⁾. W stronie północnej od tej wsi, w Jackowie i Gościńcu Lubrzami byli: Wojtek, Henryk Cecorka, Bartłomiej, Wiszek, Dersław jego brat, Jan, Przybek, Klemens, Mikołaj Bangerz, Jakusz, Andrzej i Przedbor. W Gościńcu dziedziczyli Paweł i Grzegorz⁵⁾. Na zachód od Dąbia grupę powyższą zamykały osady Zieleniewo i graniczące z nim Borowo. Z Zieleniewa wiemy o trzech klejnotnikach, mianowicie była to szlachta Stasiek, Jakób i Miłek, zaś z Borowa znamy Pawła⁶⁾. W odosobnieniu od tych gniazd, we wschodniej stronie województwa łęczyckiego, koło Piątku leżała wieś Witowo, z której pisał się Jakusz⁷⁾. Ks. Kozierowski uważa także szereg osad w okolicy głównego kompleksu gniazd Lubrów, mianowicie Sówki, Skrzyńki, Wyszki i Zagróbki za siedliska klejnotników tego rodu, dowodów źródłowych jednak brak dla podtrzymania powyższego twierdzenia⁸⁾.

1) Materiały do heraldyki, str. 61.

2) Pt. niżej.

3) Polaczkówna wymienia w województwie łęczyckim członka rodu „Lubowla“ w osobie Klemensa de Czechosław. biorąc przypuszczalnie tę wieś za Czechosławice koło Piątku. W rzeczywistości są to Czechosławice w Małopolsce, powiecie sądeckim, na co wskazuje pochodzenie innych klejnotników świadczących z wymienionym Klemensem w procesie o naganę szlachectwa, szlachta ta bowiem pisała się ze wsi okolicznych powyższego powiatu (Materiały do heraldyki, nr. 72; Star. Prawa Pol. Pomniki VIII 6193). Lubowlitów w Łęczyckim nie znajdujemy.

4) PZH 40; ŁZH 47.

5) PZH 40; SWS 23, 134, 274; PŁ I 906, II 4205. Błędnie odczytano nazwę rodu, mianowicie Lubcza, zamiast Lubrza w PZH 40 oraz PŁ II 4205, natomiast dobrze odczytał powyższą nazwę Łąguna (ŁZH 17). Mylne odczytanie nazwy powyższego rodu pociągnęło za sobą błędne komentarze heraldyczne. St. Dziadulewicz w artykule „Kilka słów o herbie Lubcza“ zaliczył do „rodu Lubcza“ wielu Lubrów, uważając brzmienie „Lubrza“ w zapiskach Łąguny za omyłkę drukarską; niezbędna tu autopsja paleograficzna wyjaśnia sprawę. Błąd powyższy jest tym jaskrawszy, że wsie wymienione u Dziadulewicza należą do zwartego kompleksu osad zasiedlonych przez Lubrów.

6) SWS 274; PŁ II 5049.

7) ŁZH 47.

8) Badania I, str. 143.

Polackówna mylnie włączyła do Lubrzów¹⁾ Paska Woźnickiego, Mikołaja z Krzesina, Mikołaja Lubrańskiego i Aleksego z Jarochowa²⁾. Ziemianie ci należeli do innych rodów: więc Pasek Woźnicki i Mikołaj z Krzesina do rodu Junoszków, a Mikołaj Lubrański i Aleksy z Jarochowa do Lubiczów³⁾.

24. ŁAZĘKI

Ród ten był znacznie rozrodzony w ziemi łęczyckiej. Znamy szereg osad, w których siedzieli Łazękowie. Poczynając od północy, spotykamy ich klejnotnika Jana w Gościnie pod Kutnem, następnie w Miroszewicach, wsi leżącej w okolicach Łęczycy, Świąszka⁴⁾. Niedaleko, ku wschodowi, Gołocice były dziedziną Łazęki Jana, a Oraczewice Sieciecha⁵⁾. Ku południowi, poza Łęczycą, w Kozubach mieszkała także szlachta tego rodu, nie posiadamy jednak imiennych co do tego danych⁶⁾. Przesuwając się w kierunku południowym, znajdujemy trzy nowe gniazda: Leźnicę, Gębice nad Bzurą i na wschód od nich Modlną. Z Leźnicy pisał się Dziewierz, a Gębice należały do podkoniuszego Bogusza i brata jego Bolesty. Bogusz miał jeszcze, jak wskazują wzmianki źródłowe, inne dziedziny w okolicy Gębic, w Solcy Wielkiej i Parzęczewie⁷⁾. Modlna stanowiła włość łowczego wielkiego łęczyckiego Mściśława. W okolicy Modlnej należały doń także Circhowo i Śladkowo, a na północ od Łęczycy Mikołajewice i Siemszyce (względnie Łąka)⁸⁾. W południowej części powiatu łęczyckiego znajdowało się gniazdo Łazęków Sarnowo. Ze wsi tej pisał się podśędek następnie sędzia ziemski łęczycki Prandota. Miał synów Andrzeja późniejszego miecznika poczem podśędka łęczyckiego, występującego w materiałach jako Andrzej z Wróblewa, wsi koło Łęczycy, oraz Jana i Stanisława. W zachodniej stronie od Sarnowa, w pobliżu Neru, należały do tej rodziny wsie Swarowa i koło Wróblewa Borszyn⁹⁾. W powiecie orłowskim nad Mrogą, tuż na granicy łęczycko-rawskiej, leżały Bielawy, siedziba cześnika łęczyckiego Stanisława. Bracia jego Dersław i Wojciech, scholastyk łę-

¹⁾ U Polackówny — „Lubczów“.

²⁾ Materiały, str. 61, analogicznie, jak w związku z rodem Luba (pt.).

³⁾ Pt. wyżej.

⁴⁾ Łęcz. ziem. 5, f. 45; 6, f. 88; SWS 20.

⁵⁾ SWS 63, 64.

⁶⁾ PŁ I 940.

⁷⁾ Piotrowski. Dostojnicy, str. 57, 74.

⁸⁾ L. c., str. 57, 74.

⁹⁾ L. c., str. 56, 74, 97 (prz. 60).

czycki, również pisali się z Bielaw. W sąsiedztwie znajdowała się druga dziedzina cześnika Szeligi, a w okolicy — Brzozowo, Przewiska, Borowo Wielkie i Małe, Waliszewo, Dobiesławice. W Brzozowie oraz w Krzyszkowie nad Moszczenicą dziedziczył scholastyk Wojciech. Koło Piątku należały do Bielawskich wsie: Nieśmierz, Łubnica i Janowice. Dalszy ciąg posiadłości Bielawskich stanowiła grupa osad w okolicy Brzezin: Pszanowice, Witkowice, Bilanów, Żakowice, Brunowice, Koluszki, Byszewy, Małczew, Paprotna i Stawki. Trzecią grupę tworzyły osady koło Łęczycy: Witaliszewice, Michałowice, Bogdanczewo, Szamowo. Z dala od powyższej grupy włości Bielawskich znajdowały się w północnej stronie województwa wsie: Turzynowo i Krzewie. Wreszcie w górnym biegu Bzury należały do Bielawskich Brzuzica i Sokołowo¹⁾. Synowie cześnika, Wszebor, Stefan, Maciej i Derśław dokonali w roku 1420 podziału dóbr ojcowskich; akt dzielczy wymienia dobra panów na Bielawach znane nam z innych danych źródłowych²⁾. Na południe od Bielaw, już w powiecie brzezińskim, w Domaradzynie siedział klejnotnik Łazęków Paweł, późniejszy podkoniuszy, dziedzicząc tam z bratem Pęcławem. Tenże Paweł pisał się również z Boczków i Popowa³⁾. W Strykowie nad Moszczenicą siedział skarbnik późniejszy podsędek Derśław. Zapiski sądowe wspominają też o bratankach Derśława⁴⁾. Po śmierci podsędka Derśława w roku 1406 synowie jego Mikołaj, Michał i Pietrasz dokonali podziału dóbr ojcowskich między sobą i matką ich Krzystką. Z aktu dzielczego dowiadujemy się, iż do podsędka należały poza wymienionym Strykowem następujące dziedziny w województwie łęczyckim: Rokitnica pod Strykowem, Parzyce i Ostrów nad Bzurą powyżej Łęczycy oraz Wawrzyczewice i Sekuły w powiecie brzezińskim⁵⁾. Syn Derśława Pietrasz, sprawujący później szereg godności ziemskich w województwie łęczyckim, piszący się stale ze Strykowa, rozwinął w drugim ćwierćwieczu XV stulecia szeroką akcję osadniczą i gospodarczą, zwłaszcza w powiecie brzezińskim, zwiększając znacznie swój stan posiadania⁶⁾. Znamy jeszcze dwa gniazda Łazęków: Pszanowice pod Brzezinami, z których pochodził Mikołaj Stojanka, oraz Bilanów, skąd pisał się Włóścibor; dziedziczył on również w Pszanowicach⁷⁾.

1) L. c., str. 56, 72/4.

2) Łęcz. ziem. 6, f. 542, 546 v.

3) L. c., str. 75.

4) Łęcz. ziem. 4, p. 913.

5) Łęcz. ziem. 4, p. 1124.

6) Piotrowski l. c., str. 56/7 i 69/72.

7) PZH 88, 96.

25. ŁODZIA

O rodzie Łodziów nie słyzy się w Łęczyckim, średniowiecznego ich osadnictwa w tej dzielnicy nie można stwierdzić źródłowo¹⁾. W roku 1393 mieli sprawę w sądzie ziemskim w Łęczycy Jan i Mikołaj z Bnina, w województwie poznańskim, herbu Łodzia²⁾. Czy łączyły ich bliższe stosunki terytorialne z naszą dzielnicą, nie wiemy. Bardzo niepewne jest, czy od Bernarda z Powodowa pod Łęczycą pochodziła późniejsza rodzina Powodowskich herbu Łodzia, o której wiemy ze źródeł XVI wieku³⁾.

26. NAGODY — JELITA

Nagodziców znajdujemy w Łęczyckim głównie wzdłuż granicy kujawsko-mazowieckiej oraz w zachodniej części województwa, nad granicą województwa sieradzkiego, co zauważył już Semkowicz⁴⁾. Na wschód od Łęczycy w parafii Góra leży wieś Gaj, a dalej w kierunku północno-wschodnim, w powiecie orłowskim, Plecka Dąbrowa. Obie te osady zostały nadane przez Władysława Jagiełłę Jelitzcykowi Tomaszowi z Węgleszyna⁵⁾. Następnie wsie te należą do Klemensa kasztelana kazimierskiego, piszącego się z Chodowa nad granicą kujawską. Klemens miał synów Stanisława, podłowczego następnie łowczego wielkiego łęczyckiego, Mikołaja zwanego Człowiec oraz Macieja, piszącego się również z Chodowa, niekiedy z Pełczysk. Prócz wymienionych dziedzin należały do Jelitzcyków z Chodowa inne jeszcze osady w północnej części województwa, a więc Kaleń, Niwki, Dzierzbice i Straszkowo. Dalszy ciąg tych dóbr znajdował się, jak wskazują wzmianki w zapiskach łęczyckich, poza granicą tego województwa na terenie Kujaw. Wreszcie wiemy jeszcze o osadach tejże rodziny nad Nerem i Bzurą, mianowicie o wsiach Pełczyska i Ostrowy⁶⁾. Parę gniazd Nagodziców znajdujemy w powiecie orłowskim: w Zakrzewie koło Soboty siedział ziemianin Jan, zaś na południu, nad Mrogą, w Goćlawicach dziedziczył Przeclaw. Za granicą województwa łęczyckiego, już na terenie rawskim, zapiski łęczyckie podają gniazdo Nagodziców w Ostoji, skąd występował współklejnotnik Dziewierz, nakoniec

1) Pt. także: Halecki. Ród Łodziów w wiekach średnich.

2) PŁ I 2992; Halecki l. c.; M. H. V, 49.

3) PŁ I 54, 6237, II 3615; UM 383, 395; Halecki l. c., str. 113.

4) Uwagi metodyczne-krytyczne, str. 74.

5) Wierzbowski. Summaria IV, 3, suppl. 335.

6) Piotrowski. l. c., str. 58 i 79/80.

mamy do zanotowania Nagodzica, który jako mieszczanin siedział w Piątku nad Moszczenicą, był to Piotr zw. Kuczeński¹⁾.

27. NAŁĘCZ

Pewnych Nałęczów znajdujemy we wsi Małe i w Malicach. Wieś Małe jest położona na granicy z województwem sieradzkim, nad Nerem. Nałęczem stąd był Wojciech, podkomorzy następnie kasztelan a wreszcie wojewoda łęczycki; współdziedziczył tam z braćmi Wincentym i Mikołajem, kanonikiem wieluńskim²⁾. Z Malic pod Zgierzem znamy dwóch Nałęczów, Jakusza oraz drugiego współrodowca o nieustalonym imieniu³⁾. Ks. Kozierowski zalicza także do Nałęczów szlachcica Pełkę z Wilkowic⁴⁾, który wraz z Pełką z Odęchowa świadczy w procesie o naganę szlachectwa w drugiej parze klejnotników; herb tych ostatnich nie jest tu podany⁵⁾. Według Paprockiego Pełka należy do rodu Grzymałów⁶⁾.

28. NIAŁKI

Wielkopolski ród Jeleni-Niałków-Brochwiczów⁷⁾ musiał być słabo reprezentowany na obszarze województwa łęczyckiego, jedno bowiem tylko gniazdo tego rodu przekazują nam materiały źródłowe. Gniazdem tym jest wieś Tymienica nad Bzurą, pisał się z niej Maciej z bratem Wojciechem⁸⁾.

29. NOWINA

We wschodniej i południowej części województwa łęczyckiego szlachta wielu wsi wywodziła się z rodu Nowinów. Najbardziej na północ wysuniętym znanym nam gniazdem Nowinów była wieś Konarzewo pod Piątkiem. Z osady tej znamy dwóch klejnotników Mikołaja i Wojciecha⁹⁾. Ku południowi, już w powiecie brzezińskim, we wsi Glinnik był Nowiną szlachcic Wojciech¹⁰⁾. Może Wojciech ten pochodził z Glinnika położonego blisko granicy rawskiej, nie mogłem tego ustalić. Na południo-wschodzie

1) PW 17, 22; SWS 78.

2) Piotrowski. Dostojnicy, str. 60, 83.

3) SWS 36: „Jacussii et Bo. de Malicze“. Zapiski tej nie znalazłem w łącz. ziem. 6, karty 399 nie ma, jako też i zapisek z drugiej połowy r. 1416.

4) Badania I, str. 304.

5) SWS 10; PW 2.

6) SWS str. 3, prz. 2.

7) Kozierowski. Ród Jeleni-Niałków-Brochwiczów.

8) PW 10; SWS 15.

9) SWS 78.

10) UIC 1580; Kod. dypl. Pol. I, str. 296.

od Glinnika, ze Skoszew pisali się Abram i Paszko Budziejowski¹⁾. Nazwisko tego ostatniego wskazuje na związek ze wsią Budziejowice a. Budzinowice a. Budziwojewice położoną niegdyś pod Skoszewami, dziś nie istniejącą. Osada ta niewątpliwie stanowiła gniazdo Nowinów. Wymieniony Abram ze Skoszew był prawdopodobnie także dziedzicem w sąsiednich Byszewach²⁾. W Stawkach pod Brzezunami znajdujemy Nowińczyka Borzka, a w Bilanowie Mikołaja zwanego Bykiem³⁾. Na granicy z województwem rawskim, nad Mroga, osada Brunowice tworzyła gniazdo licznych Nowinów; klejnotnikami tego rodu byli: Marcin, Staśko Babicz, Andrzej, Mikołaj i Jan Babicze⁴⁾. Może bratem Mikołaja Babicza był Maciej⁵⁾. Mikołaj i Jan Babicze mieli prawdopodobnie działki także w Koluszkach pod Brzezunami, gdzie siedzieli też Nowinowie Adam i Dobiesław⁶⁾. Do powyższego grona Nowińczyków należy dodać Adamka Janikowskiego⁷⁾. Nie mamy żadnych wskazówek, z którego Jankowa pochodził Adam, może tu wchodzić w rachubę Janków położony koło Piątku oraz Janków na południowym krańcu gniazd Nowinów, w parafii Budziszewice. Ks. Kozierowski wyraża przypuszczenie, że Adamek pochodził z Jankowa pod Budziszewicami⁸⁾. Tenże autor widzi wśród szlachty licznie mieszkającej w powyższych wsiach jeszcze innych klejnotników rodu Nowina. Także uważa za gniazda tego rodu osady: Prądzewo, Pilchy i Barchówkę. Twierdzenia te nie mają jednak dostatecznych podstaw źródłowych, pomijam je też w niniejszym zestawieniu⁹⁾. Widzimy z powyższego, iż gniazda Nowinów ziemi łęczyckiej grupują się licznie w powiecie brzezińskim, przeważnie w okolicy Brzezina. Skupienie to jest bardzo wyraźne. Nowinowie musieli tu mieć dużą tradycję osadniczą.

30. ODROWĄŻ

Nie znamy w naszej dzielnicy szlachty, która wywodziłaby się z rodu Odrowążów. Górski w monografii tego rodu wiąże klejnotnika Odrowążów Strasza z Kościelnik i Odrowąża z województwa sieradzkiego ze wsią Dobieszkowo pod Brzezunami, o którą

1) PŁ I 3382.

2) PŁ II 2902.

3) PZH 88; PŁ II 4240, I 2082.

4) UIC 1580; PŁ II 1998, 3438, 4240.

5) PŁ II 3462.

6) KZH I 8; PŁ II 2330, 2386.

7) PŁ I 3382.

8) Ród Nowinów, str. 58, 59.

9) L. c. str. 55, 58.

Strasz procesował się w sądzie ziemskim w Łęczycy z Dobiesławem i Nieczują. Była to może wieś świeżo kupiona, albo majątek żony lub matki¹⁾. Poza tym posiadłości Odrowążów w Łęczycy nie znamy.

31. OGONY

Osadnictwo Ogończyków sprowadza się głównie do północnej części województwa. Gniazda ich ciągną się od zachodu, od rzeczki Rgilewki, ku wschodowi w kierunku granicy rawskiej. Łańcuch ten rozpoczynają Borzysławice nad Rgilewką, gdzie znajdujemy Ogończyka Piotra²⁾. Na południe stąd, koło Dąbia nad Nerem, w Wiesiołowie siedzi ziemianin Mikołaj³⁾. W kierunku wschodnim wieś Grabowo stanowi dziedzictwo podczaszego łęczyckiego Trojana, późniejszego stolnika, oraz synów jego Dadźboga i Mikołaja, sprawujących następnie szereg urzędów ziemskich. Do Trojana należały także wsie: Kadzidłowa i Kurzejamy, Biesiekierz, Srebrna, Byszewo, Smarszewo, Dębowice, Bowętowo, Chorki, Lipno, Srebrna, Ostrowo, Byszewo, Goraj, Umienie, Olszówka i Biała Góra; wszystkie te osady były położone w okolicy pomienionego Grabowa. Poza powyższym kompleksem dóbr mieli Grabowscy wsie rozrzucone na terenie województwa, jako to: Podczachy nad północną granicą łęczycką, koło rzeczki Ochni, Oraczewice na wschód od głównej grupy wsi wyżej wymienionych i Moskale w powiecie brzezińskim⁴⁾. Na północno-wschodzie od Grabowa leżą dwa gniazda Ogończyków, Miroszewice i Jankowice. Z Miroszewic znamy Stanisława, a z Jankowic szereg klejnotników omawianego rodu, mianowicie Michała i syna jego Jaśka, Trojana oraz braci Pakosława i Przedwoja⁵⁾. Pakosław i Przedwój mieli więcej rodzeństwa, imion ich nie znamy⁶⁾. Możliwe, że Ogończykiem był również Wojciech z Jankowic, świadczący na rzecz naganionego Pawła z Gościna⁷⁾. Niedaleko od Jankowic, we wschodniej stronie położone wsie Szubsko i Wroczyń należały do Ogończyków Mikołaja i Pietrasza⁸⁾. W powiecie orłowskim znajdujemy członków naszego rodu w Kręcieszkach i pobliskim Odolinie. Z Kręcieszek mamy

1) Ród Odrowążów w wiekach średnich, str. 55; PŁ I 1960.

2) SWS 51; PZH 39; ŁZH 50; PW 19.

3) ŁZH 50; SWS 63; PŁ II 6262.

4) Piotrowski. Dostojnicy, str. 59, 81.

5) PW 7; SWS 61; PŁ I 5528, II 5049; Łęcz. ziem. 5, f. 152.

6) PŁ I 5711.

7) PŁ I 906.

8) PW 7, 19; SWS 34, 51, 89.

do zanotowania ziemianina Mikołaja, a z Odolina Derśława z synem Sulisławem oraz Świątosławem¹⁾. Z dala od gniazd powyższych, leżących przeważnie wzdłuż północnej części województwa, znajdowały się Idzikowice na południe od Łęczycy, skąd pochodził Ogończyk Jakusz²⁾. W Sobiesławicach, wsi nieznanego położenia w ziemi łęczyckiej, dziedziczył Dobiesław³⁾.

32. ORLA

Boczki pod Waliszewem⁴⁾ lub pod Łęczycą⁵⁾ są siedzibą szlachty z rodu Orlów. Jan, szlachcic z tej wsi, naganiony miał dowieść, że jest herbu Orla; dowiódł tego dokumentem Kazimierza Wielkiego⁶⁾. Imię Orlów, Olbieg, spotykamy w Sekulach pod Brzezunami⁷⁾. Również klejnotników tego rodu znajdujemy w Dąbrowce w osobach Jaśka i Mikołaja; ponieważ osad tej nazwy jest wiele, nie wiemy z krótkiej informacji źródłowej, która Dąbrowka stanowiła gniazdo Orlów⁸⁾.

33. OSORIA

Wiemy jedynie o jednym gnieździe Osoriów, znajdującym się na południowym krańcu województwa, była nim wieś Bogusławice nad Wolborką. Z gniazda tego pisał się Borzysław z synami Janem i Przybisławem⁹⁾.

34. PILAWA

Nie znamy w województwie łęczyckim gniazd rodu Pilawa poza wsią Chorki położoną pod Łęczycą, której dziedzicem był Pilawita Świątosław, starosta łowicki¹⁰⁾. Mamy jeszcze wiadomość o Pilawitach w Dąbrowie, nie wiemy jednak czy gniazdo to znajdowało się na terenie łęczyckiego czy też sieradzkiego województwa. Z tej Dąbrowy pochodził Adam Schewiga¹¹⁾.

1) SWS 27; PŁ II 765, 846, 1782.

2) PŁ II 846.

3) SWS 63, 64.

4) SWS 275.

5) Kozierowski. Badania I, str. 25.

6) SWS 9, 11.

7) PŁ II 3079; Kozierowski. Ród Szaszorów, str. 31.

8) PW 22.

9) PZH 64; PŁ II 2033.

10) SWS 71, tu mylnie — łomżyński.

11) PZH 35, 56; Piekosiński. Nieznane zapiski heraldyczne z ksiąg wiślickich, 12; SWS 65, tu winno być: „Adam Schewiga de Dambrowa iurare debet“ zamiast: „Adam Schewiga Jurant de Dambrowka“.

35. POBÓG

Wiemy o czterech osadach zasiedlonych przez Pobożan. Wsie te rozrzucone są w północnej części ziemi łączyckiej. Koło Piątku, w Górkach, siedział klejnotnik tego rodu Jan, w Prusinowicach nad Nerem dziedziczył Piotr¹⁾. Osada Domanikowo, położona między Kłodawą a Krośniewicami, należała do współklejnotników Pawła, Mirosława i Dobka²⁾. W czwartym gnieździe Pobogów, Sławoszewie na północy od Łęczycy, dziedziczył ziemianin Wojciech³⁾.

36. PORAJ-RÓŻA

Dla stwierdzenia Porajów na terenie województwa łączyckiego nie mamy żadnych pewnych danych. Według ks. Kozierowskiego wieś Rozdżice pod Łęczycą zdaje się wskazywać na związek rodu Porajów z naszym terytorium⁴⁾. Najstarsze wiadomości źródłowe, z ksiąg sądowych z końca XIV wieku, nic nie mówią o Porajach-Różycach w powyższej osadzie, natomiast wykazują, że siedzą tam Sulimczykowie. Łączenie herbu Róża z Rozdżicami byłoby mylne, nazwa tej wsi nie pochodzi bowiem od Róży; w średniowiecznych zapiskach sądowych zawsze ona brzmi „Rozdżice“, „Rosdżice“, „Rozdżicze“, „Rosdżicze“, dopiero w czasach nowożytnych uległa fonetycznemu przekształceniu na „Rożyce“, „Różyce“. Nazwa pierwotna powyższej wsi pochodzić ma zdaniem ks. Kozierowskiego i Taylora od jej założyciela⁵⁾. W rzeczy samej pochodzi od różgi⁶⁾. Ks. Kozierowski wymienia szereg wsi i osób, mających należeć do Porajów, są to jednak przypuszczenia bez dostatecznych podstaw źródłowych⁷⁾.

37. POWABA

Znamy jedno gniazdo tego rodu, mianowicie Besk pod Łęczycą koło Grabowa, stąd pochodzili klejnotnicy Powabów Jakób i Mścisław⁸⁾.

38. PRAWDA

Prawdżice występują w Kaszewach i Dąbiu. Z Kaszew koło Kutna pisał się skarbnik płocki Sieciech z synami oraz brat jego

¹⁾ SWS 91.

²⁾ PZH 40; Piekosiński. Zapiski sąd. woj. sandomier. 684; PŁ II 4209, 6658.

³⁾ PZH 40; Piekosiński l. c., 684.

⁴⁾ Ród Porajów-Różyców, str. 57.

⁵⁾ Ks. Kozierowski. Bad. n. top. na obsz. d. wsch. Wlkp. II, str. 78; Taylor. Początki Rożyckich, str. 135.

⁶⁾ Linde. Słownik języka pol. V, 87; Karłowicz. Słownik języka pol. V, 599.

⁷⁾ L. c., str. 57 i n.

⁸⁾ SWS 279.

Stanisław. Do skarbnika należała także wieś Dąbie pod Łęczycą¹⁾. Z pomienionych Kaszew znamy jeszcze współcześnie z Sieciechem ziemian Andrzeja i Sasina, a w trzecim dziesiątku XV stulecia — Lelka, Dobiesława i Wojciecha²⁾. Byli oni może synami skarbnika Sieciecha. Jako przypuszczalne gniazdo Prawdziców można jeszcze podać wieś Buszkowo nad Słudwią koło Żychlina, dziedziczył tu Mikołaj³⁾. Zapiski sądowe podają też drugiego Sasina, z Bielaw nad Mrogą; czy należał do Prawdziców, nie wiemy⁴⁾.

39. PRUS

Poznaliśmy tylko jedno pewne gniazdo Prusów w województwie łęczyckim, mianowicie wieś Szamowo, położoną w północnej stronie od Łęczycy. Do Prusów z tej wsi należy szlachta: Stanisław, Urban, Andrzej i Pietrasz⁵⁾. W roku 1398 przed starostą łęczyckim toczyła się sprawa o naganę szlachectwa Jakóba z Szolayd, wsi położonej między Kłodawą i Krośniewicami. Jakób zapytany, jakiego jest herbu, nie umiał określić znaku herbowego, lecz powiedział, że należy do zawołania „Waga”⁶⁾. Piekosiński łączy tę proklamę z Prusami, natomiast Dziadulewicz uważa Wagę za odrębne ugrupowanie rodowe, które wskutek podobieństwa jego znaku herbowego z Prusem weszło z biegiem czasu do tegoż rodu⁷⁾. Według Semkowicza również Dersław z Sierpowa był klejnotnikiem Prusów⁸⁾.

40. PRZOSNA

Ród Przosnów wybitnie związany z Wielkopolską posiada w naszej dzielnicy swego przedstawiciela w osobie Jaśka i syna jego z Charbic nad Nerem, pod Kazimierzem⁹⁾. Zapiski sądowe wymieniają również jakiegoś Przosnę, może tego samego, w procesie z Janem i Krystynem z Gościna¹⁰⁾. W roku 1405 przed sądem ziemskim w Łęczycy toczyła się sprawa o główuszczynę między Sędziwojem Przosną, a Mikołajem z Kołoszyna¹¹⁾. Skąd pisał się ów Sędziwój, nie wiemy, czy był on ziemianinem łęczyckim, czy pochodził z innych okolic, a do Łęczycy sprowadziła go powyższa sprawa.

1) SWS 5, 12; Łęcz. ziem. 4, p. 1295; PŁ II 5840.

2) SWS 5, 279.

3) KW V 349.

4) Łęcz. ziem. 4, p. 1063.

5) SWS 8.

6) PŁ II 5763.

7) Piekosiński. Heraldyka, str. 135; Dziadulewicz. Herby Waga i Wiskała, str. 91.

8) SWS 8 oraz str. 318.

9) Kozierowski. Ród Przosnów, str. 37; Łęcz. ziem. 4, p. 604, 996; PŁ I 5553.

10) Łęcz. ziem. 4, p. 575.

11) Łęcz. ziem. 4, p. 935.

41. RAWA

Wiemy o dwóch gniazdach Rawiczów, którymi były wsie: Bowętowo pod Grabowem i Pieskowice pod Zgierzem. W Bowętowie należeli do Rawiczów Rafał, Wetrzych, Mikołaj i Jan zwany Żak, zaś w Pieskowicach Jan¹⁾. Nie wyjaśnionym pozostaje świadczenie Szczedrzyka z Wałów w procesie Pawła z Domanikowa, naganionego w szlachectwie, razem z powyższym Wetrzychem z Bowętowa²⁾. Szczedrzyk z Wałów był stwierdzonym Awdańcem³⁾, to też niezrozumiałe jest jego świadczenie z herbu Rawa. Przypuszczenie fałszywego świadczenia z braku innego Rawicza jest trudne do przyjęcia, gdyż w Bowętowie, z której to wsi występuje Wetrzych w jednej parze ze Szczedrzykiem, znajdował się drugi klejnotnik Rawiczów, Rafał. Inny Rafał, szlachcic tegoż rodu, pisał się z Jankowic; nie wiadomo, które to były Jankowice, w województwie łęczyckim czy sieradzkim⁴⁾.

42. ROGALA

Rogalitów spotykamy wśród szlachty łęczyckiej w kilku wsiach w różnych okolicach województwa. Ze wsi Czarnocin koło Wolborki, nad granicą sieradzką, występował Mikołaj Kwaszenina kanonik łęczycki⁵⁾. Białkowski twierdzi, iż była to prebenda, bo w roku 1552 Czarnocin należał jednak do biskupa kujawskiego⁶⁾. W Dobieszkowie pod Brzezunami dziedziczył w początkach XV wieku klejnotnik Rogalów nieznanego imienia. Pod Łęczycą gniazdo powyższego rodu stanowiła wieś Kozuby, której dziedzic Jakób wywodzi swe szlachectwo z herbu Rogala⁷⁾. Zapiski sądowe notują również Rogalitów w powiecie orłowskim, gdzie osada Waliszewo była ich gniazdem, imiennie jednak klejnotników stamtąd nie znamy⁸⁾. Wiadomości ogólnych, bezimiennych o Rogalach mamy jeszcze więcej w naszym czasie, a więc we wsi Mięsasosna niedaleko Mrogi, mieszkali Rogalicy, dalej występuje w zapiskach sądowych Świętosław Rogala nieznaney przynależności osadniczej, wreszcie czytamy o jakimś Rogali bliżej nieokreślonym⁹⁾. Nie mamy nawet

¹⁾ PZH 40; SWS 23, 75.

²⁾ Qui de clipeo gerunt iursum et domicellam in urso et proclamacione Rawa (Radom. ziem. 2, f. 93).

³⁾ Pt. wyżej.

⁴⁾ PZH 37.

⁵⁾ UIC 106.

⁶⁾ Ród Czamborów-Rogalów, str. 90.

⁷⁾ Łęcz. ziem. 5, f. 43, 76; ŁZH 57.

⁸⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 971, 1108, 1146.

⁹⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 708, 791, 802, 996; PŁ I 1018.

pewności przy tak lakonicznych informacjach, czy była to szlachta, znalazłem bowiem w zapiskach sądowych kmiecia zwanego Rogala ze wsi Biesiekierz¹⁾.

43. ROLA

Ród Rolów miał gniazda swe w Łęczyckim we wszystkich trzech powiatach. Największa ilość tych gniazd przypada na powiaty orłowski i łęczycki. W kierunku północnym od Łęczycy, w Gawronach, siedzieli Rolicze Bartosz, Pełka oraz Jan, stryj Pełki²⁾. W okolicy Gawron w Pruskowicach dziedziczyli Stanisław i Mikołaj³⁾. Na północy, w Wargawie, spotykamy Przybisława⁴⁾. Z Parzęczewa nad rzeczką Gnidą pisał się wojski łęczycki Wojciech. Synami wojskiego byli Wojciech i Pełka, pierwszy z nich piastował godności ziemskie. Prócz Parzęczewa należały do nich wsie sąsiednie Łężki i Woźniki. Powyższe dobra rozszerzyli przez kupno obok leżących Śliwnik i Wytrzeszczek. Dalej, nad Nerem mieli Parzęczewscy Wilkowice, a nad Bzurą pod Łęczycą — Ostrów. Poza tym jeszcze należały do nich dobra na północ od Łęczycy: Kuchary nad Bzurą, Gładzanowo i Zieleniewo. Przypuszczalnie bratem wojskiego Wojciecha był chorąży mniejszy łęczycki Mikołaj z Parzęczewa; dziedziczył on także w powyższych Kucharach⁵⁾. Koło Piątku, nad Moszczenicą, gniazdem Rolów była wieś Piekary; dziedziczył w niej Jan, podkoniuszy łęczycki, późniejszy podłowczy. Do Jana z Piekar należały również Witunia, Wieprzki i Kuchary⁶⁾. Drugą grupę osad zasiedlonych przez Roliczów znajdujemy w północnej części województwa orłowskiego. Z Łąkoszyna pod Kutnem pisał się kasztelan łęczycki Jan, współdziedziczył tam z bratem swym Stefanem. Uzupełnieniem ich dóbr były wsie: Nowy Łąkoszyn, Nowa Wieś koło Łąkoszyna i Gnojno, a ku wschodowi, już w orłowskim powiecie, Bedlno, Sbiewiec, Kaszewy, Grądy, Piaski, Kamieniec, Plecka Dąbrowa, Ostrów, Pniewo, Małecka Wola, Śleszyn, Małcz i Pęclawice. Wreszcie mieli jeszcze panowie z Łąkoszyna włości koło Łęczycy, we wsi Siedlec i w Wąglczewie⁷⁾. W pobliskich Łąkoszynowi Kłóskach Roliczem był Wincenty, naganiony przez Gąska z Gąsiorowa. Gąsek, gdy sprawa

1) Łęcz. ziem. 4, p. 577.

2) SWS 48; PŁ II 3561, 3689.

3) PŁ II 6617, 6618; Milewski I. Kapica. Herbarz, str. 97.

4) SWS 279.

5) Piotrowski. Dostojnicy, str. 57, 76.

6) Piotrowski l. c., str. 58, 77.

7) L. c., str. 57, 75/6.

oparła się o sąd grodzki, cofnął zarzut i oświadczył, że wie, iż Wincenty jest klejnotnikiem Rolów¹⁾. Sąsiadem Wincentego był jego współrodowiec Mikołaj z Dobni²⁾. W okolicy Żychlina znamy jeszcze dwa gniazda Roliczów, Tarnowo i Grądy. W Tarnowie siedział Marcin, a o sąsiednie Grądy procesował się z Mikołajem zwanym Kutą kasztelan łęczycki Jan³⁾. Z samego Żychlina pisał się chorąży większy łęczycki Klemens; znamy syna jego Jana. Prócz Żychlina miał Klemens działki w okolicznych osadach, mianowicie w Dobrzelinie, Pleckiej Dąbrowie i Kurowie. Z dala od powyższych dóbr chorążego leżała wieś Sokołowo nad górną Bzurą⁴⁾. W powiecie brzezińskim w posiadaniu Roliczów były: Zgierz nad górną Bzurą, Swędowo nad Moszczenicą, Ziwanice oraz Boczki nad Mrogą, w których dziedziczył skarbnik łęczycki Zbrostaw⁵⁾. Ostatnio Taylor w drodze drobiazgowych dociekań genealogicznych doszedł do wniosku, iż z końcem XIV w. protoplastą Roliczów-Rożyckich był Giedka ze Skoszew nad Moszczenicą, dziedziczący również w sąsiednich Giedczycach⁶⁾.

44. SŁUBICA

W roku 1403 dziedzic Łubnicy, wsi przypuszczalnie położonej w Łęczyckim koło Piątku, Tral świadczył z herbu Słubica⁷⁾. Jest to jedyna wiadomość jaką mamy tu o tym rodzie. Piekosiński uważa Słubicę za identyczną z Prusem, podczas gdy Dziadulewicz wyodrębnia ją: miałaby ona pod wpływem wzrastającego w znaczenie rodu Prusów, jak również ze względu na podobieństwo tematów herbowych przejść do h. Prus⁸⁾.

45. SULIMA

W ogólnym obrazie rozsiedlenia rodowego Sulimów główną część tego rodu w dzielnicy łęczyckiej stanowiła gałąź Sulimczyków z Oporowa, osady położonej nad Ochnią. Stąd pisał się Sulimczyk Mikołaj, który przez szereg urzędów ziemskich doszedł do godności wojewody łęczyckiego. Z żony Krystyny miał sześciu synów: Stefana, Władysława, Jana, Bogusława, Mikołaja i Piotra. Synowie

1) PŁ II 5931.

2) SWS 279

3) SWS 89; PŁ II 1108, 6152.

4) Piotrowski l. c., str. 58, 77.

5) ŁZH 54; Piotrowski l. c., str. 77.

6) Rolicze z Trojanowych Rożyc Rożyccy, str. 4 i n.

7) ŁZH 21 a.

8) Piekosiński. Heraldyka, str. 135; Dziadulewicz. Herb Słubica, str. 90.

ci piastowali różne urzędy w hierarchii ziemskiej, Władysław poświęcił się karierze kościelnej, został arcybiskupem gnieźnieńskim. Oporowo było centralną włością tej rodziny, ze wsi tej pisali się przeważnie wymienieni. Mikołaj (wojewoda) współdziedziczył tam ze stryjem Bogusławem scholastykiem oraz w sąsiednich wsiach Dobrzejewie i Cząstkowie. Te zostały następnie podzielone na rzecz Helżki, siostry Mikołaja. Dokoła Oporowa leżały inne włości Oporowskich: na południu Drzewoszewice, na północy Kurowo, a na wschodzie Jastrzębia. Nad Ochnią dziedziczyli w Pawłowicach. Poza dobrami nabytymi jeszcze w tej okolicy, dalszy ciąg posiadłości Oporowskich stanowiły osady za Bzurą, w kierunku południowym. Szereg ten zaczynała wieś Goślub, za nią Czrynikowo i Łubnica, nad Moszczenicą Gieczno, a następnie już w brzezińskim powiecie, w pobliżu granicznej rzeczki Mroźcy, Wysoki i Bratoszewice, z których często pisali się synowie wojewody Mikołaja, Piotr i Stefan. Powyższe dziedziny wyczerpują znane nam w początkach XV wieku dobra panów z Oporowa we wschodniej części województwa łęczyckiego. Drugą grupę majątków tworzyły wsie w północno-zachodniej stronie województwa. Blisko granicy brzesko-kujawskiej dziedziczyli Oporowscy w Kozerzu i Głaznowie, ku południowi w Chodowie (z tej wsi pisał się nieraz Stefan Oporowski), Domanikowie oraz Miłonicach. Dalszy ciąg dóbr Sulimczyków z Oporowa są to osady: Turzynowo, Wyczółkowo, Bowiczyn i Jankowice. Na południe od powyższych włości mieli Oporowscy wsie: Łyczki, Sówki, Sławoszewo, Koryta i pod Łęczycą Konary. Ten szereg majątków zamykają osady w zachodniej części województwa, Moszkowice i Poddębice położone blisko Neru¹⁾.

Poza powyższą rodziną Oporowskich, do gniazd rodowych Sulimczyków należała wieś Rozdzice pod Łęczycą. We wsi tej dziedziczyli bracia Naczek i Trojan²⁾. Bliższe informacje o Sulimczykach w Rozdzicach podaje Taylor, oparte zresztą w znacznej mierze na przypuszczeniach³⁾. W sąsiedztwie z Rozdzicami leżały Sulimy; nazwa tej osady zdaje się wskazywać na związek z rodem Sulima, którego jednak klejnotników nie znajdujemy zupełnie w tej wsi w naszym czasie. Ostatnim znanym nam gniazdem Sulimów jest Krzyżanowo nad Ochnią, stąd występowali ziemianie: Jan, Mikołaj

1) Piotrowski l. c., str. 54, 66/8.

2) UIC 1343, tu mylnie „Rasdzice“ zamiast „Rosdzice“.

3) Początki Rożyckich. Uwaga do str. 169: Domniemany Sulimczyk z Rozdzic, Jan, nie był podsędkiem, a komornikiem podsędka (błąd w PŁ: „in Johanne subiudice“, zamiast: „in Johanne subiudicis“, nr. I 1225).

i Franek¹⁾). Ostatni z pomienionych był podsędkiem ziemskim łączyckim²⁾).

46. SZELIGA

Szlachtę z rodu Szeliga spotykamy w paru wsiach w północnej i środkowej części województwa. Z Byczyny nad Nerem pisali się kasztelan konarsko-łączycki Stanisław oraz brat jego Jan³⁾). Kasztelan dziedziczył również w pobliskim Wróblewie⁴⁾). Inne wiadomości o jego dobrach prowadzą nas na teren sieradzki (Bogucice, Swędzieniewice)⁵⁾). Dzierzbice, wieś na północnym skraju województwa, niedaleko granicy Kujaw, miały dwóch znanych nam przedstawicieli Szeligów w osobach: chorążego brzesko-kujawskiego Miećława Baby oraz ziemianina Mikołaja⁶⁾). W powiecie orłowskim na zachód od Soboty leży wieś Szeligi; nazwa jej niewątpliwie pozostaje nie bez związku z naszym herbem, w badanym jednak czasie żadnych klejnotników tego rodu nie znajdujemy w powyższej wsi. Szlachcicem z rodu Szeligów był wójt z Łąki Michał⁷⁾). Ponieważ powyższa nazwa topograficzna jest bardzo pospolita, nie możemy dla braku bliższych danych oznaczyć położenia siedziby owego Michała. Podobnie, jak w ustępie o rodzie Rogala, mamy do zanotowania wiadomość źródłową, iż pewien kmieć, imieniem Jan, nosił przezwisko Szeliga⁸⁾).

47. SZRENIAWA

Znamy tylko jednego członka Szreniawitów w ziemi łączyckiej, mianowicie w Topoli pod Łęczycą; był nim ziemianin Sebastian⁹⁾). Poza tą osadą nie słyszy się wcale o Szreniawie w Łeczyckim; z rodzinnej Małopolski widocznie nie zapuścili korzeni w łączycką okolicę.

48. ŚMIARA

W roku 1402 przed sądem powiatowym w Orłowie Falisław zw. Gołąb z Grzybowa naganiony w szlachectwie zgłosił sześciu

¹⁾ ŁZH 39; SWS 5, 20.

²⁾ Piotrowski l. c., str. 55, 68.

³⁾ Piotrowski l. c., str. 61, 84; PZH 4; ŁZH 39.

⁴⁾ Łęcz. ziem. 5, f. 19.

⁵⁾ ŁZH 39, 57; Sieradz. gr. 2, f. 27, 32 v.

⁶⁾ SWS 75, 91; tu winno być „Dirbicze“ zamiast „Dubicze“.

⁷⁾ SWS 75.

⁸⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 522.

⁹⁾ SWS 63, 64.

świadków, którzy mieli zaświadczyć, iż Falisław jest szlachcicem klejnotu „dicto Lilium vocabulo Smara“¹⁾. W roku 1415 w sądzie ziemskim w Łęczycy występował ten sam zespół osób²⁾. Piekosiński i Semkowicz identyfikują Śmiarę z Gozdawą³⁾, natomiast Dziadulewicz uważa Śmiarę za odmienny herb i proklamę, widząc jedynie podobieństwo w tematach herbowych⁴⁾. Wolff na podstawie swych studiów mazowieckich stoi na stanowisku Semkowicza⁵⁾. Grzybowo więc nad Słudwią w powiecie orłowskim byłoby jedynym wiadomym w dzielnicy łeczyckiej gniazdem Gozdawitów, gdyż o takowych nie słyszymy w naszej dzielnicy. Poza wymienionym Falisławem znamy jeszcze trzech klejnotników Śmiarów z tego Grzybowa, więc Wojciecha Fałęcica, Falisława Fałęcica i Stanisława Fałęcica⁶⁾.

49. TOPÓR

W okolicy Piątku znajdujemy szereg osad, których dziedzice noszą imiona charakterystyczne w rodzie Toporczyków. Ponieważ nie mamy tu do czynienia z wypadkiem odosobnionym, imiona powtarzają się u szlachty sąsiadujących z sobą wiosek, a w innych okolicach województwa oraz u innych rodów, nawet w tak późnym rozwojowo czasie, jak przełom XIV i XV wieku, imion takich nie stwierdzamy, należy przeto powyższe osady uważać za gniazda rodowe Toporczyków, rozrodzonych w pomienionej części województwa łeczyckiego. Pod samym Piątkiem we wsi Łące siedział szlachcic imieniem Nawój⁷⁾. Na południo-zachodzie, w Karsznicach, spotykamy również Nawoja⁸⁾. W kierunku południowo-wschodnim od Karsznic leży wieś Gieczno⁹⁾; dziedziczyli tu Żegota z dziećmi, Krzywosąd, Nawój i brat jego Aleksander, stolnik łeczycki¹⁰⁾. Do stolnika należała też niedaleka wieś Sułkowice. Z sąsiedniego Rogoźna pisał się Krzywosąd, dziedziczył on także w Woli Rogoźnieńskiej¹¹⁾. Krewnymi Krzywosąda byli w Rogoźnie brat jego Mi-

1) PŁ II 765, tu błędnie wydrukowano „Smora“ zamiast „Smara“ (Orłow. ziem. 2 a, f. 29).

2) SWS 27.

3) Piekosiński. Heraldyka, str. 52; Semkowicz. Gozdawa, Mozgawa, Godula, str. 98 i in.

4) Herb Smiara, str. 136.

5) Mazow. zap. herb.

6) PŁ I 3527; II 846, 1979, 6460.

7) Łęcz. ziem. 4, p. 530.

8) PŁ I 3071.

9) W kodeksie dypl. Polski II 554 mylnie „Dieczno“ zamiast „Gieczno“, oznaczenie położenia Gieczna także błędne.

10) Łęcz. ziem. 4, p. 646, 648, 1056; PŁ I 174, 2746, 3395, 6168.

11) Łęcz. ziem. 4, p. 579, 991.

kołaj i stryj Jaśko¹⁾). Pomędzy Giecznem a Łąką osada Konarzewo należała do Toporczyka Boguta i syna jego Andrzeja²⁾). W Giecznie siedział szlachcic Boguta, może identyczny z dziedzicem konarzewskim³⁾). Do Toporczyków należał jeszcze Sieciech z Łąki, późniejszy chorąży mniejszy łęczycki, łowczy większy, sędzia, wreszcie kasztelan łęczycki⁴⁾). Dziedziczył on poza tym w Woli Rogozińskiej, Kotowicach, Giecznie oraz Mirosławicach pod Orłowem. Tenże Sieciech procesował się ze szlachtą z Głupiewa o dział w Konarzewie⁵⁾). Miał synów: Mikołaja, piszącego się z Biesiekierza koło Woli Rogozińskiej, oraz Piotra, Jana i Stanisława ze Stoków⁶⁾).

50. TRZASKA a. LUBIEWO

Szlachtę należącą do rodu Trzasków spotykamy w Michałowicach koło Łęczycy oraz w Chojnach w powiecie brzezińskim. Z pierwszej wsi Trzaską był Pasek, zaś z drugiej Dobek⁷⁾). Poza tym ród powyższy nie jest znany w Łęczyckim.

51. WIENIAWA

Ród Wieniawów występuje w trzech osadach: Michałowicach, Żelaznej i Pisarzewicach. Michałowice i Żelazna leżały pod Łęczycą, ze wsi tych pisali się Wojciech i Jakszon z synem Pietraszem⁸⁾). W Pisarzewicach, których położenia nie znamy, Wieniawitą był Filip Myenczicz⁹⁾).

52. WILCZEKOSY

W południowej stronie województwa łęczyckiego, w kącie nad Wolborką, leżą bliskie sobie wsie Zacharz i Rosocha. W naszym czasie były one gniazdami rodu Wilczekosy. Z Zacharza notują zapiski Jakóba, zaś z Rosochy Jana¹⁰⁾). Koło Rosochy leży osada Będków, kolebka rodziny Wspinków vel Spinków, której przedstawicielem w pierwszej połowie w. XV jest Piotr, znany z pieczę-

¹⁾ Łęcz. ziem. 4, p. 541, 579.

²⁾ PŁ I 2238, 3366; Kozierowski błędnie zaliczył Bogutę Konarzewskiego do Nowinów (Ród Nowinów str. 56).

³⁾ PŁ I 2203.

⁴⁾ Piotrowski l. c., str. 61.

⁵⁾ Tamże, str. 85.

⁶⁾ Łęcz. ziem. 6, f. 276; Piotrowski l. c., str. 61.

⁷⁾ UIC 1342.

⁸⁾ SWS 15; PW 10.

⁹⁾ PW 9, 10.

¹⁰⁾ ŁZH 36; PZH 77; PŁ II 2841, 2969.

towania się h. Wilczekosy a. Prus II¹). W r. 1405 świadczy on na rzecz Marka ze Świrczyńska z h. Moszczenica. Dziadulewicz tłumaczy powyższy wypadek tym, iż Moszczenica była pierwotnym herbem Wspinków, którzy (wraz z innymi nielicznymi rodzinami tego rodu) ulegli grawitacji ku Wilczekosom²).

Na powyższym wyczerpują się nasze wiadomości o osadnictwie rodowym w województwie łęczyckim przy końcu XIV i na początku XV stulecia. Z przeglądu tego wypływają i nasuwają się następujące uwagi i wnioski.

Ilość rodów, których przedstawiciele zostali stwierdzeni w naszej dzielnicy, sięga poważnej liczby przekraczającej pół setki, na co zwrócił już uwagę Semkowicz w studium o rodzie Awdańców³). Jest to znamienna i uderzająca ilość jeżeli zważy się, że województwo łęczyckie zajmowało w porównaniu z innymi dzielnicami obszar niewielki. W małej ziemi łęczyckiej skupia się szlachta należąca do przeróżnych rodów, rozmaitego terytorialnie pochodzenia. Obok rodów wybitnie wielkopolskich (Poraje, Grzymalicy, Nałęczowie, Niałki, Drogosławicze, Przosnowie, Orlowie) zauważamy rody wywodzące się z Małopolski (Toporczykowie, Szreniawicy, Pobogowie, Nowinowie, Janinowie, Nagodzice), wreszcie — typowe rody mazowieckie i kujawskie (Belinowie, Doliwowie, Dołęgowie, Godziembowie, Jastrzębczyki, Rogalowie, Junoszowie). Charakterystyczna ta mozaika jest produktem parowiekowego rozwoju osadniczego szlachty. Łęczyckie, położone między innymi dzielnicami, wewnątrz kraju, gdzie krzyżowały się rozmaite procesy dziejowe, musiało stanowić odpowiedni teren do gromadzenia się przeróżnego elementu etnicznego i rodowego⁴). Centralne położenie Łęczycy i zmienność losów tej ziemi — oto podłoże powyższego zjawiska, którego późne stadium rozwojowe przedstawia niniejszy obraz. Nasze ograniczenie chronologiczne i terytorialne nie daje nam możliwości głębszego wniknięcia w to zjawisko i pełnego jego zbadania; należytą ocenę i oświetlenie wszechstronne mogą dać studia wsteczne z nawiązaniem do innych terytoriów zespolonych z wo-

¹) Piekosiński. *Heraldyka*, str. 178; Helcel. Wyciągi z najdawn. ksiąg sąd. ziemi krakowskiej nr. 2344.

²) *Herb Moszczenica*, str. 138.

³) Ze spostrzeżeń swych w toku studiów heraldycznych dorachował się wówczas rodów „przeszło 40” (str. 235).

⁴) Wpływy obcodzielnicowe ze stanowiska językoznawcy wykazał Stieber (*Izogłosy gwarowe*).

jewództwem łączyckim pod względem ruchów osadnictwa rycerskiego. Niniejsze zestawienie i jego wyniki są jakby poprzecznym przekrojem dziejowym i to przekrojem niezupełnie jednolitym, bo przedstawiającym stan rzeczy nie w jednym wspólnym momencie, ale w czasie o pewnych odchyleniach chronologicznych, czyli otrzymany obraz rozszedlenia rodowego jest właściwie wykazem wsi przechodzących przez ręce członków rodów rycerskich. Wykaz ten nie jest i nie może być zupełny ze względu na stan i charakter źródeł, jakimi dla naszych czasów rozporządzamy; uzyskane wyniki stanowią tylko, jak o tym wyżej już mówiłem, fragmenty, echa właściwego stanu rzeczy. Toteż w konkluzjach naszych winniśmy zachowywać daleko posuniętą ostrożność i oględność, celem uchronienia się od błędnych spostrzeżeń i wniosków.

Równoległe do naszych poszukiwań w sprawie rozszedlenia rodów szlacheckich w dzielnicy łączyckiej zapełniała się mapa znakami gniazd rodowych, wykrytych w tych poszukiwaniach. Wreszcie otrzymaliśmy mozaikę znaków w konturze województwa, uderza w niej i zastanawia fakt nierównomiernej gęstości i rozlokowania znaków. W mozaice tej pewne okolice obsadzone są silnie przez gniazda, inne znów pozbawione są ich niemal zupełnie. Tak północne i południowe okolice Łęczycy, podobnie jak okolice Orłowa, obfitują w osiedla, gdy południowy i południowo-wschodni kraniec województwa jest reprezentowany przez nieliczne gniazda. Te właściwości naszego obrazu zostały spowodowane przez źródła, jakimi rozporządzamy: obfitość danych dotyczących pewnej okolicy pozwoliła nam zapełnić ją gęściej gniazdami rodowymi, ubóstwo zaś przesłanek spowodowało powstanie białej plamy lub tylko słabe zaznaczenie akcji osadniczej rodów szlacheckich. Uzyskanie nowych informacji źródłowych wpłynęłoby niewątpliwie na zmianę niniejszego obrazu. Czy jednak już otrzymane rezultaty nie mają znaczenia bezwzględного dla charakterystyki rozszedlenia rodowego szlachty łączyckiej? Czy gęste zapełnienie się na mapie pewnych okolic znakami gniazd rodowych, a puste miejsca w innych stronach są rzeczą przypadku, wynikającego z warunków metodyczno-badawczych? Twierdzą, iż uzyskany wynik jest w znacznej mierze odbiciem minionego stanu osadniczo-rodowego i osadniczego w ogóle. Mimo całej specyficzności naszych źródeł, stopień gęstości zaludnienia i rozszedlenia rodowego w poszczególnych okolicach musiał zaznaczać się w materiałach źródłowych: strony osadniczo silniejsze znajdowały większe odbicie w źródłach, aniżeli tereny o słabym

osadnictwie. Właśnie nasz obraz rozsiedlenia rodowego pokrywa się z dotychczasowymi wiadomościami historiografii o osadnictwie w województwie łęczyckim. Jego północne i środkowe dzielnice, okolice Łęczycy i Orłowa, odznaczające się lepszą glebą i wygodniejszymi dla osadnictwa warunkami hydrograficznymi, przyciągały żywiół osadniczy w większym stopniu i dawały korzystniejsze możliwości rozwojowe, niż puszczański, mało urodzajny kraniec południowy¹). Nasz obraz składa się z paruset gniazd rodowych. Gniazda poszczególnych rodów tworzyły pewne konfiguracje topograficzne, zauważamy to na naszej mapie. Pełnego stanu owych konfiguracji nie znamy, a w stosunku do posiadanych możemy wypowiadać tylko ogólne uwagi i spostrzeżenia. Brak danych o pewnych rodach lub nieliczne o nich wiadomości nie dostarczają dostatecznych podstaw do twierdzenia, iż takich rodów nie było na naszym terenie lub że słabo były reprezentowane, liczebny jednak stosunek informacji źródłowych o poszczególnych rodach pozwala nam przypuszczać w pewnej mierze o stopniu wzajemnego ukształtowania się sił rodów występujących w dzielnicy łęczyckiej. Z naszego przeglądu wynika, że w województwie łęczyckim przodowały liczebnie rody następujące: Belinowie, wiodący stąd swój początek, Łazękowie, Nowinowie, dalej Awdańce, Doliwowie, Junoszowie, Ogonowie, Rolicze, Toporczykowie. W poszczególnych konfiguracjach osadnictwa rodów daje się zauważyć sporo cech i rysów charakterystycznych oraz ich różnych odchyłeń i właściwości. Jedne rody tworzą wyraźne skupienia osadnicze w pewnej okolicy lub w paru okolicach. Widzimy to u Nowinów, grupujących się głównie w okolicy Brzezin, u Belinów w dorzeczu Wolborki, Bieliny i Piasecznicy, u Lubrów na północo-zachód od Łęczycy. Te wyraźne skupienia świadczą o wewnętrznej spójności dóbr wymienionych rodów wobec potężniejszych sił rozkładu terytorium rodowego. Inny typ osadniczy stanowią konfiguracje łańcuchowe. Panujący, powodowany względami politycznymi, osadzał klejnotników pewnych rodów w dobrach swych wzdłuż granic ziem i ważnych pod względem strategicznym szlaków. Tego rodzaju rozsiedlenie rodowe daje się zauważyć w województwie łęczyckim u Nagodźców wzdłuż granicy mazowieckokujawskiej i sieradzkiej²), u Cholewów również wzdłuż granicy kujawskiej i mazowieckiej, u Doliwów nad granicą mazowiecką

¹) Kossman O. Rozwój terenów, str. 75; Piotrowski. Dostojnicy, str. 35.

²) Zwrócił już na to uwagę Semkowicz (Uwagi metod.-kryt.).

w powiecie orłowskim. Już nie zawsze jednak można obecnie wykryć pewne prawidłó w pierwiastkowych założeniach osadniczych. Z biegiem lat i wieków przemiany historyczne, prawne, gospodarcze etc. uderzają coraz silniej w układ rozsiedlenia rodowego i stopniowo wyłamują w nim szczyby, zmieniając go na inny, coraz mniej podobny do dawnego. Gdy patrzymy na naszą mapę przedstawiającą późny obraz średniowiecznego osadnictwa rycerskiego, niewiele już widzimy wyraźniejszych rodowych konfiguracji topograficznych, natomiast dominuje pstrocizna gniazd rodowych, różnorodność rodów obok siebie siedzących, więcej nawet — bo w tych samych wsiach mieszka pospołu szlachta o różnej przynależności rodowej (kollokacje). Niewątpliwie centralne położenie ziemi łęczyckiej i jej małe rozmiary przyczyniały się do tej mieszaniny rodowej, działały jednak i inne czynniki, które poddawały rozkładowi dawny stan rzeczy. W miarę rozrostu liczebnego rodu siła spójni rodowej słabła, ród rozpadał się na poszczególne gałęzie, które coraz bardziej odchylały się od swych pierwotnych gniazd. Ułatwiła to uświęcona z czasem praktyka wolnej pozbywalności dóbr rodowych i dziedziczenie przez kobiety. W badanym przez nas okresie liczne transakcje gospodarcze oraz podziały rodzinne ustawicznie podejmowane przez szlachtę są fragmentem akcji niszczącej dawny rodowy porządek osadniczy.

WYKAZ GNIAZD RODOWYCH

(kursywa oznacza gniazda przypuszczalne)

Barłogi — Jastrzębiec	Bogdanczewo — Łazęki
Bedlno — Rola	Bogucice (Sier.) — Szeliga
Bednary (Raw.) — Luba	Bogusławice — Belina, Orla
Besk — Powaba	Borowo — Grzymała, Lubrza
Będków — <i>Awdaniec</i> , Wilczekosy	Borowo Małe — Łazęki
Będoń — Janina	Borowo Wielkie — Łazęki
Biała — Awdaniec	Borszyn — Łazęki
Biała Góra — Ogony	Borzysławice — Jastrzębiec, Ogony
Bielawy — Łazęki	Bowętowo — Rawa
Bielice — Kuczaba	Bowczyn — Sulima
Bielina — Belina	Bratoszewice — Sulima
Biesiekierz — Ogony, Topór	Brunowice — Drzewica, Junosza, Łazęki, Nowina
Bilanowo — Łazęki, Nowina	
Boczki — Łazęki, Orla, Rola	

Brzozowo — Łazęki
 Brzuzica — Łazęki
 Budziejowice — Nowina
 Buszkowo — *Prawda*
 Buczyna — Szeliga
 Byszew(o) — Janina, Ogony
 Byszewy — Awdaniec, Łazęki,
 Nowina
 Charbice — Przosna
 Chociszewo — Jastrzębiec
 Chodakowice (Raw.) — Drogo-
 sław
 Chodowo — Godziemba, Na-
 gody, Sulima
 Chojny — Calina, Trzaska
 Chorki — Pilawa
 Circhowo — Łazęki
 Czarnocin — *Rogala*
 Częstkowo — Sulima
 Czarnikowo — Sulima
 Dąbie — Lubrza, *Prawda*
 Dąbrowa — Pilawa
 Dąbrówka — Jastrzębiec, Orla
 Dobiesławice — *Awdaniec*,
 Byliny, Łazęki
 Dobieszkowo — *Awdaniec*, *Odro-
 wąż*, *Rogala*
 Dobnia — Rola
 Dobra — Junosza
 Dobrzejewo — Sulima
 Dobrzelin — Rola
 Domanikowo — Pobóg, Sulima
 Domaradzyn — Łazęki
 Drwalewo — Doliwa
 Drzewoszewice — Sulima
 Dzierżązna — Awdaniec
 Dzierzbice — Nagody, Szeliga
 Gaj — Jastrzębiec, Nagody
 Garbowo — Junosza
 Gawrony — Rola
 Gągolino — Luba
 Gębice — Łazęki
 Gieczno — Sulima, Topór
 Giedczyce — *Rola*
 Głędzanowo — Rola
 Glinnik — Nowina
 Głaznowo — Sulima
 Gnojno — Rola
 Gołocice — Łazęki
 Gołygów — Luba
 Goraj — Ogony
 Gosławice — Nagody
 Gościno — Lubrza, Łazęki
 Goślub — Sulima
 Górki — Jastrzębiec, Pobóg
 Grabowo — Ogony
 Grądy — Rola
 Grodna — Jastrzębiec
 Grzybowo — Doliwa, Luba,
 Śmiara
 Gumino — Doliwa, Luba
 Idzikowice — Ogony
 Iwiczna — Kuczaba
 Jackowice — Junosza
 Jackowo — *Awdaniec*, Lubrza
 Jagniątki — Luba
 Jankowice — Junosza, Ogony,
 Rawa, Sulima
 Janków — Belina, Nowina
 Janowice — Łazęki
 Jarochowo — Luba
 Jastrzębia — Jastrzębiec,
 Sulima
 Jemielno (Raw.) — Cielechy
 Kadzidłowa — Ogony
 Kaleń — Nagody
 Kamieniec — Rola
 Karsznice — Topór
 Kaszewy — *Prawda*, Rola
 Kiełmino — Junosza

Kłoski — Rola
 Koluszki — Łazęki, Nowina
 Konary — Jastrzębiec, Sulima
 Konarzewo — Nowina, Topór
 Koryta — Sulima
 Kotkowo — Junosza
 Kotowice — Topór
 Kozierz — Sulima
 Koziel — Lis
 Kozuby — Cielechy, Łazęki,
 Rogala
 Kręcieszki — Ogony
 Krężelewice — *Drogostaw*
 Krośniewice — Kuczaba
 Krzesino — Junosza
 Krzewie — Łazęki
 Krzyszkowo — Łazęki
 Krzyżanowo — Sulima
 Kuchary — Luba, Rola
 Kurowo — Rola, Sulima
 Kurzejamy — Ogony
 Leszno — Kamiona
 Leźnica — Dołęga, Jastrzębiec,
 Łazęki
 Lisice — Kamiona
 Łagiewniki — Awdaniec
 Łąka — Szeliga, Topór
 Łąkoszyn — Rola
 Łęzki — Junosza, Rola
 Łubnica — Jastrzębiec, Łazęki,
 Słubica, Sulima
 Łyczki — Cholewa, Sulima
 Malice — Nałęcz
 Malinino — Cholewa
 Małcz — Rola
 Małczew — Łazęki
 Małe — *Janina*, Nałęcz
 Małecka Wola — Rola
 Marszewo — Luba
 Marzyce — Junosza
 Michałowice — Łazęki, Wie-
 niawa, Trzaska
 Mięsasosna — Rogala
 Miłonice — Sulima
 Mikołajewice — Łazęki
 Mirosławice — Topór
 Miroszewice — Łazęki, Ogony
 Modlna — Łazęki
 Morawce — Cholewa
 Moskale — Ogony
 Moszkowice — Awdaniec,
 Sulima
 Niegłosowo — Kuczaba
 Nieśmierz — Łazęki
 Niwki — Nagody
 Nowa Wieś — Rola
 Nowe — Jastrzębiec
 Nowy Łąkoszyn — Rola
 Ocice — Bujny
 Odolin — Bujny, Ogony
 Ojrzanowo — Belina
 Olszówka — Ogony
 Oporów — Sulima
 Oraczewice — Jastrzębiec,
 Łazęki, Ogony
 Orłowo — Junosza
 Orynice — Grzymała
 Orzeszkowo — Janina
 Ostoja (Raw.) — Nagody
 Ostrów — Łazęki, Nagody,
 Rola
 Paprotna — Łazęki
 Paręczewo — Łazęki, Rola
 Parzyce — Łazęki
 Pawłowice — Sulima
 Pełczyska — Nagody
 Pęcławice — Rola
 Piaski — Junosza, Rola
 Piekary — Rola
 Pieskowice — Rawa

Pisarzewice — Wieniawa
Plecka Dąbrowa — Doliwa,
Nagody, Rola
Pniewo — Bujny, Rola
Podczachy — Ogony
Poddębice — Sulima
Pomorzany — *Dolega*,
Jastrzębiec
Popowo — Łazęki
Powodowo — *Łodzia*
Prusinowice — Pobóg
Pruskowice — Amadej, Rola
Przewiska — Łazęki
Psary — *Awdaniec*
Pszanowice — Calina, Łazęki
Rakowo — Doliwa
Rogoźno — Topór
Rokitnica — Łazęki
Rosocha — Wilczekosy
Rozdżice — Kuczaba, Sulima
Rudołtowo — Jezierza
Sarnowo — Łazęki
Sągródź — Belina, Junosza
Sbiewiec — Rola
Sekuły — Łazęki, *Orla*
Siedlec — Rola
Siemszyce — Jastrzębiec
Sierpowo — Jastrzębiec, *Prus*
Skoszewy — Nowina, *Rola*
Skrzynki — *Lubrza*
Sławęcín — Junosza
Sławoszewo — Pobóg, Sulima
Słupca — Jastrzębiec, Jezierza
Sobiesławice — Ogony
Sobota — Doliwa
Sokołowo — Łazęki, Rola
Solca Wielka — Łazęki
Sówki — *Lubrza*, Sulima
Srebrna — Ogony
Starzyny — Janina, Kuczaba

Stawki — Łazęki, Nowina
Stoki — Topór
Straszkowo — Nagody
Stryków — Łazęki
Sułkowice — Junosza, Lis,
Topór
Swarowa — Łazęki
Swędowo — Rola
Swędzieniewice(Sier.) — Szeliga
Szamowo — Łazęki, Prus
Szczegle — Kuczaba
Szeligi — Łazęki
Szolaydy — *Prus*
Szubin — Cholewa
Szubsko — Ogony
Śladkowo — Łazęki
Śleszyn — Doliwa, Rola
Śliwniki — Rola
Świniary — *Awdaniec*
Tarnowo — Rola
Topola — Szeliga
Truskawiec — Janina
Tur — Janina
Turzynowo — Łazęki, Sulima
Tymienica — Niałki
Ujazd — Belina, Janina
Umienie — Ogony
Walewo — Amadej
Waliszewo — Łazęki, Rogala
Wały — *Awdaniec*
Wargawa — *Awdaniec*, Rola
Warszyce — *Awdaniec*
Wartkowice (Sier.) — *Dolega*
Wawrzyczewice — Łazęki
Wąglczewo — Rola
Wiączyn — Janina
Wieprzki — Rola
Wiesiołowo — Ogony
Wilczkowice(Sier.) — *Awdaniec*
Wilkowice — *Awdaniec*, Rola

Wilkowyja (Raw.) — Cielechy	Wysoki — Sulima
Wioteszki — Dołęga	Wysoka — Godziemba
Witaliszewice — Drzewica, Łazęki	Wyszki — <i>Lubrza</i>
Witkowice — Łazęki	Wytrzeszczki — Rola
Witkowice Wielkie — Jezierza	Zacharz — Belina, Wilczekosy
Witkowice Małe — Jezierza	Zagaj — Junosza
Witowo — Lubrza	Zagróbki — <i>Lubrza</i>
Witunia — Rola	Zakrzewo — Nagody
Włostowice — Amadej	Zaosie — Belina
Wojszyce — Dołęga, Drzewica	Zaraz (Sand.) — Jastrzębiec
Wola — Belina, Dołęga, Janina	Zduny — Dołęga
Wola Chociszewska — Jastrzębiec	Zdziechowo — Janina
Wola Rogozińska — Topór	Zelgoszcz Dobrska — Belina
Wola Zaleska — Dołęga	Zgierz — Janina, Rola
Woźniki — <i>Awdaniec</i> , Junosza, Rola	Zieleniewo — Drzewica, Lubrza, Rola
Wroczyne — Ogony	Ziwanice — Rola
Wróblewo — Łazęki, Szeliga	Żakowice — Cholewa, Łazęki
Wyczółkowo — Sulima	Żelazna — Wieniawa
	Żychlin — <i>Luba</i> , Rola

ŹRÓDŁA

a) archiwalne (Arch. Główne A. D., Warszawa)

Księgi sądowe łączyckie ziemskie: nr 1 fragmenty XIV, XV i XVI w.,
nr 2 fragmenty XIV i XVI w., nr 3 1385—1395, nr 4 1390—1408,
nr 5 1408—1415, nr 6 1415—1421.

Księga sądowa orłowska ziemska nr 2a 1396—1441.

b) drukowane

Helcel Antoni Zygmunt. Wyciągi z najdawniejszych ksiąg sądowych ziemi
krakowskiej. Starodawne prawa polskiego pomniki t. II.

Kozierowski Stanisław. Nieznane zapiski heraldyczne. Cz. I. Roczniki Po-
znańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, t. 43.

— Cz. II. Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, t. VI.

— Nieznane zapiski heraldyczne. Zapiski sieradzkie. Rocznik Polskiego
Towarzystwa Heraldycznego, t. VIII.

Łaguna Stosław. Nieznane zapiski heraldyczne średniowieczne polskie, głównie
sieradzkie. Pisma, Warszawa, 1915.

Milewski Ignacy Kapica. Herbarz, Kraków, 1870.

Muczkowski Ł. i Rzyszczewski A. Kodeks dyplomatyczny Polski t. I/III.
Warszawa, 1847/58.

- Pawiński Adolf. Księgi sądowe łączyckie od 1385 do 1419. Teki Pawińskiego t. III/V. Warszawa, 1897/9.
- Piekosiński Franciszek. Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski t. V. Poznań, 1908.
- Nieznane zapiski heraldyczne z ksiąg wiślickich. Studya, rozprawy i materiały z dziedziny historii polskiej i prawa polskiego, t. VII. Kraków 1907.
- Poczet rodów szlachty polskiej wieków średnich. Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego t. II.
- Zapiski sądowe województwa sandomierskiego z lat 1395—1444. Archiwum Komisji Prawniczej t. VIII. Kraków, 1907.
- Piotrowski Tadeusz i Wdowiszewski Zygmunt. Średniowieczne zapiski heraldyczne łączyckie. Warszawa, 1935.
- Polackówna Helena. Materiały do heraldyki polskiej. Archiwum Komisji Historycznej t. XI.
- Potkański Karol. Zapiski herbowe z dawnych ksiąg ziemskich, przechowanych w Archiwach radomskim i warszawskim. Archiwum Komisji Historycznej t. III. Kraków, 1886.
- Semkowicz Władysław. Wywody szlachectwa w Polsce XIV—XVII wieku. Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego t. III. 1911/12.
- Ulanowski Bolesław. Antiquissimi libri iudiciales terrae Cracoviensis. Starodawne prawa polskiego pomniki t. VIII. Kraków 1884/86.
- Inscriptiones clenodiales ex libris iudicialibus palatinatus Cracoviensis. Starodawne prawa polskiego pomniki t. VII. Kraków, 1885.
- Materiały do historii prawa i heraldyki polskiej. Archiwum Komisji Historycznej t. III. Kraków, 1886.
- Wierzbowski Teodor. Matricularum Regni Poloniae Summaria t. IV. Warszawa, 1910/15.
- Wolff Adam. Mazowieckie zapiski herbowe z XV i XVI wieku. Kraków, 1937.

OPRACOWANIA

- Białkowski Leon. Ród Czamborów-Rogalów. Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego t. VI.
- Dziadulewicz Stanisław. Drobiazgi heraldyczne. Herb Śmiara. Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego t. VI.
- Herb Moszczenica. Miesięcznik heraldyczny r. 1909.
- Herb Słubica. Herb Waga i Wiskała. Miesięcznik heraldyczny r. 1930.
- Kilka słów o herbie Lubcza. Miesięcznik heraldyczny r. 1908.
- Gieysztor Aleksander. O pochodzeniu i rozsiadleniu rodu Grabiów. Miesięcznik heraldyczny r. 1937.
- Górski Karol. Ród Odrowążów w wiekach średnich. Kraków, 1927.
- Halecki Oskar. Ród Łodziów w wiekach średnich. Miesięcznik heraldyczny r. 1911/13.
- Kłapkowski Władysław ks. Działalność kościelna biskupa Wojciecha Jastrzębca. Warszawa, 1932.
- Kossmann E. Oskar. Rozwój terenów rolniczych w puszczy łódzkiej, wiek XIII—XVIII. Czasopismo przyrodnicze ilustrowane. Rocznik VIII. Łódź 1934.

- Kozierowski Stanisław ks. Badania nazw topograficznych na obszarze dawnej wschodniej Wielkopolski t. I/II. Poznań, 1926/8.
- Ród Bylinów. Lwów, 1914.
- Ród Doliwów. Poznań, 1923.
- Ród Drogosławiczów. Poznań, 1914.
- Ród Jeleni-Niałków-Brochwiczów. Poznań, 1918.
- Ród Nowinów. Poznań, 1914.
- Ród Porajów-Róźców. Kraków, 1930.
- Ród Przosnów. Poznań, 1917.
- Ród Szaszorów-Opalów-Orlów. Poznań, 1918.
- Lasocki Zygmunt. Dołęga czy do Łęga? Cieszyn, 1932.
- Zakład w Polsce średniowiecznej. Miesięcznik heraldyczny r. 1933.
- Pawiński Adolf. O pojednaniu w zabójstwie. Warszawa, 1884.
- Polska XVI wieku. Źródła dziejowe t. XII/XVI.
- Piekosiński Franciszek. Heraldyka polska wieków średnich. Kraków, 1899.
- Piotrowski Tadeusz. Dostojnicy województwa łęczyckiego za pierwszych Jagiellonów. Warszawa, 1935.
- Semkowicz Władysław. Doliwa, Dołęga, Doraja. Kwartalnik historyczny r. 1902.
- Gozdawa, Mozgawa, Godula. Miesięcznik heraldyczny r. 1908.
- O pochodzeniu i rozsiadaniu rodu Amadejów w Polsce. Miesięcznik heraldyczny r. 1912.
- Ród Awdańców w wiekach średnich. Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego t. 44/6, r. 1917/19.
- Uwagi metodyczno-krytyczne nad pochodzeniem i rozsiadaniem rycerstwa polskiego wieków średnich. Miesięcznik heraldyczny r. 1912.
- Stieber Zdzisław. Izoglosy gwarowe na obszarze dawnych województw łęczyckiego i sieradzkiego. Kraków, 1933.
- Taylor Edward. Początki Rożycyckich. Miesięcznik heraldyczny r. 1935/36.
- Rolicze z Trojanowych Rożyc Rożycy. Poznań 1936.
- Witanowski Rawita Michał. Borysławice Zamkowe. Sprawozdania Komisji do badania historii sztuki Akademii Umiejętności t. VIII.

TADEUSZ PIOTROWSKI

Objaśnienie skrótów: KW = Kodeks Wielkopolski. KZH = Kozierowski. Nieznane zapiski heraldyczne. Cz. II. KZHS = Kozierowski. Nieznane zapiski heraldyczne. Zapiski sieradzkie. ŁZH = Łaguna. Nieznane zapiski heraldyczne. PŁ = Pawiński. Księgi sądowe łęczyckie. PW = Piotrowski i Wdowiszewski. Średniowieczne zapiski heraldyczne. PZH = Potkański. Zapiski herbowe. SWS = Semkowicz. Wywody szlachectwa. UIC = Ulanowski. Inscriptiones clenodiales. Um = Ulanowski. Materyały do historii prawa.



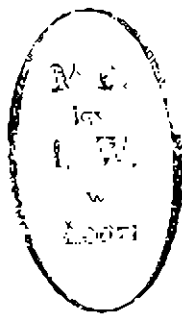
ROZSIEDLENIA RODOWEGO SZLACHTY ŁĘCZYCKIEJ NA PRZEŁOMIE XIV i XV WIEKU



T. Piotrowski: Rozsiedlenie rodowe szlachty
 łęczyckiej na przełomie XIV i XV wieku
 Rocznik Oddziału Łódzkiego P. T. H. 1939

GRANICE POWIATÓW

0 2 4 8 10 12 14 16 18 20



PRZEMYSŁ LNIANY W ŁODZI W DOBIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO (1824—1832)

I. DZIAŁALNOŚĆ RZĄDU W ZAKRESIE PRZEMYSŁU LNIANEGO

Przemysł lniany rozwijał się w Polsce od czasów najdawniejszych po wsiach i dworach, ale posiadał charakter wytwórczości domowej. Krajowa produkcja płócien nie zaspokajała ogólnego zapotrzebowania, wskutek czego rozwinął się import z zagranicy. Wyrabiane w Polsce gatunki płótna były grube, t. zw. „ordynaryjne“, cieńsze materiały sprowadzano z Saksonii, Holandii i Śląska¹⁾. Niekiedy także wyroby polskie, płótno i nici surowe, wysyłano zagranicę dla wybielenia i wykończenia.

Władze rządowe Królestwa Polskiego, zmierzając do uprzemysłowienia kraju, postanowiły między innymi rozwinąć wyrób płócien na większą skalę, a jednocześnie polepszyć jakość produkcji. Nie tylko rząd, lecz i społeczeństwo Królestwa zdawało sobie sprawę z ważności tego zagadnienia. Stąd czasopismo gospodarcze współczesne²⁾ zamieszczało artykuły dotyczące naprawy stosunków, które panowały w przemyśle lnianym, oraz podnosiło hasło samowystarczalności gospodarczej w tej dziedzinie³⁾.

¹⁾ Archiwum Akt Dawnych w Warszawie. Akta Raportu rocznego 1824. Nr kat. 17.184, k. 98—113.

²⁾ *Izys Polska* czyli *Dziennik umiejętności, wynalazków, kunsztów i rękodzieł poświęcony krajowemu przemysłowi, tudzież potrzebie wiejskiego i miejskiego gospodarstwa* — wydawany przez Gracyana Korwina. W Warszawie — nakładem wydawcy. (Od końca 1821 r. wydawcą czasopisma *Izys Polska* był Antoni Lelowski — komisarz fabryk przy Kom. Rz. S. Wewn.).

³⁾ W jednym z artykułów pisano: „Miliony wychodzą z krain polskich za same płótno i z bogacają tych, od których my mało co albo wcale nie zyskujemy; a przecież ziemia nasza te same wydaje plody i sztuka nie jest tak trudna, aby polskiego mieszkańca przechodziła pojęcie. Przy większej usilności i wyższym postępie tej tak zaniedbanej u nas gałęzi gospodarstwa krajowego moglibyśmy się obejść bez obcego płótna...“ *Izys Polska*, r. 1820, t. I, str. 26.

W celu ochrony powstającego przemysłu rząd Królestwa ustanowił cła prohibicyjne na towary lniane importowane z zagranicy oraz zarządził wewnątrz kraju kontrolę pochodzenia wyrobów lnianych przeznaczonych do sprzedaży. Chcąc podnieść jakość produkcji płócien krajowych i w ten sposób zwalczać skutecznie konkurencję zagranicy, postanowił wprowadzić do przemysłu lnianego odpowiednie maszyny¹⁾. Technika przerabiania włókna lnianego na przędzę, a w dalszym ciągu na tkaninę stała w omawianym okresie na bardzo niskim poziomie. Umysły światlejsze próbowały przeprowadzić w tej dziedzinie pewne udoskonalenia. W artykułach pojawiających się w czasopismach omawiano sprawy roszczenia lnu, międlenia i blichowania, zachęcano do stosowania nieskomplikowanych maszyn ręcznych, wskazując na przykłady zachodnio-europejskie²⁾.

Rząd Królestwa Kongresowego w swoich próbach zmechanizowania wytwórczości przemysłowej lnianej natrafił na olbrzymie trudności. Pierwsze maszyny do przędzenia lnu zastosowane były w Anglii już w roku 1790, lecz budowę ich trzymano w tajemnicy i przez kilkadziesiąt lat rząd angielski nie pozwalał maszyn z kraju wywozić. Dzięki maszynom Anglia opanowała na długi okres czasu wszystkie lniarskie rynki zbytu. Inne państwa europejskie usiłowały przeciwdziałać konkurencji angielskiej pod tym względem. W roku 1810 Napoleon wydał dekret, którego mocą przeznaczył nagrodę w wysokości miliona franków dla wynalazcy najlepszej maszyny do przędzenia lnu³⁾. Warunki jednak przedstawione w konkursie były tak trudne do wykonania, że odpowiadającej im maszyny nie wynaleziono. Wszakże wysokość nagrody zwróciła wszędzie uwagę i zachęciła zdolniejsze umysły do poświęcenia pracy temu dziełu.

I w Królestwie Kongresowym znaleźli się mechanicy, usiłujący zbudować maszynę do przeróbki lnu. Byli to A. Rudzki w Grzegorzewicach i Fryd. Ludwik Bernhard w Marymoncie. Około roku 1825 poczyniono próby przędzenia lnu na maszynach Rudzkiego i Bernharda, próby te jednak zawiodły⁴⁾. Maszyny Bernharda okazały się nie do użytku, rząd finansujący to przedsięwzięcie poniósł

1) A. A. D. W. Nr kat. 17.182, k. 28.

2) *Izys Polska*, j. w., r. 1820, t. I, II, III; r. 1822/23, t. III; r. 1823/24, t. II; r. 1826, t. II, III.

3) A. A. D. W. Akta wynalazku maszyny do przędzenia lnu. Nr kat. 18.465, k. 2.

4) *Dyaryusz Senatu Seymu Królestwa Polskiego 1825 r.* Warszawa 1828. T. I.

duże straty, lecz władze Królestwa nie żałowały funduszków wydawanych na popieranie przemysłu¹⁾.

Z kolei rząd zainteresował się człowiekiem, który znany był z granicą z wynalezienia w roku 1810 maszyny do przędzenia lnu. Był to mechanik Filip de Girard. Wezwany w roku 1825 do Królestwa, wszedł w służbę rządu jako naczelny inżynier górniczy, a 13 lipca tegoż roku zawarł z Komisją Rządową Spraw Wewnętrznych kontrakt na wprowadzenie maszyny swego wynalazku do Polski²⁾.

Wkrótce potem rząd wysłał Girarda do Anglii, polecając mu aby zwrócił uwagę na tamtejsze maszyny przędzalnicze. Maszyny te sprowadzone drogą przemytu do Królestwa Kongresowego i połączone z wynalazkami Girarda miały stać się wzorem dla wyrobu maszyn w Królestwie³⁾.

Tak przedstawiała się sprawa wprowadzenia maszyn do przemysłu lnianego. Niemniej poważną troskę rządu Królestwa Kongresowego stanowiła kwestia ograniczenia nielegalnego importu obcych płócien. Przyczyną coraz szerzej rozwijającego się przemysłnictwa były przede wszystkim wysokie cła ochronne oraz konkurująca z polskimi wyrobami jakość i taniość płócien zagranicznych.

Aby zapobiec defraudacjom, władze Królestwa zarządziły kontrolę pochodzenia płócien znajdujących się na rynkach polskich. Na mocy cyrkularza rozesłanego w sierpniu 1822 roku do komór celnych i urzędów administracyjnych płótna krajowe sprowadzane ze wsi na sprzedaż do miasta miały być zaopatrzone w świadectwa pochodzenia wydane przez wójta i zawierać nazwisko wyrabiającego płótno oraz posiadać wyszczególnioną ilość i gatunek materiału. Płótna tkane w miastach otrzymywały świadectwa od burmistrza⁴⁾.

Po załatwieniu powyższych formalności wytwórca winien był przed sprzedaniem płótna zgłosić się do miejscowego urzędu konsumcyjnego, który zatrzymywał u siebie świadectwo pochodzenia, rejestrował je, a płótno cechował plombą. Dodatkowo przepisy Komisji Województwa Mazowieckiego orzekały, iż płótno sprzedawane

¹⁾ A. A. D. W. Akta przędzalni lnu p. Bernharda w Marymoncie w woj. Mazowieckim. Nr kat. 19.019, k. 57. Maszyny Bernharda kosztowały rząd 12.690 złp. W czasie powstania listopadowego uległy zniszczeniu. Szczątki sprzedano za 31 złp. 15 gr.

²⁾ A. A. D. W. Akta sprowadzenia różnych machin z Anglii. Nr kat. 18.414, k. 48—50.

³⁾ A. A. D. W. Akta budowy machin do założyć się mającej przędzalni lnu i kopni pp. Downie i Jackson. Nr kat. 19.050, k. 43—44.

⁴⁾ Archiwum Akt Dawnych m. Łodzi. Akta kontrolowania płótna Krajowego Urzędu Handlowego m. Łodzi. Nr kat. 3828a.

w miastach będzie posiadało na końcu każdej sztuki pieczęć wójta gminy, który przedtem powinien był przekonać się dokładnie, czy płótno istotnie w jego gminie było wyrobione¹⁾.

Dla ściślejszej kontroli Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych nakazała spisać oraz często kontrolować wszystkie fabryki i ręko-dzielnie²⁾. Kontrolę wyrobów włókienniczych obostrzono przez zaprowadzenie ksiąg handlowych, które obowiązany był utrzymywać właściciel fabryki trudniący się sprzedażą detaliczną materiałów³⁾. Każdy fabrykant lub rzemieślnik miał obrać dla swych wyrobów znak fabryczny, który zawierał na tkaninach płóciennych imię i nazwisko producenta, nazwę miejscowości, w której przedsiębiorstwo funkcjonowało, oraz numer bieżący materiału.

Odtąd towar lniany znajdujący się w handlu, a nie zaopatrzony w znaki fabryczne i plomby, mógł być uznany jako przemycony, jego zaś właścicielowi groziła kara sądowa. Przepisom o znakach fabrycznych i cechach urzędowych nie podlegały materiały lniane wyrobione na własny użytek.

Zarządzenia, zmierzające do kontrolowania płócien, nie odniosły pożądanego skutku. W dalszym ciągu napływały do Królestwa płótna przemycane z krajów niemieckich. Przemysłowcy kupowali płótna za granicą, a uzyskawszy w Królestwie od nieuczciwych czy niedbałych wójtów gmin świadectwo pochodzenia, legitymowali przywiezione towary jako fabrykat krajowy⁴⁾.

Przedsiębiorcy lniani usiłowali walczyć z plagą kontrabandy przez obniżanie cen swoich wyrobów, a także przez podnoszenie jakości produkcji, lecz bezskutecznie. Władze rządowe próbowały ułożyć ściślejszą instrukcję o cechowaniu wyrobów lnianych w celu uniknięcia wszelkich trudności kontrolowania oraz bezwzględного przeszkodzenia defraudacjom, lecz pomimo opracowania wielu projektów instrukcji, żadnego z nich nie zatwierdzono. Prawdopodobnie Komisje Rządowe Królestwa nie były pewne, czy instrukcja o kontrolowaniu wyrobów krajowych zapobiegnie szerzącemu się przemysłnictwu i czy nie będzie szkodliwsze dla dochodów państwowych skrzepowanie⁵⁾ handlu wewnętrznego przez z góry narzucone prze-

¹⁾ Tamże.

²⁾ Gazeta Warszawska, 1823, nr 156.

³⁾ Archiwum Skarbowe. Akta fabryk i kontrolowania fabrykatów krajowych. Nr kat. 38/I, F, 19.

⁴⁾ A. A. D. W. Akta Fabryk płótna. Nr kat. 18.481, k. 174.

⁵⁾ A. A. D. W. Akta Stanu i wzrostu fabryk. Nr kat. 18.521, k. 58—64.

pisy¹⁾. Wskutek tego przy kontrolowaniu płócien urzędy skarbowe postępowały nadal według starych miejscowych cyrkularzy.

Jednym z przejawów polityki przemysłowej ówczesnego rządu były wystawy przemysłu krajowego. Miały one na celu dać fabrykantom możliwość okazania czynionych przez nich postępów w dziedzinie przemysłowej. Wystawy zostały ustanowione w roku 1818. Odbywać się miały w Warszawie w terminach dwuletnich, począwszy od r. 1819. Wyróżnieni wystawcy otrzymywali nagrody pieniężne lub medale²⁾.

Na pierwszych dwóch wystawach, zorganizowanych w latach 1821 i 1823, towary lniane słabo były reprezentowane. Władze administracyjne poszczególnych województw Królestwa Kongresowego wyjaśniały, iż miejscowe zakłady lniane nie osiągnęły jeszcze dostatecznie wysokiego stopnia wytwórczości, aby ich właściciele mogli brać udział w wystawach³⁾.

Sytuacja poprawiła się w roku 1825. W spisie eksponatów nadesłanych na wystawę wyroby lniane zajmowały bez porównania więcej miejsca, niż w latach poprzednich. Były tam próbki lnu czesankowego, płótno surowe oraz płótno w białe i szare paski. Z kolonii prządków w Ksawerowie pod Pabianicami nadesłano przędzę lnianą różnej wagi; z fabryki Paschalisa Jakubowicza w Lipkowie pod Warszawą i z przedsiębiorstwa L. Bernharda — len maszynowo międlony oraz przędzę lnianą; z dóbr hr. Zabiełły w woj. augustowskim — len surowy z pnia, wysoki na 2 łokcie i 6 cali (łokieć = 57,6 cm); z dóbr księżny Sapieżyny w Kwieciszkach woj. augustowskiego — przędzę lnianą wyprodukowaną przez włóścianki⁴⁾.

Czwarta wystawa odbyła się w roku 1828. Z całego Królestwa nadesłano następujące wyroby lniane: z woj. augustowskiego (folwarku Obelicz) — próbki przędzy lnianej; z woj. kaliskiego („fabryki“ Lorentza i Schultza) — płótno w paski; z woj. lubelskiego (ekonomii kaźmierskiej) — przędzę lnianą⁵⁾.

¹⁾ Przedsiębiorcy narzekali, że im „po jarmarkach rewidują, pieczętują, spisują, odpisują wyrobki, co wszystko z niemalą i mitręgą czasu i kosztem jest połączone — a produkcja płócien ordynaryjnych po wsiach przez włóścian ulega przy sprzedaży tak uciążliwym formalnościom, że ich lud biedny ani pojąć, ani dłużej znieść nie może“... P. A. A. D. W. Akta Kontroli wyrobów lnianych i bawełnianych. Nr kat. 18.455, k. 206—207.

²⁾ Dziennik Praw Królestwa Polskiego. T. VI, str. 42.

³⁾ A. A. D. W. Akta Wystawy I-ej znakomitych płodów przemysłu krajowego w roku 1821. Nr kat. 18.549. Akta Wystawy II-ej znakomitych płodów przemysłu krajowego w r. 1823. Nr kat. 18.550.

⁴⁾ A. A. D. W. Akta Wystawy III-ej znakomitych płodów przemysłu krajowego w r. 1825. Nr kat. 18.551, k. 22^{1/2}.

⁵⁾ A. A. D. W. Akta Wystawy IV-ej znakomitych płodów przemysłu krajowego w r. 1827/28. Nr kat. 18.552, k. 186—196.

Zmniejszenie się ilości eksponatów na tej wystawie nie było dowodem upadku przemysłu lnianego. Prawdopodobnie wytwórcy sądzili, iż tak zwykle wyroby, jak lniane, nie nadają się na pokaz. Najważniejsza przyczyna tkwiła w tym, że terminy dwuletnie były zbyt krótkie. Dlatego też Rada Administracyjna Królestwa uchwaliła wnieść poprawkę do postanowienia Namiestnika z roku 1818, aby wystawy odbywały się odtąd co trzy lata, a więc termin następnej przypadł na rok 1831¹⁾. W rzeczywistości wskutek wybuchu powstania piąta wystawa odbyła się dopiero w roku 1838.

Polityka rządu Królestwa w zakresie przemysłu lnianego już po niedługim czasie okazała się skuteczną. Około roku 1824 w wielu okolicach Królestwa istniały obszerne łąny zasiane lnem. Powstawały pierwsze „fabryki“ płótna w województwach: kaliskim, augustowskim i płockim²⁾. Z tego też czasu pochodzą pierwsze wzmianki o „fabrykach“ lnianych w województwie mazowieckim. Znajdowały się one w Brześciu Kujawskim, Dąbiu, Chodczu, Brzezinach, Przedczu, Tomaszowie i Ozorkowie³⁾. Były to właściwie osady płócienne, w których istniały drobne przeważnie przedsiębiorstwa, utrzymywane przez pojedynczych tkaczy, rzadziej przez większych przedsiębiorców. Wyroby ich były mierne, niedostatecznie wykończone, dokuczał tkaczom brak surowca oraz urządzeń apreturowych. Niedomaganiom tym zapobiec miały częściowo poczynania rządu na terenie miasta Łodzi.

II. ZAŁOŻENIE OSADY PRZEMYSŁOWEJ „ŁÓDKI”⁴⁾

W historii rozwoju przemysłu lnianego w Królestwie Kongresowym miasto Łódź zajmuje miejsce pierwszorzędne.

Jeszcze na początku omawianego okresu nic nie zapowiadało roli, jaką w przyszłości miejscowość ta miała odegrać. W opisie historycznym z roku 1820 wysłanym do władz rządowych burmistrz m. Łodzi przedstawiał Łódź jako ubogą osadę rolniczą, która nie znała żadnych fabryk ani rękodzielni i wzrastała „z przyczyn dobrych jarmarków”⁵⁾.

1) A. A. D. W. Akta wystawy V-ej znakomitych wyrobów przemysłu krajowego w r. 1830. Nr kat. 18.553, k. 5.

2) A. A. D. W. Akta o fabrykach i rękodzielniach krajowych. Nr kat. 348.

3) A. A. D. W. Akta fabryk płótna w wojew. mazowieckim. Nr kat. 19.315.

4) Por.: Friedman F. Początki przemysłu w Łodzi 1823—1830. Rocznik Łódzki 1933. T. III.

5) A. A. D. W. Akta opisów historyczno-topograficzno-statystycznych miast w gubernii warszawskiej. Nr kat. 458, k. 154—157.

W tym samym roku zwiedził te okolice prezes Komisji Województwa Mazowieckiego Rajmund Rembieliński¹⁾, który szukając miejscowości dogodnych dla założenia osad fabrycznych uznał, że Łódź warunkom tym odpowiada²⁾.

Jakie okoliczności mogły wytworzyć taką opinię?

Najważniejsze było położenie miasteczka wśród lasów, na wyniośłościach, z których spływały liczne potoki zbierające swe wody w dwóch rzeczkach zwanych Łódka i Jasień. Miejscami tworzyły się na nich szerokie stawy. Obszerne lasy mogły dostarczyć drzewa na opał i budowę domów i warsztatów, woda — energii do poruszania ówczesnych maszyn³⁾. Duży atut na korzyść Łodzi stanowiła bliskość Warszawy, miasta wojewódzkiego i stołecznego, leżącego na europejskim szlaku handlowym. Podkreślić także należy, że Łódź otoczona była miejscowościami, w których przemysł włókienniczy stał już na dość wysokim, jak na stosunki ówczesne, stopniu rozwoju.

Rozporządzenie namiestnika królewskiego z dnia 18 września 1820 roku wyniosło miasto Łódź do rzędu osad fabrycznych⁴⁾. Natychmiast władze miejskie zajęły się przysposobieniem Łodzi do kolonizacji przemysłowej. W tym celu przyłączono do dawnego „miasteczka” folwark Stara Wieś i Wójtostwo Łódzkie⁵⁾, zwiększając znacznie obszar Łodzi. Na nowym terytorium miejskim władze urządziły w roku 1823 osadę fabryczną sukienniczą zwaną Nowe Miasto⁶⁾ w odróżnieniu od dawnej na północy miasta leżącej dzielnicy, która nosiła miano Starego Miasta. Osada sukiennicza obejmowała place w promieniu Nowego Rynku (dziś Plac Wolności), a także ulice położone na wschód od traktu piotrkowskiego aż do ulicy Dzielnej (dziś Narutowicza).

W r. 1824 zajęte zostały ziemie leżące na południe od osady sukienniczej, na których postanowiono założyć nową osadę „Łódkę” przeznaczoną do osiedlania tkaczy, którzy wyrabiali materiały bawełniane i lniane⁷⁾.

¹⁾ Por.: Rembieliński R. Rajmund Rembieliński budowniczy Łodzi przemysłowej. „Rocznik Łódzki”. Łódź 1933. T. III.

²⁾ A. A. D. W. Akta Raportów Prezesa Województwa Mazowieckiego z objazdu tegoż województwa. Nr. kat. 1406, k. 56—69.

³⁾ Woblyj K. G. Oczerki po istorii polskoj fabrycznoj promyslnosti (1764—1830). T. I. Kijów 1909, str. 234.

⁴⁾ Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego. Warszawa 1866. Cz. II, t. II.

⁵⁾ Por.: Stebelski A. Łódź i klucz łódzki u schyłku Rzplitej. Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego. Łódź 1930.

⁶⁾ Flatt O. Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym. Warszawa 1853, str. 20—21.

⁷⁾ Materiały bawełniane i lniane mogły być produkowane przez jednych i tych samych tkaczy.

W roku następnym zwiedził Łódź cesarz Aleksander I. Za jego wskazówką zwiększony został obszar miasta w kierunku południowym przez przyłączenie wsi Wólki i Wójtostwa Zarzewskiego¹⁾.

Wkrótce potem władze administracyjne założyły na terytorium „Łódki” osadę dla prządków lnianych zwaną prządniczą. Była to trzecia z rzędu osada przemysłowa.

W końcu roku 1828 osada sukiennicza składała się z 196 placów, osada tkacka płócienniczo-bawełniana z 306 placów, osada prządnicza z 167 placów. Z tego zajętych placów było: w pierwszej osadzie 108, w drugiej — 115, w trzeciej — 167²⁾.

Terytorium przeznaczone dla tkaczy płócienniczo-bawełnianych ciągnęło się wzdłuż ulicy Piotrkowskiej po obu jej stronach, zaczynając na północy od ulicy Dzielnej i dochodząc na południu do Górnego Rynku (dziś Plac Reymonta). Część placów znajdowała się przy ul. Emilii, Przędzalnianej i Czerwonej³⁾. Wszystkie place tkackie zajmowały powierzchnię wynoszącą 376 morgów 12 prętów⁴⁾.

Po dokonanej regulacji miasta Łodzi Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych poczęła starać się o zwerbowanie wykwalifikowanych sił roboczych. Wobec braku robotników w kraju usiłowano ściągnąć odpowiedni element z zagranicy. Wyśłani w tym celu agenci rozgłaszali wśród zachodnich sąsiadów Polski wieści o urządzonej w Łodzi osadzie przemysłowej oraz o korzyściach, jakie mogą osiągnąć emigranci w Królestwie. Tymczasem władze municypalne łódzkie przygotowywały się na przyjęcie cudzoziemców. Wymierzano place, stawiano na nich budynki, oddzielano miejsca na ogrody warzywne, zbierano na składzie suche drzewo potrzebne do budowy warsztatów⁵⁾.

Agitacji rządu Królestwa Kongresowego sprzyjała ówczesna sytuacja gospodarcza za granicą. Przemysł niemiecki, szczególnie lniany przeżywał ciężki kryzys. Okoliczność ta sprawiła, iż żywiol przemysłowy niemiecki emigrował chętnie do Królestwa. W końcu 1824 roku mieszkało w Łodzi 10 tkaczy płócienników, w ciągu zaś roku następnego przybyło 42 tkaczy zagranicznych z rodzinami⁶⁾.

¹⁾ Flatt, j. w., str. 21—22.

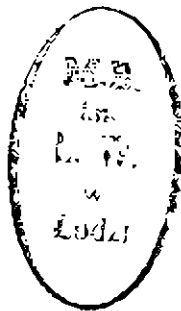
²⁾ A. A. D. W. Akta raportów o fabrykach w województwie Mazowieckim. Nr kat. 3074.

³⁾ Plan sytuacyjny osady rękodzielniczej Łódka. Vide załącznik 1.

⁴⁾ A. A. D. W. Akta regulacji miasta fabrycznego Łódź. Nr kat. 19.245, k. 88—105. (Mórg nowopolski = 300 prętów kwadratowych. Pręt = 4 m 32 cm.)

⁵⁾ A. A. D. Ł. Akta budowy warsztatów tkackich 1824. Nr kat. 5405, k. 2.

⁶⁾ A. A. D. W. Akta raportu rocznego 1825. Nr kat. 17.185, k. 389—392.

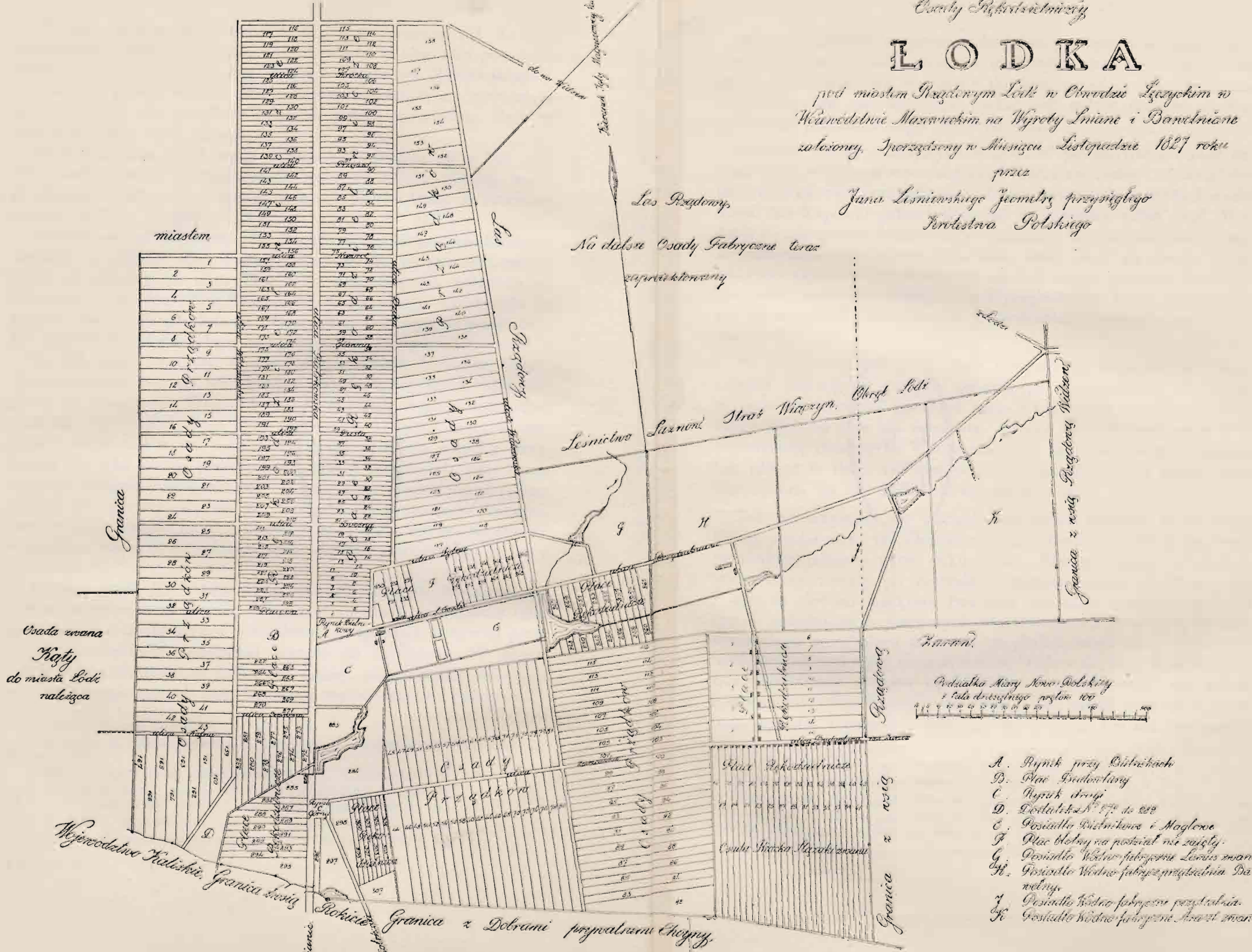


Lódź

Plan Sytuacyjny
Osady Fabrycznej

ŁODKA

pod miastem Przędzonym Łódź w Okręgu Łęczyckim w
Krajeństwie Mazowieckim na Wyroty Lniane i Bawełniane
zakusony. Sporządzony w Miśnieu Listopadzie 1827 roku
przez
Jana Lisniewskiego Geom. przysiężonego
Krajstwa Polskiego



- A. Rynek przy Cielnickach
- B. Plac Budowlany
- C. Rynek drugi
- D. Działki N. 171 do 222
- E. Działki Cielnickie i Maglowe
- F. Plac białej na postawie stałej
- G. Działka włóknofabryczna Lniana zwana
- H. Działka włóknofabryczna przędzalnia Da-
- medny
- I. Działka włóknofabryczna przędzalnia
- J. Działka włóknofabryczna stała zwana

Miasto budowało pospiesznie domy za pieniądze czerpane z wyznaczonych na ten cel funduszków rządowych. Jak bardzo ożywiony był ruch imigracyjny w osadzie tkackiej, świadczy fakt, że tkacze niejednokrotnie zmuszeni byli czekać pod gołym niebem na wykończenie przeznaczonego dla nich domu¹⁾.

Każdy z tkaczy osiadających w „Łódce” podpisywał protokół deklaracyjny, w którym wyszczególniał ilość warsztatów i czeladników, jacy mieli tworzyć jego „fabrykę”. Zobowiązywał się do wybudowania domu lub kupował gotowy dom już wystawiony przez rząd. Wydatki na zakupienie domu władze rozkładały mu na kilkuletnie raty. Z położonego przy domu placu tkacz miał płacić po sześciu latach wolnych czynsz w wysokości 12 złp. od morgi rocznie. W deklaracji zastrzegał sobie korzystanie z przywilejów, które postanowienia Namiestnika gwarantowały „fabrykantom” osiadającym w Królestwie²⁾.

Po podpisaniu deklaracji tkacz otrzymywał pożyczkę na zaspokojenie pierwszych potrzeb związanych z przyjazdem do Łodzi, w razie konieczności korzystał także z funduszków zwrotnych przeznaczonych na dom lub warsztaty. Oprócz tych dobrodziejstw miał zapewnioną licencję na wprowadzenie z zagranicy przędzy lnianej lub płótna w ilości zależnej od liczby warsztatów, za opłatą celną zmniejszoną do $\frac{2}{5}$ części obowiązującego cła³⁾.

Tak przedstawiały się warunki, na jakich osiedlali się w Łodzi tkacze-płóciennicy. Współcześnie z osadą tkacką rozwijała się osada prządnicza założona około roku 1825. Pierwsze place prządnicze wyznaczone zostały po zachodniej stronie traktu piotrkowskiego w tyle za placami tkackimi. Powstała tam ulica Wólczajska, która została zaludniona w pierwszych latach imigracji prządków. W dalszym ciągu rozwijająca się osada prządnicza zajęła ulicę Zarzewską (dziś Napiórkowskiego), następnie ulicę Widzewską (dziś Kilińskiego⁴⁾). Dla zwiększenia obszaru osady zajęto pozostałą część wsi Wólki i utworzono ulicę Kątną⁵⁾. Od roku 1827 osada prządnicza przestała wzrastać z powodu braku potrzebnych na ten cel funduszków,

¹⁾ A. A. D. W. Akta raportu rocznego 1826. Nr kat. 17.186.

²⁾ A. A. D. Ł. Akta budowy domów przez tkaczy. Nr kat. 5412, k. 6—7.

³⁾ A. A. D. W. Akta fabryk płótna w województwie Mazowieckim. Nr kat. 19.338.

⁴⁾ A. A. D. Ł. Rejestr pomiarowy do osady rękodzielniczej Łódka przez geometrę Jana Leśniewskiego w r. 1828 sporządzony. Nr kat. 64.

⁵⁾ Plan sytuacyjny osady rękodzielniczej Łódka. Zał. 1.

a także odpowiednich gruntów¹⁾). Przestrzeń jej wynosiła wówczas 510 morgów 196 prętów²⁾).

Wiadomość o założeniu osady prądniczej rozeszła się szybko, do Łodzi poczęli napływać prądkowie. Przybywali oni z zagranicy — Śląska pruskiego, Czech i Saksonii, lub też z różnych okolic Królestwa. Po zgłoszeniu się u burmistrza podpisywali tam deklaracje, które zawierały w języku polskim i niemieckim warunki, na jakich osiedlali się w Łodzi³⁾). Według tych przepisów prądek zagraniczny lub krajowy, po złożeniu przed władzami municypalnymi egzaminu praktycznego ze swej umiejętności przedzenia lnu, otrzymywał w osadzie prądniczej plac trzymorgowy, z którego miał wpłacać do kasy miejskiej czynsz w wysokości 18 złp. rocznie, po upływie sześciu lat wolnych. Na placu prądek krajowy zobowiązywał się zbudować w ciągu roku od swego przybycia do Łodzi dom stosownie do podanego przez rząd planu. Prądek zagraniczny na podstawie warunków deklaracji mógł zająć plac już zabudowany przez rząd. Koszty domu wynosiły 450 złp.⁴⁾). W razie braku domu gotowego otrzymywał na ten cel drzewo oraz pożyczkę w sumie 200 złp. spłacalną w ciągu sześciu lat, po upływie jednego roku wolnego. Prócz tego rząd dawał prądkom bezzwrotne jednorazowe zapomogi w ilości od 18 do 30 złp., przeznaczone na zagospodarowanie się po przyjeździe⁵⁾).

Z powyższych danych widać, że prądkowie zagraniczni byli uprzywilejowani w porównaniu z krajowymi. Do osady prądniczej prezes Komisji Wojew. Mazowieckiego przyjmował chętniej prądków zagranicznych⁶⁾); sądził, że ci opanowali w wyższym stopniu technikę przedzenia cienkiego lnu, której w Królestwie bra-

¹⁾ W roku 1829 pisał Rembieliński: „Życzeniem byłoby wprawdzie, aby więcej jeszcze placów trzech morgowych do osiedlenia prądków posłużyć mających poformować można... Ochotnicy po udział placów zgłaszają się, ale brak zupełny gruntów tym celem użyć się mogących osiągnięcia podobnego zamiaru nie dopuszcza“. A. A. D. W. Nr kat. 3074, k. 68—104.

²⁾ A. A. D. W. Akta budowy domu na potrzebę fabryki tkanin bawełnianych Got. Maj. Nr kat. 19.265, k. 159—167.

³⁾ Porównać: Staszewski J. Początki przemysłu lnianego w Łodzi. „Rocznik Łódzki“. T. II. Łódź 1931.

⁴⁾ A. A. D. W. Nr kat. 17.186.

⁵⁾ A. A. D. Ł. Akta instrukcyj względem osiedlania się prądków oraz udzielania onym zapomogi. Nr kat. 5410.

⁶⁾ W czerwcu 1826 roku pisał Tykel do burmistrza m. Łodzi: „Dostrzegłszy..., że znakomita już liczba krajowców w osadzie prądniczej miasta tutejszego place objęła, ponawiam polecenie burmistrzowi m. Łodzi, iżby odtąd żaden z krajowców do objęcia placu w takowej osadzie przypuszczanym nie był“. A. A. D. Ł. Nr kat. 5410, k. 19.

kowało. Osada prządków zaludniała się nadspodziewanie szybko. Z końcem roku 1826 liczyła przeszło stu prządków, w roku 1830 około dwustu¹⁾.

Równolegle do tworzenia osady prządniczej i tkackiej wystąpiła w Łodzi potrzeba budowy zakładu wykończania płócien fabrykowanych przez tkaczy. Celowi temu miał służyć t. zw. wówczas zakład płócienniczy. Składały się nań urządzenia do wybielania płótna, krochmalnie, suszarnie, folusz i magiel.

Na te inwestycje zajęto grunty rządowe, które znajdowały się po obu stronach późniejszej ulicy św. Emilii oraz część wsi Wólki na zachód od traktu piotrkowskiego. Wybór padł na tę okolice, gdyż obfitowała ona w miękką i czystą wodę, która posiadała poza tym odpowiedni spadek do poruszania maszyn oraz nadawała się do bielników.

Zakład płócienniczy budował rząd od roku 1824 do 1826. Koszty budowy obliczono na 80 000 złp.²⁾ Na terytorium tego zakładu³⁾ wystawiono dwa jednopiętrowe domy fabryczne z suterunami, tworzące jedną całość. Znajdowały się tam blicharnia i krochmalnia oraz miejsce na folusz i magiel. Obok domu urządzono kanał t. zw. główny, który szedł od stawu przy t. zw. ul. Prządek do Piotrkowskiej. Kanał miał 400 sążni reńskich długości, 24 stopy szerokości i 12 stóp głębokości. Poniżej kanału znajdował się rów, który ściągał bagnistą wodę, odpływającą dalej kanałem bocznym. Kanał ten odprowadzał wodę od magla i folusza do rzeki Jesień (dziś Jasień), spadek jego wynosił 17 stóp reńskich, dzięki czemu mogły być wprowadzane w ruch dwa koła wodne służące do poruszania magla i folusza. Poziom wody w kanale regulowany był za pomocą śluz⁴⁾.

Z kanału głównego spływała woda bocznymi rynnami na pola bielnikowe. Na pochyłości tych pól, odkrytych na południe i wystawionych na operację słoneczną, rozciągnano płótna do bielenia. Bielące się płótna polewano wodą ze skrzyń ustawionych na polu bielnikowym w odległości czterech prętów reńskich jedna od drugiej. Skrzynie połączone były rynnami, którymi spływała woda do niższych kondygnacji. Do skrzyń nalewano wodę z sadzawek, które powstawały wskutek zatrzymywania wody z płynącej tam strugi⁵⁾.

¹⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5410.

²⁾ A. S. Akta Rękodzielnie i rękodzielnicy rozmaici, fundusze na zaprowadzenie tychże i utrzymanie. Nr kat. 29/V R, 8, vol. II.

³⁾ Plan sytuacyjny bielników i placów na bielniki przeznaczonych w osadzie rękodzielniczej Łódka. Vide załącznik 2.

⁴⁾ A. S. Nr kat. 38/I, F, 19, vol. II.

⁵⁾ Tamże.

Po przeciwległej stronie głównego kanału rząd wystawił 12 drewnianych domów mieszkalnych dla tkaczy bawełnianych i lnianych, którzy mieli wyrabiać materiały w lepszym gatunku. W tym samym celu wybudowano dwa piętrowe domy fabryczne na terytorium zakładu.

Tak urządzony zakład postanowiono oddać w wieczystą dzierżawę przedsiębiorcy, któryby umiał go poprowadzić, a także mógł rozwinąć przy pomocy swego kapitału. Już od 1824 roku prezes Komisji Województwa Mazowieckiego Rajmund Rembieliński rozpoczął starania zmierzające do sprowadzenia odpowiedniego przedsiębiorcy¹⁾. W końcu tego roku zgłosił się listownie kierownik domu handlowego w Elberfeld nazwiskiem Blank z propozycją objęcia zakładu płócienniczego. Warunki, jakie postawił, były jednak niekorzystne dla przemysłu lnianego łódzkiego i oferta nie została przyjęta²⁾.

Drugim przedsiębiorcą, który miał poprowadzić zakład płócienniczy, był Daniel Ill. Przybył on z Saksonii w roku 1825. W grudniu tegoż roku złożył rządowi protokólną deklarację, w której oznajmił, iż osiedli się w Łodzi na stałe oraz założy drukarnię perkali. Jednocześnie prowadził układy w sprawie objęcia zakładu płócienniczego. Na mocy protokołu z dnia 8 marca 1826 roku Daniel Ill przejął zarząd nad wymienionym zakładem i zobowiązał się poczynić na jego terenie szereg inwestycji. Wzamian za to otrzymał licencję na sprowadzenie z zagranicy 110 centnarów gotowych wyrobów bawełnianych za zmniejszoną opłatą celną wynoszącą $\frac{2}{5}$ części normalnej taryfy³⁾. Postawiono mu przy tym warunek utrzymywania zakładu w ruchu w ciągu lat najmniej dziesięciu, w przeciwnym bowiem razie byłby obowiązany zapłacić sumę równającą się wartości zniżonego cła⁴⁾.

Na dokonanie inwestycji otrzymał Ill od rządu pożyczkę w sumie 15 000 złp. Z tych funduszków wymurował dom o powierzchni 34×16 łokci, przeznaczony na farbiarnię i blicharnię, wystawił

1) W sierpniu 1824 roku zwrócił się Rembieliński do Kom. Rz. Spr. Wewn. z następującym planem: „Mam także nadzieję sprowadzenia z zagranicy majątnego przedsiębiorcy do zakupywania i apretowania wyrobów tak lnianych jako i bawełnianych... takiego to rodzaju entrepreneurowi myślą moją jest wieczystym prawem za opłatą pewnego kanonu odstąpić głównejsze budowle, maszyny i bielniki sposobem wiecznej dzierżawy z zastrzeżeniem determinowanej opłaty od folowania i bielienia wyrobów“... A. S. Nr kat. 38/1, F. 19, vol. II.

2) A. A. D. W. Akta Fabryk płótna w wojew. Mazowieckim. Nr kat. 19.337.

3) A. A. D. W. Akta Stanu fabryk zapomogą rządową wspartych. Nr kat. 18.615, k. 159—162.

4) A. A. D. Ł. Akta Deklaracji osiadających fabrykantów rozmaitych. Nr kat. 5402, k. 47—48.

domek drewniany wielkości 15×12 łokci, w którym umieścił maszynę do osmalania perkali, prócz tego rozpoczął zakładanie fundamentów pod dom foluszowy¹⁾). Urządzona w murowanym domu ługarnia zapobiec miała dotychczasowym niedokładnościom w bieleniu płócien; brak folusza płócienniczego, który zastępowała dotąd praca ręczna, usunąć miano przez zbudowanie domu foluszowego.

Początkowo zakład płócienniczy cieszył się wielkim powodzeniem. Producenci i kupcy przywozili doń materiały pochodzące nie tylko z Łodzi, lecz i dalszych okolic: Zduńskiej Woli, Skierniewic, Lutomierska, Żelgoszczy, Zgierza, Sieradza, Gostkowa i innych. Bielono i wykończano wyroby bawełniane i lniane: płótna, obrusy, serwety, ręczniki, pończochy i nici, przeważały jednak płótna²⁾). W ciągu lata 1826 roku wybielił Daniel Ill około 800 kóp materiałów³⁾).

O działalności Illa miała Komisja Woj. Mazowieckiego początkowo jak najlepsze wyobrażenie⁴⁾). Wkrótce jednak spotkał ją zawód. Okazało się, że przedsiębiorca ten nie prowadził za granicą podobnego zakładu, wobec czego na wykańczaniu materiałów nie znał się. Mimo swej nieznamomości rzeczy nie postarał się o to, aby sprowadzić odpowiednio wykwalifikowane siły. Klienci zakładu złożyli do władz rządowych piśmienne skargi, w których oświadczyli, że Ill nie wywiązuje się należycie ze swego zadania. Narzekali, że płótna oddane do bielnika zbyt długo były przetrzymywane, a gdy je wreszcie zwrócono, były pogniecione lub zamienione. Wskutek tego „fabrykanci“ zaczęli sami sobie wybielać materiały lub wysyłać je do innych miast. Prezes Komisji Woj. Mazowieckiego zbadawszy tę sprawę polecił w październiku 1827 roku odebrać Illowi zakład i oddać pod dozór burmistrza⁵⁾).

Rembieliński począł natychmiast starać się o nowego pewniejszego przedsiębiorcę, który zwróciłby rządowi kapitał wyłożony na zakład płócienniczy. Korzystając z wyjazdu komisarza Tykela za granicę, zlecił mu, aby skłonił jednego z zagranicznych przedsiębiorców do objęcia zakładu. Tykel, zwiedzając miejscowości przemysłowe w Prusach, Saksonii i Czechach, nawiązywał wszędzie

¹⁾ A. A. D. Ł. Akta zakładu bielnikowego T. Kopischa. Nr kat. 5416.

²⁾ Tamże.

³⁾ A. A. D. W. Akta drukarni perkali i t. p. tudzież fabryki tkanin bawełnianych przez p. Ill założonej w Łodzi w woj. Mazowieckim. Nr kat. 19.171, k. 74—77.

⁴⁾ A. A. D. W. Nr kat. 17.186.

⁵⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5416.

stosunki handlowe i rozgłaszał wieści o korzyściach, jakie czekają przybywających do Królestwa Kongresowego fabrykantów¹⁾.

Agitacja Tykela trafiła na grunt podatny i przyniosła wkrótce pomyślne rezultaty. Zgłosił się mianowicie do Tykela współwłaściciel domów fabryczno-handlowych w Schmiedebergu na Śląsku nazwiskiem Tytus Kopisch. Pertraktacje w tej sprawie trwały kilka miesięcy, wreszcie Kopisch zdecydował się przyjechać do Polski. Przybywszy w drugiej połowie 1827 roku do Królestwa, postanowił zbadać osobiście tutejsze warunki przemysłowe. Zwiedził przede wszystkim województwa kaliskie i mazowieckie, jako najwięcej uprzemysłowione, szukając tutaj miejscowości, w której mógłby założyć przedsiębiorstwo lniane. Ostatecznie wybór jego padł na miasto Łódź.

III. PRZEDSIĘBIORSTWO TYTUSA KOPISCHA

W dziejach łódzkiego przemysłu lnianego osoba Tytusa Kopischa wysuwa się na plan pierwszy.

Rząd Królestwa powierzając Kopischowi zakład płócienniczy spodziewał się, że przemysłowiec ten nie tylko będzie kontynuował prace już rozpoczęte, lecz także zakład rozwinie należycie i postawi na odpowiednim poziomie. Polityka gospodarcza rządu w zakresie lniarstwa dążyła do utworzenia w Łodzi ośrodka przemysłowego, któryby dostarczał materiałów lnianych na potrzeby kraju i w przyszłości był wzorem dla innych zakładów płócienniczych, mogących powstać w Królestwie. Zadania tego podjął się nowoprzybyły śląski przedsiębiorca, Tytus Kopisch.

Ze Śląska sprowadzano w owych czasach do Królestwa Polskiego siły fachowe potrzebne do pracy w lniarstwie. Przemysł lniany rozwijał się tam już od w. XVI²⁾ i doszedł do takiej doskonałości, że Śląsk pod tym względem zajął przodujące miejsce w Europie. Od drugiej połowy XVIII wieku w Anglii, Szwecji, Francji i innych krajach europejskich zaczął rozwijać się przemysł lniany rodzimy, wskutek czego Śląsk utracił część swych rynków zbytu, co stało się przyczyną stale wzrastającego kryzysu. Z powodu zastoju wiele śląskich domów handlowych upadło i przestało w kraju skupywać płótna. Skrajna nędza³⁾ zapanowała w domach tkaczy, nic też dziw-

1) A. A. D. W. Akta raportu rocznego 1827. Nr kat. 17.187.

2) Zimmermann Alfred dr. Blüthe und Verfall des Leinengewerbes in Schlesien. Gewerbe- und Handelspolitik dreier Jahrhunderte. 2 Auflage. Oldenburg i Lipsk 1892(?), str. 4.

3) Zimmermann, j. w., str. 274.

nego, że rzemieślnicy ci, gdy tylko nadarzyła się okazja poprawy bytu, emigrowali do innych krajów. Należy przypuszczać, że i Kopisch przyjeżdżając do Polski wiele sobie obiecywał korzyści na nowym terenie pracy.

Tytus Kopisch przybył do Warszawy w październiku 1827 roku. Zwrócił się do Komisji Rz. Spraw Wewnętrznych z oświadczeniem, że pragnie osiaść na stałe w Łodzi i poprowadzić zakład płócienniczy; zapewnił, że posiada duże doświadczenie w tym kierunku, gdyż podobny zakład prowadził wraz z ojcem od lat dziesięciu w Schmiedebergu.

W kilka dni potem złożył podanie, w którym przedstawił swoje warunki. Przynależał wykończyć zakład płócienniczy, prowadzić go własnym kapitałem oraz wybielać rocznie około 6000 kóp płótna krajowego. Ponieważ kapitały Kopischa były ulokowane w zapasach płócien, które znajdowały się na Śląsku, prosił więc władze polskie, aby pozwolono mu sprowadzić bez opłaty cła następujące ilości materiałów: 500 centnarów płótna na powłoki do sukien wywozonych na wschód, 400 c. płócien cienkich oraz 100 c. obrusów i serwet¹⁾. Dalej obiecywał, że jeśli Komisja Rz. Spr. Wewn. przyjmie jego warunki, wówczas stanie się on gorliwym krzewicielem przemysłu lnianego w Królestwie. Zapytany w tej sprawie Tykel wystawił Kopischowi jak najlepsze świadectwo. Popierał go także Rajmund Rembieliński; nalegał on na przyspieszenie rokowań z nowoprzybyłym przedsiębiorcą oraz dowodził konieczności przychylnego załatwienia przez rząd jego próśb²⁾.

Komisja Rz. Spr. Wewn. przedstawiła podanie Kopischa Radzie Administracyjnej, która orzekła, iż plany te są godne poparcia rządu, a sprawę licencji na płótna odesłała do decyzji cesarza. Ułożenie projektu kontraktu z Kopischem władze powierzyły Rembielińskiemu. W końcu listopada nadeszło z Petersburga zezwolenie cesarskie na sprowadzenie ze Śląska 1000 centnarów wyrobów lnianych

¹⁾ A. S. Akta fabryki płótna i białizny stołowej p. Tytusa Kopisch w Łodzi w woj. mazowieckim. Nr kat. 39/712, vol. I, k. 19—22.

²⁾ „Nie może to podlegać żadnej wątpliwości — pisał Rembieliński do ministra Mostowskiego — iż dotychczas w kraju naszym fabrykacja wyrobów lnianych nie egzystuje wcale, tkanie bowiem jakiego bądź rodzaju płótna przez szczególne osoby, zwłaszcza rolników, za ukończoną i istotnie egzystującą fabrykację uważane być nie może... Przedsięwzięte dotychczas w tej mierze kroki, a mianowicie cokolwiek w Pabianicach, Turku, Łodzi i t. p. dotychczas zaprowadzono, jedynie za początki uważać należy, które na słabych gruntując się podstawach łatwo obalonymi być mogą i niezawodnie zniweczonymi zostaną, jeżeli im w pomoc nie przyjdą skuteczniejsze środki i działania”. — A. S. Nr kat. 39/712, v. I, k. 1—6.

na warunkach już przedtem określonych przez Radę Administracyjną, t. j. za opłatą cła zmniejszonego do $\frac{2}{5}$ części normalnej taryfy, lecz rząd rosyjski surowo zastrzegł, aby wyrobów tych nie wprowadzać do Rosji¹⁾.

Kopisch, zawiadomiony o pomyślnym obrocie sprawy, postanowił przenieść się do Łodzi, aby na wiosnę 1828 roku rozpocząć pracę w zakładzie bielnikowym. Wyjechał przedtem do Schmiedeburga, gdzie formalnie zwinął swoje przedsiębiorstwo. Pierwszego stycznia 1828 roku zawiadomił Komisję Rz. Spr. Wewn. o założeniu firmy „T. Kopisch et Comp.”. Przesłany władzom druk opiewał, iż nowy zakład „ausser den Leinwand-Fache auch Colonial und Farbe-Waaren, so wie Commissions-Geschäften gewidmet ist”. Kopisch przyjął do spółki szwagra swego Wilhelma Werkmeistera²⁾.

Dnia 12 lutego 1828 roku Kopisch zawarł z rządem Królestwa kontrakt, którego treść przedstawiała się następująco: rząd oddał Kopischowi zakład płócienniczy wraz z budynkami za 79 945 złp. 17 gr., którą to sumę Kopisch winien był zwrócić w dwudziestu rocznych ratach po upływie trzech lat wolnych, t. zn. pierwsza rata przypadała 1. I. 1832 roku (art. 1). Kopisch zobowiązał się urządzić na terenie zakładu bielnik, wybudować folusz, zaprowadzić apreturę i płóczkarnię na wzór śląskich zakładów, wystawić magiel koński lub wodny, a także dom mieszkalny murowany. Po dwu lub trzech latach miał wykazać kapitał obiegowy 80 000 talarów (art. 2)³⁾. Na wystawienie budynków rząd zapewnił Kopischowi 30 000 złp. pożyczki spłacalnej po upływie trzech lat wolnych w dwudziestu rocznych ratach (art. 3). Udzielona Kopischowi licencja pozwalała mu wprowadzić z zagranicy bez opłaty cła następujące towary: 500 c. płótna na powłoki do sukien, 400 c. płótna cienkiego i 100 c. bielelizny stołowej. Płótno wolno było Kopischowi sprowadzać ratami, w miarę uwidoczionych postępów zakładu płócienniczego. Cło, od którego zwolnione zostały towary objęte powyższą licencją, wynosiło 346 666 złp. 20 gr. Kapitał otrzymany ze sprzedanego w Polsce płótna miał być obrócony na inwestycje i prowadzenie zakładu (art. 5). Kopisch zobowiązał się, że po upływie dwu lat zapisze hipotecznie na swym zakładzie kaucję na rzecz rządu w wysokości 120 000 złp., jako zabezpieczenie, iż poprowadzi zakład przez lat przynajmniej

¹⁾ A. S. Nr kat. 39/712, v. I.

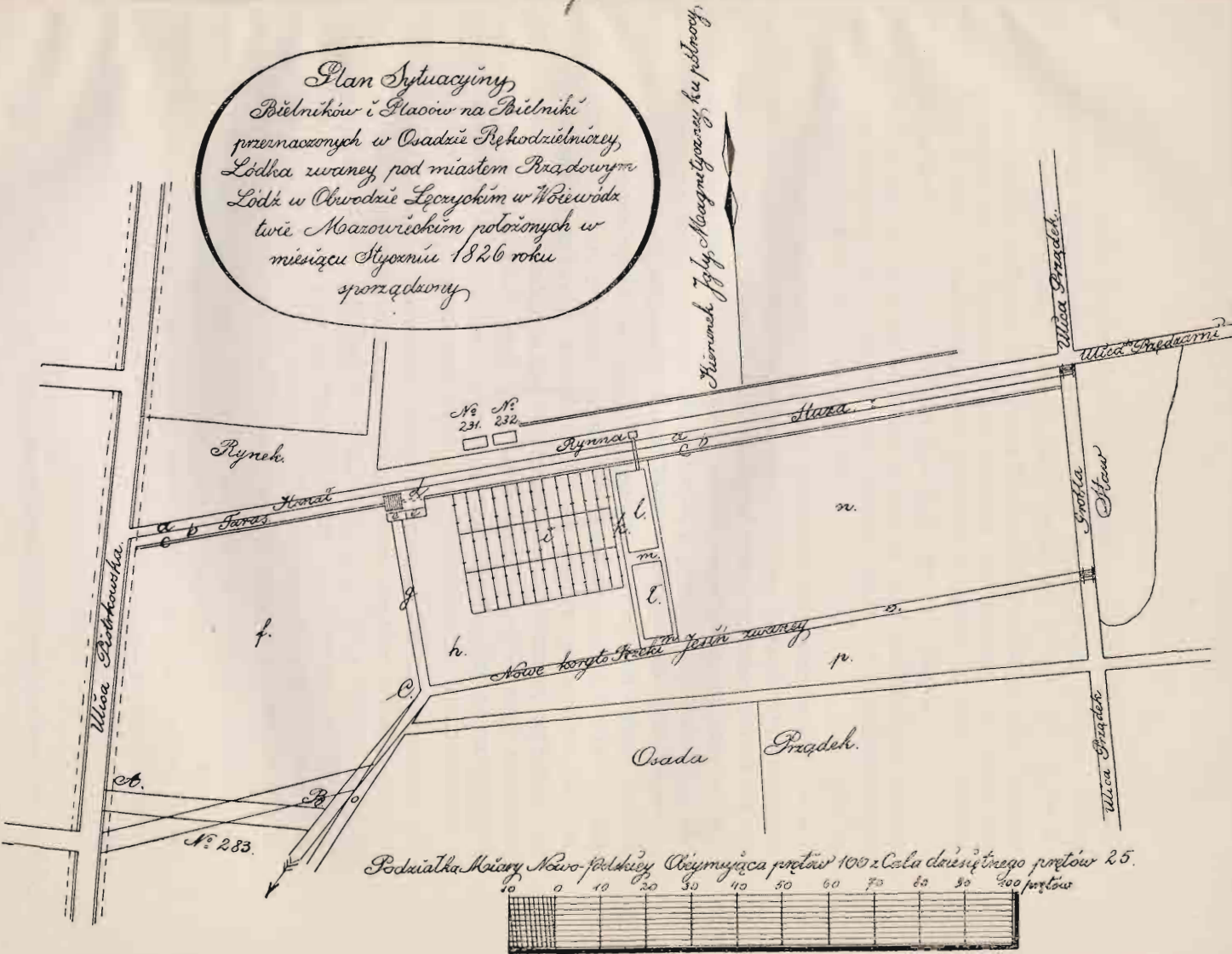
²⁾ A. S. Nr kat. 39/712, v. I, k. 68.

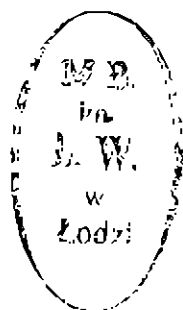
³⁾ Talar wynosił 6 złp.

- Położenie i Gatunek miejsca.
- a. Kanał od Starou do ulicy Piotrkowskiej.
 - b. Taras obok tego Kanału.
 - c. Rów między Tarasem a placami Bielnikowemi.
 - d. Plac przed domem Maglowym.
 - e. Dom maglowy.
 - f. Plac na Bielniki przy ulicy Piotrkowskiej.
 - g. Kanał od Magla do Rzeki.
 - h. Plac wedle Bielników.
 - i. Bielniki już wyrobione.
 - k. Uliczka między Bielnikami a groblą.
 - l. Sadzawka już wyrobiona.
 - l. Sadzawka zaprojektowana.
 - h. Groble wedle tychże sadzawek.
 - t. Plac za Sadzawkami do Grobli.
 - o. Rzeka nowa Jesiń zwana.
 - p. Plac między Rzeką a granicą Prządek.

Przez zmianę Ulicy, wedle placu Nr 283 Niemniej koryta rzeki, plac Bielnikowy został zmniejszony o pretów 90, to wedle liter A. B. C.
Jan Leśniewski
Jeometra Przysięgły.

*Plan Sytuacyjny
Bielników i Placów na Bielniki
przeznaczonych w Osadzie Repłodzielniczej,
Łódka zwanej pod miastem Prządowym
Łódka w Obwodzie Łęczyckim w Województwie
Mazowieckim położonych w
miesiącu Stywniu 1826 roku
sporządzony*





dziesięć (art. 7). Z powodu braku pręędzy w kraju władze skarbowe zezwoliły Kopischowi sprowadzać bez ograniczenia pręzędę lnianą z zagranicy za opłatą $\frac{2}{5}$ części obowiązującego cła (art. 10). Za każdą sprowadzoną z zagranicy rodzinę tkacką lub prządniczą miał Kopisch otrzymać po 60 złp. jako zwrot kosztów podróży (art. 11). Kom. Rz. Spr. Wewn. przyobiecła, że w pierwszych latach istnienia zakładu nie udzieli innemu przedsiębiorcy dogodniejszych warunków (art. 13). T. Kopisch i osoby przez niego sprowadzone miały korzystać ze wszystkich swobód, jakie zapewnione zostały przez rząd cudzoziemcom w Królestwie osiadającym (art. 16)¹⁾.

Warunki kontraktu były dla Kopischa niezmiernie korzystne i uwzględniały wszystkie jego żądania. W sferach rządowych zdawano sobie sprawę z tego, że Kopisch żądał wiele, że zabezpieczał się na wszystkie strony. Minister spraw wewn. obawiał się, czy inne zakłady Królestwa Kongresowego nie ucierpią z powodu tej transakcji, czy wytrzymają konkurencję z tak uprzywilejowanym przedsiębiorcą. Rząd polski, oprócz zaufania moralnego opartego na relacji Tykela, nie miał żadnej pewności, czy Kopisch nie zawiedzie, i wiele w tym wypadku ryzykował. Rembieliński, jak zwykle optymistycznie usposobiony w stosunku do sprowadzanych cudzoziemców, wyjaśniał, że dane w kontrakcie ulgi były konieczne, że gdyby rząd wahał się w sprawie licencji, Kopisch ze swej strony obawiałby się narazić swój majątek na niepewną przyszłość i nie osiedliłby się w Królestwie.

Po zawarciu kontraktu nastąpiło przejście łódzkiego zakładu płócienniczego przez nowego przedsiębiorcę. Oprócz zakładu Kopisch otrzymał place przyległe, a mianowicie przy ulicy Emilii place od Nr 230 do 246, przy ul. Przędzalnianej — od Nr 247 do 261, przy Górnym Rynku — Nr 308 i 309²⁾. Terytorium zakładu wraz z placami zajmowało ogółem 87 morgów 118 prętów kwadr. 30 stóp³⁾.

W chwili przybycia Kopischa do Łodzi na terenach zakładu płócienniczego znajdowały się następujące urządzenia: 36 pól bielnikowych z rynnami i skrzyniami wodozbiiorowymi, dwa jednopiętrowe domy fabryczne wraz z dwoma kołami wodnymi, dwa jednopiętrowe domy mieszkalne⁴⁾, rynny i skrzynie wodozbiiorowe do dalszego

¹⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5416.

²⁾ Plan sytuacyjny osady rękodzielniczej Łódka. Plan sytuacyjny bielników i placów na bielniki. Zał. 1, 2.

³⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5416.

⁴⁾ Znajdowały się na placach Nr 231, 232.

urządzenia pól bielnikowych, drzewo zapasowe do budowy, dom blicharniany¹⁾ wraz z kotłami, budynek drewniany²⁾ na osmalarnię perkali, nadto ogród i piwnice. W wymienionych budynkach znajdowały się: jeden aparat z walcami metalowymi służący do osmalania materiałów, jeden bielnik smugowy i trzy chemiczne oraz jeden magiel z cylindrami metalowymi i papierowymi³⁾. Urządzenia takie nie istniały w żadnym innym mieście obwodu łęczyckiego, a łódzki napęd wodny był jedyny w całym województwie mazowieckim.

Po uregulowaniu najważniejszych spraw przeniósł się Kopisch do Łodzi. Zamieszkał czasowo w ratuszu⁴⁾, ponieważ dom mieszkalny na terytorium zakładu zajęty był przez innych przedsiębiorców, którzy po przybyciu Kopischa otrzymali nakaz opróżnienia lokali. Przeniósł także Kopisch z Wrocławia do Łodzi swój handel materiałami farbiarskimi. Zaopatrując już oddawna niektóre miasta polskie w farby, chciał teraz rozwinąć swe przedsiębiorstwo na szerszą skalę i dostarczać materiałów do farbiarni i sklepów detalicznych⁵⁾.

W marcu sprowadził Kopisch z zagranicy pierwsze zapasy płótna. Stosując się do wymagań kontraktu, część płótna, która odpowiadała wartości cła umorzonego, oddał do urzędowego depozytu. Płótno było trzymane pod wspólnym kluczem burmistrza oraz urzędu skarbowego⁶⁾. Resztę sprowadzonego płótna rozesał na sprzedaż do Warszawy i innych miast województwa.

Rząd Królestwa żywo interesował się działalnością Kopischa. Z Warszawy wysyłano do Łodzi urzędników, którzy badali stan zakładu oraz dokonane w nim prace. Urzędnicy składali rządowi szczegółowe raporty. Stwierdzają one, iż w roku 1828 Kopisch zajmował się naprawą domów, urządzeniem magla i folusza, przebudował maszynię wodną, zaopatrzył dom blicharski w inwentarz oraz rozpoczął budowę domu przeznaczanego na magiel skrzyniasty i składy⁷⁾. W ciągu tegoż roku sprowadził do Łodzi 100 rodzin tkaczy⁸⁾, za co otrzymał od rządu 6000 złp. Tkaczy sprowadzonych, a także zamieszkałych już dawniej w Łodzi i okolicy, zatrudniał wyrabianiem płócien, które

1) i 2) Stały na południe od domu fabrycznego.

3) A. A. D. W. Nr kat. 3074, k. 25—54.

4) Burmistrz na ten czas przeniósł się do osady sukienniczej.

5) A. S. Nr kat. 39/712, v. I, k. 117—118.

6) A. A. D. Ł. Akta sprowadzonych materiałów z zagranicy do tkanin bawełnianych za licencjami. Nr kat. 3858.

7) A. S. Nr kat. 39/712, v. I, k. 160—162.

8) A. A. D. W. Akta raportu rocznego 1828. Nr kat. 17.188.

bielił i wykańczał w zakładzie płócienniczym. W roku 1828 tkacze zajęci przez Kopischa wyrobili około 40 000 łokci płótna¹⁾.

Z powodu napływu tkaczy zrobiło się w osadzie płócienniczej ciasno, wolne place wszystkie były zajęte. Kopisch, chcąc na przyszłość zapewnić pomieszczenie dla przybywających w dalszym ciągu z zagranicy rękodzielników, nabył w listopadzie na rzecz gminy m. Łodzi grunty wójtostwa zarzewskiego, położone na południowo-wschodnim krańcu osady prządniczej. Otrzymał na ten cel 6000 złp. z głównej kasy wojewódzkiej²⁾. Na zakupionym terytorium utworzył nową osadę tkacką zwaną Ślązaki, która składała się z następujących placów: przy ul. Do Przędzalni — od Nr 1 do 15, przy ul. Zarzewskiej — od Nr 16 do 42. Zajmowała ona obszar wynoszący 132 morgi. Kontraktem z 24. X. 1828 r. Kopisch zobowiązał się zabudować wszystkie place, a domy sprzedawać przybywającym do Łodzi tkaczom. Na budowę domów otrzymał od rządu pożyczkę oraz drzewo bezpłatnie³⁾.

W połowie 1829 roku przybył do Łodzi komisarz Tykel, naczelnik Sekcji Fabrycznej, i sprawdził osobiście stan zakładu płócienniczego. W raporcie wykazał co następuje: wartość zakładu wynosiła 432 785 złp., które stanowiły kapitał obiegowy; po potrąceniu długów pozostawało Kopischowi 183 521 złp. czystego majątku; Kopisch uregulował hipotekę swych nieruchomości i na nich zabezpieczył następujące sumy: 79 945 złp. 17 gr. (za nabycie zakładu), 30 000 złp. (pożyczka budowlana) i 120 000 złp. (kaucja na rzecz skarbu publicznego); nieruchomości i ruchomości ubezpieczył w towarzystwach ogniowych⁴⁾.

Informacje te stwierdzały, że Kopisch wywiązywał się należycie z obowiązków kontraktowych. Wskutek tego władze skarbowe udzielały mu corocznie zezwoleń na bezpłatne sprowadzanie płócien zagwarantowane licencją oraz sprowadzanie z zagranicy przędzy lnianej za opłatą cła zniżonego do $\frac{2}{5}$ części obowiązującej taryfy.

Ponieważ przedsiębiorstwo rozwijało się pomyślnie, Kopisch począł starać się o rynki zbytu dla wyprodukowanych tkanin. W drugiej połowie 1828 roku otrzymał z Petersburga zamówienie na partię

¹⁾ Flatt, j. w., str. 98.

²⁾ A. A. D. Ł. Akta nabycia wójtostwa Zarzew, tudzież wystawienia domów dla tkaczy przez Rząd w osadzie Ślązaki. Nr kat. 5423, k. 10—11.

³⁾ A. A. D. W. Akta stanu fabryk zapomogą rządową wspartych. Nr kat. 18.616.

⁴⁾ A. S. Nr kat. 39/712, vol. II, k. 22—27.

wyrobów lnianych polskich, ściślej — na cienkie płótna i bieliznę stołową. Kopisch przyrzekł wykonać zamówienie w przeciągu trzech miesięcy. Przy realizowaniu tych planów wyłoniły się jednak trudności. Rosyjskie ministerstwo finansów wymagało przedstawienia znaku fabrycznego tego zakładu, który eksportował materiały do Rosji¹⁾, tymczasem Kopisch nie obrał jeszcze znaku i nie mógł go obrać dopóty, dopóki rząd Królestwa nie wydał instrukcji, któraby zawierała ogólne prawidła co do sposobu cechowania wyrobów krajowych. Kopisch w oczekiwaniu decyzji rządu odłożył na czas późniejszy sprawę wysyłania płócien do Rosji.

W roku 1829 zwrócił się do zastępcy ministra wojny gen. Haukego i zaproponował mu dostawę płócien dla wojska na rok 1830 i następne²⁾. Gen. Hauke odniósł się do planów Kopischa przychylnie i nawet zachęcał go do jak najszybszego zajęcia się wyrobem płótna w gatunkach potrzebnych dla wojska polskiego.

W nadziei otrzymania powyższych dostaw Kopisch złożył do władz rządowych podanie z prośbą, aby wolno mu było w tym celu sprowadzić z zagranicy 190 000 f. przędzy za opłatą jedynie cła wchodowego, t. j. po 2 gr. od funta. W czerwcu Rada Administracyjna z upoważnienia cesarza wydała Kopischowi zezwolenie na import 155 000 f. przędzy lnianej za opłatą cła wynoszącego po 2 gr. od funta³⁾. Był to poważny sukces dla przedsiębiorstwa Kopischa.

W lipcu 1829 r. zawarto z Kopischem kontrakt w sprawie dostaw dla wojska. Kopisch zobowiązał się w ciągu pięciu lat, t. j. od 1830 do 1834 roku, dostarczać płótna w ilości od 400 000 do 500 000 łokci rocznie⁴⁾. Wyrabianiem wojskowego płótna zajął tkaczy zamieszkałych w kolonii Ślązaki i przygotował im w tym celu odpowiednie warsztaty.

Wpływ Kopischa na rozwój produkcji włókienniczej lnianej w Łodzi zaznaczał się coraz silniej. W roku 1829 ogólna ilość wyrobionego tutaj płótna wyniosła około 134 000 łokci⁵⁾. Wobec pomyślnego stanu

¹⁾ Rządowi rosyjskiemu chodziło o to, aby obce płótna pod firmą polskich nie przędzawaty się do Rosji.

²⁾ A. A. D. W. Akta dostawy płótna na potrzeby wojska. Nr kat. 18.490.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ A. A. D. W. Nr kat. 3074, k. 82. Dane statystyczne z tego okresu wobec wielu rażących sprzeczności przyjmować należy z wielką ostrożnością. W archiwalnych wykazach statystycznych brak zdecydowanej segregacji materiałów przy podawaniu ilości wyprodukowanego w Królestwie płótna, stąd niekiedy zaliczano razem jako płótna wyroby bawełniane, lniane i konopne; poza tym nie zawsze oddzielano wyroby domowe wyprodukowane na własny użytek od wyrobów przeznaczonych na sprzedaż. Wobec tych okoliczności niektóre dane statystyczne wymienione w niniejszej pracy służyć mogą jedynie jako orientacyjne.

zakładu płócienniczego majątek Kopischa wzrastał i w końcu czerwca po potrąceniu passywów osiągnął sumę 287 532 złp. Na terenach swego zakładu Kopisch wystawił trzypiętrowy murowany budynek przeznaczony na mieszkanie oraz na potrzeby fabryki¹⁾. W tym też roku rozwiązał spółkę z Werkmeisterem i stał się odtąd wyłącznym właścicielem przedsiębiorstwa²⁾.

Zobowiązania wynikające z kontraktu o dostawę płócien dla wojska pozwalały Kopischowi występować w stosunku do władz rządowych z wieloma prośbami. Po otrzymaniu zezwolenia na sprowadzenie z zagranicy przędzy prawie bez cła, zwrócił się do Banku Polskiego z prośbą o pożyczkę w sumie 120 000 złp. na zakupno surowców. Poparty przez prezesa Rembielińskiego oraz dyrektora przemysłu Radoszewskiego otrzymał Kopisch pożyczkę w sumie 30 000 złp. jako kredyt osobisty oraz 90 000 złp. pod zastaw przędzy w wartości równej sumie pożyczonej. W następnym roku Bank Polski otworzył Kopischowi kredyt na drugie 90 000 złp., które zabezpieczono na hipotecę jego nieruchomości³⁾.

W świetle tych faktów widoczne jest, że rząd Królestwa Kongresowego udzielał Kopischowi stałego i wydatnego poparcia. Ówczesny minister spraw wewnętrznych niepokoił się jednak, czy wysiłki rządu osiągną swój cel, czy kapitały wyłożone na zakład płócienniczy zwrócone zostaną krajowi⁴⁾.

W kwestii uprzywilejowania Kopischa zabrały głos sfery przemysłowe. We wrześniu 1830 roku grupa kupców warszawskich złożyła do władz rządowych podanie, w którym występowała przeciw udzielonej Kopischowi licencji i bezpłatnemu sprowadzaniu przez niego płócien. Dowodzili oni, że przedsiębiorca ten zamiast grubego płótna kopowego sprowadza płótna cienkie, aby je potem sprzedać w Warszawie na bieliznę. Zwracali uwagę, że licencje wyrządzają im szkodę i wywołują niezdrową konkurencję⁵⁾. Reklamacje kupców nie zostały uwzględnione.

¹⁾ A. S. Nr kat. 39/712, vol. II.

²⁾ Werkmeister wyjechał do Prus przed rokiem 1831. (A. A. D. Ł. Księga ludności osady rękodzielniczej Łódka).

³⁾ A. S. Nr kat. 39/712, vol. II.

⁴⁾ „Nie mogę zataić — pisał Mostowski — że uważam tu wielką niesprawiedliwość dla innych podobnych fabrykantów, a nawet niezawodne przygotowanie ich upadku, gdy Kopisch tak ogromne dobrodziejstwo już z monopolowego kontraktu ciągnący jeszcze wsparcia pieniężne i zareczenia otrzymuje. Słać jednemu drogę, przygotowując mu zyski ogromne, lecz fabryka trwać będzie póty tylko, póki te zyski, a inni fabrykanci znikną i kraj po kilkunastu latach będzie bez fabrykacji płótna, która i tak w nim bez wielkich i ciągłych ofiar nie utrzyma się“. A. S. Nr kat. 39/712, vol. II.

⁵⁾ Tamże.

Rok 1830 — to okres największej pomyślności „fabryk i handlu płócien Tytusa Kopischa”. Z początkiem następnego roku atmosferę zaufania i optymizmu sfer oficjalnych w stosunkach z Kopischem zaczęły mącić obustronne pretensje. Pierwszy wystąpił Kopisch, który korzystając z trudnej sytuacji politycznej rządu chciał uzyskać dla siebie jak najdalej idące ustępstwa. W podaniach składanych do rządu skarżył się, że wskutek rewolucji nie może liczyć na zbyt towarów do Rosji, że w dziedzinie przemysłu lnianego rząd popiera Girarda, że na licencji stracił, ponieważ komory celne wysyłały mu płótna z opóźnieniem, i t. d. Z tych względów uchylał się od regulowania długów w Banku Polskim i prosił o skreślenie z jego hipoteki kaucji zapisanej na rzecz rządu¹⁾.

W odpowiedzi władze rządowe wyjaśniły, że Kopisch sam był winien opóźnieniom w wysyłce płótna, ponieważ sprowadzał z zagranicy gatunki cieńsze od dozwolonych²⁾; co do Girarda, to zakład jego nie został jeszcze otwarty. Na zatamowany zbyt do Rosji Kopisch nie powinien uzalać się, gdyż wyrabiał tak mało płótna, że go nawet dla kraju nie starczyło.

Jak wiadomo, Kopisch zobowiązał się do dostaw płótna dla wojska polskiego. Tymczasem zamiast kontraktem przyobiecanych 424 800 łokci płótna, dostarczył w roku 1830 tylko 76 577½ łokcia³⁾. Płótno wyrobione ze sprowadzonej z zagranicy dla wojska przędzy sprzedał prywatnie, ponieważ w ten sposób osiągnął wyższe ceny.

Stanowisko Kopischa w tym ciężkim dla Królestwa okresie było mocno dwuznaczne. W kwietniu 1831 roku udał się do obozu armii polskiej stacjonującej pod Mińskiem, zabrał ze sobą wozy naładowane wiktuałami, którymi, jak mówił, miał zamiar handlować. W czasie odwrotu wojsk powstańczych Kopisch został zabrany do niewoli rosyjskiej⁴⁾. Dzięki temu w kilka lat później będzie mógł powoływać się wobec rządu rosyjskiego na „znakomite przysługi... w czasie uśmierzenia buntu wojsku cesarskiemu wyświadczone”⁵⁾.

Nieobecność Kopischa w Łodzi odbiła się niekorzystnie na funkcjonowaniu zakładu. Wielu tkaczy przez niego zatrudnionych przestało pracować z powodu braku przędzy. Rząd Królestwa, chcąc zająć

1) A. S. 39/712, vol. II, k. 97—100.

2) Kopisch nie wyzyskał licencji całkowicie. W latach 1828—1845 sprowadził 72 710 funtów płótna bielonego i 7825 f. białizny stołowej. A. S. Akta zakładów fabrycznych. Nr. kat. 1 lit. Z

3) A. A. D. W. Nr kat. 18.490, k. 176.

4) A. S. Nr kat. 39/712, vol. II, k. 106—107.

5) A. S. Nr kat. 39/712, vol. III.

tkaczy oraz nie dopuścić, aby ludność fabryczna rozeszła się, wezwał brata Kopischa — Wilhelma do prowadzenia zakładu. Z powodu braku płócien, który dawał się we znaki wojsku powstańczemu, polecono Wilhelmowi Kopischowi, aby kontynuował dostawę, do której zobowiązał się jego brat.

Mimo starań rządu zakład płócienniczy upadał. Niewielka poprawa nastąpiła po powrocie Tytusa Kopischa. Według kontraktu miał on rozpocząć od roku 1832 spłacanie długów rządowych. Chcąc uwolnić się od przykrego obowiązku oraz zmniejszyć swą odpowiedzialność, przedstawił rządowi straty, jakie poniósł w czasie prowadzenia zakładu. W podaniu swym wyjaśnił na wstępie, iż zakład płócienniczy niestaranie i wadliwie był urządzony, co zmuszało go do ciągłego naprawiania budynków i urządzeń fabrycznych. Wskutek tego z odebranej sumy 79 945 złp. 17 gr. stracił co najmniej połowę. Kopisch podkreślił, że ze swej strony wypełnił wszystkie zobowiązania, które na niego kontrakt nakładał: urządził bielnik, folusz, płóczkarnię i magiel, zbudował dom mieszkalny trzypiętrowy, kapitał obiegowy podniósł do 70 000 talarów. Jako przyczynę nieosiągnięcia wyższej sumy podawał straty poniesione przy licencji, która była źle obliczona w kontrakcie. Wobec tego, że cło od płótna kopowego wynosiło według taryfy nie 3 złp. 10 gr. lecz 2 złp. 15 gr. od funta, stracił, jak twierdził, 41 666 złp. 20 gr. Płótno przywiezione z zagranicy był zmuszony, z powodu przemycania tego materiału w znacznych ilościach, sprzedawać z zarobkiem niższym od wysokości zanulowanego cła, stąd strata 75 000 złp. Całkowitą stratę na licencji Kopisch obliczył na 116 666 złp. 20 gr. Skarżył się także, że rząd wbrew art. 13 kontraktu udzielał innym przedsiębiorcom licencji na sprowadzanie płótna bez opłaty celnej. Miał także kłopoty — jak dowodził w podaniu — z założoną przez siebie kolonią „Ślązaki”. Zbudował tam 28 domów drewnianych dla tkaczy, na co wydał 15 000 złp. oprócz sumy na ten cel wyasygnowanej przez rząd i wynoszącej 6300 złp. Ponieważ tkacze nie uiszczali należności za zajęte przez nich domy, wobec tego Kopisch prosił rząd o przejęcie kolonii i o zwrot wyłożonej przez niego sumy¹⁾. W sprawie zobowiązań pieniężnych podał wniosek, aby kaucja 120 000 złp. zapisana na nieruchomościach zakładu została skreślona, oraz aby wynagrodzenie należne mu na mocy 12-go artykułu kontraktu

¹⁾ W latach późniejszych władze Królestwa Polskiego uznały słuszność tej pretenzji. A. A. D. Ł. Nr kat. 5423.

i wynoszące 20% od 70 000 talarów kapitału obiegowego odciągnięte zostało z sum, które był dłużny rządowi i Bankowi Polskiemu¹⁾.

Tak w ogólnym zarysie przedstawiały się pretensje Kopischa. Zmierzały one do stwierdzenia, iż wysiłki rządu Królestwa w kierunku zaprowadzenia przemysłu lnianego w Łodzi nie osiągnęły pożądaných rezultatów.

Wyraźny upadek przedsiębiorstwa Kopischa rozpoczął się od roku 1831. Już w czasie rewolucji zakład popadł w stagnację z powodu braku surowca, którego nie można było sprowadzać z zagranicy. Gdy Kopisch wrócił do Łodzi, zastał fabrykę unieruchomioną. Naprawa tego stanu rzeczy wymagała dużych wkładów pieniężnych, których już nie można było spodziewać się od rządu z powodu zmienionej sytuacji politycznej. Kopisch próbował własnymi siłami uruchomić przedsiębiorstwo, czego dowodem jest sprowadzenie z zagranicy kilkunastu tysięcy funtów przędzy lnianej. Lecz już w roku następnym, t. j. 1833, sprowadził tylko połowę tej ilości, a w latach późniejszych wcale przędzy nie sprowadzał. Ponieważ na miejscu nie było surowca w dostatecznej ilości, znaczyło to, że zaprzestał fabrykacji płócien. Zaniechał jej, ponieważ nie miał widoków zbytu na materiały. Próbował wystarać się o dostawę dla wojska rosyjskiego, lecz spotkał się z odmową. Upadek przedsiębiorstwa lnianego łódzkiego nastąpił szybko, w roku 1833 było ono już całkowicie nieczynne²⁾.

W tym czasie Kopisch zwrócił się do rządu z prośbą o wynagrodzenie mu strat wynikłych z powodu rewolucji oraz zmiany stosunków handlowych Królestwa z Cesarstwem, a także z powodu niedotrzymania kontraktu o dostawę płótna dla wojska. Pretensje jego sięgały olbrzymiej sumy 548 655 rs. 57 kop³⁾. Rada Administracyjna, rozpatrzywszy pretensje Kopischa, wiele z nich odrzuciła i wreszcie w r. 1835 przyznała mu odszkodowanie w wysokości 31 973 rs. 40 kop. Długi Kopischa wobec rządu i Banku Polskiego w sumie 27 620 rs. 70 kop. Rada umorzyła przez odliczenie ich od sumy przyznanego odszkodowania. Na pomyślne załatwienie sprawy długów Kopischa wpłynął względnie nie tylko na krytyczne położenie tego przedsiębiorcy, ale i na „okazaną przezeń przychylność dla prawego rządu w czasie rokосу 1830/1...”⁴⁾. Przypadająca z powyższych obliczeń różnica nie została Kopischowi wypłacona pomimo jego usilnych starań.

1) A. A. D. W. Nr kat. 18.616, k. 117—125.

2) A. A. D. Ł. Nr kat. 5416, k. 266. Nagiel H. Rys przemysłu tkackiego w Królestwie Polskim od 1815 roku. „*Ekonomista*”. 1880. Nr 18. Str. 11.

3) 1 rs. = 6²/₃ złp. = 6 złp. 20 gr.

4) A. A. D. W. Akta fabryki płótna p. Kopisch. Nr kat. 1959.

Zakład nie przestał istnieć, lecz Kopisch prowadził go na małą skalę, na własne ryzyko, zajmując się wyrobem i apreturą materiałów bawełnianych. Pozostawał ciągle w kłopotach finansowych, często zagrożony licytacją za niepłacenie podatków, przytem zdrowie mu nie dopisywało. Wreszcie zniedołężniały z powodu kilkuletniej choroby i niezdolny do prowadzenia interesów przepisał w roku 1846 zakład na imię swej żony Emilii. W roku następnym Kopischowa sprzedała przedsiębiorstwo braciom Henrykowi i Jakubowi Peters za 29 700 rs.¹⁾ W tym samym roku Tytus Kopisch zmarł²⁾.

Rezultaty działalności Kopischa, mimo widocznych w pewnym okresie korzyści dla przemysłu lnianego w Królestwie, okazały się niewspółmierne z kosztami, jakich nakładem zakład płócienniczy powstał i funkcjonował. Kopisch otrzymał od rządu kapitał w postaci urządzeń zakładu, zaciągnął pożyczki w Banku Polskim, otrzymał pożyczkę budowlaną, sprowadzał z zagranicy przędzę za zniżonym cłem oraz płótna bez opłaty cła. Jeżeli zsumujemy kwoty stąd uzyskane, to stwierdzimy, że dobrodziejstwa rządu wyświadczone Kopischowi sięgnęły sumy 753 707 złp. 25 gr.³⁾ Prócz tego miał on pierwszeństwo w dostawach dla wojska polskiego oraz posiadał zaufanie i poparcie władz we wszystkich swoich poczynaniach. Ze swej strony wymagał dużo, obiecywał wiele, a przyniósł przemysłowi lnianemu korzyści krótkotrwałe. Dzięki przychylności rządu rosyjskiego Kopisch stał się właścicielem zakładu bez obowiązku zwrotu kosztów rządowych i z umorzeniem długów w Banku Polskim. Nie takich rezultatów oczekiwał rząd Królestwa Kongresowego, zapoczątkowując przemysł lniany w Łodzi.

IV. ORGANIZACJA PRODUKCJI

Niezmiernie ważną dla rozwoju przemysłu lnianego w Królestwie Kongresowym była ta okoliczność, że surowiec mógł być na miejscu. Jeszcze przed założeniem osady przemysłowej „Łódki“ istniały pod Łodzią osiedla szwabskich kolonistów rolnych, którzy byli dostawcami surowca lnianego⁴⁾. Uprawa lnu stała tutaj na niskim poziomie,

¹⁾ A. A. D. Ł. Akta zakładu bielnikowego J. P. Tytusowi Kopischowi nadanego pro 1835. Nr kat. 90

²⁾ A. A. D. W. Nr kat. 1959.

³⁾ Do powyższej sumy doliczono pożyczkę rządową pobraną przez Kopischa w roku 1841 i wynoszącą 50 000 złp. W latach 1828—1833 Kopisch sprowadził z zagranicy 51.101 funtów przędzy lnianej za opłatą celną 2 gr od funta oraz 33.315 f. przędzy lnianej za opłatą 9¹/₅ gr. Stąd nie dopłacił do właściwej taryfy celnej sumę 51 095 złp. 18 gr.

⁴⁾ A. A. D. W. Nr kat. 19.337.

a otrzymywany surowiec był na ogół mało wartościowy. Założone w Łodzi i Pabianicach¹⁾ osady prządków zajmować się miały oprócz przedzenia uprawą lepszych gatunków lnu. W trosce o podniesienie jakości produkcji badano wartość gleby przed rozdaniem jej łódzkim prządkom pod uprawę. Starano się także o odpowiednie nasienie lnu. Za najlepsze uchodziło siemię sprowadzane z ziem nadbałtyckich rosyjskich lub ze Śląska pruskiego, w ciągu kilku lat w suchym miejscu przechowywane. Cło na siemię lniane było niskie, lecz mimo to producenci domagali się jego obniżenia, a nawet całkowitego zniesienia. Hurtowe ceny siemienia lnianego w roku 1827 wynosiły w Łodzi od 16 do 28 gr. za garniec²⁾, ceny lnu — około 20 złp. za kamień (kamień = 10 kg 140 g).

Wyprawa włókna lnianego odbywała się w sposób następujący: słomę lnianą rozszono lub moczoно; ponieważ pierwszy sposób wymagał dużo czasu i pracy, częściej stosowano drugi; międlono ręcznie. Próbowano stosować mechaniczne międlenie na maszynie, składającej się z wielkiego cylindra, dookoła którego obracały się karbowane walce; między walcami przesuwano łodygi lnu³⁾. Maszyny te, rozpowszechnione za granicą, w Królestwie Kongresowym nie przyjęły się, gdyż warstwa ludności zajmująca się uprawą lnu była zbyt uboga, aby móc pozwolić sobie na zakup maszyn.

Słomy lnianej i przędzy dostarczać mieli na terenie Łodzi prządkowie. Z otrzymanych w osadzie prządniczej trzech morgów gruntu zobowiązali się obsiewać lnem najmniej $\frac{1}{2}$ morga, a z zebranego przez siebie lnu wyrabiać corocznie 100 sztuk przędzy lnianej⁴⁾. Praca prządków była kontrolowana przez władze municypalne. W końcu czerwca każdego roku prządek miał pokazać burmistrzowi jeden móg obsiany lnem, a w pierwszym tygodniu po świętach wielkanocnych wyrobioną w ciągu zimy przędę. Na podstawie tego burmistrz sporządzał corocznie listę obrazującą stan produkcji łódzkich prządków.

W pierwszych latach po osiedleniu się w Łodzi prządkowie wykazali znikomą działalność. Mimo złożonych zobowiązań nie obsiewali gruntów lnem. Wpływała na to ich sytuacja majątkowa. Byli

¹⁾ Pod Pabianicami w Xawerowie założono około roku 1824 osadę prządków. A. A. D. W. Akta osady prządków w Xawerowie pod Pabianicami w woj. kaliskim. Nr kat. 19.565, 19.566.

²⁾ A. A. D. Ł. Akta umorzeń poczynionych forszusów z kasy m. Łodzi, Nr kat. 59b

³⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5410, k. 3—5.

⁴⁾ A. A. D. Ł. Akta forszusów z kasy miejskiej poczynionych. Nr kat. 41.

to ludzie bardzo biedni, przybywali z licznymi rodzinami, zajmowali najtańsze domy, jakie w osadzie „Łódka“ istniały, grunt przylegający do domu obracali na uprawę warzyw zamiast na len; przytem ciągle domagali się od władz zapomóg. Minister Mostowski wielce był niezadowolony ze sprowadzenia takich nędzarzy¹⁾.

Aby znaleźć jakiś zarobek prządkowie brali początkowo od obywateli miejskich len, z którego za opłatą wyrabiali przędzę. Sytuacja częściowo poprawiła się, gdy burmistrz łódzki zakupił siemię lniane i począł sprzedawać je prządkom po cenach hurtowych lub w razie potrzeby dawał na kredyt²⁾. Wykazy municypalne stwierdziły, iż w roku 1828 prządkowie wyrobili 5855 sztuk przędzy; na jednego prządka zatem wypadało przeciętnie 36,14 sztuki; w roku 1829 przestrzeń obsiana lnem wynosiła 8815½ prętów kwadratowych (300 prętów kwadr. = 1 mórg), stąd na jednego prządka wypadało przeciętnie 53,42 pr. kw. Były to rezultaty niezadowalające, jeżeli zważymy, że prządkowie zobowiązali się do obsiewania najmniej 150 pr. kw. W okresie swej najwyższej produktywności, t. j. w roku 1830, prządkowie obsiali lnem przeciętnie po 120 pr. kw. na jeden plac³⁾. Zaznaczyć należy, iż ludzie ci musieli być stale przez władze przynaglani do wypełniania swych obowiązków.

Znaczne pogorszenie w tej sprawie nastąpiło w czasie powstania listopadowego. Prądkowie gromadnie porzucali uprawę lnu, a grunta zamieniali na ogrody warzywne. Byli oni częściowo usprawiedliwieni. Uprawa lnu łączyła się z wielkim nakładem wysiłku i umiejętności, zarówno w czasie wzrastania rośliny jak i samej obróbki; ponadto praca związana z uprawą lnu rozłożona była na szereg miesięcy i dopiero w końcowym swym etapie mogła być spieniężona, przytem zarobki stąd pochodzące były bardzo niskie⁴⁾. W przeciwieństwie do tego uprawa warzyw mogła być pracą dorywczą spełnianą przez wszystkich domowników, a produkty tą drogą otrzymane wyżywić mogły całą rodzinę przynajmniej w okresie jesieni i wczesnej zimy. Nic też dziwnego, że prządkowie w czasie zamieszek politycznych, nie pilnowani przez rząd, poszli po linii najmniejszego oporu i rychło porzucili len, a zajęli się oprócz rolnictwa wyrobem przędzy bawełnianej w gorszym gatunku.

¹⁾ „Sprowadzenie tych ubogich ludzi — pisał Mostowski — jest niebezpieczne i lekko wyrachowane“. A. A. D. W. Nr kat. 17.186.

²⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 41.

³⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5410.

⁴⁾ A. A. D. Ł. Akta budowy domów przez prządków. Nr kat. 5424a.

Poza wyżej omówioną kolonią prądków wytwarzaniem prędky lnianej na terenie Łodzi zajmować się miała przędzalnia mechaniczna, która powstała po założeniu osady prądków. Sprawa przędzalni trudna była do przeprowadzenia z powodu braku w Polsce odpowiednich maszyn. Mimo to prezes Komisji Wojew. Mazowieckiego postanowił ją zrealizować, aby zapewnić tkaczom jak najszybsze dostarczanie surowca, gdyż osada prądków była wówczas w początkowym stadium rozwoju i nie mogła zaspokoić miejscowego zapotrzebowania.

Założenia przędzalni lnianej podjął się przybyły z Saksonii Jan Krystian August Rundzieher. 14 maja 1826 roku Rembieliński zawarł z nim kontrakt, mocą którego Rundzieher zobowiązał się sprowadzić z Saksonii do Łodzi swoje maszyny przędzalnicze o dwu asortymentach. Przędzalnia miała być czynna w ciągu najmniej dziesięciu lat oraz wyprząść rocznie około 250 centnarów lnu i 250 centnarów pakuł, głównie na grubą przędzę. Rundzieher zastrzegł sobie uzyskanie od rządu pożyczki w sumie 40 000 złp. na 6%, spłacalnej w 20 rocznych ratach po upływie jednego roku wolnego; zobowiązał się wystawić budynek fabryczny, któryby mógł pomieścić cztery asortymenty maszyn przędzalniczych, oraz przyrzekł urządzić groblę i upust jałowy. Zakład miał stanowić prywatną własność Rundziehera i służyć jako asekuracja pożyczki budowlanej. W ostatnim punkcie kontraktu przyobiecano Rundzieherowi wyjednanie licencji na sprowadzenie z zagranicy 100 centnarów materiałów lnianych z cłem niższym do $\frac{2}{3}$ części¹⁾.

Mimo układów zawartych przez Rembielińskiego z nowym przemysłowcem minister spraw wewnętrznych nie zatwierdził kontraktu²⁾, uważając, iż Rundzieherowi za wiele obiecano, sprzeciwiał się także licencji, której ostatnio kilku przedsiębiorców nadużyło, odstępując uzyskany przywilej kupcom żydowskim.

W połowie 1827 roku Rundzieher przywiózł maszyny do Łodzi. Przędzalnia miała być urządzona na placu oznaczonym numerem 285³⁾. Budynki fabryczne postawiono nad kanałem, który ciągnął

¹⁾ A. A. D. W. Akta przędzalni lnu i paczesi Pa Rundzieher w Łodzi a teraz Gust. Zacherta w woj. mazowieckim. Nr kat. 19.381.

²⁾ Mostowski zalecał ostrożność w zawieraniu kontraktu z Rundzieherem: „Powszechnie doświadczenia w obcych krajach, -- mówi -- a nawet i w Anglii, dotąd zakłady przędzące len na machinach w bardzo niepewnym utrzymaniu wystawiają i te nigdzie z wielkim dla przedsiębiorców pożytkiem nie istnieją“. A. A. D. W. Nr kat. 19.381, k. 1-4.

³⁾ Później rozszerzyła się na place nr 286—295. Porównać: Plan sytuacyjny osady rękodzielniczej Łódki. Zał. 1.

się od przędzalni do stawu młyna rokickiego¹⁾). Motor fabryczny stanowiło jedno koło wodne.

W murowanej dwupiętrowej przędzalni wielkości 54 ł. × 25 ł. umieścił Rundzieher następujące maszyny i narzędzia: dwie maszyny gremplowe do pakuł i dwie do lnu, jedną maszynę wyciągalną do lnu o sześciu nasadach i takąż do pakuł o czterech nasadach, jedną maszynę konwiową do lnu o czterech nasadach i takąż do pakuł, trzy maszyny prądnicze do lnu o 42 szpulach, cztery o 48 szpulach oraz pięć do pakuł o 24 szpulach, poza tym cztery moutowidła, sześć szczotek do czesania lnu i wreszcie jedną prasę do pakowania przędzy²⁾).

Na budowę przędzalni otrzymał Rundzieher 58 000 złp. pożyczki. Zamiast licencji obiecano mu wynagrodzenie 18 300 złp., odpowiadające wartości $\frac{3}{5}$ części cła. Pieniądze te miał otrzymać po wykończeniu budowli i maszynierii wodnej oraz wprowadzeniu przędzalni w ruch. Minęło jednak kilka lat od zawarcia kontraktu, lecz zakład przędzalniczy nie zaczął funkcjonować. Rundzieher przynaglany przez rząd odkładał stale termin uruchomienia przędzalni, tłumacząc się brakiem kapitału obrotowego. Wreszcie, nie mogąc podołać trudnościom finansowym, Rundzieher sprzedał dom fabryczny Hubertowi Beyer, który przejął na siebie jego zobowiązania pieniężne wobec rządu³⁾).

Rundzieher pozostał właścicielem przędzalni, lecz w dalszym ciągu nie wprowadzał jej w ruch. Okazało się, że maszyny zupełnie nie odpowiadały swemu zadaniu i złożono je na przechowanie u Kopischa, gdzie stały bezczynnie⁴⁾). Rundzieher tłumaczył się, że w wykonaniu kontraktu przeszkodziła mu wojna 1830/31 roku, w czasie której poniósł wielkie straty, a także zajęty był „poskramianiem rokосу“.

W rezultacie pomysł założenia mechanicznej przędzalni lnu spełził na niczym. Próby zmechanizowania przędzalnictwa w tej dziedzinie wytwórczości nie udawały się współcześnie i w innych krajach Europy,

1) A. A. D. Ł. Akta regulacji i melioracji Starego Miasta Łodzi. Nr kat. 5396.

2) A. A. D. W. Nr kat. 19.381, k. 95-96.

3) W zakupionym budynku Hubert Beyer założył przędzalnię wełny. W roku 1832 sprzedał swój zakład Gustawowi Zachertowi przelewając na niego zobowiązania pieniężne Rundziehera wobec skarbu Królestwa. Gustaw Zachert długu rządowego nie zwrócił. W roku 1840 porzucił zniszczony zakład i wyjechał do Rosji. A. A. D. W. Akta o wynagrodzeniach strat Augusta Rundziehera. Nr kat. 5820.

4) A. S. Akta pożyczki przez rząd udzielonej dla Rundischer (I) Aug., a teraz Zacherta Gust. Nr kat. 31/ $\frac{\text{VIII}}{\text{III}}$ Z, 17.

bardziej uprzemysłowionych¹). Główną przeszkodą w wynalezieniu dobrych maszyn przędzalniczych były właściwości włókna lnianego, a mianowicie jego kruchość i łamliwość, wskutek czego w przędzeniu maszynowym nici lniane często rwały się. Na zachodzie Europy prądki ręczne całkowicie zaspokoili zapotrzebowanie przędzy lnianej, a w pewnych wypadkach współzawodniczyli z przędzalnictwem maszynowym²). W Łodzi wobec małej aktywności prądaków zakład mechaniczny mógł funkcjonować z korzyścią. Stało się inaczej, głównie wskutek niskiej wartości produktywnej umieszczonych w nim maszyn przędzalniczych.

Wobec słabego rozwoju przędzalnictwa lnianego łódzkiego trzeba było szukać innych źródeł zdobycia przędzy. Próbowano sprowadzać ją z różnych okolic Królestwa. Było to jednak niewygodne, gdyż w Polsce nie gromadzono w jednym miejscu większych zapasów przędzy, a zbieranie jej małymi partiami po kraju podnosiło nadmiernie cenę surowca. W Królestwie Kongresowym przędza lniana nie była przedmiotem handlu, jak np. na Śląsku, gdyż przeważnie wyrabiali ją włóścianie tylko na własny użytek. Jeżeli sprowadzano przędzę krajową, to najczęściej z województwa augustowskiego, ponieważ tam uprawa lnu była rozwinięta na szeroką skalę. Szczególnie dokuczał tkactwu łódzkiemu brak na miejscu cienkiej przędzy lnianej, odpowiedniej na płótna w lepszych gatunkach. Wyjściem z tej sytuacji był import przędzy zagranicznej. Przedsiębiorcy lniani Królestwa Kongresowego otrzymywali od rządu licencje na sprowadzanie przędzy za zniżoną opłatą celną, najczęściej do $\frac{2}{3}$ części obowiązującego cła. Wobec tego, że cło na przędzę wynosiło 23 gr. od funta, więc po zniżeniu płacono $9\frac{1}{3}$ gr. W latach od 1823 do 1828 sprowadzano do Królestwa Polskiego corocznie od 110 000 do 140 000 funtów w przybliżeniu, w tym przędzy za opłatą $\frac{2}{3}$ cła — od 2000 do 30 000 funtów corocznie; ilość importowanej przędzy zwiększała się z każdym następnym rokiem³).

Wysokie cła na przędzę tamowały rozwój lnianego przemysłu tkackiego i wywoływały zabiegi o ich obniżenie; z drugiej strony zbyt wielkie ułatwienie importu przędzy mogło odbić się niekorzystnie na rozwoju przędzalnictwa rodzimego. Rząd Królestwa,

¹) Około roku 1830 była na Śląsku tylko jedna mechaniczna przędzalnia lnu. Kulischer J. dr Allgemeine Wirtschaftsgeschichte des Mittelalters und der Neuzeit. Zweiter Band — Die Neuzeit. Monachium i Berlin 1929, str. 480.

²) Anglia, mimo wielu w kraju tym istniejących przędzalni mechanicznych, sprowadzała przędzę ręczną z Prus.

³) A. A. D. W. Nr kat. 18.490, k. 69.

chcąc tego uniknąć i oprzeć produkcję włókienniczą lnianą w jak najszerszej mierze na krajowym surowcu, baczył pilnie, by udzielane licencje nie szkodziły tej dziedzinie przemysłu. Tytus Kopisch, kupując przędzę zagraniczną, musiał udowodnić, iż zatrudnia prządków z Łodzi i Pabianic. Przedsiębiorca ten nabywał przędzę, która pochodziła głównie z woj. augustowskiego, Prus i Austrii. W roku 1828 sprowadził z zagranicy 11 781 funtów, w r. 1829 — 19 825 f., w r. 1830 — 28 461 f., w r. 1831 — 6 675 f., w r. 1832 — 12 101 f., w r. 1833 — 5 573 f. (w następnych latach wobec upadku przedsiębiorstwa nie importował przędzy lnianej zagranicznej). Razem sprowadził 84 416 f., w tym 51 101 f. za opłatą celną 2 gr. od funta i 33 315 f. za $9\frac{1}{5}$ gr. od funta¹⁾). Należy dodać, że oprócz Kopischa także różni tkacze miejscowi sprowadzali przędzę z zagranicy, lecz w ilościach bez porównania mniejszych.

Za przędzę zagraniczną płacono od 3 do 4 złp. za funt. Krajowa była tańsza, lecz w gorszym gatunku. W trosce o jakość produkcji lnianej próbowano w Królestwie ustalić wielkość sztuk przędzy, ilość nitki oraz ich długość²⁾). Taka „standaryzacja” miała jednocześnie ułatwić kontrolę pochodzenia wyrobów i przeciwdziałać nielegalnemu importowi przędzy. Jeżeli chodzi o objętość przędzy, to określano ją różnie, zależnie od okolic kraju. Po osiedleniu się cudzoziemskich prządków został przez nich wprowadzony i później szeroko rozpowszechniony podział następujący: sztuka przędzy składała się z 6 motków dwudziestopasmowych, pasmo — z 40 nitki trzyłokciowych. Cieńszą przędzę zwijano w motki na motowidle trzyćwierciowym, grubszą na $\frac{1}{4}$ łokcia zawierającym. Stąd sztuka pierwszego gatunku przędzy miała 14 400 łokci nitki ciągłej, a sztuka drugiego gatunku 19 200 łokci. Jakość przędzy oznaczano liczbami, np. numerem 20, co znaczyło, iż na jeden funt wagi przypadało 20 000 łokci przędzy. Ujednostajnienie długości motków ułatwiała tkaczowi snucie odpowiedniej osnowy.

Wobec ciągłego narzekania tkaczy na brak surowca na miejscu i trudności związane ze sprowadzaniem go z zagranicy lub okolic Królestwa Polskiego, władze administracyjne postanowiły założyć w Łodzi skład lnu i przędzy lnianej. Prowadzenia tego przedsiębiorstwa podjął się w roku 1826 niejaki Koelichen, naddzierżawca ekonomii Przedecz. Na cel wymieniony otrzymał od rządu pożyczkę

¹⁾ A. S. Nr kat. 1 lit. Z.

²⁾ A. S. Nr kat. 38/I, F. 19, vol. IV.

w wysokości 9 000 złp., licencję na sprowadzenie 100 c. lnu z Torunia i Lubawy¹⁾ oraz na 100 c. przędzy lnianej cienkiej za opłatą $\frac{2}{5}$ cła²⁾).

Wiadomość o założeniu składu lnu i przędzy przyjęta została w Łodzi z wielkim zadowoleniem, spodziewano się wielu udogodnień w nabywaniu surowca. Koelichen zobowiązał się dawać surowiec na kredyt, a zamiast pieniędzy odbierać gotowe przetwory za umówioną cenę. Działalność Koelichena na terenie Łodzi była jednak krótkotrwała. Przedstawione przez niego warunki, na jakich miał przyjmować przędzę od prządków i sprzedawać ją tkaczom, uznane zostały przez jednych i drugich za niedogodne, wskutek czego Koelichen nie mogąc dojść z nimi do porozumienia zlikwidował skład lnu i przędzy i wyjechał z Łodzi³⁾.

Kierownictwo składu oddano burmistrzowi m. Łodzi Tangermanowi⁴⁾. Otrzymał on na kupno lnu i przędzy kwotę 4 000 złp. Tangerman prowadził jednak skład nieumiejętnie, płacąc prządkom i tkaczom za ich wyroby zbyt wysokie ceny, w następstwie czego naraził władze na straty⁵⁾. W marcu 1828 r. skład został zlikwidowany. Niedługo istniał i niewiele przyniósł pożytku łódzkiemu przemysłowi.

Jak przedstawiała się organizacja produkcji w następnym jej stadium t. j. w tkactwie?

Tkacz, który osiedlał się w Łodzi, kupował na raty gotowy dom drewniany lub murowany, w razie braku domu otrzymywał pożyczkę i drzewo na budowę. Dom znajdował się na placu o powierzchni około jednego morga; część tego placu tkacz zwykle przeznaczal pod ogród warzywny. Tkaniem materiałów zajmował się rzemieślnik wraz ze swoją rodziną; pracowali prawdopodobnie od świtu do wieczora. Zamożniejszy tkacz miał do pomocy czeladników, szczególnie gdy tego wymagała wielkość przedsiębiorstwa. Przeciętnie majstrowie posiadali od 1 do 4 warsztatów, większa ilość należała do wyjątków. Stałym zajęciem dodatkowym tkacza było rolnictwo, gdyż zarobki uzyskane z rzemiosła nie wystarczały na codzienne utrzymanie.

¹⁾ A. A. D. Ł. Akta utrzymywania składu lnu i przędzy dla fabrykantów 1825. Nr kat. 3860.

²⁾ Koelichen nie wyzyskał licencji na sprowadzenie przędzy. Nr kat. 19.338.

³⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 3860.

⁴⁾ Por.: Litwin J. Muncypalne fabryki włókiennicze dawnej Łodzi. Łódź 1932.

⁵⁾ A. A. D. Ł. Akta dobrodziejstw. Nr kat. 5431.

Obcy przybysze byli to ludzie ubodzy, którzy przywieźli z sobą, jak mówiono współcześnie, „tylko warsztaty, ręce do pracy zdatne i zgłodniałą rodzinę“¹⁾). Zapotrzebowanie ich było tak wielkie, że początkowo rząd w przyjmowaniu cudzoziemców nie stosował żadnego ograniczenia, w późniejszych dopiero czasach starano się, aby wraz z zagranicznym fachowcem napływał do Królestwa obcy kapitał²⁾). Chcąc ułatwić tkaczom egzystencję, rząd wydał rozporządzenie, którego mocą zezwalano każdemu „fabrykantowi” osiedlającemu się w Królestwie na wprowadzenie bez opłaty cła po pięć centnarów przędzy na jeden warsztat³⁾). Wynosiło to około 1500 złp. na jeden warsztat i miało ogromne znaczenie, gdyż przedsiębiorcy w ten sposób bogacili się. Wzrost zamożności tkaczy osady „Łódki” widać z tego, iż spłacali oni zaciągnięte u rządu pożyczki oraz zwiększali z czasem liczbę swoich warsztatów⁴⁾).

Wewnętrzna organizacja tkaczy oparta była na ustroju cechowym, który przynieśli z sobą z ojczyzny⁵⁾). W Łodzi powstał cech płócienniczy tkacki w roku 1824. Protokół jego założenia podpisało 16 majstrów⁶⁾). W roku 1828 należało do cechu 110 majstrów, 30 czeladników i 10 uczniów⁷⁾). Zasięg znaczenia cechu był mocno okrojony, gdyż cechy ówczesne nie posiadały monopolu wytwórczości. Rząd, wydając postanowienie o cechach z dnia 31. XII. 1816 roku, miał prawdopodobnie na celu zaklimatyzowanie cudzoziemców przywykłych do tego ustroju⁸⁾). O działalności cechu płócienniczego łódzkiego akta archiwalne milczą.

Co do ilości robotników i postępu produkcji, informowały o tym roczne sprawozdania przesyłane władzom rządowym. W ich świetle

1) A. A. D. W. Akta osad fabrycznych zawiślańskich. Nr kat. 18.472, k. 78.

2) A. A. D. W. Akta urzędzeń dotyczących się cudzoziemców osiadających w Królestwie Polskim, tudzież zagranicznych kolonistów. Nr kat. 531a k. 53. Minister Lubecki niechętnie patrzył na kapitalistów zagranicznych obawiając się, że ci zubożycielscy się na polskiej ziemi wrócą z majątkiem do swej ojczyzny, podczas gdy ubodzy robotnicy pozostaną w Polsce i zespółą się z ludem polskim. Smolka S. Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowym. Kraków 1907. T. I str. 193, 195.

3) A. S. Akta osad fabrycznych. 4/1/33, k. 20.

4) Tkacze łódzcy otrzymywali więcej ulg, niż tkacze innych okolic Królestwa. Współcześni skarżyli się na to uprzywilejowanie. „Nie dziw więc — pisał Dunin, komisarz fabryczny województw zawiślańskich — jeśli ta rzeczpospolita tkacka wśród otaczającego ucisku prohibicyjnego wzrosła do znaczenia jakiego miasta hanzeatyckiego... teraz tkacze do Łodzi jak po złote runo spieszą...”. A. A. D. W. 18.472, k. 80.

5) Strzelecki W. Chałupnictwo tkackie w Królestwie Kongresowym w latach 1816—1850. Drobny przemysł i chałupnictwo. T. I, str. 54.

6) A. A. D. Ł. Akta cechu tkackiego. Nr kat. 2326.

7) A. A. D. Ł. Akta rozmaitych cechów. Nr kat. 2312.

8) Wobłyj, j. w., str. 200.

widzimy, że w roku 1829 pracowało w Łodzi 198 majstrów tkackich, posiadających około 400 warsztatów lniano-bawełnianych oraz 5 warsztatów do bielizny ciągnionej¹⁾. W tymże roku wyrobiono w Łodzi około 134 000 łokci płótna. Ilość tkaczy zwiększała się z każdym rokiem. Przeprowadzanie się ich do innych miejscowości było utrudnione, łączyło się to z uprzednim uzyskaniem od burmistrza t. zw. „świadcstwa przesiedlenia się“, przy którego wydawaniu władze municypalne sprawdzały, czy tkacz uregulował swoje długi. Jeżeli przesiedlił się nie załatwiwszy przedtem powyższej formalności, to w następstwie poszukiwany był przez władze administracyjne²⁾.

Jaka była zdolność produkcyjna przedsiębiorstw tkackich? Sami tkacze podawali, że ilość wyprodukowanych przez nich płócien dochodziła do 3000 łokci na jeden warsztat rocznie³⁾. Liczba ta zwiększała się lub zmniejszała, co uzależnione było między innymi od jakości produkcji. W osadzie „Łódce“ tkacze zajmowali się jednocześnie tkaniem materiałów bawełnianych, lnianych i konopnych. Rozróżniano płótna grube i cienkie. W Łodzi, jak w całym Królestwie, wyrabiano przeważnie płótna grube, gdyż odpowiednie do tego rodzaju produkcji surowce łatwiej można było znaleźć na miejscu. Wyroby lniane, półlniane, bawełniane i konopne nazywano ogólnie płótnami, w tym rozróżniano płótna kopowe, półsetkowe, żaglowe, flamandzkie, półpłócienka, drelichy, kartuny, weby oraz różne gatunki bielizny stołowej. Wyrobem tej ostatniej, a szczególnie bielizny t. zw. ciągnionej, tkacze zajmowali się rzadziej, gdyż warsztaty do tych materiałów były kosztowne i wymagały umiejętnego obchodzenia się z nimi, poza tym sposoby produkcji bielizny stołowej utrzymywane były przez Niemców w tajemnicy.

Według zwyczajów tkaczy zagranicznych sztuka płótna kopowego miała 60 łokci długości, a 1 $\frac{1}{2}$ ł. szerokości⁴⁾. Inne gatunki płócien miały szerokość mniejszą lub większą, długość przeważnie większą. Cena płótna w Królestwie posiadała dużą rozpiętość i wahała się od 12 groszy do 2 zł. 10 gr. za łokieć, w Łodzi od 12 do 30 gr. za łokieć; wysokość ceny związana była z gatunkiem wyrabianych płócien. Dla osiągnięcia znaczniejszych cienkości płótna dodawano czasem do lnu bawełny. Na ogół tkacze płóciennicy łódzcy produkowali więcej materiałów bawełnianych niż lnianych, a stosunek ten zwiększał się

1) A. A. D. Ł. Akta użycia plomb, pieczęci do wyrobów krajowych. Nr kat. 3842.

2) A. A. D. Ł. Akta wyprowadzenia się fabrykantów 1824. Nr kat. 5403.

3) A. A. D. W. Nr kat. 18.615.

4) Izys, j. w., 1823/24, t. III.

z latami na niekorzyść lnu. Dlatego już w początkach roku 1826 burmistrz łódzki, chcąc zmusić tkaczy do wyrabiania płócien lnianych, proponował władzom rządowym, aby postawić tkaczom warunek, iż „nikt w domach rządowych pomieszczony nie zostanie, kto się nie zobowiąże w ciągłym ruchu pewnej ilości warsztatów płócienniczych (lnianych) urządzić“ i na nich pracować¹⁾. Po upadku przedsiębiorstwa Kopischa produkcja płótna lnianego w Łodzi zmniejszała się w szybkim tempie, aż wreszcie tkacze osady „Łódka“ przerwali się całkowicie do przemysłu bawełnianego.

Wyroby tkaczy ze względu na stan surowy wymagały odpowiedniego wykończenia. Dla przeprowadzenia końcowych etapów produkcji istniało w Łodzi przedsiębiorstwo płóciennicze. Składał się na nie kompleks budynków, posiadających następujące urządzenia: blicharnię, folusz, krochmalnię, suszarnię i magiel. Proces bielenia płócien przechodził dwa etapy: naturalny i sztuczny, inaczej mówiąc — bielono środkami atmosferycznymi i chemicznymi; rozciągano na przemian płótna na łące i zanurzano w kąpieli ługowej²⁾. Sposób ten był bardzo uciążliwy i wymagał dłuższego czasu. Po wyblichowaniu materiał podlegał folowaniu, następnie krochmaleniu, maglowaniu i prasowaniu. Wykończono płótno kupiec ciął na kawałki różnej długości, sortował je i wysyłał na sprzedaż.

Wewnętrzne urządzenie zakładu było bardzo proste. Znajdowały się w nim dwa magle, jeden cylindrowy t. zw. kalander z trzema duszami do ogrzewania, drugi — skrzyniasty, przeznaczony do maglowania szerokiej bielizny stołowej. Pierwszy magiel poruszany był za pomocą siły wody, która płynąc kanałem od domu fabrycznego do rzeki wprawiała w ruch koło wodne. Z powodu małej siły wody drugi magiel poruszany mógł być tylko przy pomocy kołowrotu konnego. W zakładzie jako materiał opałowy służyło drzewo, które zużywano w wielkich ilościach, szczególnie przy bieleniu.

Bielnik łódzki i magiel urządzony został na sposób śląski. Wzór ten nie był ideałem, gdyż sami Ślązacy wysyłali lepsze gatunki płócien na wybielenie do Holandii³⁾. Urządzenie łódzkiego zakładu wywoływało u współczesnych surową krytykę. Profesor Hann, znawca tej dziedziny, orzekł, iż zakład tylko na pozór wyglądał pięknie. W rzeczywistości wiele tam można było znaleźć niedokładności.

¹⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 3860.

²⁾ Sombart W. Das europäische Wirtschaftsleben im Zeitalter des Frühkapitalismus. Zweiter Halbband. Monachium i Lipsk 1928, str. 713.

³⁾ Zimmermann, j. w., str. 125.

Budowanie wielkiego kanału, którego woda miała mały spadek, uważał za nierentowne, należało zastosować raczej siłę koni; poza tym blichowanie płócien źle było przeprowadzane. Zajmował się nim niewykwalifikowany robotnik, który wypróbował jakoś substancji chemicznych użytych do bielenia przez smakowanie i dotykanie. Źle przeprowadzona operacja bielenia naturalnego również osłabiała wartość płócien. Dlatego też bielenie płócien Kopischa nawet w roku pogodnym trwało 14 tygodni¹⁾.

W łódzkim przemyśle lnianym wystąpiło kolejno kilka form produkcji. W pierwszych latach jego istnienia dominowali samodzielni drobni tkacze-rzemieślnicy, którzy z tracali później swą samodzielność na rzecz zamożniejszych majstrów lub większych przedsiębiorców. Tylko tkacze z większą liczbą warsztatów pozostali niezależni²⁾. Niekiedy ci ostatni zatrudniali ubogich tkaczy pracą nakładczą. System nakładowy³⁾ produkcji znalazł w przemyśle lnianym łódzkim dość szerokie zastosowanie. Tkacze tym sposobem zatrudniani nie produkowali bezpośrednio dla konsumenta, lecz oddawali swe wyroby pośrednikowi, nakładcy. Otrzymywali oni od nakładcy surowiec — przędzę lnianą, z której tkali materiały za opłatą. Gotowe płótno nakładca odbierał od tkaczy, wykańczał u siebie i sprzedawał.

Nakładcami na większą skalę byli w łódzkim przemyśle lnianym Koelichen i Kopisch, pierwszy jako właściciel składu surowca, drugi — jako kupiec i przemysłowiec. Koelichen trudnił się nakładem w przędzalnictwie i taktwie. Ponieważ prądkowie z powodu ubóstwa nie mogli pozwolić sobie na kupno słomy lnianej z istniejącego składu, Koelichen dawał im bezpłatnie len do przeróbki i wyprzędzenia, a zamiast opłaty za surowiec odbierał wyrobioną przędzę, licząc po 3¹/₂ zł. za sztukę, która ważyła 1 funt 16 łutów, oraz po 4 złp. za sztukę jednofuntową (funt = 405,6 g). Później obniżył opłaty do 1 zł. 15 gr. za sztukę⁴⁾, a gdy i ta cena wydała mu się zbyt wysoka, wyjechał na wieś w poszukiwaniu tańszych pracowników⁵⁾. Wiejscy robotnicy zadowalali się mniejszą płacą, skutkiem

¹⁾ Hann A. Uwagi nad niektórymi gałęziami przemysłu krajowego. Warszawa 1830, str. 17—19.

²⁾ Schweikert K. dr. Die Baumwoll-Industrie Russisch-Polens. Ihre Entwicklung zum Grossbetrieb und die Lage der Arbeiter. Zurych i Lipsk 1913, str. 87.

³⁾ Sombart, j. w., str. 713.

⁴⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 3860.

⁵⁾ „Zaręczam — pisał ze wsi do burmistrza — że 10 razy tyle przędzy stąd do Łodzi odeślę, jak tam wyprzędą“. A. A. D. Ł. Nr kat. 3860.

czego nakładcy korzystali z ich usług dla zmniejszenia zarobków miejskim pracownikom¹⁾).

Oprócz prządków Koelichen zatrudniał także tkaczy. Warunki podane im przedstawiały się jak następuje: Koelichen żądał od tkaczy za sztukę przędzy, która ważyła od 18 do 20 łutów, — 5 złp., za sztukę wagi 1 funta — 4¹/₂ złp., przytem za przędzę pochodzenia miejscowego o 15 gr. mniej na sztuce każdego gatunku. Tkacze uważali, że podane ceny są zbyt wysokie, wyższe od zagranicznych; nie chcieli także kupować przędzy pochodzącej z miejscowej produkcji, zbyt grubej i ordynarnej²⁾ z powodu złego gatunku lnu, a więc nie nadającej się do tkania.

Po wyjeździe Koelichena akcję jego przejęły władze municypalne m. Łodzi, zajmując w dalszym ciągu prządków i tkaczy pracą nakładczą i płacąc pierwszym za przędzenie a drugim za tkanie³⁾. Trwało to do czasu całkowitego zainstalowania się w Łodzi Tytusa Kopsischa. Ten przedsiębiorca-hurtownik zakupił na pierwsze zatrudnienie prządków i tkaczy ryskie nasienie lniane, surowy len, konopie oraz 60 kóp przędzy lnianej i wszystko to zakredytował zainteresowanym. Rozdając tkaczom przędzę do tkania, dawał im przytem wzór materiału, który mieli wyrobić. Pracowali u niego prządkowie z Łodzi i Pabianic, tkacze z Łodzi, Częstochowy, Żelechowa, Kamienicy Polskiej i innych miejscowości⁴⁾. Wyprodukowane przez nich płótna oraz przędzę poddawał apreturze w swoim zakładzie. Zależność tych ludzi od Kopsischa była tak poważna, że gdy po roku 1830 przedsiębiorca ów przestał dostarczać tkaczom przędzy, a odbierać produkt ten prządkom, jedni i drudzy przestali zajmować się przemysłem lnianym. System nakładowy pogarszał stanowisko społeczne podległych mu pracowników, których niezależność sprowadzała się jedynie do tego, iż pracowali u siebie w domu, na swoim warsztacie i przy pomocy swoich narzędzi.

Na powstanie systemu nakładowego w łódzkim przemyśle lnianym wpłynęło kilka czynników. Przede wszystkim niedostatek surowca u tkaczy i prządków, spowodowany brakiem kapitału na zakup jego na miejscu, a tym bardziej na sprowadzanie z zagranicy, poza tym

¹⁾ Kulischer, j. w., str. 121.

Koelichen pisał z Katarzyna: (prządkowie łódzcy) „nie chcieli inaczej cesać jak po 1 złp. dziennie, a tu dostanę ludzi tyle, ile sobie życzą po 15 gr. dziennie“. A. A. D. Ł. Nr kat. 3860.

²⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 3860.

³⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5431.

⁴⁾ A. A. D. W. Akta raportu rocznego 1831. Nr kat. 17.191.

trudność zbytu towarów w środowisku nieznanym obcokrajowcom. Dodać należy, że wyroby tkackie znajdowały się w stanie surowym i przed sprzedaniem wymagały bielienia i apretury, czego zwykły tkacz nie mógł wykonać, nie mając odpowiednich do tego środków. Ostatnie etapy produkcji wymagały obszernych terenów, zamkniętych pomieszczeń i skomplikowanych narzędzi. W ten sposób w przemyśle lnianym powstaje wyższa forma produkcji, a mianowicie przedsiębiorstwo scentralizowane.

Do tych przedsiębiorstw zaliczyć należy istniejący na terenie Łodzi zakład płócienniczy prowadzony przez Kopischa. Blicharnia łódzka była największym tego rodzaju zakładem w całym Królestwie Kongresowym i wykończała rocznie do 16 000 kóp płótna lnianego¹⁾. Na terytorium zakładu zajmowano się nie tylko wykończaniem towarów, lecz także wyrabianiem płócien w lepszym gatunku. W tym celu rząd wybudował w pobliżu zakładu dwanaście drewnianych domów parterowych oraz dwa piętrowe, przeznaczone dla celniejszych tkaczy. Tkacze ci pozostawali pod bezpośrednim nadzorem niejakiego Schmidta, który kierował działem tkackim w zakładzie Kopischa²⁾. W pozostałych budynkach również znajdowały się izby warsztatowe, lecz już w mniejszej ilości; część mieszkań zajmowała obsługa wykończalni.

W grudniu roku 1830 zatrudnił Kopisch 195 rodzin tkackich obejmujących 751 osób. Prócz tego oddawał przędzę do wyrobienia 125 rodzinom tkackim zamieszkałym w mieście i składającym się z 615 osób. Przędzeniem zatrudnił 80 rodzin, które obejmowały 403 osoby³⁾. W powyższych danych nie brano pod uwagę pracowników spoza Łodzi. Z zagranicy Kopisch sprowadził 153 rodziny tkackie i przadnicze. Dokumenty archiwalne z roku 1831 stwierdzają, iż w tym czasie Kopisch zatrudnił 1200 ludzi⁴⁾. Była to zapewne najwyższa liczba osób pracujących u Kopischa, jeżeli weźmie się pod uwagę, że po tym roku przemysł lniany w Łodzi upada. Z powyższego widzimy, że przedsiębiorstwo Kopischa przedstawiało mieszaną formę produkcji, gdyż część pracowników zatrudniano systemem nakładu, a część na sposób manufaktury.

Na zakończenie charakterystyki organizacji produkcji nasuwają się uwagi ogólne. W łódzkim przemyśle lnianym pracowali głównie

¹⁾ Hann, j. w., str. 18.

²⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5431.

³⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5416.

⁴⁾ A. S. Nr kat. 39/712, vol. II, k. 111—112.

cudzoziemcy, a więc pozostali jeszcze z czasów pruskich koloniści oraz nowoprzybyli Niemcy; mniejszy w tym udział przypadł elementom rekrutującym się z miejscowych rzemieślników i mieszkańców wsi, przytem cudzoziemcy spełniali tu rolę instruktorów i kierowników produkcji. Odnośnie do stanu majątkowego przybyszów należy stwierdzić, iż tkacze przedstawiali warstwę zamożniejszą od prądków, lecz na ogół tak jedni jak i drudzy byli ubodzy. W tych warunkach istnienie i rozwój ich przedsiębiorstw umożliwiały jedynie bezzwrotne zasiłki oraz długoterminowe pożyczki, udzielane przez rząd Królestwa. Przybysze ci mieli liczne rodziny, składające się przeciętnie z sześciu osób. W pracy brali udział mężczyźni, kobiety i dzieci, te ostatnie pomagały głowie rodziny. Społeczne warunki pracy trudne są do ustalenia z powodu braku danych w źródłach archiwalnych¹⁾.

Wyroby prądków jak i tkaczy łódzkich cechowała niska lub średnia jakość. Głównie przyczyniała się do tego niska technika produkcji lnianej, konserwatywna, tradycyjnie przechodząca z ojca na syna. Próby zastosowania nowych zdobyczy w tej dziedzinie nie przyniosły w przedsiębiorstwach rezultatów. Praca tak w przedsiębiorstwach jak i w tkactwie była nadal wykonywana tylko ręcznie, ostatnie stadium produkcji, a mianowicie apretura materiałów lnianych została zmechanizowana przez wprowadzenie prymitywnych maszyn poruszanych siłą wody i koni.

Stadia procesu przetwórczego w przemyśle lnianym były wyraźnie rozdzielone, jedynie pierwsze z nich t. j. uprawa i wyprawianie lnu oraz przedzenie skupiły się w ręku jednego producenta — prądka. Produkcja w przedsiębiorstwach i tkactwie była zdecentralizowana, koncentracja w przedsiębiorstwach nie powiodła się; jedyne scentralizowane przedsiębiorstwo stanowi apretura. W tej fazie procesu przetwórczego występuje koncentracja w płóciennictwie bardzo wcześnie, gdyż łączyło się to z zapotrzebowaniem kosztownych urządzeń, narzędzi, podziałem pracy z powodu różnorodności manipulacyj oraz koniecznością przebywania fachowców pod jednym dachem.

Organizatorem produkcji w przemyśle lnianym i głównym dostarczycielem kapitału był rząd Królestwa Kongresowego. Zapotrzebowanie na kapitał rosło przy posuwaniu się do wyższych stadiów produkcji, stąd w przedsiębiorstwach i tkactwie było ono niewielkie i ograniczało się głównie do zakupu surowca oraz utrzymania

¹⁾ Boss E. Sprawa robotnicza w Królestwie Polskim w okresie paskiewiczowskim 1831—1855. Warszawa 1931, str. 22.

producentów. Natomiast w dalszych fazach przemysł lniany w Łodzi wymagał stałych subwencji rządowych, czy to przy urządzaniu przędzalni mechanicznej, czy przy budowie apretury. Kapitał zakładowy tkaczy i większych przedsiębiorców zastępowały zezwolenia rządowe na sprowadzanie z zagranicy materiałów lnianych za zniżonym cłem, prócz tego większym przedsiębiorcom, jak Kopischowi, rząd dawał pożyczki pieniężne. Drobnii tkacze posiadali kredyt u nakładców udzielany w postaci surowca¹⁾. Największy obrót pieniężny w łódzkim przemyśle lnianym wykazało przedsiębiorstwo Kopischa, który oprócz wyrabiania płócien i ich wykończania trudnił się także skupywaniem tych materiałów i hurtową oraz detaliczną ich sprzedażą, co wszystko razem wymagało znacznego kapitału²⁾.

V. RYNKI ZBYTU

Rząd Królestwa Kongresowego, zaprowadzając przemysł lniany, liczył na konsumpcję wewnętrzną kraju, jako na główny rynek zbytu wytwórczości lnianej³⁾. W praktyce przedstawiało się to w sposób następujący: gotowe płótno oddawał tkacz na targ miejscowy, gdzie nabywał je konsument dla własnego użytku, albo handlarz miejscowy celem dalszej rozsprzedaży, albo też przedsiębiorca-apreter by wykończyć materiał. Tkacze łódzcy po nasyceniu ubogiego rynku miejscowego zmuszeni byli szukać rynków dalszych. Nastręczało to wiele trudności: tkacz musiał odrywać się od swego warsztatu pracy, tracił czas oraz pieniądze ze względu na współczesną komunikację, przy tym zdarzało się, że nieraz zmuszony był sprzedawać swe wyroby ze stratą, gdyż nie znał stosunków w zakresie konsumpcji panujących w odległych miejscowościach. Wobec tych okoliczności, towarzyszących zbytowi towarów na dalszych rynkach, wynikła konieczność znalezienia pośrednictwa kupca-kapitalisty.

Organizacją zbytu materiałów łódzkich lnianych zajął się Kopisch. Otrzymał on od rządu konsens na prowadzenie „fabryki i handlu płócien“⁴⁾, co zapowiadało, iż będzie jednocześnie przemysłowcem i kupcem, lecz przedsiębiorstwo jego okazało się w głównej mierze domem handlowym⁵⁾. Kopisch skupował płótno od tkaczy łódzkich

¹⁾ Strzelecki, j. w., str. 21.

²⁾ Furger F. Zum Verlagssystem als Organisationsform des Frühkapitalismus im Textilgewerbe. Stuttgart 1927, str. 80.

³⁾ Izys, j. w., 1820, t. II, str. 265.

⁴⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 50, k. 23.

⁵⁾ Wobłyj, j. w., str. 233—294.

i okolicznych i nadawał mu w swym zakładzie apreturę. W jednym z budynków tego zakładu urządził hurtowy skład wykończonych płócien i sprzedawał je na jarmarkach po różnych miasteczkach, główna jednak sprzedaż tych wyrobów odbywała się w Warszawie. Takie sposoby zbytu materiałów nie wystarczały, przemysł lniany dla swego istnienia i rozwoju musiał mieć gwarancję stałego i pewnego zbytu. Najpoważniejszym odbiorcą w tym wypadku mogło stać się wojsko.

Rząd Królestwa Kongresowego zaspokajał potrzeby w tej dziedzinie importem z zagranicy i sprowadzał corocznie około 900 000 łokci płótna. Od roku 1824 jednak Komisja Rządowa Wojny postanowiła poprzeć przemysł lniany krajowy. W tym celu wysłała komisarzy do województw uprzemysłowionych, aby ci nabyli tam potrzebną ilość płótna. W roku 1826 wydelegowała także komisję do Łodzi dla dokładnego zbadania, w jakim stopniu nowa osada lniana stać się może ośrodkiem dostarczającym płótna dla wojska¹⁾. W roku następnym tkacze łódzcy sami zwrócili się do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych z prośbą, aby ich warsztaty zatrudniono wyrabianiem płócien dla wojska. Lecz pertraktacje z pojedynczymi tkaczami przedstawiały dla rządu wiele trudności, zwrócono się więc do hurtowników.

W roku 1829 rząd zawarł z Kopischem kontrakt na pięcioletnią dostawę płócien dla wojska. Kopisch zgodził się dostarczać płótna w gatunkach t. zw. ordynaryjnych, co było dla przemysłu lnianego łódzkiego bardzo pomyślne, gdyż wyrabiano tu przeważnie płótna tego właśnie rodzaju. Na mocy kontraktu zobowiązał się dostawić w 1830 roku 424 800 łokci płótna, w 1831 r. — 502 800 ł., w 1832 r. — 580 800 ł., w 1833 r. — 658 800 ł., w 1834 r. — 736 800 ł. płótna. Ceny ustanowione na płótna wynosiły od 12 do 25 gr. za łokieć, podczas gdy za te same gatunki sprowadzane z zagranicy płaćła Rządowa Komisja Wojny 6 do 18³/₄ gr. za łokieć²⁾. Rewolucja 1830/31 roku przeszkodziła Kopischowi w wykonaniu kontraktu.

Kopisch starał się także o wywóz płócien do Rosji, lecz wątpliwe jest bardzo, czy rynek ten mógł przedstawiać większe widoki powodzenia. Jak pisze historyk rosyjski, mniej więcej 1/3 część wyrabianego w Rosji płótna przeznaczona była na eksport zagranicę³⁾. Można

¹⁾ A. A. D. W. Nr kat. 19.381, k. 24—28.

²⁾ A. A. D. W. Nr kat. 18.490.

³⁾ Tugan-Baranowskij. Russkaja fabrika w prošlom i nastajaszczem. Tom I. Petersburg 1900, str. 69.

było jedynie liczyć na eksport cienkich płócien, lecz te wyrabiano w Królestwie Polskim w niedostatecznej ilości. Nie tylko nie wysyłano płócien do Rosji, lecz przeciwnie, Komisja Rządowa Wojny sprowadzała je stamtąd na potrzeby wojska polskiego¹⁾). Wyjątek pod tym względem stanowiły kapy do wywożonego na wschód sukna; na ten cel dostarczał Kopisch dużych ilości płótna w grubym gatunku. Po roku 1831 wobec zmiany stosunków celnych polsko-rosyjskich ten rynek zbytu nie mógł wchodzić w rachubę na długi okres czasu. Jednocześnie stracono i inne rynki zbytu, co stało się przyczyną całkowitego upadku przemysłu lnianego w Łodzi.

Momentem przełomowym dla wytwórczości lnianej był rok 1831. Rewolucja listopadowa wywołała wielkie zmiany w rozwoju przemysłu Królestwa Kongresowego. Z powodu stagnacji w handlu wiele warsztatów przedsiębiorcy unieruchomili, ludność fabryczna przenosiła się za granicę, pozostała w kraju władze wojskowe często odrywały od pracy zawodowej i pociągały do pełnienia służby pomocniczej w czasie działań wojennych. Przemysł lniany rozwijał się sztucznie i wymagał stałej opieki rządu, jego poparcia finansowego oraz odpowiedniej propagandy. W czasie wojny rząd zajęty był rozgrywanymi się wypadkami politycznymi, a po upadku powstania nowe władze przestały popierać łódzki przemysł lniany. Najpoważniejszym i jedynym prawie nabywcą wyrobów lnianych było wojsko polskie; po powstaniu rząd rosyjski odrzucił ofertę Kopischa w sprawie dostaw dla wojska konsystującego w Królestwie.

Atoli najważniejszą przyczyną upadku przemysłu lnianego stała się konkurencja bawełny. Szybki wzrost przemysłu bawełnianego spowodował kryzys w przemyśle lnianym. Materiały bawełniane były łatwiejsze do wyprodukowania, okres przeróbki bawełny od surowca do tkaniny trwał krócej, włókno bawełniane, jako podatniejsze do przedzenia mechanicznego, posiadało przewagę nad lnianym — to wszystko sprawiało, iż tkacze i prządkowie przerzucali się do przemysłu bawełnianego²⁾). Działo się tak nie tylko w Łodzi, czy Królestwie Kongresowym, lecz i w innych krajach Europy³⁾.

¹⁾ A. A. D. W. Nr kat 3241.

²⁾ Garstka tych prządków, którzy dalej trudnili się uprawą lnu, w 1833 r. użalała się wobec władz na niemożność zbytu. Komisarz Obwodowy sprawdził to na miejscu i znalazł u prządków łódzkich „zapas lnu, lecz niezbyt wielki, że zaś pokup na takowy w czasie teraźniejszym posiadacza jest nieco trudny, pochodzi stąd, że fabrykanci miejscowi małą ilość towarów lnianych, tylko bawełniane wyrabiają“. A. A. D. Ł. Nr kat. 3860, k. 24—25.

³⁾ Aftalion Albert. La crise de l'industrie linière et la concurrence victorieuse de l'industrie cotonnière. Paryż 1904, str. 41.

Długość trwania przeróbki lnu wpływała na podniesienie się ceny tkanin¹⁾, konsumenci woleli więc zaopatrywać się w tańsze tkaniny bawełniane. Do tego dołączyć jeszcze należy jakość produkcji lnianej, która pozostawiała wiele do życzenia z powodu niskiej techniki. Z tych względów produkty łódzkich prządków i tkaczy z trudnością znajdowały poza wojskiem nabywców.

Łódź nie stanowiła terenu szczególnie odpowiedniego dla zaprowadzenia przemysłu lnianego, gdyż uprawa lnu nie rozpowszechniła się tutaj na szerszą skalę. Założone na terenie miasta osady prządków były tworem sztucznym i z góry skazanym na zagładę. Prządkowie narzekali na złą glebę²⁾, z której zbierali len o niskiej wartości, a nierentowna praca przędzalnictwa ręcznego zniechęcała do wkładania w nią większego wysiłku. Próba mechanicznego przędzenia lnu w Łodzi nie powiodła się, gdy tymczasem istniejąca tutaj przędzalnia bawełny dostarczała taniego surowca dla tkaczy bawełnianych. Brak odpowiedniego surowca na miejscu w wysokim stopniu utrudniał rozwój przemysłu lnianego, a sprowadzanie przędzy z zagranicy, czy z województwa augustowskiego, podnosiło koszty produkcji.

Wiele niedomagań w tej dziedzinie wytwórczości mogłaby usuwać inicjatywa i zmysł organizacyjny zdolnego fabrykanta, któryby umiał odpowiednio pokierować rozwojem miejscowego przemysłu lnianego. Do takiego jednak przedsiębiorcy Łódź nie miała szczęścia ani w dobie Królestwa Kongresowego, ani w czasach późniejszych. Te wszystkie czynniki sprawiły, że „historia przemysłu lnianego w Łodzi jest pasmem samych tylko zaczątków i zawiedzionych nadziei“³⁾.

ANNA RYNKOWSKA

Praca dyplomowa Wydziału Humanistycznego Wolnej Wszechnicy Polskiej, Oddziału w Łodzi, opracowana w Seminarium Historii Gospodarczej i Społecznej pod kierunkiem prof. dr. Natalii Gąsiorowskiej-Grabowskiej. Autorka zreferowała ją także na posiedzeniu naukowym Oddziału Łódzkiego P. T. H. w dniu 28. I. 1937 r.

¹⁾ Mianowski H. i Berger L. Len w polskiej strukturze gospodarczej. Kraków 1934, str. 29.

²⁾ A. A. D. Ł. Nr kat. 5416, k. 86—92.

³⁾ Flatt, j. w., str. 97.

POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE TUMU I ŁĘCZYCY

1. UWAGI WSTĘPNE

Nie trzeba już dzisiaj udowadniać konieczności współpracy geografii z historią. Elementarnie zrozumiałą jest potrzeba przedstawiania tła geograficznego, na którym powstają, rozwijają się lub zanikają pewne zjawiska historyczne.

W starożytności już — zwłaszcza Hippokrates i Strabo — zdawano sobie sprawę z oddziaływania fizycznych elementów tła przestrzennego na materialne, a nawet i duchowe twory człowieka. Te cenne idee, uśpione w epoce średniowiecza, ożywają znów w umysłach filozofów i prawników czasów nowożytnych. Bodin, Bacon, Monteskiusz, Voltaire i Comte reprezentują charakterystyczny kierunek spekulacyjny. Przyjmując istnienie wpływu warunków naturalnych na charakter ludów i państw oraz na ich rozwój, nie czynią jednak żadnych prób, zmierzających do wyjaśnienia dynamiki owych wpływów¹⁾.

Nowoczesna geografia zrywa ze spekulacją opartą na samej statyce zjawisk. Uzbrojona w metodę indukcyjną lub dedukcyjno-indukcyjną, analizuje współistniejące fakty przestrzenne, stara się wykryć istotę związków, jakie między nimi zachodzą, i odsłania nerwy przestrzennego obrazu dając jego dynamikę.

Geografia nie służy historii ani żadnej innej dyscyplinie naukowej. Służy jedynie ogólnemu dążeniu do poznania rzeczywistości i prawdy, służy sobie samej, idąc własnymi drogami do własnych celów. Jednakże poszczególne gałęzie geografii, mające styczne systematyczne (np. geografia roślin z botaniką) lub kierunkowe (np. czasowe: geografia historyczna z historią) z innymi naukami, oddają im usługi i korzystają nawzajem.

Geografia przedstawia tło krajobrazowe, na którym odbywają się procesy historyczne. Jakże to jednak pogodzić z faktem, że

¹⁾ Hassinger H. Geographische Grundlagen der Geschichte. Freiburg 1931, str. 3—4.

historia jest nauką czasową, nauką o stawaniu się, a geografia — tylko przestrzenną, nie o stawaniu się, lecz o bycie — o stosunkach przestrzennych zawsze tylko w jakimś momencie trwania? Geografia nie jest wprawdzie nauką chronologiczną, ale ma swój podział czasowy¹⁾ i geografia historyczna posiada możliwość przedstawiania całego szeregu przekrojów przestrzennych, w rozmaitych następujących po sobie momentach czasowych. Może więc służyć historii tłem krajobrazowym dla każdego okresu.

Zadaniem geografii historycznej jest nie tylko odtworzenie fizycznego krajobrazu dla danego okresu historycznego. Geografia historyczna stara się również wyjaśnić, o ile pewne elementy geograficzne, czy raczej całe ich zespoły, wpływały na zjawiska historyczne. Idzie tu już nie o powstanie danego zjawiska, bo o tym decydowały momenty inne, lecz o jego lokalizację. Geografia historyczna odpowiada bowiem na zasadnicze pytania geograficzne: gdzie i dlaczego tu?

Orientując się dalej w znaczeniu poszczególnych kategorii położeniowych, mając ich ocenę funkcjonalną, geografia historyczna może oddać badaniom historycznym jeszcze jedną usługę. Analiza geograficzna jakiegoś obiektu historycznego jest w stanie pomóc historii w wyjaśnieniu funkcji tego obiektu i w określeniu jego przeznaczenia, jeśli brak materiałów historycznych lub są one niedostateczne. Przykładem może tu być sprawa grodzisk przed-i wczesnohistorycznych²⁾.

W geograficznej analizie obiektów historycznych badanie idzie w dwu zasadniczych kierunkach: w kierunku zbadania i oceny położenia geograficznego w szerszym znaczeniu tego pojęcia (położenie dalsze), oraz w kierunku poznania i wyjaśnienia położenia miejscowego (położenie bliższe).

Omawiając położenie dalsze, geograf zastanawia się nad zagadnieniem, jakie miejsce zajmuje przedmiot jego badań w stosunku do całego kontynentu lub do poszczególnych mniejszych jednostek geograficznych. Znając zaś funkcjonalny sens owych jednostek, określa znaczenie swego przedmiotu na tle stosunków przestrzennych.

¹⁾ Hettner A. Die Geographie, ihre Geschichte, ihr Wesen und ihre Methoden. Wrocław 1927, str. 131—132.

Dylik J. Zur Einführung in die prähistorische Geographie. Congressus Secundus Archaeologorum Balticorum. Ryga 1931, str. 360—362.

²⁾ Dylik J. Analiza geograficznego położenia grodzisk i uwagi o osadnictwie wczesnohistorycznym Wielkopolski. Badania geograficzne, z. 16—17. Poznań 1936.

Podobnie, zastanawiając się nad położeniem bliższym, opisuje najbliższe otoczenie przedmiotu badań: wzgórze, pagórki, odcinki doliny, dolinki, mokradła, piaski, wegetację i drogi komunikacyjne (topografia). Wyjaśnia dalej ich znaczenie dla przedmiotu swych badań, podpatrując związki, jakie zachodzą między elementami topograficznymi a przedmiotem badań (topologia). Z badań tych wynika sens położenia, a z jego charakteru wnioskować można o tendencjach twórców badanego obiektu.

O potrzebie większego lub mniejszego zakresu przestrzennego w ujęciu położenia geograficznego dalszego, jak również o proporcji w ujęciu położenia bliższego i dalszego decyduje wielkość i znaczenie badanego obiektu. Jasne jest, że w analizie geograficznej wielkich miast uwzględnić należy szerokie, kontynentalne lub nawet światowe tło, i że w analizie takiego miasta więcej czasu i miejsca poświęci badacz położeniu dalszemu, niż topograficznemu. I odwrotnie, w analizie położenia jakiejś miejsciny lub wioski znacznie zwężą się ramy, w których rozpatrywane będzie położenie dalsze, natomiast głównie mówić się tu będzie o położeniu bliższym.

W związku z różną intensywnością kontrastu w krajobrazie powierzchni ziemi, w związku z monotonią jednych lub wielkim urozmaiceniem drugich pozostaje nicość lub wyrazistość rysów charakterystycznych położenia ludzkich tworów krajobrazowych. Cechy charakterystyczne położenia Konstantynopola, Hainburga czy Bratysławy, Wiednia, Innsbrucku czy Marsylii rzucają się w oczy nawet laikowi, któremu już trudno będzie zdać sobie sprawę z położenia miast niżowych: Berlina, Warszawy, czy Moskwy, a już tym mniej — Torunia, Poznania lub Łęczycy.

Jeszcze z wielkimi, stołecznymi zwłaszcza miastami sprawa jest prostsza. Przynajmniej niektóre cechy położenia zaznaczają się tam wyraźniej, np. położenie w stosunku do całości państwa lub komunikacyjne, podkreślone przez wiązkę dróg, zbiegających się w wielkim mieście. Ale położenie mniejszych miast i miasteczek lub wsi, tak bardzo przecież jaskrawe w dolinach czy kotlinach śródgórskich, na niżu zaciiera się i zdaje się nie posiadać żadnych cech charakterystycznych.

A jednak cechy te przeważnie istnieją. Wykrywa je drobiazgowa analiza geograficzna. Właśnie drobiazgowa! Analiza na niżu musi być bardziej wnikliwa, by dotrzeć i uwzględnić różnicowanie w zupełnie — zdawałoby się — monotonnym (zob. mapy hipsometryczne ogólne) krajobrazie niżowym. Różnicowanie to, choć

w bardzo zmniejszonej skali, żywo przypomina zróżnicowanie obszarów wyższych, wyżynnych, podgórskich i górskich. Odgrywa też ono zupełnie podobną rolę w oddziaływaniu na ludzkie twory krajobrazowe. Na poparcie tej tezy można wskazać cały szereg przykładów¹⁾. Jednakże niepodobna tutaj przedstawić całokształtu tego zagadnienia, gdyż wymaga ono osobnej i bodaj niemałej rozprawy.

Nie można jednak było we wstępnych słowach pominąć tej sprawy, gdyż wiąże się ona bezpośrednio z tematem. Przedmiotem bowiem rozważań, ujętych na stronicach następnych, jest wiekowa archikolegiata tumska i związana z nią od zarania swych dziejów Łęczycza — obie położone na niżu.

2. ANALIZA POŁOŻENIA GEOGRAFICZNEGO

Aby określić położenie geograficzne Tumu i Łęczycy (położenie dalsze tych obydwu miejscowości jest wspólne ze względu na nieznaczną odległość między nimi), należy wskazać jednostkę geograficzną, w której występują, i ustalić stosunek tej jednostki do innych na tle całego obszaru Polski.

W najbardziej generalnym, syntetycznym ujęciu ziemie Polski dzieli się na szereg pasów krajobrazowych, wyciągniętych równoleżnikowo²⁾. Poza najbardziej południowym pasem wysokogórskim rozciąga się, znacznie szerszy od niego, obszar wyżyn południowych. Wyżyny południowe znajdują swój odpowiednik hypsometryczny w północnym pasie wyżyn pojezierza Pomorsko-Pruskiego, od którego na północ rozciąga się już tylko wąski szmat niziny Nadbałtyckiej. Pomiędzy zaś obydwoma, północnym i południowym, pasami wyżyn rozciąga się znacznie niższy a szeroki obszar Krainy Wielkich Dolin, zwany też Brózdą Środkową.

W tej to zakłębłości Brózdzie Środkowej, stanowiącej niejako oś symetrii orograficznej Polski, znajduje się Łęczycza i pobliski Tum.

Oczywiście stwierdzenie tego faktu nie wyczerpuje sprawy położenia naszych obiektów. Analizując tedy dalej Krainę Wielkich Dolin, początkowo w układzie poziomym, stwierdzić trzeba, że Tum i Łęczycza znajdują się: 1° w zachodniej części Brózdzie Środkowej; 2° w miejscu zwięźnienia jej na skutek daleko na północ wysuniętego

¹⁾ Dylik J. Analiza..., j. w.

Dylik J. O najważniejszych elementach, kształtujących obraz przedhistorycznego osadnictwa. Przegląd geograficzny. Tom XV (1935), Warszawa 1936, str. 105.

²⁾ Lencewicz St. Polska. Geografia powszechna. Trzaska, Evert i Michalski. Warszawa (data przedmowy), str. 34—37.



Położenie grodziska pod Tumem



Droga na grobli Łęczycza—Topola
fol. Dr J. Dylík



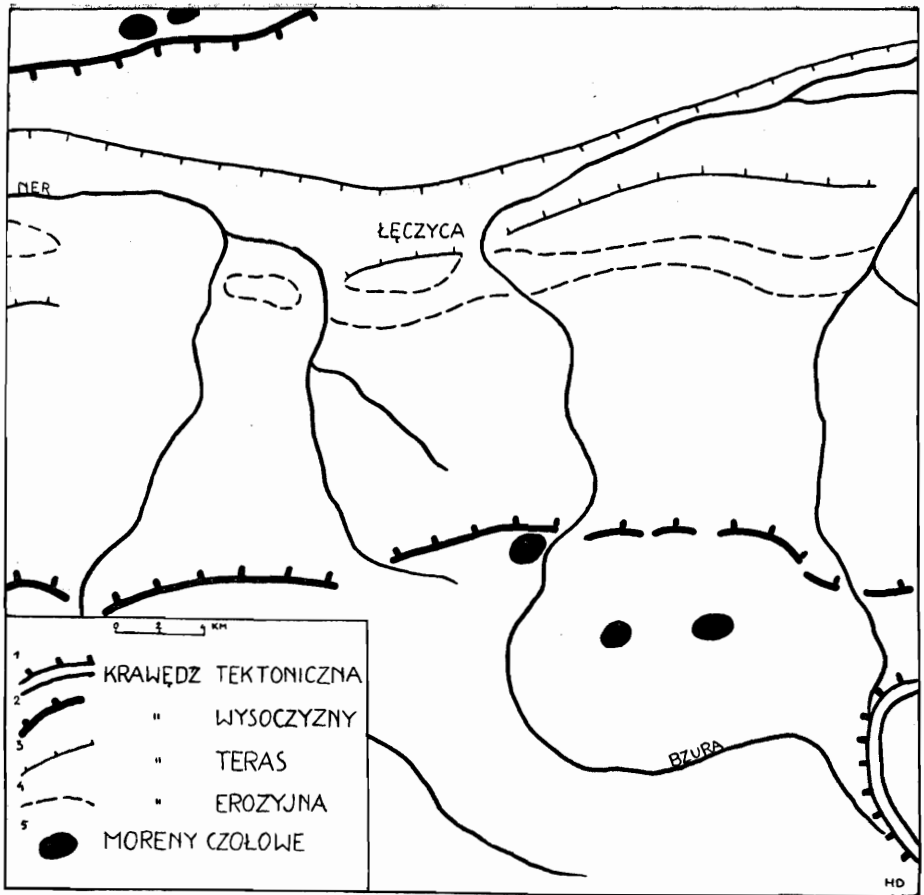
półwyspu wyżyn południowych, stanowiącego wyżynę Łódzką względnie Łódzko-Piotrkowską; 5° w strefie działu wodnego pomiędzy systematem Odry i Wisły¹⁾).

Analiza Krainy Wielkich Dolin w układzie pionowym dostarcza dalszych szczegółów, uzupełniających szereg cech charakteru położenia badanych miejscowości. Bródza Środkowa, będąc krainą zagłębioną w stosunku do przyległych pasów wyżynnych, nie przedstawia jednak bezwzględnie równego obszaru. Przeciwnie, teren ten jest bardzo urozmaicony, co znajduje swój wyraz w dużych wysokościach względnych, osiagających w zachodniej części Bródzy wartości dochodzące do 100 m. Na neutralną formę równin płaskich lub falistych moreny dennej nałożone są wyniosłości moren czołowych, ozów i drumlinów. W nią też wcięte są zagłębienia pradolin, dolin i niecek jeziernych. I właśnie te formy wypukłe, nasadzone na równinę moreny dennej, oraz formy wklęsłe, wcięte w nią, składają się na niesłychane urozmaicenie rzekomo monotonnej powierzchni nizu Bródzy Środkowej.

W zachodniej części Bródzy Środkowej występują trzy wielkie zakłębłości pradolin: na południu Barycka, na północy Toruńsko-Eberswaldzka i między nimi Warszawsko-Berlińska. Tum i Łęczycza leżą właśnie w pradolinie Warszawsko-Berlińskiej.

Pradoliny nie stanowią znów jakiejś jednolitej zakłębłości ani w rzucie poziomym, ani w przekroju poprzecznym. Przeciwnie, rozpatrywane w układzie poziomym, różnicują się na kotlinowate rozszerzenia i łączące je przewężenia. Tum i Łęczycza znajdują się w przewężeniu pradoliny Warszawsko-Berlińskiej, łączącym kotlinę Warszawską z kotliną Kolską. Podobnie w przekroju pionowym pradoliny wykazują wielkie zróżnicowanie, wyrażające się w istnieniu szeregu stopni terasowych. W najniższych poziomach płyną rzeki, użytkujące łóżyska dawnych wód dyluwialnych (ryc. 1). Czasem jednak, w związku z rozwojem hydrograficznym w postglacjale, nawet i najniższe poziomy pradolin — terasy zalewowe — wykazują nierówną powierzchnię. Taki wypadek zakłócenia podłużnego profilu terasy zalewowej spotykamy pod Łęczyczą, gdzie część terasy ma położenie wyższe, niż jej przedłużenie wschodnie i zachodnie. Zachodzi tutaj wypadek działu wodnego dolinnego. Łęczycza leży więc w bezpośrednim sąsiedztwie działu wodnego dolinnego, wykazując

¹⁾ Ta cecha położenia odnosi się tylko do Łęczycy.

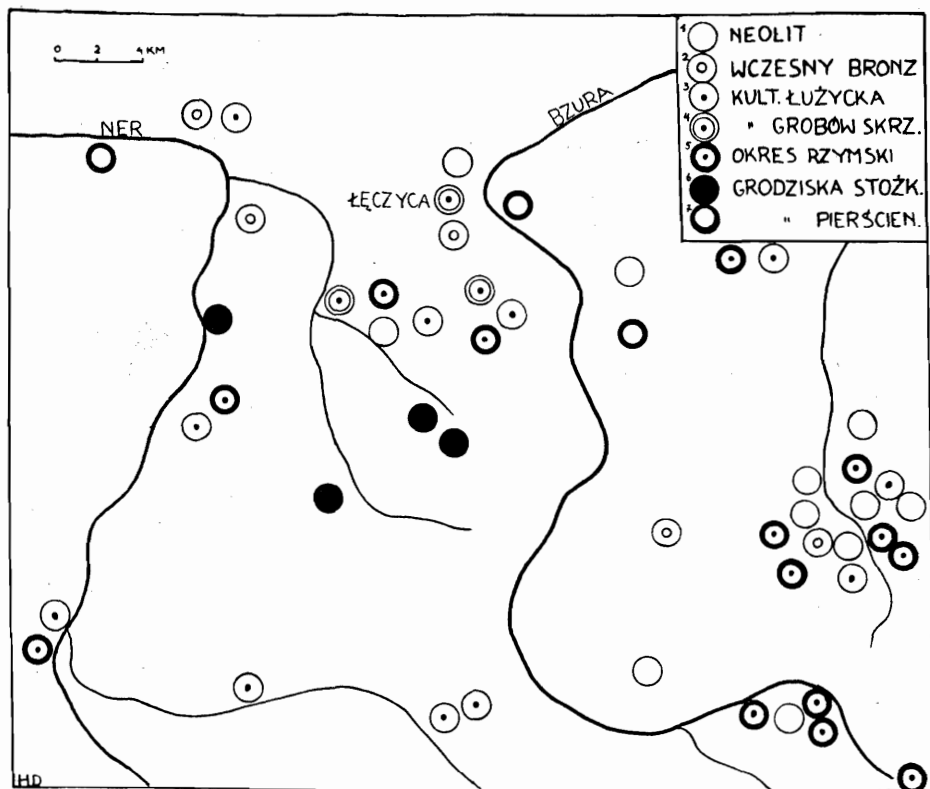


Ryc. 1. Szkic morfologiczny okolic Łęczyczy wg. St. Lencewicza

tym samym daleko idące analogie z Bydgoszczą. Jeśli zaś idzie o stosunek do teras, to grodzisko tumskie, Tum i Łęczycza leżą w zupełnie innych poziomach. Różnicowanie zaś tych poziomów odnośnie do Tumu i Łęczyczy prowadzi już do rozważań topograficznych.

Obraz osadniczy

Rzut oka na załączoną mapę rozmieszczenia znalezisk przedhistorycznych (ryc. 2) informuje od razu o charakterze osadniczym okolic Łęczyczy. Pamiętając o niekompletnym materiale prehistorycznym w stosunku do wszystkich możliwych znalezisk, co osłabia w znacz-



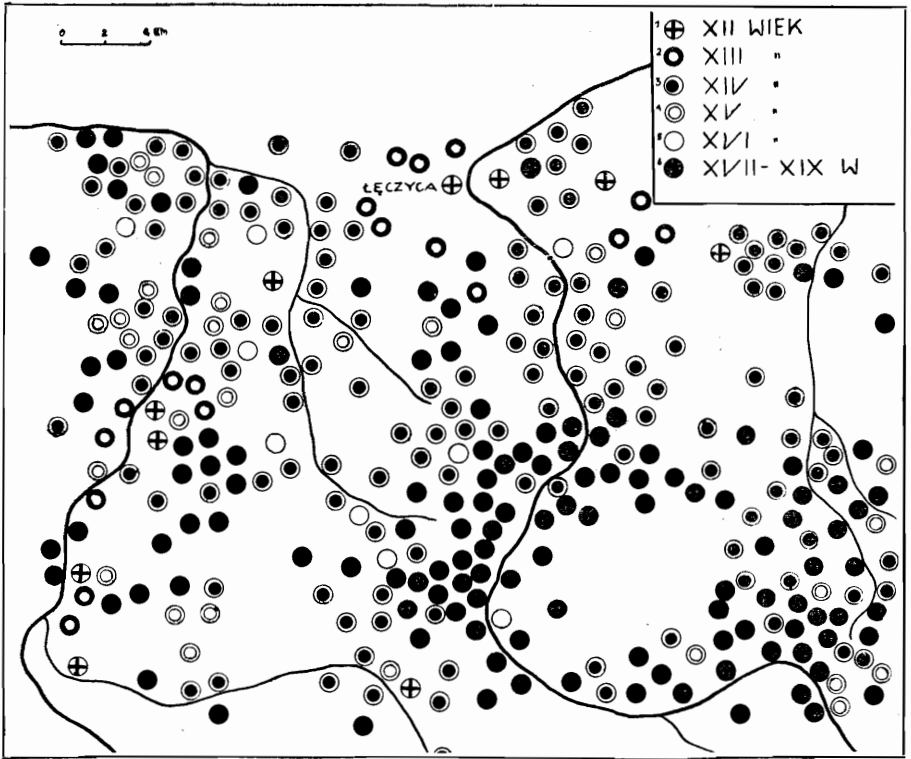
Ryc. 2. Rozmieszczenie znalezisk przedhistorycznych w okolicach Łęczyczy

nej mierze siłą dowodową tej mapy¹⁾, możemy jednak w najogólniejszych rysach przedstawić wyraźne zróżnicowanie omawianego obszaru. Zaznacza się tutaj wybitna różnica między północną i południową częścią.

Granica tych dwu części biegnie w strefie, której linię osiową stanowi krawędź pradoliny. Na wysoczyźnie znaleziska przedhistoryczne są rzadsze i mają wyraźny układ liniowy, podyktowany przez kierunek dolin i dolinek rzecznych. Natomiast w pradolinie zaznacza się wyraźne skupienie stanowisk przedhistorycznych i to w szczególności w bezpośredniej okolicy Łęczyczy.

W świetle dotychczasowych badań nad osadnictwem przedhistorycznym obraz obydwu terenów osadniczych staje się zrozumiały. Osadnictwo przedhistoryczne było zasadniczo osadnictwem dolinnym.

1) Dylik J. Analiza..., str. 64—66.

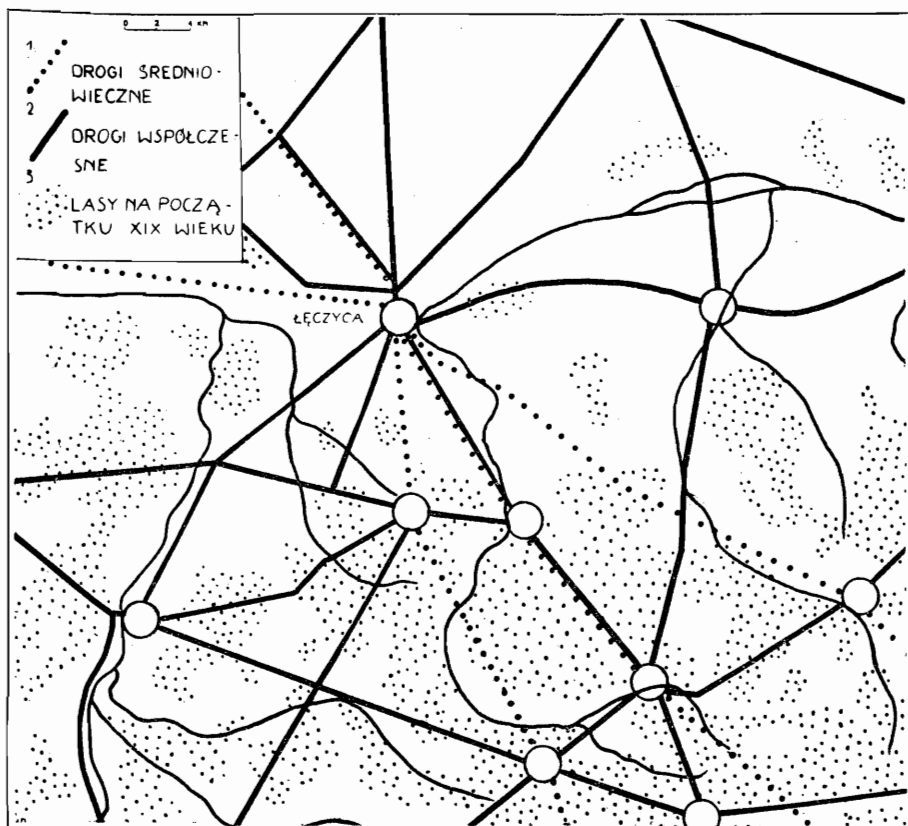


Ryc. 3. Rozmieszczenie osad historycznych w okolicach Łęczycy

Stąd i linijne rozmieszczenie stanowisk na wysoczyźnie. W obszarze natomiast pradolinny mogło już występować osadnictwo grupowe.

Te dwie dziedziny osadnicze, tak uderzająco odmienne w czasach przedhistorycznych, zacierają się z rozwojem osadnictwa historycznego, ale dadzą się i w czasach historycznych wyśledzić. Wskazuje na to mapa osadnictwa¹⁾, ujęta historycznie (ryc. 3). W dziedzinie pradolinnej występują wszystkie najstarsze (z XII i XIII w.) osady; wśród przyległego obszaru wysoczyznowego zdarzają się tylko wyjątkowo. Późniejsze osiedla, z XIV, XV, a nawet i XVI w., przeważają także w części, pradolinnej. Najcharakterystyczniejszym wreszcie rysem osadnictwa pradolinnego, co pozostaje zresztą w związku z powyższym, jest jego daleko posunięte nasycenie osadnicze

¹⁾ Opracowana na podstawie materiałów ks. St. Kozierowskiego: Badania nazw topograficznych na obszarze dawnej wschodniej Wielkopolski. Poznań 1926, 1928.



Ryc. 4. Stosunki komunikacyjne i rozmieszczenie lasów na początku XIX wieku

już w XVI w. Wyraża się to w sposób bardzo wybitny w mapie — w porównaniu z obszarem wysoczyznowym — ilości spotykanych tutaj osad z XVII, XVIII, XIX i XX w.

Omawiane stosunki osadnicze rzucają także światło na szatę leśną badanego obszaru. Większe nasycenie osadnicze dziedziny pradolinnej pośrednio świadczy o jej większej bezleśności w przeciwstawieniu do części wysoczyznowej, która nie tylko w czasach przedhistorycznych, ale i w późniejszych zachowała charakter puszczanski, przerywany tylko mniejszymi lub większymi enklawami otwartych dolin i części obszarów bezpośrednio do nich przyległych. O wiarygodności tego pośredniego świadectwa mówią już w bardziej bezpośredni sposób mapy (zob. ryc. 4) z XIX w¹⁾.

¹⁾ Gilly. Spezialkarte von Südproussen 1:115.000.
Mapa kwatermistrzostwa 1:126.000.

W ustępie tym nie ma miejsca na wyjaśnienie nakreślonego wyżej obrazu osadniczego. Chodziło tu bowiem tylko o jego statykę, chodziło tylko o tło osadnicze, na którym wyrastały Tum i Łęczycza. Na podstawie zaś wyżej przedstawionych faktów wolno już teraz stwierdzić, że obie te miejscowości powstały w ognisku starej ekumeny. Ognisko życia zablęzło w centralnej części pradoliny, rozszerzając się potem ku jej krawężdom i dalej, oporniej znacznie, na puszczańską wysoczyznę.

Położenie polityczne

Trudno jest mówić o sytuacji politycznej dzisiejszej Łęczycy i Tumu w czasach przedpiastowskich. Źródła historyczne nie sięgają tak daleko. Pewną usługę mogły by oddać w tej sprawie materiały prehistoryczne. Idzie tu w pierwszym rzędzie o grodziska. Jednakże stan ich zbadania (sama inwentaryzacja) jest jeszcze zbyt niedostateczny, by mogły one dać podstawy dla pewniejszych wniosków. Pokusić by się o to można dopiero wtedy, gdy zostaną skartowane na większym obszarze.

Obecnie, dzięki znajomości bodajże wszystkich grodzisk między Moszczenicą i Wartą, można jednak ustalić pewne fakty niewątpliwe. Nagromadzenie na stosunkowo małej przestrzeni aż czterech grodzisk pierścieniowych: w Tumie, Czerchowie, Grodzisku pow. tureckiego i Grodzisku pow. łęczyckiego¹⁾ świadczy o istnieniu na tym obszarze organizacji plemiennej, a nawet bardzo prawdopodobną czyni możliwość istnienia ośrodka plemiennego właśnie pod Tumem, gdzie znajduje się największe z tych grodzisk. Za tą możliwością przemawia także charakter krajobrazu, jego obraz osadniczy w czasach przedhistorycznych, najbardziej ożywiony w stosunku do krajobrazów okolicznych, a wreszcie i stara²⁾ nazwa plemienia Łęczycan.

W czasach wczesnopiastowskich ośrodek łęczycki zarysowuje się już o wiele wyraźniej. Poza skąpyimi jeszcze źródłami historycznymi żywo mówią o tym licznie nagromadzone w okolicy Łęczycy grodziska stożkowe. Wymienić tu należy grodzisko: w Gaju, Karsznicach, Piaskowicach, Wielkiej Wsi, Budzynku, Pełczyskach i Turze. Ośrodek łęczycki wczesnopiastowski, podobnie zresztą jak wczesnohistoryczny i prehistoryczny, najprawdopodobniej nie przekraczał, geograficznie biorąc, przyległego pasa pradoliny.

¹⁾ Wprawdzie nie znaleziono tu dotąd śladów grodziska, ale musiało ono znajdować się w pobliżu tej wsi, gdyż na to wskazuje nazwa.

²⁾ Geogr. Bawarski.

Ośrodek ten utrzymuje się i nadal w XII, XIII i XIV w., zmieniając jednak swój kształt i powiększając się na obszar rozleglejszej już kasztelanii łęczyckiej¹⁾. Ścisłejszy ośrodek łęczycki znajduje się teraz w położeniu peryferycznym w odniesieniu do całego obszaru kasztelanii. Zdaje się to być jednak tylko peryferium terytorialne, gdyż niewątpliwie przewaga ludnościowa widoczna jest wciąż jeszcze w okolicach Łęczycy.

Tego rodzaju położenie polityczne pozostaje w dalszym ciągu aż do końca XVII w., gdyż kasztelania łęczycka z małymi tylko terytorialnymi zmianami staje się w XV w. województwem łęczyckim.

3. DYNAMIKA POŁOŻENIA DALSZEGO

Na statyczny obraz położenia geograficznego Tumu i Łęczycy złożył się cały szereg elementów fizjograficznych i antropogeograficznych, które w obrazie tym nie tylko współistnieją, ale i oddziałują. Poszczególne elementy statycznego obrazu współzależą od siebie, mają wpływ na inne, a suma tych związków i wpływów daje przestrzenną dynamikę geograficzną obszaru. Należy więc z kolei po analizie statycznej zsyntetyzować położenie geograficzne Tumu i Łęczycy, przejść do dynamiki ich położenia.

Tum i Łęczycy, leżąc na środkowej osi pradoliny Warszawsko-Berlińskiej, znajdują się w strefie komunikacyjnej wschodnio-zachodniej. Pradoliny, podobnie jak i inne większe doliny, stanowiły naturalne linie orientacyjne w komunikacji. Równocześnie wyższe partie teras zalewowych były jedynymi mniej lub więcej otwartymi szlakami w przeciwstawieniu do zamkniętych, puszczańskich wysoczyzn i wyższych teras dolinnych. Przez okolicę więc Tumu i Łęczycy przebiegała arteria komunikacyjna wschodnio-zachodnia, którą ciągnęli kupcy, wyprawy wojenne i osadnicy. Do tego traktu równoleżnikowego przyłączały się inne, południkowe, a w pierwszym rzędzie drogi Wisły, Warty i Odry. Przez okolicę Łęczycy nie przechodzi żadna droga dolinna o kierunku południkowym. Jednakże Łęczycy nie jest pozbawiona naturalnej strefy drożnej północno-południowej. Ponieważ leży na dziale wodnym między Bzurą i Nerem, musi przez nią lub w jej pobliżu przechodzić droga poprzeczna przez dolinę. Jeśli jednak przyjąć, że najstarszą i jedynie naturalną jest droga dolinna, to południkowy szlak łęczycki trzeba

¹⁾ Stebelski A. Przeszość administracyjna ziem województwa łódzkiego. Rocznik Oddz. Ł. Pol. T-wa Hist. Łódź, 1929, str. 3 i następne.

będzie uznać za arterię komunikacyjną drugiego rzędu. W dalszym więc ciągu, stwierdzając, że Łęczycza leży w obszarze węzłowym dwu stref komunikacyjnych ale nie jednego rzędu, nie można równać wartości jej położenia z wartością położenia Warszawy, Torunia, Bydgoszczy.

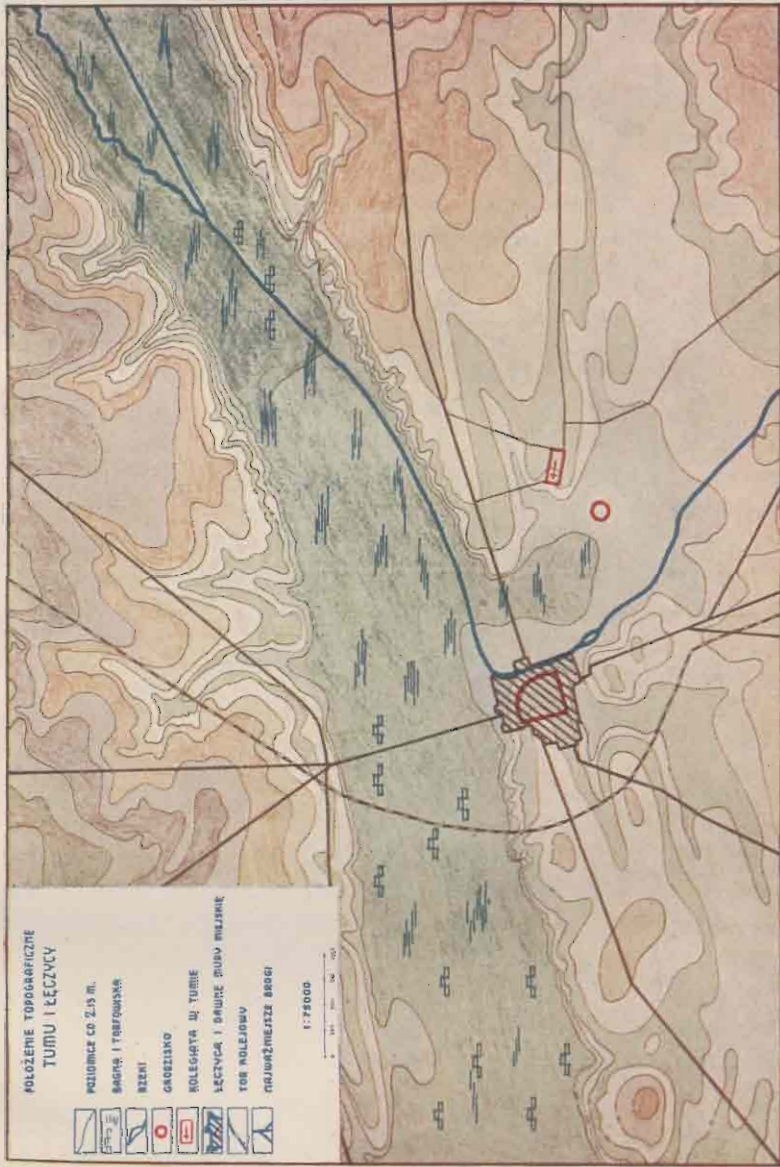
Różnice w znaczeniu stref komunikacyjnych, w których węzle leży Łęczycza, występują szczególnie jaskrawo w prehistorycznych szlakach osadniczych. Niemniej przecież należy uznać wartość łęczyckiej południkowej strefy komunikacyjnej. Trzeba ją tylko rozważać w zmniejszonej skali. Obszar zalewowy pradoliny stanowi wybitną przeszkodę komunikacyjną, z czego wynika zwiększona wartość tych miejsc, w których najłatwiej go przebyć. Stąd też pochodzi duże znaczenie przejścia łęczyckiego w pierwszym rzędzie dla obszarów przyległych do najgłębszej strefy pradoliny.

Naturalne warunki komunikacyjne okolic Łęczycy dały podstawę dwu zasadniczym drogom (południkowej i równoleżnikowej) zapewne już w czasach przedhistorycznych i wczesnohistorycznych. Utrzymały się one i rozwijały także w czasach późniejszych (ryc. 4). Przez Łęczycę przechodził szlak napadów tatarskich¹). Za czasów Kazimierza Wielkiego ustaliły się tutaj dwa ważne trakty handlowe: jeden, wschodnio-zachodni, od Poznania przez Środę, Pyzdry, Konin, Dąbie, Łęczycę, Stryków do Rawy i dalej przez Sandomierz i Lwów do Mołdawii; oraz drugi, północno-południowy, przez Piotrków i Łęczycę do Torunia i Gdańska²). Poza tymi magistralnymi drogami zbiegała się w Łęczycy wiązka dróg pomniejszych, które dla strawersowania błot w terenie zalewowym szły do łęczyckiego węzła wzdłuż krawędzi najniższej terasy ponadzalewowej lub zmierzały doń promieniście, tworząc z krawędzią tej terasy mniej lub więcej ostre kąty. Drogi te, ujęte razem w łęczyckim węźle, przecinały bagno w miejscu najdogodniejszym, by po drugiej stronie rozejść się znów promieniście.

Znaczenie komunikacyjne okolic Łęczycy oświetla także przyzyny powstania tutaj ogniska ekumeny. Miejsce na szlaku osadniczym musiało być wcześniej zaludnione. Sprzyjały temu także dogodne warunki osadnicze, wynikające z charakteru obszernej doliny. Osadnictwo, skupione pierwotnie na piaskach dolinnych, rozwija się potem na marglach lodowcowych równinnych teras wyż-

¹) Semkowicz Wł. Szkolny atlas historyczny. Lwów 1932. Mapy 7 i 8.

²) Maleczyński K. Najstarsze targi w Polsce i stosunek ich do miast przed kolonizacją na prawie niemieckim. Lwów 1926, str. 197, 198, 201, 202 i mapa.



POŁOŻENIE TOPOGRAFICZNE
 TUMU I ŁĘCZYCY

- POZIOMICE CO 25 M.
- WODA I TORFOWISKA
- RIEKA
- GRODZIŚCIE
- ROLEGIETA W. TURNE
- ŁĘCZYCA I BRANIE DUBNY WIEJSKIE
- TOR WOLEJOBY
- POJAZDOWE I SZLAKI

1:75000



M.B.

im.

J. W.

w

Łodzi

szych. Na tej podstawie terenowej ustala się — bodaj już w czasach przedhistorycznych — gospodarcze oblicze łęczyckiego centrum osadniczego. Jest to obszar zdecydowanie rolniczy. Już więc średnio-wieczna Łęczyca otoczona była gęstym kręgiem osiedli rolniczych.

Dużo jednak upłynęło czasu zanim ośrodek osadniczy łęczycki zdobył się w zdecydowany sposób na opanowanie wysoczyzny. Odbywało się to, podobnie jak i zdobywanie wyższych teras, wzdłuż uchodzących do pradoliny dolinek. Charakterystyczne jest i zasługuje na uwagę obwarowanie krawędziowej strefy pradoliny szeregiem grodzisk stożkowych (Budzynek, Piaskowice i Wielka Wieś).

Rozwijający się pradolinny ośrodek łęczycki, osiągając we wspomniany sposób przyległe a później i dalsze obszary wysoczyznowe, zmieniał się także pod względem politycznym. Po likwidacji plemiennego ustroju następuje okres państwowej organizacji kasztelańskiej. Kasztelania łęczycka wydłuża się ku południowi, rozwijając się kosztem obszarów wysoczyznowych, skolonizowanych przez łęczyckie ognisko osadnicze. Wydłużając się jednak ku południowi — na dziale wodnym, wzdłuż południkowej naturalnej strefy komunikacyjnej — zachowuje kasztelania prymat Łęczycy, jako ośrodka obszaru najgęściej zaludnionego, macierzystego w stosunku do nowo skolonizowanych terenów wysoczyznowych i jako najważniejszego węzła komunikacyjnego na tym obszarze.

4. POŁOŻENIE TOPOGRAFICZNE

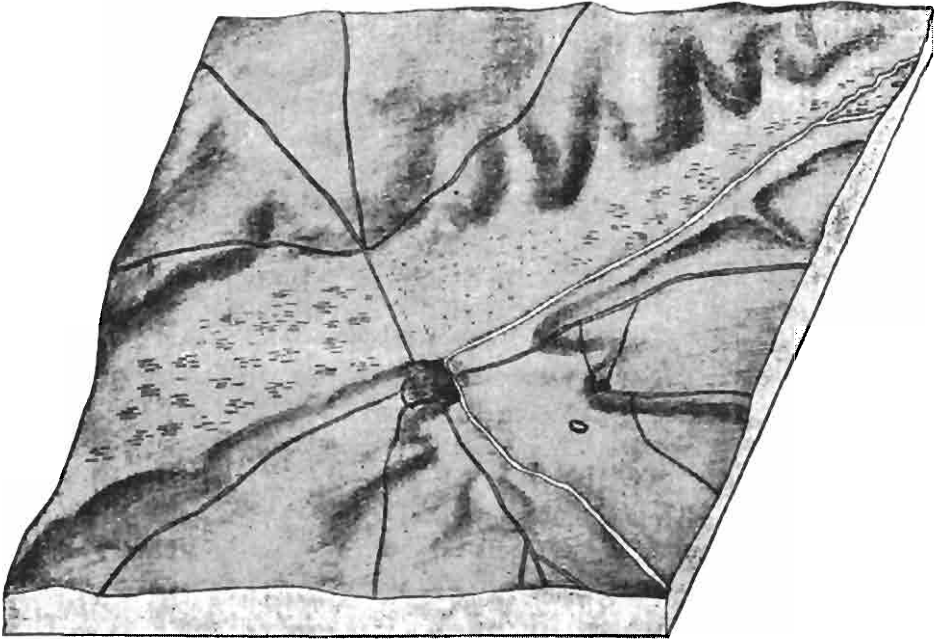
Na poprzednich stronicach zostało opisane i wyjaśnione położenie dalsze całej łęczyckiej grupy: miasta, archikolegiaty Tumskiej i grodziska. W rozważaniach tych jednak nie uwzględniono wszystkich elementów położenia. Nie mogły się tam zaznaczyć różnice, wynikające z niejednakowego położenia miejscowego badanych miejscowości i wreszcie nie wszystko, co powiedziano o położeniu Łęczycy odnosi się również do kolegiaty i grodziska. Bliższe określenie położenia wszystkich trzech obiektów da dopiero analiza położenia topograficznego (ryc. 5). Tu także wystąpią różnice w ich położeniu oraz w funkcjach, do których spełniania były przeznaczone.

Grodzisko tumskie

Grodzisko tumskie, zwane „szwedzką górą”, leży na zalewowej terasie pradoliny. Otaczają je podmokłe łąki, dziś w znacznej mierze osuszone rowami. Znajduje się ono nie w głównym łózysku pradoliny, jeno w jego południowym odgałęzieniu, wyzyskanym częściowo

przez koryto Bzury, płynące jeszcze przed zakrętem łączyckim w kierunku północno-zachodnim. Zaraz obok występuje jeszcze jedno odgałęzienie „suchej” doliny, ciągnącej się w kierunku Góry św. Małgorzaty. Najbliższy teren wyniesiony ponad terasę zalewową znajduje się pod Tumem, w odległości 300 m.

Rozważając dalej w rzucie poziomym położenie grodziska, należy zwrócić uwagę na jego zamknięcie w kącie utworzonym przez Bzurę, płynącą do Łęczycy w kierunku północno-zachodnim, a dalej skręcającą na wschodnio-północny wschód.



Położenie topograficzne grodziska, Tumu i Łęczycy

Samo położenie grodziska tumskiego w obszarze zalewowym, charakterystyczne zresztą dla większości grodzisk pierścieniowych, w czasach przedhistorycznych i wczesnohistorycznych niewątpliwie daleko bardziej niedostępne niż dzisiaj, zdaje się wskazywać na ustronność, jako najbardziej typową cechę.

Dalsze rozważania topologiczne sąd ten potwierdzają. Mapa topograficzna wykazuje, że omawiane wyżej łączyckie przejście poprzeczne przez strefę bagien znajduje się z dala od grodziska, odsuniętego nie tylko pasmem bagien, ale i odciętego Bzurą. Drugorzędne

przejsię przez obecną dolinę Bzury w kierunku wschodnio-zachodnim także jest nazbyt oddalone, by można było z nim wiązać grodzisko tumskie. Nie ulega więc wątpliwości, że twórcy tego grodziska rozmyślnie stronili od linii komunikacyjnych. Chcieli, aby grodzisko było na uboczu.

Z topograficznego położenia grodziska wynika, że miało ono charakter obronny. Topologiczne rozważania doprowadzają więc do wykrycia dwu jego zasadniczych cech położeniowych: obronności i ustronności. Łatwo już teraz wskazać na przeznaczenie grodziska tumskiego. Jego obronny charakter i położenie na uboczu dowodzą, że miało ono charakter czasowego schroniska w razie niebezpieczeństwa dla okolicznych mieszkańców, chroniących w nim życie własne i ruchomy dobytek. Wyklucza natomiast zorganizowaną obronę terytorium. Wniosek ten znajduje oparcie w szczegółowych badaniach, obejmujących wielki obszar i dużą ilość grodzisk¹).

Kolegiata

Pobliski Tum i jego kolegiata wykazują już znaczne różnice w położeniu miejscowym. Leży on nie na obszarze zalewowym, jeno na terasie około 3 m wyższej. Terasa ta wsuwa się klinem między dwa odgałęzienia doliny Bzury poniżej i powyżej Łęczycy. Prócz tego jest jeszcze przecięta na dwa drugorzędne języki przez małą bródzję spływową. Tum zajmuje bardziej południowy z nich.

Analiza w układzie poziomym wskazuje na dalsze szczegóły jego położenia. Wzmiankowane przy omawianiu grodziska kolano Bzury obejmuje także Tum. Półwysep tumski w swej północno-zachodniej części wsuwa się daleko w dolinę Bzury, powodując jej przewężenie na wprost Łęczycy.

Przechodząc dalej do wyjaśnienia sensu położenia topograficznego Tumu, określamy jego cechy. Ze względu na sytuację Tumu w kącie, utworzonym przez gwałtowny zakręt Bzury i na terasowym półwyspie otoczonym niskim obszarem zalewowym, należy położenie Tumu określić, jako ostrogowe²). Zaś położenie ostrogowe jest wybitnie obronne, podobnie zresztą, jak i w wypadku grodziska. Położenie jednak na terasie ponadzalewowej wskazuje na dogodniejsze warunki osadnicze, całkiem inne niż na terenie grodziska, gdzie były one daleko skromniejsze. Wynika z tego

¹) Dylik J. Analiza..., str. 59.

²) Gradmann R. Das ländliche Siedlungswesen des Königreichs Württemberg. Stuttgart 1914, str. 67—70.

wyraźnie, że normalne wymagania osadnicze, podobnie jak i komunikacyjne, były tam stłumione i bezwzględnie podporządkowane jedynie kategorię panującej potrzebie obronności.

Także i momenty komunikacyjne bardziej były uwzględnione w Tumie, niż na grodzisku. Fakt wysunięcia półwyspu tumskiego w dolinę Bzury i spowodowane tym jej zwężenie wskazuje na pewne możliwości komunikacyjne, uwzględnione przy wyborze miejsca pod kolegiatę tumską. Wprawdzie i to miejsce leży z dala od głównego przejścia przez bagna łączyckie, ale posiada większe możliwości osiągnięcia go przez względnie dogodny pomost tumsko-łączycki.

Tum posiada tedy w położeniu swoim charakter zdecydowanie obronny i, choć drugorzędnie zaznaczony, komunikacyjny. Służyć więc mógł obronie i to już nie tylko w sensie schroniskowym, ale i terytorialnym.

Łęczycza

Łęczycza rozpościera się na tym samym poziomie terasowym, co i Tum. Na północy i wschodzie opiera się o krawędzie terasy, opadające na północ, ku głównej zalewowej strefie pradoliny, i na wschód, ku dolinie Bzury. W dodatku z południa podcięta jest terasa łączycka przez małą dolinkę, uchodzącą do doliny Bzury.

Miasto leży na wprost najbardziej wysuniętej części półwyspu tumskiego i równocześnie w bezpośrednim sąsiedztwie najwyższego odcinka działu wodnego dolinnego, obok największego przewężenia bagiennej strefy pradoliny.

Półwyspowa, ostrogowa położenie miasta świadczy o jego wybitnej obronności, spotęgowanej jeszcze przez umiejętne dostosowanie sztucznych umocnień do konfiguracji terenu. Północne bowiem, wschodnie i południowe mury miejskie zbudowano na krawędziach terasy, podnosząc tym samym wysokość naturalnych stoków.

Położona na przecięciu dwu naturalnych stref komunikacyjnych, Łęczycza leży równocześnie w takim punkcie, gdzie każda z nich ma maximum swojej wartości. Jeśli idzie o strefę równoleżnikową, to właśnie przez Łęczycę przechodzi oś największego nasilenia możliwości komunikacyjnych w tym kierunku. Przemawia za tym jej położenie w pasie przykrawędnym, gdzie na najkrótszej drodze wiążą się punkty wschodnie z zachodnimi i gdzie krawędź terasy w dawniejszych czasach wytyczała najpewniejszą oś orientacyjną. Wartość komunikacyjnego położenia w strefie równoleżnikowej pod-

nosi jeszcze jej bezpośrednie sąsiedztwo z dogodnym przejściem przez dolinę Bzury.

Podobnie w strefie komunikacyjnej południkowej niesposób byłoby znaleźć dogodniejsze miejsce niż to, na którym wyrosła Łęczycza. Wynika to z przewężenia obszaru bagiennego i bezpośredniości najbliższej i zarazem najsuchszej części działu wodnego dolinnego. Bardziej na zachód rozszerza się pasmo bagien i stają się one bardziej podmokłe, bardziej niedostępne. Dalej na wschód jest jeszcze gorzej. Wprawdzie obszar zalewowy zwęża się tam nieco, ale jest więcej podmokły, nową zaporę stwarza Bzura i wreszcie zamiast jednego pasma bagien zjawia się ich cały szereg, wyciągniętych mniej więcej w tym samym kierunku.

Łęczycza posiada najdogodniejsze położenie komunikacyjne na całej przestrzeni między Kołem i Łowiczem, a wyróżnia się spośród szeregu takich miast, jak Piątek i Głowno, których znaczenie komunikacyjne jest tylko jednokierunkowe, związane z przeprawą przez jedną i to małą dolinę rzeczną.

5. ROZWÓJ OŚRODKA TUMSKO-ŁĘCZYCKIEGO NA TLE ICH POŁOŻENIA

Analiza geograficzna położenia Łęczycy i Tumu pozwala na opracowanie konstrukcyjnej części rozprawki. Zadaniem jej jest podanie szeregu obrazów geograficznych, odpowiadających najcharakterystyczniejszym momentom czasowym.

W epoce wczesnohistorycznej obszar podłęczycki, obszar niższych teras pradoliny, stanowił teren otwarty i w znacznej mierze zasiedlony w przeciwstawieniu do wyższych teras i przyległych połaci wysoczyznowych, pokrytych odwiecznymi lasami, które przerywały tylko wąskie pasma dolin, ożywione rzadkimi osadami. Z drugiej strony najniższa część pradoliny, terasa zalewowa, jako nieprzyjazna osadnictwu, była bezludna, uroczykowa. Na uroczystkach porastał las zalewowy.

Liczni w stosunku do terenów przyległych mieszkańcy środkowego pasa pradoliny związani byli w organizację plemienną. Trudno powiedzieć coś o wielkości plemienia. Plemię rozporządzało szeregiem grodzisk, których pełnej liczby nie znamy w danym wypadku. Z każdym z nich wiązała się najwidoczniej jakaś mniejsza jednostka organizacyjna. Nie mogąc tedy mówić o całości plemienia wolno jednak stwierdzić, że naokół tumskiego grodziska siedziała

jedna z tych grup plemiennych. Grodzisko tumskie byłoby więc najstarszym (historycznie) w okolicy Łęczycy i to, sądząc z jego wymiarów, znaczniejszym od innych. Osiedla okoliczne, niewątpliwie rolnicze, sadowiły się w ożywionym pasie teras ponadzalewowych, gdy grodzisko kryło się w bagiennym, lasem zalewowym zakrytym pustkowiu. Związek jego z osadami musiał być bardzo luźny i grodzisko, drzemiące normalnie w swym niedostępnym uroczysku, ożywiało się dopiero w chwilach niebezpieczeństwa, kiedy mieszkańcy pobliskich osad w nim szukali schronienia. Poza tym ciszę osamotnienia grodziska przerywały może także uroczystości religijne, gdyż związek grodziska z miejscem kultu religijnego jest prawdopodobny¹⁾.

Mija przedpaństwowy okres plemienny. Państwo piastowskie zapewnia mieszkańcom większe bezpieczeństwo i zmienia zasadniczo taktykę obronną. Zamiast obronnych ośrodków plemiennych monarcha ustanawia nowe, o innym już przeznaczeniu. Nie są to schroniska mieszkańców, lecz punkty strategiczne, przeznaczone do obrony terytorium. Dawne grodziska pierścieniowe, z reguły położone na uboczu, pozbawione przez to wszelkiej możliwości dawania odporu terytorialnego, nie mogą sprostać nowym zadaniom. Są więc porzucane i zapominane.

Taki los musiał też najpóźniej na początku XII wieku spotkać grodzisko tumskie. Gdzie jednak szukać jego nowej zastępczej formy? W całym kraju stanowią ją zasadniczo grodziska stożkowe, położone także obronnie ale w dogodniejszych warunkach komunikacyjnych. Położenie znanego już w tym czasie źródłom historycznym Tumu wskazuje na możliwość istnienia tam niegdyś grodziska stożkowego. Tum bowiem posiada położenie ostrogowe, bardzo często zajmowane przez grodziska stożkowe, i równocześnie cechuje go pewna dogodność komunikacyjna związana z przejściem łączyczo-tumskim. Nie jest więc wykluczone, że na miejscu dzisiejszej kolegiaty lub w jej pobliżu znajdowało się grodzisko, broniące przejścia przez dolinę Bzury. Badania nie wykazały jednak śladów grodziska, wobec czego nie podobna twierdzić o jego dawniejszym istnieniu w tym miejscu.

W świetle ostatnich badań M. Walickiego²⁾ nad archikolegiatą tumską zarysowuje się jej podwójne przeznaczenie. Była ona nie

¹⁾ Łęga W. Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk. Toruń 1930, str. 311—312.

²⁾ Walicki M. Kolegiata w Tumie pod Łęczycą. Łódź 1938.

tylko Domem Bożym, ale równocześnie i warownią. Wnioski Wালিকiego, oparte na analizie architektonicznej, znajdują obecnie uzupełnienie i potwierdzenie w analizie topograficznego położenia kolegiaty. Jeśli więc nawet nigdy nie było stożkowego grodziska na miejscu kolegiaty, to i tak formę zastępczą w stosunku do pierścieniowego grodziska tumskiego znajdujemy w tym samym miejscu — właśnie w kolegiacie. Tu więc z kolei wyrasta nowy ośrodek łączyckiego obszaru.

Warownia tumska jest jednak tylko namiastką grodu. Wynika to z jej drugiego, religijnego przeznaczenia i z położenia tylko drugorzędnie komunikacyjnego. Równocześnie Polska, dotąd wyłącznie wiejska, wchodzi w okres intensywnego powstawania miast. W rozrastającym się i stosunkowo gęsto zasiedlonym ośrodku tumskim musi powstać miasto.

Ostroga terasowa na lewym brzegu Bzury daje naturalną podstawę obronną, na której wyrasta łączycki gród i do którego dostosowują się warowne mury miasta Łęczycy. Pierwszorzędna sytuacja komunikacyjna podnosi ważność obronnego grodu, niezapoznaną jeszcze po drugim rozbiórce Polski za rządów pruskich, i pozwala na rozwój miasta. Równocześnie z powstaniem Łęczycy warownia tumska traci swoje znaczenie, kolegiata usuwa się w cień, służąc tylko religijnym celom. Ośrodek tumski zamiera.

Pierwszorzędne niegdyś znaczenie Łęczycy związane było z jej sytuacją strategiczną i polityczno-administracyjną, jako siedziby kasztelańskiej, książęcej, wojewódzkiej i starościńskiej oraz jako miejsca sejmikowania. Znaczenia handlowego na większą skalę nigdy Łęczycy nie posiadała. Jej pozycja handlowa sprowadzała się do roli lokalnego targowiska, bowiem była ona wydatnie zarysowanym, a podkreślonym przez wiązkę dróg, centrum gospodarczym całego rolniczego obszaru pradolinnego między Kołem i Łowiczem. Toteż z chwilą, kiedy straciła swe znaczenie obronne i przestała być siedzibą ważniejszego okręgu administracyjnego, pozostała jej nadal rola gospodarczego ośrodka rozległego obszaru rolnego. I pozostała do chwili obecnej.

Nawet w epoce intensywnego uprzemysłowienia byłego Królestwa Kongresowego Łęczycy nie upadła. A jeśli się mówi o jej degradacji, to trzeba stwierdzić, że była to degradacja względna. Łęczycy bowiem w dalszym ciągu zachowała swe dawniejsze znaczenie gospodarcze, tylko inne miasta i wsie wyrosły ponad jej miarę. Stało się to na jakichś nowych, nie znanych dotąd podstawach.

Próby uprzemysłowienia Łęczycy i uczynienia z niej nowego centrum przemysłowego spełżyły na niczym. I tak chyba być musiało, bo zdecydowały o tym warunki naturalne. Łęczycza wyrosła na starym tle osadniczym, które już dawno miało uformowane gospodarcze oblicze o zdecydowanie rolniczym charakterze.

Inaczej było na innych obszarach, wysoczyznowych i wyżynnych, gdzie proces osadniczego nasycenia odbywał się daleko wolniej, gdzie jeszcze w ubiegłym stuleciu dominowały lasy. I ubogie osady drzemiące w ich cieniu zdawały się oczekiwać jakichś wydarzeń, które by im dały pełnię połowicznego dotąd życia, które zdecydowały by o gospodarczym charakterze krainy. Wydarzenia te wreszcie przysły, stworzone zabiegami rządu Królestwa Kongresowego, i powstał okręg przemysłowy łódzki.

JAN DYLIK

DZIESIĘĆ LAT PRACY KONSERWATORSKIEJ W TUMIE POD ŁĘCZYCĄ

Osiem wieków bez mała dobiega od powstania kościoła w Tumie, wspaniałego, a może i najwspanialszego zabytku architektury romańskiej na ziemiach Polski. Długi ten okres czasu sprawił, że w architekturze świątyni dokonały się niejedne zmiany. Mimo to pozostała ona w zasadniczym swym zrębie, układzie, a częściowo i bryle — romańską, choć epoki, jakie przeżywała, wycisnęły na niej swe piętno.

Bazylika romańska ukończona została w 1161 r. Już w ostatnich latach XIII w. nawiedza ją pożar wzniecony przez Litwinów. Wkrótce znów, bo w 1331 r. opiera się ona najazdowi Krzyżaków, do czego zwłaszcza przyczynia się obronny jej charakter. Wiek XIV nie wprowadza w architektoniczny układ świątyni żadnych znaczących zmian. W 1473 roku kolegiata pada znowu pastwą wielkiego i groźnego pożaru, który niszczy jej wnętrze. Przeprowadzona wówczas odbudowa trwa lat czternaście, jak to wskazuje na drzwiach gotyckich wiodących do zakrystii, data 1487, będąca niewątpliwie rokiem zakończenia ważnych prac budowlanych. Z tego okresu pochodzą żebrowe sklepienia w nawach bocznych, przebudowane empory, a raczej już gotyckie triforia, wreszcie częściowe zmiany samego prezbiterium. Wiek XVI zaznaczył się, poza drobnymi remontami, wystawieniem w 1569 r. kruchty od północy, która osłoniła znakomity portal romański.

Nieznane są nam bliżej roboty, prowadzone w kolegiacie w XVII w. Akta z tych czasów nie wyjaśniają charakteru i rodzaju prac, mówią one jedynie o robotach budowlanych około kruchty, naprawie czterech wież kościelnych i remoncie samego kościoła. Wiemy wreszcie, że przebudowano (1683 r.) zakrystię i zamurowano okna w absydzie wschodniej. Wszystkie te roboty dotyczą jednak tylko pierwszej połowy w. XVII, drugie bowiem pięćdziesięciolecie tego wieku nie pozostawia nowych zmian w naszej budowli. Większe przeróbki, które zaważyły na wyglądzie naszego zabytku, przynosi dopiero połowa XVIII stulecia. Najdonioślejsze z nich to obniżenie murów o dwa łokcie i zmiana na barokowe gotyckich okien nawy głównej, uprzednio już

przerobionych z romańskich. Wtedy to również przekryto tę nawę nowym stropem, który zachował się do dziś dnia.

Rozpoczęte prace prowadzono nadal. Jak dowiadujemy się z danych archiwalnych, zmieniono w 1768 r. posadzkę; podwyższone też zostały wieże (1782—1785), a ściślej mówiąc nadbudowane i zwieńczone nowymi hełmami, według projektu Efraima Schroegera. Z tego też czasu pochodzi nadbudowa absydy zachodniej, zwieńczenie jej szczytem i pokrycie kościoła nowym dachem.

Zwycięsko broniąc się przed kataklizmami dziejowymi, nie oparł się jednak nasz zabytek działaniu groźnego wroga, jakim jest czas.

Pierwsze niepokojące oznaki, jakie zauważono w nadwątlonym organizmie świątyni, sięgają lat dwudziestu wstecz. Już wówczas bowiem — w 1919 r. zjeżdża tam dla zbadania stopnia zarysowania kościoła komisja, powołana przez ówczesne Ministerstwo Sztuki i Kultury. Stwierdza ona jednak, że pęknięcia w murach, zwłaszcza w wieży nie powiększają się i nie są groźne, a istnieją zapewne od wielu lat. Chwilowy stan uspokojenia trwa do roku 1927, kiedy to znów raz po raz dają się słyszeć alarmy i niepokojące wiadomości o stanie świątyni. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, jako spadkobierca zniesionego w tym czasie Ministerstwa Sztuki i Kultury, wprawdzie interpeluje w tej sprawie właściwego konserwatora (arch. Teofila Wiśniowskiego), lecz szczupłe kredyty, jakimi ten rozporządza, nie pozwalają na wszczęcie żadnej akcji, zwłaszcza że jest to okres wyczerpanej pracy odbudowy, restauracji i konserwacji ogromnej liczby zagrożonych przez wojnę światową zabytków, do których Tum szczęśliwym trafem nie należał.

Potrzeba rychłego remontu staje się jednak coraz bardziej aktualna. Upomina się o to w początku 1929 r. sama parafia, która zwraca uwagę na to, że świątynia ulega stopniowemu niszczeniu: szczególnie wieże wskutek zarysowania się i pochylenia grożą zawaleniem. Władze państwowe doceniają powagę chwili. Napływają pierwsze subwencje z kredytów rządowych. W tym też czasie powstaje w Łęczycy z udziałem konserwatora dra Józefa Klussa Komitet Remontu Archikolegiaty w Tumie pod przewodnictwem starosty powiatowego łęczyckiego dra Zygmunta Pajdaka.

W czerwcu komisja techniczna z inicjatywy konserwatora ustala, że obie wieże przy zachodniej absydzie kościoła są zarysowane. Rysy te w zachodniej ścianie przechodzą przez całą wysokość wież, przy czym szerokość szpary dosięga w niektórych miejscach do dwóch centymetrów. Zarysowane są również i narożniki. Jedna z wież

wyказuje uwypuklenie na połowie wysokości murów; w kilku miejscach kostki granitu stanowiące watek murów — zupełnie luźno osadzone — wysunęły się z płaszczyzny lica ściany. Że groźne te zmiany w organizmie świątyni nie powstały nagle, świadczą o tym istniejące do dziś dnia zakotwienia ankrami na różnych wysokościach, założone podczas ostatniego gruntownego remontu, jaki miał miejsce przed kilkudziesięciu laty. Te środki techniczne jednak, zdaniem Komisji, nie zdawały się być dostatecznie zabezpieczającymi. Jako przyczynę niszczenia wysunięto słabość fundamentów, jako wskazówki zaradcze — ich wzmocnienie po uprzednim zbadaniu oraz założenie dodatkowych ankrów na wieżach. Rysy stwierdzono również w nawach i sklepieniach.

Alarmy tymczasem nie ustają. Pokazują się nowe rysy, przyspieszając konieczność rozpoczęcia robót.

W wyniku badań, przeprowadzonych przez rzeczoznawcę-statyka, wydane zostaje w marcu 1930 roku zarządzenie ściągnięcia tymczasowo wieży północnej obręczami co metr, poczynając od trzeciego okienka strzelniczego aż do uskoku, dla zabezpieczenia przed dalszą destrukcją i umożliwienia robót remontowych. Zaszła też konieczność rewizji dachów i hełmów, których niezadowolający stan przekrycia mógł spowodować dalsze niekorzystne zmiany w budowlu.

Niebawem roboty ciesielskie zostały rozpoczęte. Wzniesione rusztowania pozwoliły na dokładne zbadanie uszkodzeń wieży. Okazało się, na przykład, że kamień groźnie zwisający pomiędzy najwyższą strzelnicą, a przezroczem dwudzielnym już dawniej był niewątpliwie naruszony, o czym świadczy jego ocementowanie. Znalaziono także szereg innych uszkodzeń, koniecznych do zabezpieczenia a niewidocznych dotąd, czy wprost niedostrzegalnych.

Już w maju sprecyzowane zostały przyczyny, jakie mogły spowodować powstanie uszkodzeń. Tezy te, nieco odmienne od pierwotnych przypuszczeń, wyraziły się w trzech punktach: osiadanie gruntu podfundamentowego, dodatkowe obciążenie, powstałe przez późniejsze nadbudowanie wież w XVIII wieku, oraz niszczące działanie wody w ciągu długiego okresu czasu.

Pierwsza z tych przyczyn, zdaniem komisji, mogła tylko w pewnym stopniu spowodować powstawanie rys. Stwierdzono bowiem, że rysy zwiężają się ku podstawie i kończą się 1½ do 2-ch metrów nad terenem.

Nadbudowanie wież w wieku XVIII przeciążyło niewątpliwie pracę murów, nie wpłynęło ono jednak decydująco ujemnie, nawet jeśli

zważymy, że mur ten wykazywał duże pod względem konstrukcyjnym braki, mając za wążek kamień narzutowy, ułożony niejednolicie i spajany tynkiem wapiennym.

Nadmienić tu wypada, że jak się okazało po ostatecznym przeprowadzeniu badań, żadna z tych dwu przyczyn nie mogła być brana w rachubę, fundamenty bowiem okazały się zdrowe i nienaruszone. Istotną i jedyną przyczyną uszkodzeń w wieżach był li tylko zły stan ich konserwacji.

Najgroźniejszym zatem wrogiem było działanie wody. Przenikając przez nie zabezpieczone dostatecznie, a zniszczone mury otworów przezroczy wieżowych — stała się woda bez wątplenia jednym z ważniejszych czynników rozkładowych muru. Wypłukiwała stopniowo zaprawę wapienną, co osłabiało w znacznym stopniu i tak niedostateczną przez nieprawidłowe wiązanie, zwłaszcza kamieni narożnikowych, spoiwość murów, powodując powstawanie rys i szczelin.

To fachowe orzeczenie komisji wykazało ponad wszelką wątpliwość, jaki ważny problem stawał przed nami ze stanowiska konserwatorskiego. Rozwiązanie tego zagadnienia nie pozwalało długo na siebie czekać. Poddane zostały pod rozważenie dwa rodzaje konserwacji. Pierwszy z nich to rozebranie wież i ich przemurowanie, a ściślej mówiąc przełożenie wążku na nowo. Ten sposób wydawał się ryzykowny, choć technicznie wykonalny. Niezbędną pomocą byłyby tu zdjęcia pomiarowe inwentaryzacyjne i fotograficzne elewacji wież z dokładnym oznaczeniem układu bloków kamienia. Drugi sposób przewidywał związanie rozpękających się murów zastrzykami z cementu stosowanymi do wnętrza. Wybrano ten ostatni. Był to zabieg równie trudny i niebezpieczny, jednak całkowicie radykalny.

Mury wież zbudowane były w ten sposób, że kostki piaskowcowe lica, czy też granitowe narożników są tylko okładziną zewnętrzną obu stron ściany; przestrzeń wewnętrzna ściany, wynosząca 80—90 cm, wypełniona jest nieobrobionymi kamieniami polnymi i zalana dla związania zaprawą wapienną. System ten znany był w średniowieczu pod nazwą „opus emplecton“. Żle wiążąca zaprawa, wypłukiwana przez przesiąkającą wodę, często rozsadzana przez lód, była słabym spoiwem ścian. Wskutek tego powstawały z biegiem czasu w miąższu muru puste szczeliny i w następstwie powodowały rozpadanie się wążku. Nasz zabieg miał na celu wypełnienie zaprawą cementową szczelin i otworów, a tym samym zapobiegnięcie dalszej destrukcji muru.

Porządek prac był następujący: świdrami pneumatycznymi przewierca się w kostce granitowej, grubości około 20—30 cm, mniej

więcej pośrodku jej płaszczyzny otwór, dostając się w ten sposób do miększa ściany. Otwory wierci się w odległości 1—2 m od siebie w kierunku poziomym i pionowym, stwarzając szereg punktów w układzie w rodzaju szachownicy. Przez tak wywiercone otwory wprowadza się rurę zastrzykową, przez którą wtłacza się powietrze pod ciśnieniem 2—3 atmosfer. Powietrze przedmucha wewnętrzną przestrzeń muru wypychając stamtąd pył i kurz na zewnątrz przez spoiny między kostkami, względnie przez rysy i szczeliny. W ten sposób przedmuchane i oczyszczone wnętrze przygotowane jest do następnego zabiegu, polegającego na wtłoczeniu zaprawy cementowej za pomocą iniektora pod ciśnieniem. Przedtem jednak dla ustalenia zasięgu niebezpiecznego miejsca, a również ilości zaprawy, jaka ma być wtłoczona, wstrzykuje się przez ten sam otwór wodę. Ta rozlewa się we wszystkich kierunkach torując sobie drogę między gruzem w miejscach pustych, które jakby sobą wypełnia. Po pewnym czasie na ścianach wieży w różnych odległościach — nieraz do kilku metrów — i w różnych kierunkach od wywierconego otworu ukazują się pierwsze sączenia na licu wątku. Określają one zasięg promienisty, dając zarazem wskazówki rozmieszczania nowych wierceń otworów dla tego samego zabiegu. Ostatni wreszcie etap — to wypełnienie zaprawą oczyszczonych szpar i szczelin.

W czerwcu 1930 roku Powiatowy Komitet Remontu powierza kierownictwo robót inż. arch. J. Witkiewiczowi, same prace zastrzykowe prowadzić ma firma Martens i Daab. We wrześniu prace te są już w pełnym toku, kieruje nimi inż. A. Dyżewski. Próbné wiercenia i zastrzyki wody wykazały, że mury wewnątrz posiadają szeroko rozgałęzione gniazda puste, które powiększają się w miarę posuwania się ku górze.

Pomimo przewidywań ukończenia wieży w tym sezonie, roboty doprowadzone zostały przed zimą zaledwie do wysokości 10 m (cała wysokość wieży zrębu romańskiego wynosi około 27 m) — i to głównie tylko w zachodniej ścianie wieży, jako najbardziej zagrożonej.

Prace konserwatorskie około tej wieży trwają jeszcze cały sezon następny 1931 roku. Komisja techniczna zaleca dodatkowo wprowadzenie pewnej ilości zastrzyków w górnych partiach wieży przy przezroczach.

Po takim jej zabezpieczeniu wysunięto z kolei program naprawy wieży drugiej — południowej, zwłaszcza że pokazały się na niej dalsze rysy i pęknięcia, które mogły zagrażać jej całości. Stan niepokoju powiększyły wieści, że po burzach wrześniowych ukazały się na niej świeże pęknięcia od strony zachodniej i południowej; parafia wysuwa

nawet propozycję rozebrania tej wieży z obawy przed katastrofą. Istotnie, pęknięcia te rozszerzyły się z końcem sezonu budowlanego na jesieni i posunęły się ku dołowi na przestrzeni około dwóch metrów. Narożnik od strony południowo-wschodniej pękł, a kamienie rozluźniły się. Pod koniec roku (1931), kiedy powierzony mi został urząd konserwatora, wieża ta miała już rusztowanie, co umożliwiło dokonanie dokładnych badań na całej wysokości. Oględziny te pozwoliły na odłożenie remontowych robót zastrzykowych do następnego roku.

Przy końcu 1933 roku wiercenia i zastrzyki przy tej wieży doprowadzono do wysokości pierwszych przezroczy. Zarządzono przy tym próbną wiercenia terenu przy wieży południowej, które dały dobre wyniki. Fundament odsłonięty, poniżej pęknięcia, ujawnił mur zdrowy; stwierdzono, że posady spoczywają na bardzo twardym, zbitym ile. Dla uzyskania jednak całkowitego bezpieczeństwa zastosowano ochronne zastrzyki w kilku miejscach fundamentów wieżowych.

Naprawa wież trwała jeszcze rok następny (1934). Żelazne obręcze, opasujące obie wieże przez cały czas zabiegów konserwacyjnych, zdjęte zostały dopiero w ostatnich dniach sezonu budowlanego.

Tak więc trudne, zmusne i odpowiedzialne prace trwały pięć lat. Wymagały one specjalnej umiejętności i wyjątkowej ostrożności, a nawet wyczucia. Do robót tych sprowadzono z zagranicy maszyny, jak kompresor do zgęszczania powietrza, iniektor z węzłem powietrznym i materialnym, działo cementowe, zbiornik na wodę, świdry pneumatyczne, węże i rury zastrzykowe.

W Polsce roboty systemem opisanym prowadzono po raz pierwszy w Tumie. Tym większa odpowiedzialność spadała na to przedsięwzięcie konserwatorskie, które wymagało niemało troski i niepokoju. A każdy wywiercony otwór sprawiał ulgę, że szczęśliwie dało się go wykonać. Dla przykładu podam, że w wieży południowej na całej wysokości 26 m zrębu kamiennego wywiercono około 400 otworów 36 m/m średnicy, wstrzykując ogółem 20 tys. kg cementu; jeden zatem otwór chłonął średnio 50 kg; zdarzało się jednak, że ilość ta dochodziła do 300 kg. Zastrzyki te sprawiły, że zaprawa cementowa, pomimo uprzedniego uszczelnienia szpar i pęknięć kamienia, przesączała się na zewnątrz i ociekając pozostawiała ślady na licu muru. Toteż koniecznym było usunięcie tego nalotu cementowego — kamień po kamieniu — za pomocą środków chemicznych i mechanicznych.

Nie poprzestano jednak przy konserwatorskich robotach na zastrzykach. Prócz robót czysto technicznych zajęto się architekturą obu wież. Zastąpiono wszędzie partie ceglane z okresu remontu w końcu

ubiegłego stulecia wątkiem kamiennym. Odkryto zamurowane dwa przezrocza w wieży północnej, jedno od strony zachodniej, drugie od wschodu — oba trójdzielne, i jedno dwudzielne również od strony wschodniej. Uzupełniono brakujące kolumnienki tych przezroczy nowymi z kamienia szydłowieckiego; przemurowano ciosem uszkodzone sklepienia i parapety. Partie ponad częścią romańską, wystawione w XVIII w. przez Schroegera na planie ośmioboku, wyprawiono nowym tynkiem; wreszcie pokryto oba hełmy wieżowe nową blachą. W samym końcu 1934 roku zdjęto ostatecznie rusztowanie wieży północnej. Do zupełnego ukończenia zewnętrznego remontu pozostawała na rok 1935 wieża południowa; wymagała ona oczyszczenia i obustronnego wyfugowania. Ukończenie tych prac w przewidzianym terminie opóźniała naprawa rusztowania, które przewrócił huragan. Wreszcie i to rusztowanie zdjęto z końcem lata.

Usunięcie niebezpieczeństwa, jakie groziło wieżom, pozwoliło na zajęcie się z kolei remontem pozostałych partij zabytku. Korzystając zwłaszcza z całego aparatu technicznego do zastrzyków — zaaplikowano je w sklepieniach obu absyd, wschodniej, która, jak się okazało, ma sklepienie ceglane, i zachodniej — o bardzo nietechnicznym przesklepieniu okrągłakami. Toteż wykonano w niej 35 wierceń, zamiast poprzednio przewidzianych 15.

Te roboty zakończyły serię kilkoletnich zabiegów konserwacyjnych około wzmocnienia murów systemem zastrzykowym.

Niezależnie od tych robót wykonano w okresie tych kilku lat niezbędne roboty konserwacji dachów (1931—1932 rok). Przekryto na nowo dachówką karpiówką połąć północną dachu nawy głównej, wyreperowano połąć południową pozostawiając na nim dachówkę rzymską. Położono holenderkę na absydzie prezbiterialnej. Dachy naw bocznych, absydy między wieżami, absyd zamykających nawy boczne oraz dwóch absyd-baszt od północy i południa — przekryto prowizorycznie blachą. Usunięto w ten sposób możliwość zacieków murów, które mogłyby stworzyć sytuację podobnie niepokojącą i niebezpieczną, jak to miało miejsce z wieżami.

Z innych robót związanych z zewnętrzną architekturą przeprowadzono remont i rekonstrukcję okien absydy głównej. Okna te, takie jak dziś je widzimy, pochodzą z czasu przebudowy gotyckiej XV w., co potwierdzają znalezione zamurowane w dolnych ich częściach profilowane drewniane laskowania (szprosy) gotyckie, oraz gotycka cegła wielkiego formatu, którą odsłonięto spod późniejszego tynku.

Wydobyto również spod tynku małe wejścia w fasadzie zachodniej w zagłębieniach między półkołem absydy i wieżami. Odkryto w nich ościeża kamienne, przy czym w wejściu przy wieży południowej pozostawiono ślady przebudowy gotyckiej.

Dwom oknom w tej absydzie — dziś znajduje się tam skarbiec — przywrócono częściowo zagubiony zarys i głębokość glicyfów.

Prace te pozornie drobne, a jednak tak wiele znaczące dla czystości i jasności stylowej, są tylko fragmentem całości wielkich zamierzeń konserwatorskich dotyczących architektury świątyni. Nie oznaczają one zatem bynajmniej, że na nich można by już poprzestać. Gdybyśmy chcieli tylko zachować stan dzisiejszy kolegiaty w jej bryle, to i to wymagałoby jeszcze wielu uzupełnień i zabiegów, że wymienię choćby odsłonięcie wątku kamiennego spod zaprawy cementowej na hemicyklach absydy nawy bocznej od północy oraz z obydwu baszt-absyd, przywrócenie właściwej formy przekształconym kiedyś oknom zakrystii, skarbcza, czy obydwu kaplic.

Prace te są aż nadto oczywiste i zrozumiałe ze stanowiska należytej pojętej konserwacji zabytków. Jeżeli one zostały pominięte w okresie dziesięciolecia, to tylko z racji innych o wiele ważniejszych i pilniejszych zagadnień, jakie poruszyć wypadło w Tumie.

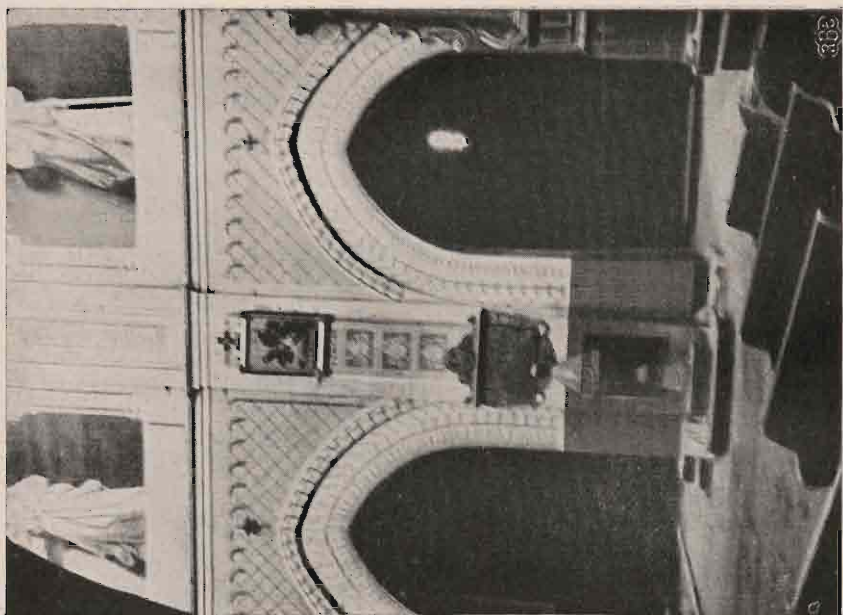
Naczelnym zagadnieniem jest przede wszystkim problem wnętrza. Dość wnętrza to ogarnąć wzrokiem, by bez trudu spostrzec przemiany, jakie zaszły w nim w ciągu stuleci. Cechuje je wyraźnie architektura końca XVIII w., która zagubiła całkowicie romański jego charakter. Odnajdujemy go, a raczej wyczuwamy pod tynkiem, w fragmentach zniszczonych okrojów, wreszcie w nie dla wszystkich dostępnych wnętrzach absyd-baszt, czy też samych wież.

Jednocześnie dokumentują swoją epokę gotyku nawy boczne, sklepienia żebrowe i ich znakomite rzeźbiarskie wsporniki.

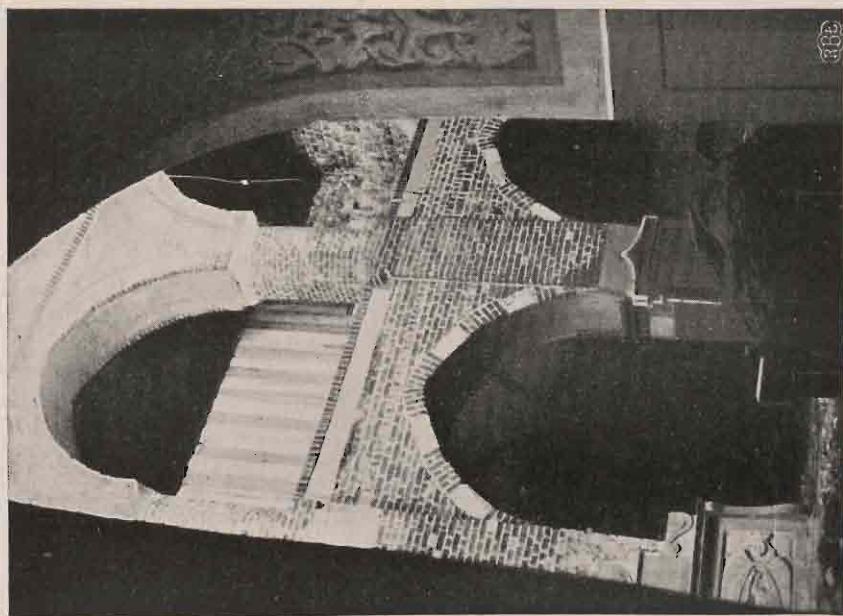
Nasuwa się zatem zagadnienie restauracji i rekonstrukcji wnętrza, dziś niezharmonizowanego i niezspolonego z charakterem średniowiecznej świątyni.

Z zagadnieniem tym łączy się konieczność przeprowadzenia prac badawczych o poważnym zakresie naukowym. Sprawa ta, od dawna roztrząsana, zyskuje na aktualności jednak dopiero w roku zeszłym, zwłaszcza że akces do niej zgłasza Łódzki Komitet ratowania Tumu, któremu przewodniczy J. E. ks. dr Kazimierz Tomczak, biskup sufragan łódzki. Działalność i zamierzenia Komitetu idą tym samym torem, jaki został przeze mnie przedstawiony na organizacyjnym zebraniu, odbytym w roku 1934 z inicjatywy oddziału łódzkiego Polskiego

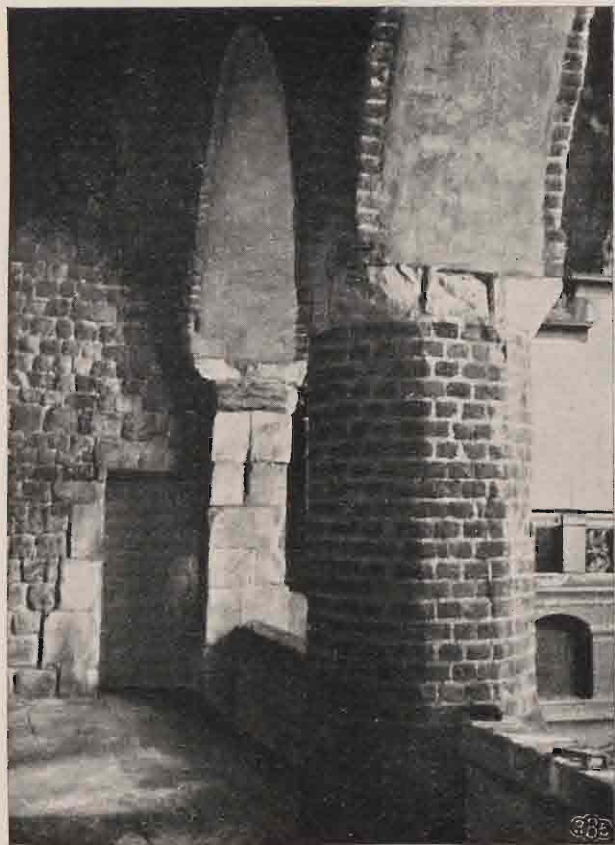




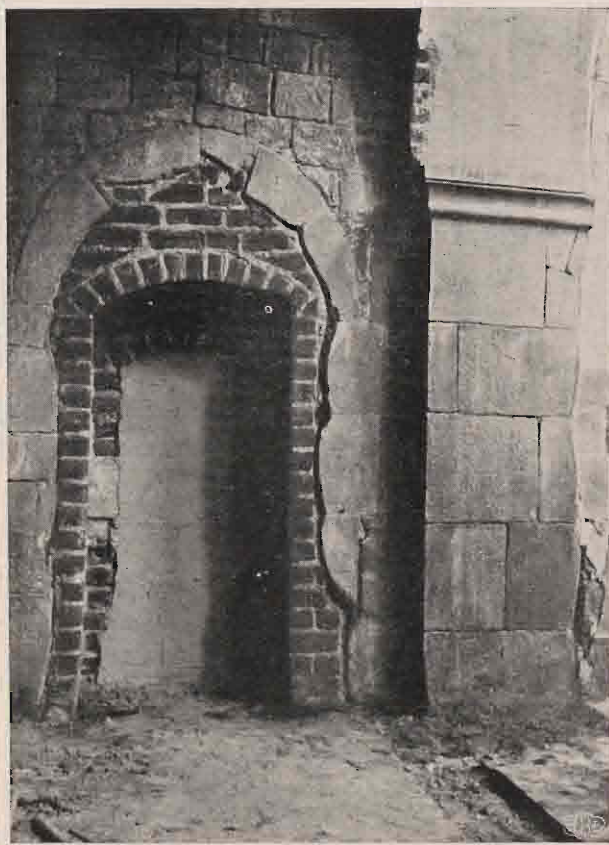
Ściana północna nawy głównej



Ściana południowa po restauracji



Filary empory (tryforium)



Nawa południowa, przejście przy wieży i odkryty filar arkady

fol. inż. G. Ciołek



Towarzystwa Historycznego. Staraniem i sumptem Komitetu ukazało się w kwietniu 1938 r. cenne studium dra Michała Walickiego, zawierające zestawienie dotychczasowego dorobku naukowego, dotyczącego naszego zabytku, oraz owoc mozolnych indywidualnych badań autora w granicach aktualnych możliwości technicznych¹⁾.

Program prac badawczych został opracowany latem 1938 r. Ma on na celu ustalenie zakresu restauracji i rekonstrukcji wnętrza oraz metody konserwatorskiej, a dotyczy zwłaszcza odtworzenia dolnej części absydy zachodniej, przywrócenia właściwego układu ścianom nawy głównej, czyli nadania odpowiedniej formy arkadom międzynawowym, emporom lub triforium, wreszcie oknom. Przewiduje on odsłonięcie wątku romańskiego, odszukanie średniowiecznych malowideł ściennych, odrestaurowanie sklepień gotyckich, żebrowania i wsporników w nawach bocznych.

Roboty konserwatorskie badawcze rozpoczęte zostały pod kierunkiem prof. Jarosława Wojciechowskiego w połowie sierpnia 1938 roku. Prowadził je inż. arch. Gerard Ciołek. W pierwszej fazie ograniczyły się one do zbadania dwóch przęseł nawy bocznej południowej od strony chóru i partii ściany nawy głównej w tych samych granicach. Śladów malowideł nie znaleziono; próby wykonał art. mal. M. Słonecki.

O wiele bogatszy rezultat poszukiwań dały badania ścian. Po usunięciu podmurowań ostrołukowych arkad międzynawowych odnaleziono pierwotny kształt gotyckiego filara ceglanego z profilem cokołowym i fragmentem gzymsu. Przebito płaszczyzny empor zamurowane, co odsłoniło ośmioboczne filary gotyckie z kamiennymi głowicami o geometrycznych formach. Oczyszczono z tynku kamienne ściany nawy bocznej, które doskonale się wiążą stylowo ze zrębem gotyckim. W oknach nawy głównej wydobyto dolne części układu gotyckiego.

Wszystkie te odkrycia konserwatorskie, jak to już było wspomniane, są zaledwie częstką wielkich zamierzeń rekonstrukcyjnych kolegiaty, ale już i to, co zdołano wydobyć z architektury pierwotnego kościoła, pokazuje, jakie przemiany czekają naszą świątynię.

Równoległe do tych badań rozpoczęto ostateczne prace restauracji i rekonstrukcji portalu głównego. Przewidują one odkopanie portalu wraz z jednoczesnym obniżeniem posadzki kruchty do właściwego poziomu; zbadanie stanu portalu od strony kruchty i wnętrza kościoła,

¹⁾ Michał Walicki. Kolegiata w Tumie pod Łęczycą. Łódź, 1938. Wydawnictwo Łódzkiego Obywatelskiego Komitetu Ratowania Kolegiaty w Tumie. Str. 8 nrb + 80, ilustracyj w tekście 20, tablic 44. Podane w moim artykule fakty historyczne, dotyczące przebudowy kolegiaty, zaczerpnąłem z tej pracy.

wreszcie jego częściową rekonstrukcję. Polegać ma ona na uzupełnieniu brakujących części architektonicznych na podstawie projektu. Program ten w ostatnim sezonie 1938 r. wykonano tylko w granicach robót rekonstrukcyjnych. Portal po zrekonstruowaniu gzymsu i baz odzyskał właściwe mu proporcje, stając się tym samym jeszcze bardziej wartościowym zabytkiem architektury i rzeźby romańskiej XII w. Przez fachowe jego odczyszczenie została wydobyta wyrazistość rzeźby. Trudne i niezmiernie pracowite to zadanie wykonała art. rzeźbiarka Z. Morawska-Knottowa.

Z radością notuję przy tym, że starannie przeprowadzona restauracja wykryła wcale cenny szczegół. Mam na myśli górny blok kamienia z prawej strony portalu umieszczony ponad kolumnką, na którym odsłonięcie postaci Matki Boskiej pozwala na dokładne zdefiniowanie znaczenia tej rzeźby, jako sceny uczyty w Kanie Galilejskiej.

Osadzenie na nowo niektórych rozluźnionych partyj archiwolty portalu i samego tympanonu, wysuniętego dziś, jak się okazało, ku przodowi, pozostawiono na rok bieżący.

Podany tu przegląd robót dokonanych w ciągu lat dziesięciu wykazuje, jaką miarę w zgodnym i ciągłym współdziałaniu przyłożyły władze państwowe konserwatorskie i administracyjne, władze kościelne w osobie J. E. ks. Włodzimierza Jasińskiego, biskupa ordynariusza łódzkiego, oraz społeczeństwo — do jednego z najcenniejszych zabytków w Polsce. Wydatkowano na ten cel sto kilkadziesiąt tysięcy złotych, licząc w tym subwencje rządowe — przeszło sto tys. zł — oraz pomoc finansową Komitetu Powiatowego, Komitetu Łódzkiego i parafii. Nadmienić wypada wreszcie, że uznając doniosłość zagadnienia, nie poprzestano na doraźnych pracach rekonstrukcyjnych, mających na celu zabezpieczenie statyczne zabytku. Podjęto trud badań archikolegiaty w celu odtworzenia jej przypuszczalnego — pierwotnego wyglądu. Pracy tej poświęcił prof. Wojciechowski całe swoje wybitne znanstwo i zamięłowanie.

Obecnie Zakład Architektury Polskiej i Historii Sztuki Politechniki Warszawskiej przystąpił na podstawie dotychczasowych wyników wspomnianych badań do naczelnego opracowania teoretycznej rekonstrukcji kolegiaty oraz odtworzenia jej wyglądu po przebudowie gotyckiej w XV w. Materiały te posłużą do sporządzenia projektu rzeczywistej odbudowy i restauracji tego zabytku, tak ważnego ze względu na łączność z początkami naszej kultury i państwowości.

Prace te są w toku.

TYMOTEUSZ SAWICKI

BADANIA GWAROZNAWCZE NA OBSZARZE DAWNYCH WOJEWÓDZTW ŁĘCZYCKIEGO I SIERADZKIEGO

Badania gwaroznawcze, o których tu mowa, podjąłem we wrześniu roku 1930 jako „eksplorator“ Komisji dla Atlasu Językowego Województwa Łódzkiego, utworzonej z inicjatywy Łódzkich Oddziałów Polskiego Towarzystwa Historycznego i Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Kierownictwo nad badaniami objął prof. Kazimierz Nitsch, podług którego wskazówek ułożyłem plan badań i z którym się ciągle komunikowałem w czasie prac terenowych.

Obszar, objęty przez te prace, pokrywa się z grubsza z ówczesnym województwem łódzkim, różniąc się od niego o tyle, że nie objął powiatów konińskiego i słupeckiego oraz zachodnich części tureckiego, kaliskiego i kolskiego, a za to weszły tu skrawki województwa poznańskiego (powiaty odolanowski, ostrzeszowski i kępiński) i warszawskiego (części powiatów rawskiego i kutnowskiego).

Teren tak określony odpowiadał dokładnie obszarowi dawnych (przedrozbiorowych) województw łęczyckiego i sieradzkiego z ziemią wieluńską. Wybrano granice historycznych województw, nie zaś ówczesnego województwa łódzkiego, bo staropolski podział na województwa i ziemie, oparty w znacznej mierze o dawne terytoria plemienne, w dużym stopniu odpowiadał podziałowi na grupy gwarowe, gdy dzisiejszy podział administracyjny nie ma z dialektami żadnego związku. Powody, dla których Łęczyckie i Sieradzkie przedstawiają teren nader ciekawy dla dialektologa, wyjaśnił prof. Nitsch w artykule „O atlas językowy województwa łódzkiego“¹⁾.

Materiał zbierano metodą „atlasową“, to zn. nie we wszystkich miejscowościach, co by wymagało całych lat pracy, ale w szeregu równomiernie rozłożonych „punktów“. Punktów takich było 41, a odległość jednego od drugiego wynosiła 20—30 km. W każdym punkcie zebrano odpowiedzi na kwestionariusz, złożony z przeszło

¹⁾ Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego, Łódź, 1930, str. 158—164. Także odbitka.

500 pytań. Metoda „atlasowa“, którą opracowano już dawno gwary Francji i Włoch a po wojnie światowej też Rumunii, w Polsce zastosowana została dopiero w ostatnim dziesięcioleciu przede wszystkim w „Atlasie Językowym Polskiego Podkarpacia“ Małeckiego i Nitscha (Kraków 1934) i w omawianych tu badaniach.

Prace wstępne polegały więc oczywiście na wybraniu odpowiednich punktów i ułożeniu kwestionariusza. Sieć punktów ułożono najpierw zupełnie mechanicznie, pilnując, by odległość każdych dwóch punktów sąsiednich była stale jednakowa. Z kolei jednak trzeba było wprowadzić liczne poprawki, niekażda bowiem z wybranych miejscowości nadawała się do tego rodzaju badań. Wybrano tylko wsie stare (w jednym tylko wypadku stare miasteczko o ludności rolniczej), istniejące już przed uwłaszczeniem chłopów i zamieszkałe przez ludność z dawna tam osiadłą, a więc nie mieszaną i mówiącą jednolitym dialektem. Odpadły natomiast wszystkie „kolonie“ z ludnością napływową, przybyłą nieraz z różnych stron. Już to spowodowało drobne przesunięcia pewnych punktów, a przesunięcia te zwiększyły się jeszcze nieco z powodów natury czysto praktycznej. Czasem warto było „przenieść“ punkt o parę kilometrów, aby badania odbyć we wsi gminnej lub parafialnej, gdzie dzięki pomocy urzędów gminnych a w paru wypadkach także księży lub nauczycieli znacznie łatwiej było znaleźć odpowiednich informatorów niż w jakiejś zapadłej wiosce. Przesunięcia takie zakłóciły wprawdzie idealną regularność pierwotnej siatki punktów, niemniej jednak okazały się bardzo celowe.

Drugą nader ważną pracą przygotowawczą było ułożenie kwestionariusza. Pytania musiały być tak dobrane, aby z odpowiedzi na nie można było się dowiedzieć wszystkich najważniejszych rzeczy, dotyczących fonetyki (wymowy) i morfologii, a także o ile możliwości i słownictwa danej wsi. Kwestionariusz ten ułożył częściowo eksplorator na podstawie dawniejszych prac prof. Nitscha, resztę dopełnił sam prof. Nitsch.

Porządek pytań miał być ułożony tak, by nadać badaniu charakter możliwie swobodnej rozmowy z gospodarzem o rzeczach, które chłop dobrze zna i które go interesują. Dało się to zresztą przeprowadzić tylko częściowo.

Podaję tu jako wzór niektóre wyjątki z kwestionariusza:

Zabudowania gospodarskie: 17 piwnica, 18 chlew, 19 stajnia krowia, 20 stajnia końska, 21 złób, 22 co znaczy wyraz *jasła*, 23 co zn. *obora*, 24 stodoła, 25 miejsce, gdzie się młóci, 26 co

zn. *ćwierć*, 27 podwórze, 28 sąsiek, 29 sąsiedzica, 30 w czym się chowa ziarno, 31 co zn. *zagroda*, 32 studnia z żurawiem, 33 słup, 34 poprzeczka, 35 sworzeń, 36 „kulka“, 37 gdzie i na czym się rąbie drzewo, 38 wieś, część wsi, 39 sąsiad, 40 gospodarz, 41 gospodarz biedny, 42 bezrolny.

Dział wóz obejmował 23 pytania, pług 11, strój 18 etc. Dział teren obejmował następujące pytania: 286 co zn. *grąd*, *grądzik*, 287 co zn. *bór*, 288 co zn. *las*, 289 co zn. *łęg*, 290 co zn. *łąka*, 291 wielki kamień, 292 droga, 293 ścieżka, 294 gościniec (wyraz i znaczenie), 295 ziemia, 296 gdzie się pasie bydło, 297 źródło, 298 potok, 299 co zn. *ruczaj*, 300 rzeka, 301 kładka, 302 rozlana woda, 303 płytki, 304 głęboki, 305 co zn. *miałki*, 306 pole umyślnie nieobsiane, 307 jezioro, 308 miedza, 308 co zn. *niwa*, 310 co zn. *rola*, 311 jechać do góry, 312 jechać na dół, 313 tutaj, 314 tam, 315 inny, 316 kraj.

Koniec kwestionariusza odnosił się przeważnie do cech morfologicznych. Podaję tu kilkanaście pytań z tego działu: 448 jego, tego, 449 dobrego, głupiego, 450 jemu, temu, 451 dobremu, głupiemu, 452 stała, bała się, 453 stali, bali się, 454 obiecali, kazali, brali, kradli, 455 gen. sing. duszy, ziemi, piwnicy, koszuli, studni, 456 tę nową książkę, 457 tę naszą studnię, 458 toten, tota, 459 psom, ludziom, kobietom, 460 ci chłopci byli, dobrzy ludzie byli, 461 krowy się pasły, kury się niosły etc.

Zaopatrzony w plan badań i kwestionariusz mógł już eksplorator ruszyć w teren. Praca w terenie napotkałaby jednak na niejedną trudność, gdyby nie listy polecające, które otrzymałem od J. E. ks. biskupa W. Tymienieckiego, od pana wojewody W. Jaszczolta i starostów wszystkich powiatów, na terenie których odbywały się badania, oraz od pana kuratora J. Gadomskiego. Kuratorium Poznańskie rozesłało okólnik do wszystkich szkół powiatów południowych województwa poznańskiego, co znów ułatwiło mi pracę w tamtych stronach.

Przybywszy do „punktu“ zwracał się eksplorator, jeśli to była wieś gminna, do urzędu gminnego, w innym wypadku do proboszcza lub kierownika szkoły, napotykając stale na daleko idącą życzliwość i pomoc.

Pracę trzeba było rozpocząć od wynalezienia odpowiedniego informatora. Musiał to być człowiek o ile możności stary, urodzony i stale przebywający we wsi badanej, co więcej i rodzice jego musieli

pochodzić z tej samej wsi, to dopiero bowiem dawało gwarancję, że „obiekt“ mówi rdzenną gwarą lokalną bez większej domieszki innych gwar. Oczywiście, odpadał od razu informator, który odpowiadał wprawdzie wszystkim wymienionym warunkom, ale skutkiem stykania się z miejscową inteligencją albo czytania gazet poduczył się języka literackiego i chciał się nim popisywać.

Ale nieraz trzeba było zrezygnować z informatora, mówiącego najniewątpliwiej typową gwarą lokalną. Czasem bowiem zdarzało się, że „obiekt“ miał słaby słuch, co okazywało się zwykle dopiero po dłuższej rozmowie, albo że jest po prostu za mało inteligentny.

Po wynalezieniu informatora zaczynało się badanie, które znów nie było rzeczą tak całkiem prostą. Gdy chciałem się np. dowiedzieć, jak ludność pewnej wsi nazywa wronę, nie mogłem się spytać „jak nazywacie wronę“, bo wtedy dostałbym odpowiedź *wrona*, choć wszędzie dokoła Łodzi mówi się *glapa*. Jeśli się chce wydstać od chłopa formę gwarową, trzeba pytanie postawić tak, aby nazwa rzeczy, o którą chodzi, nie była w nim wymieniona, a więc np. „jak się nazywa ptak taki duży (to pokazuje się rękami), czarny z wierzchu, jaśniejszy od spodu, co kracze“. Oczywiście jeszcze lepiej pokazać wronę, siedzącą na dachu, i spytać „co to jest?“. Wyłącznie pokazywaniem kolorowych przedmiotów trzeba się posługiwać, gdy chodzi o zebranie nazw kolorów, inaczej bowiem mogą powstać najróżniejsze nieporozumienia wobec częstego faktu, że jakaś nazwa oznacza w gwarze zupełnie inny kolor niż w języku literackim. Tak np. koło Łodzi *jasny* znaczy tyle, co w literackiej polszczyźnie niebieski i to nawet ciemnoniebieski, słowo *blady* odpowiada tylko literackiemu różowy (a więc *blada twarz* toby znaczyło różowa twarz etc.).

Niemniej wszystko idzie jeszcze nienajgorzej, dopóki jest mowa o rzeczach konkretnych. Natomiast „odpytanie“ końcowej części kwestionariusza, dotyczącej form przypadkowych rzeczowników lub zwłaszcza form osobowych czasowników, było nieraz bardzo trudne. Toteż nic dziwnego, że nieraz, zwłaszcza w końcowej części badania, eksplorator miał wątpliwości, czy forma, jaką ostatecznie „wydusił“ od informatora, jest naprawdę lokalna i powszechnie we wsi używana. Odpowiedzi, które uważał za wątpliwe, odnotowywał eksplorator na osobnej kartce, po czym sprawdzał je jeszcze z jednym, dwoma, a czasem trzema informatorami dodatkowymi.

Poza odpowiedziami na kwestionariusz notowałem oczywiście także wszystkie ciekawsze wyrazy i zwroty, jakich używał infor-

mator lub jego otoczenie w rozmowie ze mną. W wielu wsiach zebrałem też odpowiedzi na kwestionariusz dodatkowy, złożony z około 30 pytań, wreszcie tu i owdzie zanotowałem krótkie teksty gwarowe.

Tego rodzaju badania przeprowadziłem na terenie województwa łódzkiego w następujących miejscowościach:

- w powiecie brzezińskim w St. Redzieniu;
- w pow. kaliskim w Kamiennej;
- w pow. kolskim w Powierciu;
- w pow. łaskim w Kurowie i St. Wydrzynie;
- w pow. łęczyckim w Bałdzychowie, Chociszewie, Dobrej, Piaskach, St. Sobótce i Witoni;
- w pow. łódzkim w Kazimierzu, Kruszwie¹⁾ i Wiskitnie;
- w pow. piotrkowskim w Bogusławicach, Chabielicach, Łękach Szlacheckich, Ruszczynie, Witowie, Woźnikach;
- w pow. radomszczańskim w St. Koniecpolu, Ładzicach, Nieznanicach, Niwiskach Górnych, Wielgomłynach;
- w pow. sieradzkim w Dąbrowie i Rossoszycy.
- w pow. tureckim w Roźniatowie, Tokarach i Żukach;
- w pow. wieluńskim w Kraszewicach, Mierzycach, Rybce, Skomlinie, Wielgiem i Żytniowie.

Ponadto na terenie województwa warszawskiego zbadano Załże w pow. rawski i Bedlno pow. kutnowski, zaś w województwie poznańskim Świecę pow. odolanowski, Rogaszyce pow. ostrzeszowski i Laski pow. kempiański.

Po zebraniu i przejrzeniu materiału okazało się, że do niektórych „punktów“ trzeba pojechać drugi raz dla ostatecznego usunięcia pewnych wątpliwości. Takie uzupełniające badania przeprowadziłem w Bedlnie, Dobrej, Kamiennej, Laskach, Mierzycach, Świecy, Witoni i St. Wydrzynie. Ponadto cały kwestionariusz „odpytał“ eksplorator w Kochłowach pod Ostrzeszowem, bo materiał zebrany poprzednio w sąsiednich Rogaszycach okazał się mało wart. Wreszcie odpowiedzi na znaczną część kwestionariusza zebrałem w Milejowie, chociaż bowiem w pobliskim Witowie przeprowadziłem przedtem dokładne badania, zaciekały mnie wiadomości o pewnych odrębnościach gwary milejowskiej. Nieco danych zebrałem jeszcze przygodnie w czasie wycieczki kajakowej Wartą z Działoszyna do Sieradza w sierpniu 1932.

¹⁾ W tej wsi badania przeprowadzono wspólnie z prof. Nitschem.

Cały zebrany materiał, zawarty w 42 grubych notesach, jest własnością Komisji dla Atlasu Językowego Województwa Łódzkiego, która złożyła go jako depozyt „Słownikarni“ Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Na podstawie tego materiału napisałem pracę „Izoglosy gwarowe na obszarze dawnych województw łęczyckiego i sieradzkiego“¹⁾. Poza tym notesy są dostępne dla każdego naukowca, któryby chciał z nich korzystać. Czerpali z nich przede wszystkim prof. Nitsch w rozprawach „Polskie *chy, chi* i *hy, hi*“²⁾ i „Przejście *nk* w *pk* w związku z genezą polskiego języka literackiego“³⁾ oraz prof. Taszycki w pracy „Z dawnych podziałów dialektycznych języka polskiego“⁴⁾.

ZDZISŁAW STIEBER

¹⁾ Pol. Ak. Um. Monografie polskich cech gwarowych Nr. 6. Kraków, 1933. Str. 56 + 8 map.

²⁾ Sprawozdania Pol. Ak. Um. za r. 1931, z. 3, str. 5—9.

³⁾ Biuletyn Pol. Tow. Językozn. IV (1934), str. 4—8.

⁴⁾ Archiwum Tow. Naukowego we Lwowie. Dział I, tom VI, zes. 1 i 2. Lwów, 1934.

PRZYGOTOWANIA DO REJESTRACJI ARCHIWALIÓW W OKRĘGU ŁÓDZKIM

Jedną z istotnych trudności w dziedzinie regionalnych badań historycznych jest rozproszenie i niedostępność licznych materiałów źródłowych charakteru partykularnego. Znajdują się one w ogromnej części w rękach prywatnych lub w posiadaniu instytucji i urzędów, których powołaniem nie jest ani roztaczanie nad nimi opieki, ani ujawnianie ich istnienia, ani udostępnianie ich badaczom. W ogromnej liczbie wypadków omawiane materiały źródłowe — nieraz o wielkiej wartości naukowej — narażone są na zniszczenie skutkiem braku fachowego nadzoru, a nieraz — po prostu zwykłej troskliwości. Nie od dziś też historycy, szperacze lub miłośnicy historii starają się wykryć, zabezpieczyć i udostępnić tego rodzaju zabytki rękopiśmienne oraz ich zbiory, czy zespoły, bądź przez publikowanie zasięgniętych o nich wiadomości — zazwyczaj dorywczych i otrzymanych przypadkowo, bądź przez skupienie ich w swoich rękach lub przez złożenie ich w archiwach, bibliotekach czy muzeach. Mimo to praca w tym kierunku, podejmowana dorywczo, a nawet prowadzona w sposób ciągły, nieprzerwany, daleka jest jeszcze od końca. Całe połaście kraju są do tej pory niemal nie tknięte. Do nich należy m. in. terytorium województwa łódzkiego.

Toteż od chwili powstania w Łodzi oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w gronie osób bliżej z pracami Towarzystwa związanych diskutowana była niejednokrotnie myśl podjęcia akcji systematycznej rejestracji i zabezpieczenia licznych archiwów i zbiorów rękopiśmiennych rozproszonych po całym województwie. Z tych rozważań i dyskusyj, prowadzonych za kilku nawrotami, zrodził się artykuł niżej podpisanego zamieszczony w Roczniku Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego za lata 1929—1930¹⁾.

¹⁾ Regionalna rejestracja i inwentaryzacja archiwów i innych zbiorów rękopiśmiennych. Str. 165—172. Odb. Artykuł powyższy poprzedzony był przez zamieszczony w tygodniku łódzkim Prawda nr 48 z r. 1927 artykuł pt. Prace wstępne nad historią Łodzi, w którym poruszona była m. in. także i sprawa inwentaryzacji rozproszonych „łódzianów“.

Artykuł ten stawiał zagadnienie i uzasadniał jego znaczenie. Stwierdzał on: „Obok rozwijającej się stopniowo akcji konserwatorskiej czynników bezpośrednio zainteresowanych sprawą zabezpieczenia archiwaliów i innych zabytków rękopiśmiennych, konieczna jest zorganizowana na szeroką skalę akcja społeczna, której celem byłoby uświadomienie najszerszych kół społeczeństwa, jakie znaczenie posiada ochrona archiwów i rękopisów, oraz wciągnięcie tych kół do bezpośredniej akcji konserwatorskiej przez rozbudzenie owej dobrej woli ludzi miłujących przeszłość. - - Ale konserwacja zabytków rękopiśmiennych to dopiero połowa zagadnienia. Zabezpiecza się bowiem pewien rękopis lub zbiór rękopisów nie po to tylko, by go uratować przed zagładą, ale po to, by móc z niego korzystać dla poznania przeszłości. Następnym tedy stadium w dziele zabezpieczenia archiwów i zbiorów rękopiśmiennych dla nauki jest udostępnienie ich poznania. A nie da się to pomyśleć bez ujawnienia ich istnienia i ich zawartości“.

W konkretnym wypadku chodzi „o zebranie wiadomości o wszystkich archiwach i zbiorach rękopiśmiennych, znajdujących się na terenie województwa, a także — wiadomości o ich zawartości“. Zaprojektowane przy tym zostało, aby całą akcję podzielić na dwa stadia: „Przede wszystkim konieczne jest zarejestrowanie omawianych zabytków rękopiśmiennych, by, mając ten materiał w rękę, przystąpić do bardziej szczegółowej inwentaryzacji oddzielnych zbiorów“.

Tak zarysowany plan akcji został uznany przez władze Oddziału Łódzkiego P. T. H. za podstawę dalszej pracy w tej dziedzinie.

Przede wszystkim została podjęta przez zarząd Towarzystwa praca nad pozyskaniem dla rzuconej myśli nie tylko grona fachowych historyków i nielicznych miłośników historii, ale także szerszych kół społeczeństwa, w pierwszej zaś linii czynników, których stosunek do tej inicjatywy mógł przyczynić się walnie do jej powodzenia.

Szereg zebrań i konferencji zorganizowanych tak na terenie Towarzystwa, jak i doraźnie z osobami, których pozyskanie dla planowanej akcji posiadać mogło istotne znaczenie, stworzyły niebawem atmosferę tak dalece przychylną, że można było przystąpić do planowego realizowania projektu.

Należało naprzód zmobilizować i przygotować kadrę ludzi, która miałaby i mogłaby przeprowadzić rejestrację na terenie województwa. Powstała zatem myśl zorganizowania w Łodzi specjalnego kursu dla osób, które z tytułu swych zamiłowań lub pracy zawodowej podjęły by się tej pracy. W tej kwestii nawiązał zarząd Towarzystwa rozmowy z odpowiednimi instytucjami i organizacjami dla zapewnienia

sobie ich współdziałania. Zwrócił się też do władz państwowych i samorządowych z memorandum, w którym zaznaczył, iż pragnie ściągnąć na rzeczony kurs „z całego terytorium województwa osoby interesujące się akcją, a rekrutujące się spośród: a) urzędników państwowych różnych władz, b) pracowników i działaczy samorządowych, samorządu terytorialnego i gospodarczego, c) nauczycielstwa, d) duchowieństwa różnych wyznań, e) prywatnych posiadaczy archiwów i zbiorów, zwłaszcza spośród działaczy politycznych, ziemiaństwa i sfer przemysłowych“. Wyrażał też zdanie, że „kurs powyższy i podjęta w następstwie rejestracja posiadać będzie niewątpliwie niepoślednie znaczenie dla nauki i przyczyni się, oczywiście, do ożywienia zainteresowania historią regionalną. Ponadto kurs mieć będzie również i znaczenie praktyczne, dając słuchaczom fachowe wskazówki, w jaki sposób zabezpieczyć należycie istniejące archiwa, sama zaś rejestracja da ponadto bogaty materiał informacyjny o aktach, posiadających nierzadko dziś jeszcze znaczenie praktyczne“.

Zarząd Towarzystwa nawiązał także bezpośredni kontakt z miejscowymi władzami duchownymi oraz z instytucjami samorządu gospodarczego.

Kroki powyższe spotkały się wszędzie z jak najbardziej przychylnym przyjęciem. Organizatorzy kursu otrzymali zewsząd zapewnienie przychylnego współdziałania. Urząd Wojewódzki specjalnym pismem zwrócił uwagę podległych sobie urzędów i instytucyj na znaczenie i cel organizowanego kursu. Zarząd Miejski w Łodzi udzielił ponadto pomocy materialnej w wysokości 500 złotych, zaliczonych jako opłata za udział w kursie delegowanych lub dobrowolnie zgłaszających się urzędników miejskich.

To pozwoliło na przystąpienie w r. 1936 do zorganizowania kursu.

Zgodnie z wyłożonymi w memorandum założeniami opracowany został w ostatecznej formie plan kursu; pozyskano także wykładowców. Wydział Archiwów Państwowych Ministerstwa W. R. i O. P. okazał przy zapewnieniu udziału wykładowców daleko idące współdziałanie i udzielił kursowi swego ogólnego poparcia. Rozpisane w końcu roku wezwanie o zgłaszanie uczestnictwa w kursie znalazło nader żywy oddźwięk.

Zgłosiły się 123 osoby, w tym:

81 osób pracujących w instytucjach samorządu terytorialnego w Łodzi, Aleksandrowie, Bełchatowie, Brzezinach, Dłusku, Dobrej, Głownie, Gosławicach, Izbicy, Kazimierzu Biskupim, Kole, Koninie, Konstantynowie, Łęczycy, Pabianicach, Piotrkowie, Praszce, Pyzdrach,

Radomsku, Sieradzu, Słupcy, Strykowie, Sulejowie, Tomaszowie, Tuliszkowie, Turku, Wieluniu, Wilczogórze i Zgierzu;

14 osób pracujących w różnych instytucjach państwowych w Łodzi, jak Sąd Okręgowy, Izba Skarbowa, Urząd Powiatowy, instytucje wojskowe oraz szkoły;

8 osób skierowanych przez instytucje gospodarcze i społeczne;

3 osoby spośród duchowieństwa miejscowego;

17 osób spośród członków Towarzystwa i miłośników przeszłości.

Kurs odbył się w Łodzi w dniach od 21 do 25 lutego 1937 r. Otwarcie połączone zostało z publicznym posiedzeniem naukowym Polskiego Towarzystwa Historycznego przy udziale 260 osób. Dyrektor Wydziału Archiwów Państwowych p. Witold Suchodolski wygłosił na nim odczyt p. t. „Znaczenie zabytków rękopiśmiennych dla nauki i życia“, po czym prezes Oddziału Łódzkiego P. T. H. p. Zygmunt Lorentz mówił na temat: „Archiwalia własne regionu łódzkiego“, a niżej podpisany jako kierownik kursu — na temat: „Dotychczasowe próby zarejestrowania rozproszonych archiwów i archiwaliów w Polsce“.

Program kursu objął następujące przedmioty:

archiwum, składnica akt, registratura; wykładał dr Jan Warężak; jedna godz.;

przechowywanie i zabezpieczenie archiwaliów; wykładał tenże; dwie godz.;

brakowanie i przekazywanie akt; wykładał dr Adam Moraczewski; trzy godz.;

rejestracja papierów prywatnych; wykładał tenże; 1 godz.;

rejestracja rozproszonych archiwaliów; wykładał niżej podpisany; jedna godz.;

archiwalia państwowe i samorządowe na terenie województwa łódzkiego; wykładał tenże; dwie godz.;

archiwalia instytucyj gospodarczych na terenie województwa łódzkiego; wykładał dr Jan Warężak; dwie godz.;

zabezpieczenie i inwentaryzacja archiwów kościelnych i wyznaniowych; wykładała dr Zofia Olszamowska-Skowrońska; trzy godz.

Wykłady powyższe uzupełnione zostały szeregiem pokazów, które odbyły się w kilku archiwach i składnicach akt w Łodzi; mianowicie:

dr Adam Moraczewski zapoznał słuchaczy z zespołem przeznaczonym do brakowania i przekazania do archiwum, dokonując tego pokazu w składnicy akt Starostwa Grodzkiego w Łodzi;

tenże pokazał w Muzeum Miejskim Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów zbiory prywatne Bartoszewiczów, ilustrując w ten sposób swój wykład o rejestracji papierów prywatnych;

dr Jan Wareżak oprowadził uczestników kursu po Archiwum Miejskim w Łodzi, udzielając przy tym niezbędnych wyjaśnień co do jego zawartości i organizacji, a w Centralnej Składnicy Akt Zarządu Miejskiego w Łodzi zilustrował swój wykład o przekazywaniu akt z registratury do składnicy i o prowadzeniu składnicy akt;

tenże pokazał również archiwum gospodarcze zakładów przemysłowych Ludwika Geyera, jako jedno z najlepiej zorganizowanych prywatnych archiwów gospodarczych w Polsce;

wreszcie dr Zofia Skowrońska udzieliła praktycznych wskazówek o archiwaliach i archiwach kościelnych w Archiwum Kurii Diecezjalnej oraz w Archiwum parafii N. M. P. w Łodzi.

W ten sposób wykłady uzupełnione pokazami zapoznały uczestników kursu z podstawowymi zasadami i zagadnieniami archiwistyki współczesnej. Słuchacze otrzymali ponadto najbardziej niezbędne praktyczne wskazówki, jak zabezpieczyć, przechowywać, brakować i przekazywać do archiwum akta, z którymi większość słuchaczy ma do czynienia w swej pracy zawodowej. Wyłożone także zostały obowiązujące przepisy prawne, regulujące stosunek zarówno urzędów jak i prywatnych właścicieli zbiorów do archiwaliów i innych zabytków rękopiśmiennych. Wreszcie starano się wskazać uczestnikom kursu, gdzie i jakich archiwów należy szukać na terenie województwa łódzkiego, aby, dotarwszy do nich, móc je zabezpieczyć i przekazać na przechowanie do archiwów już zorganizowanych.

To ostatnie było dla organizatorów kursu szczególnie ważne.

Celem bowiem podstawowym rzeczono go kursu było przygotowanie kadry ludzi, którzy mogliby posłużyć w dalszej akcji w zakresie wykrywania i rejestrowania na terenie województwa łódzkiego rozproszonych i dotychczas nieznanych archiwów i zbiorów rękopiśmiennych. Że tego rodzaju akcja winna dać bogaty materiał, świadczy choćby to tylko, że co jakiś czas całkiem przypadkowo wykrywane zostają bardzo cenne nieraz zespoły rękopisów, a nawet całe archiwa. Toteż szczególnie silny nacisk położony został przez wykładowców i organizatorów kursu na rozbudzenie w słuchaczach zainteresowania takimi aktami i rękopisami.

I trzeba przyznać, że napotkano w tej sprawie na oddźwięk nader żywy. Świadczyła o tym nie tylko zawsze pełna frekwencja na wykładach i pokazach, ale także ożywiona dyskusja w czasie ćwiczeń

i po wykładach oraz bardzo liczne zapytania skierowane do wykładowców. A i po zakończeniu kursu były tego liczne dowody, chociażby w postaci zgłaszania do Archiwum Miejskiego w Łodzi, gdzie mieścił się sekretariat kursu, licznych wiadomości o rozproszonych na terenie województwa archiwach, zwłaszcza o archiwach miejskich.

Dr Jan Warężak, który był sekretarzem kursu, korzystając z tego, iż sam pracuje w Archiwum Miejskim w Łodzi, gromadzi w swych rękach te liczne wiadomości, a nierzadko osobiście dociera do ujawnionych w ten sposób archiwów dla zapewnienia im należytej opieki.

Jest tedy nadzieja, że cel zostanie stopniowo zrealizowany; wykrycie nowego materiału źródłowego do dziejów regionu łódzkiego ożywi prace badawcze i bliżej zwiąże je z szeregiem zagadnień regionalnych, żywo nurtujących nasz teren i nawet w niejednej dziedzinie wyciskających na nim swe piętno. Nie trzeba dodawać, że może to mieć poważny wpływ także i na ogólną historiografię polską, jako że z dziejami regionu łódzkiego, który w ciągu XIX w. zajął czołową pozycję w polskim życiu gospodarczym, wiążą się najściślej dzieje gospodarcze i społeczne Polski nowoczesnej.

Inicjatorzy i organizatorzy opisanych tu przygotowań sądzą, że dalszy rozwój sprawy, zakres prac i ich tempo — zależą od decyzji, dobrej woli i energii kierowników istniejących w regionie łódzkim archiwów o szerszych aspiracjach i możliwościach. Trudno odmówić słuszności temu pogładowi historyków łódzkich. Jeżeli Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim oraz Archiwum Miejskie w Łodzi uznają akcję rejestracji i inwentaryzacji zasobów archiwalnych w okręgu łódzkim za ważne i pilne swe zadanie o charakterze ekspansywnym, to wszystko ułoży się dobrze i właściwie.

ADAM STEBELSKI

STUDIUM HISTORII NA WOLNEJ WSZECHNICY POLSKIEJ W ŁODZI

1928—1939

Wolna Wszechnica Polska jest najstarszą wśród wyższych szkół polskich w b. zaborze rosyjskim; w roku bieżącym upływają 33 lata od jej powstania. W przełomowych dla oświaty polskiej w b. Królestwie Polskim latach 1905—6 powstał wysiłkiem społecznym jedyny wówczas polski wyższy zakład naukowy pod nazwą Towarzystwa Kursów Naukowych. W r. 1919 Kursy Naukowe zostały przekształcone na Wolną Wszechnicę Polską, która przechowała powierzony jej przez T. K. N. depozyt dążeń narodu w zakresie wyższego nauczania.

Nowe czasy wprowadziły w życie nowe zadania i programy. Wolna Wszechnica Polska dzięki swej organizacji nieskrępowanej tradycją i rutyną miała możliwość przystosowania się do potrzeb społeczeństwa, na te potrzeby dawała pilne baczenie zarówno w zakresie organizacji nauki, jak i nauczania, co ułatwiało jej współpracę z wielu instytucjami społecznymi i oświatowymi.

W r. 1933 Ustawa Sejmowa zaliczyła Wolną Wszechnicę Polską do rzędu uczelni akademickich. Rozporządzeniami Ministra W. R. i O. P. w latach 1935 i 1937 przyznane zostało Wszechnicy prawo nadawania tytułów magisterskich: magistra filozofii w zakresie fizyki, chemii, botaniki, zoologii i biologii, magistra nauk ekonomiczno-społecznych, magistra filozofii w zakresie filologii polskiej, historii i nauk filozoficznych, magistra filozofii w zakresie pedagogiki. Zarządzeniem z dnia 5 lipca 1937 r. Minister W. R. i O. P. ustalił skład grona profesorów i docentów.

W dniu 25 maja 1928 roku Rada Naukowa Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie powzięła na wniosek Senatu uchwałę otwarcia Oddziału W. W. P. w Łodzi. W r. 1928/29 uruchomiony został na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi pierwszy rok studiów. Dalszy rozwój uczelni zmierzał w kierunku uzupełnienia i pogłębienia nauczania, był przy tym ściśle związany z ogólnym rozwojem Wszechnicy.

Wolna Wszechnica Polska w Łodzi odpowiada tym samym zadaniom oraz posiada taką samą strukturę, jak centralna instytucja w Warszawie.

W r. 1936 wykończona została w Łodzi organizacja 4-letnich studiów na czterech wydziałach: Nauk Humanistycznych, Prawa i Nauk Ekonomiczno-Społecznych, Pedagogicznym oraz Nauk Matematyczno-Przyrodniczych. Zakres działania obecnie obejmuje sześć podstawowych kierunków: ekonomiczno-społeczny, filozoficzny, historyczny, polonistyczny, pedagogiczny i biologiczny. Organizacja powyższych kierunków uwzględniała ogólnokulturalne znaczenie polonistyki, historii, filozofii, biologii, specjalne znaczenie kierunku ekonomicznego dla m. Łodzi, jako ośrodka przemysłu, wreszcie znaczenie kierunku pedagogicznego dla nauczycieli licznych szkół na terenie okręgu łódzkiego.

W r. 1937 została rozpoczęta budowa własnego gmachu jedynej uczelni akademickiej na terenie województwa łódzkiego.

Wolna Wszechnica Polska posiada ustrój semestralny. Wykłady odbywają się w godzinach popołudniowych i wieczornych, co ma na celu udostępnienie ich tym słuchaczom, którzy pracują zawodowo w godzinach rannych, zwłaszcza w urzędach i szkołach.

Wszechnica poza pracą systematyczną organizuje luźne cykle wykładów, przeznaczonych dla szerokiej publiczności.

Oddział łódzki Wszechnicy odpowiada poważnym potrzebom społeczeństwa miejscowego i znajduje licznych słuchaczy. Personel naukowy pozostaje nadto w żywym kontakcie z miejscowymi towarzystwami naukowymi, biorąc udział zarówno w ich pracach organizacyjnych, jak i w działalności naukowej.

Ogólna liczba wykładowców na Wszechnicy w Łodzi wynosiła w 1938/9 roku 66 osób, w tym profesorów 38, docentów 7, prowadzących wykłady zleczone 18, lektorów 3; nadto asystentów 16.

Poszczególne Rady Wydziałowe starają się uzupełniać personel naukowy spośród sił miejscowych, aby w ten sposób przyczynić się do wyrobienia zastępu nowych pracowników naukowych na terenie Łodzi. W ogólnej liczbie wykładowców 1 profesor, 1 docent i prawie wszyscy prowadzący wykłady zleczone i lektorzy oraz wszyscy asystenci należą do mieszkańców Łodzi lub jej okolicy.

Słuchaczy liczyła Wszechnica w Łodzi w 1938/9 roku ogółem 645, w czym mężczyźni 445, kobiet 200, narodowości polskiej (według języka ojczystego) 575, wyznania r. katolickiego 489; Według zajęcia: z własnych zarobków ogółem 474, w tym pracowników oświato-

wych 300, pracowników naukowych 6, urzędników 153; od rodziny zasiłki otrzymuje 171; wedle zawodu ojca znaczna część młodzieży pochodzi z warstw ludności niezamożnej.

W 4-letnich studiach na Wydziale Humanistycznym, które obejmowały trzy kierunki: filozoficzny, polonistyczny i historyczny, program nauczania uwzględniał wszystkie przedmioty, których znajomość potrzebna jest przy egzaminach magisterskich. Aczkolwiek kandydaci na nauczycieli stanowią główny kontyngent słuchaczy historyków, to jednak zdobywanie świadectw i prawa nauczania nie wyklucza równoczesnej pracy teoretycznej, a nawet przeciwnie, przygotowanie do zawodu nauczycielskiego wiązane jest ściśle z przygotowaniem do pracy naukowej. Dlatego też w studiach historycznych punkt ciężkości przenoszony jest z wykładów na ćwiczenia i seminaria, które mają na celu zaznajomienie słuchaczy z metodą, techniką pracy naukowej i wyćwiczenie w niej, zetknięcie ze źródłami, przygotowanie do samodzielnego z nich korzystania.

Praca naukowa słuchaczy utrudniona jest w dziedzinie historii przez brak odpowiednio zaopatrzonego w narzędzia warsztatu naukowego, a także wskutek przeważającego typu słuchaczy pracujących zawodowo i nie rozporządzających dostateczną ilością czasu na studia. Stwierdzić jednak należy, że braki powyższe, aczkolwiek nieraz jeszcze dotkliwe, stopniowo są usuwane i praca w kierunku zasadniczych tendencji Wszechnicy staje się możliwa i owocna. Obok braków podkreślić należy dodatnie czynniki, sprzyjające pracy na uczelni. Przede wszystkim zasadniczy typ słuchacza Wszechnicy pod względem wyrobienia życiowego stoi wyżej od typu przeciętnego studenta. Mniej liczny niż na uniwersytetach państwowych napływ słuchaczy umożliwia im bliskie bezpośrednie zetknięcie z profesorami na ćwiczeniach i seminariach, do których każdy słuchacz w chwili wstąpienia do uczelni może się dostać i gdzie prowadzona jest ożywiona praca pod kierunkiem profesorów lub ich zastępców.

W pierwszym roku pracy na Wszechnicy Łódzkiej w zakresie historii następujący profesorowie prowadzili wykłady i ćwiczenia:

Dr Stanisław Arnold: Historia Polski średniowiecznej, wykłady i ćwiczenia.

Dr Stefan Czarnowski: Historia kultury duchowej, poczynając od upadku Imperium.

Dr Natalia Gąsiorowska-Grabowska: Wielka rewolucja francuska, wykłady i ćwiczenia w zakresie historii powszechnej nowożytnej. Historia gospodarcza Europy Zachodniej, wykłady i ćwiczenia.

W roku ostatnim, 1938/9, prowadzone były w zakresie historii następujące wykłady i ćwiczenia:

Dr prof. n. Zdzisław Zmigryder Konopka: Cesarz Trajan i jego epoka. Miasto-państwo na terenie starożytnej Italii. Ćwiczenia z dziejów kultury antycznej.

Dr Stanisław Więckowski: Następcy Konstantyna Wielkiego.

Dr prof. z. Henryk Paszkiewicz: Historia powszechna, początki średniowiecza. Dzieje Polski w XV wieku. Proseminarium historii Polski wieków średnich. Seminarium historii Polski wieków średnich.

Dr prof. z. Natalia Gąsiorowska-Grabowska: Historia gospodarcza i społeczna Europy. Ćwiczenia z historii gospodarczej i społecznej (współ ze st. as. mag. Anną Rynkowską). Seminarium historii gospodarczej i społecznej. Historia powszechna nowożytna (1848—1871). Seminarium historii powszechniej.

Prof. n. Włodzimierz Dzwonkowski: Historia Polski nowożytnej, wiek XVI—XVII. Seminarium historii Polski nowożytnej.

Dr Jan Warężak: Historia gospodarcza Polski. Współczesna archiwistyka polska.

Dr Roman Konecki: Nauki pomocnicze historii.

Zygmunt Lorentz: Etapy rozwoju przemysłu włókienniczego w Łodzi i okręgu łódzkim.

Dr Jadwiga Krasicka: Ćwiczenia z dydaktyki historii (na Wydziale Pedagogicznym).

Dr prof. z. Władysław Maliniak: Historia ustroju Polski (na Wydziale Prawa i Nauk Ekonomiczno-Społecznych).

Wykłady i ćwiczenia w zakresie historii gospodarczej i społecznej obowiązuja nie tylko słuchaczy studiujących historię na Wydziale Humanistycznym, ale również ekonomistów na Wydziale Nauk Ekonomiczno-Społecznych.

W r. 1938/9 studia historyczne na Wydziale Humanistycznym odbywało 31 studentów (19 mężczyzn, 12 kobiet) i 9 wolnych słuchaczy.

W okresie od 1937 r., to znaczy od przyznania Wszechnicy prawa nadawania tytułów magisterskich, tytuł ten na Wszechnicy Łódzkiej uzyskało 11 historyków na podstawie egzaminów przed Komisją Państwową oraz złożonych następujących prac:

W zakresie historii starożytnej: Dzieło Oktawiana Augusta w opinii poetów złotego okresu literatury rzymskiej.

W zakresie historii średniowiecznej Polski: Z życia politycznego Mazowsza. Memoriał Witołda z r. 1390. Litwa (Auksztota) pod koniec XIV w. na podstawie sprawozdań o drogach. Żmudź (Samaiten)

pod koniec XIV w. na podstawie „Die Litauischen Wegeberichte“. Stosunek panów polskich do królowej Jadwigi. Lubart Gedyminowicz.

W zakresie historii gospodarczej i społecznej: Przemysł bawełniany w Królestwie Polskim 1815—1830. Próby zaprowadzenia przemysłu lnianego w Łodzi 1815—1832 (drukowana). Ludność powiatu zgierskiego za czasów pruskich (oddana do druku). Przemysł bawełniany w Łodzi 1830—1867. W zakresie historii gospodarczej poza wymienionymi pracami historyków także kilku ekonomistów uzyskało tytuł magisterski na podstawie prac z historii gospodarczej Łodzi i jej okręgu.

W zakresie pomocy naukowych Wszechnica w pierwszym roku swego istnienia założyła własną bibliotekę, której księgozbiór obecny powstał ze zbiorów zakupionych i otrzymanych w darze oraz na drodze systematycznego zakupu książek, przystosowanego do potrzeb uczelni. W roku bieżącym biblioteka liczy około 9 tysięcy tomów, czasopism naukowych bieżących 70 (polskich 50, obcych 20), około 7 tysięcy przezroczy z zakresu historii sztuki. Najliczniej reprezentowany jest w bibliotece dział historii; m. i. zakupiony został księgozbiór historyczny po zmarłym prof. Czermaku. Frekwencja czytelników dochodzi do 50 osób dziennie.

Niezależnie od organizacji własnej biblioteki nawiązany został kontakt z bibliotekami istniejącymi dawniej na terenie Łodzi w celu porozumiewania się co do ułatwień w korzystaniu z ich księgozbiorów i zakupu książek. W zakresie studiów historycznych najważniejsze znaczenie ma bliski kontakt z Archiwum Miejskim w Łodzi, którego dyrekcja, traktując pracujących w Archiwum słuchaczy Wszechnicy jako kandydatów na przyszłych współpracowników w dziedzinie badania przeszłości miasta Łodzi i okręgu łódzkiego, ułatwia im studia nie tylko przez udzielanie na miejscu odpowiednich wskazówek, lecz nadto przez udostępnianie Archiwum w godzinach pozabiurowych oraz sprowadzanie potrzebnych materiałów z innych archiwów polskich.

O zainteresowaniu i ożywieniu pracy w zakresie studiów historycznych świadczy także założenie Koła Historyków Słuchaczy Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi. Praca Koła o charakterze samokształceniowym znajduje wyraz w systematycznie odbywanych posiedzeniach naukowych dyskusyjnych, w organizowanych przez członków Koła dla słuchaczy Wszechnicy wycieczkach i w tworzeniu własnego księgozbioru.

NATALIA GAŚSIOROWSKA

JÓZEFA OXIŃSKIEGO WSPOMNIENIA Z POWSTANIA POLSKIEGO 1863/64 ROKU

Józef Oxiński h. Oksza urodził się dnia 19 marca 1840 r. w Płocku z ojca Tomasza i matki Ludwiki z Szultzów. Kształcił się w szkole agromomicznej w Marymoncie i odbył praktykę rolną. Wcześniej wszedł do spisku i wyjechał za granicę. Dnia 16 grudnia 1861 roku wstąpił do polskiej szkoły wojskowej w Genui, potem w Cuneo, gdzie przebywał do zamknięcia tej uczelni w końcu sierpnia 1862 roku. Po powrocie do kraju rzucił się w wir przygotowań powstańczych. W połowie stycznia 1863 roku mianowany porucznikiem, organizuje niebawem w lasach rososzyckich pierwszy oddział powstańczy w Sieradzkim i na jego czele przebiega powiaty województwa kaliskiego, ściągany bezskutecznie przez garnizony rosyjskie z Kalisza, Sieradza i Wielunia. Od 25 lutego do 5 marca jest w ciągłym ogniu, ponosi duże straty, ale wychodzi z opresji obronną ręką. W końcu kwietnia mianowany kapitanem, obejmuje dowództwo powstania w powiecie piotrkowskim i do sił zbrojnych tego powiatu wciela swoją uszczuploną w marszach garść „weteranów“. W maju na czele dużego lecz niedostatecznie uzbrojonego oddziału stacza swe największe bitwy — pod Rychłocicami i Konicpołem. W końcu maja awansowany na majora, obejmuje dowództwo także nad powiatem wieluńskim. Jest wtedy jednym z głośniejszych partyzantów. Atakowany energicznie przez Moskali, zwłaszcza przez gen. Czengerego, usiłuje stawić im opór. Po niefortunnej bitwie pod Przedborzem w końcu czerwca załamuje się i po tygodniu rozpaczliwych prób zapanowania nad sytuacją — rozpuszcza oddział, a sam oddaje się do dyspozycji swego zwierzchnika, generała Taczanowskiego. Odtąd przez lipiec i sierpień jest oficerem bez przydziału i w charakterze wolontariusza bierze udział w marszach i bojach kawalerii Taczanowskiego; urlopowany po bitwie pod Sędziejowicami — nie uczestniczy w marszu brygady pod Częstochową i w tragicznej bitwie kruszyńskiej. Od września 1863 r. do końca lutego 1864 roku jest organizatorem sił zbrojnych w powiatach kaliskim i konińskim. Na ciągłym wędrowaniu po rozległym terenie i wizytowaniu małych oddziałów, których koncentracji nie mógł

przeprowadzić, wpływają mu ostatnie miesiące 1863 roku. Rozłożwszy ocalałe kompanie na leżach zimowych, przygotowuje powstanie na wiosnę 1864 roku. W marcu i kwietniu działa w Poznańskim jako organizator wojskowy województwa średzkiego. Dnia 23 kwietnia 1864 roku aresztowany przez Prusaków, więziony był w Kościanie. W końcu listopada 1864 roku odstawiony do granicy belgijskiej i uwolniony — znalazł się na emigracji i osiadł w Paryżu.

Dwudziestoczteroletni major, rewolucjonista z grona czerwonych „cuneończyków“, wstrząśnięty do głębi przeżyciami ostatniego roku i ciężko chory fizycznie, nie upadł na duchu. Szybko odzyskał zdrowie i siły, a w ciągu 6 lat pobytu we Francji ukończył szkołę nauk politycznych i wydział budowy dróg i mostów na politechnice. Około 1872 roku wraca do Polski, przebywa początkowo w Krakowie, a potem osiada na długie lata w Nowym Sączu, jako inżynier powiatowy i zastępca inżyniera okręgowego z ramienia Wydziału Krajowego. Raz jeszcze, na krótko, angażuje się politycznie: współpracuje z ks. Adamem Sapiehą w czasie konfliktu rosyjsko-tureckiego. W Nowym Sączu bierze udział w pracy społecznej, współżyje z miejscową inteligencją i ziemiaństwem. Pociąga go rolnictwo: dzierżawi folwark w okolicy i nabywa podmiejską posiadłość. W roku 1876 zawiera związek małżeński z 18-letnią Ludwiką Węckowicz, ziemianką z Litwy; po 7 latach szczęśliwego pożycia umiera mu żona, pozostawiając trzy córki. Oxiński jest już wtedy inwalidą: w roku 1878 miał atak apoplektyczny, po którym wrócił do sił, ale zawsze już powłóczył nogą i stracił cechujący go niezwykle blask oczu. Dalsze lata życia potoczyły się zwyczajnie: wychowanie dzieci, praca zawodowa w terenie, a potem przez szereg lat przy biurku w centrali Wydziału Krajowego we Lwowie, wreszcie schyłek życia na emeryturze, przy coraz gorszym zdrowiu i samopoczuciu. Długie lata tego okresu życia opromieniły mu serdeczne stosunki z przyjaciółmi — Wojciechem Biechońskim i Stanisławem Szachowskim, a także zażyła znajomość z Gustawem Reuttem, Kazimierzem Jankowskim, Bronisławem Szwarcem, O. Bandysem T. J. oraz z Ignacym Maciejowskim i Adamem Asnykiem. Dnia 13 listopada 1908 roku umiera na zapalenie płuc. Spoczywa we Lwowie na wzgórzu powstańców 1831 i 1863 roku.

Jako emeryt, w 40 lat po powstaniu, przystąpił Józef Oxiński do pisania pamiętnika. Pisał go szybko i całkowicie ze wspomnień, posługując się tylko mapami. Opowieść obejmuje czas od połowy stycznia do końca grudnia 1863 roku. Niestety, autor nie doprowadził swego dzieła do końca: nie opisał prób wznowienia kampanii wiosną

1864 roku i swego w tej akcji udziału. Dał nam jednak obszerną relację o swych działaniach w roku 1863, żywą, obrazową i składną, świadczącą o dużej pamięci, obarczoną wszystkimi uprzedzeniami politycznymi, ironią często nieuzasadnioną i gniewem nie zawsze słusznym, relację niezmiernie ciekawą, przedstawiającą wybitnego powstańca, jakże młodego i jakąż ponad wiek i doświadczenie obciążoną odpowiedzialnością.

Wyjątki tego opracowania opublikowane zostały w księdze p. t. „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, Lwów 1903 r. (obóz w Miedznie i bitwa pod Kuźnicą Grabowską), ale całość pozostała zupełnie nieznaną, niejako w ukryciu. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy była niewątpliwie drastyczność relacji, jej swoisty, niekiedy przykry ton i młodzieńcza zaczepność, a nade wszystko niektóre niesprawiedliwe sądy (naprz. o Romualdzie Traugucie). Na kartach pamiętnika autor rozprawia się często z niewymienianymi adwersarzami, którzy byli o nim krytycznego mniemania. Są tych mniemań liczne ślady w literaturze pamiętnikarskiej 1863 roku¹⁾.

Dla dziejów powstania styczniowego w województwie kaliskim wspomnienia Józefa Oxińskiego stanowią ważną pozycję, wymagającą, jak każdy pamiętnik, krytycznych studiów i wielostronnych konfrontacji z innymi źródłami, ale niezbędną i bodaj podstawową.

Za zgodą córki autora, w której posiadaniu znajduje się rękopis²⁾, publikujemy pełny tekst pamiętnika starannie odczytany i zaopatrzony w indeks osób i miejscowości, a uzupełniony aneksami: notatką autora zawierającą itinerarium pierwszej partii i jego „stanem służby“ podpisanym przez płk Eugeniusza Dębowskiego dnia 28 grudnia 1864 roku w Paryżu. Pisownia autora została unowocześniona, natomiast styl, czasem nieprawidłowy, pozostawiony bez zmian; jedyną korektą wydawców w tym względzie jest zastąpienie kilkudziesięciu imiesłówów takimi formami gramatycznymi, które pozwoliły uprościć zbyt długie i zawile zdania. Od wydawców pochodzi także podział całości na 4 części zaopatrzone w tytuły. Publikację przyozdabiamy podobiznami autora z 1863 roku (ze zbiorów Muzeum Narodowego we Lwowie nr 564) i z lat podeszłych (własność córki) oraz pomniejszoną

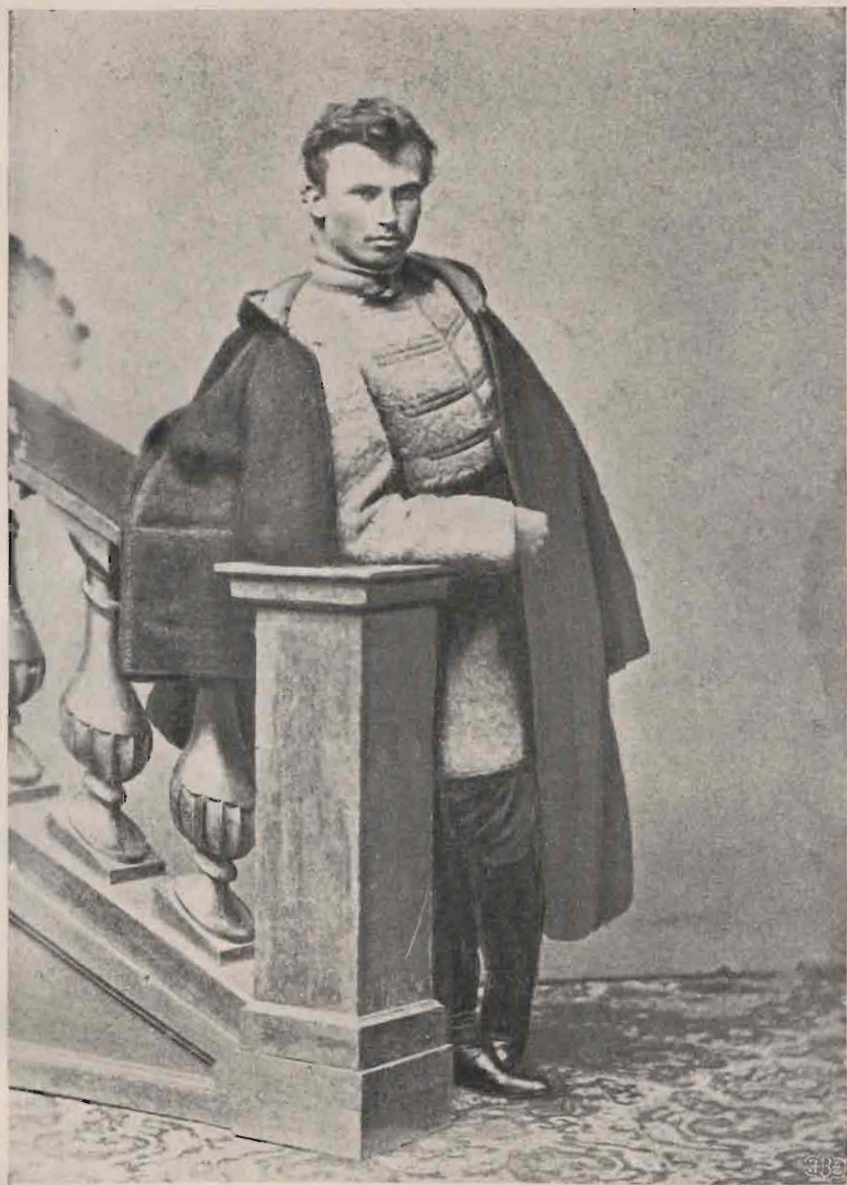
¹⁾ Zacytować tu można dla przykładu jedną z najwcześniejszych pozycji: Walerego Przyborowskiego (Z. L. Sulimy) — Wspomnienia ułana z 1863 roku, część I, Poznań 1874, oraz jedną z najpóźniejszych: Henryka Huberta — Kartki ze wspomnień powstańca, Przegląd Współczesny, 1939 z. VI.

²⁾ Zeszyt oprawny in folio rozmiaru 34,8 × 22 × 1,5 cm, stronic numerowanych 192 i 1 notatka przy str. 52 na oddzielnej kartce. Na marginesach 6 odręcznych szkiców sytuacyjnych.

reprodukcją stanu służby (także własność córki). Wreszcie zaopatrujemy tekst w mapę terenu działań wojennych autora, sporządzoną według mapy „Zarządu Ober-Kwaternistrza Wojsk w Królestwie Polskim 1863 roku, podziałka 1:504.000“.

Ogłoszone w czasopiśmie naukowym — służyć mają wspomnienia czerwonego partyzanta przede wszystkim historykom powstania styczniowego. Ale stwierdzić tu należy, że Oddział Łódzki P. T. H. uważa niniejszą publikację za spłatę długu wdzięczności naszego regionu wobec żołnierza-patrioty, pod którego komendę ks. Józef Czajkowski, wikary łódzki, oraz Teodor Rybicki, stolarz, poprowadzili dnia 31 stycznia 1863 roku pierwszych powstańców z Łodzi i okolicy.

Wydawcy poczytują sobie za miły obowiązek złożyć serdeczne podziękowanie pani Helenie Oxińskiej ze Lwowa, która oddała do ich dyspozycji rękopis swego ojca i udzieliła cennych wiadomości biograficznych, wyzyskanych w niniejszej przedmowie. Słowa szczerzej wdzięczności należą się także p. doc. Kazimierzowi Tyszkowskiemu, kustoszowi Ossolineum, za okazaną pomoc i uczynność.



Jörg Oskars

M.E.
Im.
L. W.
w
Łodzi

100 przystojnych i pięknych ogonie - które miał nas prostrzelic
i zdemoralizować - nastąpił atak - lecz zamiast w Kolonowatki ukończył
ostreńskich co najwyżej słaba tyradica - wykopany został zgaszona ty
ralierka o jedn. 2^{ta} kompania piechoty - czekali na to - a przyfroncie
na 100 kroków - Kasatka dać ogona 12^{ym} nieporuszonym w przeciwy
ruchy - że zachwiał się i wciągnął do swego łona zokamienięcia z sobą
Kilkunastu zabitych i rannych -

Jeszcze wal probowali ataki i jeszcze raz jeszcze bliżej podawali - a zawsze
głęboko robiąc - używając zamiast Kolonowatki - frontu rozległego - Taczka
na widoku występujących się Kolonowatki Kasatki - afofali się gospodara
nie - przestawiając na Taczce zwickiżona i toć kopyta i rannych
i stryktu tak gęsto papierem wystroczonych Tadamkowi in m ugo się adawać
in swiciz swięgo to adat -



Autograf Józefa Oxińskiego — część str. 50 Wspomnień
(fragment opisu bitwy pod Kuźnicą Grabowską)

I. STYCZEŃ, LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ

NA CZELE PIERWSZEJ PARTII POWSTAŃCZEJ W WOJEWÓDZTWIE KALISKIM

Przygotowania, pierwszy obóz, marsze i boje. Opatówek,
Kuźnica Grabowska, Wygiełzów, Brodnia, Praszka

W dniu 16 stycznia 1863 r., wyjeżdżając ostatni raz z Warszawy w charakterze organizatora województwa kaliskiego, miałem polecenie przez Komitet Centralny urządzić na pograniczu Poznańskiego, ale już w granicach Kongresówki, to jest po prawej stronie Proсны, — dwie stacje odbiorcze dla przyjęcia i chwilowego przechowania zakupionej w Belgii broni, a następnie zajęcie się transportem tejez wewnątrz kraju.

Do pomocy w tej czynności zabrałem kolegę swego ze szkoły wojskowej w Genui i Cuneo, Aleksandra Lütticha, podówczas obłożnie chorego, a którego, nawiasem powiedziawszy, dopiero przy pomocy dwóch szklanek wódki i paru studentów Szkoły Głównej zdołałem ubrać i sprowadzić do dorożki, która nas zawiozła na pociąg wiedeński.

Nie bawiąc się w szczegółowe opisanie trudności towarzyszących wydosztaniu się z Warszawy, a wzmocnionych skutkiem przeprowadzonej, niezupełnie udanej, tejez nocy proskrypcji, — nadmieniam tylko, że położenie moje wobec braku paszportu (gdyż tylko miałem bilet kolejowy dostarczony mi przez Witolda Marczewskiego, jednego z ówczesnych członków Komitetu Centralnego), wobec obstawionego pociągu wojskiem i szczegółowej rewizji paszportów — nie było bardzo przyjemnym; tylko dzięki memu tuptetowi, który mi nieraz oddał usługę, wyjechałem z Warszawy i przybyłem wieczorem do Kutna, gdzie odnalazłszy na stacji Lütticha, udaliśmy się natychmiast ekstrapocztą do Kalisza.

Przybywszy w południe 17 stycznia 1863 r. do Kalisza, stanęliśmy w hotelu Peszkiego używającego opinii niepodejrzanej, a dowiedziawszy się od właściciela tegoż hotelu o mieszkaniu Naczelnika Miasta, którego nazwiska obecnie zapomniałem, udałem się do tegoż jako wtajemniczonego w sprawę mającej nadejść broni przez Wrocław w Poznańskie. Od niego dowiedziałem się, iż przed paru dniami agent z Wrocławia przeznaczony do przyjęcia i dalszego wytransportowania broni doniósł mu, iż broń żadna nie nadeszła i prawdopodobnie w danej chwili nie nadejdzie, gdyż agent

dreźnieński nie tylko że mu nie doniósł nic stanowczego o wysłaniu broni z Liège, lecz nadto nadmienił o jakichś pogłoskach o przyaresztowaniu broni.

Wiadomość mi udzieloną uważałem za tak ważną, iż wobec spodziewanego wybuchu wskutek przeprowadzonej proskrypcji i wobec zupełnej bezbronności narodu, donosząc o tym Komitetowi Centralnemu przez wysłańca Aleksandra Lütticha, zażądałem zarazem stanowczego rozkazu, co w danych warunkach czynić: czy mimo wszystkich niesprzyjających okoliczności popalić za sobą mosty i powstanie rozpocząć, czyli też utrzymać stanowisko powzięte na posiedzeniu Komitetu Centralnego w początkach grudnia 1862 r., to jest zająć się ochroną proskrybowanych i uzupełniać organizację sił narodowych

Wysławszy ekspedycję do Warszawy tegoż samego dnia, t. j. 17 stycznia 1863 r., wyjechałem natychmiast z Kalisza, gdyż dalszy mój pobyt był tu zbyt długim, a wobec sprytnego kapitana żandarmerii Bergmana nawet niebezpiecznym, udając się do miejscowości wskazanych mi przez Naczelnika miasta Kalisza, aby urządzić stację składową transportową dla mogącej nadejść broni. Porozumiawszy się z zarządami dóbr niemal w najdogodniejszych warunkach położonych naprzeciw miasteczek Ostrowa i Kępna, zawiadomiłem o rezultacie Naczelnika m. Kalisza i pojechałem do Sieradza dla porozumienia się i zbadania organizacji tego miasta.

W przejeździe do Sieradza zatrzymałem się chwilowo w miasteczku Błaszki, gdzie z powodu odbywającego się jarmarku znalazłem większe zebranie tak zwanych obywateli wiejskich w jedynej restauracji, do której na obiad wstąpiłem. Spożywając obiad zauważyłem niezwykle ożywienie między współzjadaczami, jakkolwiek chwilowo z powodu nieznanego intruza mitygującymi się w ferworze dysputy, jednakże, ulegając polskiej naturze, w stanie podchmielenia wyjawiającej aż nadto jaskrawo o mającym nastąpić zjeździe obywatelskim i o dwoistych zapatrywaniach między zgromadzonymi z powodu mogącego nastąpić powstania.

Świeżo przybyły w nieznanne mi okolice, nasłuchawszy się od Edwarda Jurgensa, z którym od dzieciństwa łączyły mnie stosunki serdeczne mimo krańcowych różnic w przekonaniach rewolucyjnych, że w Kaliskim nie znajdę na nasienie „czerwieńca”, gdyż to jest ziemia obiecana w organizacji „białych”, postanowiłem wziąć udział w mającym nastąpić zjeździe. Obserwując zgromadzonych zauważyłem jakiegoś grubasa o wyglądzie jeszcze młodym, którego

zaperzona mina i podrażniona gestykulacja wskazywały na opozycjonistę przeciw poglądom większości.

Załatwiwszy rachunek restauracyjny i korzystając z chwili odo-sobnienia grubasa, ocierającego pot rzęsisty z czoła, podszedłem do niego, a przedstawiając się pod prawdziwym nazwiskiem poprosiłem go o chwilę osobnej rozmowy, proponując mu wyjście na świeże powietrze. Znalazłszy się z dala od gwaru zajazdowego, przedstawiłem mu, kto jestem, a przedstawivszy mu powody, dla których pragnę być na zebnanym zjeździe, prosiłem go o wprowadzenie mnie na takowy.

Nadspodziewanie dobrze trafiłem robiąc znajomość z grubasem, trafiłem bowiem w parugodzinnej rozmowie, jakąśmy na świeżym powietrzu prowadzili, nie tylko na człowieka chętnego do każdej uczciwej roboty i wcale inteligentnego, lecz nadto przez swe stosunki rodowe spokrewnionego blisko z niejakim p. Walewskim, w domu którego miał się odbyć zjazd naznaczony na 19 stycznia 1863 r. o godzinie 7-ej wieczorem.

Otrzymałwszy przyrzeczenie od p. Gałęckiego, tj. mego grubasa, iż będzie u p. Walewskiego czekać mego przyjazdu, i uścisknąwszy mu rękę wsiadłem na pocztę i udałem się do Sieradza; dokąd przybywszy nad wieczorem 18 stycznia 1863 r., przy pomocy tamtejszego pocztmistrza poleconego mi przez organizację kaliską, jako wy-próbowanej wartości patriotę, odnalazłszy Naczelnika Miasta, po dłuższej konferencji i dosyć ściśłym badaniu stanu organizacji przyszedłem do tego przekonania, że organizacja wiejska jest mimo elementu młodszego, a tym samym ruchliwszego i głośniejszego, zupełnie ujętą w stronnictwie „białych”, organizacja zaś miejska, oparta na przechwałkach i optymistycznych przypuszczeniach, jest zaledwie w zawiązku. Siły jej główne składają się bądź z młodzieży gimnazjum w Piotrkowie i Kaliszu, bądź z młodzieży szkół powiatowych, jak w Sieradzu i Wieluniu, to jest elementu moralnie wy-soko stojącego, chociaż jeszcze więcej rozgorączkowanego, mogącego wobec konwulsyj miotających społeczeństwem oddać pewne usługi moralne i w pewnych razach nawet korzystnie oddziaływać na podtrzymanie ducha narodowego, lecz jako siła materialna — nie przedstawiającego żadnej realnej wartości, a takiej w obecnej chwili było potrzeba. Pozostawała, można śmiało powiedzieć, w rachunku czynnym siła proskrybowanych, która była skazaną na zatracenie, a korzystnie ją używszy — można było przy jej pomocy i przy-chylniejszych okolicznościach pewne korzystne rezultaty otrzymać.

Na tej się sile opierając zażądałem od Naczelnika m. Sieradza danych statystycznych, dotyczących tak ilości mieszkańców w miasteczkach powiatu sieradzkiego i części powiatu kaliskiego, jak najmniej przypuszczalnej ilości proskrybowanych, a mianowicie w miasteczkach: Sieradz, Zduńska Wola, Łask, Pabianice, Szadek, Warta, Uniejów, Błaszki, Turek. Wypadło nam przypuszczalnie, iż na 40,000 mieszkańców w tych miasteczkach prawdopodobnie znajduje się na liście proskrypcyjnej około 600 ludzi; biorąc zaś pod uwagę naturę człowieka jeszcze w pół surowego, dobrego materiału pod baczną komendą, lecz niepewnego i niezdecydowanego w stanowczej chwili działania, oglądającego się tylko na siebie i najbliższe stosunki rodzinne, — przepołowilem cyfrę przypuszczalną, a zredukowawszy ją do 300 ludzi mogłem niemal mniemać o jej ścisłości.

Zarządziwszy Naczelnikowi m. Sieradza zniesienie się z resztą wymierzonych miasteczek przez pośrednictwo naczelników takowych a znajomych mu osobiście, na blankietach Komitetu Centralnego wysłanym został jeszcze tej nocy czy nad ranem rozkaz, polecający naczelnikom miast wziąć wszystkich kandydatów do proskrypcji w ścisłą ewidencję, zaopatrzyć ich w miarę potrzeby i możliwości w zimowe ubranie, nadto zaopatrzyć ich w braku broni palnej w broń sieczną, a mianowicie w siekiery, topory, oskardy i kosy. Tak przygotowani mają czekać rozkazu dalszego — udania się na punkt zborny.

Dzień nastawał, któren zapowiadał się równie pracowicie; przepawszy się parę godzin na kanapie i wypiwszy herbatę, wyjechałem pocztą do miasta Warty.

Badając kartę topograficzną województwa kaliskiego i mając dosyć dokładne dane o sile i rozłożeniu wojsk moskiewskich, widziałem całą środkową połąć województwa od wschodniej ściany przeciętej koleją Warszawsko-Wiedeńską (Piotrków—Radomsko—Częstochowa) aż po kraniec zachodni, t. j. przez Sieradz do Kalisza, jako teren równy, bezleśny, zdatny do poruszeń i operacji większych nawet mas kawalerii, bo przez swą dosyć wysoką kulturę rolną dający środki łatwiejszego zaprowiantowania się, lecz zgoła nieprzydatny dla mogących nastąpić działań oddziału z proskrybowanych. Oddział taki, jako przeznaczony na zatrąę, winien był sobie wynaleźć teren o ile można najwięcej zakryty i jak najwięcej nieograniczony, dający możliwość w szybkich i tajnych poruszeniach zyskać czas odpowiedni do możliwie dobrego zorganizowania, uzbrojenia i wyćwiczenia straceńców, mogących w razie sprzyjających okoliczności stać się kadrą dla większych sił narodowych.

Terenem takim — zdawało mi się, badając kartę topograficzną — będzie ściana północna województwa, pokryta większymi i mniejszymi lasami szpilkowymi niemal łącznymi, a przynajmniej o niewielkich przerwach — łączącymi się z lasami w południowej części województwa mazowieckiego, mająca tę przewagę nad ścianą południowo-zachodnią w powiatach wieluńskim i kaliskim, iż tamta, jakkolwiek więcej leśna, ale zamknięta na małym terenie rzeką Wartą i granicą pruską, mogła stać się zatrzaskiem dla działającego oddziału.

Rozłożone siły moskiewskie przedstawiały korzyść dla terenu północnego, gdyż Kalisz, główna kwatera dywizji pod generałem Bremer¹⁾, jak i załoga Konina pod generałem Kostendą²⁾ i Wielunia pod pułkownikiem Pomarancew³⁾, położone na krańcach województwa, mogły tylko być użyte w skombinowanych, a tym samym trudnych i zwykle bezowocnych poruszeniach, komendy zaś w Piotrkowie pod generałem Radin⁴⁾ i Częstochowie pod pułkownikiem Ostrowskim, mające nieomal specjalną misją utrzymania komunikacji i bezpieczeństwa na linii kolejowej Skierniewice—Częstochowa—Łazy, nie mogły być przy długich i ociążałych marszach bardzo szkodliwe lotnemu partyzanckiemu oddziałowi, działającemu w leśnych a zatem osłoniętych okolicach.

Pozostawały zatem siły, z którymi należało się rachować, jako w najbliższym sąsiedztwie: komenda w Sieradzu 2 bataliony piechoty i 2 sotnie kozaków, w miasteczku Warta 2 kompanie piechoty, 1 sotnia kozaków i bateria dział gwintowych o ośmiu działach, i komenda w Łęczycy wsile 2 batalionów piechoty i 2 sotni kozaków pod komendą nie wiem jakiego oficera, gdyż nigdy potem nie miałem spotkania z kolumną łęczycką.

Z tymi myślami i poglądami przybyłem 19 stycznia około 10 rano do miasteczka Warty, a nie znając nikogo w mieście wstąpiłem do cukierni, spodziewając się znaleźć objaśnienia. Pijąc wódkę i zobaczywszy, że nikogo nie ma, zapytałem mimochodem, czy w mieście stoi artyleria, jak się nazywa dowódca baterii i gdzie mieszka, a objaśniony o nazwisku i mieszkaniu, które mi wskazano przez okno, dowiedziawszy się następnie o mieszkaniu p. X. będącego Naczelnikiem Miasta, po napiciu się drugiego kieliszka wódki, jak to mówią na „courage“, i wyrównaniu rachunku udałem się do wzmiankowanego artylerzysty.

1) Brunner, przyp. wyd.

2) Kostanda, przyp. wyd.

3) Pomarancew, przyp. wyd.

4) Raden, przyp. wyd.

Na parę dni bowiem przed wyjazdem z Warszawy, t. j. około połowy stycznia, będąc u Potiebni, ówczesnego prezesa związku rewolucyjnego moskiewskiego „Russkaja Ziemia i Wolia“, prosiłem go o wtajemniczenie w organizację tego związku między wojskami w województwie kaliskim stojącymi. Ponieważ nie mógł mnie w tej chwili objaśnić z powodu, iż tą częścią kraju osobiście nie zarządza, a jego zastępca na tę część kraju chwilowo jest nieobecny w Warszawie, przeto z powodu nagłości mego wyjazdu powiedział mi: „Możesz śmiało rachować na oficerów artylerii, wielu z nich jest w związku, a ci, którzy w nim nie są, są tak przyzwoi i uczciwi ludzie, iż żaden roli policyjnej nie podejmie i nie ma obawy poważnej“.

Na podstawie powyżej udzielonego objaśnienia wstąpiłem do mieszkania kapitana artylerii X.¹⁾, a oddając służącemu futro zapytałem, czy kapitan jest w domu i czy sam się znajduje. Na twierdzącą odpowiedź wstąpiłem do pokoju, gdzie spotkałem się oko w oko z młodym około trzydziestu lat mającym mężczyzną o inteligentnym wejrzeniu i układzie wojskowym, pytającego mnie czystą polszczyzną: „Czego Pan sobie życzysz?“. Zamiast odpowiedzi wręczyłem mu kartkę błękitną przedstawiającą mnie jako członka komitetu rewolucyjnego „Russkaja Ziemia i Wolia“, dodając jednocześnie, iż jeżeli spotkałem uczciwego człowieka — udzieli mi żądanych objaśnień, jeżeli przeciwnie — może łatwym sposobem uzyskać jedną gwiazdkę więcej. Popatrzył na mnie uważniej i wyciągając ze skrytki swego pugilaresu kartkę wyglądu błękitnego wręczył mi ją za całą odpowiedź.

Przekonawszy się, iż znalazłem współtowarzysza w pracy, zwróciliśmy sobie nasze niewinne karty wizytowe przy uścisku dłoni, a powiedziawszy mu moje legalne, to jest paszportowe nazwisko Konstanty Babski i stosunek naszej znajomości, usiedliśmy z papierosami w ustach do koleżeńskiej gawędy.

Przedstawwszy mu przypuszczalną siłę naszą czynną i z jakich miejscowości mogącą się zgromadzić, dalej o siłach i rozłożeniu wojsk moskiewskich, i przedstawwszy mu moje poglądy na tereny północny i południowy tak ze strony dodatniej jak i ujemnej, — przedstawiłem mu zarazem potrzebę w razie spodziewanej akcji czynnej rozpocząć ją atakiem na Wartę, uważając tę komendę za

¹⁾ W urywku, drukowanym w księdze p. t. „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, Lwów, 1903, czytamy: „...wstąpiłem do mieszkania kapitana artylerii pana Spławskiego...“, str. 317.

najsłabszą, a zatem przedstawiającą najwięcej szans powodzenia, a przede wszystkim leżącą na głównej przeprawie na rzece Warcie ze stałym mostem. Przez zniesienie tej komendy nie tylko powstanie nabiera siły materialnej w zdobytej broni i amunicji, lecz głównie zdobywa ułatwioną swobodę ruchów po obu brzegach Warty, bo posiadając mosty stałe w Warcie, Uniejowie i Kole ma możliwość swobodnego działania w północnym terenie.

Słuchając mnie uważnie i badając kartę topograficzną, uznał moje poglądy za racjonalne i zasadniczo zgodził się z udzieleniem swej pomocy, a objaśniwszy mnie o sile i rozłożeniu kolumny rozkwaterowanej po dwóch lub trzech żołnierzy pieszych po zimowych kwaterach u mieszkańców miasta, o 85 kozakach stojących w swych stajniach i koszarach na wylocie miasta i o artylerii z jaszczykami ulokowanymi i zapakowanymi w szopach z drugiej strony miasta i zdolnej zaledwie po upływie trzech godzin do akcji czynnej,— nadmienił, iż siła 300 zdecydowanych ludzi, wobec pełni zaufania pokojowego ze strony komendy wojskowej i zimowego rozkwaterowania piechoty i artylerii, mogłaby być zupełnie wystarczającą, gdyby powzięty plan działania został skrupulatnie wykonany i gdyby nie stały niespodziewane i niekorzystne okoliczności.

Obmawiając dalszy plan działania postanowiliśmy:

1. proskrybowanych i zorganizowanych pozostawić w mieście i tajnie przygotowywać dla nich siekiery lub topory;

2. na parę godzin przed wybuchem mają się znajdować pod pozorem wizyty u gospodarzy domów, w których kwaterują żołnierze, aby w chwili sygnału jadącej i trąbiącej mazura poczty — roztworzyć drzwi wchodowe do domów i wraz z przybyłymi proskrybowanymi bądź wyciąć, bądź uspokoić znajdujących się na kwaterze żołnierzy;

3. na koszary kozackie i stajnie przeznaczyć 30 ludzi uzbrojonych w broń palną i siekiery, którzy obstawiając drzwi i okna nie dopuściliby wyjścia żadnemu kozakowi, zabijając bez litości usiłujących się wydostać;

4. na szopy artyleryjskie przeznaczyć 25 ludzi uzbrojonych w siekiery i przynajmniej pięciu strzelców w dobre dubeltówki, a zgładziwszy w cichy sposób pod osłoną nocy szyldwachów, osadzić drzwi i okna i nie wypuścić nikogo żywego na zewnątrz.

W razie pomyślnego udania się napadu na piechotę, uzbrojony w zdobytą broń oddział straceniów poprowadzonym zostanie do koszar

kozackich i artyleryjskich dla ich zupełnego opanowania, a po stanowczym ich opanowaniu i zorganizowaniu oddziału wejdzie takowy wraz ze mną pod komendę rzeczonego kapitana.

Tak obmyślony plan postępowania potrzebował ścisłego i terminowego działania, a nieświadomość decyzji Komitetu Centralnego stanowiła główną przeszkodę w stanowczym postępowaniu. Widziałem jednakże gorliwy współdziałanie ze strony kapitana X., jego inteligencję i stanowczy sposób zapatrywania się na sprawę, otrzymałem nadto z jego strony zapewnienie, iż w terminie wybuchu, o którym go miałem na 24 godzin poprzednio zawiadomić, sprosi do siebie wszystkich kolegów, to jest oficerów i junkrów, na ucztę koleżeńską, zawiadomi związkowych w tej komendzie, t. j. dwóch oficerów i dwóch junkrów, o spodziewanej chwili wybuchu, przestrzeże ich o potrzebie trzeźwości z zachowaniem pozorów pijaństwa, aby tak zebranych wszystkich oficerów komendy w stanie opitym oddać pod rozporządzenie powstańców, sam bowiem jako kolega z kolegami, a przede wszystkim jako uczciwy człowiek wzdrygał się od wszelkiego doraźnego postępowania.

Pragnąc plan ułożony w danej chwili wykonać, potrzeba było choć się częściowo do niego przygotować, i dlatego żegnając kapitana X., a raczej mówiąc „do niedługiego widzenia”, wyszedłem z jego mieszkania i udałem się dla odszukania Naczelnika Miasta. Mając jego adres, w małym miasteczku nietrudne zadanie i dlatego też po kwadransie czasu znalazłem go w mieszkaniu używającego sjesty popołudniowej.

Przedstawivszy mu papierki, określające mój charakter urzędowy, zapytałem go, czy otrzymał polecenie co do przedwstępnej zajęcia się proskrybowanymi, a na twierdzącą odpowiedź, iż przed trzema godzinami otrzymał kurierem podobne polecenie i w składzie żelaza zakupił dla robotników, wycinających las pod Tuliszkowem i karczujących takowy, 48 siekier i toporów oraz 25 oskardów, ma tym samym dostateczne uzbrojenie dla proskrybowanych, nadto posiada 6 sztuk broni palnej myśliwskiej w dobrym stanie, przez związkowego ślusarza „myśliwca” przejranej i oczyszczonej, i do nich po kilkanaście funtów prochu i grankulek oraz kapiszonów.

Uradowany, iż znalazłem tak gorliwego wykonawcę, i pragnąc posunąć się w dalszych przygotowaniach, oświadczyłem mu w myśl ułożonego programu z kapitanem X., aby ludzie proskrybowani starali się wejść w stosunki bliższej znajomości bądź z gospodarzami

domów, bądź z mieszkającymi u nich lokatorami, bez zwrócenia uwagi, a bywając u nich obznajmili się z rozkładem domu i jego wychodami, a szczególnie z kwaterą żołnierzy; jednym słowem, żeby byli jak w domu u siebie, mogący trafić wszędzie choćby po omacku. Gdy zadziwiona mina gospodarza dała mi poznać pewne rodzaje się ciekawości, na co to wszystko, oświadczyłem mu, przypominając mu jego stanowisko urzędowe i patrioty polskiego, iż może nadejść chwila i to niedługo, w której proskrybowani, zamiast się udać na punkt zborny i tam ogłosić powstanie narodu polskiego i walkę z Moskwą, — muszą w tej chwili pozostać na miejscu, uzbrojeni w topory i siekiery schowane pod ubraniem, pilnując w dniu i godzinie oznaczonej sygnału, t. j. trąbki pocziarskiej grającej mazura, i czekając przy drzwiach przymkniętych, aby cicho i z wszelką ostrożnością wpuścić przybyłych z prowincji proskrybowanych, zaprowadzić ich do kwatery żołnierskiej i razem z nimi pozabijać Moskali w cichości, bez żadnego krzyku.

Uważałem, że memu Naczelnikowi Miasta ścierpła skóra. Tłumaczyłem mu tego niezbędną potrzebę i korzyści stąd wynikające, a widząc z miny, iż otuchy nabiera, kazałem mu natychmiast się zająć pierwszą częścią instrukcji, a widząc, iż przytomnieje i nabiera fantazji, zaproponowałem mu przechadzkę po mieście, gdyż jako główny aktor chciałem się osobiście zapoznać z topografią miasta.

Obszedłszy rynek i obok kwaterę komendanta pułkownika (niemieckiego jakiegoś nazwiska), przed którą stał jedyny szyldwach, przy czym towarzyszący mi Naczelnik Miasta wskazywał domki kwatrujące żołnierzy, przeszliśmy w ulicę prowadzącą w stronę Sieradza, a dalej w stronę Szadku i na koniec w stronę przez Staw i Opatówek do Kalisza, gdzie piechota moskiewska była rozkwatrowaną, a dalej zwiedziwszy już poza miastem położenie koszar kozackich i artyleryjskich przekonałem się, że plan przyjęty do ataku Warty jest zupełnie odpowiednim do rozłożonych sił moskiewskich. Z 300 karnymi żołnierzami, przy użyciu pomocy ułatwiającej ze strony mieszkańców, — przedstawiał wszystkie warunki natychmiastowego powodzenia; w warunkach jednakże obecnych, przy braku ostrożności niezbędnej, nagromadzenie piechoty na jednym prawie punkcie, chociaż rozlokowanej po osobnych kwaterach, mogło poważnie przedstawiać niebezpieczeństwo. Przezuwając rozmaite wątpliwości i widoki bardzo wątpliwe na przyszłość, szedłem zamyślony nad dalszym programem działania, gdy turkot nadjeżdżającej najtyczanki wyrwał mnie z chwilowego pognębienia.

Siedział na niej chwilowo znajomy młody obywatel wiejski, niejaki p. Jabłkowski, mieszkający w wiosce o parę mil od Warty położonej, a którego poznałem na stacji w Kutnie, jako szkolnego kolegę Lütticha. Gdy mnie zobaczył, widocznie zaraz poznał, bo zatrzymawszy bryczkę zeskoczył z niej i zbliżając się do mnie przemówił: „Dobrze, że pana spotykam, mam bowiem komis dla pana”, a domawiając tych słów, wręczył mi kopertę zaadresowaną pod paszportowym adresem, pisanym ręką Lütticha. Przeprosiwszy p. Jabłkowskiego i cofnąwszy się pod bramę przyległego domu, zdołałem jeszcze przy zapadającym zmroku przeczytać, iż przesyła mi zapieczętowaną odpowiedź Komitetu Centralnego; powrócił dzisiaj w południe z Warszawy i leży chory u p. Jabłkowskiego. W liście zaś Lütticha znalazłem zapieczętowany zwitek papieru z pieczęcią Komitetu Centralnego z następującym poleceniem: poleca się Obywatelowi przygotować i zrobić powstanie narodowe w nocy z dnia 21 na 22 stycznia r. b.¹⁾, dalsze zaś instrukcje nadesłane zostaną. Rozkaz był jasny i stanowczy.

W tej chwili żołądek mi przypomniiał, że od 24 godzin nie jadłem. Przeprosiwszy p. Jabłkowskiego za nadużycie jego cierpliwości, zapytałem go zarazem dokąd jedzie, gdyż zauważyłem jego wieczorowe ubranie, a otrzymałem przy pewnym okazanym mi zdziwieniu odpowiedź, iż jedzie do p. Walewskiego w X. (nazwiska wioski nie pamiętam). Zapytał mnie, już nie po szlachecku, na co mi ta wiadomość. Odpowiedziałem mu otwarcie, ażeby mnie z sobą zabrał, a ponieważ mamy jeszcze aż za nadto czasu, żeby był łaskaw zatrzymać się w cukierni, za małe pół godziny będę mu służyć.

Podawszy mu rękę, zwróciłem się do Naczelnika Miasta, prosząc go o pozwolenie towarzyszenia mu do jego domu, dokąd przybywszy napisałem do kapitana artylerii X., iż napad na Wartę wykonany zostanie o godzinie drugiej w nocy z dnia 21 na 22 stycznia r. b. podług projektu obmówionego, w dowód czego piszę na blankiecie z pieczęcią „Komitet Centralny”, proszę jednak postępować z możliwą ostrożnością. A dalej pisząc na takimże blankiecie polecenia do Naczelnika m. Warty w myśl punktu 2 uchwalonego planu ataku na piechotę i zastrzegając możliwą ostrożność, polecałem owe 6 dubeltówek umieścić u pewnych i celnych strzelców i odkomenderować ich na drogę do m. Szadek na drugą stronę mostu, gdzie ukryci mają oczekiwać przybycia oddziału hasłem „Warszawa“, odzew — „Kraków“.

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

Wręczywszy mu odezwę z jak najszczegółowszym objaśnieniem, jak ma postępować, i zalecając ciche i dokładne ich wykonanie, gdyż czas nastał czynu, a nie gawęd i rozmyślań, wręczyłem mu depezę w kopercie czystej dla osobistego i natychmiastowego doręczenia jej kapitanowi artylerii X., którego, jak mi powiedział, znał osobiście. Uściskawszy mu rękę i mówiąc „do prędkiego widzenia“, opuściłem jego mieszkanie i udałem się do cukierni, gdzie zastałem p. Jabłkowskiego, niecierpliwie mnie oczekującego. Zjadłszy kilka ciastek i wypiwszy parę kieliszków wódki dla zabicia pierwszego głodu i pozbycia się czczości, zwróciłem się do p. Jabłkowskiego, iż jestem gotów mu służyć, a za chwilę jechaliśmy do p. Walewskiego.

Zajechawszy przed ganek dużego dworu rześcicie oświetlonego, gdzie spotkałem się z oczekującym mnie p. Gałęckim, zostałem przez niego wprowadzony i przedstawiony gospodarzowi domu p. Walewskiemu, niemal już starcowi o przyzwoitym układzie, do którego zwróciłem się z prośbą o wprowadzenie i przedstawienie mnie zgromadzeniu jako reprezentanta Komitetu Centralnego. Zdziwiona cokolwiek mina tego pana wieczorowo ubranego, przyglądającego się dosyć uważnie mojemu dobrze złachanemu garniturovi paryskiemu, który w czteromiesięcznej kampanii organizatorskiej rozpoczynał widocznie przekonywać o znikomości rzeczy ludzkich, była tak widoczną, iż z obawy zamienienia się w czyn jakiejś błąkającej się myśli ująłem go pod pachę i wprowadziliśmy się do salonu.

Widok przedstawiał się wspaniale. Stoły w podkowę ustawione, ugarniowane dookoła postaciami godnymi niemal zająć miejsce z racji swej objętości na kurulskich stolcach, o twarzach poważnie zamysłonych nad zagadkami życia marnego; środkowy punkt podkowy uzbrojony sporym dzwonkiem i za nim przypuszczalnym prezesem otoczonym z tyłu wyfrakowanymi liktorami (ale bez różeg!). Tak mnie to zajęło, iż gdyby nie mówka gospodarza domu, przedstawiająca intruza w nieoficjalnych szatach, byłbym zgoła zapomniał o mym urzędowym charakterze i o roli, którą spełnić przybyłem.

Cisza, jaka nastąpiła po przedstawieniu, oprzytomniła mnie widocznie, iż potrzeba jest rodzicielką wynalazków, gdyż ja, więcej zdolny do zaklęcia dziesięć razy na minutę niż wypowiedzenia jednym tchem dziesięciowyrazowej mowy, palnąłem mowę — widocznie przekonującą i porywającą, najlepiej uwidocznioną osiągniętym rezultatem, gdyż na 82 członków zebrania organizacji „białych“ — 63 członków przystąpiło i uznało Komitet Centralny jako swą władzę naczelną.

Co mówiłem i jak mówiłem, ani wówczas, to jest 19 stycznia 1863 r. o godzinie 8-jej wieczorem, ani dzisiaj po czterdziestoletniej dosyć ciężkiej wędrówce, nie pamiętam; zdaje mi się tylko, że wspomniawszy zgromadzonym ich przeszłość historyczną i obowiązki względem ziemi, zapewniłem, iż czasy zjazdów, mówek, politykowania i partyjnych rozterek minęły, że wobec ruchu zbrojnego, jaki się za parę dni rozpocznie, jedna tylko pozostanie zasada, podług której będzie się postępować: albo z nami, albo przeciwko nam, przyjaciel czy wróg, pośrednich krętaczy nie znamy.

Gdy na podstawie przystąpienia do organizacji ruchu reprezentowanej przez Komitet Centralny secesjoniści zażądali ode mnie bezpośredniego zetknięcia się z Komitetem, żądając w sposób prawie szlachecki zapoznania ich „z sąsiadami nowo osiadłymi“, miałem sporo kłopotu, że to jest rzeczą niemożliwą tego rodzaju powszechne zapoznanie, a w zamian zaproponowałem im wybór spośród siebie jednego członka, w którym pokładają nieograniczone zaufanie, którego by wobec mnie, a w przytomności wszystkich zobowiązał się słowem honoru do zatrzymania tajemnicy tak co do osoby członka Komitetu Centralnego, jak i jego adresu, z którym mu możność widzenia i konferowania ułatwię.

Propozycja moja widocznie się zebranych spodobała: za ledwie bowiem kwadrans upłynął, wybranym został prawie jednomyślnie p. Kazimierz Biernacki, obywatel ziemski z Sieradzkiego, któremu, po złożeniu przyrzeczenia pod słowem honoru na utrzymanie w tajemnicy nazwiska i adresu członka Komitetu, na osobności wymieniłem nazwisko i adres Witolda Marczewskiego, dyrektora kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

Powróciwszy do sali zebrań i korzystając z pozostałego kałamarza i pióra, napisałem na blankiecie z pieczęcią „Komitet Centralny“ list polecający delegata zebranych obywateli secesyjnych do traktowania przychylnego jego przedstawień i do przysłania, jeżeli to jest możliwym, choćby z nim razem jakiegoś wyższego oficera do kierunku powstaniem w województwie kaliskim. A przybliżając się do delegata i wręczając mu pismo napomknąłem, iż dlatego zażądałem przysłania doświadczonego oficera, gdyż sam, jako młody i świeżo upieczony oficer w szkole wojskowej, nie czuję się na siłach sprostać bardzo trudnemu zadaniu, a jakkolwiek z biegiem wypadków prawdopodobnie nie jeden przybędzie dzielny oficer z armii państw rozbiorczych, w obecnej jednak chwili niezbędnym jest choćby jeden wytrawny oficer z jakąś rutyną organizacyjną.

Zgromadzeni moją przymówkę okryli oklaskami uznania, czy zaś oklaski tyczyły się mej, że tak powiem, idealnej skromności, czyli też dziękowali za skończenie z tą sprawą — tego ani wówczas, ani dzisiaj nie wiem. Zauważyłem tylko, że fraki młodych i angielzy starszych nie tak correcte do stanów przystawały i zacząłem podejrzewać, że nie były robione przez warszawskich krawców, a czoła ich więcej zasępione wskazywały jakieś trujące myśli, wierzące im mózgi do głębi; spodziewanej katastrofie zapobiegł znany i przyjemny gospodarz domu, zapraszając nas na przekąskę.

Po ożywionych twarzach zgromadzonych poznałem, że ich przestały trapić fatalne sprawy polityczne i pomyślałem sobie, iż jeśli zapowiedziana przekąska będzie coś w guście niezapowiadanych ośmiu przekąsek, jakimi brać nasza w Hrubieszowskim codziennie się zabija, to przynajmniej głodną śmiercią nie umrę, dziwnie bowiem, prawie po chłopsku zaczął mi się upominać mój żołądek o dań przynależną.

Nasze oczekiwania były prześcignięte dobrą wolą szlachetnego gospodarza: po doskonałej nalewce domowej, z pierwszego dania dostrzegłem, że sztuka kulinarna nie zagasła z wypędzonym Bachusem, a dobry „francuz“ znajduje dobre wychowanie u szlachcica polskiego, i dlatego też, szepnąwszy w głębi mruczącemu plebejuszowi „cierpliwości“, jadłem i piłem z rozwągą i zastanowieniem.

Moi sąsiedzi, a mianowicie mój grubas i wybrany świeżo delegat, byli to ludzie skądinąd zacni, lecz przy stole tak znakomici partnerzy, iż mogli śmiało zaliczać się do towarzystwa wstrzemięźliwości, do którego mając honor należyć w Genui po przejściu statutowej próby — mogłem im bez statutowego przynależenia powinszować.

Wszystko ma swój koniec, a zdanie to nie musi być tak bardzo niedorzecznym, skoro i dziś spotykam się z nim czasami wypowiedzianym przez usta bardzo poważne, koniec się miało i z tą przekąską tak około 1-ej w nocy z tym błogim zadowoleniem, iż mój własny gospodarz zabrał się w błogim usposobieniu do pracy.

Korzystając z tego zapytałem sąsiada mego po lewicy p. Gałęckiego, czy wraca do swego domu i czyby mu nie zrobiło wielkiej różnicy przejechać przez Sieradz i wręczyć osobiście p. X. depeszy.

Na zgodną odpowiedź, uściskawszy rękę p. Kazimierzowi Biernackiemu z życzeniem szczęśliwej podróży, dodawszy, iż w razie potrzeby można mnie będzie odnaleźć w okolicach Szadek—Lutomiersk—Poddębice, i spotkanemu p. Jabłkowskiemu oświadczywszy, że wracam z nim do domu dla widzenia się z Lüttichem, udałem się z moim

grubasem jako wicegospodarzem domu do samotnej kancelarii gospodarza, a znalazłszy na biurku papier i pióro napisałem do Naczelnika m. Sieradza rozkaz, polecający mu uzbrojonych i w żywność zaopatrzonych proskrybowanych wysłać w dniu 21 stycznia 1863 r. o godzinie 5-ej wieczorem¹⁾ na punkt zborny do Miedzna, gdzie ich oczekiwać będą współtowarzysze, dodając, iż hasło „Warszawa“ odzew „Kraków“; dalej napisałem tak samo na blankietach „Komitet Centralny“ rozkazy podobne do pozostałej reszty naczelników miast w tej operacji udział biorących, zmieniając tylko godziny wyjścia stosownie do większej lub mniejszej odległości tych miasteczek od punktu zbornego. Liczyłem, iż całe siły zgromadzą się na punkcie zbornym o godzinie 10-ej wieczorem i że tym sposobem w miarę nadchodzących straceńców będę ich mógł stosownie organizować i dać możliwą instrukcję w wypełnieniu przedsiębranej akcji.

Dodawszy w depeszy do Naczelnika m. Sieradza, aby załączające się depesze wysłał natychmiast pewnymi kurierami a najlepiej kobietami podług wiadomych mu adresów, zapakowałem to wszystko do jednej czystej koperty, którą oddając memu grubasowi prosiłem go o wręczenie takowej p. X. w Sieradzu i o tajemnicę o całej tej sprawie.

Po 3-ej skończyłem zadanie, mosty popaliłem, a żegnając się z zmęczonym bezsennością gospodarzem i przeprosiwszy za nadużycie jego gościnności, odnalazłszy kiwającego się nad stołem p. Jabłkowskiego, oświadczyłem mu możność jechania. W chwil parę toczyliśmy się wózkiem do jego domu.

Byłem nieusposobiony do gawędki a tym mniej do zwierzania się i dla tego moje odpowiedzi treściwe i pozorne kiwanie się na bryczce uwolniły mnie od natrętności mego faceta, pogrążonego w końcu w drzemce uplastycznionej chwilowym chrapnięciem. Nawiał myśli wywołanych wypadkami 19 stycznia 1863 r. gniótł mi czaszkę: widziałem w naszym nieprzygotowanym zrywie tylko klęskę, widziałem z naszej przeszłości historycznej, że jesteśmy narodem lekkomyślnym, nie mającym w swym charakterze ani stałej energii, ani — co gorsza — wytrwałości; byliśmy narodem w rozstroju nerwowym, zdolnym w chwili uniesienia przy wrodzonej odwadze ściągnąć Pana Boga za nogi z nieba, lecz po jakiejś katastrofie — jak Maciejowice, Berezyna i Ostrołęka — zamiast wydobyć energię spod serca i wytrwałością naprawić zło, które nasza nieopatrność stworzyła,

1) Znów data mylna, przyp. wyd.

umieliśmy tylko jak trzoda spłoszonego bydła ugiąć grzbiety pod batog i lizać łapę nas chłozzczącą.

Dalej, jakkolwiek młody bo 22 lat liczący, to jednakże od początków 1860 r. przeszedłszy rozmaite zajęcia w organizacji konspiracyjnej i oceniający przez swe wykształcenie wojskowe stanowisko siły wojskowej zorganizowanej, widziałem klęskę naprzód, do której zdążaliśmy, lecz miałem lat 22 i mimo niewiary w przedsięwzięcie nie mogłem się od takowego uchylić.

W tych myślach pogrążony przybyłem około 8-ej rano 19 stycznia 1863 r.¹⁾ do domu p. Jabłkowskiego, a zmęczony kilkodniową prawie bezsennością i pracą myśli poprosiłem p. Jabłkowskiego o kąpiel, w której bym mógł spokojnie się wypaść; zaprowadzony na tak zwaną górkę kamieniem przespałem do 5-ej wieczór, a umywszy się czułem, że siły wróciły.

Spotkawszy się z zdrowym na pozór Lüttichem, dopytywałem się natrętnie o okoliczności towarzyszące wydaniu tego nieszczęśliwego rozkazu. Nie mogąc mi nic zakomunikować, gdyż sam nie wiedział, co mu dla mnie wręczono do natychmiastowego oddania, zdał mi tylko raport służbowy ze swojej czynności, z którego tyle dowiedziałem się, że wyjechawszy o pół do 4-ej po południu dnia 17 stycznia z Kalisza przybył do Warszawy dnia 18 stycznia około 1-ej w południe, odnalazł zaraz adresata, wręczył mu ekspedycję, po której przeczytaniu ten kazał mu się zatrzymać w pokoju gdzieś w dziedzińcu o wyglądzie półurzędowym, w którym zjadłszy przyniesiony mu jakiś obiad o wyglądzie i zapachu drugorzędnej restauracji, a położywszy się jak najwygodniej na sofie przespał snem sprawiedliwego do czasu zbudzenia go przez adresata około 5-ej wieczorem. Otrzymałszy do mnie depeszę, bilet stampilowany i 25 rs. na koszt podróży, przybył bez żadnego kłopotu do p. Jabłkowskiego, a czując się więcej słabym — wyjeżdżającemu na zjazd obywatelski gospodarzowi oddał depeszę dla wręczenia mi jej bądź w Warcie, gdzie wskazałem mu, iż 19 stycznia mogę się znajdować, bądź w jej okolicach.

Wiedziałem tyle, co i wprzód; później się dopiero dowiedziałem, iż Zygmunt Padlewski i Stefan Bobrowski, parci przez organizację miejską grożącą w razie dalszej zwłoki wypowiedzeniem posłuszeństwa Komitetowi Centralnemu, ogłoszeniem pod inną formą i w innym składzie Rządu Narodowego, z obawy ostrej secesji zobowiązali się do ogłoszenia terminu powstania, a biorąc niemal na

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

siębie odpowiedzialność wymogli na reszcie Komitetu rozpoczęcie powstania.

Rzecz była nie do odrobienia: popalone za sobą mosty i wzburzenie umysłów nie dopuszczały żadnego wycofywania się, zarzuty odstępstwa sprawy przez przewodników, o które ich posadzono już niejednokrotnie, mogły być wyrobić opinię dla przyszłych pokoleń niesłychanie szkodliwą dla każdej roboty narodowej, mogły one bowiem z uzasadnioną niewiarą nie pójść za głosem wołającym do pracy, nie wierząc w szczerość i wytrwałość nawołujących. Trzeba było przeto zjeść zupę, uwarzoną własnymi rękami, trzeba było spłacić obowiązek krwi, kiedy się miało lat dwadzieścia.

Śpiąc i jedząc doczekaliśmy się z Lüttichem 21 stycznia 1863 r.¹⁾ godziny 3-ej popołudniu i udaliśmy się do Miedzna — on uzbrojony w nabitą dubeltówkę i długi puginał wyrobu warszawskiego, ja uzbrojony sztyletem włoskim i w rewolwer kiepskiej trampy, kapiszonowy, nabity osobiście przez Bronisława Schwartze jeszcze przed aresztowaniem jako członka Komitetu Centralnego — na wyprawę nieudaną po złote runo w lasy Jabłonny.

Kiedy nas fornal zostawił w lesie otaczającym polanę (uszcześliwiony rublem, nie zawsze widać przez niego widzianym), zmrok już silnie zapadał, a ułożywszy kolegę pod krzakiem w zagajniku, sam stanąłem obok zasłonięty drzewem, skąd mogłem jeszcze chwilę obserwować zborną polanę.

Głusza nie przzerwana żadnym odgłosem, zaledwie tylko podniecona chwilowo szumiącym lasem, działała na moje nerwy uspokajająco; chwilami zdawało się, iż zatraciłem poczucie bytu, i nie wiedziałem, po co i na co tu stoję; nie mając zegarka i nie mogąc się zorientować po gwiazdach z powodu ciemnicy i mgły panującej, czułem jednakże po zmęczeniu mych nóg jelenich, że musi już być dobrze po 7-ej, a zatem nadchodzi czas nadejścia oddziałów straceńców z najbliższej punktu zbornego położonych miasteczek.

Obudziłem śpiącego Lütticha, a nasłuchując jeszcze z godzinę dał się słyszeć — przyłożywszy ucho do ziemi — krok spokojny pojedynczego człowieka, zbliżającego się od strony Uniejowa po drodze, przy której staliśmy. Na jakie dziesięć kroków zapytałem: Kto idzie? — Swój — odpowiedział — hasło „Warszawa”. — Odzew „Kraków” — i podałem rękę przybyłemu.

O ile ciemność dozwalała rozpoznać główne kontury przybyłego

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

towarzysza, był to mężczyzna wysokiego wzrostu i silnej budowy; przedstawivszy się nam jako rządcą jakiegoś majątku wiejskiego spod Uniejowa oświadczył, że dowiedziawszy się od znajomego mu Naczelnika m. Uniejowa o terminie wybuchu i punkcie zbornym przybył, aby dolę wspólnie podzielić.

Było nas trzech zatem, ale ten trzeci przybyły, jakżem się w późniejszym jego zachowaniu przekonał, wart był przynajmniej dobrych trzydziestu; ponieważ pisząc dalej może nie będę miał sposobności z uwidocznieniem tej wybitnej swym charakterem osobistości, przeto obecnie choć w niewielu wyrazach pragnę mu oddać uznanie przynależne.

Budowy więcej jak okazałej a jednak harmonijnie elastycznej, przybyły Jan Maźniewski przedstawiał typ silnie rozwinięty muskularnego mężczyzny, w pracy i w bezpośrednim a ciągłym zetknięciu się z naturą zdobywającego sumiennie swe prawo rozwoju. Cichy i spokojny — zdawało się na pierwszy rzut oka, iż niezdolnym jest odczuwać żadnych wrażeń, tak dobrze „niby“ uplastycznionych w dzisiejszych wynalazcach secesji, że rozwój mięśni zabił cały system nerwowy; ale przyglądając się z bliska jego działalności, tej opiece delikatnej — prawie kobiecej, tylko bez łez — jaką otaczał chorych i rannych żołnierzy swej kompanii, temu nieustannemu obowiązkowemu czuwaniu nad wyrobieniem prawdziwych polskich żołnierzy, odkrywało się w nim wielkie serce człowieka, kochającego swą ziemię i ludzkość, tylko tę miłość uwidoczniał w czynach, a nie w frazesach. O jego odwadze to mogę nadmienić, iż w kilkunastomiesięcznym działaniu, w ciągu którego to czasu pod komendą moją przewinęło się, dłużej lub krócej służąc, przynajmniej 3000 żołnierzy, nie spotkałem ani jednego, który by mógł dorównywać jego odwadze. Spotykałem ludzi dzielnych, odważnie rzucających się naprzód lub pozornie spokojnych w rejonie ognia gwałtownego, lecz widziałem drugim razem tych samych ludzi czy to skutkiem niekorzystnej temperatury, czy przyświecającego słońca bez przyczyny ohydnie uciekających. On jeden zawsze się zachowywał jednako, jak przy picciu herbaty, nie zmienił głosu, nie ożywił ruchów, spokojnie i dokładnie wypełniał poruczony obowiązek. Tak samo spokojnie zginął prawie w 5 miesięcy później w bitwie pod Koniecpolem, przeszyty jednocześnie trzema kulami w głowę, brzuch i piersi; spokojnie ułożył się do ziemi z wiarą, iż go ta dobra matka serdecznie przytuli. Dodać muszę, iż moskiewscy oficerowie, którzy znali tę okazałą postać, zawsze w swej białej wojszce, nie dopuścili swych żołnierzy do obdarcia go —

mogłem przeto jego nominacją na kapitana, jego zegarek i pugilares przesłać jego staruszce matce. Cześć jego pamięci!

Ale do rzeczy. Było nas trzech, jak mówiłem, godziny płynęły a nikt nie przybywał, 10-a przeszła, czas najpóźniejszy ogólnego zebrania — nas trzech tylko. I północ nadeszła — położenie się nie zmieniło. Zapytałem Maźniewskiego, czy zna drogę do miasta Warty, a na odpowiedź, iż jak swoją kieszeń, powiedziałem mu, żeby się udał do mostu na Warcie, tam ma być sześciu uzbrojonych w dubeltówki, wiedząc hasło i odzew łatwo się z nimi porozumie, jednego niech wyśle do Naczelnika Miasta p. X. z wiadomością, że termin odłożony i żeby było w mieście spokojnie, a pięciu niech z sobą przyprowadzi. Chciałem ustrzec miasteczko od wypadku i od możliwej rzezi i spalenia, a widząc, iż jest po 12-iej i termin zebrania minął, nie można było myśleć serio o ataku na Wartę.

Dlaczego jednakże nikogo nie ma — ten klin rozbijał mi głowę i zacząłem przewąchiwać zdradę, gdyż bez niej nie mogło się wydarzyć coś podobnego, rozkazy bowiem były wydane stanowcze i w czasie właściwym, pieczęcie na nich Komitetu Centralnego były przez organizację miejską poważane, zatem widocznie jakiś diabeł się wmięszał. W tych rozmyślaniach wrócił Maza, jak go później zawsze nazywałem, przyprowadziwszy z sobą pięciu ludzi zabranych od mostu a uzbrojonych w dubeltówki i siekiery za pasem. Po dopuszczeniu ich po zmianie formalności obozowych dowiedziałem się, iż rozkazy moje w Warcie ściśle zostały wykonane, że ludzie w broń ukrytą zaopatrzeni rozeszli się około 11-iej po wskazanych im kwaterach, a ich sześciu znajdujących się przy moście żadnego krzyku lub szumu z miasta nie słyszeli. Czekaliśmy zgromadzeni w liczbie ośmiu, co dalej nastąpi, zabawiając się od czasu do czasu papierosem od zapalki hubkowej zapalonym.

Tak nadeszła i 4-a rano, a z nią prawie równocześnie odezwał się dźwięk trąbki, lecz ani wojskowej, ani pocztowej, ani nawet myśliwczej: dźwięki z niej wychodzące jakimś innym rozgłosem brzmiały rodzaj hejnału myśliwskiego. Wziąwszy Mazę z sobą a pozostałym nakazując baczność, udałem się naprzeciw odgłosu powtórnie grającego sygnału, a zbliżywszy się na kilkanaście kroków widziałem jakąś masę poruszającą się. Na komendę: „Stój, kto idzie“? — „Powstańcy!“ Otrzymawszy hasło i zdawszy odzew, zbliżyłem się do jakiegoś cienia jadącego konno; otrzymałem od niego wiadomość, iż ludzie przybyli w liczbie 17 są z miasteczka Szadek i jego okolicy, że ich wyszło 62 ludzi, lecz reszta po drodze w różnych punktach pozawracała do

domów, bałamucona przez miejscową szlachtę i jej wysłańców, iż termin powstania jest odwołanym, a o nowym zostaną w swoim czasie zawiadomieni.

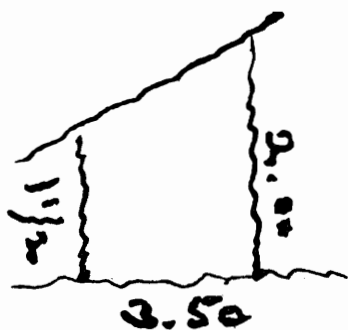
Wizja trapiąca mi mózg od kilku godzin została rozjaśniona: ta sama szlachta, oddająca się przed paru zaledwie dniami pod komendę Komitetu Centralnego wraz z swoimi siwymi przewodnikami z Dyrekcji „białych“, popełniwszy przez swą baranią głupotę wielkie świństwo polityczne, z obawy przykrych następstw uciekła przeważnie do miast pod opiekę komend wojskowych, pozostawiając pustki po dworach, a tym samym utrudniając wszelkie zaprowiantowanie.

Nad rankiem, bo już około 6-ej, w ten sam sposób tylko skromniej, nie tak szumnie zgłaszając wstęp na arenę akcji, przybyła z Sieradza partia zredukowana podstępem szlacheckim do 28 ludzi, a ponieważ mogłem się już przyjrzeć zgromadzonym, przeto poleciłem im udać się za mną w głąb lasu w kierunku Szadku. Po półgodzinnym pochodzie znalazłszy niewielką polanę, zatrzymałem przybyłych i natychmiast przystąpiłem do obliczenia i zorganizowania takowych. Ogólna liczba zgromadzonych wynosiła 53 ludzi, z których 25 ludzi uzbrojonych przeważnie w średniej wartości dubeltówki i pojedynki kapiszonowe, mające z okazanego mi prochu loftek i kapiszonów najwięcej po 20 ładunków na sztukę, 25 ludzi uzbrojonych w słabe topory i siekiery i 1 kawalerzysta uzbrojony w rapir kirasjerski, dobry rewolwer i w rodzaj mi nieznaney mosiężnej trąbki myśliwskiej. Trzy bronie się przedstawiały, trzeba było stosownie je zorganizować. Sformowałem przeto ze strzelców pierwszy pluton strzelecki, biorąc w nim stanowisko instruktora a komendantem mianując Mazę, pluton siekierników powierzyłem Lüttichowi, kawalerzystę zatrzymując przy sztabie, to jest przy sobie w charakterze galopena. Porozdzielałem plutony na sekcje i powyznaczałem, po obywatelskim porozumieniu się o nominacji, sierżanta plutonu. Przedstawiłem, że rola jego jako gospodarza plutonu, to nie tylko jak dobra matka dostarczyć im, jako jego dzieciom, czegoś do włożenia w gębę, ale nadto jak sprawiedliwa matka — w razie potrzeby prawo poczęstowania ich dobrym kułakiem i podania ich do surowszej kary, która się ołowiem załatwia, a widząc ich namyślanie się dorzuciłem: „no, dzieci, wszakże kochamy tę ziemię polską, wszakże jej żołnierzami jesteśmy, będziemy jej służyć wiernie i uczciwie, to i na karę nie zasłużymy“. Te kilka słów poskutkowały — wybrali prawie jednogłośnie już starszego, około 30 lat, o smętnej myślącej twarzy kowala z Sieradza, którego wybór zatwierdziłem. Tak samo przeprowadziwszy

wybór sierżanta w plutonie siekierników, uważałem wstępną organizację za przysposobioną.

Cofnąwszy się o jakie 500 kroków w głąb lasu i wynalazszy w gęstwinach piętnastoletnie zwarte zagajniki, stanąłem a wezwawszy Maźniewskiego kazałem mu wziąć pierwszą sekcję swego plutonu i lasem zasłonięty dojść i zająć stanowisko o paręset kroków od stanowiska w nocy zajmowanego i obserwować dobrze drogę i ludzi po niej idących, a w razie trafienia na straceńców gromadzić ich na swej placówce. Zamieniając się z nim na uzbrojenie i dając mu 10 rs. powiedziałem, że może mu się uda coś kupić do zjedzenia, gdyż żołądek zaczął się przypominać. Nadto chcąc się dowiedzieć, co się dzieje i dać znać o mym stanowisku, wybrałem z wejrzenia po jednym człowieku z Sieradza i Warty, a napisawszy na blankietach ołówkiem posiadanym przez mego galopena do naczelników miast rzeczonych, już nie kazałem, lecz prosiłem, ażeby i sami i innym naczelnikom zakomunikowali, że poprzednio wydane rozkazy są obowiązujące, a przysyłając ludzi uzbrojonych i z możliwą ilością amunicji obciążyli ich prowiantami spożywczymi, jak chleb, kiełbasa, słonina, wódka, tytoń, sól i paru kociołkami czterogarncowymi.

Tak chwilowo uporawszy się z najpilniejszymi kłopotami, po wyprawieniu Maźniewskiego zająłem się pozostałymi, a jakkolwiek



zima nie surowa, ale przy czczych żołądkach przejmująca chłodem, nie wiedząc nadto jak długo zatrzymam się przy tym punkcie, zarządziłem plutonowi siekierników budowę szałasów, dając Lüttichowi stosowną instrukcję, aby korzystając z gęstości zarostu nie ścinać drzew i zakopywać, lecz przyjmując podobiznę przedstawiającego się profilu, na przyciętych do danych wysokości pniach założyć daszek spadzisty—

pokrywając go jak i przepłoty trzech ścian iglastymi gałęziami.

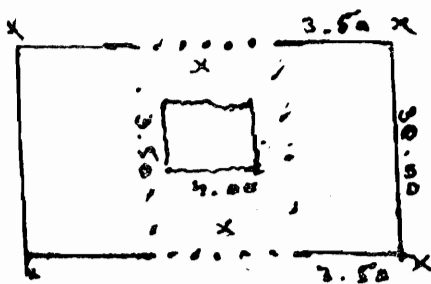
Dawszy robotę plutonowi siekierników, zająłem się szczegółowym przejrzaniem pozostałych mi 18 ludzi z plutonu strzelców. Chciałem się przede wszystkim dowiedzieć, czy mam pluton strzelców, czy też 18 ludzi noszących broń palną. Każden z nich był rutynowanym strzelcem: po szczegółowym bowiem wykręceniu naboju i przestrzeleniu kapiszonów przyglądałem się szczegółowo pojedynczemu nabijaniu broni, a po ukończeniu zajęcia i poleceniu pokrycia

kapiszonów pakułami dla osłonięcia ich od wilgoci, wyraziwszy im me zadowolenie z przeprowadzonej lustracji i zapowiedziawszy, iż pierwszym warunkiem dobrego polskiego żołnierza jest tak na mustrze, jak i w boju ślepe i dokładne wypełnianie komendy oficera i przełożonych, zająłem się szczegółowym ich obejrzeniem. Była to sama młodzież w wieku 21 — 24 lat (trzech tylko dobiegało trzydziestki), wzrostu zaledwie średniego, o zawiędłej i steranej już nieźle cerze, lecz w ruchach swobodnych, wcale gimnastycznych; znać było po iskrzących oczach, iż dusza ich jest w rozbudzeniu i że w sobie zawierają podatny i dodatni materiał.

Wszystkie cechy naszego drobnego przemysłu były reprezentowane: więc najliczniej szewcy, nieodrodni następcy Kilińskiego, którzy dla usprawiedliwienia przysłowia „szewc bez butów“ przybyli do powstania w najgorszych kamaszkach, kilku krawców, którzy zapewne przejści fachowo swymi kunst-sztikami zapomnieli prawie zupełnie o potrzebie butów, a skuzynowani w swych poglądach i ubraniu z szewcami przybyli bardzo letnio przyodziani. Lepiej daleko przedstawiali się reprezentanci twardego rzemiosła, jak 3 kowali, 2 murarzy, 2 cieśli i 3 rzeźników, zaopatrzonych w dostatnie ubrania i buty, najlepiej jednak — piecuchy wiejskie, przyzwyczajone do wygódek i darmo a zatem obficie palącego się drzewa, ci, mówię, to jest 2 kucharzy i strzelec dworski swoim dostatnim wyekwipowaniem zadali nawet szyku swemu dowódcy.

Nadmieniłem im, iż przy pierwszym spotkaniu, nie marnując napróżno ładunków i strzelając prosto w brzuchy, gdzie siedzi śmierdząca dusza moskiewska, będą mogli łatwo uzupełnić braki w swej garderobie. Rada widocznie trafiła im do przekonania, a oznaczenie miejscowości, gdzie dusza moskiewska przebywa, wywołało w nich pewien rodzaj zadowolenia, nie mającego jednakże nic podobnego z dzisiejszą klaką teatralną, bo przypuszczam, iż poza sztabem i jego galopenem nikt ze zgromadzonych teatru nie widział.

Po ukończeniu lustracji udaliśmy się w stronę budujących się szałasów, a widok ich, obok naszkicowany, wprawił nas niemal w zachwyty.



Szałas były prawie wykończone; zbierano resztę drobnej gaci dla ich wymoszczenia, to jest zrobienia dobrego posłania, a przysposobione zastawy z przepłotów dozwalały zamknąć wyjścia i spać spokojnie jak w fortecy.

Te zajęcia zabrały nam czas prawie do 2-ej po południu, a czując po sobie, że i towarzyszom na apetycie nie zbywa, zapytałem, czy coś podobnego do przekąszenia nie posiadają. Ofiarne wydobycie zapasów, przez kilkunastu towarzyszy przyniesionych i oddanych do wspólnego użytku, dało mi poznać, iż koleżeństwo broni zawiązuje się i że nie ma między nami sobkostwa. Przekąsiwszy po odrobinie i skosztowawszy zaledwie wódki, jednym słowem „zabiwszy robaka“, zaczęliśmy się sobie lepiej przyglądać i cokolwiek gawędzić.

Doczekawszy się godziny 4-ej, kazałem galopenowi wziąć drugą sekcję strzelców wraz z sierżantem i pójść z nimi na zmianę wystawionej placówki, tłumacząc zarazem sierżantowi, jak ma postępować i żeby zwracał baczną uwagę na wskazówki, jakich mu może udzielić porucznik Maźniewski, i polecając, aby porucznik wrócił natychmiast z pierwszą sekcją i z wszystkim, co zebrał, do obozu.

Po wyprawieniu drugiej sekcji na placówkę, mając nadzieję, iż mój Maza pokaże zdolności intendenta, a widząc, iż kociołków nie mamy, kazałem przygotować drzewa na ogniska, a przypomniawszy sobie z opisów życia w puszczech amerykańskich o pieczeniu zwierzyny w dołach wypalonych, kazałem przy użyciu paru posiadanych czaganów i toporów wykopać trzy doły po $\frac{1}{2}$ m szerokości, 1 m długości i $\frac{1}{2}$ m głębokości, które przy użyciu rąk do wyrzucania ziemi — były wykonane w pół godziny czasu, i czekałem niecierpliwie powrotu pierwszej placówki.

Z dobrym zmierzchem przybyła gorąco i ogólnie oczekiwana, a na jej widok, a może na widok przyprowadzonych zdobyczy szmer zadowolenia przeszedł zebranych. Było bowiem czemu się ucieszyć na widok dwóch okazałych szkopów i tłustego cielęcica; inne bowiem prowianty były jeszcze zakryte, a przedstawiały się one bardzo imponująco, albowiem: dwugarncowa baryłka napełniona czystą okowitą, 6 dużych bochenków chleba, 4 funty soli, 30 paczek drejkönigu, 40 jaj, mały kociołek, nawet bodaj i szklanka — tylko herbaty nie było.

Trzech rzeźników i dwóch kucharzy wzięło się do roboty z apetytem. Po wytłumaczeniu kucharzom, jak ma się upiec zwierzyna przyprowadzona, i poprowadzeniu czterech sztyldwachów z kapralem i

ustawieniu ich w odległości 100 do 150 kroków od szałasów na czterech punktach w krzyż, dając im szczegółową instrukcję zachowania się, bacznego uważania i jak po paru godzinach mają się zachować przy zmianie forpoczty, wróciłem z kapralem do szałasów pouczając go, jak ma postępować przy zmianie warty co dwie godziny zmieniającej się i przestrzegając, żeby wartownicy nie spali: gdyż na ich bacności zależy bezpieczeństwo całego oddziału pod ich opieką spoczywającego, ku czemu baczna kontrola ze strony kaprała jest konieczną. przez zwiedzanie wart prawie nieustannie, a przynajmniej raz na godzinę.

Zapach piezzonego mięsa drażnił przyjemnie podniebienie, przez gałęzie i mech, którymi pokryte były jamy piekarskie, rozchodziła się woń przyjemna nietrąca spalenizną: całe barany i cielę pomieszczone w jamach czekały z upragnieniem noży kucharskich— dla ułatwienia sobie drogi przy wejściu do naszych zgłodniałych żołądków.

Po jakiejś pół godzinie doły ostrożnie zostały odkryte, przedmioty wydobyte, przez rzeźników i kucharzy poćwiartowane i pokrajane i po równi wszystkim rozdzielone — wraz z kawałkiem chleba, sól bowiem i tytoń rozdane były kapralstwami do wspólnego użytku. Po napiciu się wódki, przysposobionej w kociołku, zabraliśmy się do spożycia daru Bożego, a wydzielony mi kawał cąbra cielęcego z nerką znikł w kilku niemal minutach w chłonałej czeluści.

Czy apetyt był tak dobry, czy sposób przyrządzenia pieczystego zastępował wszystkie niezbędne przyprawy — nie wiem, lecz dym z zapalonych fajek i papierosów wznoszący się ku firmamentowi wskazywał dokładnie o naszej nieskończonej wdzięczności.

Wówczas dopiero przypomniałem sobie o świeżo przybyłych. Dowiedziawszy się od nich, że przybyli z Warty, co sprawdziłem przez obecnych wartczanów, i dowiedziałem się, iż po spokojnie przepędzonej nocy rano, to jest 22 stycznia około 9-ej¹⁾, zrobił się niesłychany ruch w wojsku moskiewskim — trąbiono, wrzeszczano i latano i około południa wymaszerowano na Turek do Kalisza. Domyśliłem się, iż nadeszła depeusza nakazująca koncentrację wojsk i że miasto Warta zostało oswobodzone od załogi moskiewskiej.

Dopilnowawszy drugiej zmiany wart obozowych i czując, iż tej nocy mogą nadejść ludzie z Sieradza i Warty, zdawszy komendę

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

nad obozem Lüttichowi i zabrawszy z sobą Mazę — udaliśmy się do placówki.

Przybywszy do niej i znalazłszy wszystko w przynależnym porządku, zapytałem komenderującego tam sierżanta, czy przez cały dzień co jedli, a na odpowiedź przeczącą, dawszy Mazie pieniądze poleciłem mu wziąć z sobą sierżanta i udać się tam, gdzie rano nabył prowiant, i co się da do zjedzenia kupić zalecając ostrożność z Żydkiem karcmarzem; a ja przez ten czas pozostanę na placówce. Niemal w pół godziny powrócili, przynosząc flaszkę wódki, 30 jaj ugotowanych na twardo, 4 duże pszenne chały, pieprz, sól i 2 sery świeże. Żołnierze tę przekąskę bez ceremonii spałaszowali, mając prawie takie same zadowolone miny, których co prawda z powodu ciemnicy nie widziałem, jakie my mieliśmy po ucztach w obozie.

Noc z 22 na 23 stycznia¹⁾ przeszła na placówce nudno i spokojnie, dopiero nad ranem coś zaszumiało na drodze od Warty: powrócił mój posłaniec z dnia wczorajszego, przyprowadzając z sobą 27 ludzi obciążonych prowiantami i prowadzących żywego wołu z przytroczonymi workami.

Umieściwszy przybyłych z bagażami i wołem w tyle placówki, powróciliśmy do dawnej pozycji nasłuchiwania w stronę Sieradza, a przyjąwszy od posłańca, co i ile ludzi i prowiantów przyprowadził, byłem z rezultatu niemal zadowolony, widziałem bowiem zainteresowanie się sprawą narodową przez drobne mieszczanstwo i ofiarność biedaków o małych środkach.

Szarzeń poczynano, kiedy oddalony turkot wozów kazał nam spojrzeć w stronę Sieradza. Poleciwszy przybyłym wstać i być w cichości przygotowanymi do pochodu, sekcję pod bronią poprowadziłem pod wysuniętą wartę nad drogą, a poleciwszy sierżantowi baczność i w razie wystrzału przybycie z ludźmi na pomoc — udałem się z Mazą drogą leśną, obok gościńca prowadząca, na spotkanie przyjeżdżających.

Z kraju lasu przy poczynającym się świetle widziałem na ośmiu furmankach parokonnych obsadzonych gęsto ludźmi, z kilkoma konnymi obok furmanek jadącymi, jakiś niby w całości oddział, lecz odległość jeszcze nie dozwalała rozpoznać szczegółowo przedmiotów, brak tylko pik u kawalerzystów przypuszczać kazał, iż nasi przybywają. Jakoż po kwadransie oczekiwania jadący oddział zbliżył się do skraju lasu i można już było rozróżnić swoje twarze

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

i ubiory i porachować, iż prócz 7 konnych z przewieszoną przez plecy bronią było na ośmiu furmankach z woźnicami 52 ludzi.

Gdy na moją komendę „stój!“ wtłoczony do lasu oddział zatrzymał się, a odebrawszy i zdawszy hasło i odzew poznaliśmy, żeśmy bracią straceńcami, wysypała się z wozów wiara i chciała sobie pogwarzyć, lecz na moją cichą komendę: „cicho i na wozy siadać jak dawniej“ przy pewnym pomruku wozy spiesźnie zajęto. Prowadzeni przeze mnie, popod zbliżoną do drogi placówkę przejechali, której mimochodem dawszy polecenie zebrania ludzi i wiktuałów i udania się wszystkim za mną do obozu, poprowadziłem ich leśną drogą możliwie jak najdalej dopokąd wozy po niej jadące mogły się pomieścić, a nakazawszy przystanek, kazałem zsiąść z wozów i takowe wyładować.

Wyładowane zapasy przedstawiały znaczną objętość, a skontrolowane w obozie i wniesione do szopy tak nazwanej sztabowej — przedstawiały zawartość, zdolną wystarczyć na wyżywienie 100 ludzi przynajmniej na pięć dni.

Ale myśląc o bezpieczeństwie obozu pomyślałem zarazem o jak najprędszym usunięciu furmanek, co też skuteczniej w ciągu kwadransa i zleciwszy im powrót do miasta w ich własnym interesie nie gromadny, lecz pojedynczo i różnymi traktami, pozorując wyjazd z miasta jakimś zakupnem, a przede wszystkim zalecając im milczenie o nocy dzisiejszej dla ocalenia swej własnej skóry od moskiewskich batogów, powróciłem do towarzyszy.

Rozdzieliwszy między wszystkich ciężar prowiantów i objuczwszy wszystkie konie, ruszyliśmy do obozu, do którego wysłałem przodem Mazę dla oznajmienia o zbliżaniu się oddziału i załatwienia się z wartami. Przyglądałem się fizjonomiom przybyłych, nie różniących się z dawniej przybyłymi — chyba dostatniejszym ubraniem i lepszym uzbrojeniem. Była to w owych czasach, a może i dzisiaj, najlepsza brać, małomieszkańska, rzemieślnicza, umiejąca nie kulturą lecz sercem najlepiej odczuć miłość dla tej ziemi, a może jeszcze więcej nienawiść do Moskala i Niemca.

Po przyjęciu przed obozem i zdaniu raportu i służby przez Lütticha, zaleciłem wszystkie prowianty z wyjątkiem wołu umieścić w moim szałasie, a przeznaczając do czynności prowiantowego oficera mego dotychczasowego galopena i przydzielając mu do pomocy czterech żołnierzy, to jest dwóch rzeźników i dwóch kucharzy, kazałem po rozsegregowaniu zrobić szczegółowy spis takowych, ich wagę lub miarę

przypuszczalną, oraz znaną amunicję oddzielić i zachować w suchym i bezpiecznym miejscu.

Uporawszy się chwilowo z prowiantami, zająłem się ludźmi. Kazawszy się pieszym — osobno strzelcom, osobno siekiernikom — uformować w szeregi, a kawalerzystom osobno, zająłem się kontrolą poszczególną tak ludzi jak i broni najpierw w strzelcach, a przeszedłszy z nimi, jak i wczoraj, egzamin próbny z użycia broni palnej i ilości posiadanej amunicji, którego wypadł dobrze lub z małymi poprawkami, wcieliłem ich w liczbę 27 do już sformowanego 1-go plutonu — porównowo we wszystkie cztery sekcje.

Tak wzmocniony pluton oddając Mazie powróciłem do siekierników, a zrachowawszy ich i przekonawszy się o mickiewiczowskiej liczbie 44-ch, kazałem ich tak samo porównowo rozdzielić po 11-tu między cztery sekcje sformowanego już plutonu.

W zajęciu tym przyglądając się ludziom i ich twarzom, zauważyłem młodego jeszcze, około 30 lat mogącego mieć człowieka, kulturalnie ubranego w palto, długie buty i barankową czapkę, bez żadnej na pozór broni, gdyż schowany w boczną kieszeń palta rewolwer na zewnątrz niczym nie zdradzał uzbrojenia, o inteligentnym oku i ciemnym zaroście; gdy się do niego zbliżyłem i zapytał o nazwisko i zajęcie, chwilowo uważałem, iż zmienił się na twarzy, lecz natychmiast ochłonawszy oświadczył mi, że nazywa się Teofil Chłonowski, był urzędnikiem na poczcie w Sieradzu i jako taki widział mnie przed paru dniami u pocztmistrza w Sieradzu, a wydobywając paczkę pięciorublowych banknotów wręczył mi takową, jako przesyłkę od organizacji m. Sieradza na wydatki oddziału.

Widząc z całego zachowania się rozumnego i uczciwego człowieka, wręczając mu pokwitowanie na świstku papieru skreślone ołówkiem, przed frontem plutonu siekierników już przez Lütticha zorganizowanym i ustawionym w dwa szeregi zamianowałem Chłonowskiego porucznikiem plutonu. Zdając Lüttichowi dalsze wyrobienie i opiekę specjalną nad plutonem siekierników i jego porucznikiem zauważyłem, iż mój niby intendent stoi na boku z papierem w ręku.

Zbliżywszy się do niego odebrałem gotowy spis zapasów do obozu nadeszłych — rozgatunkowanych i ilość oznaczających; z niego dowiedziałem się, iż mamy 8 kociołków 5-cio do 6-cio garncowych i 36 łyżek drewnianych lub blaszanych — i że możemy od biedy gotować obiad. Mając groch, kaszę i przeszło centnar solonej słoniny i chleba kilkadziesiąt dużych bochenków, zarządziłem gotowanie obiadu, przeznaczając po porozumieniu się z kucharzami porcje dla

człowieka: $\frac{1}{2}$ kwarty grochu, $\frac{1}{4}$ kaszy i $\frac{1}{2}$ funta słoniny oraz $\frac{1}{2}$ funta chleba, jako ilości dostatecznej na dzienne przeżywanie człowieka; część słoniny i chleba pozostała z obiadu oraz kieliszek wódki miały zarazem wystarczyć na wieczorny posiłek.

Załatwiwszy się ze sprawą ekonomiczną, zbliżyłem się do ustawionych w szereg kawalerzystów, a wytłumaczywszy im zasadę obliczania się od prawego i to, iż ona służy do różnych formacyj szwadronu, zakomenderowałem: „bacność, numera pierwsze naprzód stępa marsz“, a gdy jeźdźcy zyskali potrójną długość konia, na komendę „stój“ zatrzymałem jeźdźców na miejscu; toż samo zrobiwszy z jeźdźcami o drugim numerze na odległość $1\frac{1}{2}$ konia długości, mogłem przystąpić do swobodnej lustracji. Na komendę: „bacność, z koni zsiąść“ — wykonaną dosyć dokładnie, jak na początkowych kawalerzystów, przystąpiłem do baczego obejrzenia koni i umontowania, a kazawszy pierwszemu zdjąć siodło i obejrzawszy konia dokładnie, kazałem przy sobie konia osiodłać, następnie zdjąć z konia i włożyć na niego trenzlę lub munsztuk, a przeszedłszy po kolei ze wszystkimi podobną próbę, kazałem znowu pojedynczo przed sobą wsiadać na konia i zsiadać, przejeżdżać na nim stępo, kłusem i galopem; w końcu, rozstawionym jak pierwotnie, po wytłumaczeniu im, jak mają wykonać komendę, na komendę „do frontu równaj się — dyrekcja na prawo, stępa marsz“ — szereg na powrót sformowali.

Zauważyłem w ciągu przeglądu, iż jeden z kawalerzystów około 25 lat liczący, blondyn smagły lecz dobrej budowy, wykonywał wszystkie ruchy dokładnie, a zapytany pierwszy, jako prawoskrzydłowy, o nazwisko wymienił je jako Jan Kosmowski, czy coś zbliżonego, jest z Poznańskiego, gdzie służył jako jednorocznik w ułanach, przybył zaś chwilowo do Sieradza w odwiedziny do krewnych, skąd dzisiaj przybył do powstania.

Miałem gotowego porucznika kawalerii; zamianowawszy go przeto przed frontem porucznikiem i komendantem plutonu, dodałem, iż mam nadzieję, iż niedługo skompletuje pluton i ćwicząc go regulaminem pruskim o polskiej komendzie stworzy prawdziwych ułanów polskich. Zaleciwszy mu, żeby zbadał stan broni palnej, gdyż siecznej nie było, i nabicie jej świeże po wykręceniu starych ładunków, powróciłem do obozu.

Obiad gotował się, było południe. Lüttich musztrował cały oddział, przejęty, spocony i zachrypnięty, bo to nie zwykła komenda oficera zrozumiana przez szarżę i żołnierzy i w lot wykonana, lecz komenda dla surowych ludzi, a zatem z objaśnieniem takowej: jak

mają ją wykonać, jak stoi żołnierz, gdzie kapral a gdzie oficer, więc podniesionym głosem wciąż, całymi godzinami — nie dziw, że można było być spoconym i zachrypniętym. Ale ta praca powróciła mu zdrowie, bo czasu na chorobę myśmy nie mieli, powiedzieliśmy sobie: po śmierci odpoczniemy, a teraz naprzód marsz!

Po zjedzeniu obiadu i rozłożeniu wszystkich wiktuałów między żołnierzy plutonu siekierników, a znaczną ilość amunicji dostarczonej przez miasteczka Sieradz i Warta, bo około centnara prochu strzelniczego i 2 centnarów ołowiu z paru tysiącami kapiszonów, umieszczając w workach uszytych ze skór baranich i cielaka i objuczając nimi konie dwóch spieszonych kawalerzystów — gotowałem się do wymarszu z punktu zbornego, jako zanedto blisko położonego moskiewskiej komendy w Sieradzu i któren mógł być po parodniowym pobycie nie bardzo tajoną tajemnicą, gdy odgłos tupotu kopyt końskich i głos wołającej warty „stój“ i żądającej hasła podrażnił nasze uszy. Wyślany porucznik Kosmowski dla zbadania przyczyny powrócił po kilku minutach, przyprowadzając z sobą znajomego mi p. Jabłkowskiego w towarzystwie trzech uzbrojonych kawalerzystów.

Z miną i arogancją skończonego szalały szlacheckiego oświadczył mi, iż przyjechał z ciekawości zobaczyć wojsko polskie, a spotkawszy na drodze leśnej trzech kawalerzystów, śladami przez nas zostawionymi po przemarszu przybył do straży, która go zatrzymała; dziwił się, po co straże w kniei leśnej i że nie widać żadnego wozu. Nie czas był na wytłumaczenie mu tych osobliwości. Oddając przybyłych kawalerzystów pod komendę porucznika plutonu dla ich zbadania i wyegzaminowania, zwróciłem się do owego faceta prosząc go, żeby obozu nie odwiedzał, gdyż obóz tylko do żołnierzy polskich należy; w razie jeżeli w przyszłości będzie chciał coś dobrego dla obozu uczynić, skomunikujemy się z nim na linii wart, prosząc go o możliwą tajemnicę, gdyż tak powołani jak i nie powołani mogliby się o sile i stanowisku obozu dowiedzieć, prosiłem go zarazem o skończenie swej wizyty przepraszając za niegościnność, lecz prawa wojenne różnią się znacznie od przyjętych praw konwenansowych. Pozbywszy się tego szalały szlacheckiego, któren dla zadowolenia swej ciekawości i udzielenia jej swym sąsiadom w kilka dni potem zabity został przez patrolujących kozaków, przypuszczających w uciekającym wśród lasów kawalerzyście „miałieznika“, wydałem rozkaz do wymarszu z obozu. Sformowawszy kolumnę pochodową z półplutonem strzelców w czole i na tyle, w środku z objuczonymi siekiernikami i końmi oraz

intendentem, a w szpicach na froncie i tyłach po czterech kawalerzystów, w zwartej kolumnie, czwórkami, sam z przewodnikiem straceńcem na froncie kolumny stanąłem, a zakazawszy palenia, a tym samym i ognia i wszelkiej głośniejszej rozmowy, pozwalając ją tylko w cichości, — marsz rozpoczęliśmy.

Ponieważ położenie powstańców w początkach było bardzo trudnym tak z powodu sił moskiewskich, jak i nieprzychylniej obojętności szlachty jeszcze w owym czasie nie wyglądającej pomocy Francji, a głównie z przyczyny nieprzyjaznego usposobienia ludności włościańskiej, nurtowanej i podburzanej przez agentów Muchanowa po myśli jego okólnika z początku maja 1861 r., przeto tajnymi i cichymi marszami nocnymi po zakrytych lasami miejscowościach chciałem ukryć choć chwilowo stanowisko oddziału, jego siły składowe i rodzaj uzbrojenia, zahartować oddział do trudów kampanii, zwiększyć go i przynależnie uzbroić, a wyćwiczywszy go i zorganizowawszy dokładnie stanąć z nim do prawdziwej kampanii. Dlatego aż do 29 stycznia 1863 r. w myśl powyższą postępując, codziennie zmieniając stanowiska obozów, dzień przeznaczając na kilkogodzinne mustry i fabrykację gotowych ładunków oraz kilkogodzinny sen, z nocą rozpoczynałem marsz przynajmniej trzymilowy, aby kompletować i ćwiczyć zwiększający się oddział, a siły jego wzrastały mimo tajnych i nocnych marszów, mimo ciągłej zmiany stanowiska i mimo niedopuszczenia nikogo do wnętrza obozu. Przechód tego oddziału po przerwach bezleśnych, jakkolwiek z dala od osad włościańskich, ale zawsze na terenie północnym korzystnie wybranym, oczekiwany przez psy włościańskie przy akompaniamencie dworskich, stworzył w ludzie wiejskim na podstawie tajemniczości rodzaj przesadnej legendy o jego sile i ludziach w nim przebywających. Mówiono o nim, że idzie i idzie jak ćma, jak czarniawa, i mówiąc to — dla szukających go i pragnących go znaleźć ułatwiała zadanie; i tym sposobem nieznaczne kontyngensa proskrybowanych z miasteczka Turka, Uniejowa, Łasku, a nawet Łodzi, a jeszcze gorzej uzbrojonych, zwiększały co prawda jego siłę liczebną, ale uzbrojenie jego jakie takie wymagało rzeczywistych ofiar poświęcenia. Po ciężkich mustrach dziennych i uciążliwym marszu nocnym, stanąwszy w obozie i rozstawiwszy czaty, najczęściej sam porywałem kilku kawalerzystów do najbliższych wiosek sąsiednich przy pomocy obznajomionego przewodnika tak z miejscowością, jak i stosunkami, a znajdując po największej części dwory opuszczone przez lojalnego właściciela,

odnajdywałem przy pomocy miejscowych oficjalistów lepiej usposobionych od swych panów dla sprawy narodowej, a nawet nieraz przy pomocy służby dworskiej, przechowaną pod podłogami spichrzów i łańcusów nieraz wyśmienitą broń myśliwską tak palną jak i sieczną wraz z większą lub mniejszą ilością amunicji, które bezwarunkowo zabierałem wraz z siodłami i terlicami, jakie się znalazły; obciążając nimi przybyłych ze mną kawalerzystów i zrabowawszy, bo tak się nazywało, spiżarnię, spichlerz a nawet nieraz piwnicę, powracałem zwykle do kniei nad rankiem, nieraz wzmocniony o dwóch, trzech i czterech ludzi i parą koni odpowiednich, jak wilk po nocnej udanej wycieczce.

Takimi to nocnymi wycieczkami zwiększałem, uzbrajałem i żywiłem oddział straceńców od czasu spożycia zapasów miejskich wywiezionych z Miedzna. Sposób zresztą zwykły, praktykowany u wszystkich państw europejskich najwięcej cywilizowanych — a wystawiając bony na pobrane rzeczy z ich szacunkiem i mym podpisem, dawałem możliwość zrealizowania ich wartości. Zresztą — takiego sposobu używałem, bo innego nie miałem, nikt bowiem z kochanej braci szlachty, z tego podniosłego i tradycyjnie szlchetnego obywatelstwa wiejskiego nie dał dla oddziału dobrowolnie kawałka suchego chleba i płatka na obwinięcie palca, musiałem więc doraźnie rekwirować.

Ale przepraszam — popełniłem kłamstwo, a tego epitetu nawet tak nazywający się nieprzyjaciele polityczni nie przyklepili mi, określając za to więcej dosadnymi tytułami. Otóż był fakt jeden jedyny prawie podczas szesnastomiesięcznej mej działalności, iż w pierwszej połowie lutego, daty szczegółowo nie pamiętam, leżąc obozem w lasach w okolicach Szczercowa i Bełchatowa, w szałasach bez ognisk, jakkolwiek wichura śnieżna z niezbytnią delikatnością postępowała z nami, zbliżył się do mnie służbowy podoficer straży wewnętrznej i doniósł mi, że z linii czat zewnętrznych doniesiono, iż zatrzymano na nich wdzierającego się do obozu pijanego szlachcica z parokonną bryczką i furmanem.

Czując w tym zdarzeniu, iż może się przydać widzenie tego człowieka, kazałem go do siebie przyprowadzić, a bryczkę z furmanem zostawić pod opieką i nadzorem czat zewnętrznych. Po dobrej pół godzinie przyprowadzono go do szałasu, a słysząc jego bełkot bez związku i czując zapach spirytualii — kazałem go jako niepoczytalnego ułożyć na mchu rozścielonym, pozostawiając jego badanie do dnia i przebudzenia się pijaka. Na dobrym świtaniu, kiedy rozpalono już ogniska i nastawiono kotły, mój gość nocny widocznie przejęty rozchodzącym

się ciepłem najprzód poruszył się, a następnie otwarłszy oczy cokolwiek namarszczył się; obserwowałem gó leżąc koło niego, którego oprzytomniawszy i nie mogąc na razie zrozumieć, w jakim miejscu i jakim sposobem dostał się tutaj, wstał w końcu, aby ruchem odpedzić trapiącą go wizję, zobaczywszy jednak szałas, ogniska i ludzi, wyraził miną i ruchem jakby sobie coś przypominał. Poprosiłem go tedy cicho, żeby się do mnie odwrócił, a wytłumaczę mu, gdzie jest i jakim sposobem przybył. Oprzytomniawszy w tej chwili, z całą swobodą światowego człowieka zwrócił się do mnie, a przedstawiając się jako p. Kaczkowski, właściciel dóbr Bełchatowa, przeproszał za kłopot, jaki mi sprawił swoją osobą; w zamian przepraszając go za sposób mego urządzenia, poprosiłem go siadać obok mnie do gawędy choćby na tym mchu, nie mogąc mu obecnie służyć czymś lepszym do siedzenia. Opowiedział mi, iż wczoraj, po jakimś późniejszym obiedzie u siebie w towarzystwie cokolwiek liczniejszym jak zwykle, mówiono o mnie i o sposobie mego nocnego rekwirowania i po rozmaitych sprzeczkach i dysputach, zostawiwszy u siebie pod opieką brata pozostałe towarzystwo, wsiadł na bryczkę — żeby oddział, o którym powszechnie mówią, odnaleźć. Że wsiadł na bryczkę, to sobie przypomina, lecz jakim sposobem obudził się w szałasie, pragnie się ode mnie dowiedzieć.

Po krótkim wytłumaczeniu mu przyczyn i sposobu dostania się pod szalas na legowisko z mchu usłane, na którym równie smacznie spoczywał jak na edredonach, oświadczył mi, iż pragnie czymś się przyczynić dla oddziału, a na mój wykrzyk „z Bogaś się zjawił“ zostawił mi zaraz 150 rs. i objawił chęć przyczynienia się czym będzie mógł. Po napiciu się z nim kieliszka wódki, przekąszonej kawałkiem wędzonej słoniny, i wyprawieniu z nim Lütticha dla odebrania różnych rzeczy pod osłoną pełnego plutonu kawalerii, zająłem się jak zwykle mustrą żołnierzy, a po pięciogodzinnej nieobecności powitałem wracającego Lütticha obciążonego jedyny raz dobrowolnymi darami szlachcica polskiego dla oddziału pod mą komendą zostającego. Były to dary i znaczne i bardzo użyteczne, a mianowicie: do zostawionych już 150 rs. przysłał drugie 150 rs., 6 koni z umontowaniem, a między nimi moją piękną i zbytkową klaczkę Kaśkę, wierną towarzyszkę trzymiesięcznej zimowej kampanii, skradzioną mi ze stajni przez już wówczas generała Pomarancowa, dalej kilka sztuk dobrych dubeltówek, pałaszy i pistoletów z 10 funtami przynajmniej amunicji, dalej na jakie 20 ludzi dostatniego i ciepłego ubrania z odpowiednią ilością nowych

butów, dużo innych rzeczy dla obozu potrzebnych i naładowany wóz z wiktuałami do jedzenia i picia.

Dar narodowy ze strony p. Kaczkowskiego, jakkolwiek zamożnego, jak się później dowiedziałem, człowieka, sprawdzając przysłowie „zastaw się a postaw się“ pokazywał, iż dla chętnych był sposób skomunikowania się z obozem i uniknięcia tym samym doraźnych rekwizycyj, a człowiek ten, hulaka a nawet opój, dając przykład dobrowolnej ofiarności dla sprawy narodowej, dowiódł, iż nasza sprawa wymaga naprzód serca, a później nie tych szlachecko-kombinowanych okoliczności politycznych, ale samego rozumu, gdyż bez pierwszego czynnika nie stworzy się przypuszczalnie dobrego programu postępowania. Nikt bowiem na serio nie zajmie się sprawą, która go nic nie obchodzi, a pisaniny programów i elukubracyjne gawędy oprócz przelewania pustego w próżne nic więcej nie wydadzą, co najwyżej po przejściowym okresie wywołają u ludzi tę sentencję: „ne zdurysz aptykara“ i t. d.

Ale powróćmy do wypadków poprzednich, o których mówiliśmy. Te pochody nocne, to niemal zamknięcie się szczelne w obozie przez nikogo nie badanym i na terenie osłoniętym, te rozjazdy nocne rekwizycyjne jak wywołały w ludzie wiejskim różne gawędy o przypuszczalnej sile i potędze Polaków, bo tak nas do samego końca nazywano, podając liczbę na tysiące, — tak ze strony dworu szlacheckiego każdy rozjazd nocny, rekwirujący żywność i potrzebne utensylia, ściśle był notowany i po jego odejściu w powiększonej liczbie i formie opisany przysłany został na mocy legalnego rozkazu najbliższej komendzie wojsk moskiewskich do wiadomości.

Szpiegi chłopskie donoszące o pobycie Polaków, za które to wiadomości tak zanadto gorliwie i z pewną niemal przyjemnością wieszano ciemnych i nędznych biedaków, o ileż wyżej jednak stali od tych tak nazwanych uherbowanych „donoszczyków“, którzy nie mając potrzeby ani zarobienia kilku rubli, ani nie mogąc się usprawiedliwić, iż to jakieś nieznanne „Poloki“, donosili prawie, można powiedzieć, z amatorstwa.

Gdyby przynajmniej w każdym powiecie sformował się choć jeden oddział, a było ich wówczas 37 w samej Kongresówce, to wobec paniki, jaka się w pierwszych dniach powstania między Moskwą objawiła, wobec mogących być przerwany i zniszczony wszelkich dróg porozumiewania się, to jest poczt i telegrafów, odosobnione i po miastach powiatowych zamknięte siły moskiewskie nie przed-

stawiały żadnego poważnego niebezpieczeństwa dla lotnych partyzanckich oddziałów; mogły się były one w czasie uzyskanym podćwiczyć, uzbroić i zorganizować, a kierowane odśrodkowo lub dośrodkowo przez człowieka, czy też kilku, inteligentnego i fachowo wykształconego, mogły w razie poruszenia się więcej masowego sił moskiewskich przechodzić w miarę okoliczności z alarmującej partyzantki do akcji stałej i na odwrót.

Ale inaczej się działo. W owym czasie na pięć powiatów województwa kaliskiego jeden tylko egzystował oddział: formujący się pod moją komendą. Alarmujące wieści dochodzące zewsząd do pierwotnie spłoszonej Moskwy, a wykazujące jego pobyt (oddziału) w północnym terenie województwa, oprzytomniły i zniewoliły ją prawie do działania. Generał Bremer, pozostawiając na załogach Kalisza, Wielunia i Sieradza tylko niezbędne siły i zarządzając marsz koncentracyjny w kierunku m. Warty, a wykonawszy przejście zgromadzonych sił z lewego na prawy brzeg Warty po mostach w Sieradzu i Warcie, kolumnami swymi starał się otoczyć Prusinowice, Choszczew i Ralewice, w których to lasach wówczas się znajdowałem.

O tym ruchu moskiewskim nie miałem najmniejszej wiadomości, a jednakże ruch ten zmasował przeszło 2500 ludzi trzech broni na linii Warta-Sieradz. Gdy wracałem z dziennego rekonesansu w sile 10 kawalerzystów z okolicy widniejszej, usłyszałem z daleka od strony Szadku sygnały moskiewskie, w kilka chwil — ciszej grające sygnały od strony Warty. Chwilowo towarzyszący mi niejaki p. Dąbski, właściciel wioski w domu którego przed kwadransiem jeszcze byłem, a którego później w kilka miesięcy spotkałem wraz z jego bratem jako poruczników w brygadzie kawalerii Taczanowskiego, poinformowawszy mnie o topografii najbliższych wiosek, powrócił zaraz do domu celem osobistego przyjęcia spodziewanej inwazji, ja zaś z moimi towarzyszami, starając się jak najprędzej wydostać z terenu odkrytego, wyciągniętym kłusem dobyliśmy się po kwadransie do osłaniającego nas lasu, krajem którego jadąc można było gołym okiem rozpoznać szwendające się rozjazdy kozackie. W pół godziny przybywszy do obozu już po zachodzie słońca, zastałem w nim ruch niezwykły, a podchodzący do mnie młody i delikatnej budowy mężczyzna, wymieniwszy swe nazwisko Gustaw Wasilewski i przedstawivszy się jako komisarz, co było zbyt cennym — gdyż o jego stanowisku wiedziałem, oświadczył mi, że dowiedziawszy się o poruszeniach Moskwy i o mogącym nastąpić starciu przybył do

obożu, a przedstawivszy mi p. Barucha czy Rubacha, właściciela wioski w okolicy, jako w danym razie dobrego przewodnika obznajomionego dokładnie z tą leśną stroną, zapytał się, co myślę robić.

Najprzód go uściskałem jako kolegę genueńczyka, przybyłem bowiem w tydzień po jego wyjeździe do Paryża i zamieszkałem na jego dawnej kwaterze na Via Balbia, a następnie powiedziawszy mu, że wracam z rekonesansu, na którym dowiedziałem się z sygnałówek moskiewskich o kolumnach spieszących od strony Szadku i Warty, rozjazdy których osobiście widziałem, a ponieważ cała moja siła obecnie wynosi ze mną 172 ludzi i nie mam pozycji termopilskiej, przeto uciekam i czekam tylko zupełnego zmroku; a ponieważ ściany południowa i zachodnia a prawdopodobnie i wschodnia przez kozacze rozjazdy są kontrolowane, pójdziemy trzymając się lasów w kierunku najprostszym, środkiem między Uniejów a Poddebice. Tak zadecydowawszy wycofanie się z honorem, w pół godziny marsz rozpoczęliśmy, a ponieważ do nocnych marszów przyzwyczajony był straceńców, przeto i ten przy zwykłych ostrożnościach odbył się w spokoju, a po paru dwugodzinnych odpoczynkach zakładałem obóz pod Świniacami około 6-ej rano, zrobiwszy sześć opętanych mil polskich.

Dowiedziałem się w parę dni później powracając na swój właściwy teren działania, że zgromadzone 29 stycznia 1863 r. siły moskiewskie pod Prusinowicami, natrąbiwszy się co niemiara i namęczywszy sporo ludzi, po szumnej nagonce nawróciły na swe kwatery, a z całej skombinowanej operacji Bremera widziałem tylko chęć pokazania swej działalności i brak prawdziwych wiadomości o sile oddziału, nie koncentrowałyby bowiem na drobny oddział takich sił znacznych, gdyż pojedyncze kolumny lotne daleko lepiej odpowiedziałyby temu celowi.

Trzymając się zawsze prawie ściśle przyjętego zasadniczo postępowania i działając zawsze na terenie północnym, wzmacniałem siły oddziału nieznacznie, ale jednak wzrastając tak pojedynczymi ochotnikami jak i partią straceńców z Łodzi, spotkaną przez jeden z mych konnych rozjazdów, w liczbie 36 ludzi, uzbrojoną poważnie w gwintowe sztucce strzeleckie z odjętymi zamkami i brantkami. Niemało miałem kłopotu i straciłem czasu, zanim moi ślusarze obozowi zdołali odjąć od bezwartościowych pojedynek zamki i brantki i po naprawie ich i oczyszczeniu dopasować takowe do sztucerów.

W zajęciach tych i poruszeniach, a głównie aby wzmocnić siły oddziału i zaopatrzyć w obfitszą żywność, której nam od paru dni brakowało, zająłem 1 lutego 1863 roku Uniejów, a obsadziwszy

w nim zamek własnością donatariusza generała Tolla będący, kompletowałem oddział ochotnikami, bronią i wszelkimi przydać się mogącymi rekwizytami; wyrobiwszy całą pozostałą mi surową amunicję i świeżo znalezione na gotowe ładunki i zaopatrzone w żywność na trzy dni wystarczającą, zająłem się poza ciągle prawie trwającymi mustrami zaprowadzeniem w mieście organizacji narodowej i tak nazwanej straży wewnętrznej, przeważnie z Żydków naszych złożonej i wykrzykujących z fantazją przy spotkaniach z myimi patrolami: „Niech zije Biały Orzeł z Podogoniem“ (jak kto umie, tak Pana Boga chwali). To tylko mogę tu zaznaczyć z całym uznaniem dla Polaków wyznania mojżeszowego, iż przez cały ciąg mej kilkunastomiesięcznej działalności, a i przedtem w paroletnich robotach konspiracyjnych nie zdarzył mi się ani jeden fakt zasługujący swą szpetnością na surową karę (a cóż się działo między wyznawcami katolicyzmu i Polakami), że wiele razy w potrzebie i niebezpieczeństwie ofiarowali mi swą pomoc użyteczną, iż w dostawach rekwizytów, jakie przez ich pośrednictwo otrzymałem, postępowali z możliwie kupiecką lojalnością i akuratnością; mogę z przyjemnością stwierdzić, iż kolegowałem tak w pracy organizacyjnej i szkole wojskowej w Genui i Cuneo jak i w powstaniu z Goldmanem, Groszternem, Hofenblumem, Karlsbadem, Witkowskim, Lewinsonem i wielu innymi, których nazwiska wyszły mi z pamięci, a którzy swym życiem i postępowaniem dowiedli, że Matka Polska wspólną jest Matką; więc nie te Żydki pogardliwie przez nas odrzucane, ale my sami swym głupim katolicko-ultramontańskim postępowaniem kopujemy Syjony i im podobne widziadła, bo oni po wspólnym krwawym obrządku 27 lutego 1861 r. do wyciągniętych przez nas rąk z gorączką niemal przyłgnęli, bo ówczesni ich reprezentanci Majzels i Kramsztyk zawierali z nami z wiarą ugodę na lepszą wspólną przyszłość i w początkach zadatkowali ją dobrze. Biada nam, jeżeli niepomni przeszłości, naszej tolerancji za Piastów i Jagiellonów, trzymać się będziemy skoszlawionych pojęć, a tradycyjnie przechowanych i wszczepionych ogłupiałym mózgom wychowawców jezuickich. Czas największy opamiętać się, aby wrogi zewnętrzne nie cieszyły się z głupoty naszej i zaślepienia. Są oni albo pragną być Polakami, ale wymagają, ażeby dola mieszkańców tej ziemi była wspólną, tak zła jak i lepsza, i żeby przestali być tą czernią, może już dzisiaj nie kopaną bezkarnie z racji udzielonej im opieki prawa, tylko że nie przez nas, ale z przyjemnością niemal przez ogół wyśmiewaną i pogardzaną po dzisiaj.

Ale wróćmy do wypadków. Zawiadomiony o ruchu wojsk moskiewskich od strony Kalisza i Łęczycy, zarekwiirowawszy 25 fornałek czterokonnych w okolicznych dworach wiejskich, wsadziłem na nie swą piechotę i zapasy i wieczorem dobrze już po 10-ej dnia 3 lutego 1863 r. opuściłem Uniejów, a przez Szadek, Zduńską Wolę przybyłem wolnym marszem dla oszczędzenia koni swej kawalerii, flankierującej przy kolumnie, około 10-ej rano dnia 5 lutego do miasta Widawy, zajmąwszy na postój oddziału zasobny i obmurowany klasztor bernardynów czy reformatów, w którego korytarzach pomieściła się wiara pieszka, a na dziedzińcach kawaleria i zatrzymane podwozy. Wypocząłem w nim spokojnie przy obfitym posiłku przeszło 24 godzin, a na wiadomość o świeżo nadchodzących kolumnach ze strony Sieradza i Wielunia, gdyż kolumny kaliska i łeczycka po bezowocnych marszach wróciły zdemoralizowane na swoje kwatery, odprowadziwszy zatrzymane dotąd furmanki aby wracały na Łask i Szadek do domu, z oddziałem wypoczętym opuściłem klasztor w Widawie wieczorem późnym dnia 6 lutego 1863 roku; trzymając się kierunku na Szczerców i Bełchatów, leśnymi i polnymi drogami przybyłem, omijając miasteczko Szczerców, i stanąłem obozem w lasach do majątku Kaszewice należących. Korzystając z egzystującej tam fryszerki i walcowni żelaza, osadziłem już poprzednio posiadane 100 kos na drążkach, i wyrobione 40 grotów do lanc osadziwszy na drzewcach, dokompletowałem po kilku dniach uzbrojenie mego oddziału.

Siły jego w połowie lutego składały się: z kompanii strzelców w liczbie 92 strzelców podzielonej na dwa plutony, z kompanii kosynierów w liczbie 102 ludzi podzielonej na dwa plutony, z 1/2 szwadronu kawalerii w liczbie 52 koni podzielonej także na dwa plutony, z których pierwszy uzbrojony w świeżo zrobione lance liczył z oficerem 37 ludzi i którego pierwszy szereg oprócz lanc był uzbrojony kiepskimi pałaszami, drugi zaś pluton w zawiązku wraz z podoficerem wachmistrzem o sile 15 ludzi, uzbrojony w nieszczęśliwe dubeltówki i pojedynki, pełnił funkcję forpocztową i spełniał rolę flankierów; nadto dodać muszę, iż strzelcy na każdą lufę zapatrzeni byli wówczas w 60 gotowych ładunków w połowie większej nabitych kulami, wreszcie grankulkami — stosownie do potrzeby. Siły przeto oddziału wynosiły razem z oficerami frontowych 250 ludzi, z podintendentem i 4 ludźmi niefrontowymi ogółem 255 ludzi jako tako podćwiczonych i uzbrojonych, przywykłych do pewnej karności i w trzytygodniowych przeważnie nocnych marszach niezłe zahartowanych.

Stojąc w lasach należących do dóbr Jastrzębiec w południowo-zachodniej stronie Szczercowa około 12 czy 13 lutego, odwiedzony zostałem dniem pierwszej w obozie przez Bronisława Ruckiego¹⁾, przybyłego na Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, przyjeżdżającego w towarzystwie p. Kazimierza Biernackiego, owego delegata szlachty do Komitetu Centralnego. Ledwie się to nie zakończyło katastrofą, wjechawszy bowiem na czatę pieszą o nocnej godzinie, na wołanie jej „stój“ — nie stanął, na żądanie hasła nie zdał i drąc się konno w las wywołał ze strony straży strzał, któren na szczęście tylko mu burkę skaleczył; po uciszeniu się zamieszania, jakie strzał na linii czatów wywołał i po przyprowadzeniu straży zbiegającej się do dawnego porządku, zaprezentowany mi przez p. Biernackiego świeżo przybyły Naczelnik Województwa poprosił o sprezentowanie oddziału, co uczyniwszy i zdawszy mu raport szczegółowy o sile i uzbrojeniu oddziału oraz o czatach zewnętrznych pieszych i konnych, dałem mu hasło i odzew na ten dzień obowiązujące i czekałem rozkazu. Podziękowawszy mi za raport i wcale marsowy wygląd żołnierzy, lepiej się przedstawiających w blasku ognisk obozowych przed szałasami się palących, i wyraziwszy mi pewien rodzaj uznania za opiekę nad żołnierzami przez budowę szałasów, prosił mnie o wprowadzenie żołnierzy w stan spokoju, co też uczyniwszy, wydając stosowne rozkazy, zaprosiłem przybyłych do tak nazwanego „sztabowego szałasu“.

Poczęstowawszy zdrożonych trzymilową jazdą konną — wódką i jakąś obozową mięsną zakąską, gdyż chleb czasami był tylko przez nas widziany, i poprosiwszy ich siadać na nagromadzonym mchu i wrzosie, opowiedziałem o moich czynnościach w okresie trzech-tygodniowym i o wszystkich dodatnich i ujemnych stronach naszego społeczeństwa i zapytałem wreszcie Ruckiego, dlaczego w innych powiatach tego województwa nie formują się oddziały na mój sposób, które by z większą łatwością formację mogły przeprowadzać bez ściągania masowego działania sił moskiewskich.

Parogodzinna gawęda zaledwie miała ten skutek, iż wyszło z jego ust przyrzeczenie, iż wszelkimi siłami będzie się starał wspierać mnie, lecz już za nadto umiałem wierzyć obiecankom, a z poglądów przez niego wypowiedzianych spostrzegłem kapitana huzarów moskiewskich wierzącego tylko w masowe działanie armii, czemu i ja nie przeczyłem, tylko że ja chciałem do niej dojść przez partyzantkę

¹⁾ Bronisław Rudzki, przyp. wyd.

stracenców, do czego wszystkie okoliczności zmuszały, on zaś marzył o wielkiej armii, ku czemu, jak się później okazało, skierował wszystkie swe zdolności organizacyjne; położone przez niego podstawy i nagromadzone materiały w ręku zdolnego organizatora, chociaż nędznego bo płochliwego oficera, jakim był podpułkownik Pini, pozwoliły stworzyć w ciągu prawie sześciu tygodni i stanąć Taczanowskiemu na czele ośmioszwadronowej brygady o sile 1200 koni.

Podnoszę osobistość Bronisława Ruckiego i jego zdolności organizacyjne, gdyż może już nie będę mieć sposobności uwidocznic tego człowieka, ginącego z własnej ręki zaledwie w miesiąc później, to jest w połowie marca 1863 r. w domu właściciela wiejskiego p. Neugebauera wpośród zgromadzonych kilku członków organizacji województwa, przybyłych na sesję nadzwyczajną. Zdradzony przez nędznika nazwiskiem Bogatko (ożenionego z córką p. Łaszczyńskiego, ówczesnego gubernatora cywilnego gubernii warszawskiej), któren należąc do organizacji jako dawny polityczny zesłaniec i żołnierz kaukaski wiedział o czasie i miejscu zjazdu, sam nań nie przyjechał, lecz donosząc o nim generałowi Bremer, spowodował wysłanie kapitana żandarmerii Bergmana w asystencji sotni kozaków, któren otoczywszy zniemacka dwór i aresztując zgromadzonych, zbliżał się do Ruckiego z chęcią zapewne prawienia madrygałów urzędowych, przez oficerów żandarmerii w takich zdarzeniach zwykle używanych, do czego nie dopuszczając Rucki wystrzałem pozbawiając się życia, gdyż nic go już nie mogło uratować, dał możność zgromadzonym wyłgania się z tej biedy. Po kilkumiesięcznym bowiem przetrzymaniu aresztowanych w więzieniu cywilnym w „hotelu Peszkego“ — aresztowani po użyciu środków, przemawiających tak dobrze do sumienia moskiewskiego, zostali uwolnieni i powrócili do swych domów spokojni i zadowoleni, choćby już i z tego względu, że już powstanie wówczas zamierało i że im, otoczonym aureolą męczeństwa, nikt spokojnego życia nie zamąci.

Zginął zatem jeden i to nie osiadły, tylko jakiś przybłąda, ale ten przybłąda, gdyby się nie zastrzelił i gdyby doczekał chwili czynnego działania, może byłby wiódł nie tylko na oko piękną i kompletną brygadę o jednolitej i nawet dobranej szwadronami maści koni i o umundurowaniu i uzbrojeniu przypominającym dawną armię polską sprzed 1831 r. — nie tak, jak Taczanowski kłusem i galopem do ucieczki, ale z komendą „naprzód, marsz marsz“ może by chociaż w części utrzymał sławę waleczności kawalerii polskiej, ohydnie w 1863 roku zatraconej.

A może by do śmierci Ruckiego nie doszło i do aresztowania organizacji województwa, zdarzył się bowiem przypadek następujący. Przechodząc z oddziałem zredukowanym po kilku ogniach do 150 ludzi spotkałem znajomego mi szlachcica jadącego w przeciwnym kierunku bryczką; po przywitaniu zapytałem go, dokąd jedzie, a odpowiedziawszy mi, iż na zjazd wojewódzki, oświadczył zarazem, że po drodze musi jeszcze zboczyć dla załatwienia swych interesów. Dowiedziawszy się o zjeździe a mając konieczną potrzebę widzenia się z Ruckim, prosiłem owego obywatela z Sieradzkiego, który w tym powiecie jakieś funkcje organizacyjne spełniał, o powiedzenie mi, gdzie zebranie ma się odbyć; na odpowiedź odmowną z powodu danego słowa na tajemnicę, po nadaremnych przedstawianiu, iż tajemnica nie może się stosować do mnie, nie mogąc z tego skołczącego mózgu nic wydobyć — pożegnałem go i udałem się z oddziałem w dalszą drogę.

A jednakże czyste przekleństwo — mieć do czynienia z ludźmi głupimi i przejętymi nierozsądnie ważnością swych obowiązków! Gdyby mi był ten dureń z Sieradzkiego, którego nazwiska bodaj na K. zaczynającego się zapomniałem, powiedział, jak się po wypadku dowiedziałem, nazwisko miejscowości, to znajdując się zaledwie w milowej odległości byłbym z oddziałem przybył dobrze jeszcze przed katastrofą, a wówczas misja kapitana Bergmana mogła się inaczej skończyć. Stało się — i ów pan z Sieradzkiego, jeżeli umiał odczuwać, mógł sobie nieraz powiedzieć, że tajemnice nie do wszystkich się stosują.

Ale wróćmy do przerwanej opowiadania. Po wyjeździe Ruckiego z towarzyszącym mu p. Kazimierzem Biernackim i po nadejściu dnia zajmowałem się jak zwykle swymi obozowymi obowiązkami, kiedy około południa, gdy dogotujący się w kotłach krupnik z wołowiną nęcił swym zapachem, kawalerzysta z czat zewnętrznych doniósł mi, iż ktoś zatrzymał się przy czatach, prosząc o wpuszczenie go do obozu.

Wysłany porucznik Kosmowski po półgodzinnej nieobecności powrócił, a za nim parokonna bryczka wioząca Gustawa Wasilewskiego.

Uściskawszy się i zjadłszy ów pachnący krupnik, Wasilewski zaproponował mi wspólną jazdę na jakiś zjazd obywatelski celem pomagania mu w mogących wywiązać się rozprawach, a ponieważ prawie pewny byłem spokoju wojsk moskiewskich, zdawszy komendę oddziału Lüttichowi i zaleciwszy mu, iżby w razie ruchów moskiewskich, biorąc kierunek na Lutomiersk, przerzynał się lasami między Szczercowem, Widawą, Łaskiem i Szadkiem, wyjechaliśmy przed wieczorem 12 lutego 1863 r. z obozu.

Monotonna jazda przy zapadającym zmroku nie przedstawiała nic ciekawego, a usposobienia nasze tak były jakoś zmęczone, iż milcząco prawie przebyliśmy trzy mile drogi i zajechawszy przed dwór w Siedlcach, zaproszeni zostaliśmy przez gospodarza do herbaty; wypiwszy ją wraz z niezbędną przekąską, po godzinnym niemal pobycie wyjechaliśmy świeżą bryczką w dalszą drogę, a posuwając się z wolna po drodze zwykłej z powodu panujących roztopów wjeżdżaliśmy na szosę przez Łask, Zduńską Wolę do Sieradza, gdy popchnięty dyszlem naszej bryczki, kląc i wrzeszcząc przypadł do nas Moskal i zaledwie zdołałem szepnąć do Wasilewskiego: „Myśl o sobie!“ — gdyśmy byli otoczeni gromadą piechoty moskiewskiej.

Jakiś podoficer prowadzący „zwod“ tylnej straży zażądał paszportów, a zobaczywszy na nich przy oświetlonych zapałkach taką masę pieczęci, a głównie dużych jenerał-gubernatora warszawskiego, uznał nas za lojalnych obywateli. Poprosiwszy o papierosy i otrzymawszy ich kilkanaście, kazał się żołnierzom cofnąć od bryczki i jechać swobodnie. Przejechawszy szosę w poprzek, wjechaliśmy na krzyżującą się naszą dalszą drogę, a ujechawszy w cichości paręset kroków przyznaliśmy słuszność przysłowiu „kto ma wisieć nie utonie“ i drugiemu „lepszy łut szczęścia niż funt rozumu“ — i kontenci ze swobody, już bez żadnego spotkania dobiliśmy około 1-ej po północy do wioski, będącej własnością niejakiego p. Wieruskiego pod Szadkiem. Przenocowawszy tam i zrobiwszy patriotyczną facjendę, gdyż zostawiłem mu moje jakieś psie futro o formie tołuba, a w zamian dostałem palto długie syberynowe rozcięte z tyłu, a zatem przydatne i do jazdy konnej, podbite krymskimi barankami, — wyjechaliśmy po dobrym mięsnym śniadaniu w dalszą drogę. Zdaje mi się, że 13 lutego 1863 r. i jadąc ciągle błotnistą jak podczas roztopów drogą na Ozorków, skręciliśmy już z niej na lewo w nocy i przybyliśmy do Psar.

W Psarach znaleźliśmy świeżo formujący się oddziałek pod komendą Drohomireckiego w liczbie około 20 młodzieży, przeważnie z uniwersytetów i szkół zagranicznych przybyłej, a częściowo uzbrojonej przez jeszcze żyjącego wówczas patriarchę żołnierza polskiego, generała Szembeka, w dubeltówki o kalibrze 12 milim. i w oddzialeku tym znaleźliśmy dzisiejszego profesora uniwersytetu lwowskiego dra Stanisława Szachowskiego, uzbrojonego w dubeltówkę oraz długie buty i burkę, gdyż wyglądająca spod niej torba bardzo pękato wyłożona na pierwszy rzut oka podejrzenie budziła, iżby samą amunicją wypchaną była. Rodził on już i wówczas

w kolegach przypuszczenia, że bibuła mu nie jest wstrętną i że dosyć ciekawie nos swój do niej zapuszcza, i nie omyliłem się w podejrzeniu, później się bowiem dowiedziałem, iż nie największym towarem wypychającym mu torbę była amunicja, gdyż gruby tom „Administracji wojskowej“ Dufoura głównie przyczyniał się do nadania jego torbie wyglądu poważnego. Po przywitaniu się z nim jako z kolegą prac organizacyjnych i szkoły wojskowej w Genui i Cuneo, a zostawiwszy go z Wasilewskim na rozpoczętej gawędzie, podszedłem do Drohomireckiego; zbadawszy jego zamiary co do organizacji oddziału, przedstawiłem mu teren chwilowo bardzo dogodny — Kalisz, Koźminek, Turek, Koło, a mając możność przejrzenia się po mostach w Kole, Uniejowie i Warcie na prawy brzeg Warty może w razie niebezpieczeństwa, ginąć w obszernych lasach mojego terenu północnego, wykazałem mu zanadto bliskie sąsiedztwo Łęczycy i możność bycia każdej chwili zaatakowanym, radziłem mu, żeby opuścił Psary i dopóki nie wzmacni oddziału, żeby się trzymał pod osłoną lasów. Nie usłuchał rady, a szkoda — bo i sam dzielny człowiek i bodaj połowa jego towarzyszy, którzy byli dobrymi kadrami formującego się oddziału a swą inteligencją rokujący być po pewnym wyrobieniu dobrymi oficerami, zginęli marnie bodaj kilkanaście godzin po naszym wyjeździe w towarzystwie Szachowskiego, którego Wasilewski, wyjeżdżając do Warszawy, zrobił swym zastępcą i zostawił mu w zarząd województwo kaliskie. Szachowski, bądź w charakterze komisarza pełnomocnego, bądź organizatora województwa pozostał do połowy listopada 1863 r., a zastąpiony był później po jego wyjeździe do Warszawy komisarzem Skotnickim, zarządzającym tym województwem od początków grudnia 1863 roku z Wrocławia, dokąd wyjechał w towarzystwie tak zowiącego się pułkownika Kopernickiego, oszczędzając tym samym czoło organizacji województwa od niepotrzebnego wypadku.

Żegnałem się z towarzyszami w Szadku, oni bowiem pojechali swą drogą do obowiązków, ja zaś do obozu pod Jastrzębcem, dokąd przybyłem wieczorem 14 lutego 1863 roku, a przyjmując od Lütticha komendę oddziału i raport szczegółowy o czynnościach w czasie mej trzydniowej prawie nieobecności — po parogodzinnym wytchnieniu nakazałem wymarsz w kierunku Konopnicy przez Wolę Więzowską.

Ruch ten, przeciwny mym poglądom co do działania wojskowego, był wynikiem dłuższej gawędy, prowadzonej z Wasilewskim

podczas naszej podróży do Psar. Charakter polityczny naszego ruchu zbrojnego uwidoczniony w manifeście Rządu Narodowego o uwłaszczeniu włościan wskazywał, iż podnosząc stan włościański do praw obywatelskich i częściowo zapewniając mu byt ekonomiczny rachowaliśmy na poruszenie masy ludowej, jako jedyne go czynnika siły narodowej. Potrzeba więc było do tego ludu zbliżyć się, poznać go i odgadnąć jego myśli i dążenia, jednym słowem, potrzeba go było najprzód zobaczyć, a to było w pierwszych tygodniach powstania trudnym.

W poruszeniach moich, jakkolwiek tajnych i przeważnie nocnych, zdarzało się nieraz, że przechodząc dniem przez osady znajdowałem je prawie puste i wyludnione, początkowo nie zwracałem na to uwagi, mając bezpieczeństwem i wzmocnieniem oddziału głowę nabitą, później jednak ta martwota wsi zaczęła mnie zastanawiać; i dlatego, zarządzając marsz do Konopnicy, poleciłem porucznikowi kawalerii, ażeby na parę wiorst drogi przed osadą plutonem ułanów kłusem kazał osadzić osadę po obu stronach, sam zaś z plutonem flankierskim z bronią w ręku wszedł stępą w ulicę osady i w razie koniecznej potrzeby użył broni. Postępując z piechotą w odległości wiorsty drogi za kawalerią, widziałem ułanów obskakujących osadę i flankierów wstępujących do środka. Po chwili padły dwa strzały jeden po drugim i flankierzy wybiegli kłusem, a sformowawszy się o jakie sto kroków od wylotu wsi stanęli. Odczepiony od reszty oddziału flankier parł całą siłą konia do kolumny. Gdy stanął przede mną salutując, oświadczył, iż cała wieś uzbrojona w koły, widły i kosy rzuciła się na nich; porucznik wystrzelił z pistoletów i jednego chłopca powalił, a im kazał się cofnąć.

Gdym wszedł z oddziałem do Konopnicy, wieś była pustą; dopiero w jej połowie, na placu przed kościołem, stanowiącym rodzaj rynku, zebrana była cała gromada, opierając się o mur cmentarza kościelnego. Byli wszyscy, a nawet kobiety i dzieci; naprzeciw zebranych o sto zaledwie kroków zatrzymałem oddział, a kazałem strzelcom wziąć broń na tuj — i po bokach wyloty zamykając kawalerią, sam podszedłem w towarzystwie dwóch kapralstw kosynierskich, a stanąwszy na jakie dziesięć kroków przed gromadą, zażądałem, żeby sołtys wsi przyszedł do mnie. Nikt nie wyszedł z gromady mimo mego powtórnego wezwania. Poleciłem przeto przyjść dwom jeszcze kapralstwom pierwszego plutonu kosynierów, a mając dostateczną ilość ludzi pod ręką, kazałem kobiety, dzieci i wyrostków odseparować od mężczyzn i ich za kawalerię na bok

odprowadzić, a chłopów rozbroić i w dwa szeregi na pięć kroków odstępu ustawić. Po godzinie zaledwie pracy, krzyku i szamotania miałem sto sześćdziesiąt siedem mężczyzn od lat osiemnastu do starczego wieku w szeregach stojących — i wówczas dopiero nie wiedziałem, co z tym fantem robić.

Widziałem opór zorganizowany, widziałem cudzą nie swojską rękę, nie mogłem odnaleźć skrytego sołtysa, który by mi tę zagadkę choćby pod pletniami wyjaśnił, a nie mogłem przecie ogłupiałych ludzi w czambuł bić i rozstrzeliwać; ale także nie mogłem bezkarnie pominąć napadu na wojsko polskie, bo mogłoby to stać się powtórzeniem rzezi galicyjskiej z jej wszystkimi ohydnyymi następstwami. Włóścianie stali jeszcze więcej pochmurni, a ja nie miałem środka rozwiązującego zagadkę.

Czy przedświtem myśli wiedziony, czy fatum jakieś mnie pchnęło, zbliżyłem się do pierwszego szeregu wieśniaczego i wlepiając oczy w te twarze niby ludzkie, a nic poza apatią nie wyrażające, twarz bardzo odmienną, niemal czworogranną, jednym słowem — nieswojską spotkałem. Przystępując do tego niby człowieka z pięścią w kułak zwiniętą, uderzyłem go z całą siłą w szczękę i zapytując go „ty s karkowo polka“, z niezbędnym zakończeniem, otrzymałem odpowiedź „s libawskowo“. Rzecz się zdawała rozjaśniona. Znalazłszy w drugim szeregu niemal w ten sam sposób drugiego urlopnika z pułku muromskiego i kazawszy im ręce na krzyż związać do karabinów, rozpocząłem indagację po wybicciu im naprzód po pięćdziesiąt pletni kozaczych w plecy. Ten sposób indagacji widocznie był przekonującym, gdyż w małe pół godziny przyczyny chowania się ludności i napadu na oddział w Konopnicy były zupełnie wyjaśnione. W obawie drugich pięćdziesięciu pletni, do których się zabierano, wymienili mi naprzód sołtysa z nazwiska, związanymi rękoma go wskazując, a po jego niezbyt dobrowolnym wyjściu z szeregu i przyprowadzeniu go związanego do badanych, rozpocząłem dalszą indagację; zeznali mianowicie, iż służyli w wojsku moskiewskim — jeden w pułku libawskim od lat dwudziestu, drugi w muromskim od lat osiemnastu, że ich bito, mordowano i znieważano, że cztery czy pięć dni po wybuchnięciu „miateżia“ przywołano ich do kancelarii generała, tam im dano „bilety odpusne“, po 25 kopiejek i stare szynele, a ponieważ byli rodem z Konopnicy, kazano im do niej wracać i złożyć bilety zwalniające od służby u sołtysa wsi, któremu kazano powiedzieć, żeby ich słuchał, włóczęgów, miateżników łapał i do komend wojskowych odsyłał i miał pilnie baczyć, aby pany się nie buntowały i „zagoworów“

nie czynili. Prośli się, żeby im nic złego nie robić, oni niewinni, zwierzchność nakazała. I prawdę mówili, oni biedni ludzie, przyzwyczajeni pięściami i pałkami do ślepego posłuszeństwa, tylko rozkaz „naczalstwa“ spełniali, a nie mogąc dosięgnąć ręki — musiałem usuwać ślepe miecze jako sprawie szkodliwe. Wydawszy przeto Maźniewskiemu rozkaz zabrania więźniów i natychmiastowego rozstrzelania ich pod murem cmentarza, przeznaczając do egzekucji po pięciu strzelców na każdego, zwróciłem się do głównego winnego, to jest do sołtysa wsi z zapytaniem, dlaczego tak robił — nie mając od wójta, swego bezpośredniego zwierzchnika, ani od naczelnika powiatu żadnego w tej sprawie rozkazu. Gdy nic mi nie przytoczył na swe uniewinnienie, kazałem go powiesić. Grzmot wystrzałów dał mi znać, że pierwsza egzekucja została wykonana. Zanim wykonana została druga egzekucja, krzyk i płacz nadbiegającej kobiety z trojgiem dzieci małych zmienił me postanowienia, skazałem go na siedemdziesiąt pięć pletni kozackich, a poruczając wykonanie wyroku oficerowi kosynierów, podszedłem do stojących jak na początku i przyglądających się wieśniaków.

Kazawszy im przeczytać uwłaszczający edykt Rządu Narodowego i wytłumaczywszy im jak mogłem najplastyczniej jego znaczenie, kładąc nacisk, że Rząd Narodowy chce ich dobra, a szlachta musi go słuchać, kazałem w swej przytomności wybrać spomiędzy siebie nowego sołtysa, uczciwego i spokojnego człowieka, któren by swą złością i głupotą nie narażał wsi na nieszczęście, a po jego wyborze w dziesięciu minutach wykonanym i podaniu mu stosownej instrukcji wypuściłem wszystkich do domów.

Po zjedzeniu gotującego się obiadu i zarekwirowaniu prowiantów spożywczych we dworze u p. Kozarskiego, około drugiej po południu opuściłem nieszczęsną Konopnicę, zmordowany duchowo faktami w niej zasłzymi, lecz zadowolony wynikiem mych inkwizycji i z silnym postanowieniem oczyszczenia wiosek z wysłańców moskiewskich nawet bez używania formy wyroków wojennych, gdyż każdy żołnierz urlopowany lub wypuszczony z wojska już po wybuchłym powstaniu, a zatem w czasie wojny, musiał być ajentem rządowym prowokacyjnym, a jako taki śmiercią karany, a w dodatku niebezpiecznym, gdyż dla swego sprytu był do tego wybranym, głupich bowiem ciemięgow do takiej misji nie wybierają.

I dlatego też w ciągu dni kilku przerzucając się w szybkich marszach po różnych częściach powiatów sieradzkiego, wieluńskiego i kaliskiego, a nawet więcej odkrytych i wioskami osiadłych, wpadałem

do nich znieca, ludzi zgromadzałem i z księgą ludności sprawdzałem, a każdego po wybuchniętym powstaniu urlopowanego żołnierza kazałem pod płot stawiać i rozstrzeliwać, choćby on był najspokojniejszy człowiek.

Takie rozgony i rozstrzeliwania, a było ich sporo, gdyż w ciągu dni sześciu kazałem rozstrzelać 17 urlopników, zburzyły dosyć spokojne kwaterowanie komend moskiewskich, lecz potrzeba było oczyścić kraj od wrogiej agitacji między włościanstwem i postrachem kary doraźnej zniszczyć lub przynajmniej przygłuszyć rozpoczynający się ferment.

W marszach i postojach, a mianowicie zaraz nazajutrz po wyjściu z Konopnicy, to jest 16 lutego 1863 r., stojąc w lasach do Klonowa poza Złoczewem należących, podczas wizyty w obozie Bronisława Ruckiego, doniesiono mi z ukrytych chat konnych, iż zbliża się ku nam 50 kozaków. Zdawszy komendę nad pozostałym oddziałem Ruckiemu i wzięwszy pół plutonu strzelców, poszedłem w stronę nadciągających kozaków; poleciwszy, żeby spokojnie mierzyli w brzuchy jako cel najpewniejszy i słuchali mojej komendy „pal“ — dali ognia najprzód numera parzyste, a potem nieparzyste, ułożyłem ich w jednej linii o 50 kroków od drogi, po której zbliżali się kozacy, w zagajnikach podlesnych dobrze nas zakrywających.

Gdy kozacy zbliżyli się do nas w kolumnie pochodowej „trójkami od prawego“ do punktu wyznaczonego, na komendę „pal“ strzelcy dali ognia, po którym kozacy w popłochu uciekli, zostawiając na placu tylko czterech zabitych zamiast dwudziestu przynajmniej, co byłoby z pewnością miało miejsce, gdyby komendę daną przynależnie wykonali; lecz stało się przeciwnie: młody żołnierz, zdenerwowany pierwszym spotkaniem, na komendę „pal“ zapomniał o celowaniu w brzuchy i prawie nie mierząc wypalił jednocześnie i z obu lufek, i gdyby nie popłoch i ucieczka kozaków, to nasze trofeum zwycięstwa mogło zamienić się w zupełną klęskę, wystrzelona bowiem broń nie dawała żadnej obrony, a kozacy doskonale umieją zabijać uciekających. Przeklinając i łajac kazałem wystrzeloną broń nabić, zabrać broń i amunicję po zabitych kozakach, gdyż konie uciekły razem z kozakami, i powróciłem natychmiast do wyczekującego obozu, rozmyślając w drodze, co się stało z rozjazdami bocznymi i czyżby ci płochliwi, ale za to tym bardziej ostrożni kozacy mieli o nich zapomnieć, co już byłoby widoczną winą oficera prowadzącego rekonesans.

Powróciwszy do obozu i zdawszy Ruckiemu raport z spotkania, zły i niekontent z wszystkiego, bo widziałem, że żołnierz młody nie

słucha komendy, a tym samym na niego rachować nie można, rozdzieliwszy „szaszki“ i lance między kawalerzystów i uzbroiwszy czterech kosynierów umiejących strzelać w janczarki i ładownice, przy zapadającym zmroku wyruszyłem z obozu, aby biorąc kierunek na Wolę Klonowską, Łubnę i Sędzice do Warty — wejść w mój wybrany leśny teren północny.

Egzekucja bowiem wykonana dnia poprzedniego w Konopnicy i dzisiejsze spotkanie w Klonowie kazały się spodziewać wyęźnienia wszystkich sił moskiewskich, aby znaleźć i zgnieść niespokojny oddział. Nie omijałem już nawet wiosek, lecz uciekałem jak najprędzej z zakazanej mym pobytom okolicy, pragnąc jednym nocnym marszem przejść bezleśną równinę rozciągającą się do Warty.

Około czwartej rano po dwurazowych nieznacznych odpoczynkach przybyłem do Warty, zrobiwszy opętanych 5 mil drogi, a nie zatrzymując się w niej ani na chwilę, zagrzewając żołnierzy do dalszego pochodu, dając im przykład z siebie i oficerów tak samo jak i oni na nogach spacerujących, dociągnąłem ich do lasów prusinowskich. Odnalazszy nasze dawne jeszcze jako tako trzymające się szałaszy, zarządziłem dobrze zasłużony wypoczynek i rozstawiwszy straż pieśze, gdyż o konnych nie można było myśleć z powodu ich zupełnego zmęczenia, i dawszy polecenie gotowania obiadu, sam zmęczony przewróciłem się pod sosną.

Zbudzony zostałem około południa do ugotowanego obiadu, po zjedzeniu którego, dając dalszy wypoczynek i sen żołnierzom zdronionym do godziny 5-ej wieczorem, zwinąłem obóz i małym marszem, odbijając się od za bliskiego Sieradza, dotarłem do Mikołajewic pod Konstantynowem.

I tak tułając się po lasach, raz podchodząc pod Bełchatów, to znów pod Uniejów, noce spędzając na marszach, dnie na trzygodzinnych przynajmniej mustrach, ćwicząc strzelców w celowaniu i strzelaniu bądź pojedynczymi szeregami, bądź podług numerów parzystych i nieparzystych, jak niemniej mustry tyralierskiej, spędzałem czas pracowicie, ale bez tego wewnętrznego zadowolenia, że praca moja przyniesie pożytek sprawie narodowej.

W miesiąc od początku opisanych poprzednio wypadków głusza poza moim oddziałkiem panująca w reszcie województwa kaliskiego, takąż sama martwota panująca w sąsiednich powiatach województwa mazowieckiego, brak wiadomości z reszty kraju lub też czasami przesadne wieści z południowych województw nadchodzące, zdawały się przekonywać, iż ukręcenie bicia z piasku jest niemożliwe, chyba żeby

go oblać tak krwią serdecznie, żeby stworzyła z niego dobry cement, tej krwi więc może potrzeba; postanowiłem więc działać zaczepnie. Chciałem kawalerię wzmocnić przynajmniej do stu koni, chciałem strzelców nauczyć wsiadać na koń za plecy kawalerzysty i zsiadać z niego, chciałem stworzyć oddział lotny i wyćwiczony, z którym by można było urządzać nocne napady na wysunięte czaty i placówki komend moskiewskich dla ich ciągłego i w różnych punktach alarmowania, a wysłanych w pościg bądź kozaków, bądź przysланą inną kawalerię przyjąć z nienacka ogniem zsiadłej z koni i ukrytej piechoty, aby nawróconą swą jazdą do reszty rozbić zmieszanych i spłoszonych kozaków, a zdobycz czy w broni, czy w koniach odwieźć do obozu, w którą by Lüttich zbroił i ćwiczył nowe i większe oddziały.

Myśl ta, jakkolwiek nie nowa, bo już ją nasz jedyny i dzielny wódz Stefan Czarnecki wielokrotnie wprowadzał w życie, tak mi do serca przypadła, iż wyłożywszy ją z wszelką możliwą ścisłością Lüttichowi (co prawda zawsze zgadzającemu się na wszystko) — zamierzałem z dniem jutrzejszym przystąpić do pracy przygotowawczej, gdy rozkaz nadeszły od Ruckiego popsuł mi moje zamiary.

Rozkaz był stanowczy i wyraźny. Miałem się udać z oddziałem w okolice Praszki do miejscowości obok niej leżącej i czekać, a po przybyciu transportować broń tak pieszą jak i kawaleryjską w głąb kraju. Rozkaz był wprost głupi, a tym samym niebezpieczny, po głębszym i krytycznym zbadaniu go przedstawiał niemal pewność nie tylko zniszczenia oddziału, lecz i zatracenia transportowanej broni. Zatrzymując kuriera odpisałem przez niego do Ruckiego przedstawienie, podnosząc całą niewłaściwość rozkazu z powodu, iż ruchy oddziału, nim się dostanie do zachodnio-południowego terenu przechodząc kilka mil drogi w bezleśnej okolicy gęsto pokrytej osadami, nie mogąc być ukrytymi muszą wywołać ze strony komend moskiewskich Kalisza, Wielunia i Sieradza ruch dośrodkowy; że przy party tymi kolumnami do granicy musi albo ulec przewadze sił i być rozbitym, albo być wypartym za granicę pruską; że bezpieczeństwo transportu broni polega w danych wypadkach nie na osłonie zbrojnej, bo tej faktycznie jakby nie było — oddział mój bowiem nie reprezentuje urojonej przez włościan a przyjętej prawie za pewnik przez Moskwę siły na 2000 ludzi, lecz faktycznie 92 strzelców niedokładnie wyrobionych, gdyż chyba żaden oficer nie może serio brać w rachunek kosynierów i kawalerię świeżą bez uzbrojenia i niewyćwiczoną, co najwyżej uważać ich może za przygotowawczą rezerwę dla przyszłej kampanii; transport broni, jeżeli on nadejdzie, powinien się

odbywać drogą kontrabandy, jak wszystkie towary wchodzą przez granicę i są dalej przewożone lub przenoszone, które nie chcą opłacać cła granicznego, ku czemu są najlepszymi wykonawcami nasi bracia wyznania mojżeszowego jako fachowcy, i ku czemu Naczelnik miasta Kalisza, jako ze sprawą sprowadzenia broni obznajomiony, może udzielić odpowiedniej pomocy.

Posłane przeze mnie objaśniające przedstawienie 19 lutego 1863 r. nie odniosło skutku. Rankiem około 8-ej 20 lutego 1863 r. tenże sam kurier przybył i przywiózł mi pisemny rozkaz stanowczy z pieczęcią „Naczelnik sił zbrojnych województwa kaliskiego“, polecający mi natychmiast udać się w okolice Praszki i wypełnić rozkaz z 19 lutego 1863 r.

Rozkaz był wyraźny, w wojsku potrzebne jest ślepe posłuszeństwo, rezonowania nie ma albo tak ciche jak kiwanie palcem w bucie, przeto rozkaz spełniłem. Marsz wykonałem z możliwą tajemnicą i ostrożnością: nie przechodziłem płaszczyzn bezleśnych w powiecie kaliskim, lecz biorąc kierunek na Wrzeszczewice, bokiem Łasku i Widawy przeszedłem Wartę po moście pod Burzeninem i bokiem Złoczewa przez Niemojew przybyłem nad ranem 23 lutego 1863 r. do Czastar między komorami granicznymi Wieruszów i Bolesławiec, gdzie stanąłem w lasach obozem i gdzie miałem się dowiedzieć o nadeszłej czy nadejść mającej broni.

Po trzynocnym ciężkim marszu przy niedostatecznej żywności oddział potrzebował wypoczynku i odżywienia, a tymczasem zapędzony nieszczęsnym rozkazem w sam pas graniczny, mając na oczach snujących się „objezczyków“ spełniających strażę w swym granicznym rejonie, w plecach zaledwie o półtrzeciej mili komendę Wielunia, z prawej strony Kalisz, tuż będąc pod granicą i nie wiedząc, jak długo mam czekać i na co, byłem zgnębiony i przyrównywałem dolę mego zmęczonego i prawie na jatki skazanego oddziału do doli psa wrzuczonego do studni, w której ani wypić wody, ani z niej wyskoczyć nie może. Kłąłem jak opętany wszystkie sztaby i wszystkie polecenia ze zielonego stolika wychodzące, oparte bardzo często nie na rzeczywistych danych, lecz na urojonych „zdawało mi się“. Lecz czas schodził, a jeść się coraz więcej chciało. Wysłałem do dworu dwóch kawalerzystów najprzyzwoiciej po filistersku odzianych, tylko z rewolwerami w kieszeniach, z poleceniem napakowania wozu żywnością i przywiezienia go nie końmi, lecz zaprzężonymi doń dwoma wołami, i dawszy im kartkę, prosiłem zarządcę majątku, aby jeśli co wie o mającej nadejść broni przybył do mnie sam z wiadomością.

Około południa nadjechał wóz z żywnością i z mymi kawalerzystami; kazałem oba woły zabić i jeść gotować. Zdziwiona mina parobka, któremu jego robocze bydłeta tak się nijako zmarniały, dopiero się jakoś poprawiła po wypiciu paru blaszanek przywiezionej wódki, zakąszanej kawałem słoniny.

Kiedyśmy już mrokiem zasiadali do obiadu, nadjechał p. zarządca, a przeprowadzony przez strażę i przeprosiwszy za tak późną wizytę, powiedział mi, iż przed paru godzinami otrzymał zawiadomienie z Praszki, w którym donoszą mu, iż o żadnej przesyłce broni obecnie nie ma ani mowy, że może ona przybyć najprędzej w początkach marca, lecz nic nie ma jeszcze zdecydowanego, czy broń przysłana będzie na przykomorek Praszka, czy też na Bolesławiec lub Wieruszów; pytał mnie o radę, a ja mu w odpowiedzi, iż powinien robić to, co mu jego niezależna ode mnie organizacja poleci. A co do mnie, powiedziawszy mu, że za bliskie sąsiedztwo Wielunia każe mi się nieco oddalić i że w razie ważniejszej wiadomości może mnie znaleźć w Kuźnicy Grabowskiej lub jej okolicach, pożegnałem przybyłego i zwróciłem się do oddziału, zapytując wręcz zgromadzonych jeszcze przy kociołkach żołnierzy, czy czują się wypoczęci i czy mogą na nich rachować, że zrobią cztery mile drogi w nocy o jednym wypoczynku. Na potwierdzającą odpowiedź, że robią, urządziwszy kolumnę pochodową czwórkami i stawiając kosynierów w środku, a na przodzie i tyle po plutonie strzelców, sam o jakie 50 kroków na przodzie z przewodnikiem i półplutonem ułanów, drugą zaś połowę plutonu pozostawiając Lüttichowi dla tylnej straży, ze szpicami i bocznymi strażami z flankierów, — wyruszyłem w pochód zalecając cichość i ostrożność; byliśmy bowiem w pasie granicznym, w kraju przebieganym przez „objezczyków“, znających go dokładnie i wszystkie jego kąty i drożyny, potrzeba więc było spodziewać się w każdej chwili spotkania, — ścieśniłem go przeto i opatrzyłem, ażeby być na wszystko przygotowanym.

Lecz marsz wypadł spokojnie. Trzymając się kierunku: Sokolniki, Ostrycharze, Maszynty¹⁾ i Czajków, omijając zawsze osady, przybyłem nad ranem do Kuźnicy Grabowskiej i umieściłem oddział w zabudowaniach folwarcznych, dając mu od początku powstania pierwszy raz wygodniejszy i pod dachem wypoczynek i obfitszy posiłek, a robiłem to wszystko na rachunek p. hr. Raczyńskiego, w majątku

¹⁾ Nazwa zupełnie zniekształcona, chodzi tu prawdopodobnie o wieś Mielcuchy albo folwark Michałów, przyp. wyd.

którego stałem, a któren dał się słyszeć, iż gdyby wiedział, że który jego nerw jest polskim, kazał by go sobie wypruć.

Dawszy 24 godzin dosyć wygodnego wypoczynku i nakarmiwszy dwukrotnie żołnierza obficie, wyszedłem 25 lutego rankiem około 7-ej z postanowieniem złożenia wstępnej wizyty generałowi Bremer w Opatówku jako poczekalni, gdyż ten pan miał zapowiedzieć po drugim nieudanym marszu koncentracyjnym, że już więcej za Oxińskim nie pójdzie, „jeżeli on chce bić się ze mną, niech przyjdzie do mnie do Kalisza“.

To rycerskie wyzwanie nie byłoby może tak skutecznie oddziało, bo nie czułem w sobie kawalerstwa don Kiszota, a nadto miałem jeszcze w pamięci z Pana Tadeusza pojedynek Hrabiego z Rykowem z figurą Płuta schowanego za kołnierzami jegrów, gdyby nie to moralne przekonanie, że samemu sobie jestem zostawiony i że potrzeba starać się o broń i ludzi, żeby wzmocnić oddział i uczynić go odporniejszym.

Przyszędłszy do Opatówka w południe i wysunąwszy konne strażę w stronę Kalisza i Turku, a resztę oddziału koncentrując w rynku, zająłem część pieniędzy z kasy miejskiej, będących własnością donatariusza Fundukleja, za co się ten porządny człowiek choć Moskal nie gniewał, a zebrawszy co się udało broni, amunicji i żywności oraz dostawszy w prezencie od fabryki Fidlera trzy postawy sukna szaraczkowego na mundury, po nakarmieniu ludzi i koni gotowy byłem prawie do wymarszu, gdy strzały poza miastem od strony Kalisza i wpadająca konno czata zaalarmowała oddział.

Dowiedziawszy się od czaty, że kawaleria pędzi od strony Kalisza, dałem rozkaz kompanii strzelców udania się za mną, a stawiając ich frontem do ulicy od Kalisza idącej na wylocie z rynku i ledwie czas mając powiedzieć im, żeby strzelali celnie i w brzuchy szeregami, gdy w pełnym biegu pędzący oddział „objezczyków“ wybiegł z zakrętu ulicy i szedł wprost na nas. Zakomenderowałem — „tuj, cel, pierwszy szereg pał“, lecz czy huk kopyt pędzącego oddziału zagłuszył mą komendę, czyli też, co prawdopodobniej, gorączka młodego i niewycwiczonego żołnierza porwała go jak pod Klonowem, dosyć że cała prawie kompania, zajmująca frontem szerokość ulicy, dała równocześnie ognia obu szeregami, a mierząc znowu w głowy i górując zwałiła z koni zaledwie czterech „objezczyków“.

I znowu powtórzyło się u Moskali to, co się stało pod Klonowem: zamiast korzystać z pełnego rozpędu koni i wpaść z odległości

zaledwie 50 kroków na bezbronną piechotę i stratować ją, — wstrzymując rozpędzone konie, z odległości zaledwie trzydziestu kroków zawrócili, a pokazując plecy zniknęli nam jak burza sprzed oczu.

Zanim zdołałem usunąć pomieszaną bezładnie piechotę na boki ulicy i zarządzić pościg kawalerii za uciekającymi, upłynęło kilka minut, wystarczających jednak dla uciekających od skutków pościgu. Wrócił pościg bezskuteczny, a ja zamiast obfitego łupu zdobyłem cztery karabiny z ładownicami i cztery pałasze, konie bowiem nawet po zabitych złączyły się z uciekającymi kolegami.

Uzbroiwszy czterema karabinami ludzi 1-go plutonu i wzmacniając go czterema kosynierami zamienionymi w strzelców, a cztery pałasze rozdając pierwszemu plutonowi kawalerii, nakazałem wymarsz — lecz gdzie? Nie było wyboru, rozkaz był wyraźny, trzeba było pilnować granicy i niby spodziewanej broni. Bo gdyby nie ten rozkaz — zadanie było do wykonania: marsz na Koźminek, Strzałków, Dobrą do Uniejowa — wyprowadzał mnie z zatrasku i wprowadzał w obszerny leśny teren północny, nie dopuszczając dośrodkowego działania kolumn moskiewskich.

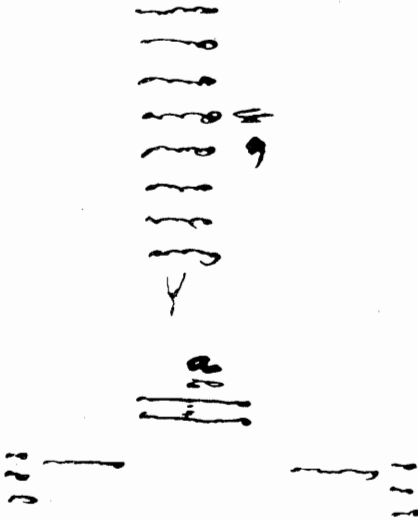
Lecz rozkaz był wyraźny, powróciłem przeto na dawne stanowisko, to jest do Kuźnicy Grabowskiej, mając pewność, iż jestem tak przez kozaków jak i „objezczyków“ podczas marszu tropiony i że bitwa stanowcza jest nieunikniona. Dlatego jednym marszem przybywszy około północy do Kuźnicy Grabowskiej, strudzonemu siedmiomilowym marszem żołnierzowi dając trzygodzinny zaledwie wypoczynek, kazałem jedzenie gotować, aby nakarmionego żołnierza mieć gotowego do wszystkiego.

Po 5-ej rankiem 26 lutego 1863 r. gotowy byłem do wymarszu i kazałem się kolumnie pochodowej formować, gdy strzały czat od strony Sieradza stojących zawiadomiły mnie o zbliżającej się Moskwie.

Zarządziwszy zebranie czat i oddając Lüttichowi sformowaną sekcjami od prawego kolumnę z kosynierów, osłoniętą z przodu i tyłu po połowie 2-im plutonem strzelców, w pośrodku z dwoma wozami wiozącymi owe trzy postawy sukna oraz zapasy i rekwizyta obozowe, kazałem mu maszerować do Klonowa, a obsadziwszy pierwszym plutonem strzelców kuźnice i młyn przy drodze leżące i osłaniając tym sposobem marsz kolumny, wstrzymałem zarazem napór dwóch sotni kozaków i dozwoliłem oddalić się kolumnie na jakie 600 kroków.

Wysuwające się z lasu kolumny moskiewskiej piechoty powiedziały mi, że nadszedł czas do cofania się, żeby nie być odciętym od swojej

kolumny. Uformowawszy przeto mą kolumnę, a mianowicie jak szkic *a* wskazuje: środek — pluton strzelców w dwa szeregi, pierwszy o broni daleko strzelającej, drugi uzbrojony w dubeltówki, mając po skrzydłach po pół plutonu ułanów w jeden szereg uformowanych, osłoniętych kolumnami flankierów, — rozpocząłem odwrót. Dając rozkazy porucznikom kawalerii Kosmowskiemu v. Krosnowskiemu i Skrzyńskiemu



do sformowania swego frontu na jednej linii w tyle piechoty na 50 kroków, zaleciłem im, aby na każde machnięcie przeze mnie chustką białą wprowadzali swą kawalerię w atak na flanki kolumny moskiewskiej, na każdy zaś świst mej świstawki zarządzali odwrót spokojnie, powracając zawsze przy każdym odwrocie do pierwotnej odległości w tyle piechoty, przy ustępowaniu

używając zwykłej komendy „trzema na prawo w tył zajdź, marsz“, a przy formacji frontu „trzema na lewo do frontu zachodź“.

Tym szykiem stając do odporu i tym szykiem spokojnie ustępując, odparłem na przestrzeni dwóch przeszło wiorst gołej równiny, oddzielającej osadę Kuźnicę Grabowską od lasu, trzy ataki kozactwa, sformowanego prawdopodobnie „zwodami“, lecz w chwili zbliżania się pod dosyć celnym ogniem przedstawiającego jedną nieregularną pędzącą i wyjącą kupę, — bez żadnej straty z naszej strony, w dwóch pierwszych atakach nie dopuszczając nawet do strzałów drugiego szeregu piechoty, a dając tylko podwójne salwowe strzały pierwszym szeregiem na dystans 400 — 200 kroków, po drugiej bowiem salwie widok poruszającej się naszej kawalerii mogącej uderzyć w flanki, zawracał w pędzie wyjące kozactwo, a nam dawał możność cofnięcia się o jakie 300 kroków.

Przy trzecim dopiero ataku wyjące kozactwo, mając już oparcie w nadbiegającej piechocie, uderzyło śmieiej i nie wstrzymane drugą salwą pierwszego szeregu — pędem dobiegło na odległość 50 kroków, a przyjęte śmiertelnym ogniem dubeltówek drugiego szeregu i mając zaledwie o 30 kroków na flanki uderzających ułanów zawróciło, pozostawiając kilkunastu zabitych i rannych na placu.

Resztę przestrzeni spokojnie przebyłem i zajmwszy kraj lasu przysposobiałem się na przyjęcie nadciągającej piechoty moskiewskiej, a biorąc do siebie 2-gi pluton strzelców i oddając Lüttichowi kawalerię, z wyjątkiem dziesięciu flankierów zatrzymanych dla rozjazdów, poleciłem mu cofać się w wyznaczonym poprzednio kierunku; dla ułatwienia poruszeń w gęstwinach leśnych kazałem mu zabrać z wozów amunicję i żywność i rozdzielić je między kosynierów, wozy zaś z dużymi kotłami i trzema postawami sukna oraz mniej potrzebnymi rupieciami gdzieś w bagnach zatopić. Zwróciwszy się do moich strzelców, podziękowałem pierwszemu plutonowi za ranne dobre popisanie się, a zapewniwszy, że to tylko była ranna przygrywka i że dopiero teraz rozpocznie się prawdziwa robota, rozstawiłem ich w dosyć gęsty łańcuch tyralierski trójkami, w każdej o jednej broni dalekonośnej i dwóch dubeltówkach, i zostawiając w tyle poza skrzydłami po 15-tu strzelców jako rezerwy, a w tyle środka dziesięciu flankierów, — zaleciłem, ażeby dopiero po dwukrotnym świcie mej gwizdawki rozpoczynali strzelcy w dubeltówki uzbrojeni swój celny w brzuchy mierzony ogień.

A tymczasem już od kilku minut trwała gęsta strzelanina tyralierów moskiewskich, którzy z odległości jakich 800 kroków rozpoczęli ogień, wspierani bliższym znacznie flankowym janczarek kozackich; zdawało się, że ta strzelanina nic nie szkodząca poprawia tylko humor strzelcom, gdy niedaleki głos wrzasnął „uciekajmy“; chwilowy popłoch — więcej zdziwienia niż panikę wyrażający, uspokojony natychmiastowym wystrzałem.

Trup wołającego „uciekajmy“ uspokoił i przyprowadził wszystko do porządku. Człowiekiem, który tak przytomnie działał, był młodzian chłopiec, piętnastoletnie dziecko, nazwiskiem Kotnowski; przed kilkoma dniami, przechodząc i zatrzymując się w wiosce jego rodziców, gorącego chłopca wyrrywającego się do powstania ojciec jego, a głównie ładne i młodzianki jego siostry, jak nasze niemal wszystkie Polki gorące patriotki, wtoczyły mi w szeregi prosząc o zaopiekowanie się. Czyniłem to z chęcią nad chwackim i ładnym chłopakiem, niedługo to jednak trwało, wysłany bowiem przeze mnie w kilka dni po rozprawie pod Kuźnicą Grabowską na zwiady, został ujęty przez włościan i zaprowadzony do Moskali, którzy bawiąc się nim przetrzymali go u siebie przez całe powstanie.

Ale wracajmy do rozprawy kuźnickiej. Linia tyralierska moskiewska, wspierana o jakie 300 kroków w tyle kolumnami piechoty, zbliżyła się do nas na jakie 400; pojedynczy świst gwizdawki oznajmił,

że strzelcy w dalekonośną broń uzbrojeni mają podług danej im poprzednio instrukcji dowolnie strzelać. Rozpoczęła się wymiana ołowiu: biedni, za małe dawki byliśmy sowicie ale bezskutecznie obsypywani. Strzelanina już trwała z pół godziny bez żadnego widocznego postępu. To mnie zastanowiło, kazałem pięciu flankierom wyjechać na kraj lasu od strony zachodniej zobaczyć, co się tam dzieje i donieść mi natychmiast. W pół godziny powrócili pędem donosząc mi, iż jakaś duża kolumna piechoty zbliża się do lasu; nie było co czekać — chciano mnie otoczyć. Na trzykrotny świst mej gwizdawki linia tyralierska cofnęła się pospiesznym krokiem, a po półgodzinnym marszu ciągle zwartym lasem, przeszedłszy łąkę dosyć bagnistą, na paręset kroków szeroką i długością swą las przecinającą, zająłem i rozstawiłem linię tyralierską jak poprzednio, tylko ją więcej ścieśniając i wzmacniając rezerwami strzelców, ściągnąłem kosynierów, a korzystając z falowatości terenu umieściłem ich w dwóch kolumnach atakowych poza strzelcami na linii *b*, poprzednio umieściwszy tyralierów na linii *a* zasłoniętych falowa-

tością tak gruntu jak i starodrzewem, kawalerię zaś pomieściłem z boku, w tyle kosynierów, przy prawej kolumnie — ułanów, przy lewej — flankierów.

Zaledwie rozłożyłem uszykowany w ten sposób oddział i wydałem oficerom stosowne instrukcje, gdy wysypujący się z przeciwnego kraju lasu na łączkę łańcuch tyralierów moskiewskich wywołał z mej strony świst gwizdawki jednorazowy, w odpowiedzi którego dały się słyszeć pojedyncze wystrzały przez mych strzelców, co jednakże nie powstrzymało dalszego posuwania się tyralierów moskiewskich; dopiero widząc ich na odległość 100 kroków i wydawszy dwurazowy świst gwizdawką, celny ogień mych strzelców uzbrojonych w dubeltówki zatrzymał ich, a następnie zepchnął z łączki pod osłonę lasu. Po kilkuminutowej przerwie ognia, której Moskwa użyła na sformowanie odpowiedniego frontu, widząc z poprzedniego starcia, że mamy tylko same dubeltówki, a zatem broń niedalekonośną i w ich odległości prawie nieszkodliwą, — utworzyli front rozwinięty z czterech kompanij piechoty w jednej linii tuż na kraju lasu, ale jeszcze pod jego osłoną. Na sygnał wydany rozpoczęli nas osypywać piekielnym rotowym ogniem; gdyby nie naturalna osłona z gruntu i lasu, zasłaniająca naszego na ziemi leżącego strzelca, połowa strzelców mogłaby nie wstać z ziemi, gdyż strzały piechoty moskiewskiej, starej i wyćwiczonej, a nade

wszystko strzelającej jak do tarczy, gdyż stała bezpiecznie poza linią naszych strzałów, prowadzone były tak prawidłowo, że wyżej pasa nie sięgały i zdawały mówić, że i polska dusza siedzi w brzuchu.

Po półgodzinnym piekielnym ogniu, który miał nas przetrzebić i zdemoralizować, nastąpił atak — lecz zamiast w kolumnach atakowych osłoniętych co najwyżej słabą tyralierką, wykonany został zgęszczoną tyralierką o sile dwóch kompanij piechoty; czekałem na to, a przypuściwszy na 100 kroków kazałem dać ognia numerom nieparzystym a później parzystym — że zachwiali się i wciągnęli do swego lasu, zostawiając za sobą kilkunastu zabitych i rannych.

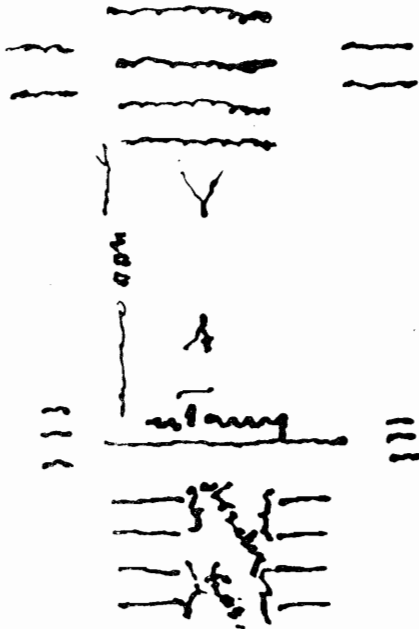
Jeszcze raz próbowali ataku i jeszcze raz jeszcze bliżej podeszli, a zawsze głupstwo robiąc — używając zamiast kolumn frontu rozsypanego, lecz na widok wychylających się kolumn kosynierskich cofnęli się pośpiesznie, pozostawiając na łączce zwiększoną ilość trupów i rannych i okrytą tak gęsto papierem wystrzelonych ładunków, iż mogło się zdawać, iż świeżo śnieg padał. Powrócili do poprzedniej taktyki, a rozwinięty na całej linii gwałtowny rotowy ogień, pod zakryciem którego sformowałszy kolumny — chcieli dalszym obejściem naszego lewego skrzydła i uderzeniem na tyły zbić nas z pozycji; ten ruch udał im się, skoro bowiem moje flankiery doniosły mi o poruszeniu na lewym skrzydle, nakazałem odwrót w tym samym porządku, zasłaniając oddział linią tyralierską, z rezerwami postępującymi naprzód w środku i po skrzydłach.

Nie ścigany, korzystając z osłoniętego terenu falowatością nad łąką, cofałem się pod gradem rotowego ognia, obsypującego nas obficie gałązkami drzew i drzazgami oderwanymi przez kule; usłyszałem sygnały trąbiące zaprzestanie ognia — a po kilku minutach sygnały zbór trąbiące.

Cofnąwszy się ze trzy do czterech wiorst, osłonięty o paręset kroków linią mych flankierów od strony atakującego nieprzyjaciela, nakazałem chwilowy przystanek, a to celem przywrócenia regulaminowego porządku, obliczenia strat poniesionych i posilenia żołnierza choćby jaką przekąską, a znalazłszy wódkę i jakąś słoninę, podczas przekąski zarządziłem apel. Pokazało się, iż straty nasze były następujące: w pierwszym i drugim spotkaniu ośmiu zabitych, jedenastu rannych, podtrzymywanych lub niesionych przez kosynierów, i siedmiu brakujących kosynierów pozostałych przy zatapianiu furgonów i od tego czasu nie widzianych. Uzbroiwszy ośmiu wybranych kosynierów umiejących strzelać w broń pozostałą po zabitych i włączywszy ich do strzelców, nakazałem dalszy odwrót

w stronę Klonowa. Szarżę już zaczynało przy dniu pochmurnym, gdy zbliżając się ku Klonowu na wyjściu z lasów strzały mej szpiczy flankierskiej oznażyły Moskali.

Zatrzymawszy oddział, od zbliżającego się pędem flankiera dowiedziałem się, iż o 500 kroków na wyjściu z lasów stoją na drodze do Klonowa dwie kompanie piechoty moskiewskiej, której kozacy flankierują popod lasem, i że na kraju tego lasu po prawej stronie widać pieszych i konnych. Sprawdziwszy osobiście doniesienie i przekonawszy się o jego prawdziwości, przyszedłem do pewności, iż jestem



osaczony przez Moskwę. Zanim przeto zbliży się z prawego skrzydła kolumna, postanowiłem uderzyć na kolumnę zagradzającą mi drogę, a sformowałem szyk naszkicowany — to jest na froncie ułanów z flankierami po skrzydłach, a za nimi w odległości 100 kroków dwie kolumny piesze plutonowe — chciałem pod osłoną szarżującej kawalerii dopaść do ręcznego boju z piechotą moskiewską. Atak nakażalem, a moja kochana kaliska kawaleria, przechodząc z stępa w kłusa a z kłusa w galop, na jakie 300 kroków przed frontem kolumny moskiewskiej, wierna tradycji historycznej spod Gołędzina, jakby najdokładniej wypełniając komendę, skręcając na prawo i na lewo —

wichrem uderzyła, tylko nie w kolumnę moskiewską, ale w pole, znikając jak widmo wśród zapadającej nocy.

Na ten ruch po całodziennym przyzwyczajeniu się kawalerii nie bardzo liczyłem, ale godząc się z faktem dokonany wstrzymałem marsz mych kolumn pieszych, a na prostą komendę „na lewo, w tył zwrot, marsz“ wprowadziłem nazad kolumny do lasu.

Ruch ten atoli, jakkolwiek za ledwie kwadrans czasu trwający, zbliżył kolumnę kaliską, a także posuwającą się za mym wstecznym ruchem kolumnę wieluńską, które osypując nas dosyć rżęsim ogniem tyralierskim oświecały swe ruchy ogniem z luf wychodzącym i kazały się spodziewać bliskiego ostatniego starcia i rozbicia oddziału.

Czas jakiś, może kilka minut trwający, byłem pozycją oddziału zupełnie zmiażdżony, nawet przybycie moich dwóch poruczników kawalerii z pięciu szeregowcami i zapytanie rzucone mi przez Skrzyńskiego, czy w siedmiu ma dany mu poprzednio rozkaz wypełnić, nie poprawiło mi humoru — gdy naraz sygnał zaledwie dosłyszanej trąbki moskiewskiej, polecający rozsypanie się w łańcuch tyralierski, obudził mnie z chwilowej martwoty umysłowej i przypomniał mi, iż mam w plecach przeciwnika, z którym się prawie cały dzień borykałem.

Zrozumiałem całe położenie i zapragnąłem z niego się wycofać, a łącząc pragnienie z czynem zarządziłem natychmiast marsz w lewo, to jest przez tak zwane błota na lewym skrzydle się rozciągające.

Ruch ten wykonałem już w ciemnicy i pod osłoną lasu, a zatem niepostrzeżenie, i po kwadransie bardzo mozolnego przechodu, po którym nawet za dnia garderoba nasza po pas i łokcie upačkana nie kwalifikowała się do zadowolenia wybrednego gustu dandysów, odpoczywaliśmy na wyższym nieco brzegu lasem okrytym i obserwowaliśmy z niekłamaną przyjemnością ruchy i strzały zbliżających się ku sobie kolumn Moskali, którzy mniemając o znajdujących się w środku „miateżnikach“ nie żalowali im ani strzałów, ani sygnałów¹⁾.

¹⁾ Z powodu bitwy pod Kuźnicą-Grabowską zaznaczyć muszę jedno zdarzenie, przypominające choć w częście wieki zapadłej rycerskości, a rzecz się miała jak następuje. W kilka dni po rozprawie pod Kuźnicą Grabowską otrzymałem od Naczelnika m. Sieradza pismo, w którym tenże donosił mi, że pułkownik Smirnow, dowodzący w tamtym dniu z powodu starszeństwa siłami moskiewskimi, za głośne objawienie swego ruchu zaczepnego sygnałami został od dowództwa pułku odsunięty z poleceniem bezwzględnego udania się w głąb Rosji do dalszego rozporządzenia. Wyznaczając marszrutę na Piotrków odmówiono mu wszelkiej osłaniającej eskorty. Wobec niepewnych dróg, jakie się w czasie powstania znajdują, podróż jego z żoną nie przedstawiała wielkich przyjemności i w kółku swych serdeczniejszych, żaląc się na postępowanie swej władzy, objawił chęć korzystania z pomyslniejszej okoliczności. Za pośrednictwem związkowych oficerów „Ruskaja Ziemia i Wolia“ doszło to utyskiwanie do uszu Naczelnika m. Sieradza, którego mi je komunikując prosił o przychylnie zarządzenie temu. Ponieważ nie byłem wrogiem Moskali, a tylko wrogiem ich systemu rządowego i tłoczącej nas niewoli, ponieważ korzystając z błędu Smirnowa ocaliłem od zagłady oddział i ponieważ Smirnow przestał być figurą urzędową, a został przez tenże system szkanowany, przeto chcąc mu ułatwić podróż wystawiłem na blankiecie posiadanym „Komitet Centralny“ z pieczęcią dowódcy oddziału i moim podpisem rodzaj listu żelaznego, w którym wzywam wszystkie władze tak cywilne jak i wojskowe z ramienia Rządu Narodowego działające, aby pułkownikowi moskiewskiemu Smirnow, jadącemu w celach prywatnych z rodziną, nie tylko spokojnej podróży nie tamowały, lecz wszem w razie potrzeby wszelkiej pomocy mu udzieliły; wsadzwszy list do koperty przesłałem go Naczelnikowi miasta dla doręczenia. Po otrzymaniu tego listu żelaznego tajnym sposobem, miał się podobno odezwać Smirnow, iż otrzymał dyplom na uczciwego człowieka. Czy korzystał z niego podczas podróży — nie wiem, gdyż nic o tym nie słyszałem, z mego zaś postąpienia cokolwiek się podśmiewano — prawda, że przezwannie, po galicjijsku mówiąc, cywile.

Obawiając się za bliskiego miłego sąsiedztwa, którego dzisiaj mieliśmy aż po gardło, a szczególnie tej ciekawości wrodzonej dońcom i ochocie odszukania drogi naszego odwrotu, po której nawet przeciągnęliśmy związane konie naszych siedmiu kawalerzystów, rozejrzawszy się na mapie w naszym położeniu, — na Świątki i Sowizdrzały, Nową Wieś, Strzałki, bokiem Burzenina, przybyłem 27 lutego 1863 r. do lasów w Świerczowie, zaopatrzwszy się w przechodzie przez jakiś odosobniony folwark w wołu i żywność na parę dni wystarczającą.

Odpocząwszy 24 godzin i nakarmiwszy oddział w zmniejszonej sile, gdyż tylko liczący 179 ludzi — po wyjściu rannych i zabitych, przechodząc przez Grabno, spotkałem a raczej dojechany byłem na drodze przez Ruckiego, jadącego bryczką w towarzystwie p. Włodzimierza Trepki, pełniącego jakąś wyższą funkcję w organizacji województwa kaliskiego; gdym mu robił wymówki za ów nieszcześliwy rozkaz, wpychający mój oddział po ową broń wymarzoną nad granicę, i stąd wynikłe skutki bohaterskiej prawie, lecz nieszczególnie zakończonej bitwy ucieczką kawalerii, zdawał się do popełnionego błędu przyznawać, tłumacząc się naporem p. Bogatki, jego podszefa sztabu, za tym projektem gorliwie przemawiającego, któremu jako obznajomionemu z miejscowymi stosunkami musiał sprawę transportu broni powierzyć. Piękny podszef sztabu! Późniejsze jego sprawki pokazały, w jakich rękach spoczywała nieraz praca narodowa. Obecnie chciał zniszczyć związek sił narodowych — i to mu się znacznie udało.

Rucki bowiem, z swym towarzyszem jadący, jak się później dowiedziałem, pokłonić się przygotowującej się już wówczas dyktaturze Langiewicza, nie miał nic lepszego i spieszniejszego do czynienia, jak donieść o miejscu mego pobytu i sile oddziału swemu zastępcy podszefowi sztabu, a wynikiem tego zawiadomiona Moskwa pchnęła dośrodkowo działające kolumny ruchome z Sieradza, Wielunia i Piotrkowa — każda przynajmniej w trójnasób liczniejsza co do ludzi, a co do uzbrojenia przynajmniej jeszcze dwa razy swe siły zwiększająca, i rozpoczęła się kompletna naganka w obławie, rozpoczętej dnia następnego, to jest 1 marca 1863 r.

W marszu bowiem, robionym w dniu 1 marca 1863 r. w kierunku Wygiełzowa lecz jego lewą stroną, przechodząc około 2-iej po południu przez małą osadę Jawor, powitany zostałem z lewego boku atakiem 50 lub 60 kozaków, a po ich odparciu, gdym się posuwał ku grobli, stanowiącej jedyną komunikację dla przejścia błot po obu stronach rozciągających się, widziałem w przejściu przez drogę

z Łasku do Szczercowa wiodącą — zbliżających się na furmankach Moskali, a kozaków poprzednio już odpartych — formujących się przed groblą.

Potrzeba było przejść groblę, na wylocie ją osadzić i przegrodzić się błotami od zbliżającej się piechoty moskiewskiej, już rozpoczynającej ostrzeliwać naszą kolumnę pochodową, i spędzić z zajmowanego stanowiska kozaków; poleciłem wykonać to kawalerii, posyłając im w pomoc biegiem lecący pierwszy pluton strzelców. Czy równoczesny ruch tych mi pozostałych siedmiu kawalerzystów i biegnących bokiem strzelców oddziałął niekorzystnie na wrażliwe nerwy dońców, czy widok z pasją rwących się naprzód siedmiu konnych straceńców — nie wiem, co bardziej oddziało, psychologiem studiującym duszę kozacką nie byłem, dość tylko powiedzieć, że atak się udał, rozkaz był literalnie wykonany, kozacy spłoszeni rozsypali się po polach zostawiając dwóch zabitych na placu, a moi dzielni po małym pościgu uformowali front przed wejściem na groblę. Podziękowawszy im za prawdziwie polską brawurę, którą wykonali sami bez oglądania się na strzelców, poleciłem im jako zwycięzcom przejść pierwszym groblę. Przepuszczając cały oddział przed sobą, zarządziłem osadzenie jej wylotu strzelcami i odsunięcie kosynierów i kawalerzystów poza linię strzałów moskiewskich. Dokonawszy tego — sam na końcu, jako jego tylna straż, postępowałem po grobli już dobrze ostrzeliwanej przez Moskwę, gdy głos niewyraźny duszącego się człowieka „Józiu ratuj“ zwrócił mą uwagę. Gdym spojrzał na prawo, w błotach tuż przy grobli rozciągających się ujrzałem głowę z szyją i prawym ramieniem opierającego się na kępie szuwarów lecz tonącego człowieka; nie było czasu do namyślenia się albo wołania o pomoc, jednym ruchem położyłem się na szkarpie grobli porośniętej krzakami wikliny, a chwyciwszy lewą ręką jej krzak przy pniu, rozłożony krzyżem zdołałem dosięgnąć prawą ręką rzemienia przewieszzonej przez plecy objezyczkowskiej ładownicy i chwyciwszy takowy jednym ruchem wydobyłem z topieli nieszczęśliwego. Skąd się ta siła mięśni, istotnie stalowych, znalazła, tego ani wówczas, ani dzisiaj wytłumaczyć sobie nie zdołałem; widocznie musi być jakieś prawo rządzące, które w chwili naprężenia woli działa stanowczo na mięśnie potrzebne naprężając i wzmacniając dla jej wykonania. Ale nie filozofujmy, gdyż z tej szkoły nie wyszliśmy, a wróćmy do rzeczy. Wyrzucony na szkarpe grobli porucznik 2-go plutonu strzelców nazwiskiem Keller był to mężczyzna dobrego wzrostu i może zanadto okazałej budowy, gdyż biorąc go na plecy z powodu jego zupełnej

bezwładności spowodowanej topielą zauważyłem, iż musi odpowiadać wadze sześciu ćwierci grochu, której próbowałem w młodszym wieku podczas mej praktyki w gospodarstwie wiejskim. Niosłem więc z pewnym natężeniem tego kandydata do towarzystwa tłuszcioszków amerykańskich kląc ten błogi ciężar, ale jednocześnie błogosławiąc tę ochronną tarczę, która mnie zupełnie od pocisków zasłaniała, gdyż ci barbarzyńcy Moskale, nie mogąc ocenić ludzkich popędów, niemal zaprzestali wymiany ołowiu z mymi strzelcami przez groblę, a wybrali za przedmiot swych strzałów ową tarczę ruchomą. Gdym w końcu przeszedł groblę, zrzuciwszy z pleców błogi ciężar i kazawszy go pokrzepić wódką jako jedynym lekarstwem posiadanym i skutecznym, zauważyłem, iż Moskale stwierdziwszy naocznie nasze przysłowie „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi“, zapragnęli na sobie sprawdzić to przysłowie i hurmem wleźli na groblę; ale przekonali się po paru minutach trwającego marszu, że rządzącym w tym dniu Panem Bogiem jest polski i rzymsko-katolicki, ołów bowiem polski trafiał moskiewską tarczę ruchomą, prawda że szerszą i głębszą, ale jednakże tak skutecznie, iż doszedłszy do połowy grobli i zostawiwszy na niej kilkunastu spokojnie leżących, zawrócili i już bez hurra żadnego pośpieszniej tylko usunęli się poza linię naszego ognia.

Doczekawszy przy słabej wymianie strzałów na jednej i tej samej pozycji zapadającej nocy, przedtem odesławszy pięciu rannych do kolumny kosynierskiej celem możliwego ich opatrzenia, opuściłem z strzelcami groblę ochronną, a złączywszy się z kosynierami i siedmiu kawalerzystami, marszem parogodzinnym dobiłem się lasów do Bachorzyna należących.

Posiliwszy oddział zapasami z dni poprzednich i obliczywszy straty dnia dzisiejszego, a które wynosiły 6 zabitych i 7 rannych samych tylko strzelców, gdyż lekko płaćnięty przez buzię kawalerzysta nie opuścił szeregu, uzbroiwszy w broń palną po zabitych i rannych umiejących strzelać kosynierów, włączając ich tym samym do kompanii strzelców, — zredukowany oddział do liczby 166 ludzi ułożyłem na chwilowy odpoczynek.

Położenie oddziału było niezmiernie trudnym wobec niedaleko rozłożonych z dwóch stron ognisk, jakie z kraju lasu zauważyłem; zmęczony marszami i bojami oddział, zredukowany o $\frac{1}{3}$ część i z małym zapasem amunicji, rozpoczynał agonię — ludzie dzielni i z ochotą dolę swą znoszący, ale na wszystko jest miara. A ta głuchota w kraju najwięcej zdawała się ciężyc straceńcom, oczyma zdawali się pytać, dlaczego my tylko, czyż nie ma już więcej ludzi tego samego

położenia? Te myśli i uczucia mózg mi gniotły, a nie można było twarzy chmurnej pokazać, bo takżeśmy się zrosli w tym tułaczym kilkutygodniowym życiu, żeśmy się prawie odgadywali.

Gdy wysłany przeze mnie na zwiady Kazimierz Trepka, młody i dzielny człowiek, dał się niebacznie wśród ciemnej nocy, jak się później dowiedziałem, aresztować dwom żandarmom patrolującym i gdy go z powrotem i przewodnikiem naprózno do godziny 2-iej w nocy wyczekiwałem, nakazałem wymarsz, pragnąc wydostać się z tej matni i wejść w mój rejon północny dla wypoczęcia i wzmocnienia oddziału. Z braku dobrego przewodnika błędząc i niepotrzebnie nakładając drogi, przybyłem nad ranem 2 marca 1863 r. do lasów należących do majątku Wrzesiny, a zmuszony do nakarmienia żołnierza, w tymże majątku żywność dla ludzi i koni zaprowiantowałem.

Czy, jak zwyczajnie, zawiadomiono o pobycie oddziału komendy moskiewskie, czyli też działające kolumny w akcji pod Wygiełzowem dostały stanowczy rozkaz skończenia raz z niespokojnym oddziałem — tego nie wiem, dosyć że szosę Sieradz—Zduńska Wola—Łask zastałem obstawioną wojskami komendy sieradzkiej, a nie mogąc jej przebyć dla dostania się w rejon północny, cofając się bokiem spotkałem się tegoż dnia, to jest 2 marca 1863 r., nad samym wieczorem z patrolującą sotnią kozaków pod Pruszkowem; chwilowe to i niespodziane spotkanie, zaszło na skrócie leśnej drogi, kosztujące z naszej strony dwóch lekko rannych strzelców, a przeciwnika trzech na placu pozostałych z bronią kozaków, nie miałoby w innym razie żadnej doniosłości, lecz w tym wypadku, odkrywając miejsce mego pobytu, ułatwiło zgromadzonym naokoło siłom moskiewskim dośrodkowe działanie. Przybywszy przez Wilkowice do lasu należącego do Brodni już późnym wieczorem i mając zgłodniałego i zmęczonego żołnierza, musiałem go nakarmić i dać mu wypoczynek, gdy już w marszu z śledzących mnie z dala kozacych patroli przekonałem się, że jestem na ich oku, a oko to bystre, sprawne, wspomagane węchem i czuciem inteligentniejszego od nich konia, dawało mi niemal pewność, że zbliżający się dzień jutrzejszy może być dniem rozprawy gorętszej; wolałem przeto z nakarmionym i wypoczętym jako tako żołnierzem czekać dnia na stanowisku, niż z głodnym i zmęczonym tentować nocne napady.

Dzień piękny się zrobił, była godzina 7-a 3 marca 1863 r., gdy trąbki sygnałowe dały mi znać o zbliżającej się Moskwie od strony Pruszkowa i Kocieszowa. Przypomniałem strzelcom Kuźnicę Grabowską

i prawdopodobieństwo potrzeby odpierania ataków kozackich, uformowałem jedną kolumnę plutonową z kosynierami w środku i z mymi siedmioma kawalerzystami po bokach w odstępach półplutonowych, czekałem na kraju lasu, śledząc ruchy kolumn moskiewskich. Widząc, że dystans między zbliżającymi się kolumnami wynosi jeszcze przynajmniej 3 wiorsty drogi i widząc na polach Wymysłowa buszujących i zamykających mi drogę kozaków, dałem rozkaz do marszu kolumnie posuwając się w kierunku ukośnym ku Kocieszowu, chcąc bądź obejść, bądź roztrącić lewe skrzydło zbliżającej się Moskwy, a raz wydostawszy się na jej tyły — marszem forsownym przejść szosę ogołoconą z wojsk moskiewskich i utonąć w lasach rozległego terenu północnego.

Po blisko półgodzinnym ostrożnym marszu natrafiłem w pozycji zarosniętej młodymi porostami łańcuch tyralierów moskiewskich wspomaganych zwodową rezerwą, a moja kolumna, przechodząc po krótkim lecz gorącym starciu po moskiewskich brzuchach, łupiąc po zabitych siedem karabinów z amunicją, a w zamian zostawiając trzy swoje trupy lecz uprowadzając dwóch rannych, po kilku minutach była na tyłach obławy trąbiącej i zwołującej się do kupy, a zdekoncertowanej tym niespodziewanym spotkaniem Moskwy, nie mającej nadto pod ręką swych wiernych tropicieli kozaków, użytych do nadzoru lasów od strony Wymysłowa. Ja zaś z zmniejszonym oddziałem o pięciu ludzi, lecz co do uzbrojenia wzmocnionym o siedem karabinów z pełnymi ładownicami, forsownym marszem przez Mierzączka, Mogilno, Dobroń wszedłem do swego terenu północnego i stanąłem w lasach wrzeszczewickich.

W terenie tym obszernym i lesistym, postępując z możliwą ostrożnością przy prowiantowaniu, w marszach swych przeważnie nocnych przerzucając się spod Uniejowa i Warty po Piotrków, a nawet ponad Pilicą Sulejów zaczepiając, przebyłem prawie bez żadnych ważniejszych wypadków do 20 marca 1863 r. — chyba to nadmieniając, iż z powodu słabości udzieliłem Lüttichowi i Kellerowi urlopów nieograniczonych, sześciu moim kawalerzystom, to jest całej mej kawalerii z wyjątkiem Rybickiego, dozwoliłem na ich usilne prośby jechać do głośnego już wówczas Langiewicza, któremu partia białych, już wówczas wciągana przez Hotel Lambert do akcji, z obawy przed urojonym widmem radykalizmu Mierosławskiego urojonymi i szumnie opisywanymi w „Czasie“ zwycięstwami drogę do stolca dyktatorialnego uściślała. Niemniej, w tym okresie czasu, chcąc mieć realną siłę bez obciążającego balastu przy szybkich poruszeniach i dla łatwiejszego

wyżywienia, zatrzymałem przy sobie kompanię strzelców o sile 90 ludzi, podzieloną na 2 plutony, przewiesiwszy im przez plecy kilkanaście zapasowych ledwie średniej wartości dubeltówek, a kosynierów nie umiejących strzelać do domów na urlop rozpuściłem, polecając im wrócić do oddziału na każde moje zawołanie.

Ćwicząc w mustrach mych strzelców celem stworzenia kadr dla mogącego się sformować większego oddziału, przebyłem czas w względnym spokoju, przeszedłszy w swych poglądach dosyć filozoficznie całą szopkę dyktatorialną z jej przewidzianym, lecz nie tak wstrętnie smutnym epilogiem. Nawiasem powiedziawszy bowiem, my Genuieńczycy znaleźliśmy niezłe p. Langiewicza; nie należał on do typu rycersko-żołnierskiej emigracji z 1831 r., lecz typowym był emigrantem turecko-włoskim z 1848 r., szermującym obficie słowami niż szablą i tak dalece swym patosem namaszczenia patriotyczno-demokratycznego rzucał w nas, pracowników czynu nie teorii, przypuszczenia o swym charakterze niekorzystne, że lekceważąc go jak emigranckiego blagiera staraliśmy się przy spotkaniach nie podawać ręki; jego obejście nie przedstawiało dżentelmana, jego fachowe wykształcenie dobiegało stanowisku zwykłego bombardiera, jakie w armii pruskiej zajmował, a wykształcenie było charakteru dorywczego, prawie kalendarzowego, nie mogąc stworzyć charakteru poważnego. Szczęśliwsze położenie geograficzne i topograficzne południowych województw Królestwa, opartych o Galicję Zachodnią z Krakowem i patriotyczną młodzieżą, względnie obojętne, a nawet w początkach powstania przychylny-wyczekujące stanowisko rządu austriackiego, a głównie stworzona i korzystnie rozwijająca się organizacja w Sandomierskim przez Ignacego Maciejowskiego (Sewer), w Krakowskim przez Wojciecha Biechońskiego, — ten związek przychylnych okoliczności postawił p. Langiewicza w tak dalece korzystniejszych warunkach walki, niż resztę jego kolegów dowódców, że gdyby ten człowiek wyróżniał się bądź zdolnościami bądź charakterem, gdyby choć w części przypominał wady i przymioty choćby Zygmunta Padlewskiego, powstanie w województwach sandomierskim i krakowskim mogło przedstawić poważniejsze siły i nie zbecześcić raz na zawsze stolca dyktatorskiego.

Stronę jawno-polityczną tego stanowiska reprezentował, niby jak na kiepskiej scenie, p. Langiewicz, o działaczach zaś prawdziwych mógłby coś powiedzieć (naturalnie gdyby chciał) pan Koźmian; nie chodziłoby nam w danym łaskawie objaśnieniu o pionków na zewnątrz działających, jak Grabowski, Kołaczkowski, bracia Władysław i Zygmunt Siemiński i wielu im podobnych, ale o podniesienie firanki

jego ręką, jako wiernego i dyskretnego factotum, mającego wprawę w jej spuszczeniu, i pokazanie nam prawdziwych działaczy, a głównie — przedstawiciela, żeby usunąć podejrzenie z działalności domu w Krzeszowicach.

W przebiegu tych spraw o charakterze politycznym dziwna anomalia ukazała się w postępowaniu partii białych, którzy kierowani aspiracjami Hotelu Lambert niby z chwilą stworzonej przez siebie dyktatury przystępowali do akcji czynnej, czego, pomijawszy inne wypadki, dowodzi stworzenie oddziału Poznańczyków pod nominalnym dowództwem Taczanowskiego, a faktycznym Strzeleckiego, z ornamentyką takich wybitnych osobistości, jak Działyński, Niegolewski, Gutry i inni, — a zbezczęścili dyktaturę i zgromadzone pod nią siły powstańcze, aby je zamknąć jednym słowem do szuflady i uspokoić rozkapryszoną hołotę.

Zdawałoby się, iż z tego dwulicowego postępowania przebija się niekarność w Hotelu Lambert z secesją p. Władysława Zamoyskiego i jego chwilowymi aspiracjami austriackimi, które Bogiem a prawdą przedstawiały realniejsze poglądy i stały bodaj wyżej nad sentymentalne półsłówka Napoleona III; i o tych rzeczach, gdyby chciał, mógłby p. Koźmian coś napisać lub posiadacze jego notatek i papierów. O tych rzeczach i dwulicowym postępowaniu partii białych mógłby także napisać p. Adam Sapieha, któren, przypominając w części charakter swego przodka z epoki Jana Kaźmierza, bodaj jak tamten działający przeciw Szwedom, dlatego że byli pobratani z Radziwiłłami, tak ten z powstaniem, ponieważ Krzeszowice nie były za nim.

Ta dwulicowość w postępowaniu partii białych, która od czasów nieszczęsnej dyktatury mimo pozorów była kierującym stronnictwem ruchu powstańczego, zdemoralizowawszy go i nauczywszy uciekinierstwa, stworzyła z Krakowa i jego patriotycznych mieszkańców zamiast pomocy i wsparcia dla walczących i schronienia dla rannych — Capuę dla powstania polskiego, w której nie brakło nawet nowoczesnych Annibalów, a to tak dalece, że hołota ta, wychodząca niby do powstania, zamawiała sobie przeważnie już na noc łóżka i ciała swych niby kochanic, i że fakt faktem zostanie, iż na trzydzieści przeszło przechodzących przez granicę uzbrojonych oddziałów jeden tylko oddział, i to dzięki czterodniowemu nieustannemu opilstwu jego dowódcy Mosakowskiego i ferworowi alkoholicznemu, podtrzymywanemu usilnie przez sławnego pod tym względem z silnej głowy Aleksandra Nenckiego, zaszedł głęboko w kraj aż poza Szczekociny nad Pilicę, gdzie oprzytomniały dowódca z dokonanego hazardu oddział

rozpuścił, lecz przechowana broń posłużyła do uzbrojenia krajowym oddziałom, którym tytuł uciekinierów nie zawsze się należał.

Przerywam spostrzeżenia, przytoczone z powodu dyktatury i następstw z niej wynikłych, aby podążyć z dalszym opowiadaniem o losach mego oddziału, a nie był on ani do pozazdrosczenia, ani obfity w jaskrawsze wypadki.

Jak wspomniałem, z kompanią strzelców o sile 90 ludzi i jednym kawalerzystą Rybickim przebywałem prawie do 20 marca 1863 roku w leśnym rejonie północnym, czepiając się Łęczyckiego, Rawskiego i Opoczyńskiego — w miarę większego lub mniejszego nacisku kolumn moskiewskich, tropiących po lasach; okolica ogołocona była z broni palnej przeze mnie i w Opoczyńskim przez przechodzącego tamtędy Jeziorańskiego, nie dając mi możności zwiększenia liczby strzelców i zaledwie zwiększając moją kawalerię do liczby dawniejszej (7 koni), uzbrojonych w dubeltówki i 4 pałasze. Wobec już wówczas przysposabiającej się do czynnego wystąpienia konfederacji szlacheckiej, ściągającej broń i ludzi, aby się godnie pokazać a jeszcze godniej uciec, widziałem, iż trzeba się chwycić radykalniejszego środka, ażeby wzmocnić i odpowiedniej uzbroić moich strzelców. Dlatego zamyślałem urządzać napady na straż pograniczną, dubeltowo jak dragoni uzbrojoną, nie mając zaś kawalerii, zatem możności zrealizowania mego dawnego projektu, zamierzałem napadami na pojedyncze stráže dojść do zamierzonego celu. Z okolic przeto Sulejowa, gdzie stałem w początkach kwietnia, przerzucając się bądź brodami, bądź po mostach z lewego na prawy, bądź odwrotnie na lewy brzeg Pilicy, przeszedłem część środkową doliny, pokrytej dużymi i gęstymi lasami.

Głusza niczym niezmacona, wynikła po upadku Langiewicza, wobec zupełnej prawie martwoty powstania pozwalała prawie używać błogiego wypoczynku komendom moskiewskim, na lewym brzegu Wisły rozłożonym.

Siły bowiem powstańcze na tym brzegu Wisły znajdujące się reprezentowane były przez: 1) oddział Czachowskiego w sile około 500 ludzi, uprowadzony przez tego wytrwałego partyzanta w lasy świętokrzyskie po cofnięciu się i rozsypaniu oddziału Langiewicza po bitwie pod Grochowiskami; 2) oddział Mielęckiego, a raczej jego szczątki, pozostałe po rozbiciu pod Nową Wsią zamianowanego dyktatora Mierosławskiego, którego tak w bolesnym starciu pod Krzywosądzem, okupionym stratą 20 młodzieży wyborowej i inteligentnej, jak i w bitwie pod Nową Wsią nie złożył korzystnie egzaminu z przymiotów wodza i żołnierza; 3) szczątki niewielkiego oddziału

Cieszkowskiego, świeżo rozbitego pod Radoszewicami w nocnym napadzie przez Moskali; 4) i mój niewielki oddziałek 100 ludzi niedochodzący. O oddziale Taczanowskiego mowy jeszcze nie było.

Można było prawie plunąć na tę całą farsę; lecz zapewniony zostałem przez organizację województwa, na czele której stał jako komisarz Rządu Narodowego Stanisław Szachowski, człowiek czynu i energii, słowom którego można było wierzyć, że w połowie kwietnia postać rzeczy zmieni się na korzystniejszą, że sprowadzone już zapasy broni i amunicji pozwolą w każdym powiecie województwa kaliskiego stworzyć pokaźniejszy oddział, że sprawa spodziewanej interwencji nie jest głośną mrzonką. Ożywiło to mą zachwianą wytrwałość, a przyjmując w swą działalność organizację piotrkowską, dowiedziawszy się przy tym, że organizacja wojskowa i komenda sformowanych oddziałów powierzona została: 1) wieluńskiego — Lütlichowi, 2) sieradzkiego — Urbanowskiemu, 3) kaliskiego — Parczewskiemu, a 4) konińskiego — Taczanowskiemu, którego w połowie kwietnia prawdopodobnie wejdzie z dobrze zorganizowanym i uzbrojonym oddziałem z Poznańskiego i obejmie jako doświadczony oficer naczelną komendę w województwie, ruszyłem z moim oddziałem z lepszą otuchą w przyszłość spod samego prawie Przedborza w zamiarze udania się w pas graniczny dla wykonania powziętego planu. Poinformowany o osobach w skład organizacji tego powiatu wchodzących i poinformowawszy ich o zachowaniu się na punktach zbornych, które wyznaczyłem i na które w danej chwili przyślę mych oficerów dla prowizorycznego zorganizowania nadeszłych ludzi i doprowadzenia ich na główny punkt zborny, sam z oddziałem spod Przedborza doliną Pilicy do Maluszyna, skąd przez Żytno, Gidle, Pławno przeszedłem na lewy brzeg Warty, a pod Gaworkowem¹⁾ między Nowo-Radomskiem a Kłomnicami kolej żelazną, z powodu panującej silnej zamieci śnieżnej zatrzymałem się przez 48 godzin w folwarku do Rybna należącym, to jest przez 26 i 27 marca, skąd przez Łobodno przybyłem do Zagórza 28 marca o 10-ej przed południem.

Dłuższą chwilę muszę wyznaczyć dla tej daty z powodu wypadku, jaki w ciągu dnia tego nastąpił.

Dwór Zagórze, do którego się w owym dniu zbliżał, nie był dworem przeciętnego szlachcica polskiego, otoczonym zwykle sadem i budynkami gospodarskimi, z mniejszym lub większym gustem urządzonymi klombami zajazdowymi — zasłaniającymi choć częściowo

1) Nazwa zniekształcona, najpewniej Gowarzędów, przyp. wyd.

niezbyt wykwintne zabudowania ekonomiczne; ten przedstawił się całkiem odmiennie, leżał na nagiej bezdrzewnej płaszczyźnie z dala od wsi, dom wielki piętrowy, nagi, w kwadrat zabudowany, o dziedzińcu wewnętrznym szczelnie zamkniętym, portykiem otoczony, z dwoma bramami, wjazdową i wyjazdową, — robił wrażenie ponurego więzienia lub ascetycznego klasztoru, lecz niczym nie przedstawiał przyjemnych wymagań wesołego szlachcica polskiego.

Gdy się zbliżył do niego, podoficer Rybicki zameldował mi, że na jakie 500 kroków przed domem ujrzał wyjeżdżającego i nazad wjeżdżającego do domu parokonną bryczką jakiegoś mężczyznę, zapewne właściciela domu. Nie przedstawiało to nic ciekawego, pomyślałem, szlachcic zobaczywszy nadciągających powstańców wrócił, żeby ich osobiście po gospodarstwu przyjąć; i nie myśląc więcej wszedłem na dziedziniec. Ponury jego widok i pustka z braku ludzi, ba i psa nawet, z niego wiejąca oddziaływała na mnie niekorzystnie i miałem już rozkaz wydać wyjścia z tego posepnego domu, bo i tak z powodu jego położenia o ledwie dwie wiorsty od Kłomnic a mili od Częstochowy wstąpiłem tylko przechodem i tylko dlatego, że mi Cieszkowski pisał, że właściciel Zagórza p. Lemański ma sporo broni i nie chciał mu jej wydać, gdyż co do ściągnięcia od niego podatku narodowego uważałem, że ta czynność leży poza moją atrybucją, — gdy krzyki paru wybiegłych i do mnie pędzących strzelców oznajmiły mi coś niezwykłego.

Donieśli mi, że poszukując za jakąś żyjącą duszą, a także i za żywnością zstąpili do piwnic i w jednej z nich znaleźli na śmierć skatowanego i umierającego człowieka. Poleciwszy Maźniewskiemu trzymać oddział w pogotowiu z bronią przy nodze, zstąpiłem prowadzony przez owych żołnierzy do lochów, a widok, jaki mnie uderzył, był tak straszny, iż tylko mógł być przyrównany do zamierzchłych czasów i feudalnych więzień raubritterów niemieckich, których na szczęście w Polsce nigdy nie było, ale nie można było przypuścić, że takie straszne zbrodnie dzieją się w drugiej połowie XIX stulecia, w kraju niby swobodnym o skasowanym poddaństwie przed kilkudziesiąt laty, o obowiązującym kodeksie tak cywilnym jak i karnym na wzór ustawodawstwa francuskiego stworzonym, i to wszystko nie w puszczech bodaj pińskich, lecz wśród ludności gęsto osiadłej na milę od Częstochowy, a zatem pod opieką najmiłościwszego i szczęściem ludu żyjącego rządu moskiewskiego! Gdy w ciemnej piwnicy od skamłającego i jęczącego nie mogłem się nic dowiedzieć, gdyż uważając nas za siepaczy Lemańskiego prosił nas tylko ciągle o darowanie mu życia,

kazałem go wynieść na powietrze. Widok tego męczennika bez sprawy zrobił na mnie aż wstrętne wrażenie: poczynając od głowy pełnej guzów i strupów aż do pięt całe to ciało, niczym nie okryte, przedstawiało jedną ranę żywą, ropiejącą się i rojącym się robactwem pokrytą. Kiedy przyprowadzony do przytomności parą kieliszkami wódki i podanym kawałem słoniny, którą żarłocznie pochłoniął, zdolny był do mówienia, widząc, że my nie jego kaci, lecz jacyś dziwni strzelcy, opowiedział nam, że przed pięciu czy sześciu tygodniami w parę niedziel po godach zabrał go swymi ludźmi, co to nie gadają, do dworu, gdzie go tak on jak i ci ludzie długo bili, później widać znieczulonego do piwnicy zawlekli, tam go prawie co dnia przez cztery niedziele bili, a potem zostawili na kawałku chleba i dzbanuszkę wody, a od trzech dni, nie dając mu nic do jedzenia i picia, zostawili jak zdechłego. Kazawszy go okryć jakąś starą burką i zanieść lub zaprowadzić do wsi czterem strzelcom, kazałem zarazem sprowadzić z niej sołtysa z kilkoma poważniejszymi gospodarzami, aby byli świadkami sądu i wyroku nad p. Lemańskim, a plutonowi 1-mu poleciłem go wyszukać, choćby spod ziemi wydobyć i to natychmiast.

Nastąpiło poszukiwanie — cichsze i gwałtowniejsze, stosownie do tego, czy drzwi były otwarte, czy trzeba je było wywazać. Trwało to chwil kilka, gdy naraz huknęły dwa strzały w pokojach i mężczyzna okazały z dubeltówką w ręku wypadł na dziedziniec, z niego za bramę i dopiero w odległości jakich stu kroków za nią zdołano go doścignąć i przyaresztować.

Gdy go sprowadzono na dziedziniec i przede mnie postawiono, wypadł z domu ojciec zabitego strzelca, służący z nim razem w oddziale, a widząc zabójcę zmierzył się do niego; zasłoniwszy winnego swą własną osobą i zapewniwszy rozżalonego, iż sąd polowojenny sprawę zawyrokuje, poleciłem Maźniewskiemu wybrać z kompanii sześciu żołnierzy i z nim jako przewodniczącym sąd stanowić. Biorąc na siebie charakter oskarżyciela, zapytałem podsądnego, dlaczego strzelił i zabił mi żołnierza, i czy nie wie o tym, że wystąpienie z bronią w czasie wojny przeciwko wojskom karane jest śmiercią, na co mi z dobrą miną i nieco drwiącą odpowiedział, iż wojska innego nie zna jak moskiewskie, a za zabicie takiego hołysza bez butów przecież porządnego człowieka nie zabijają.

Zwróciwszy się do przytomnego sądu, objaśniwszy go o przyznaniu się do zabójstwa podsądnego i o karze, jaka się za taki czyn wymierza, oddałem do sumiennego ich orzeczenia, czy przestępca jest winien lub nie. Jednomyślnie padło orzeczenie „winien“

i wyrok śmierci natychmiast kazałem wykonać przez powieszenie, co i natychmiast wykonano zamiast na drzewie, którego nie było, — na rogach jelenich, poprzybijanych gęsto i zdobiących portyk tego dziwnego domu.

Po wykonaniu egzekucji i po powrocie mych czterech strzelców z przybyłymi wieśniakami, którym pokazawszy wiszącego trupa ukaranego przez rząd polski, a nie moskiewski za wszystkie jego dawne zbrodnie i zaleciwszy im urządzenie straży nad domem, żeby nikt i nic z niego nie zabrał, a nadto kazawszy im zawiadomić urząd w Kłobucku o zaszłym wypadku i pochować mego zabitego żołnierza, zabrawszy osiem sztuk broni palnej myśliwskiej i kilka kordelasów z niewielką ilością amunicji, opuściłem nieszczęsny ten dom z jego trupami i martwo przyglądającymi się wieśniakami to nam, to powieszonemu, nie mogącymi zrozumieć tego wypadku.

Ba, nie mogli go zrozumieć i ludzie wykształceniem wyżej daleko stojący, jakem się o tym przekonał w parę dni później, przybywszy na zjazd organizacji, który zwołał Cieszkowski. Gdy przy powitaniu zapytał się, czy byłem u Lemańskiego i czy broń dostałem, odpowiedziałem lakonicznie: „byłem i zabrałem“. Spojrzał zaciekawiony, jakby żądając objaśnienia, powiedziałem mu z naciskiem, że byłem, a że broń zabrałem to dlatego, że Lemański nie mógł tego osobiście uczynić, gdyż nie żyje, kazałem go bowiem w moc wyroku powiesić. Gdyby grom z jasnego nieba uderzył w dom, gdzie byliśmy, nie byłby zapewne zrobił lepszego i efektowniejszego wrażenia, jakie zrobiły w cichy dosyć sposób wymówione przeze mnie wyrazy: jednym rzutem odepchnięci ode mnie znaleźli się pod ścianami bladzi i pomieszani, przyglądając się uparcie, jak wygląda człowiek, któren ośmielił się postronkiem dotknąć tak nazwanej szyi szlacheckiej. A gdy cichość i miny zakazane tych panów nieźle mnie drażniły, biorąc za klapę surduta Cieszkowskiego, jedynie przy mnie pozostałego, opisałem mu szczegółowo cały wypadek z Lemańskim, a wskazując na obecnych, jeszcze stojących pod ścianami, głośno powiedziałem: „Przypatrz się tym panom o pobladłych licach i czerwonych czołach, czyż oni swą postawą i zachowaniem się nie wskazują łączności z powieszonym, czy sprawiedliwie wykonany wyrok na zbrodniarzu może tak przerażająco oddziaływać na niewinnych ludzi i dobrych patriotów! Mógłbym niemal mniemać, że solidarność kastowa tak ich zaślepia, że w powieszonym zbrodniarzu uważają swego patrona męczennika, a ponieważ ja tych panów nie znam i nie mogąc im zawierzyć z powodu

zdrady, wyszłej z łona ich organizacji przez brata ich Bogatkę, ofiarą której w pierwszym rządzie padł człowiek czynu, a nie rozpraw — Bronisław Rucki, przeto jako człowiek w danej chwili zbyt cenny opuszczam natychmiast to szanowne zgromadzenie. Tobie zaś na odchodnym radzę — nie wierz zjazdom i powziętym uchwałom, wierz sobie, a z Polską w sercu nie radź się, lecz rozkazuj. Ja tak postępuję, może nie opływam w dostatki, może mój oddział nie jest bogato okryty, może szparami ubrania prześwieca nieraz zgłodniały żołądek, mniejsza z tym — nie mam za to iluzji“. Tymi słowy zegnając zgromadzonych, wsiałem na bryczkę i odjechałem do obozu.

Sprawa powieszzonego Lemańskiego rozmaicie była omawianą i przedstawianą. Na dworze francuskim ówczesny ambasador moskiewski baron Budberg z polecenia swego rządu przedstawiał ją w charakterze socjalno-kolektywnym; dwór pruski, mając swego generalnego konsula w Paryżu p. Maltzana, szwagra powieszzonego, ożenionego z rozwódką po p. Czesławie Biernackim, nie żałował gorliwie dopomagać w tej sprawie swemu sojusznikowi moskiewskiemu. Musiałem w tej sprawie pisać na żądanie Rządu Narodowego paroarkuszowe szczegółowe sprawozdanie, było ono nieszczególnie przyjęte, stworzyło mi opinię niespokojnego radykała, co jest usprawiedliwionym, gdyż wydanym zostało przez areopag ludzi, dla których zasady etyki rewolucyjnej były wstrętne, gdyż dawno już przez nich pogrzebane. Dawano mi od tego czasu i pozostawiono przez całe powstanie do zrozumienia, że lojalność moja jest im podejrzaną, a pozostawienie mnie przy komendzie zawdzięczałem tylko, jak mi w parę lat później w Paryżu Dębiński „Kot“ powiedział, iż się obawiano doświadczyć mego radykalizmu i mogącej nastąpić secesji.

Ze szlachtą (tak nazywającą się) stanowczo zerwałem, nie wierząc im zupełnie, patriotyzm ich jak i katolicyzm opierał się na pewnych zwietrzałych formach i przesądach, w których wzrosli i w których reakcyjnie wegetowali. Z tego to czasu potworzyła ona rozmaite baśnie i przypowiadki, którymi mnie oplotła, a które (z braku cywilnej odwagi nie śmiejąc mi ich zaprodukować) rozpuszczała po świecie dla zabawy „somsiadów“, a których się czasami nasłuchiwałem w domach mi nieznanym przejeżdżając przez nie w charakterze mego kuriera.

Ale ta sprawa miała i swe strony dodatnie. Pokazała ona gnębionemu ludowi wiejskiemu, że ci tak nazwani przez nich „Poloki“ karzą ich bogatych panów za zbrodnie i że „tak i oni coś dobrego o nas myślą“, a ta opinia zaczęła się u nich przyjmować i rozpowszechniać,

gdyż jak solidarni nawet w zbrodni, tak też i dobrą nowiną solidarnie i szybko się dziela, i wydała korzystne rezultaty, bo wzmocniony ruch oddziałów już prawie od maja 1863 r. w znacznej części, a w niektórych stronach w dobrej połowie zawdzięczał swój rozrost wieśniaczym ochotnikom tłumnie napływającym do oddziałów. Gdyby nie marnotrawstwo galicyjskiej organizacji z Krakowem w dostawie broni, może z tego bicza z piasku kręconego uformowałby się młot zabójczy i może wówczas sentymentalna interwencja zamieniłaby się w interwencję zbrojną. O żywych tylko i czynnych myślą!

Sprawa ta zyskała uznanie i poklask ze strony urzędowej. Ówczesny Dyrektor Główny Komisji Sprawiedliwości, vel minister sprawiedliwości, p. Drzewiecki, wcale nie partyzant powstania, gdy się o śmierci p. Lemańskiego i o powodach do niej dowiedział, miał się nieoficjalnie odezwać: „przecież stało się w końcu zadość sprawiedliwości“. Znał bowiem dawniejsze sprawki tego zbrodniarza, którego przed kilkoma laty za udowodnione morderstwo czterech włościan sąd kryminalny przy łagodzących okolicznościach skazał na 10 lat ciężkiego więzienia, z którego przy pieniądzach i stosunkach petersburskich naprzód do szpitala dla umysłowo chorych, później jako wyleczonego na wolność wypuszczono.

Ale nakoniec i strona śmieszna miała w tej sprawie swego przedstawiciela. Był nim ksiądz proboszcz z Kłobucka, któremu parszywa owieczka podobno jednego razu podczas objazdu parafii dała odczuć dotykalnie wartość pleczonego rzemienia, i któremu ten niecnota zapowiedział swą bytność na parafii z lepszym gatunkiem boćkowskiego, którym doliczy mu rachunek, którego małą częścią był wyliczony zadatek. Biedny proboszcz, mimo rodzaju pretoriańskiej straży stworzonej i czuwającej nad nim, nie zaznał podobno przez lata snu spokojnego, gdyż męczące go wizje, a wszystko o gęstych przepłotach, nie dawały mu zapomnieć o zapowiedzianej wizycie. Chudł podobno widocznie, tylko jedna część ciała przybierała formy okazalsze, a ludzie złośliwi, a gdzie takich nie ma, podobno po cichu szeptali, że „wzmaga się odporność księdza proboszcza“.

Na wiadomość o wyroku, wykonanym na jego prześladowcy, miał podobno z całym pietyzmem katolika odprawiać wszystkie niezbędne nabożeństwa, poruczając Panu nad Pany upadłą duszę jawnogrzeszніка, a nad grobem wygłaszając cytate „odpuście im, aby i wam odpuszczono“, miał wywołać płacz głośny w zgromadzonych tłumach. Ale wszystko ma swój koniec, toteż zostawmy i tego nieszczęśnika i przejdźmy do dalszego opowiadania wypadków powstania.

Przybywszy w nocy z 31 marca na 1 kwietnia do Dankowa, w którego lasach przed 24 godzinami oddział zostawiłem, nie znalazłem go na miejscu, co oznaczało, że musiał przed tropiącymi go Moskalami usunąć się, gdyż takie wydałem polecenie wyjeżdżając. Niespokojny, ażeby podczas mej nieobecności nie był napadnięty, wzięwszy przewodnika i parę pudełek zapalek, udałem się na jego odnalezienie.

Dla człowieka niemal leśnego, a na takiego się wyrobiłem, wynalezienie tropu pojedynczego zwierza lub człowieka szczególnie na wilgotnym terenie nie przedstawia wielkich trudności, tym mniejszą przedstawiało trudność odnalezienie śladów oddziału do 100 ludzi liczącego z ośmiu końmi, gdyż i moja Kaśka znajdowała się przy oddziale. Zależy tylko od wynalezienia punktu wyjścia, a takowy znalazłem, gdyż go na nim zostawiłem. Posiłkując się przeto światłem zapalek doskonale szedłem śladami oddziału i 2 kwietnia około 11-ej przed południem, zrobiwszy 5 mil opętanych, znalazłem oddział w małym leśnym folwarczku czy leśniczówce do Kuźniczki należącym o pół mili pod Praszka położonym.

Przy składaniu służbowego raportu, w którym usprawiedliwiał ruch swój wsteczny w stronę granicy z powodu prześladujących go kolumn moskiewskich, Maźniewski doniósł mi, iż w oddziale czuć się daje coś niezwykłego, jakieś tajemne szepty i rozprawy, które za zbliżeniem się oficerów milkną, nie ma nic pozytywnego donieść, lecz przypuszcza, iż musiało się coś stać w Zagórze u Lemańskiego, gdyż od tego czasu daje się spostrzegać to niezwykle usposobienie oddziału. Rzecz zdawała się ważna, myśl dokonanego rabunku przeszła mi przez głowę, cała ohyda takiego czynu, popełnionego w chwili wykonania wyroku na zbrodniarzu, dawała możliwość plucia na cały ruch zbrojny dla rabunku prowadzony. Postanowiłem sprawdzić przypuszczenie, a każąc Maźniewskiemu iść do kompanii, w chwilę za nim wyszedłem i świstem mej gwizdawki dałem rozkaz stanięcia oddziałowi pod bronią. Gdy oddział z kawalerią na skrzydle stanął w szeregach z bronią u nogi, zakomenderowałem „na ramię broń“, a następnie „prezentuj broń“, a gdy komenda została wykonana, stanąłem przed frontem kompanii i odezwałem się w te słowa: „Żołnierze polscy! Doszło do mojej wiadomości, jakoby podczas naszego pobytu w Zagórze i wykonywania wyroku nad tym nieszczęsnym zbrodniarzem dopełnionym został przez niektórych z was rabunek jego mienia, a ponieważ czyn ten haniebny i zbrodniczy wymaga sprawdzenia i ukarania winnych, ażeby honor oddziału i cześć żołnierza polskiego oczyścić, przeto poddaję wszystkich bez wyjątku ściślejszej rewizji. Ja sam

zrewiduję pp. oficerów, a ci w mej obecności zrewidują wszystkich żołnierzy“. Jak zapowiedziałem, tak zostało wykonanym, a po parogodzinnej rewizji znaleziono u jednego z żołnierzy, ojca zabitego przez Lemańskiego, worek srebra napełniony sztukami 5 i 10 złotowymi, dwa złote zegarki i pierścień złoty z herbowym kamieniem, u drugiego żołnierza, współnika rabunku, znaleziono w torbie myśliwskiej kilkadziesiąt sztuk podobnej monety. Winni byli znalezieni i jako złodzieje, po rozbrojeniu ich, doraźnym mym wyrokiem wypędzeni natychmiast z oddziału, lecz widocznie winni mieli swych tajnych spółników. Po wypędzeniu bowiem winnych, wróciwszy do chaty z parą skonsternowanymi tą przygodą oficerami i z ks. Jaskiewiczem, kapelanem oddziału, dla przerachowania pieniędzy i napisania sprawozdania o całym zdarzeniu, — wchodzący Maźniewski oznajmił mi, że oddział się buntuje. Schwyciwszy ze stołu nabite pistolety i odwiódłszy takowe wybiegłem przed chatę. Świst mej gwizdawki powołał ludzi do szeregu pod broń. Zauważyłem trzech ociągających się z wstąpieniem i dwóch stojących na uboczu. Widziałem, że karność złamana i że za chwilę z tej garści żołnierza może się stworzyć banda rabusiów. Postanowiłem działać i widząc, iż oficerowie stoją na swych miejscach przed kompanią, poskoczyłem do zbuntowanych, a przykładając im lufy prawie do piersi wypaliłem kładąc ich trupem na ziemi. Wówczas przed frontem stanąłem. Jak mi oficerowie potem mówili, miałem być blady i w oczach straszny. Zacząłem komenderować. Przyprowadziwszy pierwszą sekcję I-go plutonu przed front kompanii i frontem do niej zwróconą z bronią na „tuj“, kazałem wyciągnąć z szeregu trzech żołnierzy, których ociąganie się zauważyłem, po rozebraniu ich kazałem każdemu z nich po kolei wyliczyć po 30 żelaznych stempli i wyгнаwszy ich natychmiast z oddziału, odezwałem się do pozostałych: „Jeżeli nie zgadzacie się z tym, że żołnierz polski musi być tylko odważnym, uczciwym i honorowym człowiekiem, najlepszym i wybranym dzieckiem tej Matki Ziemi, jeżeli uważacie, że karność i posłuszeństwo dla przełożonych są niepotrzebne, złożcie broń powtórnie, jakeście ją przed chwilą składali, i rozejdźcie się do domów, a ja zostanę bądź sam, bądź z tymi tylko wybranymi, którzy postanowią pójść ze mną razem i nie splamić nigdy czci żołnierza polskiego“. Coś w tym sensie mówiłem, a rezultatem tego przemówienia było głośne, może nawet jednomysłne oświadczenie pójścia zawsze i wszędzie pod moją komendą.

Gdy nastąpiła harmonia, złym duchem Lemańskiego naderwana, poszedłem do chaty, napisałem sprawozdanie o całym wypadku,

a wręczywszy je ks. Jaśkiewiczowi oraz biżuterie i pieniądze srebrne (przeszło 2000 złp. wartości), kazałem mu pojechać do p. X., będącego Naczelnikiem powiatu wieluńskiego, wręczyć mu pismo i rzeczy wartościowe i przywieźć poświadczenie z odbioru. Sam zaś czuwając z oddziałem spoza oparkanionej osady, wysławszy poprzednio patrole konne w stronę Wielunia i Praszki, postanowiłem jeszcze tę noc na folwarku przepędzić, a rannym marszem odsunąć się od granicy.

Patrole o zmroku wróciły, od strony Wielunia niczego nie spostrzegły, a od strony Praszki doniósł mi, iż jakiś człowiek spotkany w lesie pokazywał im sąsiednią wioskę pod Praszką położoną, w której znajdować się mieli kozacy. Wiadomość ta nie zdawała mi się zbyt ważną; kazawszy żołnierzom zjeść przygotowaną kolację i udawszy się z wszystkimi do odosobnionej stodoły na spoczynek, noc przepędziłem jak zwykle bezsennie, czuwając nad porządkiem wart i układając marsz w stronę północno-wschodnią województwa, aby w spokojniejszym terenie przepędzić zbliżające się święta wielkanocne i być pośrodku organizacji dla wzmocnienia i lepszego uzbrojenia oddziału. Rano około 7-ej 11 kwietnia 1863 r. wyszedłszy z postoju i wchodząc do bliskiego lasu, bardzo gęsto podszytego leszczyną i w błotnistych miejscach inną jakąś krzewiną, spotkałem wiejską kobietę; na zapytanie, czy nie widziała Moskali — pokazała mi ręką w stronę Praszki i odrzekła „a juści, stamtąd idą“, a na zapytanie, czy na piechotę czyli na koniach, odrzekła „dyc na koniach“. Zrozumiałem, że to ten sam rekonesans kozacki, o którym mi patrol dnia wczorajszego donosił. Ułożyłem w gąszczach leśnych w zwartych szeregach ponad drogą leśną mych strzelców z zapowiedzią spokojnego i celnego strzelania na moją komendę i zsadziłem z koni kawalerzystów, aby trzymając przy pyskach konie nie dopuścili do zarżenia; za ledwie podoficer Otocki rozstawił cztery strażę w tyle oddziału, gdy wracając po ich wystawieniu naprzód on wystrzelił do spostrzeżonych Moskali, a w odpowiedzi na jego strzał obsypani byliśmy gradem kul moskiewskich.

Urządzając zasadzkę na kozaków sam wpadłem w zasadzkę, urządzoną mi przez Moskali; piechota ich nad ranem przybyła i zajęła swe stanowisko w lesie, z którego mogła dobrze nas obserwować. Kozacy mieli służyć za przynętę, a panowie oficerowie moskiewscy od piechoty nie żałowali nigdy skóry kozackiej; to tylko źle zrobili, że za wcześnie odkryli swe stanowisko. Zrozumiałem położenie oddziału: wyparci w pola i otoczeni przez przeważne siły bylibyśmy zniszczeni pod gradem sypiących się kul. Uformowawszy kolumnę

pochodową o czole jak najwęższym, gdyż gęstwina przeszkadzała, jednym prawie skokiem naprzód przecięliśmy pierścień nas otaczający. Spotkanie trwało zaledwie minutę, ale jak każde ręczne spotkanie było bardzo krwawe; myśmy mieli w broni i sile skoncentrowanej przewagę, Moskale z wystrzeloną bronią byli prawie bezbronni, gdyż jakkolwiek chwałą się swym trójsecznym bagnetem, nie lubią go na żywych używać, wołają na rannych i umarłych, a nasi z nabitymi dubeltówkami, do boku lub do piersi im niemal przykładając, kładli gęstego trupa. Myśmy stracili w tym starciu 10 ludzi, Moskale podobno 28; nie grzebałem ich, dostałem tylko świeżych 13 karabinów, które w biegu prawie moi strzelcy po upadłych podnieśli.

Wyszliśmy z pierścienia, ale nie z niebezpieczeństwa; na tyłach naszych panował szum pełen klątw i krzyków moskiewskich. Podszyty gęsto las dawał nam osłonę, gdyż na kilkadziesiąt kroków nie można było nic dojrzeć, w odległości może 300 do 400 kroków na tyłach więcej zbliżony ku prawemu skrzydłu moskiewskiemu usłyszałem sygnał rozsypania się w tyraliery, a następnie pociągnięcia w prawo. Korzystając z gęstwiny otaczającej pociągnąłem także w prawo, a w miejscach jaśniejszych żołnierze niemal czołgając się na brzuchach, ale skrywając się lepiej, mogli obejść niepostrzeżenie lewe skrzydło idącego na nas frontu. Przepuściwszy go dobrze, forsownym marszem na tyłach Moskale zdążyłem zająć stanowisko na tyłach ich prawego skrzydła, ale nad krajem lasu, skąd mogłem zobaczyć pola i flankujących na nich kozaków, dalej jakieś łąki pokryte miejscami wodą, wreszcie jakaś bardzo szeroka kurtyna ciemnych lasów zamykała widnokrąg. Myśląc, jakby to było dobrze być już poza tą kurtyną i dalej spokojnie maszerować, usłyszałem sygnał na zatrzymanie się, a następnie po jakiejś może półgodzinie sygnał pociągnięcia w prawo. Zrozumiałem, że przeszukiwanie drugiej części lasu rozpoczyna się. Nie obchodziło mnie ono zupełnie, bo się tam z oddziałem nie znajdowałem, za to bardzo się zajmowałem tymi biednymi kozakami błakającymi się niepotrzebnie po polu, przez które koniecznie przejść chciałem, żeby się zasłonić kurtyną.

Znowu po jakiejś półgodzinie odezwały się trąbki nakazujące wstrzymanie, i po długiej pauzie już zacząłem podejrzewać jakąś cichą sztuczkę moskiewską, gdy sygnał z tego samego miejsca zadźwięczał zbór nakazując. Tyczył on się moich kochanych kozaków, których mi się rano nie udało przetrzepać, a widocznie tak pięknie do nich przemówił, że niemal martwych przed chwilą pędem koni ożywił i za parę minut ukrył ich w tajnikach lasu,

a pole pozostało spokojne. Tej chwili czekałem: wydawszy rozkaz, wypadliśmy z lasu i niemal biegiem przebywszy pole, w kilku zaledwie minutach dopadliśmy łąk wilgotnych i sapowatych, zyskawszy odległość kilkuset kroków, niespostrzeżeni. Gdyśmy przechodzili łąki z powodu ich bagnistości w szyku rozsypanym, zatrzymał nas w marszu rów odpływowy środkiem łąk biegnący, napełniony do powierzchni łąk wodą, przynajmniej 2 metry szerokości, a gdyśmy się cokolwiek namyślali, jak go przebyć, gdyż i mostu nie było do przejścia i niańki do przeniesienia, wybiegający w tej chwili z lasu kozacy pomogli nam zaraz do rozwiązania tej zagadki. Cofać się nazad, to wejść pod strzały nadbiegającej piechoty, która na huk strzałów kilku janczarek, z pewnością swych dalszych poszukiwań zaniechawszy, w stronę strzałów marsz swój pośpieszny zwróciła, a zatem ten punkt wyjścia stanowczo upadał; stać nad rowem z nosem na kwintę spuszczonej i przyglądać się wodzie jak sroka kości, to doczekać nadejścia piechoty moskiewskiej, a z nią kul ołowianych, bo te psubraty nie przewidziały jeszcze wówczas humanitarnych ustaw konwencji genewskiej i zamiast cukierkami naprawdę strzelali ołowiem, a zatem i ten punkt wyjścia upadał, gdyż piechota moskiewska, nie maczając nóg na błotnistych łąkach, aby się nie nabawić kataru, którego podobno ci sybaryci nie lubią, lecz stojąc na suchym gruncie, do stojących na mokrym i nad wodą z odległości jakich 500 kroków obficie strzelając (a dla czegożby mieli żałować ładunków, kiedy ich mieli pełne cekhauzy), byłaby nas w końcu jak kaczkę wystrzelała, a raczej jako podloty smaczne, bo młode i tłuste. Ale powiedziano jest „szukajcie a znajdziecie“. Otóż szukając — przyszła mi na pamięć sentencja „kto nie może przeskoczyć, niech podlezie“, a roztrzásając ją uważnie przyszedłem prawie do przekonania, że zmieniając nieco szyk wyrażenia dojdzie się do drugiej, w danym wypadku rozumniejszej sentencji „kto nie może przeleźć, niech przeskoczy“. Uderzony tą myślą i jej logicznością, rozpędziwszy się kilka kroków, rów ten rubikonowy przeskoczyłem, a po minucie byliśmy z drugiej strony Rubikonu, tylko że nie po cesarowsku szliśmy naprzód po losy świata, ale po partyzancku skuteczniejszy zbrojny odwrót.

Kanalia bowiem kozacza, która się niemal w chwili wykonania naszego „salto mortale“ wysypała z lasu, widząc się odgradzoną owym rowem od bliskiego naszego sąsiedztwa, zbiegła się na kraj łąki i zaczęła obsypywać nas gwałtownym choć nieszkodliwym ogniem swoich janczarek, którego po kilkudziesięciu strzałach z naszych

karabinów, widocznie skuteczniejszych, gdyż parę koni spod jeźdźców wyskoczyło, cofnął tę hołotę pod kraj lasu, skąd po kilku minutach zaczęła wysypywać się moskiewska piechota. Byliśmy jednak już poza linią jej strzałów, przynajmniej wiorstę oddaleni i po kilku minutach znajdowaliśmy się pod osłoną lasu, którego nam i Moskali, stojących pod przeciwnym nadgranicznym lasem, zasłonił.

Byłem zmęczony i smutny, bo mi się w pierwszym gwałtownym starciu mój najlepszy żołnierz i towarzysz z pierwszej nocy Maźniewski gdzieś zaniewieruszył. Lecz nie było czasu na sentymentalizm. Po słońcu jasno świecącym orientując się i wziąwszy kierunek wschodnio-północny, nad zmrokiem znalazłem się z oddziałem zmniejszonym do 81 ludzi w lasach do wsi Wiry lub Podkowa należących, a dając wypoczynek do północy i mając w szeregach ludzi z tą okolicą obeznanych, wyruszyłem w dalszą drogę; przecinając szosę w Skrzynnie, a Wartę przechodząc w Bębnowie, stanąłem w lasach do Dąbrowy należących. Marsz ten gwałtowny zdawał mi się zapewniać parodniowy wypoczynek i obfitsze przepędzenie świąt wielkanocnych. Była już bowiem wielka sobota i katolickie żołądki dopominały się różności kielbasianej, a te psy schizmatyckie, naprzekór wszystkim bulloom papieskim urządziwszy sobie jakiś cygański kalendarz, nie tylko że sami gwałtownie pościli pod opieką pułkowników, kapitanów i feldfebli, ale szczuci przez swych ascetycznych, bojaźnią Bożą tylko żyjących popów — i nas do poszczenia zmusili.

Wysłałem na piechotę jednego z moich żołnierzy, a to dlatego na piechotę, bo ani jednego konia nie było. Ciekawi, bo takich pod słońcem nie zbraknie, zaraz gotowi zapytać: a co się z kawalerią stało — ba, i z moją Kaśką. To im dokumentnie odpowiem, iż dnia 3 kwietnia 1863 roku w pierwszym gwałtownym starciu, widząc iż koni nie utrzymam z powodu gęstwiny, w jakiej się znajdowaliśmy, i że mogą nam być przeszkodą w tajnych poruszeniach, zszadzonym już poprzednio kawalerzystom kazałem uzdy za siodła zarzucić i zrobiwszy to samo z mą Kaśką, machnąłem ręką w stronę pola, a Kaśka zrozumiawszy mój rozkaz pomknęła z kopyta, pociągając jak dobry oficer swych towarzyszy za sobą; a nie będąc kozaczką i wiedząc, że dobra rasa każe się cenić, pomknęła naprzód, nie bratając się wcale z zabiegającymi jej drogę kozackimi końmi, i przebiegłszy kilka mil drogi wpadła z swymi towarzyszami na dziedziniec dworski w Rudnikach do p. Miączyńskiego czy Mączyńskiego, udającego już wówczas hrabiego papieskiego. Ten niecnota zamiast uszanować patriotyzm koński, którego się nie chciał bratać z Moskalami, i wynagrodzić

zmęczonych biedaków dobrym owsem i sianem, łądak ten, jak prawdziwy koniokrad, postąpił z nimi jak z dezertierami, tylko zamiast je nam odesłać — kazał je Moskalom oddać w Wieluniu. I na mojej Kaście paradował podobno p. generał Pomarancow. O tym łądactwie p. Mączyńskiego wiedziała organizacja województwa, gdyż o wydarzonym fakcie doniosłem natychmiast, lecz powiedzianym jest, iż kruk krukowi oka nie wydziobie, tak też i w tym wypadku się stało i organizacja, wobec spraw ważniejszych, przeszła nad końską sprawą do porządku dziennego, a ja z tym koniokradem nigdy się nie spotkałem. Dlatego swego wysłańca musiałem puścić na piechotę do Jastrzębca dla sprowadzenia żywności i dowiedzenia się o ruchu Moskali.

Gdy po czterogodzinnej nieobecności powrócił sam z próżnymi rękoma, jeszcze więcej jeść się nam zachciało, a gdy nam opowiedział, co mu pan rzadca majątku mówił o poruszeniach w komendach wieluńskiej i sieradzkiej, które po wypadku w Zagórze wszędzie są, rewidują, biją i chłopów badają, widziałem, iż „pan wokumon“ albo w piętę goni, albo straszy drugich, i postanowiłem go o zmroku odwiedzić, jeżeli przed zmrokiem, to jest o 6-ej wieczór, nie przywiezie zapowiedzianego pożywienia.

Kilka godzin przeszło niecierpliwego oczekiwania, wysłany patrol na kraj lasu od strony Jastrzębca powrócił z wiadomością o krzykach we wsi i o czatach kozackich przed wsią rozstawionych, trzeba się było wynosić nie czekając możliwego napadu. Jeść się chciało, ale co robić, trzeba było o tym chwilowo zapomnieć; ale gdzie iść, mogąc się natknąć wszędzie na Moskali, gdyż wiadomości p. rządcy zaczęły mi się wydawać prawdopodobniejszymi.

Za nic nie chciałem nowego starcia; uważałem pozostałych 80 ludzi za kadry większego oddziału, którego przygotowawcą organizację prowadziłem. Z zapewnień komisarza Szachowskiego wiedziałem, iż w drugiej połowie kwietnia rozpocznie się większy ruch zbrojny w całym województwie, i dlatego postanowiłem uciekać i chować się, aby doczekać tych lepszych czasów. Dlatego wolnym marszem, ciągle się lasów trzymając przybyłem około północy do lasów pod Kleszczowem, zbliżając się do kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i odsuwając od działalności komend Sieradza i Wielunia. Noc spędziliśmy niespokojnie, nic w ustach prócz wody od 48 godzin nie mieliśmy. W spokojnym zachowaniu się po tak przedłużonych suchotach zaczyna mdlić w żołądku; w życiu czynnym, a takie prowadziliśmy, bośmy w tym czasie stoczyli bitwę z jej rozmaitymi emocjami i zrobiliśmy

piechotą z 10 mil opętanych, organizm wycieńcza się szybciej, a żołądek jako dobry gospodarz dopomina się swej właściwej pracy, gdy mu na niej zbywa — sam się przerabia i następują bolesne skurcze; tego zaczęliśmy na sobie doświadczać. Nie było co dłużej czekać, za każdą cenę trzeba było zdobyć pożywienie; ruszywszy około południa z naszego legowiska, zawsze lasami i często odpoczywając przybyliśmy około 4-ej po południu 5 kwietnia 1863 r. do jakiegoś niewielkiego dworu szlacheckiego.

Gdyśmy przed nim stanęli, spotkała nas poważna jakaś matrona polska, jakich u nas na szczęście jeszcze nie brakuje, z dwojgiem bodaj wnucząt i z dosyć przystojną młodą kobietą funkcje nauczycielki w tym domu pełniącą, a gdy powitawszy ją przedstawiłem jej nasz stan rozpaczliwy, w kwadrans zaledwie, rozlokowani na klombie przed dworem, jedliśmy — z początku umiarkowanie przy mej baczej przestrodze, a następnie z wilczym apetytem, z wzrastającym humorem, dziękując tym sposobem zacnej polskiej gospodyni za jej gościnność, a zarazem przekonywująco pokazując, iż sztuka jej kulinarna zyskała nasze całkowite uznanie. Zapasy przygotowane na Wielkanoc przez zacną gospodynię domu zostały po paru godzinach prawdziwej uczyty spalaszowane i pochłonięte przez moją wiarę, która barszkując już nieco z mazurkami i jakimiś połamańcami, stanowczo oświadczyła, że warto przez trzy dni pościć dla zyskania podobnej uczyty.

Podziękowawszy gospodyni domu, bodaj z nazwiska pani Grabińskiej, a wdowy, jak mi później mówiono, po oficerze sztabowym z 1831 r., tak za gościnne przyjęcie jak i obfite zaopatrzenie nas na przyszłość, a po jej oddaleniu, gdyż z powodu wieku i wzruszenia czując się osłabioną wkrótce nas opuściła, pozostałem z towarzyszami, a dozwoliwszy im kilkugodzinnego odpoczynku wyruszyłem z tego gościnnego domu nad ranem dnia 6 kwietnia 1863 r. w kierunku między Czystochową a Pajęczno i gdzieś w lasach nad Liswartą stanąłem.

Stałem w lasach tamtejszej okolicy bodaj przez jeden dzień tylko, przesuając się z stanowiska na stanowisko z powodu tropiącej mnie po lasach Moskwy, zaopatrywany w żywność zapasami wielkanocnymi najprzód przez p. Rutkowskiego, którego syn w trzy miesiące później jako waleczny porucznik mej kawalerii zginął odważnie w jednej z następnych potyczek, a następnie przez jakiegoś walnego księdza proboszcza, który po gościnnym i obfitym przyjęciu oddziały na plebanię mnie specjalnie ofiarował swoją dubeltówkę, nabitą przy mnie przez niego poświęconymi kulami, zapowiadając stanowczo, że nimi schizmatyka Moskala z pewnością zabije; a przy tym jak

prawdziwy facecjonista prawil mi dosyc rubaszne komplementa, ktor-
zych przebijajacym sensem byla radość z wyroku nad tym bezbożni-
kiem, pastwiacym się nad poświęconą osobą ks. proboszcza z Kłobucka.

Wsadziwszy oddział na 10 parokonnych furmanek, a sam wsiadł-
szy na proboszczowską bryczkę z odnalezionym przed kilku godzi-
nami zdrowym Maźniewskim, z powodu nieposiadania ani jednego
konnego kawalerzysty — sam jako szpica przed oddziałem na jakie
sto kroków, poprowadziłem na Pajęczno w stronę Szczercowa, aby
osobiście dopilnować przygotowującej się reorganizacji oddziału.

Fatum jakieś nieprzychylne ciążyło widocznie tej nocy nad moją
osobą, zaledwieśmy bowiem oddalili się o jakie pół mili od probostwa,
gdy nastąpiło jakieś raptowne gibnięcie, następnie lecenie w powie-
trzu, potem koziołkowanie po krzakach, a nakoniec klapnięcie buzią
w błoto, uwieńczone spadającą i przykrywającą mnie bryczką. Od-
czułem trzeszczenie mych gnatów i gwałtowną febrę; dzwoniąc zę-
bami czekałem chwil parę, nim ze mnie zdjęto to przeklęte nakrycie,
a po jego zdjęciu i postawieniu mnie na nogach zauważyłem z ra-
dością, że gnaty są w porządku, tylko zęby — szczekotała mi febra.
Wyjawszy z ziemi zagłębioną w niej do połowy luf (a ziemię z nich
usuając kilkorazowym uderzeniem pięści) ową nabitą mi przez pro-
boszcza dubeltówkę, wspomagany przez ludzi a głównie windowany
przez Maźniewskiego, stanąłem nad brzegiem starego koryta Warty,
stok której stanowił szarpę drogową. Gdy wszystko dosyc zdrowe i
całe prócz obłocenia przyprowadzone zostało do dawnego porządku,
wsiadłem z Maźniewskim na bryczkę i przodem ku Pajęcznu poje-
chałem, a szczekoczące gwałtowną febrą zęby mimo porządnego łyku
wódki pozostawiały ślady przebytej katastrofy. W parę godzin, wjeź-
dzając w rynek Pajęczna, powitany zostałem hasłem moskiewskim
„stoj — kto idiot“. Zaledwie zdołałem odciągnąć półkurcza i zrzucić
z brantek pokrywające pakuły, gdy przyskoczył szylldwach moskiew-
ski i przyłożył mi bagnet do piersi. Nie było co czekać, pociągnąłem
za cyngle — i dwa prawie jak jeden gromy padły w pierś moskiew-
ską. Wyskoczyłem z bryczki, rzucając się pędem do nadjeżdżającego
oddziału, aby go nawrócić i tym samym nie wpuścić w środek nie-
znanej siły. Gdym go wyprowadził za miasto i odprawił wszystkie
furmanki do domu, cisza panująca w miasteczku wydała mi się dosyc
dziwną, karabin podniesiony i zdarta ładownica przez Maźniewskiego
wskazywały bytność Moskali, a cisza panująca bez sygnałów i roz-
gwaru, jaki im towarzyszy, wśród ciszy nocnej zawsze dosłyszany,
rodziła podejrzenie, czy się jakiegoś głupstwa nie zmaloowało.

Zostawiwszy oddział w ciemności o paręset kroków w tyle, wziąłem Maźniewskiego z sobą i zbliżywszy się do najbliższego domku podmiejskiego, a cichym zapukaniem w okno wywoławszy gospodarza do drzwi, dowiedziałem się, iż przed samą północą przybyły do miasteczka dwie roty piechoty i kilkadziesiąt kozaków, że całą piechotę rozkwaterowano w domach rynek stanowiących, a kozaków w zajazdach tamże położonych, i że Moskale, zdawało się, byli bardzo zmęczeni. Dowiedziawszy się tego, reszty się domyśliłem: zmęczeni wystawili jednego tylko szyldwacha, albo w pierwszym śnie nie słyszeli wystrzału, albo rozdzieleni zabarykadowali się w domach z obawy nocnego ataku. W tej chwili wróciłem do oddziału, a obszedłszy z nim z dala miasteczko dobiłem się lasów kaszewickich pod Szczercowem na drodze.

Dowiedziawszy się o formowaniu oddziału Cieszkowskiego w Broszęcinie, chciałem się z nim widzieć osobiście, ażeby się naradzić i porozumieć co do wspólnego na przyszłość postępowania, bo brak naczelnej komendy w województwie, a z nim samoistne działanie pojedynczych dowódców bez porozumienia i bez z góry określonego programu działania może tylko spowodować nieuniknione klęski. Tymi myślami zajęty i łamany febrą przybyłem nad wieczorem do Broszęcina.

Przywitawszy się z Cieszkowskim serdecznie, powiedziałem mu, z czym do niego przybyłem, a krytycznie podnosząc słabe strony naszej organizacji wojskowej przedstawiłem mu niezbędną potrzebę wspólnego działania i wzajemnego niesienia sobie pomocy. Ten langiewiczowski pułkownik, osobiście odważny i serdeczny człowiek, nie znosił żadnego munsztuka, żył tradycją wichur dawniejszych, zaczerpniętych z niektórych powiastek, i nie mógł zrozumieć tego prawa mechaniki, że obrót masy to siła, przez którą roztrącane są pojedyncze mniejsze masy. Utrzymywał, że na lotności partyzantka się zasadza, a gdym mu w tym nie przeczył i na mojej działalności opierałem ten pewnik, utrzymując, iż po porozumieniu się co do wspólnego działania zasada lotności partyzanckiej nie straci, lecz przeciwnie — zyska, lotność jej bowiem nie będzie się nieraz zwracać niepotrzebnie ku chmurom, lecz znajdzie zawsze cel oznaczony, wtenczas mój p. pułkownik, znudzony i nieco zirytowany, zapowiedział mi stanowczo, że jego sposób działania wymaga bez ograniczenia żadnymi zobowiązaniami — swobody. Na to nie mogąc już nic odpowiedzieć przerwałem pogadankę i poprosiłem go o herbatę lub wódkę, z którą zażywszy chininę, zaczęliśmy z sobą jak prawdziwi filistrzy prawić o sprawach nie wartych nawet kopnięcia nogą.

Znudzony bowiem tym przelewaniem pustego w próżne, a dowiedziawszy się w przerwie naszej rozmowy raportem podoficera, donoszącego o wykonaniu wyroku i powieszeniu dwóch chłopów w Radoszewicach, o zaalarmowaniu okolicy, zapytałem go wręcz, jakie ma siły obecnie, na co mi odpowiedział, że do trzydziestu ludzi. Oświadczyłem mu, że bardzo źle zrobił, iż w chwili formowania oddziału wykonując wyrok choćby najsprawiedliwszy zaalarmował tym samym Moskwę, a sobie, a co bardziej formującemu się oddziałowi może zgotować niezbyt przyjemną niespodziankę, od której może się uchronić natychmiastowym wyjściem z oddziałem. Gdy mi wręcz odpowiedział, iż tego nie robi, na moje zapytanie, dlaczego nie, a nawet na moje prośby i przekładania przyrzekł mi tylko wysłać natychmiast broń i amunicję w bezpieczne miejsce, co też i uczynił, a ja znudzony febrą i niepotrzebną gawędą z narwańcem rzuciłem się na sofę i snem kamiennym zasnąłem.

Nad ranem około 4-ej 8 kwietnia obudziłem się wypoczęty i rzeźwiejszy. Maźniewski, który już nie spał a może i wcale się nie zdrzemnął, siedział obok mnie na fotelu; kiedy go zapytałem, czy Cieszkowski wyszedł, gdyż mi przyrzekł, że nad rankiem to zrobi, odpowiedział mi, że od paru godzin chodzi nieustannie po sąsiednim pokoju. Wszedłem do niego, był ubrany jak na paradę: węgierka szamerowana spięta złocistym paskiem od pałasza, świecące, lakierowane węgierskie buty na opiętych łosiowych spodniach i wysoki bobrowy kołpak z wyższą jeszcze kitą — stanowiły kostium, ale zapomniałem o najważniejszej jego części, a raczej jego ozdobie, uwidoczniającej jego stanowisko pułkownikowskie — była to wstęga dwukolorowa przewieszona przez ramię i piersi i na biodrze spięta kokardą, przynajmniej pięć cali szeroka, za której cenę można by śmiało kupić parę dobrych karabinów.

Gdym go zapytał, dlaczego nie wyszedł z oddziałem lub dlaczego przynajmniej teraz nie wychodzi, odpowiedział mi, że robi to w chwili, gdy będzie to uważał za słuszne. Gdym pożegnawszy go wyszedł przed ganek, około którego zebranych było ze trzydziestu bezbronnych ludzi, usłyszałem wystrzał na forpocztach, a zwracając się do Cieszkowskiego rzekłem: „Gdybym był pod twą komendą, zostałbym z tobą, obecnie nie, gdyż i na mnie mój oddział czeka, ale jeżeli pozwolisz, wezmę z sobą tych bezbronnych ludzi i wyprowadzę ich, bo oni tutaj niepotrzebni“. Na zgodną odpowiedź „weź ich“ — podaliśmy sobie ręce i pożegnaliśmy na zawsze; w kilka minut poza tyłami domu i ogrodu dopadliśmy do bliskiego lasu, a widząc i słysząc

strzelaninę przy dworze, natychmiast rzuciłem się na tyły lewego skrzydła moskiewskiego i po największej części niesiony bądź przez Maźniewskiego jak dziecko na rękę, bądź na zrobionych noszach przez dwóch ludzi, przybyłem nad wieczorem do obozu w Bachorzynie.

Niedługo, bo nazajutrz doszły mnie smutne wieści o losach Cieszkowskiego i jego w zawiązku będącego oddziału. On z odwagą wartą przyjaźniejszej chwili, na koniu, a zatem lepiej się prezentujący, wstrzymał z dwudziestu paru strzelcami uzbrojonymi w dubeltówki i trzema w karabiny Miniego z nożowymi bagnetami — napór kozacki, a ciężko ranny uprowadzony został przez adiutanta swego Siemińskiego do Olesia¹⁾, gdzie przez kozaków dobitym został. Co się zaś stało z torbą i zamkniętymi w niej kilku tysiącami rubli, które jeszcze pozostały z przydzielonych mu pieniędzy, wziętych przez niego na komorze w Sosnowicach, o tym nic pewnego nie wiadomo, chodziły posłuchy, jakoby znikły razem z odchodzącym od swego pułkownika adiutantem Siemińskim.

Około 10 kwietnia 1863 r., zaopatrzywszy oddział w żywność, polecając Maźniewskiemu zająć oddział wyrobieniem surowej amunicji na ładunki do karabinów moskiewskich i przysposobieniem drzewiec do kos i lanc, zdawszy mu komendę nad oddziałem, wyjechałem z obozu, aby się porozumieć z komisarzem Szachowskim w sprawie organizacji w Piotrkowskim.

Znalazłem go w Niechmirowie u państwa Olszowskich i od niego dowiedziałem się o wypadkach w Pajęcznie. Moskwa rzeczywiście po mym wystrzale zabarykadowała się w domach i w nich została aż do dobrego świtania, nie chcąc nawet wpuścić do domu czołgającego się rannego żołnierza, proszącego o odrobinę wody. Biedak ten umarł już za białego dnia po złożeniu raportu swemu „naczalstwu“, że przejeżdżało przez rynek bryczką dwóch panów, a zatrzymani przez niego nic nie mówili, tylko jeden wystrzelił do niego, wyskoczył z bryczki i uciekł w ulicę, a drugi, obdarłszy go z ładownicy i podniósłszy z ziemi karabin, także uciekł za pierwszym, a za nimi i bryczka. Ten prosty i prawdziwy raport służbowy, po którym biedak niedługo umarł, zbawił miasteczko jeżeli już nie od spalenia, to przynajmniej od rabunku i znęcania się nad spokojną ludnością. Prawda, iż jeszcze wówczas nie rządził system murawiewowski i z nim wprowadzona cała wścieklizna moskiewska, jeszcze i p. Katkow namyślał się nad określeniem roli, w jakiej niedługo wystąpił, liberalny oswobodziciel narodu odczuwał jeszcze czasami niesmak na widok podłej

¹⁾ Nazwa zniekształcona, prawdopodobnie Leśniaki, przyp. wyd.

kanalii u nóg mu się włóczącej, a wobec głupiego Zachodu i jeszcze głupszych demonstracyj udawał jeszcze liberalnego; ha, wszystko się później nieco zmieniło, ale Pajęczno ocalało od spalenia i rabunku, a Moskałe wówczas nie dowiedzieli się, że był w miasteczku oddział partyzancki. Porozumiawszy się z Komisarzem co do terminu powołania ludzi na punkta zborne celem wzmocnienia oddziału i mając zapewnioną przez niego pomoc władz organizacji cywilnej, wróciłem do oddziału w parę dni później, a znalazłszy wszystko w porządku zająłem się wyrobieniem planu postępowania dla mającej nastąpić wzmacniającej formacji oddziału. Ale ta czynność należy do drugiej części mego opowiadania, ta zaś część, którą opowiedziałem, przedstawia w znacznej części odrębną charakterystykę od reszty powstania, której należałoby choć treściwie zestawienie poświęcić.

A naprzód wybuch powstania; ta chwila, najważniejsza w każdym powstaniu, od pomyślnego rezultatu której zależy zwykle i pomyślny los powstania, nie była wynikiem woli rządzącej i przygotowującej wybuch organizacji naczelnej, która na podstawie danych pewnych stanowczo wybuch zarządza, lecz nastąpiła w drodze kompromisu, w chęci utrzymania się przy tak nazwanym kierownictwie, parta przez organizację m. Warszawy, która, nie mając pojęcia o sile organizacji prowincjonalnej i o środkach do powstania przygotowanych, zmusiła ją do ogłoszenia edyktu powstańczego pod grozą zwalenia ich z zadawalniającego miłość własną przyjemnego kierownictwa. Gdyby to parcie z dołu odbyło się dwa lata pierwej, a więc nie wypalone gorączką kościelno-demonstracyjną, gdyby dzień 27 lutego 1861 r. nie był twórcą komitetu pogrzebowo-obywatelskiego, ale zawiązkiem choćby junty warszawskiej, wówczas dola poruszenia się śpiącego długie lata niewolnika mogła być inną, bo i okoliczności były inne. A jeżeli wówczas na zwariowanego Nowakowskiego znalazł się tak nazwany „chrystusowy“ Ruprecht, któren go ukołysał, dlaczegóż i na edykt powstańczy nie znalazło się słowo zaklęcia!

To sforsowanie bowiem naczelnej władzy do ogłoszenia edyktu było powodem jednym z najważniejszych popełnienia różnych głupstw i niedokładności, które się przez całe powstanie prawie zasadniczo popełniały, a które wykazywały, że z rządem słabym i nie mającym ani stałej zasady, ani jasno sformowanego programu nikt się serio rachować nie potrzebuje, masy bowiem — tak dobrze, jakby o nim nie wiedziały. To małe mieszczaństwo, dla którego ów rząd tajemniczy był rodzajem kabały, niby go słuchało, bo myślało, że on był ich reprezentantem, i słuchało go aż do czasu, bodaj za długo, do

czasu prysnięcia czaru tej tajemniczości, bo w końcu zobaczyło przez kulisy bardzo od nich oddalone, a raczej domyśliło się, iż poza tą spuszczoną kurtyną inna ręka gospodaruje — nie ta, którą odczuwało, że idzie z nimi, związana z ich pojęciami i dążnościami. I nie myliło się: od czasu nieszczęsnej dyktatury i pozornego przystąpienia do powstania organizacji białych, już dla ludzi więcej wtajemniczonych w sprawy naczelnego zarządu nietajnym było, iż ta partia białych, nieźle zorganizowana już za czasów Towarzystwa Rolniczego, której do działania brakło zarodu siły i mogła być tylko bierną, a nawet w negacji brakło jej niezbędnej odwagi cywilnej, pod wpływem dyrektywy, przesłanej jej z Hotelu Lambert, oblekwszy się w suknię czynnego patriotyzmu weszła do akcji i zawładnęła niemal całą organizacją prowincjonalną, zadowolniając się wprowadzeniem do naczelnego zarządu ludzi swych pojęć i zasad; sama bowiem nie chciała tak blisko znajdować się Tarpejskiej skały, przyzwyczajona bowiem do obszernych i wygodnych kołnierzy u swych koszul domowych, czuła widoczny wstręt do ciasnych kołnierzyków konopnych. To nie dla niej — to dla tych, których doprowadziła do zaszczytu pod tymi to aspiracjami. Ludzie, dla których ruch czynny, zbrojny był widmem sen im kłóącym, którzy przez dwa lata negacji swej biernej stawiali zaporę tak projektom Wielopolskiego, jak i partii ruchu, ci ludzie, niby rozważni statyści, zapomniawszy nauki Pitagorasa — o loice bowiem nigdy chyba nie słyszeli — zrobili skok, którym palili mosty za sobą, i stworzyli rodzaj konfederacji.

II. KWIECIEŃ (druga połowa), MAJ, CZERWIEC

NA CZELE SIĘ ZBROJNYCH

POWIATÓW PIOTRKOWSKIEGO I WIELUŃSKIEGO

Rychłocice, Koniecpol, Przedbórz, Trzepnica, Skotniki

Pisząc o przebiegu tej części powstania w województwie kaliskim, starać się będę jak najobiektywniej ją przedstawić, pomijając ludzi, o ile ich czynności nie związały się z zaszłymi wypadkami, i przede wszystkim mając na względzie, że ścisła krytyka wypadków może posłużyć młodszemu pokoleniu, dla którego specjalnie piszę, do wzięcia tego materiału pod uwagę i ustrzeżenia ich od głupstw, przez jakie my przechodziliśmy.

W drugiej połowie kwietnia 1863 r. ruch zbrojnych oddziałów pokazywał, że przygotowawcze prace, prowadzone przez nieboszczyka

Bronisława Ruckiego, a następnie przez organizację pod kierunkiem Stanisława Szachowskiego w porozumieniu się z organizacją poznańską, wydadzą poważniejsze siły zbrojne, lepiej uzbrojone i zorganizowane, które by mogły postawić powstanie w Kaliskim na przodującym miejscu w całej Kongresówce.

A naprzód w połowie kwietnia 1863 r. wszedł z Poznańskiego oddział pod nominalnym dowództwem Taczanowskiego, a faktycznym Strzeleckiego i zajął Pызdry, a zorganizowawszy się i wzmocniwszy bronią i ochotnikami powiatu konińskiego, po zwycięskich potyczkach pod Pызdami i Kołem uległ przewadze sił moskiewskiej gwardii pod generałem Krasnokuckim w bitwie pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r., gdzie po śmierci Strzeleckiego rozsyłał się.

W kilka dni po wkroczeniu do Pызdr oddziału Taczanowskiego, a zatem około 20 kwietnia stanęły prawie równocześnie pod bronią oddziały:

1) Powiatu kaliskiego pod dowództwem Parczewskiego, który po trzydniowym zbieraniu się i czysto konfederackim sejmikowaniu, zakoczony zniemacka przez trzy rotę piechoty i sotnię kozaków, ulotnił się pozostawiając na placu jedyne go zabitego — mego uczciwego grubasa Gałęckiego. Gdyby nie ten biedak, mógłby być ściśle zastosowany dwuwiersz z farsy pod tytułem „Siedem córek pod bronią“: „skoro tylko wódz nasz skinął — wszyscy pierchli, nikt nie zginął“. Za to zginęło szlachcie powiatu kaliskiego przeszło sto zaprzęgów do kolasek, bryczek i wózków, napełnionych spiżarnią obywatelską i taką ilością futer paradniejszych i mniej honornych, a to stosownie do ilości włók, posiadanych przez właściciela futra. Wybrała się bowiem ta hołota obywatelska zupełnie na wzór hołoty kokoszej, tylko że za plecami jej nie stał dla ochrony wielki Jan Tarnowski, zwycięzca spod Obertyna, i nie było już nawet Kmity szermującego językiem (jak nasi dzisiejsi secesjoniści) przed dobrym królem Zygmuntem I, lecz szła do nich nieoskrobana Moskwa, nie znająca się na parlamentarzmie obywatelskim.

2) Powiatu sieradzkiego pod dowództwem Napoleona Urbanowskiego, młodego o bujnym wąsie jednorocznika pruskiego i inżyniera, który zgromadzonych ludzi stosownie do broni w kompanie porozdzielał, komendantów im powyznaczał i wszystkie kałamaszki, jako utrudniające pochód oddziałowi partyzanckiemu, do domów napędził, jednym słowem, co umiał i mógł — robił. Kiedym w cztery czy pięć dni po jego sformowaniu się przyjechał do jego oddziału otoczonego przez Moskwę w lasach szadkowskich, aby ten oddział

z matni wyprowadzić, znalazłem w nim względny porządek i spokój, a dokonany pod mym kierunkiem marsz nocny, osiem godzin z jednym, godzinnym wypoczynkiem trwający, cichy i bez maruderów, pozwalał mi przypuszczać, iż z materiału tego można będzie coś ulepić.

Gdym go z osaczającej Moskwy wyprowadził i oddalił się do mojej osobistej formacji, dowiedziałem się, iż w trzy dni potem oddział ten stanąwszy pod Konopnicą wysłał z niewiadomej przyczyny jeden pluton strzelców do spalenia mostu na Warcie, a gdy go podpalono i niszczone (diabli wiedzą, po co i na co) nadeszła słaba rota piechoty moskiewskiej od strony Wielunia, a widząc przy oświetleniu kilkudziesięciu ludzi, cicho podeszła i dając do nieprzygotowanych ognia kilku zraniła i zabiła, a resztę spłoszonych rozproszyła. Oddział o wiorstę w lesie obozujący, spłoszony strzałami, a następnie krzykiem rozproszonego plutonu, wśród ciemnej nocy rozsypał się po lesie, a Urbanowskiemu udało się zaledwie nad ranem przy pomocy kilkunastu ludzi, którzy przy nim zostali, zebrać po lesie zaledwie połowę broni palnej i siecznej przez uciekinierów poporzucanej i zachować ją w lesie — i to tylko dzięki ostrożności moskiewskiej, którzy po bohaterskim zuchwalstwie dokonanym przy moście, nie chcąc narażać się na guza, pospiesznym marszem cofnęli się do komendy w Wieluniu, aby poszczycić się trofeami zwycięstwa.

Tak więc i drugi oddział poszedł na marne, gdyż i kawaleria sieradzka szybkim marszem w różne strony połączyła się z ogniskami domowymi, zachowując swe bohaterstwo do lepszych czasów, a Urbanowski syt sławy wyjechał za granicę.

3) Powiatu wieluńskiego pod dowództwem Aleksandra Lütticha, który w kilka dni, spędzonych na wstępnej organizacji oddziału, dał się niespodzianie podejść Moskwie wieluńskiej pod dowództwem majora Pisarenko, a pobity przez nią pod Działoszynem wycofał się z pozostałą mu jeszcze połową oddziału i organizując swe siły po drodze — złączył się z mym oddziałem w początkach maja 1863 r. gdzieś w okolicach Przyrowa w sile 250 ludzi i przeszło dwa miesiące wspólnie dołądzieliliśmy.

4) A na koniec wzmocniony oddział powiatu piotrkowskiego pod moją komendą, którego organizację prowadziłem od dwóch tygodni i z wyznaczonych przeze mnie czterech punktów zbórnych tymczasowych ściągnąłem ludzi pod komendą wysłanych na nie oficerów i podoficerów na punkt zbórny główny do Lubca pod Szczercowem;

zorganizowawszy go i uzbroiwszy, co mi przyszło łatwiej, gdyż kadry były gotowe z pozostałego dawnego oddziału, — przeszedłem kolej żelazną i ponad Pilicą oddział ćwiczyłem, gdzie i Lüttich się przyłączył.

Takie więc oddziały powstały w drugiej połowie kwietnia 1863 r. w województwie kaliskim, a obliczone co do siły z przypuszczalną ścisłością, uwidoczniają jak na powstanie 1863 r. wcale poważną cyfrę, a mianowicie:

powiat	strzelców	kosynierów	kawalerii
koniński z Poznańskim	650	600	150
kaliski	300	300	100
sieradzki	150	250	80
wieluński	200	250	60
piotrkowski	300	300	52
razem	1600	1700	442 = ludzi 3742

Gdyby te siły zorganizowane zostały pod doświadczonymi oficerami i miały nad sobą odpowiedniego i energicznego komendanta, to ta mała dywizja, ulatniając się przed przeważnymi siłami i ćwicząc się w mustrach i służbie obozowej, mogłaby już po miesiącu pracy wstępnej działać z pewnym powodzeniem bądź pojedynczymi kolumnami, bądź zmasowaną siłą pod naczelną komendą; i jeżeliby nawet nie odniosła pomyślniejszego rezultatu, co jest bardzo wątpliwym, gdyż siły moskiewskie w tym województwie nie mogły rozporządzać do akcji czynnej wiele więcej nad 3000 ludzi, nie mogąc pozostawić miast powiatowych i nagromadzonych tam materiałów wojennych bez dostatecznej osłony, to w każdym razie, mogła mieć szanse lepszego zorganizowania się, wyćwiczenia i skompletowania rzeczywistej dywizji, którą każde województwo przy dobrej woli i odrobinie energii mogło wystawić z łatwością.

Losy czy chciały, czy też niebaczność i niedołęstwo nasze (co pewniejsze) tak zrzędziły, iż w chwili wystąpienia tej konfederacji na scenę życia akcja wojenna nie miała swego reprezentanta głównego, a podrzędni, jakeśmy widzieli z poprzednio opisanych wydarzeń, nie dorosli do swych stanowisk. Może to byli ludzie zacięci o najlepszych chęciach, może w toku dłuższego działania pod rozumniejszą komendą, zyskawszy coś doświadczenia, wyrobiliby się na dobrych i samoistnych oficerów, ale nieszczęście chciało, iż zostali od razu upieczeni na samoistnych naczelnych wodzów znaczniejszych oddziałów, nie przeszedłszy poprzednio w praktyce szkoły żołnierza, a tym mniej szkoły porucznika. I dlatego też z tego zawiązku dywizji pozostały

już w pierwszych dniach maja 1863 r. zaledwie zawiązki brygady: Taczanowski, na kraju zachodnio-północnym województwa w pobliżu Kujaw, i ja (po porzuceniu się Lütticha), w południowo-wschodniej części województwa między Pilicą a Wartą organizujący oddział. Do trzydziestu mil nas rozdzielało!

6 maja 1863 r. otrzymałem od komisarza Szachowskiego pismo, którym zawiadamiał, iż przeciw Taczanowskiemu wysłaną została gwardia z Warszawy w sile dwóch batalionów piechoty, jednego szwadronu huzarów i dwóch dział, pod dowództwem generała Krasnokuckiego, z którym ma wspólnie działać generał Bremer z częścią wojsk swej dywizji, i wzywał mnie do niesienia pomocy Taczanowskiemu.

Jak wspomniałem, przegradzała nas przestrzeń przynajmniej mil trzydziestu, lecz w kilka godzin, zgromadziwszy do 100 furmanek dwu i czworokonnych, wsadziłem całą piechotę na takowe, a zatrzymując z kawalerii tylko jeden pluton, resztę wolniejszymi marszami posłałem pod komendą rotmistrza Maliszewskiego przodem w kierunku na Pławno i Widzów; doszedłem po 36 godzinach marszu do Radoszewic, gdyż furmanki sprzed kolei odesłałem do domów. Kilka godzin wypocząwszy i posiliwszy oddział, na zgromadzone przez ten czas furmanki wsadziwszy znowu całą piechotę, z kawalerią na przodzie, rankiem 8 maja opuściłem Radoszewice, aby przeszedłszy na prawy brzeg Warty po moście w Rychłolicach — w kierunku na Widawę, Sędziejowice, Łask, Szadek, w okolicach Uniejowa dowiedzieć się o miejscu pobytu oddziału Taczanowskiego. Przeszedłszy z oddziałem na prawy brzeg Warty, zostałem wstrzymany w dalszym na furmankach marszu ogniem piechoty moskiewskiej, która ukryta w lesie o kilkaset kroków po prawej stronie drogi położonym obsypywała nas co prawda nieszkodliwym ogniem, ale jednakże kazała nam zsiąść z wozów i wziąć się do przeznaczonej roboty. Rozwinąwszy front równoległy do lasu, z którego ukryta Moskwa nas ostrzeliwała, i zostawiając kawalerię na prawym skrzydle tak dla możliwych ataków flankowych, jak i obserwacji mostu na Warcie, skąd można się było spodziewać nadciągnięcia Moskwy wieluńskiej, zarządzać miałem atak na ukryty front nieprzyjacielski, gdy strzały od strony mostu na Warcie i przybyły po kilku minutach ułan doniosły mi, że kolumna moskiewska z piechoty i kozaków złożona zbliża się do mostu, ciągnąc po drodze od strony Radoszewic. Dawszy rozkaz, aby kawaleria z frontem zwróconym ku rzece osłaniała ruch prawego skrzydła, zarządziłem jego jak i środka cofnięcie, a po przeprowadzeniu ich na

tyłach lewego skrzydła, frontem zwróconego do atakującego nieprzyjaciela, cofnąłem się z takowym, obsadzając kraj lasu od strony Widawy położonego. Cały ten ruch wobec atakującego z dwóch stron przeciwnika wykonany został w wzorowym porządku, jak na placu mustry, a straty nasze w całym tym półgodzinnym manewrowaniu, w towarzyszącej strzelaninie ograniczyły się na dwóch rannych strzelcach i jednym zabitym kawalerzyście (narodowości węgierskiej), którego porwany rodzajem wściekłości na widok rannego swego porucznika Józefa Zaremby rzucił się pojedynczo na kompanię piechoty moskiewskiej i po kilku machnięciach szablą zawisł podniesiony na bagnietach moskiewskich.

Osadziwszy kraj lasu łańcuchem tyralierskim z jednej kompanii, resztę zaś oddziału uformowaawszy w odległości paruset kroków w trzy kolumny atakowe, a kawalerię umieszczając po lewej stronie frontu ponad drogą, oczekiwałem zbliżającego się nieprzyjaciela, którego, po poprzednim złączeniu się kolumny wieluńskiej z sieradzką, w sile czterech kompanij piechoty i dwóch sotni kozaków po skrzydłach zbliżał się ku nam w kolumnach, pod osłoną kompanij strzelców w łańcuch tyralierski rozsypanych.

Kiedy z odległości pięciuset do sześciuset kroków kule moskiewskie zaczęły nam brzęczyć koło uszu, stojąc na linii mych tyralierów spojrzałem na tył, gdzie umieściłem me kolumny, a nie widząc ich, posłałem podówczas od dwóch dni galopena Wincentego Walewskiego, ażeby je odnalazł i na dawniej wyznaczoną pozycję wprowadził. Czekając kilka minut, dowiedziałem się od powracającego Walewskiego, że oddziału nie ma albo pod osłoną lasu rozproszył się, gdyż w głębinach leśnych, do których się zbliżał, słyszał szum i pojedyncze głosniejsze jakby nawoływania. Panika niczym nieusprawiedliwiona mogła była spowodować zniszczenie całego oddziału; trzeba było działać szybko i stanowczo, a przede wszystkim nie dopuścić spłoszonym wyjścia z lasu na otwarte pole, gdzie kupy uciekające mogły być z całą bezkarnością mordowane przez wybornych w takim wypadku kozaków. Trzeba więc było przede wszystkim uciekających dogonić, wstrzymać ich i choć w kupie utrzymać. Na szczęście miałem pod bokiem kawalerię, stojącą o paruset kroków w tyle lewego skrzydła. Dawszy więc polecenie Walewskiemu, ażeby poleciał w moim imieniu rotmistrzowi Maliszewskiemu przebiec las z szwadronem, wstrzymać uciekających z lasu i na polu, a pozbierawszy broń, prawdopodobnie w znacznej części porzuconą przez uciekających, uzbroić ich znowu i utrzymać w kupie pod nadzorem kawalerii; nadto poleciłem temuż

Walewskiemu, aby po odnalezieniu Lütticha kazał mu w moim imieniu zorganizować podług broni oddział i takowy trzymać zmasowany pod nadzorem z tyłu ustawionej kawalerii i, utrzymując ze mną łącznik za pośrednictwem plutonu kawalerii, utrzymywać się poza mną w odległości pięciuset kroków, kierując się odgłosem nieustającego ognia karabinowego. Wydawszy te rozkazy i kazawszy Walewskiemu pozostać przy oddziale dla ich dopilnowania, zapewniłem go na odjeźdźnym, że wstrzymam Moskali, i zwróciłem się do moich tyralierów.

Była to kompania złożona w połowie ze starych moich wiarusów, zahartowanych w kilku ogniach i wzwyczaionych do komendy, w pierwszym szeregu stojących, drugi zaś szereg stanowili nowozaciężni, lecz dobrzy strzelcy, obeznani z użyciem karabina; liczba ich wynosiła 82 ludzi. Gdy przechodząc po rozstawionym łańcuchu zalecałem im stanie twarde na stanowisku i ściśle wypełnianie komendy, przypominałem im ogień pod Kuźnicą Grabowską i zapowiadałem, iż dzisiejsza rozprawa może być równie gorącą, lecz z niej obronną ręką wyjdziemy.

A strzały nie ustawały, owszem, wzmagają się; front moskiewski zmienił się, w odległości bowiem jakich czterystu kroków od naszej linii dwie kompanie piechoty moskiewskiej osypywały nas gwałtownym ogniem rotowym, jakby przysposabiając atak, wspomagane silnym ogniem tyralierów po skrzydłach liniowej piechoty rozsypanych. Ruchy ich wolne, prawie w miejscu wykonywane, pokazywały jasno, że nie znają naszego krytycznego położenia, widziały bowiem zaledwie przed godziną oddział dosyć silny i stosunkowo nieźle uzbrojony, posyłający im w zamian ołów karabinowy, wykonujący manewra w otwartym polu spokojnie i dosyć prawidłowo, i nie wiedziały zgoła, co się z nami stało pod osłoną lasu.

Trzeba ich było w tym dobrym o nas mniemaniu jak najdłużej utrzymać. Staliśmy więc twardo, a raczej leżeliśmy na naszej pozycji jeszcze z pół godziny, zamieniając nasze rzadkie, lecz skuteczniejsze strzały z rozwiniętymi frontem rotami moskiewskimi, i dopiero na odległość paruset kroków, gdy rotę rozwiniętą sformowały się w kolumny atakowe, a linia tyralierów wysunięta przed skrzydła swych kolumn zagrażała obejściem naszego frontu, wówczas gwizdem świstawki nakazałem pospieszny odwrót, a po kilkuset krokach takiego marszu, znalazłszy łąkę las przecinającą ze sto kroków szerokości, po przejściu jej — kraj lasu zwartego strzelcami obsadziłem.

Odpoczęliśmy dobre pół godziny i urządziliśmy się na naszym nowym stanowisku, zanim patrole piesze na nim nas odnalazły,

a drugie pewno pół godziny upłynęło, zanim nadciągnęły kolumny moskiewskie nad łąkę, — a o mym uciekłym oddziale nie miałem żadnej wiadomości.

Tymczasem Moskwa, sformowawszy front równoległy do naszego, tylko że głębszy i zwarty, zajmwszy kraj lasu przeciwnie, rotowym ogniem gwałtownie nas zaczęła osypywać, a mając przynajmniej sześciokrotną przewagę żołnierza pod względem ilości, na tej samej przestrzeni zgromadzonego, dawała nam poznać przedsmak gwałtowności ognia z dzisiejszej broni odcylcowej.

Jakkolwiek ukryci poza drzewami i tylko do strzału wychylający się i mimo że połowa prawie ludzi strzelała leżąc na ziemi, aby uniknąć pocisków w pas człowieka kierowanych, ogień ten był tak morderczym, iż nie upłynęło pół godziny, kiedy z liczby 82 ludzi stanowiących całą naszą siłę zginęło lub ciężko rannymi zostało 10 ludzi. Chodząc po linii tyralierskiej miałem ten pech widocznie, że mój sprowadzał nieszczęście dla żołnierzy, przy których się zatrzymywałem: czy zauważono spacerującego człowieka i domyślano się w nim oficera, czy też jadący konno krok w krok za mną adiutant Tadeusz Bocheński, dzielny młodzieniec, zwracał ku sobie lufy karabinów — nie wiem, bo czasu nie było na podobne obserwacje, ale faktem było, iż żołnierze padali, a ja z tego ognia wyszedłem obluzgany krwią i mózgiem padających na mnie żołnierzy.

Po jakimś półgodzinnym ogniu Moskwa pod osłoną skrzydłowego ognia rotowego wykonała dośrodkowy atak dwoma kolumnami kompanijnymi, a przygotowani moi strzelcy na ten wypadek — takim gwałtownym i celnym ogniem powitali wypadające z lasu kolumny, iż te, pozostawiwszy kilkunastu zabitych na łączce, zawróciły pędem do lasu.

Po kilku minutach rozpoczął się drugi akt działania na łączce, dobrze zbielejącej wyrzuconymi gilzami, — w początku gwałtownym ogniem rotowym, w końcu atakiem kolumnami, zakończony, jak i poprzedni, ucieczką Moskali do lasu. W kilka minut potem, kiedy uparci Moskale zastąpili swój zdemoralizowany środek skrzydłowymi kompaniami i rozpoczęli nas znowu rotowym ogniem osypywać, przybył do mnie ówczesny galopen, a po bitwie zamianowany porucznikiem i adiutantem Wincenty Walewski i doniósł mi, iż oddział częściowo, bo w sile zaledwie 400 ludzi został zgromadzony i uszykowany o parę wiorst drogi poza moimi plecami, a znajdujący się przy nim Lüttich czeka na dalsze rozkazy.

Gdym mu polecił, żeby zebrany oddział natychmiast mi przypro-
wadził urządzając z kosynierów dwie kolumny zwarte półplutonowe,
które postawić należy w odległości dwustu kroków poza skrzydłami
mego frontu, a strzelców w kolumnie także półplutonowej zmasowa-
nych ustawić o trzysta kroków poza środkiem mego frontu, — ob-
szedłem mych strzelców zalecając baczność, gdyż po odparciu spodzie-
wanego trzeciego ataku uderzymy z kosynierami na uciekających
Moskali. Chciałem bowiem nie tylko utrzymać stanowisko, lecz głów-
nie zebrać broń po zabitych Moskalach, jak i porzuconą przez mych
uciekających, czego nie mogłem wykonać bez zajęcia pozycji mo-
skiewskiej.

Kiedy po upływie dobrej pół godziny oddziały moje zajęły wy-
znaczone im stanowiska, trzeci atak nastąpił, a po jego odparciu na-
stąpił z mej strony atak z kosynierami za uciekającymi Moskałami,
wspomagany po skrzydłach osłaniającymi ich tyralierami.

Uciekający Moskale, dopadłszy lasu, odwrócili się frontem do ko-
synierów, a powitawszy ich w połowie łąki ogniem i zwaliwszy z nóg
kilkunastu, za uciekającymi na ślepo rzucili się w pogon. Wstrzy-
mani przez chwilę ogniem mych tyralierów i wystawieni na ogień
kolumny mych strzelców, zaprzestali pościgu i dozwolili nam spokoj-
nie się wycofać.

Straty nasze z tego dnia były bardzo znaczne: mniejsza, iż straciłem
kilkunastu kosynierów z tego uciekinierstwa, wszak uciekinierstwo
całego oddziału pozbawiło go do trzystu ludzi z bronią, ale w paro-
godzinnej rozprawie nad łąką straciłem 28 ludzi, rdzennych żoł-
nierzy polskich, umiających stać twardo na stanowisku i spełniają-
cych dokładnie swój obowiązek. Tych 28 walecznych warci byli
przynajmniej 200 kosynierów, uciekających na ślepo z taką gwał-
townością, iż spotkawszy na swej drodze drzewo ustawione w sągi
nie wymięli ich, lecz zwartą kolumną w nie uderzywszy przewrócili
takowe: ile tam łbów pękło — mniejsza, nikt ich prawdopodobnie
nie rachował, ale gdyby choć z połową tej furii uderzyli w drżącego
Moskala, co by im się oparło?

Cofnąwszy się o jakie pół mili drogi i zrobiwszy obrachunek przekona-
łem się, iż z połączonych oddziałów, wynoszących przed rozpoczęciem
bitwy przeszło 900 ludzi, pozostało zaledwie 500 ludzi, a mianowicie
246 strzelców, 184 kosynierów i 86 kawalerzystów, a w dodatku strzelcy
ogółoceni prawie z amunicji, gdyż moja bijąca się kompania prawie
wszystkie wystrzelała, a uciekające kompanie ładunki powyrzucały.
W takim stanie oddział zaprowadziłem do lasów pod Szczercowem

położonych, a w kilka dni potem, których użyłem na zreorganizowanie oddziału, jego mustry i przysposobienie gotowych ładunków, dowiedziałem się o losach oddziału Taczanowskiego. Tego samego dnia i prawie w tych samych godzinach, kiedy zaskoczony zniecka miałem niefortunną rozprawę pod Rychłolicami, oddział Taczanowskiego, któremu szedłem na pomoc, w odległości przynajmniej mil piętnastu do osiemnastu bił się pod Ignacowem z gwardią moskiewską pod dowództwem generała Krasnokuckiego, a pomyślnie odparłszy dwa ataki frontowe, uległ atakowi flankowemu, w którym prawdziwy dowódca major Strzelecki, prowadzący kosynierów do ataku, walecznie zginął, a z nim zginęła dusza oddziału i takowy się bez śladu rozsypał.

Wiadomość ta nieszczęśliwa zakończyła smutne dzieje konfederacji szlacheckiej, która przez parę tygodni napełniając szumem województwo — rozeszła się o ścichła, wstydząc się niemal swego niebaczego wybryku, przy pomocy którego zdobyła tylko powtórnie sławę już nieco zapomnianą „uciekierów spod Goleździna“, która tradycyjnie zesła z ojca na syna, a mnie z pozostałym, choć kiepskim, oddziałem pokazała, iż dola ciężka czeka mnie w niedalekiej przyszłości, gdyż znów zostałem sam na całe województwo.

Zebrawszy przeto oddział wypoczęty i cokolwiek podćwiczony, przeszedłszy kolej Warszawsko-Wiedeńską, w miejscowościach przeważnie leśnych, po obu brzegach, a głównie na prawym brzegu Pilicy położonych, zajmowałem stanowiska mustrując i ćwicząc żołnierzy tak pieszych, jak i konnych — i wzmacniając liczebnie jego siły.

Głusza panująca w kaliskim była odpowiednio przystosowaną do głuszy w województwach krakowskim i sandomierskim, przerywanej chwilowo marszami Czachowskiego, przenoszącego się z lasów świętokrzyskich w ilżeckie lub opoczyńskie, i skromnie cichymi ruchami Bończy, któren z trzema szwadronikami kawalerii, jakby się wstydząc, że takiej przeważnie niesfornej i tchórzliwej hołocie przewodzi, marszami swymi zaznaczał pobyt swój w północnej części województwa krakowskiego.

Dowiedziawszy się, iż stoi ze swą kawalerią w jakiejś wiosce pod Szczekocinami o trzy mile drogi od mego stanowiska, chciałem się z nim poznać osobiście i porozumieć co do możności w danym wypadku wspólnego działania, a przede wszystkim chciałem zrobić facjendę, to jest wymienić moje 72 dubeltówki na karabiny z bagnetami, w które uzbrojony był jeden z jego szwadronów.

Wziąwszy więc z sobą pół szwadronu kawalerii i na wypadek udania się facjendy przewiesiwszy im przez plecy owe dubeltówki

z częścią odpowiedniej amunicji, wieczorem 18 czy 19 maja wyjechałem z obozu i około północy wjechałem w środek jego oddziału, tratując częściowo ludzi śpiących około niewielkiego dworu.

Na krzyk z tego powodu powstał wyszedł Bończa ubrany i uzbrojony, a poznawszy jego przyczynę zaprosił mnie do swej kwatery.

Gdym się w niej znalazł i w oświetleniu spojrzałem na niego, zrobił na mnie przyjemne wrażenie: był to mężczyzna wieku około lat 35-ciu, dobrego wzrostu i kształtnej budowy, o rysach przyjemnych i wzroku więcej melancholijnym niż na żołnierza przystało, w jego doborowych i bez przesady wyrażeniach znać było człowieka dobrego towarzystwa, obznajmionego ze światem, a jego chłodny uśmiech, nieco ironiczny, pokazywał ukryty ból i niewiarę w sprawę, której się oddał jako żołnierz.

Gdym mu przedstawił moje zdziwienie, że nie znalazłem żadnej straży przy wjeździe do obozu, uśmiechnął się po swojemu, ale zapewnił mnie zaraz, że dlatego ich nie było, iż wiedząc o pobycie mego oddziału w tej stronie uważał za zbyt uczynne postawienie ich z tej strony. Zmieniłem i ja tok rozmowy i później się dopiero dowiedziałem, iż w tym oddziale nie było żadnej karności, że oficerowie zarządzający strażami nie byli wcale słuchani i wart żadnych prawie nie było; była to kupa niesfornych i pierzchliwych ludzi, dobrze, choć trochę po arlekińsku, ubrana, dostatnio uzbrojona i siedząca na niezłych i niezłe umontowanych koniach, ale była to tylko kupa tak nazwanych ludzi — żołnierzy tam nie było.

Na moje poglądy co do wspólnego wspierania się w danych wypadkach — znowu się nieznacznie uśmiechnął, a przyznając im słuszność oświadczył mi, że jego lotny oddział, w ciągłych poruszeniach będący, zasadniczo nie może się krępować stale przedsiębranymi poruszeniami, ale w razie sąsiedniego stanowiska w chwili rozprawy mogą rachować na jego współudział.

Gdym mu wreszcie powiedział o zamiarze zamiany z nim broni palnej, po chwili namysłu zgodził się na nią, a po wypoczynku koni i ludzi, na świtanie opuściłem obozowisko Bończy, uwożąc na plecach kawalerzystów zamiast pozostawionych dubeltówek — 72 karabiny z bagnetami.

Przybywszy około siódmej rano do swego obozu, rozdałem przywiezione karabiny strzelcom dawniej w dubeltówki uzbrojonym, a poleciwszy oficerom kompanii oczyszczenie ich dokładne wewnątrz i zewnątrz, gdyż były zupełnie zaśniedziałe, i przysposobienie na każdy karabin po 60 ładunków, poszedłem do swej kwatery, aby wypocząć

i rozmyślać nad osobistością Bończy — sympatyczną, a taką zamyśloną i zgorzkniałą, jakby już życie i sprawy ludzkie stały mu się obojętymi. Wszak i ja już nie przez jedno przeszedłem, wszakże przeszedłem już próbę rozczarowań, miałem w sobie za to zaciętość uporu Mazura, a nie mając wiary w pomyślny rozwój powstania, miałem poczucie spełnienia swego obowiązku, jakie każdy dziedziczy rodząc się na tej nieszczęśliwej, niewolniczej ziemi. Prawie brzydziłem się jej mieszkańcami, uciekinierstwo jej obrońców obudzało we mnie wzdargę, bowiem przez cały ciąg powstania i kilkunastu ogni — nie miałem nigdy sposobności, aby w ręcznym starciu dobrze się wybić, za co oburzała się moja natura żołnierska; ale nie lubując się w jej mieszkańcach — kochałem fanatycznie tę matkę, Polską Ziemię i chciałem, żeby jej łono nie było deptane i plugawione stopą ciemieźców, i żeby prochy może nie bardzo rozumnych, ale walecznych naddziadów nie drżały oburzeniem pod zbrojną stopą najeźdźców.

Dlatego, uważając wszystko na ziemi polskiej zrodzone, to jest ludzi, konie, bydło i produkty rolnicze, jako materiał wojenny, wszystko szanowałem i ceniłem, stosownie do potrzeby chciałem go używać na korzyść podniesionej sprawy, a że nieraz drastyczniej go zgromaźdzałem, to nie wina uprzedzenia jakiego do kogoś lub czegoś, lecz wina doli i okoliczności jej towarzyszących, że robiłem to bez głansowanych rękawiczek, których, Bogiem a prawdą, nie miałem.

Zajmowałem się na każdym dłuższym wypoczynku ćwiczeniem żołnierzy w obrotach i ślepym nabijaniu i strzelaniu, gdyż i amunicji nie miałem na prawdziwą mustrę z ogniem, ani nie chciałem zdradzać strzelaniem mych stanowisk, a musiałem nauczyć młodego i świeżego żołnierza pierwszej elementarnej potrzeby, to jest nabijania i strzelania, gdyż zdarzyło się kilkanaście wypadków podczas bitwy pod Rychłolicami, że żołnierze, wkładając naraz po kilka ładunków do lufy, zwracali się do swych oficerów z wymówką, że nie mogą strzelać, bo ich „kurczyba“ nie pełna, albo nabiwszy ją, a nie mając pojęcia o użyciu cyngla, tłukli pięścią w półkurcze i biadali, że „kurczyba nie chce strzylać“, przy czym nastąpiło kilka eksplozji, rozrywających przeładowane albo niedobite karabiny, raniąc strzelających z nich ludzi. Doszedłem po jakich dziesięciu dniach ćwiczeń, że moi strzelcy umieli odvodzić kurki i spuszczać je przy użyciu cyngla — bądź spokojnie na osadzonej przez nich kapiszon przy nabijaniu, bądź na komendę „pal“ przy strzelaniu, i że wyćwiczeni w ślepym nabijaniu i celowaniu, będą mogli podczas bitwy i przy bacznym dozorze podziękować za naukę, strzelając czymś więcej, a nie z samych kapiszonów.

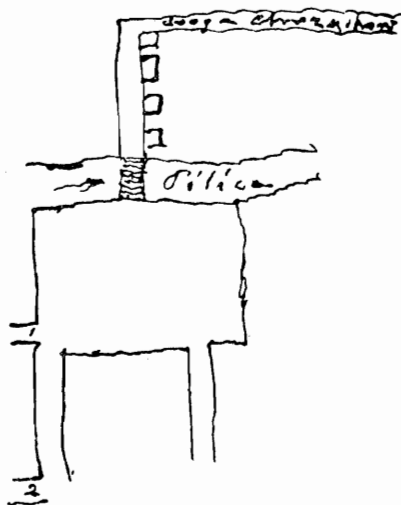
W tych ćwiczeniach i marszach dowiedziałem się 23 maja 1863 r. o poruszeniach moskiewskiej komendy miechowskiej, która w sile trzech kompanij piechoty, jednego szwadronu dragonów i pół sotni kozaków szła w prostym kierunku na Bończę. Zawiadomiwszy Bończę kurierem o tym ruchu, zaproponowałem mu wspólną akcję, a proponując mu za miejsce miasteczko Koniecpol poddałem myśl, aby robiąc marsz wolny po lewym brzegu Pilicy w stronę Koniecpola zniknął z kawalerią w lasach chrząstowskich i dopiero po usłyszeniu mych strzałów pod Koniecpolem wyszedł i uderzył na tyły lub prawe skrzydło moskiewskie. Nie czekając na odpowiedź, którą kazałem sobie przywieźć do Koniecpola, marszem pośpiesznym tegoż dnia nad wieczorem do niego przybyłem.

Dzień 24 maja 1863 r., po otrzymaniu od Bończy zgodnej odpowiedzi na proponowaną mu wspólną akcję, przepędziłem na obejrzeniu terenu tak miasta, jak i przez most na Pilicy sąsiedniego Chrząstowa, a wyznaczwszy oficerom ich role i stanowiska podczas bitwy, tak w razie wspólnej akcji z Bończą w kierunku zaczepnym, jak i w danym wypadku w razie jego nieobecności w kierunku odpornym, zająłem się częścią polityczno-administracyjną naszego powstania. Przeczytawszy zgromadzonym na rynku mieszkańcom edykt powstania i przemówiwszy do nich z pustej beczki jak z trybuny, wywołałem w nich nieklamany zapał dla sprawy powstania, czego najlepszym dowodem była w parę godzin złożona przez Polaków wyznania możeszowego dobrowolna ofiara na cele powstania w sumie dwóch tysięcy kilkuset złotych polskich, a ze strony mieszczaństwa wiary Chrystusowej obfite zaprowiantowanie nas w żywność — przy radosnych okrzykach rozdzierających uszy.

Okrzyków tych prawdopodobnie nie słyszał tylko hr. Potocki, dziedzie Chrząstowa, o kilkaset kroków przebywający w swym pałacu, gdyż nie okazał niczym swego zainteresowania. Prawda, iż jako wiceprezes nie funkcjonującej Rady Stanu i teść potężnego przed powstaniem margrabiego Wielopolskiego, a już wówczas prostej odrzuconej kukły z garści moskiewskiej, nie miał powodu zajmować się baraszkującą hołotą.

Nad ranem dnia następnego, to jest 25 maja 1863 r., kurier od Okołowic przybyły doniósł mi, że wczoraj wieczorem przybył tam Bończa ze swą kawalerią, a po kilku godzinach odpoczynku wyszedł, gdzie nie wiadomo, kazał mi tylko powiedzieć, że Moskali ciągnie za sobą, co musi być prawdą, gdyż wyjeżdżając słyszał za sobą szum wchodzących Moskali, uparcie przez psy wiejskie oszczekiwanym.

Sygnalem mej świstawki postawiłem oddział na nogi, a rozstawiwszy go na wyznaczonych stanowiskach, oczekiwałem zbliżającego się nieprzyjaciela. Prawe me skrzydło oparte było o takiż¹⁾ przyczółek mostu na Pilicy (zatem na zewnątrz miasta postawione) w sile: jednej kompanii strzelców przed mostem i po bokach, plutonu strzelców rozstawionego w Chrząstowie w domach między główną drogą a Pilicą położonych, kompanii kosynierów w rezerwie w tyle o 150 kroków postawionej i szwadronu kawalerii postawionego na tyle boku prawego skrzydła dla obserwacji i wstrzymywania przechodu Moskwy w bród Pilicy. Środek w sile jednej kompanii strzelców i jednej kompanii kosynierów postawiony był w środku pierwszej przecznicy w charakterze rezerwy pomocniczej tak dla prawego, jak i lewego



skrzydła, w danym wypadku z plutonem strzelców, które, obsadziwszy domy od strony rzeki, miał poleczone obserwować i wstrzymać w danym razie przeprawiającą się Moskwę przez Pilicę. I lewe skrzydło pod komendą Lütticha, a umieszczone na wylocie pierwszej przecznicy, na obmurowanym cmentarzu kościoła, z frontem do Pilicy, w sile kompanii strzelców, kompanii kosynierów i plutonu kawalerii, mającej obowiązek patrolowania na południowej ścianie miasteczka; Lüttich z swą kolumną miał w razie dzia-

łania Bończy zbliżyć się w stronę mostu i w charakterze rezerwy bojowej być do rozporządzenia.

Około 8-ej rano 25 maja 1863 r. kolumna moskiewska od strony Okołowic nadciągnęła ku Chrząstowiu, poprzedzana jak zwykle przez kozaków, mając o paręset kroków w tyle za sobą szwadron dragonów, które, po spędzeniu ze wsi kozaków strzałami mego plutonu umieszczonego w Chrząstowie, obszedł ruchem w lewo w tył poza wieś i sformował front ku Pilicy jakby z zamiarem jej przejścia. Kompania mego prawego skrzydła rozpoczęła ostrzeliwanie dragonów, na prawo mego skrzydła o 500 do 600 kroków odległości ustawionych, a po

1) Bieg rzeki na rysunku oznaczony mylnie, przyp. wyd.

kilkunastu minutach wzajemnej strzelaniny, rażeni ogniem mych strzelców zmienili front ku lewemu i stanęli, zbliżając się tym manewrem ku nam, frontem niemal ku mostu zwróconym. Rażeni ogniem krzyżowym mych strzelców z chat na dojeździe do mostu w Chrzastowie i poza prawym przyczółkiem umieszczonych, po kilkunastu minutach strzelaniny zmieszani, zostawiając na placu kilku zabitych, pospiesznie wycofali się z ognia i w odległości przynajmniej 1000 kroków front zrobiwszy ku Pilicy — na stanowisku stanęli. Tymczasem piechota moskiewska po zajęciu części Chrzastowa, rozłożonej równolegle ku Pilicy, zaczęła osypywać ogniem me prawe skrzydło i strzelanina dosyć gwałtowna i długa, jakkolwiek mało skuteczna, zawiązała się między stronami.

Stojąc na moście z lunetą przy oku, przyglądałem się głównie ruchom na tyłach lewego skrzydła moskiewskiego wykonywanym, gdyż każdej chwili spodziewałem się zapowiedzianego ataku ze strony Bończy, od którego zależnym był ruch mój zaczepny, a zajęty tym i nie mogąc dostrzec ruchu kolumny moskiewskiej, osłoniętej chatami i falowatością zarośniętego terenu, nie mogłem zauważyć, iż Moskwa podtrzymywaną walką z mym prawym skrzydłem zasłania swój ruch obchodowy i wyprawivszy półtorej kompanii piechoty z kozakami w górę rzeki, brodem wskazanym przeprowia je przez Pilicę powyżej mego lewego skrzydła na cmentarzu stojącego.

Nie przygotowany na ten ruch szarmyclowy, rozrywający na dwójkę siły moskiewskie zamiast je trzymać zmasowane (co by mogło spowodować katastrofę dla Moskali), a straciwszy nadzieję jakiego bądź ruchu ze strony Bończy, który mimo przeszło dwugodzinnego gwałtownego ognia dotąd się nie pokazał, gdy nadto dragoni moskiewscy ruchem swym zaczepnym znowu się do nas zbliżyli, posłałem rozkaz Maliszewskiemu, aby miał przygotowany szwadron do przejścia Pilicy i uderzenia na dragonów, jak tylko spędzeni zostaną ogniem mej piechoty, co i wykonał w ciągu kwadransa z powodzeniem, uderzając na cofających się spod ognia dragonów i zmuszając ich do spiesznej ucieczki.

Kiedy zamierzałem przejść do ruchu zaczepnego i wydać rozkazy zmasowania się oddziału ku prawemu skrzydłu, nadbiegł pieszo adiutant Walewski, któremu konia zabito, i doniósł mi, że wysłany z rozkazem do Lütticha podjeżdżał pod cmentarz kościoła, w którym osadzone było lewe skrzydło, i zamiast jego spotkał się z kulami moskiewskimi, które mu konia zabiły; zmordowany pospiesznym biegiem ledwie mi o tym wypadku zdołał donieść, gdy krzyki i tupot

biegnącego oddziału, z pierwszej przecznicy wychodzące, kazały mi się spodziewać jakiejś świeżej niespodzianki.

Kazawszy ściągnąć z Chrząstowa pluton strzelców i osadzić prawy przyczółek mostu, pobiegłem w stronę krzyków i strzałów z tej przecznicy wychodzących, a wpadając w nią ujrzałem moją kompanię strzelców jako rezerwę zostawioną — w panice uciekającą, a za nią zwartą kolumnę piechoty moskiewskiej, od cmentarza spokojnie następującą i strzelającą.

Zagrodziwszy uciekającym drogę, zdołałem ich po pewnych ręcznych przekonywaniach nawrócić i doprowadzić do wylotu ulicy ku rynkowi prowadzącej, skąd ani perswazją ani płazowaniem nie zdołałem ich nie tylko naprzód poprowadzić, ale nawet odwrócić twarzami do nieprzyjaciela. Skupieni w jedną gromadę, całą szerokość ulicy wypełniającą, jak stado zléknionych owiec, głowy od Moskali odwróciwszy, stali pod grozą mych płazów obozwardnieni i strachem ogłupiali, nie śmiejąc ani razu odwrócić się, aby posłać choć kulę w stronę zbliżających się Moskali, którzy powolnie ale zbliżyli się i z odległości 60 do 80 kroków do tej półmartwej masy jak do tarczy strzelali.

Widząc iż trupy padają, a kupa spłoszonych nie da się użyć do niczego, zawołałem: „Uciekajcie, łajdaki, bo was wszystkich jak psów wystrzelają“, co zrozumiano i z pośpiechem wykonano, a ja z nimi na końcu. Wypadłszy na placyk przedmostowy, na którym przy węgle przecznicy stała kompania kosynierów, do niej podskoczyłem, a kazawszy jej wziąć broń do ataku, kazałem im biegiem naprzód i krzykiem wpaść na wychylającą się w tej chwili o kilka kroków kolumnę moskiewską.

Manewr udał się chwilowo. Kolumna moskiewska z oficerami na czele, widząc kosy z nienacka tuż przed sobą, nie dawszy ani jednego strzału na miejscu zawróciła i gdyby kosynierzy mieli byli więcej sprężyste golenie w pogoni niż Moskale w ucieczce, cała przecznica aż po kościół mogła się być pokryć trupami moskiewskimi. Na nasze nieszczęście golenie moskiewskie były lepsze, pierwotny przedział między kolumnami sześć do ośmiu kroków wynoszący zamienił się po paru minutach ospałego i pod lufą mego pistoletu prowadzonego pościgu na kroków dwadzieścia do trzydziestu, a jeszcze po paru minutach dalszego pościgu na kroków pięćdziesiąt do sześćdziesiąt tak, iż uciekający Moskale, nim dobiegli do cmentarza, a nie słysząc za sobą tupotu tuż tuż ścigających, odwrócili się i dali salwę do kosynierów, rezultatem której były cztery trupy nasze i stanowcze ochłodzenie zapału dalszego ścigania. Cofnąwszy ich w tył o kilkadziesiąt

kroków, umieściłem poza narożnikiem domu w ulicy prowadzącej od pierwszej przecznicy do rynku; ściągawszy Maźniewskiego z jego kompanią strzelców, powierzyłem mu to stanowisko do obrony, a sam powróciłem do mostu.

Przy moście zaczęła się sprawa gorętsza. Piechota moskiewska z Chrzastowa w sile półtorej kompanii, słysząc strzały od strony cmentarza, w kolumnie zmasowanej darła się do mostu pod ogniem mojej III-ej kompanii strzelców, a jakkolwiek ten atak nie pokazywał wiele krewkości, zawsze zapowiadał starcie ręczne, które wobec okazanego bohaterstwa II-ej kompanii strzelców nie dawało mi gwarancji pomyselnego rezultatu; dlatego też postanowiłem się z miasta wycofać i kazałem adiutantowi Otockiemu zawieźć Maźniewskiemu rozkaz cofnięcia się z wszystkimi siłami przez drugą przecznicę z miasta.

Rozkaz zawiózł, lecz nie oddał go Maźniewskiemu — przed chwilą zabitemu trzema naraz kulami, gdy wstrzymywał postępy kolumny moskiewskiej od cmentarza posuwającej się, i sam nie przybył z raportem, widziałem go bowiem o kilkadziesiąt kroków pędzącego ku mnie i zwalającego się z konia po salwie moskiewskiej z ręką jak wylot kontusza na plecy zarzuconą; lecz rozkaz zawieszony został wykonany i porucznicy wyprowadzili swoje komendy poza miasto.

Gdy się to stało, kazałem cofnąć się kosynierom i złączyć z kolumną przed chwilą wyszłą i na kraju miasta stojącą, a w końcu i ja wycofałem się z miasta z strzelcami mostu broniącymi, osłaniając łańcuchem tyralierskim kolumnę cofającą się w kierunku na Kluczyce i Szczekociny.

W bitwie tej, poza stratami w ludziach i porzuconej broni po zabitych i uciekających, straciłem ufność w bojową odwagę mych żołnierzy. Straty w ludziach sowiecapełnione zostały nadciągającymi licznie ochotnikami, szczególnie ze stanu włościańskiego. Otrzymane kilkadziesiąt karabinów od organizacji powiatu piotrkowskiego wyrównały dawne uzbrojenie w broń palną, lecz ufność raz zachwiana w odwagę mych żołnierzy nie chciała jakoś powrócić i chciałem, a raczej zmuszony byłem — tylko przez ćwiczenia i karność wyrobić zwykłych żołnierzy, rozstając się z dawnym mym postępowaniem, jak z towarzyszami jednej sprawy.

Nadto zgorzkniałym byłem zawodem przez Bończę uczynionym, o którego skórę narzązałem los mego niewyrobionego oddziału, a którego, nawiasem powiedziawszy, w kilka dni po rozprawie koniecpolskiej zginął walecznie, lecz marnie — sam jeden uderzając na jedną kompanię piechoty moskiewskiej, a przez swoich uciekinierów odbieżony.

Widziałem, iż na wspólne działanie i pomoc rachować nie należy, że trzeba się tylko z samym sobą liczyć, gdyż mania samoistnego dowództwa i choćby chwilowa gawęda o kimś jako dowódcy tak pokiełbasiła pojęcia służbowe i o obowiązku, że zdarzały się nieraz wypadki, iż choć przyniesiona w czas pomoc od sąsiedniego oddziału dawała prawdopodobieństwo zwycięstwa, a przeciwne postąpienie sprowadzało poszczególne klęski, — kultywowano jednak ten ohydny zwyczaj sobkowski dla możności figurowania choćby dni kilka w charakterze dowódcy.

Straty oddziału pod Konieczpołem były znaczne, prawie dziesiąty żołnierz wyszedł z szeregu — 18 zabitych i do 30 rannych, z których 17 podpadających pod cięższą operację pozostawiłem w szpitalu w Konieczpolu pod opieką swych doktorów Nielubowicza i Orłowskiego. Pierwszy zginął, wmieszawszy się niepotrzebnie do bitwy, drugi — ranny w szpitalu przez weszłych tam Moskali, po kilkumiesięcznym uwięzieniu uwolniony umarł w Przemyślu. Lżej tylko rannych uprowadzając z sobą przybyłem po paromilowym marszu do jakiejś wioski pod Szczekocinami leżącej, a będącej własnością niejakiego p. Brzozowskiego czy Bzowskiego, dokąd tegoż jeszcze wieczora i zbliżającą się nocą nadciągnęły pojedyncze oddziały z boju wymykające się, jak i kawaleria z rotmistrzem Maliszewskim, ciesząca się pobiciem dragonów.

Rankiem dnia następnego, to jest 26 maja 1863 roku, zrobiwszy przed wymarszem od niegościnnego i nieludzkiego gospodarza domu (co prawda bardzo surowo ukaranego) apel oddziału, przekonałem się z pewnym zdziwieniem, iż poza zabitymi i rannymi, którzy opuścili szeregi, kilku zaledwie maruderów do apelu nie stanęło. Przypuszczałem z wytwarzającym się już wówczas pesymizmem, że to trzymanie się dośrodkowej kupy było wynikiem niezajomości okolicy i samozachowawczych następstw stąd wypływających; może się myliłem, może ono wypływało z wytwarzającego się już wówczas życia żołnierskiego, bądź co bądź nie powtórzyło się uciekinierstwo połowy oddziału spod Rychłocic.

Nim się rozstanę z bitwą pod Konieczpołem, dodać jeszcze muszę, iż kompania I i III strzelców oraz szwadron kawalerii spełniły przynależnie swój obowiązek, kosynierzy zaś, po chwilowym udanym ataku cofnięci poza osłaniające ich mury domów, więcej już w bitwie nie byli używani. Zresztą ta broń w wojnie partyzanckiej, gdzie nie chodzi stronom o utrzymanie stanowisk bojowych i sławy zwycięzcy, lecz o wzajemne zadanie sobie jak największej klęski, ta broń, jeszcze

za czasów Kościuszki straszna (jeżeli była, jak pod Raławicami, dobrze użytą), w naszych spotkaniach nie planowych, lecz dorywczych, przedstawiając dużo kłopotów z powodu wyżywienia i ciężkości ruchów, dodatnimi swymi stronami nie równoważyła ujemnych. Tę broń i ja kultywowałem, jako niezbędną konieczność przejścia w niej szkoły rekruta, a każąc ich uczyć mustry strzeleckiej i obznajmiać z użyciem broni palnej, miałem nadzieję zamienienia ich w bataliony strzeleckie — w razie zdobycia broni palnej na Moskalach, lub w razie nadejścia ciągle spodziewanej, a przez nikogo nie wysłanej broni.

Po wyjściu oddziału wraz z niegościnnym i nieludzkim gospodarzem, odmawiającym z całą arogancją niecywilizowanego szlachcica starej bielizny na szarpie i bandażu dla opatrzenia rannych i żywności dla zdrowych, a którego po doraźnym ukaraniu kazałem pomieścić w jednej z kompanij kosynierów na pięć dni służby, aby się przekonał o rozkoszach życia powstańczego, udałem się marszem w stronę Przyrowa, a następnie Pławna. Przeszedłszy nocą koleją żelazną Warszawsko-Wiedeńską w okolicy Kłomnic, przybyłem rankiem 28 maja 1863 r. do Kruszyny, w której na odpoczynek stanąłem.

Około godziny trzeciej po południu, gdy wykładałem synowi jednego z figurujących na pomniku, postawionym przez Mikołaja I za lojalizm 29 listopada 1830 r., niejakiemu Blumerowi zasady patriotyzmu polskiego i sposób zmazania hańby ciężącej dziedzicznie na jego nazwisku, a on przede mną na kolanach, obłany łzami przedstawiał mi swoją podłość i tchórzliwość i błagał, żeby go nie zmuszać do powstania, — oburzony tą podłością plunąłem na niego, a wyszedłszy z pokoju, wymarsz nakazałem. W kwadrans później, gdy ściągano łańcuch czat kawaleryjskich, kilka strzałów padniętych od strony Częstochowy oznajmiło mi o zbliżeniu się Moskali.

Nie zatrzymałem się w rozpoczętym marszu w kierunku Szczercowa, a tylko zasłoniwszy tyły mej kolumny łańcuchem zgęszczonym tyralierów z pierwszej kompanii, osłoniętych z prawej flanki kawalerią w kolumnie pochodowej postępującą, marsz swój dalej wykonywałem. Nie chciałem bowiem przyjmować spotkania: raz z powodu prawie zupełnego braku amunicji, dla otrzymania której szedłem w wyznaczonym kierunku, po drugie, iż Kruszyna, leżąc niedaleko linii kolei żelaznej, dawała możność Moskalom ściągnięcia w krótkim czasie poważniejszych sił z Piotrkowa, Radomska i Częstochowy, a głównie dlatego, iż zrażony potyczką pod Koniecpolem nie miałem wielkiej wiary w bohaterstwo mych żołnierzy; i dlatego dalej swój marsz spokojnie wykonywałem. Moskale, doprowadziwszy nas do

pierwszego lasu po drodze spotkanego, nawrócili i podążyli do swych kwater, szcząc się zwycięstwem, prawda, iż przez żadne pisma nie zaprzeczonym, ale nie mogąc się jednakże żadną zdobyczą pochwalić; my zaś zadowoleni, że się skończyło na pustej godzinnej strzelaninie, dobiliśmy i odpoczywaliśmy w lasach szczercowskich.

Po osobistym porozumieniu się z Edmundem Taczanowskim, ówczesnym Naczelnikiem sił zbrojnych województwa kaliskiego, uspokojonym co prawda po parotygodniowej burzliwej werwie konfederacji szlacheckiej, wzięłem w zarząd wojskowy oprócz powiatu piotrkowskiego i powiat wieluński; organizowałem i ćwiczyłem oddział wzmocniony siedemdziesięciu karabinami z cekhauszów moskiewskich dostarczonymi, a wyrobiwszy na gotowe ładunki amunicję, nadesłaną mi przez organizację powiatu piotrkowskiego, wobec ruchów dosyć uporczywych kolumn moskiewskich, opuściłem mój teren północny i w cichych, spokojnych marszach przekroczywszy napowrót kolej Warszawsko-Wiedeńską, około 10 czerwca 1863 r. znalazłem się nad Pilicą w Maluszynie.

Przybywszy do tego punktu, o siedem mil położonego od najbliższej komendy moskiewskiej, z dworem dużym murowanym, z mostem tuż pod nim na Pilicy leżącym i gatunkiem ogrodu angielskiego, leżącego przed domem i murem obwiedzionego, znalazłem postój możliwie spokojny i bezpieczny na granicy dwóch województw i dwóch odrębnych komend dywizyjnych leżący i w dodatku o gospodarzu młodym i uprzejmym, pełniącym podczas mych pobytów obowiązki administratora Rządu Narodowego, gdyż jako syn banity hr. Ostrowskiego (jako ówczesnego ministra spraw wewnętrznych) — nie mógł być w innym charakterze przeze mnie uznawany. Zdaje się, iż rola ta, jaką wobec mnie odgrywał, była wiadomą i akceptowaną przez pana ojca ministra, któren, jak każdy minister, a szczególnie z naszego narodu pochodzący, umie się w każdej drastyczniejszej sprawie zastanawiać, przyglądając się odwrotnej stronie medalu.

Ale dosyć na tym, że był to bardzo przyjemny młody człowiek i umiał swe świeże obowiązki z zadowoleniem mych żołnierzy wykonywać. Jestem bowiem niemal pewny, iż w postojach naszych w Maluszynie nie zdarzyło się żadnemu położyć na spoczynek o czczym żołądku, dodać jednakże potrzeba, iż mój podintendent Leszczyński dobrze się wywiązywał z swego zadania i jak dawniej umiał zadowolnić wymagania paruset żołądków, tak i w czasie, o którym piszę, to jest około 15 czerwca 1863 r., podołał obowiązkowi wyżywienia przeszło 1400 ludzi, z których składał się oddział.

Organizacja zaś jego była następująca. Trzy bataliony piechoty, każdy z czterech kompanij piechoty po 100 ludzi — pierwszej uzbrojonej w karabiny z bagnietami, następnych uzbrojonych w kosy. Półtora szwadronu kawalerii z majorem Maliszewskim na czele — pierwszy szwadron 128 ludzi, uzbrojony w lance, pistolety i pałasze, drugi półszwadron z Mikulskim w liczbie 60 ludzi, uzbrojony w pałasze i dubeltówki, pełniący służbę flankierską i straży obozowej. Dwie sekcje po 10 ludzi dodane podintendentowi do pomocy i pilnowania wiktuałów. W końcu — pluton młodzieniaszków w wieku od trzynastu do piętnastu lat w liczbie 16, także uzbrojonych w dubeltówki, które wyrabiał z amunicji gotowe ładunki i transportował je na koniach jucznych, jako gotową zapasową amunicję. Wozów żadnych nie było.

W tym składzie, nie męcząc oddziału forsownymi marszami podczas gorących dni letnich, przenosiłem stanowiska obozowe z punktu na punkt wyznaczony, trzymając się przeważnie doliny Pilicy, a wykonywałem te marsze w godzinach rannych między 4-tą a 9-tą i wieczornych między 4-tą a 8-mą, dzień przeznaczając na ugotowanie obiadu, chwilowy parogodzinny wypoczynek i mustę.

Dzięki zmianie usposobienia ludności wiejskiej i przychylnemu jej usposobieniu dla powstania można było zawiązywać z nią coraz lepsze stosunki, a skutkiem takowych Moskwa, nie zawiadamiana stale o naszych poruszeniach, dając oddziałowi czas na wyrobienie i zorganizowanie, pozwalała z lepszego usposobienia ludności wiejskiej skorzystać, czego najlepszym dowodem był taki obfity napływ ochotnika wiejskiego, iż w ciągu niespełna paru tygodni od bitew pod Koniecpolem i Kruszyną zwiększyłem oddział o przeszło 800 ludzi — i gdyby wówczas stojący na czele powstania ludzie, zowiący się Rządem Narodowym, umieli skorzystać z tego usposobienia i zamiast zebrać kuglarskiej pomocy Napoleona III przez Czartoryszczyznę i podobnych jej zgnilców, i zamiast przechowywać broń i amunicję w Krakowskim i Galicji na użytek nigdy nie wychodzących oddziałów przesłali ją byli przez granicę, prawie wówczas nie strzeżoną, na teren walki, gdyby wówczas ci ludzie, choćby przy pomocy kilkunastu uderzeń sztyletu, oczyścili Kraków i Galicję z tej hordy kapuańskiej, wepchnęli ją na teren wojny pod rygor wojskowy, dając zarazem setki oficerów na krakowskim bruku poniewierających się, można było jeszcze mimo wszystkich głupstw i niedoświadczeń kręcony ten bicz z piasku wzmocnić i chłostać nim Moskwę! I wówczas ten kuglarski Napoleon III nie w imię jakichś mrzonek sentymentalnych,

ale rachując się z faktami, na widok nie łożeczek lecz karabinów, nie próśb lecz gorąco lejącej się krwi — może nie byłby posłał swych zastępów, mając w pamięci nieudany hazard swego wielkiego stryja, ale może cichaczem przesłałby na teren walki dostatnią ilość broni i amunicji, powierzając tę czynność do wykonania nie patriotycznym komitetom obywatelskim, lecz prostym agents d'affaires, którzy przy pomocy naszych Żydków rzecz by tę dokumentnie załatwili.

Nie umiano skorzystać z chwili przychylnego usposobienia ludu wiejskiego dla sprawy Polski, a nie tylko nie umiano, ale bano się wszelkiej myśli masowego powstania, bo nie tylko ludzie ci, stojący na czele rządu, nie wyłonili z siebie podobnej myśli, lecz owszem, wszelką myśl w tym kierunku powstałą w głowach energiczniejszych i jaśniej patrzących niszczyli w zarodzie, ubezwładniając ich powagą tajemniczego rządu, popartą reakcyjną organizacją „bielców“, a po największej części usuwając ich od wszelkiej wybitniejszej działalności.

Tacy ludzie, jak Giller, Ruprecht, Żuliński, Awejde, Majewski i wielu im podobnych — to nie gorące serca wsłuchujące się w tętno narodu i przodujące mu energią i rozumem; tam jedni, jak pierwsi, to wyżyci i zmrozeni lodami Syberii żywe nieboszczyki, pozujące na Anhellego, drudzy — sofisci w rozumowaniach się gubiący, a życiem swym i retoryką zdobywający uznanie ludzi ich otaczających, i wreszcie — ta kanalia, ten szalbierz polityczny, ów Majewski, zdaje się iż z łona matki już z tym szalbierstwem wyszły, umysł jasny, logiczny i na osobistą karierę pracujący bezwzględnie. Oto podkład i cienie ludzi w Rządzie Narodowym różnymi czasy przebywających, z ostrzejszymi lub mniej wydatnymi osobnikami, ale z zarodem prawie jednakim — deliberujących gremialnie na kurulskich swych stolcach z powagą i namaszczeniem nad uszczęśliwieniem narodu bez żadnego bólu.

Wobec więc podobnego kierunku i usposobienia naczelnej władzy ludzie czynu a nie słowa w salonie, z bliska przypatrując się wypadkom na gruncie, widząc, iż tylko na siebie i na wytrwałą pracę rachować mogą, ażeby nie zatracić już tych korzyści, jakie choć po bękarcu prowadzone powstanie przyniosło, a szczególnie przychylniejszego usposobienia włościan, zaczęli się z sobą porozumiewać i energiczniej działać, aby ożywionym ruchem na prowincji porwać ją za sobą — nie oglądając się bardzo na kierunek Rządu Narodowego, którego był im wstrętny z powodu reakcji i antypowstańczych zarządzeń.

W tym czasie otrzymałem przez wysłańca Mierosławskiego, niejakiego p. Marchwickiego, głośniejszego nieco później przez spoliczkowanie tegoż Mierosławskiego w kawiarni Voltaire w Paryżu,

zaproszenie do wejścia pod jego komendę i stanięcia w terminie oznaczonym na punkcie granicznym, w którym zamierza ją z oddziałem przekroczyć.

Jakkolwiek nigdy nie byłem zwolennikiem Mierosławskiego, a jego demokratyzm podszyty sajetà uważałem za rzecz już przesiąkniętą stęchłą i w opinii jego skutkiem bezpośrednich starć w latach 1861/2 zyskałem miano niekarnego demokraty, to jednakże, znając go osobiście, oceniałem jego wykształcenie wyższe wojskowe, jak niemniej czystość jego opinii przez 30 lat bez skazy wyznawanych, a nie wymagając od komenderującego generała waleczności porucznika, tylko rozumnych zarządzeń, wyraziłem jego wysłańcowi zgodę wejścia z mym oddziałem pod jego komendę, lecz pod jednym warunkiem: abym w liście osobiście przez niego napisanym miał zagwarantowane pod słowem honoru, iż w dniu i punkcie na granicy przez niego oznaczonym znajdę 500 karabinów z odpowiednią ilością gotowych ładunków do mojej dyspozycji, w które uzbroiwszy część mych kosynierów, do służby strzeleckiej przygotowanych, wezmę na siebie Moskwę na jego wejście spieszącą, a tym samym otworzę mu drogę dla wejścia w głąb kraju, w którym formujące się wówczas oddziały pod Rudowskim, Krzywdą i Zaborowskim prawdopodobnie wejdą pod jego komendę i wzmocnią znacznie jego siły.

Nie napisał żadnego listu, zatem nie przyjął mego warunku. A szkoda! Z uzbrojonym, jaki miałem, oddziałem mogłem w cichych, nocnych marszach i osłoniętych lasami postojach dojść z Maluszyna przez Secemin, Szczekociny, Żarnowiec, bokiemi Miechowa, w dniach kilku do Skały, gdzie wypocząwszy kilkanaście godzin, dojść do wskazanego mi punktu jednym marszem, ale tylko należycie uzbrojony mogłem roztrącać zastępującą mi Moskwę w powrotnym marszu, 300 karabinów posiadanych w mym oddziale było za mało, i tak spełził projekt na niczym. A wyprawa jego pod Krzykawką po stracie znacznej ludzi i broni spełzła, jak zwykle wszystkie wyprawy, na niczym, bo na zajęciu kwater w Krakowie; szkoda takich ludzi, jak major Englert i pułkownik Nullo, którzy tam zginęli, a którzy warci byli gorętszego, a nie szarmyckiego ognia.

Gdy się w parę lat później, to jest w r. 1865, zapytał Mierosławskiego, dlaczego nie zgodził się na mój warunek, kiedy on był racjonalny i jedynie korzystny dla jego planów, odpowiedział mi po pewnym namyśle, że „przez posły wilk nie tyje“, jakby się przyznając, iż panujące prądy w jego otoczeniu zmieniły jego decyzję, bo podobno, jak mi później z jego otoczenia ścisłego mówiono, umiano

mu wytłumaczyć, iż broń zabiorę i spod jego komendy się usunę, co wobec mego nieoddania się poprzedniego pod jego wpływy zdawało mu się prawdopodobnym.

W parę dni po propozycji Mierosławskiego przybył do mnie agent stronnictwa radykalnego, mój kolega z Cuneo, nazwiskiem Hopfenblum, z listem od Ignacego Chmielińskiego, głośniejszego z zamachów na w. ks. Konstantego i mgr. Wielopolskiego, jak niemniej z usiłowanymi wywrotów Rządu Narodowego.

Ponieważ rozmowa na podstawie jego listu nie mogła się odbyć pośrednio przez ajenta, lecz tylko osobiście mogło się odbyć pewne porozumienie, odesłałem ajenta z powrotem, proponując mu w liście przesłanym, aby osobiście przybył do obozu. W kilka dni nastąpiło spotkanie się nasze w obozie. Na jego propozycję, żebym się z jego partią złączył i wspólnie działał, wręcz odmówiłem, oświadczając mu zarazem, że secesję w działaniu zbrojnym uważam za zgubną i sam bym ją tępił, jako zwykłą zdradę sprawy, lecz jako człowiek nie słowa i bibuły lecz czynu, którego oburza niedołęstwo i reakcja panujące w ówczesnym Rządzie Narodowym, pragnąłbym natychmiastowej zmiany systemu, a ponieważ ta zmiana nie może się odbyć jak tylko wywrotem obecnego Rządu Narodowego, niech zatem nastąpi wywrót, choćby nawet krwawo-karcący, ale ta sprawa musi być załatwiona, że się tak wyrażę, „po domowemu“, to jest w Warszawie, ku czemu może być użyta organizacja tego miasta, ale nigdy ta rozprawa nie powinna wyjść poza rogatki warszawskie. Prowincja powinna i nadal pozostać pod nimbem pieczęci Rządu Narodowego, inaczej — do tego chaosu, jaki panuje, dołączyłby się chaos przynajmniej stu dyktatur prowincjonalnych, a smaku langiewiczowskiej jeszcześmy dotąd nie wydychali. Proponowałem mu dalej, aby porozumiewszy się z organizacją warszawską, to jest wybitniejszymi jej członkami o przekonaniach radykalniejszych, ułożył listę członków przyszłego Rządu Narodowego i jego głównych agentów w Warszawie, jak niemniej komisarzy pełnomocnych dla województw, aby w chwili przewrotu, który się odbyć powinien doraźnie, maszyna nie stanęła, lecz posunęła się naprzód szybszym i energiczniejszym ruchem. Dalsza praca już od nich i od ich komisarzy zależy i pokaże, co oni sami są warci.

Namyślał się nad planem mu przedstawionym, przyznawał mu zasadniczo słusność, wił się w sobie, niepewny, jakby pod obawą działania zostający. W końcu, nie znajdując innej drogi działania, wyjechał z obozu nazajutrz rano w towarzystwie Szachowskiego, przybyłego tegoż dnia, co i Chmieliński, na wspólną konferencję.

Miałem w tym czasie i od innych ludzi robione propozycje, lecz na nie machnąłem ręką, gdyż ani ludzie, ani ich propozycje nie zasługiwały na uwagę.

Ale zajęty byłem głównie trapiącą mnie myślą, jakim sposobem dostać karabinów na uzbrojenie oddziału. Miałem bowiem, jak już poprzednio wspomniałem, dosyć liczny oddział, lecz tylko co do ilości ludzi: na 300 bowiem strzelców przypadało 900 kosynierów, stosunek anormalny w wojnie partyzanckiej, gdzie stosunek tych broni nie powinien być być większym, jak po równi, oddział bowiem o większej daleko przewadze kosynierów, a u mnie był jak jeden do czterech, nie mając dostatecznej siły odpornej a tylko prawie zaczepną, nie nadawał się do rodzaju wojny, jaką zmuszeni byliśmy prowadzić, a jego już znacznie większa liczba, będąc trudnością w poruszeniach i wyżywieniu, dawała mi do zrozumienia, iż w razie ruchów zaczepnych ze strony Moskwy o znacznie większych siłach — faktyczna jego słabość łatwo się uwidoczni; i dlatego skorzystałem z pierwszej nadarzającej się sposobności, mogącej mnie do karabinów doprowadzić.

Była nią okoliczność następująca. W drugiej połowie czerwca 1863 r., stojąc obozem w Kluczesku, zameldowano mi jakiegoś cywilnego, pragnącego się ze mną widzieć w jakimś ważnym interesie. Gdym go kazał wpuścić, wręczył mi polecający list otwarty Naczelnika m. Warszawy, którym przedstawia doktora Zdanowicza, jako wynalazcę materii wybuchowej i poleca go dowódcom oddziałów celem ułatwienia mu próby doświadczalnej.

Po odprawieniu od siebie osób przytomnych i zostaniu bez świadków zapytałem go, czego sobie życzy, na co mi odpowiedział, iż jakkolwiek jest doktorem medycyny, właściwą jednakże jego specjalnością jest chemia, a przy prowadzonych pracach w laboratorium udało mu się wynaleźć materię wybuchową, coś w rodzaju wynalezionej nitrogliceryny, tylko jeszcze silniejszą, dodając, iż 1 funt jego materii odpowiada sile wybuchowej 100 funtów prochu; zapytany o sposób jej użycia i wywołania eksplozji bez niebezpieczeństwa dla ludzi obsługę robiących poprosił mnie o chwilę cierpliwości, a po chwili wróciwszy z dosyć dużą paką, przez paru żołnierzy niesioną, złożył ją ostrożnie na podłodze, a po wyjściu żołnierzy roztworzywszy ją przedstawił mi jej wnętrze, wypełnione kręgami drutu do przewodu elektryczności, kręgi rurek kauczukowych o 10 milimetr. średnicy, maszynkę elektryczną i jakieś flaszki i słoiczki.

Wyznaczywszy mu kwatery obok siebie dla możności prędkiego komunikowania się w chwilach wolniejszych i przydzielając mu do

pomocy, o którą prosił, jednego podoficera artylerii i jednego inżynierii, obu Polaków i krakowiaków i obu dezertów z wojska austriackiego do powstania, zająłem się zbadaniem planu, jaki mi się nasunął na podstawie masy wybuchowej, którą rozporządzałem.

Chodziło o zniesienie się za pośrednictwem organizacji z zarządkiem ruchu kolei żelaznej w Piotrkowie i Częstochowie, aby maszyniści prowadzący pociąg czy też ich pomocnicy palacze w razie prowadzenia pociągu napełnionego wojskiem moskiewskim zarzucali nieznacznie na przodzie maszyny czerwoną większą płachtę. Gdy tę sprawę pomyślnie załatwiłem, gdyż organizacja miejska była dosyć karną i energiczną, a maszyniści i palacze, jako ludzie twardego rzemiosła i pracy, całym sercem oddani byli sprawie narodowej, wyznaczwszy punkt działania wioskę Płoszów, wysłałem do niej dra Zdanowicza pod opieką plutonu strzelców, którego w ciągu dni czterech pokończywszy swoje preparata i nabiwszy rurki kauczukowe, gotów był do działania.

Chodziło o wynalezienie najodpowiedniejszego miejsca w wyznaczonym Płoszowie, gdzie by można pozakładać przygotowane miny pod górny pokład kolejowy, a znalazłszy w oddziale ludzi poprzednio pełniących służbę kolejową i znających manipulację sygnałową, dodałem ich oficerowi kierującemu ekspedycją z poleceniem, aby przy zakładaniu miny stosował się z całą ścisłością do zarządzeń doktora Zdanowicza, a ludzi obeznanych z sygnałami rozesał do trzech stacyj budniczych z poleceniem zaznajomienia się i zawiązania stosunków przyjaznych z budnikami; o postępie robót i o jakichkolwiek zdarzeniach miał mi przedkładać codziennie treściwy lecz szczegółowy raport.

Na trzeci dzień po wyprawieniu ekspedycji otrzymałem raport, że wszystko pomyślnie ukończone i miny pozakładane bez żadnych śladów na zewnątrz, i z budnikami zawiązane są stosunki przyjacielskie, i czeka dalszego rozkazu.

W trakcie tych przygotowań, kiedy już z oddziałem przybyłem sponad Pilicy do Przyborowa, aby jednym marszem być na miejscu działania, zaszedł wypadek, którego rezultatem było spełnienie na niczym wyprawy.

Na postoju czy w Przyborowie czy sąsiedniej wiosce zjawiła się raptem organizacja powiatów piotrkowskiego i częściowo wieluńskiego i wręcz mi oświadczyła, iż dowiedziawszy się o zamiarach mej wyprawy i uważając zgubne następstwa, jakie by mogły z niej wynikać dla całej okolicy, przyjechali prosić mnie o jej zaniechanie, a w razie przeciwnym nie dopuszczają do niej. W odpowiedzi na to ultimatum

kazałem plutonowi strzelców otoczyć dom, w którym byliśmy, z rozkazem niewypuszczenia ani na krok nikogo, w razie zaś oporu użycia broni, a zawiadomiwszy tych panów, iż są aresztowani i że rozmawiać z nimi będę z powrotem po załatwieniu sprawy, natychmiast w dalszy marsz wyszedłem.

Przybywszy na oznaczone miejsce i ukrywszy w oddali cały oddział, wziąłem z sobą tylko kompanię strzelców i kompanię kosynierów, a przez położenie ich na ziemi ukrywszy ich w łanie żyta o kilkadziesiąt kroków od toru kolejowego, zbliżyłem się do dra Zdanowicza, stojącego przy baterii elektrycznej w tymże łanie żyta ustawionej; dowiedziawszy się, iż wszystko jest w porządku przygotowane, oczekiwałem wiadomości od mojej kawalerii, alarmującej fałszywym atakiem na pociąg do Piotrkowa idący Moskwę, zwykle po każdym takim alarmie wypadającą pociągiem ku miejscu alarmowanemu. Taki spieszący i napełniony Moskwą pociąg chciałem wysadzić i uzyskaną bronią oddział uzbroić.

Stojąc przy baterii elektrycznej doczekałem się po upływie jakiegoś kwadransu raportu od mej kawalerii o przedsiębranym fałszywym ataku na pociąg do Piotrkowa idący i o prawdopodobieństwie, iż pociąg, którego nadejście od Piotrkowa, Moskwę wieźć będzie. Odprawivszy podoficera z poleceniem posunięcia się kawalerii na kraniec lasu i obserwowania, a w danym razie ujrzenia kolumny moskiewskiej piechotą idącej — cichego i szybkiego wycofania się ku mnie i dania mi wiadomości o wypadku, czekałem dalej obok Zdanowicza.

Po kilkunastu minutach oczekiwania — najprzód hurkot, a następnie świst wpadającego do lasu pociągu od strony Piotrkowa zapowiedział mi chwilę katastrofy; ja z lunetą przy oku obserwowałem wylot z lasu, skąd miała za chwilę wyskoczyć lokomotywa przykryta lub nie czerwoną płachtą, a Zdanowicz z palcem przy gałce czekający mego słowa „przyciśnij”.

Chwila była krótka, ale zdaje się, żeśmy oba mieli przyspieszone bicie serca; po chwili zaś, gdy dojrzałem wyskakującą lokomotywę bez żadnej płachty, o czym zawiadomiłem Zdanowicza, aby go w emocji uspokoić, widziałem już dobrze gołym okiem pędzący pociąg napełniony pasażerami nie przypuszczającymi, iż przejeżdżają po założonej minie, która ich mogła diabelnie poturbować. Pociąg był spóźniony przeszło pół godziny, nie umiałem sobie wówczas tego spóźnienia wytłumaczyć. W kilka dni dopiero wyjaśniła się przyczyna opóźnienia, ale w danej chwili była pilniejsza robota: silna kolumna moskiewska ukazała się od strony Kamińska, od strony Radomska także mi

doniesiono o zbliżającej się Moskwie. Plan mój przeto był odkryty przed Moskwą, nie udał się, trzeba było z oddziałem wycofać się przed atakiem z dwóch stron zbliżającej się Moskwy o przeważnych siłach, co też i natychmiast wykonałem, pozostawiając tylko kieszonki kauczukowe; baterię elektryczną z zwiniętym drutem zabrano.

Kiedym znowu przybył w dolinę Pilicy, po ściągnięciu przez wysłany rozkaz straży i wypuszczeniu na wolność aresztowanych chwilowo nędzników, których, logicznie oceniając zasługę wypadki, powinno się było jako zdrajców hurtownie powiesić, widziałem, iż dalsza egzystencja oddziału jest tylko chwilową, że jeden oddział słabo uzbrojony na dwa województwa, to jest kaliskie i krakowskie, wobec takich sił poważnych przeciwnika i martwoty powstania musi mieć dni policzone i prędzej cokolwiek czy później musi ulec zniszczeniu. Te piękne widoki na przyszłość nie bardzo mnie pocieszały, ale nie mając innej drogi wyjścia musiałem się godzić z koniecznością.

Nieudany zamach na pociąg był wynikiem szlachecko-organizacyjnej zdrady, delegowani której, nim przybyli do mego obozu, poprzednio przez któregoś z łona swego konwencjonalnie zawiadomili Moskwę, iż się coś przygotowuje na linii kolei żelaznej między stacjami Radomskiem i Kamińskiem i że nie radzą używać kolei do transportu wojska. To niewinne doniesienie nie tylko pozbawiło mnie uzbrojenia, lecz jednocześnie, odkrywszy stały mój pobyt w dolinie Pilicy, zrodziło między komendami wojsk moskiewskich w tych województwach stojących plan dośrodkowego działania generałów Czyngerego¹⁾ z Kielc i Radina z Piotrkowa, czego w dni kilka miałem doświadczyć.

Przed świtaniem dnia 28 czerwca 1863 roku, leżąc na gazonach ogrodu w Maluszynie wśród swych żołnierzy, zbudzony zostałem strzałem pikiet konnych stojących od strony Koniecpola, a następnie usłyszałem z tej samej strony graną pobudkę. Wysłany patrol konny na linię pikiet powrócił niebawem w towarzystwie jakiegoś młodego oficera, którego, przedstawivszy się jako adiutant dowódcy Zaborowskiego, oznajmił mi, iż oddział czeka przed linią pikiet i prosi o wpuszczenie go do obozu. Dawszy odpowiednie rozkazy czekałem z oddziałem pod bronią nadejścia zapowiedzianego oddziału.

Upłynęła prawie godzina, świt dobry zajaśniał, kiedy nowo przybyły oddział w kolumnie pochodowej wszedł na gazonowy dziedziniec i sformowawszy front stanął *vis à vis* do mego oddziału.

¹⁾ Czengery, przyp. wyd.

Przywitawszy się z Zaborowskim, którego przedstawił mi swych oficerów, i usunąwszy się na bok celem wspólnego objaśnienia i porozumienia się, zapytałem go, co go skłoniło do nocnego marszu i łączenia się ze mną, na co mi odpowiedział, iż sformowałszy oddział w okolicach Małogoszczy, dowiedziawszy się o mym pobycie nad Pilicą, a jednocześnie o ruchach znacznej kolumny moskiewskiej pod generałem Czyngerim, — przyszedł z oddziałem, aby w razie danym podzielić wspólną dolę ze mną. Był to mężczyzna młody, lat zaledwie 25 mieć mogący, przyjemnej powierzchowności i wojskowego układu, porucznik artylerii austriackiej, którego, rzuciwszy w błoto swą karierę wojskową, z sumieniem polskim przyszedł spełnić swój obowiązek względem Matki Ziemi. Nazwisko jego właściwe było Pacyna, jak się później dowiedziałem, i to dziecko ludu chrztem krwawym zdobywało sobie polskie obywatelstwo. Mało go widziałem, gdyż zaledwie dni parę, losy wojny rozdzieliły nas na zawsze, nie mogę więc wiele szczegółów o nim napisać, ale całe jego postępowanie w ciągu 48-godzinnego wspólnego pobytu wykazywało człowieka serio myślącego, a nie blagiera, z którego wojna wyrobić mogła wybitniejszą osobistość. Jego wybitniejszymi oficerami, których nazwiska zapamiętałem, byli: kapitan I kompanii strzelców Chabriolle, porucznik armii francuskiej, którego walecznie zginął w miesiąc później pod Zygmuntem Chmieleńskim w bitwie pod Rudnikami, i kapitan Tabaczyński, dowódca półszwadronu ułanów, odważny żołnierz i wyrobiony regulaminowo oficer, lecz „ułan austriacki“.

Siły przybyłego oddziału składały się z dwóch kompanij strzelców po 100 ludzi uzbrojonych w karabiny, z dwóch kompanij kosynierów w tejże liczbie i z półszwadronu ułanów o sile 60 koni. Zebrane przeto siły połączonych chwilowo oddziałów wynosiły razem 500 strzelców, 1100 kosynierów i 128 ułanów, gdyż większą część swej kawalerii na dzień przed połączeniem oddziałów wysłałem na oddzielną dalszą ekspedycję.

Siły zaś moskiewskie idące przeciwko nam pod Czyngerim były następujące: dwa bataliony piechoty, dwa szwadrony dragonów i pluton o dwóch działach artylerii. Na liczbę prawie nas Moskale nie przenosili, lecz pod względem uzbrojenia, nie mówiąc już o wojennym wyrobieniu, przedstawiali cztery karabiny na jeden, poparte armatami.

Obliczyliśmy nasze siły w porównaniu z nieprzyjacielskimi i zbadaliśmy naszą pozycję w Maluszynie topograficznie, która w razie forsowania przejścia Pilicy po moście pod naszym ogniem była mocną, bo

panujący lewy brzeg z cmentarzem kościelnym i dworem murowanym utrudniał bardzo posuwanie się kolumn zbitych szturmowych tak przez most, jak i po drodze zawązowanej od tegoż wychodzącej, lecz w razie ataku z lewej strony Pilicy i sforsowania nas przewagą ognia karabinowego i działowego — wypychała nas bądź przez ten sam most w zwartych i zmieszanych kolumnach na prawy brzeg Pilicy pod ogniem działowym i karabinowym, bądź też wypychała nas na równiny bezleśne w stronę Przedborza po lewej stronie tej rzeki leżące, a można było i to przypuścić, iż Moskwa może jednocześnie z dwóch stron nas zaatakować. Wobec więc powyższych danych postanowiliśmy przed nadciągnięciem Moskwy Maluszyn opuścić i w okolicach Przedborza szukać dogodniejszej pozycji, mając oparcie a w razie danym i osłonę w leśnych okolicach, które się poza Przedborzem rozciągały.

Około godziny 7-ej rano, po wypoczynku oddziału Zaborowskiego i lekkim posiłku, opuściliśmy Maluszyn, a przeszedłszy na prawy brzeg Pilicy po moście pod Wolą Życińską, przez Bobrowniki, Dobromierz i Pratkowice zbliżyliśmy się do Przedborza, gdy od strony Grabowca z lasów po naszej prawej stronie leżących pokazały się kolumny moskiewskie.

Nie przerywaliśmy dalszego marszu, lecz tylko zasłoniliśmy tyły kolumny kompanią strzelców kapitana Gorajskiego z batalionu majora Bogusławskiego, którego, mimochodem powiedziawszy, jakkolwiek starzec przeszło 70 letni, bo żołnierz spod ks. Konstantego jeszcze z roku 1818, pokłóciwszy się z Gorajskim, czupurnym kolegą z Genui i Cuneo, wyrwali rewolwery i skoczyli na bok do pojedynku pod ciągłym ogniem tyralierów wzajemnie się ołowiem obsypujących. Dowiedziawszy się o tym, podskoczyłem ku zaczupurzonemu, a zgromiwszy obydwóch za wyprawioną farsę wobec swych żołnierzy, kazałem oddać pałasz Gorajskiemu i rozbrojonemu prowadzić dalej swych żołnierzy. Z końcem tej farsy prawie i przy zapadającym już zmroku weszliśmy do Przedborza, a przeszedłszy przez miasteczko z moim oddziałem i przez most na lewy brzeg Pilicy, na przedmieściu tam leżącym oddział zatrzymałem, obsadzając lewy przyczółek mostowy kompanią I strzelców i posyłając jeden pluton strzelców na wylot tego przedmieścia w stronę Maluszyna dla powstrzymania nadciągających dragonów. W tych czynnościach zmrok zapadł, musiała być 9-a wieczór, strzały tylko armatnie i karabinowe i ich ogień to jako płomyki, to jak paszcze czerwone wskazywały, że ludzie nieprzyzwoicie, a nawet morderczo do siebie gadają.

Wysłałem zapytanie do Zaborowskiego, dlaczego na lewy brzeg Pilicy nie przechodzi i żeby to natychmiast zrobił, gdyż Moskwa, jak się z sygnałów pokazuje, ciągnie ku lewemu, to jest ku rzece, i most na niej leżący może być lada chwila ostrzeliwany, co może rozdzielić oddziały. Po kilku minutach wrócił wysłaniec i doniósł mi, że Zaborowski wydał rozkaz wycofania się z miasta i że za chwilę oddział przybędzie, a jego wstrzymywanie się było spowodowane rekwirowaniem żywności dla zgłodniałego oddziału i zabieraniem pieniędzy z kasy miejskiej. Doniósł mi nadto, że kawaleria po Bończy, obecnie pod komendą Działoty, w sile paruset koni przed pół godziną przeszła przez Przedbórz, ulatniając się w zmrokach nocnych w kierunku północnym.

Po kilku minutach nadciągnął oddział Zaborowskiego: naprzód kompania strzelców, po nich dwie kompanie kosynierów — i te przeszły spokojnie, lecz gdy kawaleria przeszła most do połowy, strzał kartaczami z jednego i drugiego dział z odległości 300 do 400 kroków spłoszył i chwilową panikę wywołał w koniach i ludziach. Dobrze że tylko panikę, bo strzały te rdzenne, gdyby były lepiej skierowane, mogły pokotem zasłać most końmi i ludźmi; na usprawiedliwienie jednak artylerii moskiewskiej to trzeba dodać, iż była to noc i w pośpiechu, przy zmianie pozycji dokładnie celować nie mogła. Obsypywanie jednak mostu kartaczami, a następnie i ogniem karabinowym sprawiło, iż kapitan Chabriolle, który z kompanią swych strzelców prowadził łożyską gawędę z Moskalami, nie mógł już z oddziałem się połączyć, a party przez Moskali, wycofał się z miasta pod osłoną nocy w kierunku północnym i zginął na czas dalszych rozpraw dla oddziału.

Około 11-ej wieczór, widząc z słyszanych strzałów w stronę północną posuwających się, że Chabriolle nie połączy się, ściągawszy wysunięte oddziały strzelców, cichym marszem podążyłem do Korytana, skąd po trzygodzinnym wypoczynku na Ochotnik i Podstole przybyłem około 9-ej rano 29 czerwca do Trzebnicy.

Zarządziwszy odpoczynek i gotowanie pożywienia dla żołnierzy, poprosiłem Zaborowskiego, Lütticha, Tabaczyńskiego i kilku jeszcze oficerów i adiutantów i pojechaliśmy konno na tyły wsi, skąd przybyliśmy i skąd mogliśmy się spodziewać ataku ze strony Czyngerego, aby zbadawszy położenie obmówić plan działania w razie potrzeby.

Od strony zachodnio-północnej kłamra lasów prawie pod kątem prostym opasywała rozległe pola Trzebnicy, podówczas bujnym zbożem

porosłe, po którym żadna szarża kawalerii udać się nie mogła. Równina ta u wylotu wsi poczynając od wschodu ku zachodowi przecięta była wzgórzem o szkarpach dosyć stromych; dając przystęp dosyć utrudniony atakującemu, dawało ono tym samym dominujące stanowisko atakowanemu i ukrycie wszelkich poruszeń i rezerw przed atakującym nieprzyjacielem. Oddalone o jakie 1000 kroków od kraju lasu, skąd atak mógł nastąpić, było poza doniosłością strzałów ówczesnych karabinów moskiewskich, a dwa działa granatami strzelające na rozwinięty łańcuch tyralierski nie przedstawiały poważnego niebezpieczeństwa. Dwie osady włościańskie na wylocie wsi leżące obsadzone strzelcami dawały bezpieczeństwo prawemu naszemu skrzydłu, a wzgórze to przedstawiało dla nas tę jeszcze korzyść, iż osłaniając nasze poruszenia, dawało możliwość przyjęcia charakteru zaczepnego bądź odpornego.

Zbadawszy pozycję i wydawszy odpowiednie zarządzenia, to jest powierzając komendę prawego skrzydła Zaborowskiemu, środek zostawiając sobie, a lewe — Bogusławskiemu, rezerwy pozostawiłem Lüttichowi. Po załatwieniu tej sprawy powróciliśmy do dworu w Trzepnicy, około którego skoncentrowany był cały oddział, a z wyniosłego pagórka, na którym był postawiony, można było objąć okiem całą równinę klamrą lasów objętą.

W kilka godzin po naszym przybyciu do Trzepnicy, kiedy już najeżdżony żołnierz spokojnie odpoczywał, a oficerowie po sutym obiedzie wystawionym przez pp. Masalskich, właścicieli majątku, swobodnie we dworze rozmawiali, wyszedłem na ganek z gospodynią domu, dziwnie uroczo piękną kobietą, tak piękną, jaką tylko być może wyjątkowo piękna Polka, pozostawiając za sobą w tyle nawet idealnie piękne twarze normandzkich Angielek; gdy z nią rozmawiałem, rzecz prosta, o toczącym się powstaniu, wpatrując się w te szlachetne rysy twarzy i kontury klasyczne, w jasnym batystowym ubraniu dokładnie się odznaczające, padł strzał na mych czatach konnych pod lasem stojących. Rzuciwszy okiem w stronę odgłosu, ujrzałem wysuwającą się z lasu szpicę z kilkunastu dragonów złożoną i cofającą się klusem do wsi moje czaty konne.

Ponieważ I kompania mych strzelców, będąc w dniu tym służbową, stała w pogotowiu przed dworem, kazałem jej sformować kolumnę pochodową, a nadbiegłemu w tej chwili Lüttichowi dawszy rozkaz „sformuj oddział i wprowadź na pozycję“ — sam przyspieszonym marszem udałem się na pozycję poprzednio wyznaczoną, a obsadziwszy wylot wsi półplutonem strzelców pod komendą podoficera z armii

pruskiej Szwartza, a u mnie instruktora kompanii, z poleceniem zamienienia chałup na blokhauzy i utrzymania stanowiska, resztę strzelców w liczbie 75 ludzi rozsypałem w łańcuch tyralierski i obsadziłem częściowo wzgórze.

Czas był na to, zaledwie bowiem zarządzenia zostały wykonane, wychyliły się z lasu dwa szwadrony dragonów, a po przejściu paruset kroków rażone ogniem naszych doskonałych karabinów systemu Miniego, w jakie kompania I była uzbrojona, cofnęli się spokojnie do lasu, gdzie, spieszywszy się, zbliżyli się do nas pod osłoną wysokiego żyta łańcuchem tyralierskim na 500 do 600 kroków i rozpoczęli ogień, zaledwie wychylając się z żyta do strzału. Moja linia tyralierów, dobrze osłonięta tak wzgórzem jak i żytem, stała a raczej leżała — spokojnie strzelając, a prawdopodobnie strzały jej były skuteczniejsze, bo z wyniosłej pozycji każdy ruch był dostrzegalnym; na nas strzały przeciwnika były bezskuteczne, albowiem po godzinie dosyć gęstego ognia, wspomaganego nareszcie nadeszłą piechotą, nie miałem nawet ani jednego rannego człowieka, z czego sens się wywodzi, a co już nie tylko powiedzieli, ale nawet napisali i do ogólnej wiadomości podali ogłoszenie drukiem różni ludzie mądrzy, notabene wojskowi, że najpodlejszym kawalerzystą jest dragon i najnędniejszym piechurzem jest znowu dragon. Instrukcja sama, jaką mu wygłaszają z emfazą oficerowie, a z jeszcze większym patosem podoficerowie i kaprale, robi z niego jednego dnia ułana, rozbijającego z fajką w ustach karne bataliony bydłowej piechoty, zmuszonej chodzić na nogach, a drugiego dnia tenże sam pogardzany dnia poprzedniego piechur ma stać nie zmrużywszy oka pod rozwartymi chrapami nadbiegającej w szalonym pędzie kawalerii; ta rozmaitość instrukcji, a z nią niedokładność wyćwiczenia w dwóch naraz broniach robi z dragona niedonoszone dziecko, które bez opieki prawdziwej piechoty i jazdy jest zwykle żołnierzem nieporadnym i oprócz szarmycłowych spotkań najmniej do frontowego boju przydatnym. Takimi pokazali się dragoni moskiewscy pod Trzepnicą.

Gdy po godzinie nadaremnej strzelaniny wysłany adiutant Walewski powrócił i doniósł mi, że oddziału nie ma, gdyż takowy cofnął się przed pół godziną drogą w stronę Piotrkowa, a natomiast widać zbliżającą się kolumnę moskiewską od strony Radomska, dałem rozkaz cofnięcia się mym strzelcom I kompanii z zajmowanej pozycji i frontem rozsypanym, prawie nie prześladowany przez pościg moskiewski, przeszedłszy otwartym polem parę wiorst odległości, po pół godzinie doszedłem do stojącego w lesie oddziału.

Nie pytałem się nawet ani Lütticha, ani Zaborowskiego o powody cofnięcia oddziału zamiast wprowadzenia go na wyznaczoną rankiem linię bojową. Fakt stał się, Czyngery był za silny, żeby go z mocnej pozycji wyrzucać, a tym samym musiałem myśleć nad wynalezieniem sposobu, ażeby wycofać się z matni, w jaką głupie a może nawet tchórzliwe cofnięcie się wprowadziło oddział, znajdował się on bowiem między silną kolumną Czyngerego a Piotrkowem i linią kolei żelaznej w odległości zaledwie trzech mil drogi, i mógł się w kilku godzinach znaleźć otoczony bardzo poważnymi siłami. Widziałem z ruchu kolumny moskiewskiej z Radomska, że komendy na linii kolejowej są baczne i z ruchem Czyngerego związane, i dlatego postanowiłem obejść prawe skrzydło Czyngerego, aby przeszedłszy na jego tyły, bądź chwilowo zniknąć zagłębiając się w lasach powiatu końskiego czy też opoczyńskiego, bądź też mieć do czynienia z działającym z jednej strony przeciwnikiem, nie zaś dośrodkowo działającym. I dlatego też jak tylko spotkałem cofnięty oddział, wyznaczając kierunek marszu na Żerechową, Tomawę, doszedłem do Lubienia, gdzie dawszy trzygodzinny odpoczynek wyprawiłem pół szwadronu ułanów pod komendą Zaborowskiego na Sulejów, aby rozbiwszy stacjonujących tam zwykle 30 kozaków, ruchem w kierunku Opoczna odciągnął za sobą w tamtym kierunku mogącą wystąpić do akcji wspólnej kolumnę piotrkowską. Wyznaczając mu punkt zborny w okolicach Przedborza, sam nad rankiem 30 czerwca 1863 r. podniósłszy znużony oddział wyszedłem z nim ku Przewozowi, gdzie przeszedłszy po kiepskim moście na prawy brzeg Pilicy, stanąłem na chwilowy odpoczynek w Szarbsku.

Szalony upał, jaki w tym dniu panował, może do 30° w słońcu dochodzący, a który pozbawił mnie kilkunastu żołnierzy padłych trupem od uderzenia słońca, wstrzymał mnie w dalszym marszu. Zmęczony i padający mi żołnierz od chwilowego przystanku w Szarbsku dozwolił mi zaledwie doprowadzić się kilka kilometrów do Skotnik, gdzie w lesistej okolicy musiałem się stanowczo zatrzymać.

Nie było sposobu dalej postępować bez zatracenia wszystkiego. Na drodze leśnej w kolumnie pochodowej stanęliśmy i jak szli, tak padli na niej do odpoczynku żołnierze. Żywności nie było, czymby można wzmocnić i podnieść ich siły, głusza leśna, w której odpoczywaliśmy, nie mogła jej dostarczyć. Odpoczywaliśmy godzinami trapieni pragnieniem, a wody w pobliżu nie było. W tym stanie spoczywaliśmy ze cztery godziny, gdy tupot kawalerii nadchodzącej oznajmił mi coś nowego. Była to kawaleria po Bończy, oficerowie jej pod komendą

Dzianota przyszedł do mnie za chwilę, oddając się pod me dowództwo i prosząc o wprowadzenie ładu i karności w ich kawalerii, gdyż takowych zupełnie brakuje — i żołnierze ich są kupą niekarnych hultajów.

Kiedyś zamyślałem o paręset kroków stojącą kawalerię otoczyć mą piechotą i przeprowadzić choćby nawet krwawą reorganizację, strzały od tylnej straży dały mi znać o nadciągnięciu nieprzyjaciela.

Z chwilowego zamieszania, jakie wywołały strzały, i zarządzeń moich co do dalszego cofania się w kierunku na Przedbórz — skorzasta ta hałastra kawaleryjska i bez komendy ulotniła się pospiesznie, aby w dni kilka zakończyć swój niesławny żywot, rozproszona przez szwadron dragonów.

Ucieczka tej hołoty oddziałała niekorzystnie i na mego płochliwego Lütticha (gdy go się tylko spod oka spuściło). Zabrawszy mi ostatni mój półszwadron kawalerii, bardzo mi się przydać mogący, zapomniał znów jak i dnia poprzedniego o placu boju i udał się zbyt pospiesznie na tyły, prawdopodobnie dla zamówienia nam kwater i żywności.

Strzelanina się zawiązała, moja I kompania strzelców, osłaniająca cofający się oddział w odległości 400 do 500 kroków, ostrzeliwała początkowo kozaków i huzarów w froncie kolumny idących (z których dowiedziałem się, iż mam do czynienia z kolumną piotrkowską pod generałem Radin, a nie z kolumną Czyngerego, gdyż w tej ostatniej huzarów nie było), a następnie piechotę, wspomaganą sypiącą w nas kartaczami artylerią. Było to jednak starcie między strażą przednią a mą tylną, główne siły z obu stron nie brały w nim udziału, a gdym dostrzegłem, iż należy wesprzeć mą kompanię, gdyż więcej masują się siły przeciwnika, ściągnąłem kompanię żuawów i wsparłem nią ze skosa mą I kompanię.

Wszystko się działo prawidłowo, lecz w głuszy leśnej, a tym samym — okiem nie mogło być wszystko dostrzeżone, a kawalerii nie miałem, która by mogła baczość i związek między oddziałami utrzymać, i kiedy przepuściwszy oddział — przechodziłem za nim o kilkaset kroków w zgęszczonym łańcuchu tyralierskim mej I kompanii przez jakieś śródleśne pole, nie więcej jak 400 kroków szerokości mające, ostrzeliwany znów kartaczami i flankującymi huzarami, nie spostrzegłem mej kompanii żuawów pod komendą kapitana Przybyłowicza w akcji czynnej będących; później dopiero dowiedziałem się, że ten nędzny fanfaron, obowiązany stanowić rezerwę dla I kompanii, obleciały tchórzem i skorzystawszy z ciemniejszego podszycia lasu, kompanię w bok lasu zaprowadził, porzucając i plac boju, i I kompanię będącą w niebezpieczeństwie. Na tym zdarzeniu zakończyła się potyczka.

Moskale, ściągnawszy wysuniętych na pole huzarów i zaprzestawszy ognia, prawdopodobnie nawrócili. Kiedy obsadziwszy kraj lasu tyralierami I kompanii, po półgodzinnym moze postoju doczekałem się zachodu słońca i z nim zapadającej szarówki leśnej, a nie doczekałem się przybycia kompanii Przybyłowicza, poleciłem kapitanom kompanij tak strzelców jak i kosynierów, ażeby doprowadzili swe kompanie do normalnego stanu, gdyż podczas boju i nużącego marszu często się zdarza, a szczególnie u młodego i nieumundurowanego żołnierza, że ludzie różnych kompanij i broni pomieszają się z sobą, co dla regulaminu wojskowego jest niedopuszczalne. Kiedy kapitanowie, wypełniając mój rozkaz, wywoływali numera kompanij strzelców i kosynierów odnośnego batalionu, a żołnierze stawali w szeregi, padły w odległości paruset kroków w tyle dwa strzały, na które w pierwszej chwili wszystko się rozsypało, a po kilku minutach zakłęk i nawoływań podczas szybko zapadającego zmroku zdołałem zebrać około siebie do 200 ludzi i wyprowadziłem ich w pole, a następnie po jakiejś godzinie marszu doprowadziłem ich do dworu do Płaskowic czy Starachowic, opuszczonego przez właścicieli, gdzie noc przepędziliśmy nie bardzo przyjemnie, o sobie to tylko mogę powiedzieć, że byłem zupełnie zhebesowany.

Ta panika, wywołana dwoma ślepymi strzałami, niszcząca w jednej chwili owoc ciężkiej, kilkumiesięcznej krwawej pracy, zdruzgotała mnie chwilowo zupełnie, nie byłem zdolny do niczego — i gdy nadszedł poranek, automatycznie powlokłem się z pozostałą mi gromadą ludzi w stronę Maluszyna, skąd spodziewałem się nadejścia furmanek, nakazanych przez wysłanych kurierów po nieudanym starciu pod Trzepnicą.

Po paru godzinach wlokącego się marszu, rankiem około 7-ej dnia 1 lipca 1863 r. dociągnąłem do jakiejś wioski, której nazwiska ani wówczas ani dzisiaj nie pamiętam, gdzieś w kierunku od Przedborza ku Maluszynowi, gdzie spotkałem Lütticha z uprowadzonym z ognia dnia wczorajszego półszwadronem kawalerii i do 100 strzelców i kosynierów jego przykładem pociągniętych. Zgoła znalazłem się z kupą zaledwie 400 ludzi liczącą, zgłodniałą, zmęczoną i znacznie rozbrojoną przez porzucenie broni i amunicji, jednym słowem, zdemoralizowaną i niezdolną do żadnego oporu. A miałem w perspektywie w każdej niemal chwili atak bądź ze strony kolumny jenerała Radin, z którym się wczoraj wieczór rozstałem pod Płaskowicami, bądź ze strony jenerała Czyngerego, któren po spotkaniu pod Trzepnicą musiał powracać w kierunku na Przedbórz na swe kwatery do Kielc.

Z 1700 ludzi, z którymi nie mogłem na pewno przyjmować spotkania, była jednakże możliwość działania, z 400 zdemoralizowanymi — nic prócz niewoli, bo i na krwawy opór nie mogłem rachować. A przede wszystkim byłem sam zdemoralizowany: trudy, znużenie, głód i ta panika, która mi rozproszyła oddział, bezmyślnym mnie uczyniły chwilowo, pozbawiając właściwej mi energii i jasnego pojęcia na stan rzeczy.

I oto po pięciu miesiącach nieustannej walki i trudów obozowych popełniłem czyn, za którego się jeszcze dzisiaj rumienię — rozpuściłem tę resztkę oddziału, która się obok mnie znajdowała, a kazawszy broń przechować i oddawszy komendę nad skompletowanym szwadronem kawalerii Romanowi Bocheńskiemu (z powodu powrotu w godzinę po rozpuszczeniu oddziału półszwadronu, wysłanego przed kilkoma dniami na oddzielną ekspedycję), zaleciłem oficerom nie wydaląć się z okolicy, w której nastąpiła katastrofa, gdyż w kilka dni nadeślę im wiadomość o punkcie zbornym, na którego z zebranymi ludźmi i bronią stawić się powinni.

Z tym wyjechałem już na bryczce z adiutantem mym kapitanem Wincentym Walewskim i udałem się dla odszukania wówczas już generała Edmunda Taczanowskiego i Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego i mazowieckiego; odnalazszy go w m. Warta z szwadronem formującego się wówczas I pułku ułanów, zdałem mu ustnie szczegółowy raport tak o wypadkach mego oddziału z ostatnich dni czerwca, jak o rozpuszczeniu oddziału i możliwości jego sformowania, oddając się bądź pod sąd za przekroczenie, bądź żądając upoważnienia do zebrania i sformowania chwilowo rozpuszczonego oddziału.

Prośba moja ani w jednym kierunku, ani w drugim nie została wysłuchaną. Zostałem chwilowo, jak to mówią, „do dyspozycji“, następnie chciano mi oddawać zarządy wojskowe w innych województwach bądź na prawym brzegu Wisły, bądź na Litwie położonych, ku czemu nawet osobiście tentował p. Agaton Giller. Odrzuciłem wszelkie propozycje i wstąpiłem do formującej się wówczas brygady kawaleryjskiej Taczanowskiego w charakterze wolontariusza, nie przyjmując żadnej komendy ani obowiązków z służbą czynną związanych.

Przeciąg parotygodniowych tych niby prowadzonych ze mną pertraktacyj był zupełnie wystarczającym, ażeby pozostawiony szwadron pod komendą Romana Bocheńskiego został rozбитo przez kozaków, w którym to starciu między zabitymi i rannymi pozostał na placu jako zabity kilkunastu ranami pokryty Bocheński, i żeby rozproszeni i rozpuszczeni ludzie mego oddziału w przeważnej części wstąpili do

formującego się wówczas oddziału Zygmunta Chmieleńskiego, który oparłszy się na żołnierzu już więcej wyrobionym i zaprawionym do karności, mógł skuteczniej i zaszczytniej działalność swoją rozpocząć i dalej ją prowadzić, nie przechodząc ciężkiej szkoły wyrobienia z rekruta jakiego takiego żołnierza. Wystarczył nawet i na to, ażeby nie dopuściwszy mnie do sformowania oddziału odjąć mi zarząd wojskowy nad powiatami i oddać takowy tak nazwanemu „pułkownikowi“ świeżo upieczonemu z odstawnego sztabs-kapitana p. Izydora Kopernickiego, a szwagra p. Agatona Gillera, człowiekowi, który prócz nędznego tchórzostwa i nepotyzmu bodaj innymi cnotami nie odznaczał się w swej karierze wyższego oficera polskiego.

Ówczesny Rząd Narodowy, prawda, iż złożony przeważnie z reakcji, której największym bólem i zniewagą był samoistny rozwój sił narodowych, lecz upaśćkany w ohydną politykę Czartoryszczyzny („obcej interwencji“), przez dobrze zrozumiany interes, że tylko rzeczą żywą ludzie się zajmują, a martwa jest przedmiotem historii, — powinien był zamiast kopnięcia i odsunięcia utrzymać przy sobie, choćby jako rezerwę na wszelki wypadek, ludzi wybitniejszych czy energią, odwagą i wytrwałością, a którzy już w paroletniej działalności konspiracyjnej przedpowstańczej i w kilkumiesięcznej samoistnej akcji zbrojnej złożyli dowody swej wartości i którzy tylko stali wobec tych powag papierowych pod tym głównie zarzutem, że nie posiadając wąsów ani innej ornamentyki swej twarzy, nie mogą godnie spełniać swego wybitnego stanowiska. Zamiast zarezerwowania chwilowo zdemoralizowanego człowieka do przyszłej pracy — kopnęli go, jako rzecz bezwartościową, nie przedstawiającą w danej chwili żadnego oporu i przeszli nad nim do porządku dziennego zadowoleni, że skończyli swój kłopot z niespokojnym, bo goręcej odczuwającym człowiekiem.

III. LIPIEC, SIERPIEŃ

Z KAWALERIĄ GENERAŁA TACZANOWSKIEGO

Łask, Złoczew, Brodnia, Wrzeszczewice, Sędziejewice

Zostawszy wolontariuszem w brygadzie Taczanowskiego, przyglądać się zacząłem bacznie jej formacji jak niemniej jej dowódcy i wybitniejszym oficerom w skład tej brygady wchodzącym. Po parotygodniowej obserwacji, podczas której to błogie „dolce far niente“ przy obfitym i smacznym posiłku i na mój wygląd korzystnie oddziało, przyszedłem do przekonania, że poważni dowódcy, umiejący się

szanować, a nie jacyś urwipolcie, mogą nawet w naszym powstaniu, trzymając się ściśle instrukcji Rządu Narodowego („przewlec powstanie“ do czasu interwencji), mogą, mówię, przespać się dobrze, notabene pod dobrym dachem i na wygodnych łóżach, nawet w razie potrzeby ugarniowanych, najeść się dobrze i smacznie, i mieć nawet dla uprzyjemnienia sobie chwil dosyć dobrane i przyjemne towarzystwo, a oddziały, niby mustrowane przez ich oficerów podkomendnych, zamiast niepotrzebnie narażać się na kule ołowiane, ba, czasami i żelazne, a nawet na cięcia i pchnięcia, mają stanowić osłonę dostojnych tych naczelników. Oczy mi się roztworzyły, żałowałem, że już nie zaliczałem się do kategorii tych dostojnych wybrańców, lecz żal przyszedł po niewczasie, przeto dla zagłuszenia go jeszcze pilniej przyglądałem się mustrom i posturze ułana polskiego.

Z pierwszej — nie byłem w zupełności zadowolony. Komendy wydawane przez rotmistrzów szwadronowych: „baczność“, „od prawego do lewego odlicz się“, „trójkami w prawo zajdź“, „trzema na prawo w tył zajdź“ i „trzema na lewo do frontu zachodź“ — wypadały poprawnie i były wykonane dokładnie. Nieco już ujemniej wypadały komendy odłamywania się od prawego plutonami dla sformowania kolumny plutonowej, gdyż u niektórych pp. szwadronistów pojawiły się w rękach małe książeczki, z których komendy czytano; gdym się zdziwił tym zjawiskiem dla żołnierza nadprzyrodzonym, objaśniono mnie, że ich używają oficerowie wyszli z armii pruskiej, którzy nie zdołali się jeszcze do tego czasu nauczyć komendy polskiej, na co odrzekłem, iż pp. pułkownicy powinni ułatwić tym panom naukę polskiego regulaminu sadzając ich do kozy o mniej wykwinntym wikcie, w której z braku innych rozrywek zapoznają się gruntowniej z regulaminem.

Żołnierze zaś przy wykonywaniu tego ruchu, nie mając rutyny wyrobienia i nie przestrzegając niezbędnej odległości między sobą w ciągnięciu ku prawemu ze skosa, najeżdżając się gnietli sobie golenie, tworząc zamieszanie — przy formacji tej wykonanej stępo. Pomyślałem, bacznie ten manewr obserwując, co się stanie z ludźmi i końmi przy manewrowaniu szwadronu choćby tylko kłusem lub galopem, bez użycia pędu, przy formacji frontu bądź na komendę „baczność, formuj front w lewo, dykcja na prawo“, bądź na komendę „baczność, formuj szwadron, dykcja do środka“, a ta ciekawość niepotrzebna spowodowała, żem się zbliżył do dowódcy I pułku ułanów pułkownika Matuszewicza, dobrego i dzielnego szwadronisty, lecz za słabego i za miękkiego pułkownika, i zaproponowałem mu

wydanie rozkazu manewrującemu szwadronowi, ażeby wykonał obydwie te formacje z kolumny plutonowej od prawego.

Obydwie te formacje zostały wykonane po różnych instrukcjach wstępnych, zapowiedziach i niedokładnościach, a ich rezultatem był brak kilkunastu ułanów w szeregach rozwiniętego szwadronu, spadłych z koni przy wykonywaniu formacji.

Miałem już dosyć tej ciekawości, nie chciałem już więcej kompromitować oficerów komenderujących z książki i być powodem guzów większych lub mniejszych u spadłych z koni ułanów. Powróciłem do sztabu tak nazwanego, a ta moja ciekawość wyrobiła mi u oficerów przymiotnik „wściubskiego“, któren wsadza swój nos tam, gdzie nie potrzeba.

A jednakże ta ciekawość przydała się na coś. Jakoś w tydzień po jej zadowoleniu zaproponował mi brygadier Taczanowski lustrację mustrujących się szwadronów, na której zauważyłem, że nie ma już w rękach oficerów książeczek regulaminowych. Wychodziła wprawdzie komenda z ich ust jeszcze niepewna i niezbyt dokładna, ale postęp był znaczny, a przecież od razu Krakowa nie zbudowano; a i w manewrach wykonywanych przez szwadrony widziałem z przyjemnością, że moja nauka w las nie poszła, znać było bowiem widoczne, znaczne postępy w formacjach frontu i szwadronu, co pokazywało kilkunastu pracą nad żołnierzem ze strony pp. oficerów.

Lecz diabeł ciekawości popychał mnie naprzód i kiedy już dla wyrobienia oficera i żołnierza przechodzono po raz trzeci formowanie z rozwiniętego frontu kolumny plutonowej od prawego i odwrotnie, podsunąłem Taczanowskiemu myśl, aby kazał spróbować, jak uda się szarża frontem rozwiniętym, lecz żeby w samym impecie ataku „marsz, marsz“ ułani drugiego szeregu nie składali broni do ataku, lecz trzymali ją przy ramieniu dla bezpieczeństwa pierwszego szeregu. Rozkaz został wydany i wykonany, lecz skutek przeszedł nawet me przypuszczenia: przynajmniej piąta część szwadronu wysadzona została z siodła, ściśnięcie było tak silne, że kilku ułanów z zgniecionymi nogami niezdolni byli do prędkiej służby, potrzebowali kuracji.

Próba ta jednak wywołała dobre skutki. Ułan przeznaczony jest jedynie do atakowania, a zatem tak on jak i koń, na którym siedzi, powinni stanowić jedną nierozdzieloną całość, tylko w szalonym pędzie brawury roztrącającym nieprzyjaciela — potrzeba tę całość do takowego pędu przygotować i zaprawić, ażeby koń w tym pędzie, czołgający niemal brzuchem po ziemi, mógł schwycić chrapami dosyć powietrza, jak i schylony na nim ułan z lancą do ataku nie był zemdlony

brakiem takowego; potrzeba przez wyrobienie człowieka i konia w takim pędzie wzwycząić ich do utrzymania dystansu nie dopuszczającego gniecienia goleni i wysadzania z siodeł.

W tym też kierunku rozpoczęły się ćwiczenia i manewra ułanów, nie doprowadziły one do zupełnie odpowiedniego rezultatu, gdyż prawie połowa tej brygady po łacinie jazdę konną wykonywała, lecz po paru tygodniach urlopu, kiedy wróciwszy do brygady znalazłem się na mustrze, zobaczyłem, iż brygada w manewrowaniu zrobiła znaczne postępy i można było przypuszczać, iż po jakimś miesiącu dalszych ćwiczeń można ją będzie poprowadzić na nieprzyjaciela.

Co do postury brygady, to jest jej wyglądu zewnętrznego, była ona aż niemal zanadto piękną i bogatą na biedny nasz kraj i biedniejsze powstanie, nie ustępowała ona z wyglądu zewnętrznego żadnej brygadzie regularnej kawalerii. Wyobraźcie sobie, szanowni czytelnicy, tę brygadę złożoną z dwóch pułków ułanów, każdego z czterech szwadronów po 150 ludzi, siedzącą na koniach dobieranych co do miary po 16, a co do maści — szwadronami, ubraną jednakowo aż do guzika w granatowe ułanki z amarantowymi wyłogami, takimiz kołnierzami i mankietami, o spodniach granatowych z amarantowym lampasem i mającą głowy okryte ułańskimi kaszkietami o srebrnych orłach. Widok jej był zaiste imponujący. Ta sama szlachta kaliska, podczas swego konfederackiego wystąpienia kwietniowego ceniąca swe życie i zdrowie zbyt wysoko i dlatego zbyt szybko do domów ulatniająca się, nie żałowała na wyekwipowanie tych ułanów — i sprawdziło się przysłowie „zastaw się, a postaw się”: wystawiła swymi pieniędzmi tę brygadę o sile 1200 koni hojnie i wspaniale i tę jej można oddać sprawiedliwość, iż nie tylko cała jej prawie młodzież do niej wstąpiła, lecz, co większa, przez cały czas jej dwumiesięcznej egzystencji, to jest przez lipiec i sierpień 1863 r., dostatkio ją w prowianty dla ludzi i koni zaopatrywała.

Duszą organizacji, która tę formację stworzyła, był podpułkownik Pini, szef sztabu Taczanowskiego — a nie tylko jako dowódca brygady kawaleryjskiej, lecz głównie jako szef sztabu Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego i mazowieckiego, człowiek może o niewysokiej wartości moralnej, a jako oficer czynny w ogniu bez żadnej wartości, bo tracący przytomność na pierwszy świst kuli moskiewskiej i w takich wypadkach wódką się wzmacniający, lecz człowiek wysokiej inteligencji i wykształcenia, wyrobiony w tym kierunku fachowo podczas formacji legionów polskich w 1848/9 na Węgrzech, gdzie w stopniu kapitana zaliczał się do najlepszych oficerów.

Oparłszy się na pracach przygotowawczych Bronisława Ruckiego i Stanisława Szachowskiego i na środkach przez nich przygotowanych, uzbroił, umontował i ubrał wspomnianą brygadę u przemysłowców i przedsiębiorców w Wrocławiu i ich drogami wprowadził je do kraju, nie wymagając ani życząc sobie żadnej posługi i poświęceń ze strony obywatelskiej organizacji.

Ta tylko droga jest jedynie odpowiednią dla ludów w niewoli jęczących do uzbrajania się: nie powierzać ludziom w tym kierunku niefachowym, mimo nawet ich najgorętszego patriotyzmu, spełniania tej funkcji, kaźden nasz handlarz wyznania mojżeszowego w imię swojego własnego interesu wykona ją dokładniej, niż najwięcej poważna senatorska głowa, nie mająca pod tym względem żadnej rutyny ani doświadczenia.

Przyszłe pokolenia, jeżeli zapragną kiedyś odzyskać godność człowieka, bo dziś mimo swych wszystkich świństw i elukubracji secesyjnych są li tylko trzodą niewolniczego bydła, — niech pamiętają, że kaźda wojna, a tym samym i wojna o niepodległość i zdobycie z nią człowieczeństwa, wymaga pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, lecz użycie tych pieniędzy winno być poruczone nie krzykaczom patriotycznym, lecz ludziom dobrej woli fachowo w tym kierunku wykształconym, kupcy do tego najlepiej się nadają.

Kiedym się bacznie przyglądał formacji tej brygady kawaleryjskiej, zapytałem Taczanowskiego, jak stoi sprawa z formacją piechoty, która, jako broń główna w kaźdej armii, wymaga równoczesnej organizacji.

Odpowiedział mi, iż rozpoczął organizację wojska od formacji kawalerii, której pułk o czterech szwadronach znajduje się także w województwie mazowieckim pod dowództwem Calliera, dlatego iż ta broń wymaga więcej wyrobienia, i dopiero po doprowadzeniu jej do stanu odpowiedniego przystąpi do ogólnej formacji piechoty w powierzonych mu województwach, ku czemu ma już sprowadzonych przeszło 2000 karabinów.

Zgodziłem się z jego poglądami, gdyż miały słuszość za sobą, i przez czas jakiś cieszyłem się nadzieją, iż może z tej arlekińsko-krwawej szopki coś trwalszego się zbuduje, gdy po upływie paru tygodni, a zatem około 10 sierpnia 1863 r. pokazał mi Taczanowski otrzymany dnieniem pierwszej rozkaz Rządu Narodowego, doręczony mu osobiście przez przybyłego do obozu nadzwyczajnego komisarza p. Agatona Gillera, którym mu zabraniają wywołania ogólnego ruchu powstania na 15 sierpnia wyznaczonego, zalecając tylko dalszą formację kawalerii

i pojedynczych niewielkich oddziałów pieszych celem niezbyt krwawego przeciągnięcia powstania do czasu mającej nastąpić interwencji.

Gdy rozkaz ten przeczytał, zapytał mnie, co bym robił będąc na jego miejscu. Odpowiedziałem natychmiast: „Nie usłuchałbym, zamiast zastosowania się do niego wprowadziłbym w wykonanie zarządzenie wydane ogólnego ruchu na dzień 15 sierpnia 1863 r., a mając zbrojne siły za sobą gadałbym dopiero z ludźmi od zielonego stolika“. Przedstawiałem mu, iż wobec wzmocnionego ruchu zbrojnego, jaki wówczas zapanował w krakowskim i sandomierskim, lubelskim i podlaskim, ruch masowy w województwach jego komendzie oddanych nie tylko oddziałaby korzystnie na sprawę powstania i przychylniej na nie spoglądałaby zagranica, ale i jemu samemu akcja wykonana, do której pracowicie dążył, dałaby uznanie i sławę dobrze obmyślanego czynu.

Zdawało mi się, iż moje uwagi dodatnio wpłynęły na niego, mruzczał i okazywał niezadowolenie z otrzymanego rozkazu od pisarków, w końcu zapytał się, co robić z Gillerem. Odpowiedziałem mu: „Nic“. — „Jakto nic?“ — „Robić wszystko i szybko, ażeby zarządzenia na 15 sierpnia wypadły jak najlepiej, z Gillerem nic nie gadać o przywiezionym przezeń rozkazie, mając St. Frankowskiego, Calliera w mazowieckim, a St. Szachowskiego i siebie w kaliskim. Człowiek obcy i nie związany z organizacją, jakim jest Giller, nie może stanowić przeszkody w twoich zarządzeniach, gdyby zaś, czego się nie spodziewam, chciał coś szkodliwego przedsiębrać — uczynić to niemożliwym, dodając mu nieustającą straż honorową niemą, jednym słowem, z całym szacunkiem przynależnym jego stanowisku zatrzymać go u siebie w obozie do owego 15 sierpnia, a po nim odesłać go pięknym powozem“.

Rady moje i przedstawienia nie poskutkowały, spotkany jeszcze tego wieczora p. Agaton Giller jeszcze lepiej uśmiechał się do mnie swymi żółto-koszlawymi zębami, jakby mi chciał podziękować za pełen szacunku sposób obejścia się z dostojną jego osobą w razie chwilowego przetrzymania go w obozie. Widząc, iż dobre zamiary Taczanowskiego pozostaną tylko w krainie dobrych chęci i będą kiedyś służyć, jako materiał do wybrukowania drogi do piekła, usunąłem się chwilowo z obozu.

O Taczanowskim mówiąc z epoki naszego powstania, trzeba by go odzwierciedlić zewnątrz i wewnątrz, aby ukazać jego cnoty i wady, jego dodatnie i ujemne strony, jego nawet dobrze nadwątlony organizm, zgoła stworzyć z niego postać uplastycznioną a prawdziwą,

gdyż owa figura przez cztery prawie miesiące absorbowiała siły żywotne dwóch województw, do półtora miliona mieszkańców liczących.

Człowiek ten, wówczas przeszło czterdziestoletni o wyglądzie i znamionach lat pięćdziesięciu, którego młodość w artylerii pruskiej spędzona wyrobiła niezłego oficera podkomendnego, a moralne usposobienie zapędziło w szeregi powstańców poznańskich w r. 1848, a następnie do Rzymu obleganego przez Francuzów, gdzie w charakterze adiutanta pełnił zaszczytnie służbę pod Garibaldim, — był bez zaprzeczenia człowiekiem dobrej woli i gorącego patriotyzmu, którym się całe życie kierował i w imię którego umiał wejść do związku organizacyjnego w r. 1862 pod egidą Działyńskiego, aby po jego wykryciu przez Prusaków wejść do akcji zbrojnej z połączonymi z nią wszelkimi konsekwencjami.

Wystąpieniu jego towarzyszyły pozostała w domu młoda i piękna żona wraz z dwojgiem drobnych dzieci oraz niepewność, co zrobią naturalni opiekunowie Prusacy z bardzo znacznym jego majątkiem ziemskim, gdyż jakkolwiek sekwestracja dochodów w takim wypadku zaprowadzana przemawiała korzystnie za administracją pruską, wzorową niemal podówczas, niepewność swej doli i swej rodziny nie mogła się przyczynić dodatnio do przyspieszonego wejścia na pole walki orężnej.

I niech sobie co chcą mówią młodzi ludzie o równości spełnienia obowiązków: inną jednakże jest skala dla dwudziestolatków, a inną dla ludzi już późniejszego dobiegających wieku, posiadających rodzinę i pozostawiających ją bez opieki naturalnej.

Młodego człowieka jest prostym psim obowiązkiem, przyjętym w chwili jego urodzenia, walczyć i zginąć za prawo i wolność tej ziemi, na której się urodził, a jeżeli tego nie uczynił — to nie jest jej dzieckiem, lecz podłym zaprzańcem i renegatem, na którego kaźden uczciwy i obowiązkowy człowiek plunąć powinien z pogardą i wstrętem.

Inną była pozycja Taczanowskiego; on już w młodości spłacał ten dług naturalny, a jeżeli w piętnaście lat później, przy zmienionych warunkach jego położenia rozstał się z wszystkim, co mu było najdroższe, i w wieku przyzwyczajonym do wygod rzucił się na niepewne a raczej zaprzepaszczone pole działania, musiał ten duch jego być nie filisterskim i dopomógł mu pokazać młodym drogę krwawego obowiązku.

Moralna strona Taczanowskiego przedstawiała się dodatnio — nie można mu było zarzucić ani braku rzeczywistego patriotyzmu, ani braku dobrych chęci, z którymi całe życie przeszedł. Brakowało mu

przy wykształceniu fachowym wyższym woli i energii, a wskutek potargania nerwów — tej chłodnej odwagi, która znamionować winna każdego wyższego oficera.

Jego uleganie wpływom ostatniego słowa, wpływom nieraz podchlebczym, gnuśność jego i apatia w chwilach decydujących i nerwowe wstrząśnienia podczas akcji czynnej, które go ubezwładniały umysłowo, czyniły go niemożliwym do kierownictwa podczas krwawej rozprawy, a na nieszczęście dla sprawy i dla niego — jego szef sztabu, podpułkownik Pini (w takich wypadkach z racji nerwów zalewający się alkoholem) nie mógł go stosowniej zastąpić.

Ludzie ci obydwaj, można śmiało powiedzieć, inteligentni, fachowo wykształceni i najlepszych chęci, gdyby byli przeznaczeni dla tych województw li tylko w charakterze organizatorów siły zbrojnej albo intendentów, mogli byli oddać sprawie powstania rzeczywiste usługi, pozostawieni zaś przy komendzie — zmarnowali w sposób jak najlichszy owoc swej ciężkiej i kosztownej pracy.

Dopóki przyświecała mu myśl wywołania masowego powstania, dopóty ten sam Taczanowski krzątał się około jej zrealizowania zważając, gdy zaś rozkaz Rządu Narodowego ubezwładnił jego działalność w tym kierunku, zгодził się na łatwiejszy sposób służby powstańczej, a biorąc poddówiczoną swą brygadę jako swą eskortę, mógł pod jej osłoną używać snu spokojnego i wygodnego, nie obawiając się raptownego napadu, mogącego być wykonanym tylko kawalerią, gdyż tej kawalerii moskiewskiej w owych czasach tak jakby nie było w województwie kaliskim. Siły jej bowiem podówczas składały się z dwóch szwadronów huzarów stojących w Kaliszu, z jednego szwadronu stojącego w Koninie i jednego szwadronu w Piotrkowie, a zatem rozłożonych na krańcach województwa, i z sześciu do ośmiu niekompletnych, dobrze przetrzebionych sotni kozackich, stacjonowanych przy komendach po miastach powiatowych. Siły to, w razie ich skoncentrowania i wspomagania bądź artylerią bądź raketnikami, zapewne dostateczne dla rozbicia jeszcze nie wyrobionej brygady polskich ułanów, ale nie przedstawiające poważnego niebezpieczeństwa ze strony pojedynczych komend, bo jak prawdziwą niszczącą zarazą były w naszym powstaniu naczelne i samoistne dowództwa każdego niemal oddziału, tak i komendy moskiewskie niewiele się od nas różniły w swym postępowaniu; lubili się ich komendanci bawić w naczelnych wodzów, a naszą jest tylko winą, żeśmy z tego skorzystać nie umieli.

Naszukowawszy osobę Taczanowskiego ze stanowiska moralnego i zaznaczywszy moskiewskie siły kawaleryjskie i ich rozłożenie, czas

przystąpić do działań wojennych tej brygady, aby przeszedłszy po kolei starcia, przez jakie przechodziła, dojść do jej niezaszczytnego rozsypania się.

A naprzód w drugiej połowie lipca 1863 r., daty nie wiem dokładnie, gdyż osobiście udziału nie brałem, Taczanowski na czele sformowanego już wówczas lecz niewyrobionego dywizjonu ułanów w sile dwóch szwadronów po 150 koni — czy pragnął zwiedzić pobojowiska swej wiosennej kampanii, czy też osobiście rozejrzeć się w organizacji, udał się w powiat koniński w okolice Łądku i tam, dopędzony przez jednego z najlepszych jenerałów moskiewskich Kostendę¹⁾ na czele jednego szwadronu huzarów, jednej sotni kozaków i dwóch dział, tylko dzięki szybkiemu cofnięciu się po nadejściu kozaków i przytomnemu przeprawieniu się przez Wartę pod komendą majora Matuszewicza, dobrego żołnierza i oficera z kampanii węgierskiej i Sadyka Paszy, wyszedł obronną ręką z nieznacznymi stratami i cofnął się w Sieradzkę, gdzie zmieniając niemal codziennie stanowiska i ściągając do siebie formujące się po okolicznych powiatach szwadrony mustrował je i ćwiczył wojskowo.

Droga jego marszów wypadła mu po środkowym, bezleśnym terenie województwa, więc zakreślał koło owalne: Błaszki, Złoczew, Pajęczno, Widawa, Łask, Warta, na nim się znajdujące, i ile razy je obszedł — nie wiem, lecz ciemnym wieczorem dnia 5 sierpnia 1863 r. rozkaz był wydany brygadzie do natychmiastowego wymarszu. Gdyśmy z milę drogi zrobili, zatrzymano nas na drodze pod lasem tuż obok drogi leżącym i przeciętym szosą, w kierunku tuż niedalekiego Łasku leżącą, i zwrócono całą brygadę frontem ku polom. Staliśmy jak widze na weselu z dobre pół godziny, nie wiedząc po co i na co, gdy rozkaz nadszedł, ażeby ułani gotowe mieli pistolety; nic a nic nie rozumiałem — ani zatrzymania się frontem rozwiniętej brygady pod lasem, ani komendy „pistolety z olster“, spodziewałem się tylko jakiejś niezwyklej szopki, która się wkrótce pokazała.

W kilka minut po komendzie z pistoletami, zaszłopotało coś na szosie prowadzącej od Sieradza do Łasku, a w punkcie krzyżowania się drogi, na której staliśmy, z wyż wspomnianą szosą — huknął ogień szwadronu flankierskiego uzbrojonego w odcylcowe dubeltówki i rozświecił panującą ciemnicę. Na huk tego wystrzału, jakby na komendę, zaczęły się sypać strzały całej brygady, oświecając pozycję rozwiniętego frontu ośmiu szwadronów. Po strzałach szwadronu flan-

¹⁾ Kostanda, przyp. wyd.

kierskiego widać było w popłochu nawracającą awangardę z kozaków, a w parę minut później sygnał moskiewski oznajmił rozsypanie się piechoty w łańcuch tyralierski, z którego zaczęły sypać się strzały na oświecony głupio front rozwiniętej brygady. Kto ten głupi manewr i jeszcze głupiej urządzoną zasadzkę zarządził — nie wiem, bom się o autora nie dopytywałem, lecz ktokolwiek on był, tym konceptem i tym wykonaniem zdobył sobie raz na zawsze sławę dwuuszynego.

Pod tym ogniem, prawda, że nie szkodliwym, gdyż z odległości jakich 1000 kroków i wśród ciemności nocnej prowadzonym, cała brygada wtoczyła się na szosę i dobrym kłusem podążyła do Łasku, a Moskale, nie nadużywając swej przewagi zwycięzców, cofnęli się rozważnie do Sieradza. Z tej całej tylko szopki najciekawszym był rozkaz przysłany ze sztabu — użycia przez ułanów pistoletów do niewidzialnego nieprzyjaciela i może na 1000 kroków oddalonego, którymi oświecił zajmowaną przez siebie pozycję. Czyżby chciał się pochwalić nagromadzonymi siłami — a może, korzystając z nadarzonej sposobności, kazał przestrzelić niewinne dotąd pistolety.

I znowu nastąpiła parotygodniowa cisza, spokojna i wygodna, co parę dni przyjemnym przerywana spacerem, ugarniowana smacznymi obiadami i odwiedzinami ładnych sąsiednich buziaków. I znowu staliśmy u cioci Glotz, jak ją Taczanowski nazywał, gdzie nawet stało się zadość wyrokowi sprawiedliwości, dokonany na kobiecie, podobno młodej i przystojnej Polce, zabitej przez powieszenie.

Wiadomo, iż w czasie wojny wszelki posłaniec, kurier, wreszcie szpieg, działający na posługach nieprzyjaciela i złapany z dowodami swej czynności, jest karany śmiercią przez powieszenie, a ponieważ w owym czasie dla niepewności poczt i telegrafów ważniejsze porozumiewanie się między sobą komend wojskowych odbywało się za pośrednictwem pięknych Polek, krańcowo jak zwykle postępujących, otóż i w tym wypadku ujęta została jakaś donna majorska, a znalezione przy niej depesze moskiewskie przyczyniły się do skrócenia dni jej żywota. I wszystko byłoby najlepiej się stało na tym najlepszym świecie, gdyby nie owo przeklęte „gdyby“, wiecznie niepotrzebnie mieszające się jak Piłat w Credo w sprawy ludzkie. Otóż podsądna po zapadłym wyroku osadzono w domu cioci Glotz na piętrze, stawiając strażę ułańską przy drzwiach na korytarzu i pod oknem pokoju zasądzonej; i znowu wszystko odbywałoby się w przykładowym porządku, gdyby nie opisujący te sceny, które wracając z jakiejś nocnej wycieczki stanął przed domem, w którym sztab się mieścił, i ujrzał cudowny widok. Na drabinie opartej na ziemi, a drugim

końcem wchodzącej w otwarte okno zasądzonej, stało sześciu czy siedmiu ułanów na szczeblach i w miarę wchodzenia pierwszego do pokoju pozostali posuwali się o stopień na drabinie, robiąc tym samym miejsce dla współbiesiadnika kolei swej wyczekującego w tej nocnej i wzniosłej pielgrzymce. Domyśliłem się współdziału dla nieszczęśliwej i wszedłszy do domu odszukałem w pokoju służbowym rotmistrza bodaj 2-go szwadronu p. Miłkowskiego straż tej nocy pełniącego, mizdrzącego się do jakiejś pokojówki, a powiedziawszy mu o owej abrahamowej drabinie, osadzonej gęsto ułanami spieszącymi do raj, kazałem mu porządek przyprowadzić.

Nie wspominałbym o tym wstrętnie zwierzęcym zdarzeniu, gdyby podobny wypadek, chociaż mniej wstrętny, nie pociągnął za sobą wyroku śmierci, wydanego przeciwko dowódcy oddziału Iskrze, wykonanego przez dowódcę oddziału Zygmunta Chmieleńskiego przez rozstrzelanie. Tu i tam dokonany był gwałt na kobiecie, tu i tam byli winni i powinni byli być ukarani, tylko że w pierwszym wypadku, jakakolwiek była przeszłość tej kobiety, była ona ofiarą, gdy w drugim wypadku, podług opinii ludzi pod komendą Iskry służących, ta młoda szlachcianeczka swą godność nie tylko samemu Iskrze ofiarowywała, mieli się nią cieszyć i inni wybrani, a Iskra, jako dowodzący, zatem odpowiadający za postęпки swych podkomendnych, za swą bezkarną tolerancję zapłacił życiem. Gdyby sprawiedliwość była Bożą, możeby wyroki były zapadły w obu tych wypadkach nieco odmiennie, a jakkolwiek wyroki często rozpoczynają się w imię Boga — jesteśmy ludźmi i jako tacy nieraz błędzającymi. Szanujmy jednakże wyroki, gdyż podług ojców kościoła wszystko pochodzi i wychodzi z Opatrzności Boskiej i bez tej zasady nie można by było utrzymać hierarchii społecznej, milczeć zatem i nie filozofować, stało się, bo się stać musiało.

Na drugi dzień przed wieczorem, po wykonaniu wyroku na skazanej, opuściliśmy po raz ostatni naszą kochaną ciocię Glotz i omijając Błazki pociągnęła brygada w kierunku na Złoczew, dokąd późnym rankiem przybyliśmy i stanęliśmy w dniu 20 sierpnia 1863 r.

Jadąc w bliskości sztabu podczas pięknej gwiazdzistej nocy zauważyłem spadanie gwiazd, tak nazwane przez lud wiejski, od którego w młodości uczyłem się astronomii, tylko iż dosyć dziwnie to spadanie wyglądało, gdyż zamiast kierunku od horyzontu ku ziemi miało kierunek odwrotny i robiło wrażenie puszcanych rac fajerwerkowych.

Gdym jeszcze jedną zauważył, przekonany byłem, iż były to sygnały dawane przez jedną kolumnę drugiej co do kierunku marszu,

a zbliżywszy się do Taczanowskiego i obok niego jadącego Piniego, oświadczyłem im, że mamy w odległości może paru mil na prawym naszym skrzydle kolumnę moskiewską, prawie równoległą do nas postępującą.

Zdziwione prawdopodobnie ich miny i wyrzucone równocześnie zapytania, skąd ja wiem o tym, wskazały mi, że nasz wymarsz nadwieczorny wypływał skutkiem otrzymanego zawiadomienia o wymarszu kolumny kaliskiej, a ta powiadomiona o jego wymarszu przez podesłanych kozaków i znając rutę jego marszów — zdążyła w tym samym kierunku, sygnałami oświecając boczne rozjazdowe oddziały o kierunku swego marszu.

Nie mówiłem im o mych poglądach, tylko kazałem im bacznie obserwować gwiaździsty firmament od strony zachodu, to jest po prawej naszej stronie, a w parę chwil później wylatująca z ziemi raca i rozsypująca się pod firmamentem przekonała ich o uświetnionej fajerwerkami uczcie, wyprawianej w cześć jakiejś solenizantki.

Gdy im przedstawiłem mój sposób widzenia, znowu się zapytali, na czym opieram me przypuszczenia. Odpowiedziałem im, że umiem czytać nie tylko z książki drukowanej, a poradziwszy im, żeby się mieli na baczności tak w marszu jak i na spodziewanym chwilowym postoju, usunąłem się w tył w stronę nadchodzącego szwadronu. Oburzony widokiem śpiących i kiwających się na terlicach ułanów, trąciłem drzemiącego także jakiegoś rotmistrza, a ukazawszy mu jego kiwaczy, poszukałem jadącego w czole swego pułku przy pierwszym szwadronie pułkownika Matuszewicza. Napiwszy się z jego manierki jakiegoś płynu koniak i wino reprezentującego, powiedziałem mu o moich przypuszczeniach, radząc mu wzmocnić rozjazdy boczne flankierskie i awangardę. Dobry to żołnierz i oficer, wydał natychmiast odpowiednie rozkazy, a gawędząc z nim o jego przeszłości, o kampanii węgierskiej z r. 1848/9 i o organizacji kozaków Sadyka Paszy, dobiliśmy do Złoczewa.

Miasteczko to, przeważnie wyznania mojżeszowego, słyneło wówczas z fabryki wina szampańskiego, toteż po krótkim przespaniu się, spotkawszy Kaźmierza Biernackiego, owego delegata szlachty z zjazdu 19 stycznia 1863 r. wysłanego do Komitetu Centralnego, poszliśmy do jakiegoś handlu win, gdzie napitkiem spreparowanym przez Biernackiego, podobnym w części do „boli“, uspokoiliśmy nerwy podrażnione dłuższym marszem i bezsennością.

Wróciwszy po parogodzinnej gawędzie do kwatery sztabu, zauważyłem jakiś ruch niezwykły i niepokój malujący się na twarzach

zebranych około Taczanowskiego oficerów, a gdy podszedłszy do niego zapytałem o przyczynę, odpowiedział mi, że Moskale nadciągają.

Gdym mu przypomniał nocne race sygnałowe, udał że nie przypomina sobie, a gdym go zapytał, czy wysłał rekonesans dla zbadania siły i gatunku broni zbliżającej się kolumny, odpowiedział mi sucho: „Wszystko jest zrobione“. Widziałem, iż dalsze wtrącanie swego nosa w nieswoje sprawy do niczego nie doprowadzi, zrobiwszy przeto na lewo w tył zwrot, wyszedłem na ganek i wsiałem na konia mi podanego — nie patrząc na niego, a tym mniej badając jego wartość, a źle zrobiłem siadając na nieznanego mi konia, zapomniawszy o tej zasadzie, że czym dobra żona w małżeństwie, tym jest koń pewny dla kawalerzysty; ledwie tego zapomnienia głupio nie odpokutowałem, ale to w dalszym ciągu.

Wsiadłszy na konia pojechałem na wskazany mi punkt zborny pod miastem, na którym znalazłem zebraną już brygadę ustawioną w kolumnie szwadronami w odstępach plutonowych, i gdy stojąc i gawędząc z oficerami szwadronu flankierskiego czekaliśmy może z kwadrans jakiego bądź rozkazu, usłyszeliśmy zamiast niego harmider żydowski z głębi miasta dochodzący, w którym wyraźnie rozróżnić było można wykrzykniki „kozaken, kozaken“.

Jak wspomniałem, stałem przed szwadronem flankierskim, uzbrojonym w szablę i odcylcowe dubeltówki, i na wrzask żydowski, od którego by padło Jerycho tylko nie te bestie głuche kozaki, jakiś diabeł wyciągnął mi z gardła komendę „szwadron baczność“ i dalej „pierwszy pluton, trójkami od prawego, stępo naprzód marsz“, a będąc w interwale plutonowym między szwadronami dalej ciągnąłem komendę „trójkami na lewo zachodź, marsz“ — i tym ruchem wyprowadziwszy z interwału pluton, kłusem przebiegłszy miasto do punktu krzyżowania się ulic — zobaczyłem o jakie sto kroków na prawo, na wylocie ulicy ku polom stojące dwa działa w tej chwili kartaczami ziejące, a za nimi w asekuracji z pięćdziesięciu kozaków. Dałem rozkaz plutonowi sformowania frontu w lewo, i w chwili kiedy sformowanemu plutonowi miałem wydać komendę „do ataku marsz, marsz“, aby rzucić się na plecami obróconych kozaków, weprzec ich na działa, o kilkanaście kroków przed nimi stojące, i po nich na takowe — gdy widok, jaki mnie uderzył, powstrzymał mi komendę na ustach.

Ujrzałem całą brygadę w jednej kupie pomieszaną, uciekającą cwałem w kierunku na Niechmirów i Rychłocice, ostrzeliwaną ogniem kartaczowym i karabinowym — i w jednej chwili zrozumiałem, że nie można myśleć o żadnym ataku plutonem, skoro cała brygada

zmiata w popłochu, i że jedyna droga pozostała mi: złączyć się z uciekającymi jak najprędzej, by coś odpowiedniejszego przedsięwziąć.

Kazałem przeto plutonowi wziąć dubeltówki do ręki, zaleciwszy mierzyć w plecy; na komendę „pal“ runęły strzały z dwururek, zakotłowało się między kozakami, coś się zaczęło zwałać z koni. Zanim wyszli z tej niespodzianki — komendą „na prawo kłusem marsz“ usunąłem pluton spod oka zwracających się ku nam kozaków.

Miałem w tej chwili dosyć ciekawe zdarzenie. Przepuściwszy pluton i zwracając konia na miejscu aby za nim podążyć, runąłem z koniem na ziemię, lecz przytomnie zawsze siedząc stanąłem nogami na ziemi, mając go pod sobą. Mój pluton już się oddalił o jakie sto kroków. Kozacy, ujrawszy mnie samego, z kwikiem posuwali się do mnie, a ja za całą obronę miałem ostrogi przy butach. Czując nadchodzącą niewolę i wszelkie dalsze konsekwencje, z wściekłością przysiadłszy na siodle, wraziłem w konia ostrogi, a ten wariat jak z procy wyskoczył na cztery nogi i na nich mnie złączył z cofającym się plutonem.

Wszystkie te zdarzenia działy się tak szybko, że wyloty i boki ulic osłonięte artylerią i piechotą strzelającą do uciekającej naszej brygady w ferworze tym najwidoczniej albo zapomniały, albo nie miały czasu odsonić przejść, aby wysłać swą kawalerię w pościg za uciekającą naszą brygadą. To właśnie dało mi możliwość, że obiegłszy z tym plutonem wschodnią stronę miasta bez żadnego spotkania, na tyłach uciekającej brygady zasłoniętej już kurtyną wsi Kamionka mogłem na kilkaset kroków przed nią, a na jakie tysiąc kroków oddalenia od artylerii i piechoty moskiewskiej rozwinąć łańcuch flankierski i osłonić nim cofającą się kawalerię.

Pozycja, jaką zajmowałem, nadawała się wybornie dla wszelkich manewrów i bitwy kawalerii.

Podpułkownik Tarasienko, szef sztabu dywizji generała Bellegarde, widocznie dobrze był obznajmiony z Jominim, gdyż opuściwszy Złoczew z swą komendą w sile dwóch kompanij strzelców, dwóch dział gwintowych, jednego szwadronu huzarów i sotni kozaków, stanął na wyniesieniu przed Złoczewem, mając prawe skrzydło o las oparte. Równina rozciągająca się między obecnie zajmowaną pozycją przez Moskali a zajmowanym przeze mnie stanowiskiem poprzed kurtyną stworzoną przez wieś Kamionkę, poza którą mogły się przysposabiać wszelkie manewra i ataki bądź frontowe, bądź flankowe, — kazała mi utrzymać to stanowisko jak najdłużej.

Spotkałem w tej chwili owego p. Kaźmierza Biernackiego, przed godziną jeszcze socjusza przy picciu „boli” złoczewskiej, którego czy nią podrażniony, czy też nie chcąc, jak każdy porządny człowiek, uciekać, kiedy za jego plecami trwa ogień, porzucił uciekających i wrócił na strzały (jego osoba i jego postępek godził mnie z dawną szlachtą, gdyż przy chimerach swych i wrodzonym sobkostwie jeszcze w niej krew falowała i jeszcze w chwili danej umiała odczuć godność i honor człowieka). Podziękowawszy mu za towarzystwo wytłuma- czyłem mu, że lepiej i korzystniej uczyni, gdy wróci do Taczanow- skiego i bądź go samego z całymi siłami nawróci do bitwy, bądź przy- najmniej namówi go do przysłania mi szwadronu ułanów i reszty, to jest trzech plutonów flankierskich, którymi będę mógł zatrzymać Moskali.

Pojechał i dobrze w pół godziny przybyły żądane przeze mnie po- siłki. A czas był największy, Tarasienko bowiem, nie chcąc się sprze- ciwiać zasadom Jominiego, utrzymał się przy swej pozycji pod lasem z strzelcami i artylerią, lecz zapewne dziwiąc się, co się stało z kawale- rią, gdyż widok jednego plutonu nie zadawałniał jego ciekawości, postanowił to zbadać i polecił szwadronowi huzarów, sformowanemu w kolumnie plutonowej od prawego, na flankach i przodzie z kosa- kami spełnić to zadanie. Gdy się zbliżyli na jakie trzysta kroków od linii moich flankierów, szwadron sformował front i gotował się do ataku, wspierany ogniem nieszkodliwym janczarek kozackich, a ja już zamyślałem o spiesznym wycofaniu plutonu, gdy z wsi, przeciętej niemal w połowie osady drogą, wybiegły kłusem nadeszłe posiłki.

Sformowawszy front z ułanów, a po skrzydłach ustawivszy po dwa plutony poza sobą flankierów o froncie plutonowym, nakazałem atak, a gdy z galopu wpadliśmy już w pęd konia, na odległość może stu kroków od frontu huzarów moskiewskich sygnał ich „otboj” trąbiony pokazał nam za chwilę końskie ogony pędem gwałtownym rozwiane i zdążające w prostym kierunku na swą piechotę i artylerię.

Przebiegłszy za nimi ze dwieście kroków, kazałem zaprzestać dal- szej pogoni, a dawszy komendę „trzema na prawo w tył zajdź” usu- nąłem szwadrony na dawniejszą pozycję o paręset kroków przed kur- tyną, osłaniając manewr ten półszwadronem flankierskim w łańcuchu; przyprowadzwszy szwadrony do frontu, osłoniętego na paręset kro- ków łańcuchem flankierskim ósemki zataczającym, zatrzymałem się w miejscu, spodziewając się następnego ataku.

Pochwaliwszy ułanów za dokładność w wykonaniu komend i praw- dziwie ułański wygląd i dawszy polecenie flankierskiemu szwadro-

nowi, aby w chwili nastąpić mogącego powtórnego ataku nie żalowali tak w ataku jak i w pościgu naboi z swych odtylcówek, stanąłem przed frontem ułanów; widząc po pewnej chwili ruch kawalerii moskiewskiej tym samym szykiem co i poprzednio zbliżającej się, nakażalem ruch naprzód, zwijając jednocześnie flankierów i stawiając ich w kolumnie plutonowej od prawego na lewej flance rozwiniętego frontu ułanów z poleceniem, aby przy mogącym nastąpić starciu uderzali na flankę i tyły kawalerii moskiewskiej.

Po wydaniu zarządzeń w pełnym klusie, zaledwie już w pędzie dobiegłem przed rozwinięty szwadron, pędząc przed sobą spoza frontu osłabionego chwilowo „na żołądek“ rotmistrza Miłkowskiego, gdy odległość zaledwie stu kroków między godzącymi na siebie frontami wyrzuciła mi z ust komendę „baczność, skróć cugle, do ataku broń, karierem marsz, marsz“. Widok był prawdziwie piękny dla żołnierskiej duszy! Rozdęte chrapy rżących koni, brzuchami prawie do ziemi dotykających, i zmarszczone miny pochylonych na nich żołnierzy — przypuszczać kazały, iż starcie będzie krwawe, gdy huk wystrzałów wysuniętych na długość plutonu moich flankierów zmieszał przeciwnika w odległości zaledwie 50 kroków: zdzierając rozpędzone konie zawrócił w nieporządku, ścigany przez naszych flankierów sypiących rżęsim ogniem w plecy uciekających.

Gdy ujrzałem, iż zbliżyłem się na średni strzał karabinów moskiewskich, kazałem zatrąbić znajdującemu się obok mnie trębaczowi zaprzestanie dalszego pościgu; zdumiony moskiewską wymówką „połkownik, poczemu nie prikazetie razbit' etich mierzawcew“, odpowiedziałem mu z naciskiem — „durak, ispołniaj czto tiebie prikazano, a nie rabsuzdaj“, powtórzyłem — „bij otboj“. Biedne Moskalisko wykonał rozkaz, lecz zdaje się, że i po wykonaniu go i wprowadzeniu szwadronów na poprzednią pozycję nie mógł zrozumieć, dlaczego uciekających nie ścigać i nie rozbijać, i uważałem, że był ciągle chmurny i zamyślony, dopiero wsunięty mu do garści „połtynnik“ wywołał pewne zadowolenie.

Biedni to byli ci dezterterzy moskiewscy. Przeskrobawszy coś u swoich przeciwko karności, bo o moralność bodaj w ich wojsku nie dbano byle „łowko i ostorożno“, i spodziewając się niezłej porcji pałek, porzucił szeregi przekłętego białego cara i przychodził do nas, aby służyć „korolu polskomu“. A był to żołnierz stary, wyrobiony, jako dezterter nie żądający ani dający pardonu, a za lepsze cokolwiek pożywienie, wódkę i tę odrobinę żołdu, któren dezterterom placono, i za ludzkie obejście, jakim się rządono, wytwarzali się z nich ludzie zupełnie

sprawie naszej oddani, na których bodaj więcej można było rachować, niż na przeciętnego naszego partyzanta.

Nieraz komicznie niemal wyglądali, gdy zebrawszy się w kilku i widząc, że ich nikt nie śledzi, rozpoczynali kamracką gawędę, przeplatana dosadnymi „posłowicami“, której treścią było porównanie stanu dawniejszego z obecnym, ich dawniejszej nędzy i ciągłego bicia do obecnej niemal rozkoszy, w której mają dziennie funt „gawiadiny“, trzy razy wódkę i pięć kopiejek „żałowania“ i jak „czestnych“ ludzi nie biją i „nie rugają“; przychodzili oni do tej definicji, że gdyby ci durnie Moskale wiedzieli, jak im jest dobrze u Polaków, wszyscy powinni porzucić przekłętą cara i służyć „korolu polskomu“. Jednym z takich był ów „garnister“ nie mogący zrozumieć rozkazu cofania się, kiedy Moskale uciekają.

Moskale bowiem w popłochu uciekli i uciekających można było z łatwością roztrącić siłami, jakimi rozporządzałem, ale i ja nie zapomniałem o znajdujących się działach i piechocie, ani nie zapomnieli o nich uciekający Moskale, w niedługą bowiem chwilę po wydanym sygnale odwrotowym, zaledwie cofnęły się szwadrony na jakie dwieście kroków ku poprzedniemu stanowisku, uciekający huzary i kozacy rozwinęli się na prawo i na lewo, odsłaniając zamaskowaną piechotę i artylerię, pozwolili im rozpocząć ogień, sami zaś pod jego osłoną dawny swój szyk sformowali.

Zająwszy dawne stanowisko i szyk dawny zatrzymując, utrzymałem się jeszcze z pół godziny na pozycji, wstrzymując ogniem półszwadronu flankierskiego niezbyt zajadłe flankierujących kozaków. Widząc po postawie Moskali, iż zaniechali myśli zwabienia nas na przygotowaną piechotę, gdyż nawet nie wysunęli huzarów, i widząc, że z tej mąki nie będzie chleba, kazałem dwu plutonom flankierskim cofnąć się do wsi i w dwóch punktach rozebrać płoty otaczające zagrody wiejskie dla zrobienia przejścia poza wieś szwadronom, samym zaś po zrobieniu przejścia kazałem stanąć frontem do drogi u jej wylotu — i w dziesięć minut później zarządziłem przez nie przejście szwadronu ułanów, osłonięte pozostałymi plutonami flankierskimi.

Przejście w poprzek wsi wykonane zostało spokojnie, a po jego skutecznieniu sformowana kolumna pochodowa, osłonięta z przodu i tyłu flankierami, wykonała marsz po drodze w stronę Niechmirowa do lasu o wiorstę drogi położonego, nie zaczepiana przez zwycięskich Moskali, utrzymujących plac boju z honorem.

W całym tym spotkaniu niezbyt krwawym, gdyż z naszej strony padły trzy konie i trzech ludzi było rannych od jednego pękniętego

obok kolumny granatu, a ze strony moskiewskiej spadło kilkunastu z koni bądź huzarów bądź kozaków od odtylcówek naszych flankierów, widać było grę w straszaka bez chęci stanowczego zaangażowania się. Ja, opierając się na tajemniczej kurtynie, poza którą winna się była znajdować reszta brygady, zaczepiany — pokazywałem zęby, Tarasienko, raz zajmwszy pozycję o las opartą, utrzymywał ją zawzięcie, starając się szarmycłowymi atakami kawalerii doprowadzić nas pod ogień piechoty i artylerii, aby zdziesiątkowanych rozpędzić swą kawalerią. Ale w tym oparciu swego prawego skrzydła o las osłaniający i w upartym trzymaniu się na tej pozycji widać, że albo znał dobrze Taczanowskiego i pewny był, iż niczym nie ściągnie go do bitwy, albo też działał nieroztropnie — z innym bowiem przeciwnikiem, mającym nie brygadę, lecz pułk czteroszwadronowy, po drugim odparciu ataku Moskali i pod uciekających osłoną można było przejechać się po brzuchach moskiewskich i wówczas „hornister“ dezerterski miałby zupełną rację radząc rozbicie Moskali, należałby mu się krzyż zasługi za tę zdrową radę, a nie głupi „połtynnik“ z durniem w dodatku.

W spotkaniu tym zaobserwowałem dziwne znajdowanie się artylerii bądź dające możność przypuszczenia, iż jakaś kierująca działem ręka nie chciała usypywać wału z ciał ludzkich i koni, bądź też, co prawdopodobniej, iż artyleria moskiewska jest nędzna, a przede wszystkim źle wyrobiona. Albowiem niech fakt goły przemawia za sobą. Na cztery strzały dane kartaczami z odległości trzystu do czterystu kroków do kupy uciekających 1200 ułanów — czwarty dopiero strzał zerwał kilka chorągiewek od lanc, wszystkie zgórowały. Na dwadzieścia siedem strzałów granatami — sześć tylko eksplodowało bokiem uciekającej kolumny bez skutku, a jeden tylko w interwale między szwadronami, reszta strzałów granatami była bezskuteczną, gdyż i źle były kierowane i nie eksplodowały, czy były nie nabite, czy też palniki zamknięte — coś w tym guście, inaczej nie umiałem sobie tego zdarzenia wytłumaczyć.

Ale najważniejszym wypadkiem dnia tego, niesłychanie dodatnim, było skonstatowanie faktu, że ta młoda kawaleria kaliska, zaledwie sześć tygodni swej egzystencji a zatem i szkoły wyrobienia licząca, może być użytą do walki z starą i wyćwiczoną frontową kawalerią moskiewską, o kozakach się nie mówi, poza wyzłimi bowiem wielkimi zaletami jako bojowa siła nie przedstawiają żadnej wartości. To spostrzeżenie, oparte na dobrze wykonywanych manewrach nie na placu mustry, lecz pod ogniem bojowym, a szczególnie z regulaminową

dokładnością i brawurą staroułańską wykonane dwa ataki za każdą razą spychające huzarów moskiewskich — dawały pewną wskazówkę, iż byle tego młodego żołnierza nie trzymać na miejscu pod ogniem, lecz manewrując nim wprowadzać go w ataki, można będzie mieć z niego pociechę a raz pozwoliwszy mu się napić juchy moskiewskiej, będzie jej łaknął, jak spragniony wody. Potrzeba go tylko umieć w boju prowadzić i wyzyskać stosownie jego przymioty wojskowe.

Po przejściu lasu parowiorstowego poza Kamionką rozciągającego się, spotkawszy przy moście na bagnistym wądole (stare łożysko Warty) szwadron flankierski spieszony II pułku ułanów pod komendą pułkownika Słupskiego, starszego żołnierza z czasów powstania w Poznaniu w r. 1848, poradziłem mu, żeby stary ten i trzęsący się mostek spalił, gdyż jakkolwiek Moskale poza Kamionkę się nie posunęli i prawdopodobnie oblewają zwycięstwo winem szampańskim w Złoczewie, to ponieważ „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ lepiej się od możliwej niespodzianki zabezpieczyć i spaliwszy most na naszej drodze odwrotnej utrudnić im w razie danym przeprowadzenie artylerii, a szkody się nikomu nie uczyni, gdyż zamiast starego zbutwiałego mostu nowy sobie most wybudują z drzewa pod nosem stojącego. Spodobała się Słupskiemu rada i po spaleniu mostu złączeni, przeszedszy pod Rychłolicami w bród Wartę, na polach tej wsi po prawej stronie rzeki leżących, na których rozpocząłem krwawe starcie w dniu 8 maja 1863 r., spostrzegliśmy Taczanowskiego z pięciu szwadronami rozwiniętymi frontem ku drodze, po której maszerowaliśmy.

Przedstawiwszy mu dwa szwadrony wyszłe z ognia i złożywszy treściwy raport o czynnościach w spotkaniu pod Złoczewem, zdałem komendę nad szwadronami mi poruczoną i w charakterze wolontariusza złączyłem się z tak nazwanym sztabem.

Zapytałem się dobrze podkrochmalonego Piniego, gdyśmy się nieco na bok odsunęli, dlaczego uciekli i dlaczego, słysząc przynajmniej dwie godziny na jednym miejscu grzmot dział i salwy karabinowe, nie byli ciekawi dowiedzieć się, co się dzieje, i nawróciwszy zbliższa się tej muzyce przysłuchiwać spoza kurtyny, utworzonej znakomicie przez wieś Kamionkę. Po chwilowej gawędzie i pytaniach widząc, że z chorego człowieka nic nie wyciągnę, oddaliłem się, a zbliżywszy się do pułkownika Matuszewicza podziękowałem mu za przysłane mi dwa szwadrony; podnosząc ich dokładne spełnianie rozkazów i ułańską brawurę dodałem, iż w pierwszym na serio starciu pokażą, że dusza polsko-ułańska przebywa pod ich mundurami.

W chwilę potem, już na zachodzie słońca, udaliśmy się marszem w kierunku na Widawę i późnym wieczorem stanęliśmy w jednej z wiosek w okolicy Widawy położonych.

Gdy po skromnej przekąsce żołnierskiej układał się do spoczynku w jakiejś szopie czy kieracie, odszukał mnie galopen Szymek, jak go ogólnie nazywano, a przezwę tę zdobył nie tylko tym, że go tak Taczanowski przywoływał, lecz głównie tym zdarzeniem, że podczas jakiegoś bodaj fałszywego alarmu jeden z felczerów przy sztabie Taczanowskiego znajdujących się, brat Polak wyznania mojżeszowego, przejęty do głębi wywołanym zamieszaniem wypadł przed dom i wołał na całe gardło, pochlipując z przestachu: „Simek, Simek, kulbacz mego klacz, bo alarm na gwałt“. Historyczne! I biedny szlachcic polski W. P. Szymon Siemieński od tego czasu nazywany był „Simek“, ot dola sobacza.

Otóż ten „Simek“ oświadczył mi, iż generał Taczanowski pragnie widzieć się ze mną natychmiast.

Byłem zdumiony tymi zaprosinami, ale więcej jeszcze wybraną porą, wiedziałem bowiem, że był wyznawcą i to dosyć ścisłym tej maksymy, że dzień do pracy, noc do spania i t. d., i że musiało coś nastąpić niezwyklego, skoro od tej maksymy odstąpił.

Poszedłem więc z Szymkiem do Taczanowskiego, u którego zastałem zgromadzonych: Piniego, Matuszewicza i Słupskiego. Wyglądało to na jakąś radę wojenną.

Powitawszy zgromadzonych o tak późnej porze, chciałem się zapytać Taczanowskiego, czego sobie ode mnie życzy, gdy ten, uprzedzając zapytanie, wręczył mi arkusz papieru w formę listu złożony do odczytania, dodając, iż ponieważ obecni obznajmieni są z treścią tego pisma, niech go sam sobie przeczytam. Był to raport służbowy majora Poleskiego, który donosił o sformowaniu w powiecie konińskim szwadronu ułanów o sile 125 koni i o swym zapadnięciu w obłożną chorobę; musiał on zdać komendę tymczasowo porucznikowi Pągowskiemu i sam rozstać się z szwadronem, pozostawiając go właściwie bez dowódcy.

Przeczytawszy ten raport dowiedziałem się z niego, że żyje jakiś p. major Poleski, dawny kapitan dragonów moskiewskich, że przed trzema dniami sformował szwadron, że sam na jakąś nie w porę przybyłą słabość zachorował i że szwadron został bez komendanta, ale co to miało dotyczyć wolontariusza, tego nie rozumiałem.

Zagadkę tę wytłumaczył mi po kilku chwilach Taczanowski oświadczać, iż skutkiem narady poprzednio odbytej postanowiono poruczyć

mi komendę nad tym szwadronem chwilowo dla przyprowadzenia go do brygady, a gdym go zapytał, dlaczego tej funkcji nie poruczy bądź któremu z panów obecnych, bądź jakiemu szwadroniście, odpowiedział mi kategorycznie dosyć, że tamci są związani ze swymi komendami, ja zaś jako wolny od wszelkich obowiązków nadaję się do tej sprawy najlepiej.

Nie było co dalej rezonować — raz, że tej rzeczy sam nie lubiałem, bo w wojsku, a szczególnie podczas wojny, nie ma rezonowania, po wtóre, że kategoryczna odpowiedź Taczanowskiego wydała mi się logiczną. Przeto przyjąwszy poruczoną mi czynność do spełnienia, zażądałem od szefa sztabu Piniego rozkazu otwartego do porucznika Pągowskiego, oddającego tak jego jak i podległy mu szwadron do mojej wyłączonej dyspozycji.

Gdym żądany rozkaz otrzymał, zażądałem powozu do wyjazdu i karty na podobną pocztę narodową, a przejrawszy kartę topograficzną wyznaczyłem sobie marszrutę w kierunku na Zduńską Wolę, Szadek i Uniejów do Pęczerczewa, w którym z raportu majora Poleskiego miał się przed dwoma dniami znajdować szwadron.

Otrzymawszy z zapasów sztabowych pudełko papierosów, pożegnałem zgromadzonych życzeniem szczęśliwego i smacznego snu i sam wsiałem do czekającego już na mnie powozu.

Ubrany po cywilnemu, a nawet z pewnym gustem, i w zgrabne kamazski, które mi ofiarował do użytku usłużny gospodarz biorąc do przechowania moje długie lakierowane buty, nabytek także, jak i reszta ubrania, od eleganckich szlachciców, i zaopatrzony na wszelki wypadek w dokładny paszport legalizowany przez generała Bellegarde w Kaliszu, jaki zawsze posiadałem przy sobie zmieniając takowy skrupulatnie co trzy miesiące za pośrednictwem osób mi znajomych, zasiadłem do powozu puszczając się na niepewne drogi.

Wyjechawszy po 2-iej w nocy, przed wschodem słońca przejechałem Zduńską Wolę, a około 7-iej rano przejechawszy Szadek, przed 8-ą zajechałem do Choszczewa dla zmiany poczty i wypicia herbaty.

Po półgodzinnym odpoczynku, wypytawszy się dla formy o ruchy kolumn moskiewskich, wyjechałem nowym ekwipażem w dalszą drogę, a posuwając się jak najprędzej przybyłem tego samego dnia nad wieczorem do Uniejowa.

Początkowo sądziłem, że w tym miasteczku poinformuję się o miejscu pobytu nowosformowanego szwadronu, gdy jednakże paru ludzi należących do organizacji nie udzieliło mi żadnych wiadomości, wyjechałem już po zachodzie słońca 22 sierpnia z Uniejowa, aby dotrzeć

do Pęcherzewa i na miejscu formacji dowiedzieć się o dalszych losach szwadronu. Przed wyjazdem przyjąłem do wiadomości ostrzeżenie, że szosa na Koło, Brudzew, Turek do Kalisza jest bardzo często rozjazdami kawaleryjskimi kontrolowaną.

Wyjechawszy już zmrokiem z Uniejowa i zmieniawszy w Człopach konie, nie pojechałem drogą bitą drugorzędną na Rogów do Turku, lecz korzystając z znajomości okolicy przez furmana, drogami polnymi i leśnymi na Kościelną¹⁾ przybyłem około 2-jej rano 23 sierpnia do Pęcherzewa.

Rozbudziwszy gospodarza domu, po wielu macaniach doszedłem do niezbyt obfitej wiadomości, że oddział kawalerii sformował się w lasach sąsiednich przed tygodniem, że jakiś pan już poważniejszy, o minie wojskowej, przyjechał przed trzema dniami do niego i żałąc się na chorobę po paru godzinach do Uniejowa odjechał, a oddział kawalerii z lasów wyszedł i nie wie, gdzie się obecnie znajduje.

Przeprosiwszy gospodarza za wczesne przebudzenie i zaproponowawszy mu dalszy spoczynek, sam rozciągnąłem się na sofie, na jakiej siedziałem, a powiedziawszy „dobranoc“ zasnąłem.

Spałem wybornie do 7-jej rano, a umywszy się i orzeźwiwszy wyszedłem na dziedziniec, aby wynaleźć jakiego człowieka.

Przed gumnami spotkałem jakiegoś człowieka na waszecia wyglądającego, lat późniejszych, lecz jeszcze czerstwego i elastycznego, a gdy go pozdrowił i zatrzymał, zapytał mnie: „Czym panu mogę służyć?“. Zapytałem go na odwrót, czy wie co o oddziale kawalerii, którego przebywał przed trzema dniami w lasach sąsiednich, a z którym chciałbym się natychmiast połączyć. Odpowiedział mi: „Oddział widziałem, bom i mojego syna do niego zaprowadził, gdzie on jest teraz — nie wiem, mieli iść poza Turek, ale w obozie mówiono i o Koźminku i o Błaszczkach, nie wiadomo gdzie poszli“. To tylko wie dobrze, dodał, iż wczoraj wieczorem miało przechodzić szosą od Koła do Turku dużo i dziwacznie ubranej kawalerii moskiewskiej.

Te objaśnienia, a szczególnie ta kawaleria moskiewska, zabiły mi klina; powróciłem do dworu na gotową już herbatę, której hipokondryczny gospodarz nie bardzo uprzyjemniał, a gdy go poprosił o konie i przedstawił na to kartę Taczanowskiego, popatrzył na mnie i powiedział: „Sam pana pod Turek do mojej córki przewiozę“. W pół godziny później jechaliśmy pod Turek, a nie jechaliśmy drogą, lecz leśnymi i polnymi przydrożkami, a przeciąwszy szosę pod Cisowem przybyliśmy około południa do Dziadowic.

¹⁾ Nazwa zniekształcona, prawdopodobnie Kościelny Słomów, przyp. wyd.

Dowiedziałem się mniej więcej, że nowosformowany szwadron miał się udać w kierunku Koźminka, a Moskwa w sile dwóch szwadronów leibgardii huzarów i sotni kubańców z przybocznej straży, która wieczorem dnia wczorajszego przybyła do Turku, dzisiaj rankiem takowy opuściła i poszła szosą w stronę Kalisza.

Zaniepokoiło mnie położenie nowego szwadronu, mogącego być podchwyconym i rozbitym przewagą najlepszej kawalerii moskiewskiej, postanowiłem przeto wyszukać ów szwadron, aby mu pomagać pewnym doświadczeniem i znajomością terenu. Poprosiwszy przeto o konie, około 2-ej Dziadowice opuściłem.

Drogą a raczej traktem, przeciąwszy szosę w Malanowie, dojechałem do Będzechowa, gdzie nie znalazłszy jeszcze żadnej wskazówki, wziętą świeżo furmanką dobiłem około 8-ej wieczorem 23 sierpnia 1863 r. do Ciepiewa.

Tutaj spotkałem się już z pewną wiadomością o szwadronie i o jego nawet pobiciu przez kawalerię moskiewską z Turku w okolicach Koźminka i, jak mówiono, o jego wcale dobrym znalezieniu się, gdyż jakkolwiek pobity przewagą sił, nie był rozbitym i wycofał się, a Moskwa wróciła nazad do Turku.

Poprosiłem gospodarza domu o konia osiodłanego i człowieka obznajomionego z miejscowością i także konno, a gdy posiliwszy się wyszedłem przed dom, gdzie już konie czekały, na podprowadzonego niezłego podjezdka sam wsiałem, a na drugiego wskoczył dworski ekonom i za wrota na poszukiwanie pojechaliśmy.

Po dosyć długich poszukiwaniach, utrudnionych ciemnicą nocy i konieczną w takich razach ostrożnością, udało się nam w końcu około 11-ej w nocy odnaleźć pobity szwadron w Chwałęcicach na dziedzińcu dworskim stojący.

Przedstawiając porucznikowi Pągowskiemu rozkaz Taczanowskiego zapytałem go, ilu ludzi z bitwy wyprowadził i od jakiej godziny szwadron odpoczywa. Dowiedziawszy się z jego odpowiedzi, że 72 ludzi wraz z oficerami ma pod sobą, gdyż ze 30 zostało zabitych lub rannych w potyczce, a ze 20 rozsypało się i nie złączyło, oświadczył mi następnie, iż od godziny 8-ej wieczór odpoczywa, że konie przez parę godzin nie chciały ani pić ani jeść, tylko wyciągnięte spały aż chrapały, lecz że od godziny wstały, a napojone dobrze chrupią owies.

Ileż to razy dawniej, a szczególnie w zimowej kampanii, zdarzyło mi się z końmi coś podobnego! Zwykle to oznaki zbyt wielkiego zmęczenia; gdy one już się napiją i jeść zaczną, to oznacza, iż się sposobią do przyszłej pracy.

O północy nakazałem wymarsz, a idąc drogami ubocznymi przez Chlewo, Poprężniki, Tądów, o wschodzie słońca około 5-ej z rana 24 sierpnia 1863 r. przeszedłszy w bród Wartę, zatrzymałem się chwilę przed dworem w Brodni.

Od kilku dni i nocy pędząc bądź konno, bądź na furmance — miałem tak spuchnięte stopy, iż z przykrym bardzo bólem zdołałem się utrzymać na siodle. Kiedy więc w przejeździe pod dworem, którądy przechodziła droga gminna prowadząca do Zduńskiej Woli, zobaczyłem bardzo wiekowego człowieka stojącego na ganku, ubranego w czamare i odznaki wojskowe, zatrzymałem półszwadron, dawszy ludziom i koniom możność rozprostowania gnatów i opatrzenia popręgów. Sam zsiadłszy z konia udałem się do oczekującego mnie na ganku obywatela. Zobaczywszy na jego piersi wstążeczki od krzyża legii i wirtuti militari oddałem mu pokłon wojskowy, a przedstawivszy się poprosiłem go natychmiast o danie mi jakichś obszerniejszych butów, gdyż spuchnięte nogi nie pozwalają mi dłużej używać własnego obuwia. Gdy przywołany służący za chwilę przyniósł kilka par obuwia, a pomagając w zdjęciu moich, przy użyciu nawet noża, podał mi największe i najobszerniejsze, czułem po ich włożeniu, że krew prawidłowo zaczyna mi krążyć po nogach — i kiedy chciałem wyrazić gospodarzowi, a podobno z nazwiska Mniewskiemu, moje podziękowanie za ból usunięty, strzał ariergardy o paręset kroków w tyle stojącej zwrócił moją uwagę.

Z ganku dworskiego na wyniosłym dosyć kopcu stojącego widać było jak na dłoni na parę wiorst oddalenia — nie tylko dolinę, lecz i samą wstęgę rzeki Warty, ozłoconą promieniami wschodzącego słońca, a nadto błyszczące szeregi pędzących kłusem dwóch szwadronów huzarów, dobiegających do rzeki, i znanych mi dobrze z Warszawy kozaków kubańskich, w bród moim torem przebywających Wartę w sile około 80 ludzi.

Zamiast więc podziękować obywatelowi za wygodne buty i w następstwie poprosić go o przekąskę dla ludzi i koni, której bardzo potrzebowaliśmy, rzuciłem komendę „bacność, na koń“. Zbiegłszy z ganku i sam na koń wsiadłszy, zatrzymałem przy sobie porucznika Pągowskiego z czterema kawalerzystami, uzbrojonymi w dobre odtylcowe dubeltówki, dla wzmocnienia trzech kawalerzystów z tylnej straży. Przybyłemu przed chwilą, a powracającemu z chwilowego urlopu do brygady Taczanowskiego majorowi Miśkiewicz dałem rozkaz, ażeby wyciągniętym kłusem prowadził szwadron, a raczej jego połowę, w kierunku na Szadek, a gdy tylko dopadnie lasów, niech

rozsypanym więcej frontem między drzewami postępuje i po przejściu jakiejś wiorsty drogi niech przyjmuje kierunek pod kątem prostym na Zduńską Wolę, klucząc tym sposobem i ślady zacierając za sobą; zaleciłem mu zarazem ścisłą baczność na konie, ażeby z nich ostatniej pary nie wydobywać. To zaleciwszy i puściwszy szwadron w kłus, sam z ośmiu ludźmi jako ariergardą o paręset kroków w tyle posuwałem się za szwadronem.

Ruch był na czasie wykonany. Miśkiewicz z szwadronikiem schował się już w lesie, ja z ariergardą do niego wpadałem, gdy kubańcy wypadli spoza zabudowań folwarcznych.

Dystans między stronami przynajmniej wiorstę drogi wynosił; prawda, że miałem zmachane konie potyczką i marszem dnia wczorajszego, jak niemniej kilkogodzinnym nocnym marszem, lecz i moskiewskie konie nie próżnowały. Postanowiłem przeto tę odległość utrzymać, w razie danym zwiększyć ją, a nawet ująć dalszego pościgu, jednym słowem, nie dopuścić do ręcznego spotkania i doprowadzić rozbitków do brygady Taczanowskiego.

Dawszy odpowiednią instrukcję Pągowskiemu, ażeby zwracając baczna uwagę na pędzących za nim kubańców pilnował kołnierzy kolumny przed nim idącej i nie stracił jej z oka na chwilę, gdyż marnie z ludźmi przepadnie, puściłem się cwałem do czoła kolumny, a w kilka minut dopadłszy ją znalazłem się na niedawnym leśnym wyrębie, zarzuconym drzazgami, trocinami i gałęziami — i na nim skluczyłem pochód: szedłem bowiem lasem obok drogi w kierunku na Zduńską Wolę, na wyrębisku skręciłem zupełnie na prawo, biorąc kierunek na Szadek.

Skluczenie to dało mi parę godzin spokojnego i nieforsownego marszu i parogodzinny odpoczynek dla strudzonych koni w jakiejś zagrodzie, na polanie wśród lasów położonej w okolicach Choszczewa. Po parogodzinnym odpoczynku i napojeniu koni, gdyż o posiłku ani dla koni, ani dla ludzi nie było mowy z powodu braku pożywienia, ustawione dwie pikiety na dachu zagrody dały znać o zbliżaniu się czerkiesów, jak kubańców przezwano.

Wsiedliśmy na koń i wysunęliśmy się kłusem spoza osłaniającej nas zagrody. Spostrzeżono nas i kilkanaście strzałów z janczarek, jak zwykle bezskutecznych, zagrzmiało za nami z odległości kilkuset kroków.

Gdyśmy po kilku minutach ukryli się w lesie, pościg kubańców się zatrzymał i nie zauważyłem ciągnących za nimi huzarów. Byli oni, jak się nazajutrz po rozprawie sędziejewickiej od niewolników dowiedziałem, na owym wyrębisku, na którym marsz skluczyłem,

a sami tylko kubańcy w charakterze tropiących ogarów wysłani byli dla odszukania naszych śladów, zmęczeni też byli niepomiernie i konie im zupełnie ustawały.

Po kilkogodzinnym marszu około 1-ej w południe, gdy strudzone konie zaczęły potykać się i padać pod jeźdźcami, zająłem dwór z obejściem gospodarskim w Wrzeszczewicach, na dosyć wyniosłym chełmie położonych w środku niemal tysiąc morgowego obszaru pola i z widokiem na całą okolicę, zamkniętą w promieniu dwóch wiorst wieńcem lasów.

Skoro się na dziedzińcu zatrzymałem i ludzie z koni zsiadli, i gdy kazałem popuścić popręgi, czynność jak się pokazało zbyt dużą, gdyż od 24 niemal godzin nie karmione a w ciągłym marszu rozmaitym na wzdęcie się nie żaliły, ale ze łbami zwieszonymi położyły się jak stały do snu i wypoczynku.

Napróżno czeladź dworska, czulsza na cierpienia zwierząt niż ludzi, podstawiła im wodę do picia i owies przed nie rozsypywała — spały i chrapały.

Trzeba było pomyśleć o ludziach, którym się także wiele więcej nie należało. Posiliwszy ich za pośrednictwem obfitej jak na szczęście szpizarni i zbadawszy, iż na 56 dubeltówek mają przeciętnie na każdą po 25 ładunków, zapowiedziałem, iż w razie prędkiego ataku, jeżeli zmęczone konie nie będą nam mogły oddać usługi, obsadzimy dwór dosyć obszerny, przed którym staliśmy, i będziemy się w nim bronić. A rozstawiwszy po dachach strażę z dworskiej czeladzi, sam na ganku zasiadłem z majorem Miśkiewiczem do czuwania, pozwoliwszy połówie ludzi zasnąć na godzinę.

Przeczuwając, iż może się zamienić dwór w Wrzeszczewicach w blokhaus, radziłem gospodarstwu, aby zabrawszy dzieci i kosztowności wyjechali gdzie w sąsiedztwo, gdyż teraz jeszcze pora, a podczas ataku będzie po niewczasie, a ja z szwadronem przed 5-tą się nie ruszę; odpowiedzieli mi, że nie wyjadą mając nadzieję, że Moskale przyjdą, jak nas już nie będzie.

Na czym swe przeczucie opierali, nie wiem, ale siedząc na ganku przy herbacie i chłodnikach doczekałem się, że druga połowa żołnierzy do snu się ułożyła, wstała zaś ze snu posłałem zobaczyć, co się z końmi dzieje, i w razie przebudzenia poić je, przynosząc im wodę. Dano mi po chwili znać, że konie śpią i chrapią.

Po upływie pół godziny konie zaczęły się ruszać i wstawać, a pojone przynoszoną im wodą zaczęły oglądać się za czymś pożywniejszym; w ciągu drugiej pół godziny, zanim druga partia śpiochów została

rozbudzona, już wszystkie konie napojone chrupały zawzięcie owies, potrząsając torbami na łąbach zawieszonymi.

Około 4-ej gospodyni domu zaprosiła żołnierzy na dobry i gęsty od mięsa krupnik, po zjedzeniu którego z dobrze zasłużonym apetytem kazałem się sposobić do natychmiastowego wymarszu. Konie i ludzie byli nieźle odpoczęci i nakarmieni, trzeba było dążyć do Taczanowskiego, o którego postoju nie miałem dotychczas nic pewnego, szedłem tylko węchem starego partyzanta, kierując się między Łask a Widawę, spodziewając się w tamtych stronach odnaleźć jego brygadę.

Jak w poprzednich marszach, tak i w obecnym poruczając Miśkiewiczowi prowadzenie kolumny w wskazanym kierunku, sam z ośmioma ludźmi stanowiącymi ariergardę opuszczałem folwarczny dziedziniec, gdy wołanie straży postawionej na dachu „Moskale idą“ popchnęło nas z stępu w kłusa i zbliżyło po kilku minutach do postępującej przodem spokojnie kolumny. Posłałem jej rozkaz wyciągniętym kłusem przebiec tę wiorstę drogi oddzielającą nas od lasu, a w nim znów wejść w stęp.

Moskale, widocznie dowiedziawszy się od kubańców o naszym postoju i wyjściu z okolic Choszczewy, z małymi odpoczynkami postępowali śladem za nami, a dowiedziawszy się o naszym postoju w Wrzeszczewicach mieli ochotę otoczyć nas i zdusić.

W odległości bowiem jeszcze jakich pięciuset kroków od lasu, gdym chwilowo zatrzymał ariergardę, aby się na tyłach rozejrzeć, widziałem z dwóch stron zabudowań folwarcznych po szwadronie pędzących huzarów, a pośrodku wybiegłych z zabudowań i pędzących za mną całą siłą pary — kubańców.

Zobaczywszy to, dalej wyciągniętym kłusem do lasu dobiegłem, a pod osłoną jego, dopuściwszy kubańców na paręset kroków, ogniem mych odtylcówek wstrzymałem ich w dalszym szalonym pędzie.

Rozsypali się w jednej chwili i rozpoczęli flankierkę, a ja korzystając z danego im zajęcia chwilowego, pod osłoną lasu złączyłem się z kolumną i już dalej nie zaczepiany, spokojnym marszem doszedłem do zachodu słońca, nie przypuszczając nawet, że Moskale w całej sile zaledwie na parę wiorst oddalenia postępowali trop w trop za mną.

Na zachodzie słońca, przechodziłem obok jakiegoś dworu szlacheckiego gdzieś w okolicach Łasku, gdzie mnie zatrzymywano na odpoczynek, a dano mi żadaną flaszkę wina francuskiego. Gdym wyszedł z osady i zbliżał się do lasu, w którym postanowiłem odpocząć, naprzód gwałtowne ujadanie psów, a w kilka minut później wysuwające się z osady „papachy“ kubańców dały mi poznać, że mam do

czynienia z niezwykle upartym przeciwnikiem, któren nas nie oszczędza, co prawda, ale i sam dobrze się fatyguje. Postanowiłem być jeszcze ostrożniejszym.

Cofnąwszy się o dobrą wiorstę w głąb lasu, z dala od drogi wynalazłszy przy zapadającym zmroku paromorgową łączkę z strumykiem, pozostawiłem zmęczonych pod opieką Miśkiewicza, jako jedynie mniej zmęczonego, a sam wsadziwszy rewolwer do kieszeni, przy zapadłym zmroku obserwując miejscowość, ażeby do niej z powrotem trafić, wyszedłem celem wyszukania żywności i przewodnika.

Po dobrym półgodzinnym marszu idąc w prostym kierunku na odsłaniające się od czasu do czasu światło, doszedłem w końcu do jakiegoś dworu o właścicielu nazwiska niemieckiego, lecz sercem Polaka, a przedstawivszy mu kto jestem, zażądałem jego pomocy.

Ofiarował mi ją chętnie i natychmiast wysłał po swego leśnego, znającego dobrze okolice i wszystkie drożyny leśne. Sam zajął się naładowaniem wozu wiktuałami dla koni i ludzi, a kiedy po dobrej półgodzinie nadszedł leśnik, pożegnawszy gospodynię domu i podziękowawszy za obfitą przekąskę wyjechaliśmy do obozu.

Gospodarz domu sam powoził, mając mnie za sobą na furze, a leśnik, po opisanu mu miejsca skąd wyszedłem, konno na parę kroków przed furą prowadził nas do niego.

Około 10-ej wieczorem byliśmy prawie na miejscu, a chrapanie i stękanie na jakie sto kroków rozchodzące się doprowadziło nas w kilka minut do miejsca odpoczynku.

Jeden Miśkiewicz nie spał. Poważniejszego już wieku człowiek, z legionów bowiem polskich na Węgrzech z r. 1848/9 i oficer z dywizji Sadyka Paszy, a zatem więcej zahartowany i mniej od innych zmęczony, gdyż tylko po jednodniowym mozolnym marszu, przywitał nas przybyłych, a nadmieniwszy, że nie wiadomo, jaką siłą zbudzi się tych ludzi prawie martwych a tylko rżących, usiadł pod drzewem.

Potrzeba było koniecznie światła, a kiedy o tym napomknąłem przybyłemu gospodarzowi domu, odrzekł mi, że jest na to sposób, a cofnąwszy się do wozu w chwil parę zaświecił nam palącą się świecą. Praktyczny ten obywatel, przewidując kłopot bez światła w ciemności, wziął do zapasów żywności świec kilka i uprosił zadanie budzenia i odżywienia tak ludzi jak i koni.

Naprzód rozpoczęliśmy od budzenia ludzi. Uległ temu pierwszy porucznik Pągowski, gdy bowiem ani szarpanie, ani kopanie nie skutkowało, kazałem mu ścisnąć dobrze gardło, a gdy duszony dla chwylenia powietrza silniej otworzył usta, wlałem mu w takowe z pół

kieliszka okowity i rękę z gardła odjąć kazałem. Skutek był znakomity. Po kilku chwilach parchania i kaszłania oczy otworzył i oprzytomniał. Ten sposób posłużył do rozbudzenia wszystkich, z tą tylko zmianą, iż poprzednio z snu letargicznego rozbudzeni spełniali tę funkcję samarytanina nad następcami z prawdziwym przejęciem, jakby im chcieli odpłacić pięknym za nadobne.

Jednym słowem, zaledwie kwadrans czasu upłynął — ludzie byli na nogach i prawie rozbawieni sposobem zmartwychwstania, a nakarmieni do syta przywiezionymi zapasami i napojeni półkwatkiem dobrej okowity nieźle się na pozór trzymali.

Konie wciąż jeszcze chrapały i stękały, trzeba było i ich postawić na nogi. Gdybym miał porter i wino, mieszanina taka w ilości szklanki wlana do gardła najlepiej wzmacnia zhasanego konia, dając mu nowe siły; ponieważ tej luksusowej „boli“ nie miałem, gdyż tylko stare trenery w takową się zaopatrują, przeto kazałem żołnierzom pójść do pobliskiego strumyka i zmaczać chustki do nosa, czy w braku takowych zdjęte z siebie koszule i takowymi dobrze wytrzyć nozdrza i pyski, a następnie tym kompresem głowy owinąć. Nacierania i kompresy poskutkowały, konie zaczęły się poruszać i wolniej oddychać, niektóre zaczęły łby podnosić. Kazałem kompresy o świeżej wodzie powtórzyć, skutek był dobry. Po jakich dziesięciu minutach wszystkie konie wstały i zaczęły się oglądać, kazałem je poprowadzić do strumienia i poić je — z początku z krótkimi przerwami dla niedopuszczenia ochwatu.

Po dziesięciu minutach konie napojone parszając chrapały swe dwa garnce owsa. Usiadłem i rozpocząłem gawędę z mym zacnym obywatelem, któren z łzą w oku przyglądał się dotychczas w milczeniu obrazkowi życia powstańczego, jakiego się nigdy ujrzeć nie spodziewał.

Dowiedziałem się od niego stanowczo, że brygada Taczanowskiego stoi od przeszło 24 godzin w Sędziejowicach w prostej linii o trzy mile oddalonych, a posuwając się leśnymi i polnymi drożynami przeszło cztery mile odległych. Po zrobieniu narady z leśnym, jak zamierzam ten marsz odbyć, czekałem tylko na zjedzenie owsa i napojenie koni, aby w marsz pod osłoną nocy wyruszyć.

Pierwsza godzina w nocy dochodziła 25 sierpnia 1863 r., gdy pożegnawszy serdecznie zacnego obywatela, nawracającego ku swemu domowi furmankę, osobiście z przewodnikiem stanąłem na czele kolumny, a zalecając żołnierzom jak największą ciszę i niepalenie fajek ani niczego, poleciłem konie trzymać krótko i nie spać i pociągnąłem ku Sędziejowicom.

Marsz odbył się spokojnie, z krótkim godzinnym przystankiem w Brodni, podczas którego tak gwałtownie zasnąłem, iż gdyby nie major Miśkiewicz, któremu zaleciłem tylko godzinę czasu odpoczynku i użycie w razie potrzeby kubła wody na głowę, nie był zaaplikował mi tego radykalnego środka, byłbym prawdopodobnie we śnie doczekał się nadejścia kubańców, w godzin parę po mym wyjściu przybyłych.

Sforsowany też byłem niepomieranie. Od dnia 19 sierpnia, to jest od czasu wyjścia od cioci Glotz z okolicy Błaszek pod Złoczew, do 25 sierpnia do dnia rozprawy pod Sędziejowicami, a którą tym szwadronikiem, po który mnie posłano, spowodowałem, upłynęło sześć dni zaledwie, a ja zrobiłem w części powozem, lecz głównie konno ze 280 kilometrów drogi, ani na pół godziny nie zmrużywszy oka. Organizm mój, muskularny i gimnastyczny, przygotowany do wszelkich tego rodzaju trudów wychowaniem od dzieciństwa, zdrowy i odporny z natury, mógł znieść dużo, nawet wiele więcej od innych, ale powiadają, że „za dużo nawet i świnie nie chcą“, i dlatego godzina odpoczynku w Brodni bez zlania mi głowy kubłem wody nie byłaby się tak prędko skończyła.

Otrzeźwiony prysznicą wsiadłem na konia, a podziękowawszy Miśkiewiczowi za spełnienie polecenia — marszem stępo przed południem 25 sierpnia przybyłem do Sędziejowic¹⁾.

Zaleciwszy na linii czat, od strony mego wejścia rozstawionych, baczność i ostrożność, gdyż Moskale za nami idą, a na placówce, stojącej na wylocie osady i złożonej z plutonu flankierskiego, uzbrojonego oprócz w pałasze i w odcylcowe dubeltówki, aby w razie gwałtownego parcia Moskali, których lada chwila można się spodziewać, zza płotów wylot wsi zamykających salwami dobrze mierzonymi wstrzymali napad, — podążyłem drogą środkiem wsi prowadzącą, a obstawioną po obu stronach końmi całej brygady, na drugi jej koniec, gdzie we dworze tam położonym przebywał Taczanowski ze sztabem.

Wysłemu na ganek sprezentowałem resztę doprowadzonego szwadronu i zdałem treściwy raport o wypadkach szwadronu oraz o wszelkim prawdopodobieństwie napadu Moskali, dodałem o poczynionych ostrzeżeniach na linii czat i placówce, a zdawszy powierzoną mi komendę w ręce Taczanowskiego — zsiadłem z konia i poszedłem do dworu, aby się w nim wyspać.

Znalazłszy w jednym z pokoi dosyć wygodną sofę, rzuciłem się na nią i prawdopodobnie natychmiast zasnąłem.

1) Bitwę w Sędziejowicach stoczono 26 sierpnia, przyp. wyd.

Jak długo spałem, nie wiedziałem. Później dowiedziałem się, że za ledwie godzinę. Zbudzony zostałem krzykiem i mocnym szamotaniem.

Gdym oczy otworzył i oprzytomniał, ujrzałem Taczanowskiego z kilkoma adiutantami i szefem sztabu Pinim krzyczących, że Moskale napadli i biją się, a kiedy zdziwiony ich posturą powiedziałem im, że przecież za mym przybyciem zapowiedziałem ich wizytę, i dlaczego stoją nade mną zamiast iść do brygady i ją do boju prowadzić, odmruknięto mi coś banalnego à conto troskliwości o moją osobę. Ale raz rozbudzony i słysząc wrzask i strzały ze wsi dochodzące, wyszedłem na ganek, a wsiadłszy na pierwszego podanego mi konia z dziedzińca dworskiego w ulicę wsi wjechałem.

Widok, jaki mnie uderzył, był nie bardzo ciekawy. Z końca wsi, przez który wszedłem, słychać było strzały, cały środek napełniony wrzaskiem kłębiących się koni i ludzi przedstawiał najwyższe zamieszanie. Dopadłszy do pierwszego z brzegu szwadronu, poleciłem rotmistrzowi Błęszyńskiemu, żeby szwadron wsadził na koń i za mną poza tyłami domów prowadził. Sam zaś, wracając ku tyłowi wsi, napotkane u jej wylotu trzy plutony flankierskie na koń wsadziłem i pędem poza tyłami wsi obleciawszy — przed Moskalami, lecz dobrze w odległości 500 do 600 kroków stanąłem.

Pierwszym rzutem oka dostrzegłem formujące się z pewnego zamieszania pierwsze dwa szwadrony I pułku, jakby po nieudanym lub odbitym ataku, a po drugie — brak huzarów moskiewskich, a tylko sotnia kubańców na koniach, opartych zadami o tył samotnej stodoły, przysposabiała się do ataku.

Zbliżywszy się do nich na jakie 300 kroków, zatrzymałem szwadron, a zakomenderowaawszy „nieparzyste numera z koni zsiąść i oddać konie numerom parzystym“ — i następnie sformowaawszy front, krokiem przyspieszonym z dubeltówkami w rękę posunąłem się do nieprzyjaciela, zawsze nieporuszonego.

Dlaczego ci kubańcy stali w miejscu na koniach — strzelając do nas z koni, a zatem bezskutecznie, dlaczego nie korzystali i nie uderzyli na mnie w chwili, gdym pod ich ogniem spieszał flankierów, lub do stu diabłów nie uciekali po odparciu dwóch szarzy na boku stojących szwadronów, tego nie mogłem zrozumieć i żadne tłumaczenia wziętych do niewoli oficerów hr. Witmajera¹⁾ i ks. Urusowa nie mogły mi tej bezmyślności wytłumaczyć.

1) Porucznik Witmer, przyp. wyd.

Ale stali w miejscu i doszedłem z moimi flankierami na sto pięćdziesiąt kroków odległości, a wtenczas ich zatrzymałem i komenderując „szeregami ognia“, a pilnując, żeby lufy we łby końskie mierzyły, po kilku salwach otrzymałem ten skutek, że połowa koni padła, a z nimi i sporo kubańców.

Ten skuteczny ogień wywołał zmianę obronnej postawy, jaką dotychczas kubańcy zajmowali: pozostali z koni żywych zrobili pierścień, którym się osłonili i zza którego rozpoczęli skuteczniejszy ogień, od którego w chwili kilka zostało rannych dwóch flankierów.

Zwarty front flankierów rozsypałem w łańcuch, zalecając pewniejsze strzały na oko i zbliżając linię na odległość stu kroków.

Skutek był znakomity i po kilku minutach ognia kubańcy w sile 42 ludzi i 19 koni ruszyli spod stodoły ku prawemu i zajęli o paręset kroków znajdującą się tam osadę włościańską, pragnąc się w niej zabarykadować.

Nie dałem im czasu na urządzenie rodzaju blokhausu: postępując za nimi, gdy zajęli chatę konie przed nią zostawiając — otoczyłem dom flankierami na jakie pięćdziesiąt kroków, silnie obsadzając wyjścia z niej, i chałupę kazałem podpalić. Przy dosyć silnym wicherze podpalona strzecha w paru minutach ogarnęła chatę płomieniem, a chcący wyjść z chaty płonącej kubańcy spotykali się przy wyjściu z kulami naszych odtylcówek.

Ilu ich padło od kuli, a ilu spaliło się w płonącej chacie, tego nie wiem. To tylko jest pewnym, że ogólna liczba wyszłych z chaty kubańców wraz z oficerami gwardyjskimi była 12 ludzi, prowadzących za sobą dwa konie. Udali się oni na niedaleko leżący cmentarz i tam do reszty zostali wystrzelani. Ocaleli tylko dwaj oficerowie gwardii huzarów i jeden kubaniec, i to tylko dzięki ich sprytowi, iż ukrywając się między trupy koni i ludzi i udając zabitych uratowani byli przez naszych oficerów, a głównie przez kapitana Zarembę, który ich sobą przed żołnierzami osłonił.

Od czasu spalenia chaty wieśniaczej z kubańcami oddawszy komendę Zarembie z rozkazem skończenia z pozostałymi dwunastu ludźmi na cmentarzu i odszukawszy jakiegoś konia, podążyłem do Taczanowskiego, którego otoczony sztabem przejeżdżał jako zwycięzca przed frontem I pułku ułanów. Salutując bohatera napomknąłem mu, czy nie warto byłoby skorzystać z nadarzonej sposobności i, mając pod ręką brygadę od przeszło dwóch dni wypoczywającą w Sędziejowicach, porwać ją i podążyć, aby zniszczyć o półtrzeciej mili wypoczywające

dwa szwadrony huzarów gwardyjskich pozostawione bez oficerów, gdyż, jakem się już dowiedział od rannych kubańców, ośmiu oficerów gwardyjskich wraz z komendantem ekspedycji pułkownikiem hr. Grabe¹⁾ zostawili swe szwadrony z trzema tylko oficerami i należeli do tej szarmydlówki kubańskiej.

Potrzeba było umieć skorzystać z tej nierozwagi moskiewskiej, a nawet z lekkomyślności ich komendanta, którego śmiercią zapłacił swą nierozwagą, pociągając za sobą bez żadnej potrzeby 72 ludzi.

Ale innego dowódcy potrzebowała ta brygada kawaleryjska. Zamiast bowiem w lot uchwycić myśl mu podaną i łatwym zwycięstwem zaprawić swego młodego ale niezłe już wyrobionego żołnierza do dalszych zwycięstw, odpowiedział mi ospale, że się namyśli, a po namyśleniu i otrąbieniu zwycięstwa udał się rzeczywiście w pochód, tylko nie na owe szwadrony oczekujące zwycięskiego powrotu kubańców z oficerami gwardyjskimi, tylko, plecy w tamtą stronę pokazując, pociągnął w stronę południowo-wschodnią w kierunku na Częstochowę.

Czy chciał osobiście zaprezentować siebie i swą brygadę w tamtych stronach, w których nigdy poprzednio nie był, czy choć z daleka pokłonić się i podziękować naszej Pani Jasnogórskiej za odniesione zwycięstwo, tego dalibóg do dzisiaj nie wiem. Nie mogłem i nie mogę go bowiem i do dzisiaj podejrzewać o animusz rycerski Kaźmierza Pułaskiego choćby już z tego powodu, że nie był to wierny sodalis marianus, przeszłość bowiem jego rzymska i ta adiutanteria przy Garibaldim więcej w nim „masona“, niż oddanego sługę Panny Marii pokazywała, tak by przynajmniej osądzili, zdaje mi się, ojcowie Towarzystwa Jezusowego, po co on zatem w tamte strony pociągnął, tego nie wiem, gdyż jako wolontariusz nie mogłem go o to zapytać.

W marszu, jaki robiliśmy, dowiedziałem się od pułkownika Matuszewicza o początkowych epizodach potyczki.

W godzinę po mym odejściu na spoczynek padły strzały na czatach od strony, skąd przyszedłem, a w parę minut później grzmot wystrzałów na wylocie wsi.

Wybiegł ze dworu, dosiadł konia, w kilka minut wsadził na koń dwa pierwsze szwadrony swego pułku, a mianowicie Okoniewskiego i Mniewskiego, najbliżej dworu stojące, i poza tyłami wsi poprowadził ich w stronę strzałów. Wyszedłszy zza osłony wsi na otwarte pole, ujrzał z odległości 600 do 800 kroków cofającego się stępo nieprzy-

¹⁾ Rotmistrz Grabbe, przyp. wyd.

jaciela, osadzonego od wylotu wsi flankierskim plutonem. „Gdy nas kubańcy spostrzegli, widząc zamkniętą drogę do ucieczki cofnęli się o kilkadziesiąt kroków na prawo i zajęli pozycję pod tą osobno stojącą stodolą, na jakiej ich za przybyciem z flankierami zastałeś. Wtenczas, sformowawszy fronty szwadronów jeden za drugim w odstępach 150 kroków, poleciłem atak — najprzód Okoniewskiemu, a po jego odparciu Mniewskiemu, także odpartemu, a w chwilę potem przybyłeś z flankierami i zastałeś mnie formującego zmieszane szwadrony“.

„Smutne — dodał na końcu — bo żołnierz polski odbiegł swego oficera, gdy tamci bowiem z całą precyzją, jakby na udanych manewrach sadząc przed frontem swych oddziałów, wpadli na kubańców i byli przez nich rąbani, żołnierze w pędzie na kilka kroków przed stojącym nieprzyjacielem zawracali konie i uciekali. Mam pięciu oficerów w tych dwóch szwadronach ciężko rannych, a żadnego żołnierza, i oficerowie domagają się dziesiątkowania tych szwadronów“.

W każdej armii regularnej podobne znalezienie się żołnierzy musiałoby spowodować doraźne postępowanie, które by mogło nawet korzystnie wpłynąć na wzmocnienie karności, ale z naszym niekarnym powstańczym żołnierzem podobna rzecz nie mogła być w sposób sumaryczny doraźnie karana, gdyż mogła wywołać opór, a nawet bunt przeciwko jej wykonaniu i rozsypkę całej brygady; dlatego odradzałem stanowczo doraźnego jej przeprowadzenia, wskazując mniej drastyczne środki, a głównie więcej pracy i zajęcia się pp. oficerów żołnierzami i zawiązania w szwadronie większej harmonii służbowej. Powoli karność i przyzwyczajenie zrobi swoje.

Gawędząc o przebytej potyczce, jakkolwiek zakończonej w krótkim czasie zniszczeniem kolumny moskiewskiej, lecz wykazującej, że na naszego żołnierza na pewno rachować nie można, przeszedłszy parę mil drogi przybyliśmy do jakiejś wioski przed zachodem słońca. Gdy się we dworze obok Piniego umieścił i rozciągnął na znajdującej się tam sofie myśląc o dalszym kontynuowaniu snu mi przerwanego, wszedł kapitan Zaremba i doniósł mi, że oddani mu zostali pod straż wzięci do niewoli oficerowie moskiewscy, że ich umieścił pod strażą w pokoju na górze we dworze i że dowiedziawszy się od niego, iż ja ich w tę matnię wprowadziłem i że znajdują się przy brygadzie, prosili go bardzo, żebym ich odwiedził.

Coś mnie ludzkiego popchnęło do pójścia. Przeszedłszy przez pokój zajmowany przez Piniego i zabrawszy od niego pudełko papierosów, poszedłem za Zarembą do osadzonych oficerów, a gdy im wymieniłem moje nazwisko i zapytał, iż podobno życzyli sobie ze mną się

widzieć, przedstawili się wymieniając swe nazwiska hr. Witmajer i księżę Urusow, objawiając niejaki zdziwienie z powodu mego młodego wieku. Gdy im ripostowałem, iż i oni nie starsi zapewne ode mnie są jednakże także oficerami, a dla lepszego humoru poczęstowawszy ich papierosami zaprosiłem ich siadając do gawędy, objawili znów zdziwienie, mówiąc mi otwarcie, iż się spodziewali znaleźć mnie innego, słyszeli bowiem o mnie rozmaicie jeszcze w Warszawie stojąc tam na kwaterach, a z mych spotkań z dnia wczorajszego i z potyczki dnia dzisiejszego nabrali przekonania, że mają do czynienia z starym i wytrawnym oficerem. Uśmiechnąwszy się z prawionego komplementu, zapytałem ich wręcz, skąd oni się znaleźli tutaj w takiej odległości od swych wygodnych kwater warszawskich i jak się nazywa ich szalenie lekkomyślny komendant.

Opowiedzieli mi całą historię. Że w. księżę Konstanty Mikołajewicz z żoną, dziećmi i najbliższym otoczeniem wyjechał z Warszawy i koleją Bydgoską dojechał do granicy Prus; że dwa szwadrony leibgardyjskich huzarów z sotnią kubańców pod komendą pułkownika hr. Grabe stanowiły ich eskortę, że w Nieszawie przy pożegnaniu w. księżna wręczyła ich komendantowi różę, jako dowód uznania dla zwycięzców, że tak jeszcze w Warszawie, jak i przechodząc Włocławskie, słyszeli dużo o kawalerii Taczanowskiego, a pułkownik Grabe, pragnąc zapłacić jakim czynem bohaterskim za ofiarowaną mu różę, postanowił spotkać się z kawalerią Taczanowskiego. W okolicach Turku trafili na ślad jakiejś polskiej kawalerii, a nazajutrz w okolicach Błaszek pobili ten szwadron. Za uciekającymi wysłali swe rozjazdy kubańców, a sami powrócili do Turku. Gdy rozjazdy zawiadomiły ich o miejscu odpoczynku powstańców i o śledzeniu ich z bliska, zawiadomiwszy komendy w Kaliszu i Sieradzu i wzywając je do wspólnej dośrodkowej akcji czekali w pogotowiu, a gdy ich rozjazdy doniosły im o naszym marszu w kierunku Warty, wyszli nad ranem z Turku i nastąpiło nieudane spotkanie pod Brodnią skutkiem chwilowego opóźnienia się, gdyż chcieli to uczynić przed przeprawą przez Wartę. Resztę sam już wiem dobrze, gdyż ścigając musieli swe ruchy zastosować do uciekającego. Miałem tę przewagę nad nimi, że znając teren i umiając się na nim poruszać, klucząc ślady za sobą, zyskiwałem chwile odpoczynku dla koni i ludzi, gdy oni, często nakładając drogi, tracili czas i dystans pościgu tracąc nas z oka, i że ja cofając się zbliżałem się do wiadomego mi celu, o którym i oni w końcu dowiedzieli się na swoje nieszczęście, gdy zmęczeni i na padających koniach mieli tylko jeden cel — doścignąć nas i zetrzeć.

Gdym podniósł zarzut lekkomyślności na ich dowódcę hr. Grabe, że z kilkudziesięciu kubańcami, ogołacając szwadrony huzarskie z oficerów, rzucił się niebacznie w ten pościg, odpowiedzieli mi smutnie, lecz zwięźle „zapłacił to życiem“, a gdym im na to odpowiedział, iż dowódca nie ma tylko swego życia do stracenia, lecz przede wszystkim powinien dbać o życie swoich podkomendnych, i gdyby nie ta szczęśliwa dla nich okoliczność, że na czele tej brygady kawaleryjskiej stoi Taczanowski, a nie energiczniejszy generał, nie rozmawiałbym z nimi tutaj w tej chwili, lecz biłbym się ze zmęczonymi i bez oficerów lejbgwardzistami.

Popatrzyli na mnie, a ja tylko pogardliwie ruszyłem ramionami, wymieniając nazwisko wsi, w której zostawili szwadrony.

Zapytałem ich jeszcze na końcu, dlaczego po odparciu ich ataku na grandgardę i korzystając z czasu zanim sformowały się szwadrony i otoczyły ich — oni nie cofnęli się, mając na to przynajmniej kwadrans czasu, lub nie zajęli jakiego osobnego domu i nie przygotowali go do obrony. Odpowiedzieli mi niewyraźnie, że chcieli mieć wolną drogę odwrotową.

Na tym skończyła się nasza pogadanka, a gdy wychodziłem zostawiając na stole papierosy, któryś z tych panów wskazał na nie, wówczas poprosiłem ich, żeby zechcieli przyjąć tę koleżeńską przysługę, a jestem przekonany, iż jeżeli znajdę się w ich położeniu, to czy oni sami, czy ich koledzy przysługi mi tej nie poskąpią, a ja ją przyjmę. Żegnając ich i życząc im dobrego snu upewniłem ich, iż jakkolwiek nie znam zamiarów Taczanowskiego co do ich osób, to jednakże ponieważ to jest człowiek w gruncie dobry i szlachetny, a my nie walczymy z narodem moskiewskim tylko z jego rządem, przeto ich życiu nie grozi żadne niebezpieczeństwo; mogą z nami pochodzić jakiś czas i będą uwolnieni, zapewne po pewnym honorowym zobowiązaniu.

Zostawiając ich koleżeńskiej opiece Zaremby, poszedłem do Pinięgo, aby się dowiedzieć, jak z jeńcami zamierzają postąpić, a gdy mi powiedział, iż Taczanowski nie powiedział w tej sprawie ostatniego słowa i że głównie myśli i lamentuje nad postępkami dwóch szwadronów i rannymi oficerami, poradziłem Piniemu, aby pozwolił Taczanowskiemu dowoli się wypaść, a tym samym uspokoiwszy mu nerwy, jutro przy rannym widzeniu, na którym będę obecny, poruszmy i załatwimy tę sprawę korzystnie dla jeńców, a bez ujmy dla naszego honoru. Nad sprawą ucieczki szwadronów trzeba przejść spokojnie do porządku dziennego, inne bowiem właściwe załatwienie wydaje mi się ryzykowne.

Ponieważ poglądy nasze na tych punktach były zgodne, podał mi rękę na znak wspólnego postępowania w dniu jutrzejszym, a pijąc herbatę z jakąś zimną przekąską, opowiedziałem mu wyprawę „róży w. księżnej“ na zdobycie złotego runa i korzyść, jaką „matuszka kazna“ z naszego niby zwycięstwa odniosła, gdyż nie potrzebuje o-
płacać zwycięzców, kule bowiem polskie skutecznie ją wyręczyły.

Wypawszy się wcale niezłe, udałem się z Pinim na ranną wizytę do Taczanowskiego, a powitałszy go jego ulubionym „buon giorno“ (bo młodość mu przypominającym), od razu przystąpiłem do sprawy jeńców — z tym, że się źle stało, iż zamiast brać ich do niewoli, na miejscu ich nie ubito. Lecz stało się, a z tym bagażem zawadzającym skończyć należy, ponieważ zaś oprawcami i rzeźnikami nie jesteśmy, a oni nie przedstawiają potęgi armii, byłoby, moim zdaniem, najro-
zumniej udać wspaniałomyślnego i wypuścić ich na wolność, zażą-
dawszy od nich poprzednio słowa honoru, że w tej wojnie przeciw Polsce walczyć nie będą. Podobne postąpienie w sferach arystokratycz-
nych, do jakich ci oficerowie z urodzenia należą, musiałyby wywołać korzystniejsze o naszym powstaniu mniemanie, a dla jenerała, który podobnie postąpił, uznanie za czyn szlachetny i prawdziwie ludzki.

Uważałem, że Taczanowskiemu spodobały się moje poglądy, zwró-
cił się jednak do szefa sztabu Piniego, żądając wypowiedzenia jego zdania w tej sprawie, a gdy ten zupełnie zgodził się na moje poglądy, wówczas zwrócił się do mnie i wyciągając rękę powiedział: „Cała rozprawa wczorajsza, a szczególnie jej ukończenie, to pańska rzecz; niechże zdanie pańskie, jako głównego czynnika, będzie uznane i o-
ficerowie wzięci do niewoli będą po paru dniach wolni — jak tylko zobowiążą się słowem honoru nie służyć przeciw nam w tej wojnie“.

Po załatwieniu tej sprawy, która mi cokolwiek leżała na sercu, i obmówiwszy w sposób uspokajający podniesioną przez Taczanowskie-
go sprawę opuszczenia oficerów przez żołnierzy w rozprawie wczor-
ajszej, poprosiłem go o kilkudniowy urlop dla wypoczynku i wyspania się po kilkudniowych tarapatach. Pożegnawszy się z obecnymi nie
przeczuwałem, że ich już po dwudziestu czterech czy trzydziestu go-
dzinach nie odnajdę.

W godzinę bowiem, to jest 26 sierpnia 1863 r., jadąc jeszcze z bry-
gadą w marszu będącą i oznajmiwszy jeńcom moskiewskim o ich losie, za co mi serdecznie podziękowali, zaleciwszy Zarembie i nadal ludzkie z nimi obchodzenie, wyprawiwszy jeszcze poprzednio ofice-
rom I pułku ułanów obfitą przekąską w jakimś młynie przydroż-
nym, złożoną z kotła jajeczniczy dobrze omaszczonej szperką i kielbasą

i oblanej paru kielichami wódki, — skręciłem w jakiejś wiosce w bok kolumny.

Gdym się od brygady oddalił i stracił ją z oczu, dziwny lęk ogarnął mnie o nią. Zdawało mi się, że śniadanie przed chwilą spożyte zakrawało na stypę pogrzebową. Potrzebowałem całej swej nieprzesądnej loiki, ażeby wizję koszmarową odpędzić, ku czemu dopomagała mi ta świadomość, że Moskale nad dwa szwadrony huzarów i coś kozaczyzny do boju wystawić nie mogą.

Przybywszy do znajomych mi i serdecznych gospodarstwa gdzieś na południu Szczercowa, do wioski położonej w lesistej i z dala od dróg okolicy, zapowiedziałem im po przywitaniu, iż zajmuję na dni kilka u nich kwaterę spodziewając się, iż mnie psami nie wyszczują i nie zamorzą głodem. A kiedy gospodyni domu z całą powagą oświadczyła mi, iż jej zapasy konfitur są tak obfite, iż będzie mnie mogła nimi zadowolnić, musiałem zrobić tak bolesno-komiczną minę, że zdziwione cztero czy pięcioletnie dziewczątka nie wiedziały, czy śmiać się, czy płakać nad wujaszkiem, którego bardzo kochały. Wówczas i poważna gospodyni domu raczyła parsknąć śmiechem, a opierając swój błogi ciężar na moim ręku, kazała się prowadzić na przerwany mym przybyciem podwieczorek. Chciała rozbawiona dłużej się jeszcze bawić konfiturami, o których wiedziała, iż ich z jakiegoś wybryku spartańskiego nie używam, obstawiła mnie nimi dokoła, lecz tak obficie przepłatała wybournymi wędlinami, iż i ja ożywiony spełniałem jej zdrowie, zjadając talerzyki konfitur.

Było mi u tych ludzi dobrze, jak w najbliższej rodzinie, i byłbym zapewne swój urlop przedłużył, bo nie miałem do czego spieszyć nie mając jako wolontariusz żadnego czynnego obowiązku, gdyby nie jak grom z jasnego nieba wieść o zniesieniu Taczanowskiego pod Kruszyną nie nadeszła do tego cichego zakąta 28 sierpnia wieczorem.

Jak ta bitwa była prowadzona i czy była w ogóle prowadzona, tego ani wówczas, kiedy na miejscu prawie i od naocznych świadków, ani dzisiaj, na podstawie zebranych danych, stanowczo określić nie mogę.

Zebrane dane wykazują co następuje.

Do stojącego oddziału pod Kruszyną pod komendą podpułkownika Kopernickiego (szwagra p. Agatona Gillera) w sile 600 ludzi, w połowie strzelców, a w drugiej połowie kosynierów, podążył z brygadą Taczanowski w sile około 1300 koni i po złączeniu się, nad wieczorem 27 sierpnia 1863 r., zostali napadnięci przez dwie kolumny

moskiewskie z osobną działającą, a mianowicie przez kolumnę podpułkownika Bremsena, komendanta Łodzi, złożoną z dwóch szwadronów huzarów, 60 kozaków i plutonu raketników, o sile 400 koni nie przynoszącej, i przez drugą kolumnę wyszłą z Częstochowy czy Radomska pod komendą jakiegoś majora, złożoną z dwóch kompanij piechoty i sotni kozaków, a zatem o sile także 400 ludzi nie przynoszącej.

Prawdopodobnie żadnej potyczki ani nawet regularnego, bodaj jako tako osłanianego odwrotu u Taczanowskiego nie było, tylko porozumiawszy się na migi ze swym szefem sztabu, opuścili plac boju kłusem, pociągając za sobą I pułk ułanów, II zaś, spłoszony popłochem napadu i kilku wyrzuconymi na nich racami, rozsypał się w zmrokach wieczora. O oddziale pieszym chodziły wieści coś do prawdopodobieństwa podobne, że napadnięty przez piechotę moskiewską na wozach jadącą z towarzyszącymi jej kozakami i popchnięty przykładem uciekającego swego dowódcy p. Kopernickiego ulotnił się do sąsiedniego lasu, gdzie w zmrokach wieczora się rozsypał, a ścigany przez kozaków, na takie tylko wypadki gońców jedyńskich, został w ich rękach przeszedł 100 niewolnika¹⁾.

Tak się zakończyła egzystencja komend i działalność wojenna dwóch dowódców powstańczych. Taczanowski syt sławy i wrażeń, odprowadzony do granicy wyjechał na zachód, uwolniwszy poprzednio dwóch oficerów gwardyjskich, w zamian za co generał Radin z Piotrkowa wypuścić kazał prawie wszystkich wziętych do niewoli pod Kruszyną. Drugi zaś bohater spod Kruszyń, ozdobiony godnością pułkownika i Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, pozostał w kraju na zgubę powstania w charakterze nadzorcy i kontrolera tak stanowczo już reakcyjnego Rządu Narodowego, jak i późniejszego przedstawiciela Dyktatora Traugutta, prawdziwego uspokoiiciela powstania 1863/4 r., i pilnował z całą skrupulatnością zandarma zleceń tegoż Dyktatora, to jest odbywania pozorów ruchu zbrojnego, ale bez żadnych starć, tylko pozory zostawiając. Ale potem o tej rzeczy, wymaga ona pełniejszego określenia, a tego w pobieżnym poglądzie uczynić nie można; powrócę do niej z pewnymi dowodami w rękę, którymi czas dyktatury Traugutta się zaznaczył.

¹⁾ Klęska pod Kruszyną nastąpiła w dniu 29 sierpnia, początek starcia o godz. 3 rano, przyp. wyd.

IV. WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ NA CZELE ORGANIZACJI WOJSKOWEJ POWIATÓW KALISKIEGO I KONIŃSKIEGO

W pierwszych zaraz dniach po rozsympce kruszyńskiej, zniósłszy się osobiście z ówczesnym Komisarzem Rządu St. Szachowskim, wziąłem w zarząd organizację wojskową w powiatach kaliskim i konińskim, aby poformowawszy oddziały piesze i podćwiczywszy je regulaminowo w obrotach wojskowych najprzód pojedynczymi kompaniami, następnie sformować z nich dwa dosyć odporne i lotne bataliony strzeleckie. Czynność tę, do której natychmiast przystąpiłem, nie przerwaną ani przewrotami wrześniowymi w Rządzie Narodowym, ani apatią w klasie narodu zwykle na tę słabość chorującej, w większej połowie przed końcem września uskuteczniłem, gdyż stanęły już gotowe cztery kompanie strzelców uzbrojone w karabiny i jako tako pod zimę odziane, każda w sile stu ludzi, pod komendantami: Godzimirskim, Nowickim, Petzem i Korytkowskim, z przywiązanymi do swych kompanij po dziesięciu strzelców konnych.

Ustalony tak nazwany Rząd Narodowy, a rzeczywiście ówczesny Dyktator Traugutt, zamianowawszy p. Kopernickiego pułkownikiem i Naczelnikiem sił zbrojnych województwa kaliskiego, oddał mnie tym samym pod jego komendę. Jakkolwiek prawie wstrętą była mi ta figura, przypominająca znacznie typ „burbona“ z czasów mikołajewskich, i jakkolwiek jego tchórzostwo osobiste, objawione tak jaskrawo podczas nieszczęsnej rozsympki pod Kruszyną, nie dało mi zapomnieć nigdy, że mam nad sobą nędznika, a nie oficera polskiego, to byłem jeszcze wówczas tego mniemania, iż stosunki nasze służbowe ograniczą się na służbowych piśmiennych raportach, w razie potrzeby składanych Naczelnikowi województwa. Pragnąc organizację piechoty w tych dwóch powiatach uzupełnić, gdyż z rozsympki kruszyńskiej ocalały i jeszcze wówczas egzystowały w województwie kaliskim trzy szwadrony I pułku ułanów pod Matuszewiczem i Miśkiewiczem, przyjąłem obiektywnie jego zwierzchnictwo w nadziei, że dokończę zamierzonej organizacji piechoty, do czego nie potrzebowałem jego pomocy, a raz ją ukończywszy i podćwiczywszy w kompaniach osobno rozmieszczonych, zbiorę je w razie potrzeby w jedno lub dwudniowym marszu na punkcie zbornym i osobiście wzięwszy je pod komendę, rozpocznę czynne działanie — bądź koncentrując je, bądź też rozrzucając kompaniami lub półbatalionami.

Największą podówczas moją troską i trudnością było wynalezienie odpowiednich dowódców dla formujących się kompanij. Gdyby ta czynność przeprowadzoną była przed rozsypką kruszyńską, to przeprowadzenie formacji piechoty pod osłoną kawalerii i przy możliwości odnalezienia odpowiedniejszych oficerów oraz przy lepszym duchu, panującym jeszcze w narodzie, byłaby wykonaną szybko i dokładniej. Lecz nie było czasu na namyślanie się, skąd wziąć odpowiedniejszych oficerów, Kaliskie bowiem nie obfitowało w nich nigdy, a ci, co byli, ulotnili się za przykładem Taczanowskiego bądź zaraz, bądź nieco później w zabór pruski, a trzeba było dalej utrzymywać zaprzestąły chwilowo ogień, gdyż z chwilą jego zgaśnięcia powstanie przestanie egzystować.

Gdyby w naszym narodzie oprócz wszystkich cnót czy wad, bo już nie wiem jak je nazywać, choć w mniejszej ilości posiadano przymiot „wytrwałość“, tak obficie posiadany przez rasę anglo-saksońską, sumiennie zrobione zestawienie dałoby saldo dla powstania dodatnie.

Zmarnowane w znacznej części 12 do 15 milionów złp. i strata 20 do 25 tysięcy ludzi w zabitych i rannych nie mogły stanowić salda wyczerpania moralnego i materialnego dla narodu, którego pewne wybitniejsze klasy społeczne, szczytujące się tak nazwanym patriotyzmem, zaledwie rozpoczęły ofiarę.

W porównaniu zaś z początkiem powstania, w chwili, o której piszę, to jest w połowie października 1863 r., przedstawia się ono jak następuje.

W początkach powstania kilka tysięcy młodzieży stanu miejskiego i szlacheckiego, może ożywionej najświętszym i najgorętszym zapalem, ale niebacznej i niedoświadczonej, bez jednego karabina i grosza, bez obuwia i ubrania, bez przewodników z rutyną wojny obeznanych, rzuca się na największe państwo o ustroju absolutnym, rozporządzające w owym czasie w ziemiach tego zaboru 180 tysięczną starą wyrobioną armią i wspomagane wszelkimi możliwymi środkami przez państwa współzaborcze. Gdyby na tym tylko kończyły się ujemne strony początków powstania, położenie naszej sprawy byłoby bardzo szczęśliwe, ale do tych ujemnych potrzeba jeszcze dołączyć dwie najważniejsze, a mianowicie: organizację tak nazwaną białych, obejmującą niemal cały stan szlachecki i zamożniejsze mieszczaństwo, walczącą od dwóch lat nad niedopuszczeniem partii ruchu do wywołania powstania i nad niedopuszczeniem zebrania jakichkolwiek środków toż powstanie ubezpieczających, i drugi, jeszcze nieszczęśliwszy ujemny czynnik — postawę ludu w początkach powstania, przeważnie wrogo przeciw niemu stojącego.

Tymczasem w chwili, z którą początki powstania porównywan, to jest w połowie października 1863 r., stan naszych sił zbrojnych stojących na teatrze wojny, nie wliczając wcale formujących się oddziałów na terytoriach zaboru austriackiego i pruskiego (które, mimochodem powiedziawszy, były jedną z klęsk naszego powstania), był do 10 tysięcy ludzi — rozrzuconych na całym terenie zaboru moskiewskiego w większych lub mniejszych oddziałach pod lepszymi lub słabszymi dowódcami, lecz uzbrojonych przeważnie karabinami i wyrobionych już nieźle w trudach kilkomiesięcznej kampanii i w kilku, a nieraz kilkunastu ogniach — na niezłych wcale wolon-tariuszów.

Nie rachując już broni, jaką niedołąźnie sprowadzała organizacja z zagranicy, w samym kraju na teatrze wojny, wnioskując z województwa kaliskiego, musiało być z kilka tysięcy zapasowych karabinów. O braku prowiantów spożywczych mowy być nawet nie mogło. Na wyczerpanie finansowe nie można było biadać, gdyż podatków dla rządu moskiewskiego przez większą część 1862 r. i cały 1863 r. nie płacono, a podatki wraz z ofiarą narodową nie wynosiły jak połowę normalnego podatku moskiewskiego, na któren, jak i na nałożoną w dubelt kontrybucję znalazły kieszenie szlachecko-episjerskie w trzy czy cztery miesiące później dostateczne środki do zrealizowania należyłości, zapełniając nimi, to jest dziesiątkami milionów, puste kasy moskiewskie.

Lecz najważniejszym dodatnim czynnikiem, jaki kilkomiesięczny trud i krew powstańców zdobyły, była niemal do gruntu zmieniona postawa ludu wiejskiego — tych mas, na których jak na mocnych fundamentach można przyszłość tej ziemi budować. Nie socjalizm bowiem ze swymi utopiami kolektywizmu, ani secesyjne elukubracje z gangreną Przybyszewskiego, nawet i Lutosławskiego mesjanizm, połączony *comme de raison* z celibatem, nie zbawią sprawy polskiej, tylko świadomość narodowa tych mas ludu wiejskiego i świadomość swych praw i obowiązków — rozwiąże tę sprawę dodatnio.

A powstanie musiało działać na te masy po apostołsku. Oglupione i wyzyskiwane przez wszystko i wszystkich od wieków, z natury konserwatywne, jak konserwująca była nędza od wieków je trapiąca, wiecznie schyłone pod chłoscącym je batogiem, a podbechtywane przez agentów rządu moskiewskiego, że car pragnie zostać ich ojcem, tylko panowie mu w tym przeszkadzają i starają się go przekupić, — musiały wyrobić w sobie uznanie dla siły rządzącej. Wobec chaosu rozmaitych agitacyj, jakie się odbywały, jak to zwykle u nas w Polsce,

głupio i nielogicznie a z całym szowinizmem, mimo tych wszystkich gangren, początkowe wrogie usposobienie przemieniło się na obojętno-przyglądające się, następnie na pozornie przychylnie, a niemal od maja na wyczekujące czegoś od „Polaków“, bo tak nas nazywali ci biedni ludzie, sami byli tylko „chłopami“. I w tym okresie wyczekiwania od Polaków, od których, to jest od powstańców, prócz dobrego i ciepłego słowa nic więcej nie otrzymali, zapełniali szeregi naszego powstańczego wojska obficie, lejąc krew swą chłopską obficie niż karmazyny i często ginąc za tę Matkę Ziemię lub zdychając na Sybirze — nie wiedząc, że są Polakami, bo im nikt tego poprzednio nigdy nie powiedział.

Ta zmiana na korzyść w usposobieniu ludu wiejskiego była dla powstania ogromnym dodatnim nabytkiem i gdyby reszta osiągniętych przez te osiem miesięcy korzyści była nic nie znacząca, a nawet ujemną, to wobec możności nie utopijnej lecz realnej rachowania na masę ludową — przy energii i wytrwałości można było wszystkie błędy naprawić i sprawę powstania na nogi postawić.

Tym przekonaniem podtrzymywany, zająłem się dalszą formacją piechoty, a postawiwszy jeszcze dwie kompanie pod Groszternem i Kurnatowskim i sformowawszy dla każdego powiatu żandarmerię po plutonie o 36 ludziach pod Netynem i Klemczyńskim, zacząłem objeżdżać osobno porozrzucane w różnych punktach powiatów kompanie dla lustracji i dokompletowania ćwiczeń wojskowych.

Podczas tych zajęć wstrząsnął mną do głębi wypadek następujący, świadczący o nieszczególnym charakterze ówczesnego Rządu Narodowego pod egidą dyktatorialną Traugutta.

Po spełzłym na niczym zamachu wrześnieowym, wskutek nieporozumienia się z ówczesnym Naczelnikiem miasta Warszawy Waszkowskim i nieuporania się z Dyrektorem wydziału wojny Dębińskim (Kot), gdy Ignacy Chmieliński, Asnyk, Narzyski, Kobylański z Sekretarzem Stanu Wojciechem Biechońskim i swymi główniejszymi stronnikami z organizacji miasta — wyjechali z Warszawy, ulatniając się do Krakowa, a następnie do Drezna dla odetchnięcia z napędzonego im strachu w Warszawie, zarządzone bezpośrednio z Warszawy aresztowanie Stanisława Szachowskiego, Komisarza Rządu Narodowego.

Dowiedziawszy się o tym aresztowaniu, przybyłem w kilka godzin na miejsce wypadku i dowiedziałem się od Netyna, komendanta żandarmerii powiatu kaliskiego, któren z całym plutonem trzymał straż nad uwięzionym, z czyjego rozkazu bez mojej wiedzy, jako jego

zwierzchnika, to aresztowanie nastąpiło. Oświadczył mi, iż pułkownik Kopernicki wezwał go do siebie z oddziałem, tam pokazał mu rozkaz z pieczęcią Rządu Narodowego, w którym napisane było: „Poleca się komendantowi żandarmów natychmiast aresztować obywatela Stanisława Szachowskiego, Komisarza Rządu Narodowego województwa kaliskiego, i stosować się we wszystkich do rozkazów obywatela pułkownika Kopernickiego, Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, pod osobistą odpowiedzialnością“. Rozkaz był krótki i zrozumiały. Dowiedziawszy się od Netyna o miejscu pobytu obywatela pułkownika Kopernickiego i kazawszy Netynowi zwinąć pluton i odmaszerować do wskazanej miejscowości, pojechałem z Szachowskim dla odnalezienia Kopernickiego. Odnalazłszy go w domu bardzo przyzwoitego szlachcica, oświadczyłem mu, że spod aresztu uwolniłem komisarza Szachowskiego, że jeżeli im tam u góry potrzebną jest jego osoba, on sam do nich pojedzie nie potrzebując żadnej eskorty, że ci panowie w górze to są co najmniej głupcy, bo się nie aresztuje swych komisarzy na prowincji choćby z tej racji, żeby nie dyskredytować powagi ich samych, których oni reprezentują, że mają na to swych sztyletników, a ludzie zabici nie reklamują i nie krytykują ich nędznego postępowania, bo nie żyjąc milczą dyskretnie; plunąwszy na niego i nazwawszy go podłym nędznikiem, zapowiedziałem mu stanowczo, żeby nie ważył się nigdy nic podobnego urządzać, bo się z nim rozprawię, jak na to zasługuje. Wsiadłszy na bryczkę, odjechałem z Szachowskim, którego w parę tygodni później, bodaj w początkach listopada 1863 r., pojechał do Warszawy. Gorączka partyjnej zawziętości nie opuściła jeszcze ówczesnego Rządu Narodowego: jak tylko przybył do Warszawy i zawiadomił o swym zamieszkanu w hotelu Saskim, wysłano wykonawcę wydanego na niego wyroku śmierci. Na szczęście tak dla niego, jak i dla ówczesnego Naczelnika Rządu Traugutta, na którym ciążyłaby wiecznie plama dokonanego partyjnego morderstwa na jednym z najwięcej czynnych patriotów, wykonawca wyroku, któremu nazwiska Szachowskiego nie wymieniono, a tylko polecono wykonać wyrok na osobie wskazany numer Saskiego hotelu zamieszkującej, gdy przyszedł pod takowy, aby wyrok wykonać, spotkał wychodzącego z niego na korytarz Szachowskiego, któremu jako uczeń gimnazjum w latach 1860 i 1861 galopenował i którego w owym czasie należał do najwybitniejszych jednostek ówczesnego ruchu warszawskiego. Gorący ten szlachetny młodzieniec, zobaczywszy swego dawnego naczelnika, którego, jak cała ówczesna gorętsza młodzież warszawska, uwielbiał i ślepo weń wierzył, zrozumiał, że mu

polecono wykonać zbrodnię, i w miejsce pchnięcia sztyletem — ścisnął go i całował mu ręce. Takim sposobem uszedł Szachowski powtórnemu wykonaniu wyroku, a odrzucony przez ówczesny Rząd od dalszych robót powstańczych, w krótkim czasie przez Kraków wyjechał za granicę.

W chwilach przeto, kiedy potrzeba upadającego powstania wymagała największej energii i wytrwałości i kiedy ludzie tymi zaletami najwięcej wyróżniający się byli już wielką rzadkością, ówczesny Naczelnik Rządu dyktatorialnie rządzący Traugutt kopał takich ludzi i usuwał ich od pracy narodowej, przestrzegając z całą ścisłością programu, ułożonego z reakcyjną partią pod egidą Hotelu Lambertowskiego.

Ale wróćmy do przerwanych wspomnień.

Stan przeto sił zbrojnych przeze mnie zorganizowanych i ćwiczonych z końcem października 1863 r. był w powiatach kaliskim i konińskim następujący. Kompanie strzelców, uzbrojone w karabiny z bagnietami, liczące przeciętnie po 100 ludzi, pod komendantami Godzimirskim, Petzem, Nowickim, Korytkowskim, Kurnatowskim i Groszternem wynosiły około 600 ludzi, konni strzelcy, przy kompaniach pieszych pozostający, do 70 ludzi rachowali i dwa plutony żandarmerii po 36 ludzi liczące, w razie koncentracji 74 ludzi wynoszące. Stanowiło to siłę przeszło 700 wynoszącą, nieźle, jak na nasze powstanie, uzbrojoną i odzianą, a która przy zdolnych i mających jako tako wyrobioną rutynę oficerach mogła już być nieźle w ćwiczeniach się wykształcić, gdyż dzięki lepszemu usposobieniu ludu wiejskiego oddziały mogły spokojniej i bezpieczniej przebywać na oznaczonych im stanowiskach. Na nieszczęście, tych oficerów w województwie kaliskim nie było.

Od samego początku powstania brak było najzupełniej regularnych oficerów. Niemal wszyscy ci panowie, którzy poczuwając się do obowiązku opuścili wrogie szeregi, z wyjątkiem tych, którzy na Litwie bądź na Rusi pozostali, schronili się pod opiekę Krakowa, a działając bądź dorywczo w niby organizujących się i wychodzących na teatr wojny oddziałach, bądź też udając tylko zajętych, — stworzyli swym postępowaniem zakałę powstania, bo tak nazwane uciekinierstwo.

Ale jeżeli było trudnym znaleźć regularnego oficera w innych częściach Kongresówki, zupełnie na nich zbywało w Kaliskim. Stan oficerski tego województwa składał się z paru inwalidów z 1831 r., z kilku niby oficerów z powstania 1848 r., z kilkunastu jednorocznych ochotników wojska pruskiego i zaledwie pięciu elewów szkoły wojskowej w Genui i Cuneo. Ten stan oficerski, gdyby się utrzymał

do końca, mógł jakoś stanowić podstawę do organizacji wojskowej. Lecz z chwilą opuszczenia kraju przez Taczanowskiego i ulotnienia się jego kawalerii, stan ten oficcerski, biorąc przykład z generała i oficerów jego brygady, ulotnił się w kilku tygodniach niemal ryczałtowo celem zajęcia prawdopodobnie zimowych kwater bądź w Poznańskim, bądź też cokolwiek dalej, jak „Pod złotą gęsią“ w Wrocławiu, lub wreszcie o poczuciu i smaku estetycznym zajęli kwatery drezdeńskie.

Zostało nas bardzo niewielu. Ja — na powiaty kaliski i koniński, mając do pomocy niby oficera, trzymiesięcznego kolegę i elewa szkoły w Cuneo, Wincentego Groszterna, w sieradzkim nie było nikogo, w piotrkowskim porucznik Ignacy Kinel sformował oddziałek strzelców do 50 ludzi dochodzący, a w wieluńskim takąż siłę stanowiła kompania strzelców pod komendą kapitana Przybyłowicza.

Stosunek sił naszych do sił moskiewskich uległ w ciągu tych ośmiu miesięcy bardzo niekorzystnej zmianie. Zamiast bowiem osiemdziesięciu kilku tysięcy żołnierza, z początkiem powstania znajdujących się w Kongresówce, po zgnieceniu jeszcze niedołążonej prowadzonego powstania na Litwie i Rusi, siły moskiewskie tam działające, zastąpione rezerwami z głębi Moskwy w tym czasie nadeszłymi, zostały przerzucone do Kongresówki i doprowadziły stan czynny armii moskiewskiej do 170.000 ludzi.

Co najmniej zdubeltowane siły moskiewskie nie ograniczyły się, jak w początkowych kilku miesiącach powstania, zajęciem punktów głównych, jak twierdze, i miast gubernialnych oraz powiatowych, i to nie wszystkich; zajęły one już z końcem października 1863 r. wszystkie najdrobniejsze miasteczka, a nawet ludniejsze wsie na węzłach dróg położone, a systemem ciągłego patrolowania między kolumnami po miastach osiadłymi — jak z jednej strony dawały baczność, co się w poruczonej im okolicy dzieje, tak z drugiej strony, utrudniając możliwość porozumiewania się rozrzuconym w tym moskiewskim natłoku kompaniom polskim, narażały je koniecznie na pojedyncze rozstrącanie.

Potrzeba było coùte que coùte temu zaradzić, potrzeba było choć chwilowo zmasować siły polskie, pobić nimi parę razy luzem włóczące się niewielkie kolumny moskiewskie, zmasować je i zepchnąć do pewnych punktów, ażeby schwycić powietrza i znaleźć możliwą swobodę ruchów w tej krępującej nawale.

Postanowiłem w tym kierunku działać, a przesławszy rozkazy komendantom Godzimirskiemu, Nowickiemu i Petzowi przybycia do lasów pod Iwanowicami w dniu i godzinie oznaczonej, wsiadłem na

konია i na punkt zborny się udałem. Gdym na godzinę przed terminem wyznaczonym przybył na punkt zborny, zastałem już na nim przed półgodziną przybyłą kompanię Godzimirskiego o sile 112 strzelców i 12 kawalerzystów, a gdym robił szczegółową lustrację stanu broni i amunicji oraz wstępne ćwiczenia przy nabijaniu broni i celowaniu, nadciągnęły w ciągu paru godzin dalsze dwie powołane kompanie — każda o sile 100 strzelców i 10 konnych strzelców i wcale, jak na zbliżającą się zimę, dostatnio ubrane, bo w krótkie kożuski i płaszcze zwinięte. Kiedym lustracji dopełnił i kazałem obiad gotować z zapasów przez kompanie z sobą przywiezionych, przybył z plutonem żandarmerii porucznik Netyn, jednym słowem, miałem pod ręką siły powiatu kaliskiego około 350 strzelców i 35 kawalerzystów wynoszące. Wyprowadziwszy ich na mustrę, po godzinie ćwiczeń i manewrów nabrałem przekonania, że w poprzednich spotkaniach stawałem do boju z mniej wprawnym i gorzej uzbrojonym żołnierzem. Najmniej byłem zadowolony z pp. oficerów, lecz ponieważ innych nie było, trzeba się było z losem pogodzić przypuszczając, iż się w nich zalety odkryją.

Po parogodzinnym odpoczynku, zasiadłszy do ugotowanego w tym czasie obiadu, wypytywałem oficerów zgromadzonych oddziałów o stosunki miejscowe tych okolic, w których głównie z oddziałami przebywali, a mianowicie co do usposobienia włościan i obywatelstwa wiejskiego. Miałem co do pierwszych jak najlepsze zapewnienia, o drugich donoszono mi zgodnie, że czego sami niemal siłą nie zarekwirują, tego na wydawane w myśl instrukcji bony prawie nigdy na czas nie otrzymają. Przygotowany byłem na podobną odpowiedź i stanęło mi w oczach postępowanie tych panów w pierwszych miesiącach powstania.

Co do siły i rozłożenia wojsk moskiewskich, zebrane przez nich liczby zgadzały się dosyć ściśle z wiadomościami, jakie ze sztabu dywizji kaliskiej w tym przedmiocie otrzymałem.

Kiedym się jeszcze ważył z wydaniem rozkazu do marszu w kierunku lasów koźmińskich, w których stała kompania Korytkowskiego, aby złączywszy go z sobą, ściągnąć do siebie kompanie Groszterna i Kurnatowskiego i rozpocząć czynniejsze działanie stosownie do okoliczności, — przybył wcale niespodziewany co prawda gość, p. pułkownik Kopernicki, którego, jako Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, musiałem powitać z ścisłością służbową, składając mu raport o siłach zgromadzonych oddziałów.

Kiedy się ta ceremonia skończyła, zapytał mnie p. Kopernicki, dlaczego oddziały zgromadziłem. Odpowiedziałem mu, że jego pytanie

zadziwia mnie, gdyż jako dowódca tych oddziałów obowiązany jestem nie tylko wydawać im rozkazy na papierze, ale tych rozkazów dopilnować, a zatem je kontrolować czynnie, wprawiać je w mustry i w marsze nie tylko kompanijne, lecz i zbiorowe, zgola, wyrabiać w nich poczucie pułkowe, gdyż w każdej chwili może zająć potrzeba przejść z ćwiczeń wstępnych kompanijnych do działania zbiorowego i odwrotnie, a zatem tych rzeczy trzeba nauczyć — i dlatego łączę pojedyncze kompanie celem wyrobienia tak żołnierzy, jak i oficerów.

Czy ten idiotyczny i tchórzliwy dureń zrozumiał dane mu wyjaśnienie, tego nie wiem, za całą bowiem odpowiedź wręczył mi papier z pieczęcią Rządu Narodowego, w którym między rozmaitymi elukubracjami znoszonymi przez cierpliwy papier, a dotyczącymi formacji, obozowania, kwaterowania i mustry pojedynczymi kompaniami, główny nacisk był położony, aby nie dopuścić do koncentracji większej siły, a pojedynczo działające oddziały, a raczej kompanie, żeby unikały wszelkiej akcji czynnej i możliwego starcia, jako w danej chwili nieodpowiedniego.

Głupie te i nędzne elukubracje, pisane przez człowieka, którego nie dyktatorem ówczesnego Rządu Narodowego, lecz wykonawczym żandarmem zorganizowanej reakcji pod egidą Czartoryszczyzny stał się, nie przedstawiały żadnej realnej wartości, gdyż nie mogły być zastosowane do miejsca, czasu i okoliczności, w jakiej się powstanie z końcem października w Kongresówce znajdowało.

Gdyby ten pan, tak nazwany Dyktator Rządu Narodowego, przypomniał sobie zaledwie w początkach maja 1863 r., że jest Polakiem z autonomią litewską, a bodaj czy nie grodzieńską lub mińską, nie bawił się w brawurę wojenną z trzystu ludźmi, lecz rozdzieliwszy ich na dziesięć samoistnych komend rozrzucił po głuszach, bagnach i ostępach gub. grodzieńskiej, mińskiej i Pińszczyzny celem łatwiejszego wyżywienia zbieranych oddziałów w czasie ich organizacji, wówczas może ten człowiek, którego miał jedną cnotę, lecz w Polsce niesłychanie rzadką, cnotę wytrwałości, byłby po paru miesiącach działalności systemem unikania starć i organizowania się pojedynczymi oddziałami postawił dosyć poważne siły zbrojne, gdyż te głusze i błota na olbrzymich przestrzeniach wobec niewielkiej ilości wojska moskiewskiego były najlepszym sprzymierzeńcem dla podobnego systemu. Może ten p. Traugutt z innymi danymi swej zasługi wszedłby w okres przewodnictwa, popierany przez każdego człowieka czynu, gdyż aż po gardło mieliśmy już owego Rządu Narodowego z użytych i reakcyjnych pismaków złożonego, może ten pan, nie dotknąwszy się tej zgniłej

plejady, nie byłby się stał ostatecznym wykonawcą ich programu i nie stałby się grabarzem powstania 1863/4 r.

Ale wróćmy do przerwanej opowiadania. Przeczytałem ową instrukcję, zakończoną małym P. S.: „Jeżeliby któren z dowódców wybitniejszych nie chciał się zastosować do przeczytanej instrukcji, zawiesić go natychmiast w obowiązkach“. P. S. było jasne i stanowcze. Albo do wszystkich głupstw powstańczych dodać otwarty bunt przeciw ogólnie uznanej władzy, albo zastosować się do rozkazu. Innej drogi nie było. Po przeczytaniu tego P. S. chwil kilka byłem zamyślony nad decyzją, czy zastrzelić jak psa p. Kopernickiego, jako przedstawiciela przyjętego przez Rząd systemu, a tym sposobem, spaliwszy za sobą mosty z drogą legalną, wywiesić choćby czerwony sztandar poruszenia ludowego, czy też ustąpić chwilowo i przysposabiając siły do wiosennego powstania, w które wierzyłem, czekać dogodniejszej chwili do mogącej nastąpić zmiany systemu. Jednym słowem, zabrakło mi cywilnej odwagi do powzięcia decyzji — i postanowiłem zastosować się do instrukcji.

Dziś, po latach czterdziestu, trzewia mi się przewracają, gdy wspomnę tę chwilę, w której człowiek czynu a nie bibuły usunął się od potępienia rządowego systemu — choćby czynem gwałtownym, bo innego środka potępienia w danej chwili nie było. Widziałem jasno, iż system p. Traugutta tylko nas bezślawnie pochowa, bo raz zaprzestałe strzały nie wznowią boju, choćby sto rozkazów z pieczęciami Rządu Narodowego do boju wzywało, — ale nie zaoponowałem, jak to należało.

Zwróciłem się tylko do p. Kopernickiego i oświadczyłem mu, żeby zawiadomił tych panów w Warszawie, których papierem się zasłania, iż albo są głupcy nic poza swoim zielonym stolikiem nie widzący, albo nędznicy, którzy z całą świadomością dążą do stłumienia powstania; że system przez nich wprowadzony nawet w ich nadziejach na interwencję nie może mieć żadnej szansy, bo o żywym tylko mówią, a nawet zajmują się, o trupie zaś milczą, a oni nim słońce interwencji wejdzie — tylko trupa mieć będą. Powiedziałem mu jeszcze, żeby spróbował osobiście komendy byle z lepszym odrobinę rezultatem jak pod Kruszyną. Poleciwszy komendantom oddziałów wrócić na poprzednio zajmowane stanowiska i z ludem wiejskim wejść w jak najlepsze stosunki, ażeby wyrobić sobie zimowe kwatery, wypuściłem ich z chwilowego obozu i sam, usiadłszy na konia, z takowego wyjechałem.

Szarzeń już zaczynało, kiedym oddziały wyprawił na dawne legowiska. Byłem niemal zdrętwiały, czułem tylko, że się rozpoczyna

początek końca, a nie miałem siły, żeby stanąć w poprzek temu. Byłem sam jeden jak kołek w województwie. Ci ludzie, z którymi wspólnie od 1860 r. pracowałem, bądź wyginęli, bądź też zawisli na szubienicy, albo szli do krainy za darmo paść sobole. Ci, co jeszcze zostali, rozsypani po trzech zaborach i notowani tak dobrze przez policję zaborców, a może nawet lepiej przez policję narodową, ukrywali się w dziurach, zacierając ślady za sobą. Mała garść w końcu — może najczynniejszych, a może tylko za takich się mających, zawiedziona w coup d'état wrzesniowym, opuściła teren szubienic i pojechała na zachód urządzić wszechświatową rewolucję. Nie było nikogo, przed kim można by było się zwierzyć, kogo o radę zapytać. Widziałeś dookoła siebie ludzi zapatyzowanych, wylękłych i zupełnie zdemoralizowanych, którym wyczekiwanie tego końca niesłychanie było wyczerpującym, bo obawa następstw powstania i represji moskiewskiej przerażała ich jak widmo. Wszystko się rozsypywało, a największą moją troską była niepewność, a nawet brak ufności w oficerów, którym powierzyłem komendy nad oddziałami.

Potrzeba było niemal ciąglego z nimi obcowania, kontrolowania i uczenia, ażeby ich jako tako wykształcić i urobić odpowiednio do ich bardzo trudnego stanowiska. Byli to bowiem w danym niespodzianym wypadku dowódcy samoistnie działający tak w ruchach, jak i podczas bitwy, gdyż wszystkie rozkazy Rządu Narodowego i instrukcje, określające stan bierno-odporny i wyznaczające godziny i niemal długość modlitwy, nie raczyły wspomnieć ani w organach urzędowych, ani nawet w swych instrukcjach i przepisach obowiązujących — o niby zawartym rozejmie spoczynkowym, mocą którego jeżeli jedna strona nie chce się bić, to i druga strona obowiązana jest do tej chęci się zastosować. Może nie znały, a może tylko zapomniały, że od czasu traktatu westfalskiego między nawet tak pobożnymi osobistościami, jak Apostolski Cesarz Niemiecki i Arcychrześcijański Król Francji i Nawarry zaniechano błógiego zwyczaju usuwania swych armij, zmęczonych trudami letniej kampanii, na zimowe leże dla dania dobrze zasłużonego wypoczynku swym żołnierzom. Te błogie czasy bezpowrotnie minęły, a p. Traugutt, jeden z czynniejszych obrońców Sewastopola, za zasługi nawet oddane w bitwie pod Czerną rzeczką orderem i wyższym stopniem obdarzony, powinien był o tym pamiętać, gdyż podczas zimy strzelaniny nie przerwano.

Różne myśli, uwagi i porównania snuły mi się po zmęczonej głowie podczas kilkogodzinnej jazdy powrotnej z obozu. Noc ciemna nie pozwalała mi się orientować; popuściwszy cugli i pochyliwszy się

na szyję konia, zdałem się całkiem na jego zmysły i instynkt, wiedząc dobrze z doświadczenia, że nie zmyli drogi do domu, z którego wyszedł, a wzrok i słuch, którym ciągle pracuje, dadzą mi znać o każdym zdarzeniu na parę minut naprzód.

Dziwnie to bowiem jest rozumne i szlachetne stworzenie ten „koń bojowy“, trzeba go tylko poznać, żyć z nim, a obchodzeniem starannym i pieściotliwym około niego przywiązać go do siebie: zrozumieją się doskonale i staną się prawdziwymi bojowymi kamratami. Schylony nad jego szyją, ażeby widzieć strzyżenie jego uszu, można mu zaufać, dopiero bowiem postawione w słupka stałego dają znać, że coś nasłuchuje; w nocnych wycieczkach, na podjazdach, a szczególnie w wysuniętych pojedynczo szpicach potrzeba to ściśle obserwować, a gdy koń sam stanie dla lepszego nasłuchiwania i zachęcany głosem cichym, a następnie lekko łydką, stoi upornie w miejscu wyciągając tylko szyję, wówczas miej gotowy rewolwer lub szablę i pomóż mu do pójścia ostroga, — pójdzie, lecz niechętnie, bo widzi lub czuje niebezpieczeństwo.

Tak jadąc, obserwując uszy końskie i rozmyślając nad rozmaitymi głupstwami ludzi obchodzącymi, przybyłem jeszcze przed północą do tego samego domu, z którego dnia poprzedniego z innymi projektami wyjechałem.

Gdy wypoczęty zacząłem się nazajutrz przyglądać wypadkom dnia poprzedniego, widziałem jasno, że dola pojedynczych oddziałów jest bardzo smutną i w krótkim czasie skończy się katastrofą zniszczenia, gdyż jakkolwiek dzięki przychylnemu usposobieniu ludności wiejskiej nie było prawie obawy naprowadzenia na te oddziały Moskali, to jednakże zważywszy samą gęstość sieci moskiewskiej, którą pokryty był teren, sieci niemal ruchomej, bo od stałych węzłów rozjazdami i patrolami rozświetlającej się, niepodobieństwem było przypuszczać, żeby na ślad oddziału nie trafiono, a raz wpadłszy — masową obławą obejmą go i zniszczą. Dodać jeszcze trzeba, iż w powiatach kaliskim i konińskim od czasu rozbioru Polski były w czasie panowania pruskiego pozakładane kolonie niemieckie, które się z Narodem Polskim nie złączyły i wrogo dla niego, jak i dla każdego ruchu narodowego były usposobione, a w owym czasie, o którym piszę, to jest z końcem października, otrzymaną bronią od Moskali uzbroiwszy się, stworzyły milicje wspólnie z Moskalami działające.

Trzeba było coś przedsięwziąć, a ręce miałem związane. Siedzieć z rękami założonymi i czekać zmiłowania Bożego — tego w mej naturze nie miałem. Miałem w sobie dużo zaciętości prawdziwego

Mazura, jakim i byłem, i przeszkody podbudzały mą energię. Doczekawszy i zjadłszy obiad, wsiadłem na swą angielkę i ruszyłem w objazd w powiat koniński dla lustracji oddziałów.

Na drugi dzień około południa przybyłem do Brudzewa, a dowiedziawszy się od pp. Kurnatowskich, rodziców jednego z mych komendantów oddziałowych, iż syn prawdopodobnie będzie w okolicach miasteczka Dobra, po obiedzie wyjechałem dla odszukania go z oddziałem.

Ponieważ miasteczko Dobra obsadzone już było kolumną moskiewską o sile jednej roty piechoty i 25 kozaków, przeto zostawiwszy drogę na prawo, na Sarbice i Człopy przybyłem do Młynów, gdzie odnalazłem oddział w leśno-bagnistej pozycji stojący lewego brzegu Warty dotykając.

Zastałem oddział na wymarszu, a gdym go jeszcze przy zapadającym dniu zlustrował, przekonałem się, iż kompania liczy z oficerami i szarżą 87 ludzi uzbrojonych w karabiny z bagnetami i 13 strzelców konnych, zaopatrzona na każdego karabin w 60 gotowych ładunków, a do transportowania cztery konie wjuczne, na których przewożono zapasy żywności i niezbędne utensylia.

O zapadającym zmroku wyszedłem z obozowiska, a korzystając z doskonałego przewodnika, leśnymi przeważnie drożynami w kierunku na Piekary, Skęczniew, Strachocice, stanąłem z oddziałem dobrze już po północy w lasach między Maszewem a Strachanowem położonych.

Przenocowawszy w kupie nad brzegiem lasu, z nastaniem dnia, a bodaj 30 października 1863 r., ruszyliśmy w głąbię leśną, a natrafivszy na paromorgową łączkę nieznacznym strumykiem przerzniętą i otoczoną zwartym i dobrze podszytym lasem, założyłem na kraju lasu obóz w tyle przyległej łączki.

Kazałem wybudować dwa szałas dla piechoty i szałas dla kawalerii. Zbadałem w mustrze wyćwiczenie żołnierzy w nabijaniu i celowaniu, a dalej w rozsypywaniu się w łańcuch tyralierski i w formowaniu frontu. Wynałazłszy między wiarą pięciu wysłużonych żołnierzy z wojska pruskiego, zamianowałem ich podoficerami-instruktorami i poleciłem im każdego dnia, z wyjątkiem dni marszu, ćwiczyć przez dwie do trzech godzin żołnierza w mustrze i nabijaniu oraz celowaniu na sposób pruski, a także i w fechtunku na bagnety. Poleciwszy im, jako starym i doświadczonym żołnierzom, iść na rękę i pomagać we wszystkim kapitanowi, zwróciłem się do Kurnatowskiego, a odprowadzivszy go na stronę zaleciłem mu: aby nigdy nie stał na miejscu obozem dłużej nad 48 godzin; aby zmieniając stanowiska na

odległość trzech do czterech mil drogi w marszach nie używał dróg publicznych, lecz głównie posiłkował się drogami leśnymi i polowymi; ażeby żywność tak dla ludzi jak i dla koni rekwirował nie na miejscu stojąc obozem, lecz w marszu przechodząc około jakiegoś dworu, gdzie można zabrać wołu lub krowę i korzec kaszy i grochu i innych wiktuałów, na dwa dni dla stu ludzi wystarczających; żeby poruszenia i swe obozy zakładał w obrębie trójkąta, utworzonego przez miasteczka Dobra, Koźminek i Warta, pilnował sam pełnienia służby na czatach — i pilnując wszystkiego bacznie, jak na komendanta samodzielnego oddziału przystało, wyrabiał się pracą i trudem na przyszłego dobrego dowódcę. A w końcu głównie mu zaleciłem, aby uczciwym i przyjacielskim postępowaniem z ludem wiejskim starał się nie tylko utrzymać to dobre usposobienie dla powstania, lecz jeszcze je zwiększyć, gdyż w nadchodzącej zimie oni jedni mogą nas utrzymać i osłonić.

Dopełniwszy bodaj wszystkiego, czego mogłem dopełnić, i posiliwszy się ugotowanym już krupnikiem, wsiadłem na swą angelkę i udałem się w kierunku na Koźminek, w okolicach którego powinien się być znajdować oddział kapitana Korytkowskiego.

Gdy przybył bardzo późnym wieczorem do Ciepiewowa, spotkałem się na wstępie z smutną nowiną, iż poprzedniego dnia, to jest 29 października, nad wieczorem napadnięty z nienacka oddziałek Korytkowskiego między Osuchowem a Koźminkiem przez jedną rotę moskiewską i ze trzydziestu kozaków, patrolujących szosę i okolicę z Kalisza do Turku prowadzącą, po krótkim oporze uległ rozbiciu, zostawiając na placu kilkunastu zabitych i kilkunastu rannych; reszta, około 70 ludzi, miała się rozsypać w lasach koźmińskich.

Przewidywania moje zaczęły się sprawdzać: pozostawione kompanie bez odpowiednich komendantów, z instrukcją chowania się, a nie bicia się, musiały ulec pojedyńczemu roztrącaniu. W tym atoli wypadku, przy jako tako prowadzonej obronie, wobec niewielkiej przewagi sił moskiewskich, mógł się oddział bez poważnych strat wycofać, zasłonięty znacznymi lasami w tej okolicy rozciągającymi się, i mógł się następnie uzupełnić; a tymczasem nie tylko że został pobity, lecz korzystając z bliskości granicy pruskiej sam Korytkowski uciekł w Poznańskie, a żołnierze rozsypani pokryli się w chatach wieśniaczych, które ich przytuliły i bezpiecznie przechowały.

Nie mogąc na razie nic przedsięwziąć z powodu wszędzie szwędającej się Moskwy ożywionej zwycięstwem, dałem tylko rozkaz komendantowi żandarmerii w powiecie kaliskim Netynowi, aby po kilku dniach, to jest w czasie już pewnego uspokojenia się ruchów

moskiewskich, przybył z swą komendą w okolice Koźminka, a rozdzieliwszy ją na cztery części, to jest na podoficerstwa, przeszukał wszystkie wsie naokoło Koźminka leżące, odnalazł żołnierzy i spisał mi, ilu żołnierzy i w jakiej wsi przebywa oraz gdzie broń, konie i amunicję przechowali.

Na trzeci dzień po rozszycie koźmińskiej, to jest 2 listopada, wsia-
dłem na konia i pojechałem szukać oddziału kapitana Groszterna, którego miał się znajdować w okolicach Tuliszkowa.

Gdy przybył do Będzeczowa, przekonałem się, że dalsza jazda konna jest niemożliwą z powodu kolonij niemieckich na tej rucie leżących, których mieszkańcy niebardzo ochotnie jeźdźca by przepuścili; zmieniwszy przeto zupełnie toaletę i przybrawszy pozory młodego „somsia-
da“, mając na taki charakter paszport legalny przez generała Bellegarde z Kalisza wydany, wyjechałem nazajutrz powozem w towarzystwie właścicielki Będzeczowa jako brat cioteczny, i zmieniając co parę mil ekwipaż i siostrę cioteczną, przybyłem trzeciego dnia na obiad do jakiejś nieszpętnej kuzynki pod Tuliszkowem.

Przyjemna ta podróż tę tylko miała ujemną stronę, iż musiałem uczyć kuzynów, a głównie kuzynki — stosunku naszego bliskiego pokrewieństwa, ale Bogiem a prawdą przy wrodzonej inteligencji naszych Polek i ich chętnej woli nauka nie była zbyt męcząca.

Przybywszy do Sarbicka 4 czy 5 listopada, dowiedziałem się, iż Moskwy w Tuliszkowie ani Rychwale nie ma i że tylko patrole większe lub mniejsze z kozaków lub huzarów złożone bądź z Konina, bądź z Władysławowa, a czasem z Turku lustrują dosyć często te okolice, lecz jak dotąd dosyć grzecznie parę wizyt odbyły, zadowolniając się poczęstunkiem dla ludzi i koni. W tym skromnym postępowaniu patroli znać było energiczną rękę generała Kostendy, którego, zdolny i odważny wykonawca bądź na polu bitwy, bądź w zarządzeniach administracji wojskowej, nie miał w naturze swej nic policyjnego i nie pastwił się nad pokonanymi. Dowiedziałem się zarazem, iż mówią o jakimś oddziale polskim w okolicach Rychwału mającym się znajdować, lecz o nim nic stanowczego nie wiedzą, gdyż bardzo tajemniczo ma się zachowywać.

Spodobała mi się opinia o oddziale Groszterna, gdyż przyszło mi na pamięć przysłowie o dużo ryczącej krowie. Zjadłszy przeto obiad i podziękowawszy jak umiałem najlepiej mojej ostatniej kuzynce za jej patriotyczną opiekę nade mną, zwróciłem się do gospodarza domu z propozycją, czyby nie chciał przejąć roli opiekuna i nie dopomógł mi w odszukaniu oddziału. Chwilowo zbladł, lecz dobra natura

zwyciężyła, a podając mi rękę „służę panu“ odpowiedział. A siedzieć na jednej bryczce razem z urwisem tej trampy, do jakiej się zaliczałem, to nie wypicie czarnej kawy oblanej likierem, to śmierć lub przynajmniej miły spacer dla przyjemności oglądania Sybiru; a ja nie odrzuciłem ofiary, lecz przyjąłem, gdyż chciałem z oddziałem nocować.

W godzinę później na bryczce siedząc, zaprzężonej parą dobrych koni, mknęliśmy w stronę Rychwału po drogach polowych i leśnych, tylko znajomych miejscowemu mieszkańcowi, i w parę godzin przybywszy do Jaroszewic dowiedzieliśmy się we dworze, iż oddział znajduje się w Królikowie, gdyż mu przed parą godzinami posyłano zapasy żywności.

Podziękowawszy poprzedniemu opiekunowi i radząc mu, ażeby zaraz nawracał do domu, gdyż żona i dzieci są niespokojne o niego, poprosiłem gospodarza domu, ażeby mi dał konia osiodłanego i człowieka, którego woził prowianty, a zamieniwszy częściowo swoją garderobę na gospodarską, to jest kamasze na buty z cholewami, a płaszcz futrzany na lisiurkę, wsiadłem na niezłego podjezdka i za przewodnikiem ruszyłem. Czupurny to był chłopak, lat dwadzieścia liczący, któremu śmierzdziały „dziegciarze“, a paliły się oczy do „swoich“, bo już tak nas nazywano; gawędząc z nim wesoło, po dobrej półgodzinie przybyliśmy do oddziału w kilkudziesięciomorgowym lesie stojącego.

Przepuszczony przez czaty obozowe, zastałem go przy obiedzie, a nie dopuściwszy do przerywania mu tego przyjemnego dla żołnierza zajęcia, wsunąłem tylko między jedzących mego czupurnego przewodnika, żeby skosztował kaszy żołnierskiej.

Z Groszternem zasiadłszy pod drzewem, słuchałem raportu służbowego. Z niego dowiedziałem się, iż kompania jego piechoty liczy z oficerami 115 strzelców, uzbrojonych w karabiny z bagnetami, że w myśl instrukcji danej mu w początkach formacji każdy pluton podzielony jest na cztery sekcje pod komendą i nadzorem podoficerów, wszystko starszych żołnierzy z wojska pruskiego, że każdy pluton jest pod komendą oficera, także starego żołnierza z wojska pruskiego narodowości niemieckiej, lecz wcale dobrze po polsku mówiących i konderujących, gdyż służąc w pułkach polskich ten język nieźle sobie przyswoili; kawaleria składała się z 15 konnych strzelców, uzbrojonych w szablę i karabiny, a oprócz tego są cztery konie wjuczne i ośmiu ludzi do nich, uzbrojonych w odtylcowe dubeltówki. Co do amunicji, każdy żołnierz ma w ładownicy po 60 gotowych naboju, a sekcja prowiantowa po 20 ładunków.

Ponieważ zmrok zapadł, a chciałem po dniu zlustrować oddział, zatrzymawszy przewodnika z końmi na wszelki wypadek, zapytałem Groszterna, jak dawno na tym stanowisku przebywa. Odpowiedział mi, iż od 7-ej godziny z rana.

Przypuszczalnie nie groziło żadne niebezpieczeństwo i postanowiłem tu noc przepędzić, a ponieważ na zrobienie szałasów było już za późno, przeto wybrawszy niewielkie zagłębienie kotliny kazałem ściąć na wyniesieniach ze dwadzieścia sztuk drzewa i nimi otoczyć kotlinę. Oślaniało nas to nieco i wstrzymywało w danym wypadku pierwszy impet atakującego. Przy czym zwróciłem uwagę Groszterna na potrzebę zaopatrzenia jego strzelców i furierów w siekiery, łopaty żelazne i kilofy, tak ażeby przynajmniej po dwadzieścia sztuk było w oddziale.

Wstawszy wczesnym rankiem i ogrzawszy przy ogniskach rozpalonych członki zziębnięte chłodem nocy listopadowej, wyprowadziłem oddział na lustrację i mustrę, a po trzechgodzinnym zajęciu przekonałem się, że oddział wcale dobrze jest uzbrojony i nieźle wymustrowany. Linia tyralierska dokładnie rozwijała się i zwijała, tworząc kółka i kwadraty sekcyjne, półplutonowe i plutonowe. Formacja kolumn półplutonowych i plutonowych wykonywana dobrze, a w ataku na bagnety spoicie, pokazywała wartość instrukcji i regulaminu pruskiego; z ogniem tylko nie mogąc robić mustry, kazałem tylko przy sobie szeregami nabijać i celować i nabrałem przekonania, patrząc na dokładność niemal pruską przy wykonywaniu tych ćwiczeń, że w razie spotkania nie będą napróżno marnować ołowiu.

Podziękowawszy oficerom i podoficerom za pracę i dobrą instrukcję, a żołnierzom za ich dzielny wygląd i dokładnie wykonane manewra, poprowadziłem ich do zasięku na dogotowujący się obiad. Przyszedszy tam i odprawivszy żołnierzy, a zatrzymawszy przy sobie tylko oficerów i podoficerów, jeszcze raz podziękowałem im od siebie, a imieniem Rządu Narodowego jako remunerację dałem oficerom po 15 rs., a dziewięciu podoficerom po 5 rs., obiecując o nich nie zapominać.

Pozostawszy sam z Groszternem, uściskałem go serdecznie jako kolegę cuneończyka, a opowiedziawszy mu całe zajście z Kopernickim i o zapatrywaniu się obecnego Rządu Narodowego na nasze powstanie i wyraziwszy mu moje obawy o los porozrzucanych oddziałów, powiedziałem mu, iż w razie sprawdzenia się moich obaw i wobec zbliżającej się zimy, potrzeba będzie pomyśleć o rozłożeniu oddziałów na zimowe kwatery po włościanach, u których, zrzuciwszy wszelkie odznaki wojskowe i przechowawszy broń i amunicję, będą razem z nimi

spali i pracowali, a nawet z wspólnego garnka jedli. Rozkwaterowanie urządzić sekcjami wraz z ich podoficerami, a zatem dziesięć do dwunastu wsi obok siebie położonych w tej okolicy, gdzie obecnie przebywa, wystarczą na pomieszczenie jego oddziału, żywność zaś w naturze musi być udzielana przez dwory, o co się zniósę z organizacją cywilną. O rozkwaterowaniu nie ma jeszcze obecnie mowy, daję mu tylko pogląd mój na tę sprawę, ażeby w danej chwili wiedział jak postępować i badał w tym kierunku najprzydatniejszą okolicę. Pozostawiwszy mu adres, pod którym trafią do mnie depesze, przestrzegłem o potrzebie nieustannej czujności, ścisnąwszy mu rękę wsiałem na podanego mi konia i z mym wczorajszym przewodnikiem z obozu wyjechałem, a po półgodzinnej jeździe do Jaroszewic powróciłem.

Przebrawszy się i przyjąwszy wygląd filistra, spokrewnionego z panią domu, zostałem zaproszony do obiadu przez gościnnego gospodarza, zanim jednakże zasiadliśmy do obiadu zapytałem gospodarza o danego mi przewodnika i o jego język, gdyż jakkolwiek nakazałem mu milczenie wsunąwszy w garść rubla, to jednakże nie byłem pewny jego małomówności.

Byłem cokolwiek zdziwiony, lecz bardzo zadowolniony opinią gospodarza, który mnie zapewnił, że jak najlepsze panuje usposobienie dla sprawy narodowej tak między ludem wiejskim, jak i jego czeladzią, z których nawet jeden poznał mnie, bo był w brygadzie Taczanowskiego, a w ogniu pod Złoczewem pod moją komendą.

Zadowolony z dobrze przepędzonego czasu i z opinii dobrej o ludzie wiejskim, jaką dzisiaj pierwszy raz bodaj z ust kastowicza usłyszałem, przywitawszy nadeszłą gospodynię domu, podałem jej ramię i poprowadziłem do stołu. Ożywiona gawęda przeważnie na tle sprawy narodowej dodawała werwy do zmiatania smacznego obiadu, urozmaiconego rzucanymi pytaniami przez dwoje podlotków dwunasto-trzynastoletnich, które z rozwartymi gwiazdkami i naciągniętymi uszętami chwytając sens rozmowy nieraz rzucanymi pytaniami wprawiły nas w kłopot.

Lecz i obiad się skończył, a ponieważ na razie załatwiłem interesa w konińskim, trzeba było wracać w powiat kaliski, aby być bliżej tamtejszych oddziałów.

Kiedym się zwrócił do gospodarza domu prosząc go o konie i pewnego człowieka, który by mnie zawiózł do Będzichowa, odrzekł mi na to, że konie z człowiekiem są do mej dyspozycji, ale ponieważ wieczór się zbliża, a do Będzichowa drogami ubocznymi jest opęta-

nych pięć do sześciu mil drogi, radzi mi, żebym się do jutrzejszego dnia zatrzymał, „a ponieważ w te strony przywiozły pana kuzynki, niechże z powrotem odwiozą pana kuzynowie“. Zgodziłem się z ochotą na taką propozycję, a przepędziwszy kilka godzin przyjemnych, po dobrym noclegu wczesnym rankiem dnia 9 listopada 1863 r. wyjechałem z Jaroszewic; jadąc rzemiennym dyszlem zawsze w towarzystwie jakiegoś kuzyna, przyjechałem dopiero nazajutrz przed samym południem do Będzichowa.

Zastałem gospodarzy domu niemal przerażonych, a gdym się zapytał o przyczynę, opowiadano mi masę rozmaitych rzeczy o pobiaciach, o rozbiciach i bitwach, a głównie iż Moskale byli wczoraj u nich, że bardzo się źle z ludźmi obchodzili, że bili i o powstańców pytali i że prawdopodobnie znowu przyjdą. Z tych wszystkich wykrzykników, wzdychań i gawęd zrozumiałem tyle, że mogłem przypuszczać, iż były jakieś starcia oddziałów z kolumnami moskiewskimi, ale gdzie i z jakim rezultatem — niczego nie mogłem wymiarkować. Mówiono, że wszędzie są Moskale.

Poradziwszy kuzynowi ostatniemu, żeby wracał do domu, gdzie jego bytność może być potrzebną, sam przebrawszy się w swój dawny kostium — wsiadłem na podprowadzoną mi angielkę. Przejeżdżając przez dziedziniec gospodarski, zapytałem spotkanego ekonoma, co w tym jest prawdy, co we dworze mówią o jakichś bitwach i o zgromadzonej Moskwie naokoło.

Kiedy mi chciał coś długo i szeroko rozpowiadać, przerwałem mu zapytaniem, gdzie była bitwa, a on jakby zgorszony czy spłoszony tym kategorycznym zapytaniem odpowiedział: „Mówią, że była przed trzema dniami pod Strachanowem“ — „A gdzie więcej?“ — zapytałem — „A przed dwoma dniami gdzieś między Wartą a Błazkami“ — „Dziękuję panu“ — powiedziałem i puściłem konia w stronę Strachanowa.

Dobrze jeszcze przed zmrokiem przybyłem do Strachanowa, a nie znalazłszy właściciela w domu, kazałem się zaprowadzić do pana rządcy. Zastawszy go w mieszkaniu i powiedziawszy mu, kto jestem, poprosiłem go, żeby mi zechciał opowiedzieć wszystko, co wie o rozsypanym oddziale. Rozpoczął opowiadanie, iż 6 listopada około południa przybyło do niego dwóch konnych powstańców z kartką od komendanta oddziału, ażeby przysłał do obozu żywności dla ludzi i koni w ilości na kartce wymienionej. W dwie może godziny naładowana fura wiktuałami pojechała do obozu razem z kawalerzystami, przed wieczorem z niego wróciła, a w godzinę później przybyła znienacka

kompania piechoty moskiewskiej i z 50 kozaków z Warty. „Fornalowi, który woził żywność do obozu — opowiadał dalej — kazałem się przekraść przez strażę kozackie i dać znać w obozie o przyjsciu Moskali, co zostało zrobione. Tego samego dnia miały nadciągnąć kolumny moskiewskie od Dobrej i Turku i osaczyć tym sposobem oddział pod Strachanowem, ale ponieważ przybyły już wieczorem, widocznie czynność odłożyły do rana, zajęte były noc całą rozjazdami kozackimi (wychodziły bowiem i wracały nieustannie), a gdy ranek zaświtał, po otrąbieniu wyszły do lasów. Cały prawie dzień 7 listopada huczało w lasach, czasem dała się słyszeć trąbka, kilka razy słyszałem pojedyncze strzały, a gdy wieczór nastąpił, wróciła ta sama kolumna z Warty z gołymi rękoma, a zjadłszy mi wołu i sporo kaszy, no i o wódce i owsie nie zapomniała, kilka godzin przespawszy, rankiem 8 listopada powróciła do Warty. W parę godzin po ich wyjściu wrócił fernal wysłany do obozu z wiadomością o Moskwie i śmiejąc się opowiadał mi o sztuce, urządzonej przez powstańców. Kiedy przybył do obozu i powiedział, iż są Moskale w Strachanowie, wówczas jakiś młody i okazały pan, widać jakiś starszy, zawołał: „oficerowie i podoficerowie do mnie!“ A gdy przyszli i otoczyli go dokoła, wówczas długo z sobą gadali, jakby się naradzali, a potem gdy już dobrze ściemniło się, przyszli do swych żołnierzy, którzy stali w szeregu, coś do nich mówili, potem ich rachowali i na kupki dzielili i każdy brał swoją kupkę i szedł w las, a każdy w inną stronę. Nakoniec ten pan „starszy“ wsiadł na konia i poprowadził swoją kupkę konnych przed siebie, ale tak jakby do Warty. Wówczas on i dwóch jeszcze z sąsiednich wsi, którzy przyszli do obozu z wiadomością o Moskalach, powrócili do wioski, w której Moskali nie było, i tam pozostali, a na drugi dzień przysłuchiwali się nagankom moskiewskim, wiedząc że nikogo nie ułapią, bo nikogo od kilku godzin tam nie ma“.

Opowiadanie to, tak plastycznie uwidoczniające rozdzielenie się oddziału na sekcje, ażeby pod osłoną nocy wyjść nieznacznie poza łańcuch otaczający, było tak wiernym uwidocznieniem tego, co się stało, że patrząc na te rzeczy nie można było mieć dokładniejszego pojęcia o wypadkach, jak słuchając tego opowiadania.

Widziałem z tego, że oddział bez spotkania wyszedł z sieci, planowo na niego zastawionej, lecz kto zdradził i kto wskazał miejsce postoju oddziału, tego nie mogłem odgadnąć, wiedziałem tylko, że to nie ręka chłopca, bo chłop nie mógł wiedzieć, że oddział przyjdzie 6 listopada do lasów strachanowskich, a ruchy moskiewskie skombinowane wskazywały rękę nowego Bogatki.

Kiedym rozmyślał, czy oddział zebrał się na wskazanym mu poprzednio punkcie zbornym, czy też, jak miał wskazanym, rozkwatrował się sekcjami po wsiach swego rejonu dla przeczekania poruszeń moskiewskich, rządca, jakiś niespokojny, zaproponował mi przejście na leśniczówkę, gdzie będziemy mogli spokojniej i bezpieczniej pogadać „gdyż przyznam się panu otwarcie — powiedział mi — że zdaje mi się, iż słyszę Moskali“. Wyszliśmy z domu, ja dosiadłem angielski, rządca podprowadzonego mu podjezdka i ruszyliśmy w stronę leśniczówki, o parę wiorst drogi oddalonej i na kraju lasu leżącej.

Domek niewielki, o paru stancjach i czeladnicy, w lesie już leżący, przyjął nas serdecznie przez gospodarzy z waszecia po polsku prezentujących się. Gdyśmy w czeladnicy zasiedli przy wesoło palącym się ogniu, rozpoczął przerwane opowiadanie i ciągnął dalej:

„Ciekawe jest to zejście się prawie w jednej godzinie z trzech stron Moskali, a z tego, co dzisiaj od ludzi słyszałem, że mieli Moskale przed parą dniami bić ludzi i rabować w Brudzewie, a głównie we dworze u pp. Kurnatowskich, przypuszczam, że stamtąd musiał pójść donos. Tyle mi wiadomo o oddziale spod Strachanowa. Ale jeszcze coś innego się przytrafiło, a to zaraz na drugi dzień: gdzieś między Górą a Małkowem w okolicach Warty — kozacy, a głównie huzary moskiewskie, dowiedziawszy się widocznie od bocznych patroli, uderzyli na oddział powstańców w czystym polu, rozbili go, kilkunastu ma być trupa, kilkunastu rannych i kilkunastu zabrali do niewoli wraz z ich rannym dowódcą“.

Jeżeli opowiadanie było prawdziwe, na faktach oparte, to klęska oddziału była zupełną, gdyż i ci żołnierze, którzy zdołali wyjść z pogromu, musieli, jak zwykle się działo w ucieczce, rzucić broń i amunicję byle ulżyć sobie ciężaru w ucieczce, nie bacząc na to, że kilku zdecydowanych ludzi z bronią w rękę zbawiało sobie nieraz życie od naporu ścigających kozaków.

Wypadki te, zasze dzień po dzień, jakkolwiek przewidziane naprzód, gdyż wypływały z wprowadzonego przez Traugutta systemu „zbrojnej manifestacji“, musiały wywołać we mnie jako twórcy tych oddziałów przekleństwa dla całego Rządu Narodowego, który nie znając ani warunków, w jakich się powstanie znajduje, ani nie mając za grosz cywilnej odwagi, żeby się przyznać, iż położenie, w jakim się znajduje powstanie, przechodzi wszystkie jego siły moralne i intelektualne, trzymał się uparcie jak pijany płotu owego politycznie zbrodniczego systemu wyczekiwania, kontent, iż mógł o sobie powiedzieć: „I ja na szafot pracowałem“.

Lecz potrzeba było coś przedsięwziąć, ażeby rozeszły i rozbity oddział na nowo zorganizować i ująć w komendę, a ponieważ nie miałem obok siebie nikogo, kim bym się mógł posłużyć, choćby jak galopem, postanowiłem zbadać osobiście stan rzeczy z oddziałem Kurnatowskiego, a następnie dopiero zająć się rozbitkami powiatu kaliskiego.

Napisawszy tylko rozkaz komendantowi żandarmerii w powiecie kaliskim, aby się zajął z swą komendą, rozdzielając ją na sekcje, wynalezieniem rozbitków i broni ze starcia pod Wartą, a dalej — co zrobił z poruczoną mu sprawą po starciu pod Koźminkiem, kazałem mu w ciągu dni pięciu bądź złożyć szczegółowy raport o każdej sprawie, bądź przybyć osobiście pojedynczo do dworu w X., zostawiając gdzieś na uboczu komendę, gdzie się dowie o miejscu mego pobytu.

Wręczwszy odjeżdżającemu rządcy rozkaz i prosząc go, aby sam, co najlepiej, a w razie niemożności aby przez pewnego człowieka oddał ten rozkaz panu Z. w N. i żeby za przybyciem do domu, jeżeliby spodziewani Moskale byli u niego, to żeby nikogo nie przysyłał, a jeżeli ich nie ma, to żeby przysłał posłańca z słowem „Warta“. Uściśnawszy mu rękę przeszedłem z gospodarzem do wskazanego mi pokoju i tam, rzuciwszy się na posłany tapczan, snem sprawiedliwego zasnąłem. W parę godzin zbudził mnie szmer za oknem, a od wracającego z dziedzińca leśnika dowiedziałem się, iż był posłaniec z Strachanowa i zawiadomił, że Moskale nie ma.

Wczesnym rankiem 10 listopada opuściłem leśniczówkę, udając się w kierunku Brudzewa celem odnalezienia śladów Kurnatowskiego, a po przebyciu może mili drogi — w lasach pod Tokarami spotkałem człowieka, bacznie mi się przyglądającego. Kiedym go zapytał, czy jest tutejszy i czy nie wie co o Moskalach, zbliżył się o parę kroków do mnie, a witając mnie już po wojskowemu zdziwił się, że go nie poznał, a przecież on jest z kompanii kapitana Kurnatowskiego, którą przed niecałymi dwoma tygodniami pod Młynami lustrowałem i z nimi razem do Strachanowa przybyłem.

Przeprosiwszy go za nieuwagę i wytłomaczywszy mu, że można ich nie poznawać, bo się ich ma więcej, zapytałem go, co on tu robi. Odpowiedział mi, iż jego pierwsza sekcja I plutonu jest rozkwaterowana w tych stronach po gajowych i osadach podleśnych, że podoficer kwateruje także u leśnego, że są przebrani po miejscowemu, broń mają schowaną w strzechach, a amunicję w stodołach i pomagają swym gospodarzom, u których kwaterują, w robotach domowych i leśnych. „Jak nas przed trzema dniami rozstawili, tak i stoimy, czekając aż nas zawołają do apelu“.

Dowiedziawszy się od niego, że podoficer kwateruje u gajowego w innej stronie lasu, kazałem się do niego zaprowadzić, a w pół godziny niespełna słyszałem z ust jego rodzaj raportu służbowego, że ma w swej sekcji jedenastu żołnierzy, że wszyscy są w tych lasach albo w osadach podleśnych rozkwaterowani i zajęci spokojną gospodarską pracą, że ludzie miejscowi są dobrzy i lubią ich, i że codziennie do pana porucznika, który mieszka u leśnego w Skęczniewie, posyła albo sam chodzi z ustnym raportem.

Trzeba było samemu wszystko sprawdzić. Kazałem się przeto lasami i polnymi drogami zaprowadzić do porucznika, do którego dotarłem po godzinie pochodu, dowiedziałem się szczegółowo o rozłożeniu i urzędzeniu się I plutonu w czterech sąsiadujących wioskach i osadach leśnych i że II pluton tak samo się urządził i rozłożył po wioskach w okolicy Ciepiewowa z porucznikiem kwaterującym u leśnika w Ciepiewowie. O kawalerii nic nie wie, gdyż ją zabrał z sobą pan kapitan Kurnatowski i prawdopodobnie musiał ją rozkwaterować w okolicach Brudzewa.

Po obmówieniu różnych uwag i instrukcyj, jakie w danych warunkach pokazały się na czasie, prowadzony przez leśnika znajdującego okolicę, udałem się do lasów ciepiewowskich i przy jego pomocy odnalazłem porucznika II plutonu. Raport przez niego mi złożony pod względem rozkwaterowania i urzędzenia się II plutonu był zupełnie podobny do raportu o I plutonie. Nikogo nie brakowało, wszystko było w porządku i dopóty, dopóki Moskwa specjalnie nie zacznie płaćdrować dla wyłapywania powstańców, stan tej kompanii zdawał się być bezpiecznym.

Wieczór zeszedł mi na udzielaniu instrukcyj porucznikowi, a wczesnym rankiem, pragnąc się zobaczyć bądź z Kurnatowskim, bądź dowiedzieć się czegoś stanowczego o jego losie, gdyż rozmaite chodziły pogłoski, wsiadłem na angielkę i na Będzechów i Siedliska przybyłem nad wieczorem do Kościelnej¹⁾). Dowiedziawszy się, iż we dworze nie ma nikogo, zostawiwszy fernalowi konia z prośbą, aby go w osobnej przegrodzie umieścił, kazałem się do pana rządcy zaprowadzić, a znalazłszy go w mieszkaniu w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka, przedstawiłem mu się kto jestem i poprosiłem go, ażeby mi udzielił wiadomości o kapitanie Kurnatowskim i o jego piętnastu kawalerzystach.

1) Prawdopodobnie znów Kościelny Słomów albo Kościelnica pod Uniejowem, przyp. wyd.

Gospodarz domu w odpowiedzi przedstawił mi swego siostrzeńca, dodając iż ponieważ służył pod kapitanem Kurnatowskim i miał z nim być do ostatniej chwili, najlepiej będzie mnie mógł objaśnić.

Gdym się zwrócił do owego młodego człowieka, przywitał mnie po formie wojskowej, a gdy odsalutowawszy go kazałem mu wszystko opowiedzieć od początku do końca, to jest od czasu, jak ich zostawiłem w lasach strachanowskich, aż do chwili rozstania się z Kurnatowskim, zaczął swe opowiadanie z początku jak stropiony człowiek, nie mający wprawy w tej rzeczy, lecz łagodnie nawracany na właściwą drogę, doszedł dosyć gładko i składnie do końca swego opowiadania. Opowiedział mi, jak w kilka godzin po mym odjeździe z oddziału zawiadomiony został Kurnatowski o osaczeniu z trzech stron przez Moskali, jak zebrał oficerów i podoficerów piechoty, jak rozdzielił piechotę sekcjami, jak ona pod osłoną nocy przeszła poza linię moskiewską, jak sam z pozostałą przy nim kawalerią cofnął się naprzód w kierunku na m. Wartę, a może po godzinie marszu skręcili na lewo i na Ustków przebyli w bród rzekę Wartę pod Brodnią i trzymając się prawego brzegu Warty, stanęli nad ranem w lasach lubiszewickich. Jak nad wieczorem tegoż samego dnia wyszedłszy i mając doskonałego przewodnika przeszli nad świtaniem brodem pod Kuczkami na lewy brzeg Warty i jednym marszem stanęli w lasach sarbickich o milę odległości od Brudzewa. Przed wieczorem Kurnatowski wzięwszy z sobą trzech ludzi, między którymi i on się znajdował, udał się do Brudzewa, a dowiedziawszy się pod miasteczkiem, iż w nim Moskwy nie ma, udał się do domu swych rodziców. „Co się tam działo podczas parogodzinnej jego bytności, tego nie wiem, staliśmy bowiem z końmi przed domem; służba nam tylko mówiła, że przed trzema dniami przybyła Moskwa z Koła, że rabowali, niszczyli i bili służbę we dworze, a szczególnie katowali młodszego syna Kurnatowskich, którego zbitego wpakowali na furę i zawieźli do Konina. W końcu on wyszedł, kazał nam powrócić do kolegów do Sarbicka¹⁾, i oświadczyć im, że już do nich nie wróci i żeby się po swych domach i znajomych pojedynczo rozeszli, co też i zrobiliśmy, a ponieważ prawie wszyscy z tych stron byliśmy, przeto jeszcze tej nocy rozsypaliśmy się po domach pokrewnych i znajomych“.

Gdy skończył swe opowiadanie, widziałem jasno, że oddział w całości istnieje, a tylko stracił swego komendanta, o którego następcy trudno było w danej chwili pomyśleć. Podziękowawszy mu przeto

¹⁾ Nie jest pewne, czy chodzi tu o Sarbicko, czy o Sarbice, przyp. wyd.

za dokładne sprawozdanie, zapytałem go wręcz, czy wobec nadziei, jaka się z wiosną przedstawia na więcej ruchliwe powstanie, nie przyjąłby komendy nad owymi kilkunastu kawalerzystami, a gdy po chwili namysłu zgodził się na moją propozycję, wówczas napisawszy mu nominację na porucznika kawalerii i wręczywszy mu takową, zaleciłem mu: aby utrzymał swych kawalerzystów w ewidencji i kontroli, ku czemu należy choć raz na miesiąc osobiście ich odwiedzać, lecz broń Boże po formie wojskowej; dalej, aby tak sam miał w ciągłej pamięci jak i zalecił swym towarzyszom namawiać i werbować nowych ochotników, ku czemu można mieć nadzieję dobrego skutku, gdyż tak w tych stronach jak i w całym województwie musi być masa ułanów z brygady Taczanowskiego, która się rozsypała pod Kruszyną, ale nie zginęła; przy spokojnym lecz ciągłym wywiadywaniu można się będzie odszukać i porozumieć, a odnaleziony winien być zapisanym z oznaczeniem miejscowości, w której przebywa, oraz zaznaczeniem, czy ma broń i konia lub gdzie pozostawił. Taką listę po upływie każdego miesiąca powinien mi przesłać pod wskazanym adresem przez człowieka, którego się do niego zgłosi z moją kartą.

Załatwiłem w ten sposób sprawę z oddziałem po Kurnatowskim, którego, jak się później dowiedziałem, sforsowany przez rodziców wyjechał za granicę. Przenocowawszy w Kościelnej, późnym już porankiem wyjechałem w powiat kaliski w kierunku na Błaszki, aby dowiedzieć się na miejscu o losach rozbitego oddziału.

Myszkując między włóczącymi się patrolami i rozjazdami, stojąc nieraz przy koniu całymi godzinami, zanim uspokoiła się od nich okolica, zaledwie drugiego dnia wieczorem dobiłem się do Góry, u właściciela której niejakiego p. Jezierskiego dowiedziałem się o całej katastrofie. On sam, jako jeszcze nie wygojony z rany otrzymanej pod Rudnikami, nie wyjeżdżał z domu, lecz braciszek jego, rodzaj „totumfackiego“ całego powiatu, musiał dla samej zasady być zawsze na jarmarkach tak w Uniejowie, jak i Błazkach, był zatem i wówczas na jarmarku w Błazkach, kiedy miała miejsce katastrofa pod Wrzącą, a ponieważ narację prowadził poprawnie, przeto w pół godziny mniej więcej miałem przedstawioną całą katastrofę tak wybitnie i obrazowo, iż miałem pojęcie całkowite o zaszłym wypadku.

Oddziałek Nowickiego podzielił się na dwa plutony, on sam z jednym plutonem przez Błaszki ciągnął w kierunku lasów klonowskich, jako głównego miejsca pobytu, drugi pluton z 12 kawalerzystami ciągnął, jakem się w dni parę dowiedział, bokiem Iwanowic i dotarł bez żadnego spotkania do lasów klonowskich. Dlaczego Nowicki

postąpił tak nieostrożnie, że mimo najwyraźniejszego zakazu odbywał marsze za dnia i wchodził do miasteczka na głównej szosie między Kaliszem a Sieradzem położonego, z tego mi się, rzecz naturalna, nigdy nie wytłumaczył, ciężko bowiem ranny pod Wrzącą i wzięty do niewoli, w parę tygodni później, podgojony z rany, rozstrzelany został w Kaliszu jako dowódca powstańców.

Rozprawa pod Wrzącą wykazała znowu dokładnie, że małe oddziały, dowodzone samoistnie przez przypadkowych oficerów, tylko ulegną z kolei pojedynczemu rozgromowi, nie przynosząc dla sprawy nic oprócz kilku chyba łez kobiet polskich. Taki skutek wywołała rozprawa pod Wrzącą, a we mnie, gdym się o jej przebiegu dowiedział, wywołała oburzenie i złość na ludzi, którzy jak niewolnicy prawdziwi nawet życia swego drogo sprzedać nie umieją.

Nowicki był winien, iż jako oficer i żołnierz z wojska pruskiego, a zatem najkarniejszego pod słońcem, wbrew zakazowi odbywał marsz dniem po otwartej okolicy i stawał w miasteczku, alarmując tym okolicę; za to przekroczenie powinien być oddanym pod sąd wojenny i znieść wszelkie konsekwencje z niego wypływające. Ale Nowicki, jako dobry i odważny żołnierz, nie uciekał i nie zostawił na jatkę swej komendy, przeciwnie, widząc pościg półszwadronu huzarów, bo taka siła ich wygniotła, utrzymał do ostatka przy sobie w kolumnie swych żołnierzy, do nacierających front odwrócił i, jak mówiono, „szeregami ognia“ komenderował. Gdyby ta komenda ściśle była wykonaną, i poniosła kule pierwszego szeregu nie do Świętych Pańskich, lecz w szeregi huzarów moskiewskich, wówczas luki w szeregach powstałe i przygotowana do strzału broń drugiego szeregu byłyby podziały ochładzająco na animusz huzarski i dały czas do nabicia karabinów pierwszemu szeregowi; wówczas rola się zmienia, z brawurujących robią się niespokojni, a plunięty na nich ogień z drugiego szeregu zwykle ich zatrzymuje, a często bardzo zawraca, gdyż czują i widzą, że pierwszy szereg z bronią nabitą oczekuje na nich. Widocznie, że żołnierze Nowickiego zamiast w odstępach czasu, pojedynczymi szeregami — gruchnęli razem i to nie bardzo skutecznie, a huzarzy, widząc bezbronych, jak huragan wpadli roznosząc końmi i szablami.

Gdyśmy obgadali zaszłą 8 listopada 1863 r. katastrofę pod Wrzącą, ten sam narrator, poprosiwszy jak przyzwoitość nakazywała o cierpliwość, rozpoczął drugie opowiadanie.

Nie było ono już tak efektowne, brakowało bowiem sosu do tej potrawy, nie było bowiem ani stosu trupów, ani dudniącej szarży, ani łez nawet kobiecych.

Oddział Petza w liczbie 150 strzelców pieszych i 25 strzelców konnych, po złączeniu już bowiem w lasach klonowskich z drugim plutonem strzelców i kawalerią Nowickiego, przechodząc w dniu 10 listopada 1863 r. przez Brąszewice, spotkał się z patrolującą sotnią kozaków, a odbiwszy niesmiały atak części flankierujących kozaków, cofnął się w porządku w stronę lasów klonowskich.

Potrzeba było zbadać osobiście stan tego oddziału i dlatego przed południem bodaj 13 czy 14 listopada 1863 r. wyjechałem na swej angielce w stronę Klonowa.

Dotarwszy przed wieczorem do Gałek, wioski w sąsiedztwie Brąszewic leżącej, dowiedziałem się od ekonomy tego folwarku, u którego z powodu nieobecności właściciela zanocowałem, iż oddział powstańczy prawdopodobnie w okolicy Sowizdrzałów i Klonowa się znajduje, gdyż kolega jego z Rydzewa, którego dnia wczorajszego odwiedził, mówił mu, że dla powstańców posłał przedwczoraj wóz naładowany prowiantami do Godynic, gdyż takie otrzymał wezwanie od władzy narodowej, ale fernal, który te wiktuały odwoził, nic mu nie mówił o spotkaniu się z powstańcami, widocznie są gdzieś w okolicy ukryci.

Na gawędzie o powstaniu i o usposobieniu dla niego korzystnym ze strony ludu wiejskiego zeszedł nam wieczór, a po doskonałym wyspaniu się i obfitym śniadaniu wyjechałem późnym porankiem parokonną bryczką w towarzystwie mego gościnnego gospodarza i bocznymi drogami dobiliśmy się o dobrym południu do Godynic. Z uwagi na bezpieczeństwo, a głównie na mego towarzysza, zajechaliśmy na ekonomię; nie znalazłszy gospodarza domu, zatrzymałem się sam na miejscu, mego zaś towarzysza z bryczką wysłałem do dworu dla odszukania swego znajomego kolegi, dowiedzenia się, co słychać we dworze, i sprowadzenia swego kolegi do domu. Po kilkunastu minutach oczekiwania przybyli obydwaj w towarzystwie trzeciego zamasyście wyglądającego, młodego jeszcze mężczyzny, który na mój widok wyprostował się jeszcze lepiej, a powitawszy mnie po wojskowemu przypomniał mi się, że służył w mej kompanii strzelców, a ranny w bitwie 26 lutego 1863 r. pod Kuźnicą Grabowską, wyleczywszy się z rany wstąpił do brygady Taczanowskiego i w bitwie pod Sędziejowicami, służąc w szwadronie flankierskim, bił się i był rannym pod moją komendą.

Przywitawszy się z nim po bratersku, jak z starym druhem, i poznawszy się z gospodarzem, także powstańcem, zasiedliśmy do gawędy, w której dowiedziałem się, iż oddział Petza po przyłączeniu się doń drugiego plutonu Nowickiego stanął obozem w leśnej okolicy obok

osad: Tomczyki, Kosalki¹⁾ i Błota, rozmieszczając się plutonami; Petz zaś z kawalerią przebywa w leśnej osadzie na Kosalkach.

Po lekkim posiłku, podziękowawszy z poprzedniego dnia memu gospodarzowi z Gałek za przysługi oddane sprawie narodowej i poprosiwszy go o opiekę nad moją angiolką, po którą sam zapewne się zgłoszę, namówiłem go do natychmiastowego powrotu do domu, a w pół godziny po jego odjeździe, mając za towarzysza gospodarza z Godynic, pędziliśmy parokonną bryczką do Kosalek, dokąd przybyliśmy nad wieczorem.

W osadzie leśnej zastałem pluton strzelców i 12 kawalerzystów z komendantem oddziału Petzem, który zdawszy mi raport o spotkaniu się z kozakami pod Brąszewicami zawiadomił mnie zarazem o pojedynczym rozłożeniu na kwaterach drugiego swego plutonu oraz plutonu strzelców i 13 kawalerzystów z oddziału Nowickiego po osadach przeważnie leśnych w miejscowej okolicy.

Wobec wczesnej zimy, jaka już w połowie listopada 1863 r. zapowiadała stale, wobec braku zaopatrzenia żołnierzy w cieplejszą odzież, wobec zupełnego braku odpowiednich oficerów na samoistnych komendantów oddziałów, gdyż wszyscy, doszczętnie wszyscy lepsi i z pewnym wyrobieniem oficerowie, naśladując wyjazd Taczanowskiego po rozsypce pod Kruszyną, ulotnili się na zimowe kwatery bądź w Poznańskie, bądź jak zamożniejsi do Wrocławia lub Drezna, wobec panującej już martwoty bojowej na całym lewym brzegu Wisły z wyjątkiem Krakowskiego, — zniewolony byłem zastosować się do instrukcji p. Traugutta i poleciłem Petzowi rozłożenie pozostałego plutonu strzelców oraz kawalerii na zimowe kwatery po leśnych osadach w wsiach okolicznych. Dawszy temuż instrukcję, jak w danych wypadkach ma postępować, pożegnałem zebranych — zalecając spokój i braterskie postępowanie z włościanami, u których pod jednym dachem przebywać będą.

Powróciłem napowrót do Godynic, smutny i zmaltretowany rolą karawaniarza, jaką mi wypadło spełniać w ostatnich paru tygodniach. Nie miałem ufności w inteligencję i charakter komendantów oddziałowych, a najmniej do ostatniego, tak zowiącego się Petza — niby Czecha, niby Ślązaka, jakiegoś, jednym słowem, „wasserpolaka“ o podoficerskim austriackim wykształceniu wojskowym i langiewiczowskim wyglądem. Przenocowawszy w Godynicach i po porozumieniu się z spotkanym w nich towarzyszem broni nadawszy mu stopień porucznika kawalerii, poleciwszy Petzowi oddać komendę nad zebranymi

¹⁾ Prawdopodobnie Kosatka, przyp. wyd.

kawalerzystami świeżo przeznaczonemu porucznikowi, wyjechałem w stronę Opatówka dla odszukania oddziału Godzimirskiego. Odnalazszy go po parodniowej włóczędze w okolicach Koźminka, po zlustrowaniu jego stanu zarządziłem rozkwaterowanie tego ostatniego oddziału w podobny sposób, jak poprzednich oddziałów.

Siły zatem zbrojne w powiatach kaliskim i konińskim przestały faktycznie egzystować, gdyż poza plutonami żandarmerii w tych powiatach pod Netynem i Klemczyńskim — żołnierz młody, wyszły z ciągłej nad nim baczości i kontroli, a pozostawiony prawie samemu sobie, musiał w końcu przy prywacjach, jakie nastąpiły, ulec demoralizacji. Ale nie uprzedzajmy wypadków, a idźmy za ich porządkiem, jak one następowały.

Zamianowawszy Godzimirskiego na powiat kaliski a Groszterna na powiat koniński jako inspektorów nad siłami w ich powiatach znajdującymi się i zawiadomiwszy dotyczących naczelników cywilnych o zaopatrywaniu rozkwaterowanych żołnierzy w żywność za ich asygnatami, zostawiłem przy sobie naczelną kontrolę, a rozdzieliwszy komendy żandarmskie na tereny zajmowane przez żołnierzy, utrzymywałem, o ile się dało, baczość i świadomość o komendach.

Dopóty, dokąd niedawna pamięć na żołnierzy czynnych pod bronią się utrzymywała, i dopóki pewien wstyd polityczny i resztki mrzonek na interwencję obcą utrzymywały partię szlachecką białych, u władzy będącą i mającą w swych rękach organizację, w pewnej o pozorach patriotycznych postawie, — dopóty i dola stojącego na kwaterach żołnierza była znośną, odbierając bowiem żywność nie tylko nie był ciężarem biednemu wieśniakowi, lecz pomagając mu w pracy domowej stawał się domowym towarzyszem, spełniającym dodatnio misję uświadomienia wieśniaka o walce narodowej.

Ten stan pomyślny dla przyszłości, bo oddziaływający korzystnie na włościanstwo w gruncie dobre i zacne, lecz ciemne i nikomu prócz siebie nie wierzące, trwał zaledwie do końca grudnia 1863 r., a zaznaczyć muszę, iż w powiatach bezpośrednio przeze mnie zarządzanych panował w tym okresie czasu, to jest w ciągu kilku tygodni, zupełny spokój i harmonia między gospodarzami i gośćmi na kwaterach i nie zdarzył się ani jeden wypadek „donosu“, szkodliwego sprawie narodowej.

Załatwiwszy sprawy w powiecie kaliskim i pocieszając się czasami nadzieją, iż jeżeli się nie stanie nic nadzwyczajnego, to rozkwaterowane oddziały będą mogły stanąć z wiosną do boju, wyjechałem przy końcu listopada w konińskie, a naprzód do oddziału po Kurnatowskim, rozłożonego po kwaterach w okolicy Ciepiewowa. Przekonałem się po

trzydniowym pobycie o dobrych stosunkach z włościanami i o regularnym prowiantowaniu żołnierzy przez władze cywilne, jak niemniej, iż z wiosną wybiera się sporo ochotników ze stanu włościańskiego do przyszłej wojaczki, gdyż mierzi ich prawie pogarda, okazywana im przez dziewuchy wiejskie, które lgną tylko i zerkają ślepiami za ułanami i wojakami.

Pocieszony dobrym stanem rzeczy i naśmiawszy się z wzdychania parobczaków na otumanienie „dzieuch“, których łaska bardzo dodatnio wpływa na patriotyczno-zawzięte pchanie się z pięścią na Moskali, i uznając słusność przysłowia francuskiego „co kobieta chce, to Bóg chce“, raźniejszy pojechałem na lustrację oddziału Groszterna.

Po parodniowych trudnych i nużących poszukiwaniach, w czasie których tylko dzięki przezornym i znającym miejscowość przewodnikom można się było ustrzec od spotkania z kolumnami moskiewskimi bądź ich patrolami, trzeciego dnia przybyłem do znajomego mi z poprzedniej ekskursji Sarbicka, gdzie dowiedziałem się, iż w okolicach Biskupic, Witnicy i Grabienic rozkwaterowany jest oddział, gdyż do tamtych dworów prowianty przesyłają.

Wypocząwszy kilka godzin i dostawszy jakiegoś polowego czy gajowego, dokładnie z miejscową okolicą obeznanego, wyjechaliśmy wierzchem na niezłych podjeżdżkach następnego poranku; około południa przybywszy do Grabienic dowiedziałem się, iż tak we wsi jak i w przysiółkach leśnych rozkwaterowani są żołnierze nasi. Ponieważ mi powiedziano, iż na leśniczówce przebywa jakiś oficer, odprawiający przeto dotychczasowego przewodnika, a wzięwszy z sobą świeżego, wyjechałem do owej leśniczówki. Przybywszy do niej zastałem Groszterna i oficera plutonowego, a od nich dowiedziałem się, że w ośmiu okolicznych wsiach, przysiółkach, i leśniczówkach stoi rozkwaterowany cały oddział, wzmocniony 28 ludźmi z oddziału Korytkowskiego — tym sposobem kompania liczy 146 strzelców, a z 15 kawalerzystami i 8 pakunkowymi oddział wynosi 175 ludzi wraz z komendantem.

Ponieważ okolica zanadto była otwartą i poprzecinaną drogami, a nagromadzenie w jednej okolicy większej ilości powstańców mogło spowodować w razie jakiej denuncjacji zupełne zniszczenie oddziału, przeto poleciłem Groszternowi połowę oddziału przeprowadzić i rozkwaterować w okolicach Zagórowa albo Władysławowa — stosownie do zbadania poprzedniego warunków miejscowych, aby tym rozłożeniem sił zapewnić im większe bezpieczeństwo i ułatwić zarazem dostawę żywności.

W zajęciach tych zeszedł mi czas do końca listopada, a z nim ustaliła się ostra zima, w ciągu której czynności wojsk moskiewskich ograniczały się do wysyłania mniejszych kolumn ruchomych, złożonych z piechoty i kozactwa, wizytujących się wzajemnie po najbliższych miasteczkach garnizonami osadzonych, bądź też do ciągłych większych lub mniejszych patroli kawaleryjskich, myszkujących i niepokojących teren, zajmowany przez ich komendy.

Jakkolwiek wybuch powstania uważałem za przedwczesny — z braku nagromadzenia materiałów wojennych i przeważnie kolorowanej organizacji, to jednakże, patrząc przez ciąg powstania na zmiany zachodzące w usposobieniu ludu wiejskiego, przyszedłem do tego przekonania, że klęski i pogromy wojenne, którymi tylko zaznaczyło się powstanie 1863 roku, przyniosły nam jednakże tę jedyną i niekłamana korzyść, iż lud wiejski, w początkach dla powstania wrogo usposobiony, nabrał później postawy wyczekującej, a na końcu niemal przychyłnej, i że mogąc oprzeć się na masach — można było prowadzić dalszą walkę. A widząc, że i środki materialne są zaledwie ruszone, rachowałem, iż przy pewnym już wyrobieniu kilku tysięcy powstańczego żołnierza bądź stojącego w polu, bądź na kwaterach rozłożonego, dalej przy podwójnej przynajmniej liczbie także powstańców po różnych rozgromach w domu w cichości przysiadłych, lecz których wiosna i wznowiony bój w domach nie utrzyma, rachując nadto, iż z licznych rozproszeń pozostała znaczna ilość broni i amunicji, mogąca uzbroić kilka tysięcy powstańców, — postanowiłem działać w tym kierunku.

Zostawiwszy oddziały rozkwaterowane na opiece ich komendantów, pojechałem do Naczelnika powiatu konińskiego dla obgadania o środkach materialnych powiatu. Przybywszy do niego, zastałem ekspedycję do mnie adresowaną, a leżącą u tegoż Naczelnika od trzech dni w skrytce „z powodu nieświadomości miejsca mego pobytu“, po rozpieczętowaniu której znalazłem wezwanie z pieczęcią Rządu Narodowego, abym komendom moim nakazał zwracać baczną uwagę na „obywatela“ (sic!), pod czterema czy pięcioma różnymi nazwiskami przedstawiającego się i którego jakoby wierny rysopis do wezwania dołączono, którego wyjechał z Warszawy i udał się w województwo kaliskie celem wykrycia organizacji narodowej. Dodany był zwykły frazes „po ujęciu go postąpisz z nim, obywatelu (znowu!), podług obowiązujących przepisów“. Satis. Wyrażenie to ogólne „obywatel“ przekonywało wszystkich i wszystko, iż rząd p. Traugutta nie wyparł się zasad i wyrażań Konwencji francuskiej i mnie, starego

rewolucjonistę, coś przyjemnie w żołądku kolnęło. Oddawszy wezwanie z rysopisem obywatelowi Naczelnikowi, gdyż ono i jego obywatelskiej skóry dotyczyło, poradziłem mu, ażeby dla dobra sprawy zmienić się z poważnych radców na pismaków i przesłać odpisy rysopisu z odezwą Rządu Narodowego — on do Naczelnika województwa, a ja do komend żandarmskich z poleceniem schwywania i przytransportowania do mnie.

Nie byłbym tej sprawy poruszał, jako nie mającej żadnego wpływu na powstanie, gdyby nie wypadek następny z niej wynikający, o którym w swoim czasie napiszę.

Gdyśmy skończyli naszą pisaninę i wyprawili posłańca do najbliższej stacji poczty narodowej, zwróciłem się do mego gospodarza z zapytaniem, jaki jest stan kasy powiatowej. Gdy zmieszany tym zapytaniem zaczął mi nareszcie z utyskiwaniem przedstawiać, że zaledwie parę tysięcy rubli ma do dyspozycji, gdyż najbiedniejsi prawie obywatele tylko regularnie płacą ofiarę narodową, bogatsi zaś z niechęcią i przeważnie zalegają, poprosiłem go o listę takowych z miejscowością ich majątków oraz kwotą przynależną. Po otrzymaniu jej po jakiejś godzinie czasu, oświadczyłem mu wręcz, iż albo sam pojedzie do tych panów z listą, wzywając ich kategorycznie do natychmiastowego zapłacenia, albo jeżeli osobiście tego uczynić nie chce — niech mi da urzędowe wezwanie z pieczęcią i z listą zaległych do zapłacenia, a ja oddam to polecenie komendantowi żandarmerii do natychmiastowego wyegzekwowania. Dodałem nadto: „Ostrzeż, naczelniku, tych panów, iż przy tej egzekucji może pęknąć jaka czaszka, bo ja każę egzekwować bezwzględnie, a komendant Klemczyński znanym jest z ścisłego wypełniania danych mu rozkazów“. Na zakończenie dodałem, iż czekam pięć dni na rezultat, po upływie których stosownie do wyniku sam działać zacznę.

Widocznie moje ultimatum poskutkowało, gdyż gospodarz przyrzekł mi natychmiastowy objazd dłużników. Po zjedzonym obiedzie rozjechaliśmy się jednocześnie, on w stronę Koła, a ja do Łądu do klasztoru o. o. cystersów dla pogadania z ks. Maksymem — powieszonym w kilka tygodni potem przez Moskali w Koninie¹⁾.

Klasztor w Łądzie, założony bodaj w XIII czy XIV wieku w chwilach nieporządków i zamieszek podziałem kraju przez Bolesława Krzywoustego spowodowanych, leżąc nadto w rejonie zamiarów krzyżackich, posiadał różne skrytki, cechujące ówczesne budowle, znane tylko

1) O. Maksymilian Tarejwa, kapucyn, powieszony w Koninie 19 lipca 1864 roku, przyp. wyd.

właścicielom i wtajemniczonym. Mnie znaną była tylko jedna, w której schowany z ks. Maksem przesiedziałem cztery godziny czasu podczas rewizji klasztoru, dopełnionej przez Moskali podczas mego pobytu.

Poruszam sprawę owej kryjówki z tego powodu, iż w kilka tygodni później ten sam ks. Maks był z niej wyciągnięty, aresztowany i w Koninie powieszony, a lud wiejski, który niemal ubóstwiał i ślepo słuCHAł ks. Maksa, może i słusznie utrzymywał, iż ks. Maks był przez ojca gwardiana i przyboczników za pieniądze zdradzony jak Pan Jezus. O ile w tym oskarżeniu jest podstawa — nie sprawdzałem, ale przypuszczam, iż o. o. cystersi, parci przez Moskali, którzy mogli wiedzieć o przebywaniu ks. Maksa w klasztorze, i straszeni zabraniami klasztoru, wydali go w końcu dla ocalenia klasztoru, jako ofiarę, nie bacząc na to, że sam fakt przechowywania zbrodniarza politycznego może im tylko zaszkodzić, bo po wydaniu ks. Maksa nie tylko klasztor zwinęto, lecz i wszystkich zakonników z ks. gwardianem wysłano na Sybir.

Zaznaczywszy powyższy wypadek, wracam do bytności w Łądzie dla porozumienia się z ks. Maksem co do prac narodowo-powstańczych.

Był to typ odrębny zakonnika-człowieka, mało licujący z ówczesną naszą bracią kapturową, przypominał on więcej mnicha hiszpańskiego, z krzyżem w ręku a sztyletem w drugim prowadzącego tłumy w bój nieprześlągany podczas najazdu Francuzów. Czynny i nieznużony, z zaciętością ascety i fanatyka apostołował on od lat kilku w Łądzie i jego okolicy między tamtejszą ludnością włościańską, a karcąc przewinienia, głądząc nieszczęśliwych i kopanych, zdobył dla siebie wiarę i posłuch.

Kiedy po przywitaniach w refektarzu z gwardianem i kilkoma ojcami zakonu i po klasztornej przekąsce znalazłem się w celi ks. Maksa, zwróciłem się do niego, a objaśniwszy go o stanie organizacji tak wojskowej jak i cywilnej zapytałem go wręcz, co myśli wobec tego reakcyjnego usposobienia partii rządzącej, a raczej tego zaniku w niej wszelkiej myśli i czynu na przyszłość, i czy wobec zmienionej postawy ludu wiejskiego i korzystniejszego usposobienia dla ruchu zbrojnego — nie byłoby wskazanym rozpocząć samoistną organizację między ludem wiejskim, niezależną od organizacji powstańczych, a działającą nie tylko na czasie za pośrednictwem swych wybrańców wsiowych na korzyść powstania, ale mogącą stać się zawiązkiem samoistnej spójni ludowej na przyszłość, gdyby powstanie upadło.

Dosyć długo myślał nad postawioną mu kwestią, a w końcu ścisłając mi dłoń oświadczył, iż myśl jest zdrowa, tylko potrzeba ludzi

do jej przeprowadzenia; gdym mu powiedział, iż w powiecie konińskim mamy już człowieka w osobie ks. Maksa, uśmiechnął się i powiedział, że od kilku już lat działa prawie w tym kierunku, tylko o tym związku, o tej spójni nie myślał, a działał w myśl Świętego Jana Ewangelisty i prostował ścieżki Pańskie. Kiedym napisał i wręczył mu nominację na naczelnika organizacji ludowej w powiecie konińskim, przyjął ją, a wsadziwszy do habitu przyrzekł, że spełni wszystko, co tylko będzie możliwym. I spełnił przyrzeczenie: w cztery tygodnie bowiem po naszej rozmowie organizacja przez niego stworzona przeniosła na swoich barkach i schowała po swych budynkach 800 sztuk karabinów belgijskich, via Berlin i Bydgoszcz nadeszłych dla powiatu konińskiego, z których żaden nie został uroniony; prawda, nie uczyli się tego kunsztu od obywatelskiej organizacji galicyjsko-krakowskiej — nie kradli i nie denuncjowali.

Obgadałem z ks. Maksem formę organizacji ludowej (o wybitniejszym przedstawicielu w każdej parafii) i uplastycznienie jej na zewnątrz związkiem bractwa czy różańcowego, czy innego jakiego religijnego, do czego zostawiłem ks. Maksowi wszelką swobodę. Miałem cztery dni czasu do wyczekiwania na rezultat osobistej egzekucji Naczelnika powiatu, gdyż na zjeździe zwołanym przez tegoż bodaj na 5 grudnia pragnąłem poznać się z organizacją tego powiatu. Wyjechałem z klasztoru i chcąc się osobiście przekonać o usposobieniu i zamiarach organizacji poznańskiej, przybyłem w pas graniczny bodaj do wsi Samarzewa i przewieziony zostałem jeszcze tego wieczora przez gospodynię domu przez granicę do bodaj jej siostry mieszkającej w Borkowie, wsi już w zaborze pruskim leżącej.

Przespawszy się dobrze, po wczesnym lecz obfitym śniadaniu, zawiozła gospodyni domu swego kuzyna po obywatelsku, zamkniętym powozem w cztery cugowe konie — do swego także kuzyna, bodaj jakiegos p. Hulewicza w okolicy Miłosławia mieszkającego, objaśniając mnie w drodze, iż to jest bardzo poważny obywatel, któren mi może udzielić wszelkich wiadomości. Wzdychając wyszeptła „biedny człowiek“, a gdym ją poprosił o wytłomaczenie tego określnika — jakby wzdrygając się odrzekła, że stosunki rodzinne się zachwiały między małżeństwem i żona opuściła męża.

Gdym się przedstawił p. Hulewiczowi pod właściwym nazwiskiem i poprosił go o poinformowanie o stanie przygotowań powstańczych, gdyż potrzebną mi jest ta wiadomość dla mych prac organizacyjnych, odpowiedział mi dosyć ciepło, ściskając rękę, że konkretnych objaśnień udzielić mi nie może, gdyż ich i sam nie posiada, a co do usposobienia

w organizacji, to panują dwa prądy ścierające się z sobą — jeden gorętszy, życzący sobie przedłużenia walki, lecz jest reprezentowany w organizacji bardzo słabo, drugi niemal rządzący i pociągający za sobą większość zamożniejszych i wybitniejszych ziemian, pragnąłby raz z tą szopką stanowczo zakończyć, dla braku tylko cywilnej odwagi i wskazówki z Hotelu Lambert wstrzymują się z postanowieniem. „Dobrze, żeś pan przybył dzisiaj do mnie, bo możesz się poznać osobiście z tymi panami, zapowiedzieli się bowiem na wieczór, zatem będzie sposobność rozmówienia się z nimi“.

Zapytał mnie w końcu, czy znam niejakiego p. Jełowickiego spod Kujaw, a gdy mu odpowiedział, iż nie znam go osobiście, lecz wiem o jego funkcji delegata powiatu konińskiego dla sprowadzania broni, powiedział mi, iż „i z nim będziesz się mógł pan osobiście poznać.“

W godzinę może po kawie podwieczornej zapowiedzeni goście zaczęli przybywać, a najprzód p. Jełowicki, z którym poznawszy się zawiadomiłem go o zjeździe organizacji powiatu konińskiego, mającym się odbyć u p. Pągowskiego gdzieś w okolicy Ładku w dniu 5 grudnia 1863 r., na którym znajdywać się będę. „Ponieważ na nim mam się dowiedzieć stanowczo, czy pieniądze na zakup broni, po które pojechał osobiście egzekwować Naczelnik powiatu, są ściągnięte i w jakiej ilości, lub nie, i ponieważ ta sprawa musi pana interesować, jako delegata do sprowadzania broni, przeto sądzę, iż bytność pańska na tym zjeździe byłaby wskazaną“. Zgodził się z mym zapatrywaniem i przyrzekł przybyć na zjazd wyznaczony.

Kiedym kończył rozmowę o broni zamówionej w Belgii dla powiatu konińskiego, zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi p. Hulewicza, a między typami naszych ziemian o kulturze wyższej pod względem ubrania i więcej z angielska wyglądających wyróżniało się dwóch jegomości o wyglądzie jeszcze młodym, których ubranie, fryzura i pozy sztywne à la Berlin cuchnęły z daleka jakąś obcą a niezgrabnie przyjętą nawyczką. Przyglądając im się baczniej zauważyłem o pewnej rewerencji, oddawanej im przez zgromadzonych, a kiedym się zapytał p. Jełowickiego obok mnie siedzącego, co zacz są ci faceci z ostatniego żurnala mód berlińskiego, odpowiedział mi szeptem, iż to są wybitni politycy z świty Komitetu wielkopolskiego, mający wielki wpływ w województwie średzkim.

Podszedłszy do gospodarza domu, poprosiłem go o zapoznanie mnie z zgromadzonymi, poczym, zwracając się do zgromadzonych, rzekłem:

„Nazwisko moje, wymienione przez szanownego gospodarza, powiadomiło was, panowie, że przemawia do was nie polityk, nie

dyplomata umiejący w swych wyrażeniach ukryć myśl prawdziwą, lecz żołnierz polski, przybyły chwilowo w wasze strony, aby dowiedzieć się od was szczerą prawdę: co wy w tej ziemi wielkopolskiej dla walki narodowej robicie, a przede wszystkim jakie zamýślacie przyjąć stanowisko z wiosną 1864 roku. Nie ciekawość zwykła przywiodła mnie do was, lecz praca ciężka i niebezpieczna, jaką prowadzę w kraju łez i krwi, kazała mi zbadać usposobienie obywateli w sąsiedniej prowincji, aby pokrzepiony obietnicą waszego współdziałania wrócić nazad do roboty przygotowawczej, albo rozczarowany waszym pesymizmem także wrócić do pracy i z godłem aż do końca pracować. Dodam wam tylko, panowie, iż jak było utopią rozpoczynać powstanie, mając przeciwko sobie lud wiejski nieprzyjaźnie usposobiony, tak dzisiaj wobec zmiany usposobienia tego samego ludu wiejskiego na przyjazne dla powstania byłoby zbrodnią polityczną i narodową zaniechać dalszej walki. Energii i wytrwałości, a krew dotychczas wylana zmarnowaną nie zostanie“.

Rozpoczął się prawdziwy sejmik polski, to jest przelewanie wody z sita do przetaka, ale w tym rozgardiaszu przekonałem się, co mi już mówił gospodarz domu, że dwa prądy walczą z sobą: jeden, prawda że lepszy, ale nie zorganizowany, na krzykach, mówkach i sentymentach się kończący i dający się rządzić drugiemu — liczebnie słabszemu, lecz zorganizowanemu, a przez swych delegatów jednolicie działającemu. Ta reakcja, która od początków 1861 r. ujęła w swe kluby niemal cały ogół szlachecki, rządziła nim bezsprzecznie, zmieniając tylko pozory rządzenia stosownie do okoliczności, a czasami i wiatru nadleciałego z Hotelu Lambert.

Po parogodzinnym szamotaniu, w którym mENERZY tego zebrania, owi delegaci Komitetu, zaznaczyli swą umiejętność w tuszowaniu podług nich niepotrzebnej sprawy, gospodarz domu wyprowadził nas z dalszego kłopotu sejmikowania — poprosiwszy zebranych do salonu, gdzie zgromadzone damy czekają naszego przybycia.

Po takim zapowiedzeniu zapiąwszy mój pożyczony żakiet o kroju angielskim, zostałem wprowadzony przez gospodarza domu do salonu i przedstawiony damom. Wyglądały one modnie — bez zarzutu w ubraniu, a czarny lub ciemny kolor ubrania nadawał im więcej jeszcze powagi. Rozpoczęła się, jak zwykle dla nieznanomego, banalna urywkowa rozmowa, coś o sprawie narodowej, o wątpliwościach i nadziejach na interwencję, jednym słowem — czcza, nudna i głupia, wygłaszana półszepceniem przez manekiny, obleczone przeważnie w czarny kolor i nie uwidaczniające ani wieku, ani temperamentu szepczą-

cych. Jakiś rodzaj współczującej nonszalancji dominował w ich krótkich frazesach, zdawać by się mogło, iż te panie równie zimno i spokojnie à l'anglaise odzywałyby się o Patagonii.

Znudzony i podrażniony tym banalizmem, bo przyzwyczajony przez Polki zaboru moskiewskiego do czegoś podnioslejszego, może byłbym popełnił jakiś niekonwenans i bryznął filipikę, gdy głos oznajmiający kolację ocucił mnie. Zwracając się do równie nienadobnego, lecz mniej mówiącego manekina zapytałem ją, czy mogę jej towarzyszyć do kolacji; oparty palec był mi odpowiedzią przychylną, a wprowadziwszy ją do jadalni i usadziwszy na stołku, grałem rolę niewolnika zgadzającego się i przytwardzającego wszelkim poglądom swej pani. Przecież i to jarzmo przestało mnie tłoczyć z ukończeniem kolacji, a odprowadziwszy ową damę do salonu, odnalazłem damę, która mnie do tego czyścica przywiozła, i oddałem się pod jej rozkazy co do wyjazdu.

Kazała mi być gotowym na jutro o 10-ej rano, gdyż w nocy jazda wobec gęstych patroli w rejonie nadgranicznym może być niebezpieczną. Uchyliłem głowę na znak przyjęcia rozkazu, a gdy mnie zwalniała i odprawiała do mej towarzyszki stołowej, musiałem widocznie zrobić taką minę rozpaczliwą, iż jej złe serce zamiast wybuchem współczucia wybuchnęło taką kaskadą głośnego śmiechu, iż zwrócono na nas uwagę w salonie. Wówczas, kładąc mi rączkę na znak pocieszenia, którą serdecznie pocałowałem, zgodziła się przyjąć nade mną komendę od obecnej chwili.

Uspokojony prawidłową komendą i dobrze wypoczęty mimo zmory suchej i ciemnej prześladującej mnie we śnie, po wczesnym śniadaniu pożegnawszy serdecznie gospodarza, wyjechałem z mą opiekunką i bez żadnego wypadku przybyliśmy w południe do Borkowa.

Oddawszy się do dyspozycji pani z Samarzewa, którą w Borkowie zastałem, zostałem przez nią tegoż wieczora przeflancowany przez pas graniczny, a nie chcąc dłuższym pobytem w Samarzewie narażać i siebie i gospodarzy na możliwe niebezpieczeństwo, zostałem przez mą opiekunkę zawieziony o parę mil w głąb kraju do jakichś jej kuzynów w okolicach Kaźmierza mieszkających, u których przez parę dni przebywałem i od których na ów zjazd 5 grudnia do p. Pągowskiego, w okolicy Łądku mieszkającego, przybyłem.

W chwili mego przybycia, jakkolwiek to godzina była wczesna, zaledwie 10-a rano, zastałem gospodarza z dwoma już przybyłymi na ów zjazd wyznaczony, a nie upłynęło pół godziny czasu, gdy reszta w liczbie czterech czy pięciu przybyła, między którymi przybył także Naczelnik powiatu i p. Jełowicki, i przystąpiono zaraz do narady.

Najprzód zawiadomił Naczelnik powiatu, iż udało mu się od kontrybentów ściągnąć zaległej ofiary narodowej 28.000 rs., że się napracował przy tym więcej i ciężej, niż przez dziesięć lat, a gdy mu wyrażono uznanie i podziękowanie za ten nowy dowód jego patriotyzmu, zapytał zebranych, czy odesłać pieniądze do kasy wojewódzkiej, czy przechować je w powiecie, czy też wysłać na zapłacenie za zakupioną broń w Belgii.

Poprosiłem o głos, a po otrzymaniu takowego przedstawiłem zgromadzonemu, iż kasa wojewódzka na swe wydatki, więcej charakteru administracyjnego, musi posiadać lub postarać się o inne dochody, a nie zasilać się dochodami, czerpanymi z kieszeni powiatowej. Pozostawienie zebranych pieniędzy u siebie — z braku wydatków na utrzymanie rozkwaterowanych żołnierzy okazuje się podczas miesięcy zimowych zbyt kosztownym, bo żołnierze, rozkwaterowani w tym powiecie w liczbie 292 ludzi i 45 koni, z wszelką łatwością mogą być wyżywieni przy użyciu środków przez komisję prowiantową posiadanych, uważając tylko z ścisłością na repartycję, aby wszyscy względnie do obszaru majątkowego do dostawy prowiantów byli pociągani, bez przeciążenia obywateli z okolic przez rozkwaterowanych żołnierzy zajętych. Wobec czego uważałbym za właściwe dopełnić zobowiązania, przyjęte co do zakupionej broni przez powiat koniński, i asygnować delegatowi p. Jełowickiemu 25.000 rs. celem zapłacenia fabryki i przetransportowania broni po drogach zbadanych i temuż wiadomych.

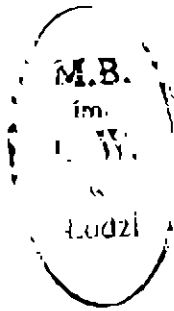
Po krótkiej dyspacie — wniosek przyjęto i zaraz wypłacono p. Jełowickiemu wyasygnowaną kwotę, za którą, może w miesiąc później, nadeszło 800 karabinów z Belgii; zostały one, jak już poprzednio wspomniałem, na barkach związkowych chłopów polskich przez granicę przetransportowane i w domach ich bezpiecznie przechowane — bodaj czy nie do dnia dzisiejszego.

Po krótkiej jeszcze naradzie co do środków przygotowawczych do wiosennego ruchu zbrojnego, zadowoleni z rezultatu narady, przyjęliśmy z ochotą ofiarowane nam przez gospodarza krótkie lecz esencjonalne śniadanie, po ukończeniu którego, na mą propozycję natychmiastowego wyjazdu z powodu bezpieczeństwa — wszyscy się rozjechali z wyjątkiem wnioskodawcy.

Dlaczego ja sam zostałem, tego i dzisiaj wytłumaczyć sobie nie umiem, a ledwie ta fala krwi nie kosztowała mnie drogo. Jak w każdym poważniejszym zdarzeniu Francuzi mówią „cherchez la femme“, tak i w tym wypadku kobieta była przyczyną. Wychowany z dzie-



Józef Oxiński (ok. 1900 r.)



ciństwa zdrowo i czysto, o naturze męskiej, lecz podesłanej nieśmiałością, którą Francuzki określają wyrazem „la timidité“, z usposobienia i częściowym wyrobieniem esteta, przejmowałem się wszelkim pięknem, a kobieta piękna — była dla mnie tym wcieleniem bóstwa, któremu wiernym zostałem po zmrok mego życia. Gdyśmy po radzie przyszedli do śniadania, spotkałem córkę gospodarza domu, a wdowę już, po mym koledze Mieleckim, o tak nadobnych, niemal klasycznych rysach twarzy, tak pełną wdzięku i form skończonych, cechujących nieraz wybrane polskie kobiety, iż pod czarem jej wzroku i dźwięku jej mowy zatraciłem pamięć o rzeczywistości. Gdy wszyscy wyjechali — zostałem w jej towarzystwie pieszcząc ucho i oko czarami, jakie mi z niej spływały. Jak długo to trwało, nie wiem, proszono nas do obiadu, a siedząc obok niej wciągałem z rozkoszą woń, spływającą od tej kobiety. Jednym słowem — byłem zahypnotyzowany.

Ocuciły mnie słowa wyrzeczone przez lokaja: „Moskale na dziedzińcu“. Oprzytomniałem. Powiedziałem imię i nazwisko paszportowe i postanowiłem zostać przy obiedzie, jak już parę razy poprzednio uczyniłem pomyślnie. Sprzeciwiła się temu kobieta — każąc mi wyjść do przyległego salonu, co i zrobiłem. Kazawszy służącemu przynieść mi z przedpokoju palto i czapkę, a następnie sprzątnąć ze stołu moje nakrycie, poprosiłem o spokój, a usłyszawszy brzęk szabel w przedpokoju — wyszedłem do salonu. W chwilę potem weszło do jadalni czterech czy pięciu oficerów, a ja korzystając z hałasu przez nich robionego otworzyłem dubeltowe drzwi na ganek prowadzący do ogrodu. W żardinierze salonowej udało mi się wyjąć z jednego wazonika roślinę jakąś z częścią ziemi, a wsadziwszy do niego pieczęć i małą ilość papierów, jaką przy sobie miałem, a na wierzch roślinę z ziemią, zatarłem o ile możności ślady tego niewinnego pogrzebu i spokojnie usiadłem, oczekując co Bóg ześle.

W parę chwil potem, wśród ożywionej gwary w jadalni, drzwi się od salonu otworzyły i weszła p. Mielecka rozdrażniona, a zbliżywszy się do mnie szeptem wyrzuciła: „Uciekaj, chcą robić rewizję“. Nie było czasu na uspakajanie nerwówki. Odrzekłem: „Wychodzę, a ty wracaj do nich i swym czarem przykuj ich do siebie, żeby zapomnieli o wszystkim i o świecie“.

To powiedziawszy wyszedłem z salonu na werandę, a z niej do ogrodu; idąc spośród klombów ku głównej alei, a następnie nią w stronę parku, dziwiłem się Moskałom, o których się niemal otarłem, dla czego widząc człowieka w lakierkach po śniegu spacerującego nie zaczęli go i nie zatrzymali. Widocznie osłepli, albo potwierdzili

czynnie wyrobiony we mnie nieco później aksjomat: tak się stało, bo tak się stać musiało.

Przeszedłszy park i drogę publiczną, oddzielającą go od lasu, za ledwie zrobiłem w nim ze trzydzieści kroków, hałas i turkot zatrzymały mnie na miejscu obok jakiegoś grubszego drzewa, za które uskoczywszy ujrzałem osiem czy dziesięć fur parokonnych, obsiadłych dwoma lub trzema kozakami, tyłem obróconymi i trzymającymi swe konie na lejcach. W miarę ich przejeżdżania obracałem się około drzewa, nie odejmując ramienia od jego powierzchni. Wszystko się uciszyło, chwilę jeszcze stałem nieporuszony, a moja elegancja lakierkowa przypomniła mi, że to zima, las i śnieg. Zmrok zapadał, a ja z obawy zbłąkania się w nieznanym lesie wróciłem na wylot drogi z parku wychodzącej i słuchałem.

Po jakiejś godzinie czasu nadśluchiwania i wypatrywania, usłyszałem sygnał zborny, a w małe pół godziny później wstępowałem przez werandę do salonu, a następnie do jadalni.

Zastawszy w niej gospodarza domu dziwnie jakoś chmurnego, poprosiłem o coś ciepłego do napicia się, a przy pomocy świecy zrobiłem w salonie odkopanie mego urzędu. Poprosiłem gospodarza o konie i do towarzystwa ekonoma czy coś podobnego, byle roztropnego człowieka, pożegnawszy gospodarza i złożywszy na jego ręce pożegnanie dla pani Mielęckiej, wsiałem do jakiejś nejtyczanki i opuściłem miejsce, w którym sporo wrażeń doznałem.

Późnym już wieczorem, omijając Rychwał i kolonie niemieckie, przybyłem do Królikowa, skąd nazajutrz wieczorem przybyłem bodaj do Małgowa, gdzieś między miasteczkami Koźminkiem a Dobrą leżącego.

W parę dni potem, dawszy wiadomość organizacji i komendom żandarmerii o miejscu swego pobytu, dokąd mają się zgłaszać w razie potrzeby, otrzymałem wiadomość od komendanta Netyna, iż zawiadomiono go, że jakiś młody człowiek z Sieradzkiego wjechał w Kaliskie i wypytuje się o moją osobę, oraz że polecił swojej komendzie, która jest rozdzieloną na cztery kapralstwa i z osobna funkcjonuje na swoich terenach, ażeby w razie spotkania tego człowieka przetrzymali go i zawiadomili go o tym.

Pobyt w tej okolicy przedłużyłem, wyczekując wiadomości od komend wojskowych, gdyż od paru tygodni niemal ciągłego przerzucania się z miejsca na miejsce zatraciwszy łącznik z nimi — nie wiedziałem zgoła nic, co się z nimi dzieje. Otrzymałem wreszcie po paru dniach

wyczekiwania raport komendanta Netyna, w którym mi donosi, iż z zawiadomień odebranych od swych podkomendnych kaprali dowiedział się, iż kapitan Godzimirski, zdawszy przed pięcioma dniami komendę nad oddziałem na porucznika I plutonu, mieszkającego w osadzie leśnej w Nakwasinie, wyjechał tegoż dnia w Poznańskie, i dalej, że kapitan Petz, zasłabłszy ciężko przed trzema dniami i zdawszy także komendę oddziału porucznikowi I plutonu, kwaterującemu u leśniczego na miejscu Petza w Kosalkach, wywieziony gdzieś został furą tegoż dnia przed wieczorem.

Wiadomość ta podziałała na mnie przykro. Niewielką wartość przywiązywałem do kapitana Petza i każdego podoficer pruski mógł go z równą a bodaj lepszą korzyścią zastąpić, i dlatego też w parę godzin później wysłałem ekspedycję do Kosalek, w której, oddając mu z powodu słabości Petza tymczasową komendę nad oddziałem, wezwałem porucznika do jak największej pilności w utrzymaniu spokoju i karności w oddziale, a w potrzebach administracyjnych, a mianowicie co do prowiantowania oddziału, aby porozumiewał się z porucznikiem kawalerii u ekonoma w Godynicach mieszkającym, jako w tych rzeczach więcej obeznanym; w końcu, tymczasową komendę nad I plutonem zaleciłem oddać jednemu z podoficerów plutonu, a jeżeli to będzie żołnierz pruski, to takiemu, i czekać w spokoju mego przybycia.

Po wysłaniu ekspedycji wsiałdłszy na sanki i mając za towarzysza miejscowego leśniczego, z tą okolicą dokładnie obeznanego, późnym już wieczorem przybyłem do Nakwasina, a przeprowadziwszy w ciągu dni kilku rozkwaterowanie żołnierzy kapralstwami po wsiach okolicznych, około połowy grudnia przybyłem do Kosalek, gdzie po porozumieniu się z komendantami plutonów rozlokowawszy tak samo kapralstwami żołnierzy po leśnych osadach i przysiółkach, zakończyłem około 20 grudnia 1863 r. czynną kampanię.

Rozłożone w ten sposób siły powiatów kaliskiego i konińskiego przy dobrej woli organizacji cywilnej w dostawie wiktuałów spożywczych i przy jakiejś takiej kontroli ze strony komendantów plutonowych nad utrzymaniem ładu i karności w swoich komendach — mogły być być z małymi stratami w całości przezimowane. Z końcem marca 1864 r., mając zawiązek ten, wzmocniony przyplływem pozyskanych ludzi, zimowym obcowaniem ujętych dla sprawy, i rachując na pewne siły, jakie się formowały w Poznańskim, można było rozpocząć kampanię 1864 r. bodaj z większą nadzieją powodzenia.

ANEKS A. Z PAPIERÓW PO JÓZEFIE OXIŃSKIM

MARSZE I POTYCZKI 22. I.—11. IV. 1863 ROKU

22. I. punkt zborny Miedzno.

22. I.—29. I. zgromadzanie sił i organizacja wprowadzana w oddziale, postój w lasach rososzyckich, wojsławickich.

29. I. otoczony przez Moskwę, przez generała Bremer dowodzoną, w lasach należących do dóbr Prusinowice; tegoż dnia w nocy przesunięcie się przez obsadzającą Moskwę i marsz przez Rzeczyce, Wolę Zaleską, Przywidz, Wielkopole do Dybowa.

31. I. marsz przez Wólkę Szlachecką, Wólkę Księżą, Lubiszewice, Kraykowice¹⁾, Balin i Budy do Uniejowa.

1, 2, 3. II. postój w Uniejowie i zwiększanie oddziału skutkiem napływu ludzi z miasta i dostawy broni.

3. II. o godz. 11-ej wieczór wskutek nadciągania sił moskiewskich pod gen. Bremer, znacznie przewyższających siły powstańcze, marsz z Uniejowa przez Boczki, Grocholice, Truskawiec, Bałdrzychów, kolonię Feliksów, Małyń, Przyrownicę, Rzepiszew do Szadku; następnie po parogodzinym odpoczynku marsz przez Szadkowiec, Wolę Wojsławską, Suchoczasy, Janiszewice do Zduńskiej Woli, gdzie chwilowo spoczawszy — furmankami przez Poręby, kolonię Ogrodziska, Świerzyny, Zapolice, Branice, Ligotę Kalinowską i Podgórze do Widawy. Tym sposobem zrobiwszy w przeciągu 36 godzin marsz jedenastomilowy odbiłem się z rejonu wojsk moskiewskich wyszłych z Kalisza i Łęczycy.

6. II. wskutek nadchodzących sił moskiewskich z Sieradza i Wielunia, pod dowództwem pułkownika artylerii Smirnow, rzuciłem się w lasy (ciągnące się aż do lasów świętokrzyskich) przez Rogoźno, Rudę, Chrząstawę, Lubiec, Magdalenów, Kluki do Kaszewic, gdzie mając fryszerki żelaza zająłem się kuciem kos i grotów do lanc, a zarazem miałem możność w chwili parcia Moskwy w przeważającej sile — bądź rzucić się na północ w lasy rawskie, lub też okrążywszy Piotrków mogłem się rzucić tą samą gałęzią lasów w lasy opoczyńskie i z nimi łączące się już lasy krakowskie. Oddział wzrastał się liczebnie i co do wykształcenia, dawał możność spotkania się z przeważającymi nawet siłami, jedna tylko niedogodność, brak karabinów, nie pozwalała się mierzyć w otwartym polu.

¹⁾ Nazwa zniekształcona, przyp. wyd.

7. II. wskutek otrzymanego rozkazu od Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, ażeby z swoim oddziałem operować ponad granicą Królestwa od strony pruskiej w powiecie wieluńskim, gdzie miała nadejść broń regularna tak upragniona a tak oddawna oczekiwana, wyruszyłem z Kaszewic z oddziałem posiadającym 92 sztuki broni palnej, bądź dubeltówki bądź pojedynki, w liczbie których było kilkanaście sztucerów myśliwskich bijących na większy dystans, z 102 kosynierami i półszwadronem kawalerii w liczbie 52 koni nędznie uzbrojonych, gdyż za całą broń była kiepska lanca i 16 ludzi uzbrojonych w pałasze i dubeltówki, stanowiących pluton flankierski a zarazem podczas marszu służbę rozjazdową, — przeszedłem Budy Dżbankowskie, Dąbrowę Rusiecką, Głuchów i stanąłem w Konopnicy. Moskwa donoszona doskonale o wszelkich mych poruszeniach przez kochaną szlachtę, odznaczającą się szczególnie podczas pierwszych chwil powstania patriotyzmem, posunęła swe siły z Sieradza po prawej stronie Warty i z Kalisza po lewej, chcąc się raz pozbyć wichryciela zakłócającego im spokój wygodny. Lecz kolumna sieradzka natrafiła na most zupełnie zniszczony i zmuszona została przespacerować się parę mil nazad, kaliska zaś bardzo chłodno maszerując przybyła do Konopnicy w chwili, kiedy oddział spokojnie o pięć mil odpoczywał, przeszedłszy przez Stolec, Broszki, Uników, Ożarów i stanąwszy w Klasakach, skąd po 24-godzinnym wypoczynku rzuciłem się na północ w lasy brąszewickie i klonowskie (łącznie się jedną gałęzią z lasami sieradzkimi a następnie piotrkowskimi, z drugiej strony z lasami leżącymi po lewej stronie Warty, a rozciągającymi się od Praszki, Bolesławca pod Częstochową i dalej w Krakowskie) — i przeszedłszy Młynisko, Łyskornię, Walichnowy, Pichlice, zatrzymałem oddział we wsi Ostrycharze. Poruszenia moje szybkie i nieustanne musiały wychodzić z krytycznego położenia, w jakim zostawało powstanie województwa kaliskiego. Jeden mój oddział figurujący na całej przestrzeni województwa musiał ściągać ze wszech stron siły moskiewskie; za słaby do mierzenia się z pojedynczymi nawet kolumnami, całą swą wyższość miał w swej lotności i bajeczności sił, o których Moskale nie zupełnie wiedzieli.

10. II. w lasach tych postój oddziału trwał przez ciąg dni pięciu, skąd 15. II. przez Gąłki przybyłem do Jasionny. Przybywszy, zostałem zawiadomiony skutkiem przejętej depeszy od pułkownika Pomarancow do generała Bremer, że ma wiadomość o moich ruchach, lecz nie czując się w sile atakowania, podaje propozycję łącznego działania wojsk moskiewskich z Kalisza, Sieradza i Wielunia. Cofnąłem się przeto

nazad w lasy klonowskie, chcąc w razie parcia mieć do czynienia z jedną kolumną, niżeli być brany z trzech stron.

18. II. wysłany rekonesans z mej strony spotkał się pierwszy raz z kozakami patrolującymi, śledzącymi me ruchy. Starł się z nim, w którym to starciu jeden z naszej strony dostał się do niewoli; badany wypowiedział, że jest z oddziału, służącego jako awangarda dla całego oddziału i jest w sile 700 ludzi, Moskwa słusznie przeto rachowała, że cały oddział powinien wynosić około 2000 ludzi.

19. II. otrzymałem rozkaz od Naczelnika sił zbrojnych woj. kaliskiego obywatela Rudzkiego, żebym podciągnął w okolice Praszki, gdzie miałem przejąć transport broni tak piechotnej jako i kawalerijskiej. Pociągnąłem przeto przez Błota do Kuźnicy, a następnie 21. II. przez Dubisze, Bolki, Holendry do Biadaszek.

22. II. o godzinie 6-jej wieczorem zawiadomiony zostałem, że transport spodziewanej broni nadejdzie dopiero w pierwszych dniach marca; wróciłem przeto, udałem się do Kuźnicy Grabowskiej, skąd po dwóch dniach odpoczynku, widząc że jedynie własnemu sprytowi jestem zostawiony, że nie myślą ani o dostarczeniu mi broni, ani o dostarczeniu jakiego ubrania dla żołnierzy, udałem się przez Głuszynę, Brzeziny, Wrząca, Takomyśl, Michałów i Cienię i przybyłem do Opatówka.

25. II. potyczka w Opatówku.

26. II. potyczka pod Kuźnicą Grabowską. Marsz dla obejścia prawego skrzydła kolumny moskiewskiej przez osadę Bednarze, Jajaki, Jelenie do Skrzynek.

27. II. przez Jelenie, Czajków, Błota do Robaszewa, skąd po odpoczynku kilkogodzinnym 28. II. dalej w marsz, chcąc się wydostać z rejonu moskiewskich sił, przez Nową Wieś, Pyszków, Będków do Ligoty Burzenińskiej. Nie wiedziałem wtenczas, dlaczego ze wszech stron Moskwa mnie otacza, gdyż szybkość mych poruszeń nie pozwalała tym samym kolumnom moskiewskim, które się ze mną potykały pod Kuźnicą, na drugi dzień wziąć mnie znowu z trzech stron pod Wygiełzowem. Dopiero śmierć Naczelnika sił zbrojnych woj. kaliskiego od tej samej zdrady, przez szlachtę kaliską uknutej piekielnie pod przewodnictwem Bogatki, posiadającego całe zaufanie ob. Rudzkiego, dała mi poznać, że o wszystkich ruchach Moskwa wiedząc doskonale, kolumnami coraz świeższymi zajmowała stanowiska, przez które miałem przechodzić.

Dowiedziawszy się o poruszeniach Moskwy z Piotrkowa, Wielunia i Sieradza, udałem się przez Ligotę Kalinowską, Wężykową Wolę do lasów Osiny, gdzie przenocowawszy i posiliwszy oddział, rzuciłem się w linię lasów, rozciągających się na północ powiatu piotrkowskiego i łączących się po prawej stronie Pilicy z lasami opoczyńskimi.

1. III. przechodząc przez Chajczyny spotkałem się z Moskwą i stąd potyczka we wsi, następnie cofnięcie się do folwarku Jawór, skąd przechód do Wygiełzowa, następnego dnia potyczka pod Pruszkowem, a następnie Brodnia.

Przychodziło się potykać z dziesięćkroć silniejszym nieprzyjacielem. W potyczce pod Kuźnicą Grabowską siły moskiewskie wprowadzone w ogień wynosiły: kolumna kaliska — dwie roty strzeleckie i jedna sotnia kozaków, kolumna sieradzka — trzy roty liniowe i jedna sotnia kozaków, kolumna wieluńska — dwie roty liniowe, jedna sotnia kozaków i 50 „objezczyków“ konnych. Straty miałem w tej potyczce 9 zabitych, 12 rannych i 3 niepoddających się spalonych wraz z chałupą, Moskwa liczyła zabitych 27 kozaków i 16 rannych, a z piechoty zabitych 7 i 19 rannych; stosunek zabitych Moskali z kawalerii do piechoty, tak nienaturalny, przypisywać trzeba służbie flankierskiej spełnianej przez kozaków, których broń nasza brała, w piechocie zaś broń nasza, nie odpowiadająca jej wcale, chyba w zbyt bliskim dystansie, nie mogła czynić szkód dotkliwszych. Pod Wygiełzowem — trzy roty piechoty liniowej i półtorej sotni kozaków kolumna piotrkowska, dwie roty (jedna strzelecka, jedna liniowa), jedna sotnia kozaków i pół sotni „objezczyków“ kolumna wieluńska; kolumna sieradzka nie miała udziału w ogniu, stała jako rezerwa złożona z dwóch rot piechoty i jednej sotni kozaków. Straty: 7 kozaków zabitych 9 rannych, 11 piechoty zabitych, w liczbie których 7 otrutych, i 13 rannych; straty nasze: 6 zabitych i 9 rannych. Brodnia — kolumna wieluńska i w rezerwie kolumna piotrkowska. Straty: 3 piechoty zabitych, 7 rannych, 2 kozaków zabitych, 5 rannych; z naszej strony 3 rannych.

Oddział przeto liczebnie uszczuplony potrzebował wzmocnienia, a przede wszystkim brak zupełnie amunicji nakazywał przyjąć za zasadę choć chwilowo system odporny.

3. III. wyruszyłem przez Starą Jadwichnę, Nową Jadwichnę, kolonię Raszelki, Rożdżały, Szczawno do szadkowickich lasów, gdzie przebywałem przez dni pięć, zajmując się ściąganiem ludzi, broni i mustrą nowo przybyłych.

9. *III.* wyruszyłem przez Stryje Księżę, Poleszyn, Orpelów, Mogilno do Huty Dłutowskiej z zamiarem przygotowania sobie w tujejszych fryszerkach kos i grotów do lanc, lecz nagabany po drodze przez zachodzącą mi drogę kolumnę moskiewską, zwróciłem się w stronę Częstochowy przez Dłutów, Wadlew, Gremboszów i przybyłem do lasów należących do Woli Kruszyńskiej, łączących się z lasami należącymi do dóbr Grocholice, Bełchatów i Szczerców.

Postój mój w Woli Kruszyńskiej od *12. III.* do *18. III.* obróciłem na skompletowanie oddziału, jako też na przeprowadzenie organizacji w powiecie piotrkowskim celem poruszenia znaczniejszych sił w pole.

18. III. z Woli Kruszyńskiej wyruszyłem przez Wolę Mikorską, Domiechowice, kolonię Ludwików, Oleśnik do Rzasawy, gdzie przedstawszy 48 godzin, *21. III.* wyruszyłem na południe w stronę Częstochowy z przyczyny tropienia mnie przez Moskwę, a bardziej z przyczyny słabości oddziału, nie pozwalającego prócz podjazdowej potyczki z kozakami mierzyć się z jakąkolwiek poważniejszą siłą. Udałem się przeto przez Wolę Grzymaliną, Ruszczyń do Koźniewic, gdzie po 24-godzinnym postoju *23. III.* przez Barczkowice, Szczukocice, Krzemieniewice, Bartodzieje do Podstola, tam stałem do dnia *29. III.*, następnie przez Dobrzenice do Bąkowej Góry, gdzie nazajutrz przeprawivszy się na prawy brzeg Pilicy, ciągnąłem przez Nosalewice, Policzko, Wymysłów do Dobromierza.

2. *IV.* wyruszyłem z Dobromierza przez Mrowicze, Bobrowniki, gdzie przerzuciłem się na lewy brzeg Pilicy, następnie przez Rogi do Maksymowa, gdzie przebywszy 48 godzin wyruszyłem *5. IV.* przez Hutę Drewnianą, Rzabice¹⁾, Kobiele do Przybyszowa, następnie *6. IV.* przez Orzechówek, Elźbietów, Kietlin do Pławna.

6. *IV.* przez Widzów, Jacków, Kruszyne, Cykarzew do Rybna.

7. *IV.* postój w Rybnie.

8. *IV.* przez Łobodno do Zagórza (powieszenie Lemańskiego).

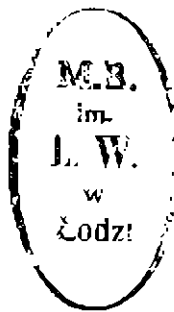
8. *IV.* przez Mokrą, Rembielice Królewskie do Dankowa.

9. *IV.* na lewy brzeg Warty przez Brzoski, Zimną Wodę do kolonii Napoleon.

10. *IV.* przez Parzymiechy, Kleśniska, Młyny do Kuźnicy.

11. *IV.* z Kuźnicy do Kuźniczki. Potyczka pod Praszką, 10 naszych zabitych, 28 Moskali.

¹⁾ Nazwa zniekształcona — może być Zrąbiec v. Rząbiec lub Żabce, przyp. wyd.



Daty			Wyszczególnienie służby jaką odbywał		Uwagi
Rok	Miesiąc	Dzień	Przez jakiego Oficera w stopniu i przelicz służby	Przez którą Historię Obżerania w jakich się znajdował	
1864	Styczeń	13		przez Majora Józefa Oxińskiego	
1864	Styczeń	14		id. " "	
1864	Styczeń	15		id. " "	
1864	Styczeń	16		id. " "	
1864	Styczeń	17		id. " "	
1864	Styczeń	18		id. " "	
1864	Styczeń	19		id. " "	
1864	Styczeń	20		id. " "	
1864	Styczeń	21		id. " "	
1864	Styczeń	22		id. " "	
			DEKORACJE	RANY	
Uwaga W wojsku Polskiem wszelkie oznaki honorowe były zniszczone					
ZMIANY KORPUSÓW lub ostateczne twornienie od służby dla jakich powodów Uwaga W czasie służby, wskazać miejsce oraz i jej przyczynę.			Awansowany przez Władzę państwa dnia 23.07.1864 na wyższy stopień porucznika w służbie w 1. Pułku Strzelców w dniu 23.07.1864 w odznaki i odznaki do służby w 1. Pułku Strzelców		
			Powyższy stan służby zatwierdza Dnia w _____ dnia 23.07.1864 w Warszawie Ministerstwo Wojny przez J. H. W. W. W. Gen. Wojny w garnizonie Królewski J. H. W. W. W. <i>Józef Oxiński</i>		



Stan służby Józefa Oxińskiego



ANEKS B. STAN SŁUŻBY JÓZEFA OXIŃSKIEGO

N^o 131. STAN SŁUŻBY Obywatela Oxińskiego Józefa, Majora Piechoty w wojsku Powstańczem Polskiem — poprzednio Ucznia Szkoły Wojskowej Polskiej w Genui i Cuneo następnie Urzędnika Organizacyi przedpowstańczej od 28 Września 1862 r. do 14 Stycznia 1863 roku.

RODOWÓD. Urodził się dnia 19 miesiąca Marca 1840 roku w Płocku, Powiecie Płockim, Województwie Płockiem, z Ojca Tommasza i Matki Ludwiki z domu Szultzów.

DATY — Roku Miesiąca Dnia. WYSZCZEGÓLNIENIE SŁUŻBY JAKĄ ODBYWAŁ — Broń, Pułk, Oddział, w których służył, Stopnie, awanse i przerwa służby, Potyczki, Bitwy, Oblężenia w jakich się znajdował. UWAGI.

1861 Grudnia 16 — Wszedł do szkoły Wojskowej Polskiej w Genui i pozostawał do czasu rozwiązania jej w Cuneo, to jest do dnia 30 Sierpnia 1862 roku.

1863 Stycznia 14 — Mianowany Porucznikiem Piechoty z przeznaczeniem na Dowódcę Kolumny ruchomej w Województwie Kalskiem. W Potyczkach:

1863 Lutego 25 — w Opatówku,

1863 Lutego 26 — pod Kuźnicą Grabowską,

1863 Marca 1 — pod Wygiełzowem,

1863 Marca 2 — pod Brodnią,

1863 Kwietnia 11 — pod Praszka.

1863 Kwietnia 27 — Mianowany Kapitanem z przeznaczeniem na dowódcę sił zbrojnych P-tu Piotrkowskiego.

1863 Maja 8 — pod Rychłolicami.

1863 Maja 24 — Mianowany Majorem.

1863 Maja 25 — pod Koniecpolem.

1863 Maja 27 — Przeznaczony na Dowódcę sił zbrojnych P-tów Piotrkowskiego i Wieluńskiego.

1863 Maja 28 — pod Kruszyną,

1863 Czerwca 27 — pod Przedborzem,

1863 Czerwca 28 — pod Trzepnicą,

1863 Czerwca 29 — pod Skotnikami.

1863 Sierpnia 5 — pod Łaskiem,

1863 Sierpnia 20 — pod Złoczewem,

1863 Sierpnia 24 — pod Brodnią 2-gi raz,

- 1863 Sierpnia 24 — pod Flaszczyną Wola,
1863 Sierpnia 25 — pod Wrzeszczewicami,
1863 Sierpnia 25 — pod Sędziejewicami.
1863 Października 1 — pod Dobrą,
1863 Października 28 — pod Koźminkiem,
1863 Listopada 7 — pod Strachanowem,
1863 Listopada 8 — pod Wartą,
1863 Listopada 10 — pod Brąszewicami.
1864 Lutego 29 — W interesie służbowym udał się do Xięstwa
Poznańskiego.
1864 Kwietnia 11 — Nominowany Organizatorem Wojskowym
Województwa Szredzkiego.

DEKORACJE. Uwaga: W wojsku Polskiem wszelkie
oznaki honorowe były zniesione.

RANY. — — —

ZMIANY KORPUSÓW lub ostateczne uwolnienie od
służby, dla jakich powodów. Uwaga: W razie śmierci,
wskazać miejsce, datę i jej przyczynę. Aresztowany przez
Władze Pruskie dnia 23 Kwietnia 1864 r., uwięziony w Poznaniu a
następnie w Kościanie — w dniu 28 Listopada 1864 uwolniony i
odstawiony do granicy Belgijskiej.

Dan w Paryżu dnia 28 m-ca Grudnia 1864.

Powyzszy stan służby zatwierdza: b. Dyrektor Wydziału
Wojny przy R-ie N-m w Warszawie, Agent Wojskowy za granicami
kraju, Pułkownik Artylleryi Eug. Dębiński m. p. (Pieczęć okrągła
z trójdzielnyim godłem Państwa Polskiego, uwieńczonym koroną,
w otoku napis: Rząd Narodowy — Agent Wojskowy).

(Dalej tekst stanu służby w języku francuskim, przyp. wyd.).

ANEKS C. INDEKSY

OSOBY

- Asnyk 326
- Babski Konstanty (Oxiński) 168
- Bellegarde gen. 297, 304, 337
- Bergman 164, 200, 201
- Biechoński Wojciech 225, 326
- Biernacki Czesław 232
- Biernacki Kazimierz 174, 175,
199, 201, 295, 298
- Blumer 265
- Błęszyński rtm. 314
- Bobrowski Stefan 177
- Bocheński Roman 283
- Bocheński Tadeusz 254
- Bogatko 200, 220, 232, 342, 366
- Bogusławski mjr. 278
- Bończa 256, 257, 258, 259, 261,
263, 277, 280
- Bremer (Brunner) gen. 167, 195,
196, 200, 251, 364, 365
- Bremesen ppłk. 322
- Brzozowski (Bzowski) 264
- Budberg 232
- Callier 288, 289
- Chabriolle kpt. 275, 277
- Chłonowski Teofil 188
- Chmieleński Zygmunt 275,
284, 294
- Chmieliński Ignacy 270, 326
- Cieszkowski 228, 229, 231, 243,
244, 245
- Czachowski 227, 256
- Czarnocki Stefan 209
- Czyngery (Czengery) gen. 274,
275, 277, 280, 281, 282
- Dąbski 195
- Dębiński (Kot) 232, 326
- Drohomirecki 202, 203
- Drzewiecki 233
- Dufour 203
- Działyński 226, 290
- Dzianot 277
- Englert mjr. 269
- Fidler 212
- Frankowski Stanisław 289
- Fuduklej 212
- Galecki 165, 173, 175, 248
- Garibaldi 290, 316
- Giller Agaton 268, 283, 284,
288, 289, 321
- Glötz 293, 294, 313
- Godzimirski kpt. 323, 328, 329,
330, 351, 363
- Goldman 197
- Grabehr. (Grabbertm.) 316, 318,
319
- Grabińska 241
- Grabowski 225
- Grosztern Wincenty kpt. 197,
326, 328, 329, 330, 337, 338,
339, 351, 352
- Gutry 226
- Hopfenblum (Hofenblum) 197,
270
- Hulewicz 356, 357
- Iskra 294
- Jabłkowski 172, 173, 175, 176,
177
- Jaskiewicz ks. 235, 236
- Jełowicki 357, 359, 360

- Jezierski 347
 Jomini 297, 298
 Jurgens Edward 164
 Kaczkowski 193
 Karlsbad 197
 Katkow 245
 Keller 221, 224
 Kiliński 183
 Kinel Ignacy por. 329
 Klemczyński 326, 351, 354
 Kmita 248
 Kobyłański 326
 Kołaczkowski 225
 Konstanty Mikołajewicz w. ks.
 270, 318
 Kopernicki Izidor płk. 203, 284,
 321, 322, 323, 327, 330,
 332, 339
 Korytkowski 323, 328, 330,
 336, 352
 Kosmowski (Krosnowski) Jan
 189, 190, 201, 214
 Kostenda (Kostanda) gen. 167,
 292, 337
 Kościuszko 265
 Kotnowski 215
 Kozarski 206
 Koźmian 225, 226
 Kramsztyk 197
 Krasnokucki gen. 248, 251, 256
 Krzywda 269
 Kurnatowski 325, 326, 328, 330,
 335, 343, 344, 345, 346,
 347, 351
 Langiewicz 220, 224, 225, 227
 Lemański 229, 230, 231, 232,
 233, 234, 235, 368
 Leszczyński 266
 Lewinson 197
 Lutosławski 325
 Lüttich Aleksander 163, 164,
 172, 175, 177, 178, 181, 182,
 186, 187, 188, 189, 193, 201,
 228, 249, 250, 251, 253, 254,
 260, 261, 277, 278, 280, 282
 Łaszczyński 200
 Maciejowski Ignacy (Sewer) 225
 Majewski 268
 Majzels 197
 Maks ks. (Maksymilian Tarejwa)
 354, 355, 356
 Maliszewski rtm. 251, 252,
 261, 264, 267
 Maltzan 232
 Marchwicki 268
 Marczewski Witold 163, 174
 Masalscy 278
 Matuszewicz płk. 285, 292, 295,
 302, 303, 316, 323
 Maźniewski Jan („Maza“) 179,
 180, 181, 182, 184, 186, 187,
 188, 206, 229, 230, 234, 235,
 239, 242, 243, 244, 245, 263
 Mączyński (Miączyński) 239,
 240
 Mielęcka 361, 362
 Mielęcki 227, 361
 Mierosławski 224, 268, 269,
 270
 Mikołaj I 265
 Mikulski 267
 Miłkowski rtm. 294, 299
 Miśkiewicz mjr. 307, 308, 309,
 311, 313, 323
 Mniewski 307
 Mniewski rtm. 316, 317
 Mosakowski 226
 Muchanow 191

- Napoleon III 226, 267
 Narzyski 326
 Nencki Aleksander 226
 Netyn 326, 327, 336, 351, 362,
 363
 Neugebauer 200
 Niegolewski 226
 Nielubowicz dr 264
 Nowakowski 246
 Nowicki 323, 328, 347, 348,
 349, 350
 Nullo płk. 269

 Okoniewski 316, 317
 Olszowscy 245
 Orłowski dr 264
 Ostrowski hr. 167, 266
 Otocki podof. 236, 263

 Padlewski Zygmunt 177, 228
 Parczewski 228, 248
 Pagowski 357, 359
 Pagowski por. 303, 304, 306,
 307, 308, 311
 Petz 323, 328, 329, 349, 350,
 363
 Pini płk. 200, 287, 291, 295,
 302, 303, 314, 317, 319, 320
 Pisarenko mjr. 249

 Poleski mjr. 303, 304
 Pomarancow (Pomarancew) gen.
 167, 193, 240, 365
 Potiebnia 168
 Potocki hr. 259
 Przybyłowicz 281, 282, 329
 Przybyszewski 325
 Pułaski Kazimierz 316
 Raczyński hr. 211
 Radiu (Raden) gen. 167, 274,
 281, 282, 322

 Rubach (Baruch?) 196
 Rucki (Rudzki) Bronisław 199,
 200, 201, 207, 209, 220, 232,
 248, 288, 366
 Rudowski 269
 Ruprecht 268
 Rutkowski 241
 Rybicki 224, 227 229

 Sadyk-pasza 292, 295, 311
 Sapięha Adam 226
 Schwartz Bronisław 178
 Siemieński Szymon 303
 Siemiński 245
 Siemiński Władysław 225
 Siemiński Zygmunt 225
 Skotnicki 203
 Skrzyński 214, 219
 Słupski płk. 302, 303
 Smirnow płk. 219, 364
 Szałowski kpt. 168
 Strzelecki mjr. 226, 248, 256
 Szachowski Stanisław 202, 203,
 228, 240, 245, 248, 270, 288,
 289, 304, 323, 326, 327, 328
 Szembek 202
 Szwarc podof. 279

 Tabaczyński kpt. 275, 277
 Taczanowski gen. 195, 200, 226,
 228, 248, 251, 256, 266, 283,
 284, 286, 287, 288, 289, 290,
 290, 291, 292, 293, 295, 296,
 298, 301, 302, 303, 304, 305,
 306, 307, 308, 310, 312, 313,
 314, 315, 318, 319, 320, 321,
 322, 324, 329, 340, 347, 349
 Tarasienko ppłk. 297, 298, 301
 Tarnowski Jan 248
 Toll gen. 197

- Traugutt 322, 323, 326, 327,
328, 331, 332, 333, 343, 350,
353, 364
Trepka Kazimierz 223
Trepka Włodzimierz 220
Urbanowski Napoleon 228, 248,
249
Urusow księżę 314, 318
Walewski (Stanisław) 165, 172,
173
Walewski Wincenty 252, 253,
254, 261, 279, 283
Wasilewski Gustaw 195, 201,
202, 203
Waszkowski 326
Wielopolski 247, 259, 270
Wieruski 202
Witkowski 197
Witmajer hr. (Witmer por.) 314,
318
Zaborowski (Pacyna) 269, 274,
275, 277, 278, 280
Zamoyski Władysław 226
Zaremba Józef por. (Zaremba
kpt.) 252, 315, 317, 319, 320
Zdanowicz dr 271, 272, 273
Żuliński 268

MIEJSCOWOŚCI

- Bachorzyn 245
Balin 364
Bałdrzychów 364
Barczkowice 368
Bartodzieje 368
Bąkowa Góra 368
Bednarze 366
Bełchatów 192, 193, 198, 208,
368
Berezyna (rz.) 176
Berlin 356, 357
Bębnów 239
Będków 366
Będzechów 306, 337, 340, 345
Biadaszki 366
Biskupice 352
Błaszki 164, 166, 292, 294, 305,
313, 318, 341, 347
Błoto 350, 366
Bobrowniki 368
Boczki 364
Bolesławiec 210, 211, 365
Bolki 366
Borkowo 356, 359
Branica 364
Brąszewice 349, 350
Brodnia (pow. łaski) 223, 313,
367
Brodnia (pow. turecki) 307, 318
Broszcin 243
Brozki 365
Brudzew 305, 335, 343, 344,
345, 346
Brzeziny 366
Brzoski 368
Budy Dzbankowskie 364, 365
Burzenin 210, 220
Bydgoszcz 356
Chajczyzny 367
Choszczew(a) 195, 308, 310
Cienia 366

Ciepielów 306, 336, 345, 351
Cisów 305
Chlewo 307
Chrzastawa 364
Chrzastów 259, 260, 261, 262,
263
Chwałęcice 306
Cuneo 163, 197, 203, 270, 328,
329
Cykarzew 368
Czajków 211, 366
Czastary 210
Czerna (rz.) 333
Częstochowa 166, 167, 229, 241,
265, 272, 316, 322, 364, 368
Człopy 335
Danków 234, 368
Dąbrowa 239
Dąbrowa Rusiecka 365
Dłutów 368
Dobra 213, 335, 336, 342, 362
Dobromierz 368
Dobroń 224
Dobrzeńce 368
Domiechowice 368
Drezno 326, 350
Dubisze 366
Dybów 364
Dziadowice 305, 306
Działoszyn 249
Elżbietów 368
Feliksów 364
Gałki 349, 350, 365
Genua 163, 175, 197, 203, 328
Gidle 228
Głuchów 365
Głuszyna 366
Godynice 349, 350, 363

Gołędzin 218, 256
Gaworków (Gowarzew?) 228
Góra 343, 347
Grabienice 352
Grabno 220
Gremboszów 368
Grocholice 364, 368
Grochowiska 227
Holendry 366
Huta Dłutowska 368
Huta DREWNIANA 368
Ignacew 248, 256
Iwanowice 329, 347
Jabłonna 178
Jacków 368
Jadwichna Nowa 367
Jadwichna Stara 367
Jajaki 366
Janiszewice 364
Jaroszewice 338, 340, 341
Jasionna 365
Jastrzębiec 199, 203, 240
Jawor 220, 367
Jelenie 366
Kalisz 163, 164, 165, 167, 171,
177, 185, 195, 198, 203, 209,
210, 212, 291, 304, 305, 306,
318, 336, 337, 348, 365
Kamińsk 273, 274
Kamionka 297, 302
Kaszewice 198, 364, 365
Kazimierz Biskupi 359
Kępno 164
Kielce 274, 282
Kietlin 368
Klasaki 365
Kleszczów 240
Kleśńska 368

- Klonów (Klonowa) 207, 208,
 212, 213, 218, 249
 Kluczesko 271
 Kluczyce 263
 Kluki 364
 Kłobuck 231, 233, 242
 Kłomnice 228, 229, 265
 Kobbiele 368
 Kocieszów 223, 224
 Koło 169, 203, 248, 305, 346,
 354
 Koniecpól 179, 247, 259, 264,
 265, 267, 274
 Konin 167, 291, 337, 346, 354,
 355
 Konopnica, 203, 204, 205, 206,
 207, 208, 249, 365
 Konstantynów 208
 Korytno 277
 Kosałki (Kosatka?) 350, 363
 Kościelna (Kościelny Słomów
 albo Kościelnica?) 305, 343,
 347
 Koźminek 203, 213, 305, 306,
 336, 337, 344, 351, 362
 Koźniewice 368
 Kraków 225, 226, 233, 267,
 269, 286, 326, 328
 Kraykowice(?) 364
 Królików 338, 362
 Kruszyna 265, 267, 321, 322,
 323, 332, 347, 350, 368
 Krzemieniewice 368
 Krzeszowice 226
 Krzykawka 264
 Kutno 163, 172
 Kuźnica 366
 Kuźnica Grabowska 211, 213,
 214, 215, 219, 223, 253, 349,
 366, 367, 368
 Kuźniczka 234, 368
 Łąd 354, 355
 Łądek 292, 357, 359
 Leśniaki (Oleś?) 245
 Liège 164
 Ligota Burzenińska 366
 Ligota Kalinowska 364, 367
 Liswarta (rz.) 241
 Lubiec 249, 364
 Lubień 280
 Lubiszewice 364
 Ludwików 368
 Lutomiersk 175, 201
 Łask 166, 191, 198, 201, 202,
 210, 221, 223, 251, 284, 292,
 293, 310
 Łazy 167
 Łęczycza 167, 198, 203, 364
 Łobodno 228, 368
 Łódź 191, 196, 322
 Łubna 208
 Łyskornia 365
 Maciejowice 176
 Magdalenów 364
 Maksymów 368
 Malanów 306
 Maluszyn 228, 266, 269, 274,
 278, 282
 Małgów 362
 Małków 343
 Małogoszcz 275
 Małyń 364
 Maszew 335
 Maszynty (Mielcuchy?) 211
 Michałów 211, 366
 Miechów 269
 Miedzno 176, 178, 192, 364
 Mierzączka 224

Mikołajewice 208
 Miłosław 356
 Młyniska 365
 Młyny 335, 344, 368
 Mogilno 224, 368
 Mokra 368
 Mrowicze 368

 Nakwasin 363
 Napoleon (kolonia) 368
 Niechmirów 245, 296, 300
 Niemojew 210
 Nieszawa 318
 Nosalewice 368
 Nowa Wieś 220, 227, 366

 Obertyn 248
 Ochotnik 277
 Ogrodziska 364
 Okołowice 259, 260
 Oleś (Leśniaki?) 245
 Oleśnik 368
 Opatówek 171, 212, 351, 366
 Opoczno 280
 Orpelów 368
 Orzechówek 368
 Osiny 367
 Ostrołęka 176
 Ostrów 164
 Ostrycharze 211, 365
 Osuchów 336
 Ozorków 202
 Ożarów 365

 Pabianice 166
 Pajęczno 241, 242, 245, 246, 292
 Paryż 196, 268
 Parzymiechy 368
 Pęcherzew 304, 305
 Pichlice 365
 Piekary 335

 Pilica (rz.) 224, 226, 227, 228,
 250, 251, 259, 260, 261, 266,
 267, 272, 274, 275, 276, 280,
 367, 368
 Piotrków 165, 166, 167, 219,
 220, 223, 224, 265, 273, 274,
 280, 291, 322, 364, 367
 Płaskowice 282
 Pławno 228, 251, 265, 368
 Płoszów 272
 Poddębice 175, 196
 Podgórze 364
 Podkowa 239
 Podstole 277, 368
 Poleszyn 368
 Policzko 368
 Poprężniki 307
 Poręby 364
 Praszka 210, 211, 234, 236, 269,
 365, 368
 Proсна (rz.) 163
 Prusinowice 195, 196, 364
 Pruszków 223, 367
 Przedbórz 228, 247, 277, 280,
 281, 282
 Przemyśl 264
 Przewóz 280
 Przyborów 272
 Przybyszów 368
 Przyrownica 364
 Przyrów 249, 265
 Przywidz 364
 Psary 202, 203, 204
 Pyszków 366
 Pyzdry 248

 Raclawice 265
 Radomsko 166, 228, 265, 273,
 274, 279, 280, 322
 Radoszewice 228, 244, 251

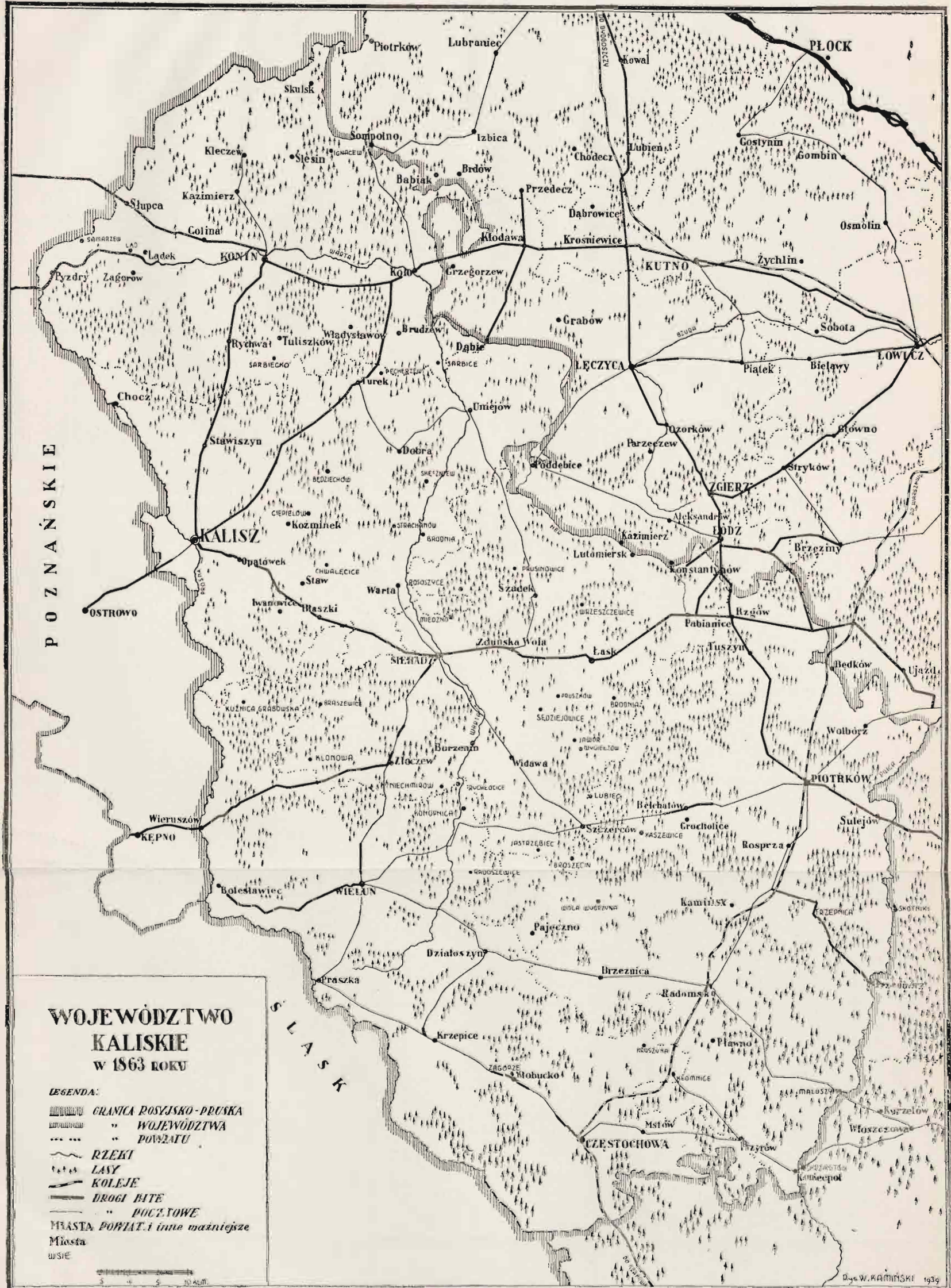
Ralewice 195
 Raszelki 367
 Rembielice Królewskie 368
 Robaszew 366
 Rogi 368
 Rogów 305
 Rogoźno 364
 Rożdżały 367
 Ruda 364
 Rudniki 239, 275, 347
 Ruszczyn 368
 Rybno 228, 368
 Rychłocice 247, 251, 256, 258,
 264, 296, 302
 Rychwał 337, 338, 362
 Rydzew 349
 Rzabice (Zrąbiec, Rząbiec lub
 Żabce?) 368
 Rzasawa 368
 Rzeczyca 364
 Rzepiszew 364
 Rzym 290

 Samarzew (wieś) 356, 359
 Sarbice 335
 Sarbicko 337, 346, 352
 Secemin 269
 Sewastopol 333
 Sędzice 208
 Sędziejowice 251, 284, 312, 313,
 315, 349
 Siedliska 345
 Siedlce 202
 Sieradz 164, 165, 166, 167, 171,
 175, 176, 181, 182, 185, 186,
 188, 189, 190, 195, 198, 202,
 209, 213, 219, 220, 223, 240,
 292, 293, 318
 Skąła 269
 Skęczniew 335, 345

 Skierniewice 167
 Skotniki 247, 280
 Skrzyńki 366
 Skrzywno 239
 Sokolniki 211
 Sosnowice 245
 Sowizdrzały 220, 349
 Starachowice 282
 Staw 171
 Stolec 365
 Strachanów 335, 341, 342, 343,
 344
 Strachocice 335
 Stryje Księżę 368
 Strzałki 220
 Strzałków 213
 Suchoczasz 364
 Sulejów 224, 227, 280
 Szadek 166, 171, 172, 175, 180,
 181, 195, 196, 198, 201, 202,
 203, 251, 307, 308, 364
 Szadkowice 364
 Szarbsk 280
 Szczawnio 367
 Szczekociny 226, 256, 263, 264
 Szczerców 192, 198, 199, 201
 221, 242, 249, 255, 265, 266,
 269, 321, 368
 Szczukocice 368
 Świątki 220
 Świerczów 220
 Świerzyny 364
 Świnice 196

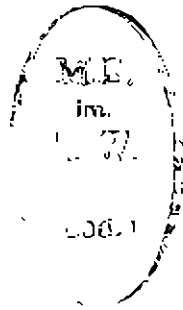
 Takomyśl 366
 Tądów 307
 Tokary 344
 Tomawa 280
 Tomczyki 350

- Trzepnica 247, 277, 278, 279,
282
Tuliszków 170, 337
Turek 166, 185, 191, 203, 212,
305, 306, 318, 336, 337, 342
Uniejów 166, 169, 178, 179, 191,
196, 198, 203, 208, 213, 224,
251, 304, 305, 347, 364
Uników 365
Wadlew 368
Walichnowy 365
Warszawa 163, 164, 168, 172,
177, 203, 246, 251, 270, 271,
307, 318, 326, 353
Warta 166, 167, 168, 169, 171,
172, 177, 180, 182, 185, 186,
190, 195, 196, 203, 208, 224,
283, 292, 336, 342, 343, 346,
365
Warta (rz.) 167, 169, 180, 195,
203, 208, 210, 228, 239, 242,
249, 251, 292, 302, 307, 318,
335, 341, 346, 368
Widawa 198, 201, 210, 251, 252,
292, 303, 310, 364
Widzów 251, 368
Wielkopole 364
Wieluń 165, 167, 195, 198, 209,
210, 211, 220, 236, 240, 249,
364, 365, 367
Wieruszów 210, 211
Wilkowice 223
Wiry 239
Wisła (rz.) 227, 283, 350
Witnica 352
Władysławów 337 352
Wola Grzymalina 368
Wola Klonowska 208
Wola Kruszyńska 368
Wola Mikorska 368
Wola Wężykowa 367
Wola Więzowska 213
Wola Wojsławska 364
Wola Zaleska 364
Wólka Księża 364
Wólka Szlachecka 364
Wrocław 163, 203, 288, 329,
350
Wrzesiny 223
Wrzeszczewice 210, 284, 309,
310, 347, 348, 366
Wygieźłów 220, 223, 366, 367
Wymysłów 224 368
Zagórów 352
Zagórze 228, 229, 234, 240, 368
Zapolice 364
Zduńska Wola 166, 198, 202,
223, 304, 307, 308, 364
Zimna Woda 368
Złoczew 207, 210, 284, 292, 294,
295, 297, 302, 313, 340
Żarnowiec 269
Żerechowa 280
Żytno 228



Józefa Ossifskięs wspomnienia z powstania polskiego 1863/64 r. Rocznik Oddziału Łódzkiego P. T. H. 1939

Rys. wg „Mapy Królestwa Polskiego podług najnowszych źródeł ułożonej i litografowanej w Zarządzie Ober-Kwatermistrza Wojsk w Królestwie Polskim 1863 r., podz. 1:304.000”



Z PAMIĘTNIKA WINCENTEGO WALEWSKIEGO KARTKI O POWSTANIU STYCZNIOWYM

Wincenty Colonna Walewski urodził się we wsi Mielęcín w roku 1843. Był synem Mikołaja, wnukiem Wincentego, kapitana W. P., poległego w pojedynku w roku 1820, wnukiem stryjecznym Aleksandra, senatora Królestwa Polskiego i prezesa Heroldii, który otrzymał od Mikołaja I tytuł hrabiowski z prawem dziedziczenia dla potomków brata. Matka, Tekla z Masłowskich, rozeszła się z mężem i mieszkała stale w Dreźnie oddając się muzyce. Hrabia Mikołaj gospodarował w Woli Wydrzynej pow. radomszczańskiego, uchylając się od wszelkich stanowisk urzędowych. Syna jedynaka kształcił w Instytucie Szlacheckim w Warszawie, a potem na uniwersytecie w Belgii. Wbrew woli ojca idzie Wincenty do powstania i pełni służbę „galopena“, a następnie adiutanta w oddziale Oxińskiego (maj i czerwiec), po rozsypaniu wyjeżdża za granicę. Po powrocie aresztowany i więziony w Warszawie, zwolniony 2 stycznia 1865 roku, osiada na ojcowiznie. Wkrótce żeni się z hrabianką Marią Przeździecką, córką hr. Karola z Czarnego Ostrowa. W roku 1875 przenosi się ze wsi do Warszawy. Obrany w roku 1874 radcą Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, pozostawał na tym stanowisku aż do śmierci. Brał stały i żywy udział w życiu organizacyjnym stolicy. Był przez czas dłuższy wiceprezesem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, należał do Komitetu Osad Rolnych i Komitetu opieki nad inwalidami, był opiekunem zakładu w Studzieńcu, wreszcie uczestniczył w pracach Towarzystwa Rolniczego, Resursy Kupieckiej i Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Kraków zaprasza go do zbierania składek na pomnik Mickiewicza. Pracował wszędzie gorliwie i pożytecznie, cieszył się uznaniem i życzliwością. W administrowaniu majątkiem i w pomysłach finansowych (kupno i sprzedaż dóbr ziemskich) nie osiągnął wyników pomyślnych. Umarł w roku 1896, zostawiając swoje interesy w złym stanie. Był typem ziemianina, który zupełnie swobodnie obracał się w środowisku kulturalnym miejskim i pragnął

mu przewodniczyć, ale żył nad stan i nie umiał zgłębić sposobów zdobywania bogactw trybem mieszczańskim.

Otaczała go niewątpliwie aureola bohaterskiego epizodu młodości — udziału w powstaniu styczniowym pod dowództwem jednego z najczerwieńszych partyzantów. W późniejszej swej działalności poprzestawał na sposobach legalnych, a wspomnienia burzy młodzieńczej szybko się zacierały. Świadczy o tym najlepiej jego pamiętnik, w którym poplątane są daty, miejscowości, wypadki, zupełnie zaś pominięte istotne szczegóły służby adiutanckiej. Wartość tej relacji jest jednak niewątpliwa: zachował się w niej podany w kształcie bardzo prostym i szczerym ślad przeżyć młodego odważnego szlachcica, który poszedł do powstania wraz ze swymi przyjaciółmi-dworakami. To, co można by nazwać „klimatem“ tych kart, jest bardzo charakterystycznym uzupełnieniem wspomnień majora Józefa Oxińskiego, za którymi w jednej księdze drukujemy pamiętniczek „białego“ adiutanta.

Oryginał pamiętnika, podobno obszernego, został częściowo zniszczony w pożarze. Ocalone kartki, te, które się publikuje, oraz kilka zupełnie nieinteresujących z roku 1875, znajdują się w posiadaniu pana Kazimierza Walewskiego, twórcy i pełnego pietyzmu kustosa archiwum rodu Walewskich w Tubądzinie pow. sieradzkiego. Z tegoż archiwum rodowego pochodzą ilustracje (podobizna autora i dwór w Woli Wydrzynej). Wszystkie wiadomości biograficzne zawdzięczamy także panu Kazimierzowi Walewskiemu, któremu należy się prawdziwa wdzięczność wydawców i czytelników.

...Kampania włoska w r. 1859 i następujące po niej wypadki we Włoszech słusznie mogły się wydawać zapowiedzią odrodzenia Polski. Wszak prawo narodowości do bytu politycznego, ogłoszone przez Napoleona III, zostało częściowo w czyn wprowadzone. Miał on urzędywistnić niespełnione zamiary genialnego stryja, który na wyspie wygnania żałował, że Polski wielkiej w dawnych granicach nie utrzymał. Dlatego idea niepodległości u nas ożyła, a uczucie długo trzymane na uwięzi w głębi serc — szukało sposobu wyrażenia się na zewnątrz. Toteż gdy w r. 1861 przyjechał do domu na wakacje, uczestniczyłem w nabożeństwach w kościele naszym parafialnym w Sulmierzycach, gdzie śpiewano pieśni narodowe: „Boże, coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“, wkrótce zaś zostałem kapelmistrzem i kierownikiem chórów patriotycznych. Ten śpiew chóralny był dźwignią naszej wiary w lepsze czasy, powtarzane strofy wzmacniały naszą miłość dla Ojczyzny, idea stawała się żywym pragnieniem. A życzenia były takie gorące, iż wszyscy uczestnicy czuli, że ich żarliwe pragnienia mogły się wznieść do Boga dla uproszenia końca wiekowej niewoli.

Ojciec powierzył mi różne sprawy do załatwienia w Warszawie, pojechałem przeto do syreniego grodu. Nigdy nie zapomnę, iż ledwom zajechał do hotelu Angielskiego, w niespełna pół godziny dostałem skrypt od formującego się już Rządu Narodowego z rozporządzeniem, abym w roli konstabla policyjnego czuwał nazajutrz nad porządkiem na placu Saskim w dzień pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego. Jakim sposobem można było tak prędko dowiedzieć się o moim przyjeździe, zostało to dla mnie zawsze niewyjaśnioną zagadką.

Nazajutrz (11 października 1861 r.) był pogrzeb wysoko cenionego i kochanego przez ludność warszawską arcybiskupa. Pamiętano słowa już umierającego do duchowieństwa, jak prosił, aby nigdy nie zapominali, iż obowiązkiem ich jest iść z narodem służąc Bogu i Ojczyźnie.

Stałem na placu Saskim, jak mi polecono. Po prostu godny podziwu był nadzwyczajny porządek. Tłumy posuwały się spokojnie, z wielką powagą; oddawano tym sposobem hołd temu, który po ojcowsku ukochał całą ludność stolicy. Mocno mnie to zabawiło, kiedy zbliżył się do mnie profesor mój z Instytutu Szlacheckiego, pan Stanisław Przysański, prosząc o kartkę wolnego przejścia. Nie tak dawno jego uczeń, miałem dziś nad nim władzę.

W Polakach zmęczonych niewolą może tli zawsze jakiś duch opozycyjny. Słyszałem, że kałamarzami obrzucano cylindry; był to już

wymysł ulicy, bo rozporządzenia Rządu Narodowego, którego bym słuchał, chyba nie było. Wyciągnąłem może dlatego z pudełka cylinder, nie chcąc się stosować do rozporządzeń, jak sądziłem, motłochu. Podążyłem w cylindrze do pałacu Brühlowskiego chcąc odwiedzić tam swoją siostrę stryjeczną, żonę Józefa Wielopolskiego, syna margrabiego, ówczesnego naczelnika kraju¹⁾.

Margrabia był przedmiotem ogólnej wtedy nienawiści. Nie wzruszało go to wcale, gdyż gardził popularnością. Chęci rzeczywiście miał jak najlepsze; zapominał jednak, że sympatia ludzka jest i w godziwych, najlepszych zamierzeniach koniecznym cementem, aby budowa była trwała i zabezpieczona od wszelkich klęsk żywiołowych. Cavour we Włoszech, wedle systemu Henryka IV, zjednywał sobie ludzi uprzejmością niezwykłą. Margrabiemu pewnie się wydawało, że szorstkość jest zbroją godności i dlatego nikogo sobie nie zjednał: ani duchowieństwa, będąc sam religijnym, ani przedstawicielei obywatelstwa i szlachty, będąc zawsze w duchu i czynami ich rzecznikiem.

Zastałem całą Wielopolszczyznę pod wrażeniem dziwnego zbiegu okoliczności, który niemało wstrząsnął ich nerwami.

Pani Maria Wielopolska była wtedy matką trzech synków. Przed paru tygodniami odkryto spisek na rodzinę Wielopolskich: jak mi opowiadano, cała rodzina, a nawet dzieci, miała być otruta. Dla lepszego dozoru nad dziećmi wzięto Czerkiesia. Otóż nocy, poprzedzającej dzień moich odwiedzin, Czerkiesowi zdawało się, że słyszy strzał. Wszyscy się rozbudzili pewni, że to zamach. Okazało się jednak, iż obawy były płonne, bo ów straszny strzał spowodowały butelki z piwem stojąc w ciepłe. Wrażenie wszakże minionego strachu zostało. Byłem rad, że dotarłem do pałacu Brühlowskiego sprawiając przyjemność jego mieszkańcom, bo mało kto się tam pokazywał, gdyż ulica i tu przewodzić chciała i wygwizdywać bywalców była rada. Tłum jest zawsze dziecinny, nie panuje nad namiętnościami i pozwala im rządzić. Często zapasy energii, zapалу bywają roztrwonione; zamiast służyć ku budowie, służą do zniszczenia.

ROK 1863

Byłem na studiach w Brukseli, gdy doszła mi wiadomość o powstaniu. Przeczytawszy rano telegram, że wybuchło po brance, natychmiast przygotowałem się do wyjazdu; tego samego wieczora już mnie w stolicy Belgii nie było. Przyjechawszy do ojca opowiedziałem

¹⁾ Maria z Walewskich, córka Konrada i Potockiej, przyp. wyd.



Wincenty Walewski (ok. 1869 r.)



Pałac w Woli Wydrzynej

swój zamiar uważając, że w takiej chwili bezczynność jest grzechem. Nie było to na rękę ani w myśl mego ojca, ale widząc, że mój zamiar jest stały i że nic temu przeszkodzić nie zdoła, wolał być pomocnikiem raczej niż przeciwnikiem. Postanowiłem pojechać do Krakowa dla zakupienia rynsztunku dla siebie i dla czterech ludzi wybierających się ze mną. Rząd austriacki z początku patrzył dość życzliwie na rozwijające się powstanie. W Krakowie można było dostać zapas broni, zamówić mundury, fotografować się w całkowitym rynsztunku powstańczym. Użyłem i ja tej przyjemności. Mile byłem zdziwiony, że na granicy rosyjskiej żadnej prawie nie było rewizji, jak gdyby chciano pozwolić na nasze uzbrojenie, a pewnie patrzano przez szpary do czasu, aby później napaść z większą siłą na winnych.

W Woli Wydrzynej zastałem swoich rodziców niecierpliwie czekających mego powrotu. Pożegnałem ojca, dodając mu ducha zapewnieniem, że pełen jestem przecucia, iż nie straci syna w tej potrzebie, i puściłem się w drogę z towarzyszami. Piotr, pomocnik kuchenny, był moim luzakiem, Władek ogrodnik, Szymon pastuch, Wawrzyniec, syn gajowego, byli tymi ochotnikami, którzy bez namowy odczuli potrzebę wzięcia udziału w powstaniu. Tak więc na czele dobranej kompanijki ruszyłem wieczorem mało uczęszczanymi drózkami, udając się do lasów rządowych piotrkowskich, gdzie stać miał oddział Oxińskiego. Ujechawszy kilka mil spotkaliśmy pod Rozprzą ślady potyczki i trzy zostawione konie z siodłami kozackimi; jeden biały piękny arab należeć musiał do przedniego oficera. Zmieniwszy osiodłanie zostawiłem swoją bułankę i przesiadłem się na pięknego wierzchowca. Śliczny koń odczuł zaraz władcę i nosił lekko, zdawało się, że zgadywał myśl jeźdźca stosując się do tempa szybkiego lub powolnego. Dostanie tego okazji wydało mi się najlepszą przepowiednią.

Po kilkogodzinnej wędrówce dotarliśmy do obozu. Z dala migotały światełka spod namiotów. Oxiński widać wszystko lustrował przechadzając się wśród biwaków. Zdaje się, że z łaski mego konia — przedstawiwszy się, zrobiłem na wodzu wrażenie. „Obywatelu — rzekł do mnie — mianuję cię swoim adiutantem“. Czterej zaś szeregowcy przyłączeni zostali do partii.

W lesie bawiliśmy parę tygodni, a dzień każdy dostarczał nam świeżego żołnierza, gdyż ochotnicy napływali ze wszystkich stron. Po tylu latach teraz dopiero rozumiem, dlaczego rząd rosyjski nie reagował przeciw powiększeniu się naszego oddziału. Chciano wszystkie żywioły patriotyczne dopuścić do złączenia się, aby je później osaczyć i za jednym zamachem zgnieść wszystkich „miałieżników“.

Mieliśmy i kapelana wojskowego, którego nazwiska nie pomnę, ale którego obraz stoi mi w pamięci. Rosły, o rysach trochę ciężkich, jakby wyrzeźbionych z drzewa; tę ostrość rysów i wyglądu łagodził miły uśmiech wywołujący sympatię; głęboko osadzone oko pałało ogniem wewnętrznym. Patrząc na niego miało się wrażenie, że to silna indywidualność. Później poznaliśmy, że potrafił iść z nami do ataku, rannego podnieść, posadzić w wozie, słowa pociechy udzielić, czasem nierozważnych zgromić, wszystko czyniąc sprawnie i jak nakazywała potrzeba. Przypominał nam nieraz księdza Robaka z „Pana Tadeusza“, a że był miłym towarzyszem, potrafił sobie zjednać serca wszystkich — przede wszystkim zaufanie. Jego służba pro publico bono, tak dobrze pojęta i taka ofiarna, była niepospolitym dla nas wszystkich przykładem. Miewał Mszę Świętą, do służenia której używał dwóch ochotników. W duchu podniosłym wysłuchiwałem jej prosząc Boga o zwycięstwo i polecając swoje dusze.

Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Moskwa nas nie zaczepiała; lecz gdy oddział urósł do tysiąca ludzi, gorączka wojenna nas ogarnęła. Pragnęliśmy przecież zmierzyć się z wrogiem. Na tośmy się uzbroili, aby nie żartować, lecz pokonać wroga. Obmyślono plan wyprawy. Postanowiono pójść na Koniecpol. Tymczasem robiliśmy rekonesanse.

Właśnie wysłano mnie w tym celu z młodym, niedawno przybyłym ochotnikiem. Przerzynamy się wąską ścieżką z lasu i okrążając wioskę spuszczaemy się na dół. Okolica była trochę górzysta. My jesteśmy na dole, już obok stawku, a nad nami, zapewne w tym samym celu przybyli, kozacy. Zapatrzeni w przestrzeń, chyba nas nie widzą, bo do nas nie strzelają. Mój towarzysz spojrzał w górę. „Czy to naprawdę kozacy?“ „Tak“, odpowiadam. „A więc mogliby nas jak muchy zabić“. „Sądzę, że tak, gdyby nas tylko widzieli“. Nie było sądzone, abyśmy zginęli. Wróciliśmy pełni otuchy do obozu.

Oxiński, który był na mnie osobliwie łaskaw, był człowiekiem w sile wieku, pełnym wojennego animuszu, a swoją drogą doktrynerem z fałszywymi przekonaniem. Zdawało mu się, że Polskę należy budować na gruzach całej warstwy kulturalnej. Wyrosło mu to przekonanie, jak zresztą u wielu innych, że dopiero po rewolucji i po przewrocie może być porządek, a potem pokój. Człowiek dobry, nie krwiożerczy, wierzył w potrzebę wyłączenia pewnej części ludności, a ponieważ lubił swego adiutanta, miał zwyczaj mówić: „Całą szlachtę wyrznać, powiesić, oprócz Walewskiego“. Wilgoć lasu, wnikaająca przy spędzanych nocach do samych kości, poradziła mu leczenie się spirytualiami. Toteż z wódką, z początku zażywając jej po troszce, później

coraz częściej i więcej, zaprzyjaźnił się bardzo, tak iż stała mu się prawie nieodstępna towarzyszką. Potrzeba pokrzepiania sił wyrodziła w nim nałóg, którego inaczej byłby się wystrzegął.

Mieliśmy dobrych szpiegów: dowiedzieliśmy się, gdzie stało wojsko nieprzyjacielskie. Po naradzie wojennej zdecydowany został napad na Koniecpol. Pełni animuszu, z pieśnią na ustach (w braku orkiestry mieliśmy chóry, a dyrygentem ich był Rydykowski, młody warszawianin, należący do inteligencji) uszliśmy kilka mil nie spotykając wroga. Dochodzimy do Koniecpola. Mamy konnicę, piechotę, artylerię (przecież była jedna armatka!), stoimy na moście, gdy naprzeciwko nam wybiega wojsko nieprzyjacielskie. Mój arab dzielnie się stawia: nie przeraża go żaden huk ani zamieszanie powstające w chwili, gdy nam przejść przez most nie dają. Wszystkie strzały są do mnie zwrócone, biorą mnie widocznie za naczelnika, nawet słyszę, jak mówią po swojemu: „Strzelać do niego, bo to dowódca“. Stoję na miejscu czekając na losy. Co się ze mną stanie? Duszę powierzam Bogu i czekam. Mój drogi, biedny towarzysz, koń-arab, dostaje kulę w łeb, w brzuch i spojrzawszy na mnie litosnym wzrokiem pada... Jakoś ja z tej imprezy wychodzę cało. Mimo tego zatrzymania udaje nam się zdobyć Koniecpol. Idziemy do kościoła, śpiewamy *Te Deum* i cieszymy się zwycięstwem. Nie udaje nam się jednak siedzieć w zdobytym miejscu. Siły Moskwy nadchodzą. Trzeba do lasu wracać, aby dokuczać im partyzantką, niespodziewanymi utarczkami.

W lesie zaszło jedno zdarzenie dowodzące, że Oxiński, mimo pozorów, nie miał najmniejszej żyłki okrucieństwa. Przywlekli nam człowieka pod ciężkim zarzutem, że Polak, katolik, był moskiewskim szpiegiem, wkradającym się do nas w celu doniesienia o wszystkim wrogowi. Już miano go powiesić, naprędce przygotowano szubienicę. Spojrzałem na niego: dobrze mu z oczu patrzyło. Odezwał się niespodzianie do mnie: „Proszę mi wierzyć, jestem niewinny; przez zemstę Żydzi znaleźli przeciw mnie fałszywych, przez nich zapłaconych świadków; z tego powodu jestem szkalowany i śmierć poniosę. Niech pan przynajmniej, panie adiutancie, będzie świadkiem mojej niewinności“. Słowa jego wypowiedziane dobitnie, ale spokojnie, przekonały mnie. Kazałem wstrzymać egzekucję, pobiegłem do Oxińskiego i wytłumaczyłem mu moje zapatrywanie. „Rób, jak chcesz, odpowiedzialność bierz na siebie!“ Uwolniono oskarżonego. Później miałem sposobność przekonać się, że mówił prawdę. Zyskaliśmy w nim poczciwego sojusznika, od którego dostarczane wiadomości wielce się nam przydały.

Stoczyliśmy znowu parę utarczek niespodziewanych dla wroga: przynieśliśmy kilku rannych, nie straciliśmy żadnego człowieka. Obozowaliśmy po kilku nocach trudów u pana Zaremby, gdzie nas nader gościnnie przyjęto. Gospodarz witał nas pełen zapału dla wojska polskiego. Komendant z adiutantem i całym sztabem zostali zaproszeni na obiad do sali jadalnej, stoły i ławki były rozstawione w ogrodzie dla szeregowców. Po tylu nocach niewyspanych dałem obraz tego, jak sen może nawiedzić biesiadnika: trzymając widelec z kęsem mięsa zasnąłem ku zabawie moich towarzyszy. Lecz przebudził mnie rumor na dole. Nie był to atak wroga, tylko były narzekania naszych szeregowców: nie mogli zrozumieć, że połędwicy dla wszystkich nie stało, że wojsku polskiemu podawano zrazy z kaszą... „Ucisz ich!“ przemówił do mnie Oxiński. Więc to surowością, to żartem uspokoiłem rodaków objaśniając, że pan Zaremba przyjmuje, jak tylko może najlepiej, że wdzięczność a nie strycalek mu się należy.

Po powrocie do obozowiska w lesie zaczęliśmy obmyślać, jak dokuczać Moskwie, jak się przedrzeć do nich i uwolnić kilka miasteczek i miast polskich od ich tyranii. Mieliśmy przekonanie, że jeśli losy będą nam sprzyjać, cesarz Napoleon z hufcem nadejdzie. Tego nam się kazała spodziewać odezwa księcia Czartoryskiego do Rządu Narodowego, której kopię przysłano nam z Warszawy. Po naradzie w sztabie umyśliliśmy zdobyć Przedbórz i posunąć się do Radomska.

W piękną noc gwiaździstą wybieramy się do Przedborza. Wojsko rosyjskie, tam rozstawione, nie spodziewając się ataku przepędzało noc spokojnie. Tymczasem my śmiało wchodzimy, konnica naprzód; rozstępują się przed nami żołnierze rządowi i przechodnie, słowem, popłoch wzrasta, a wojsko rosyjskie co tchu zaczyna się niby bronić. Nasz rozmach je obezwładnia, więc idzie w rozsypkę, ucieka, tak że my zostajemy panami placu. Byliśmy tacy uradowani z tego zwycięstwa, żeśmy się ściskali i krzyczeli: „Przedbórz nasz, nasz!“

Ustaliwszy naszą władzę cywilną w Przedborzu myśleliśmy, że warto się przedrzeć do niedalekiego miasteczka Radomska i tam na dobre się usadowić. Idąc pełni animuszu dotarliśmy do Radomska, a małą załogę tam stojącą rozpedziliśmy na cztery wiatry. W Radomsku celebrował mszę dziękczynną proboszcz miejscowy i nasz kapelan. Zapal wśród ludności był ogromny, witano nas jak zbawców. Rząd Narodowy został przez nas zawiadomiony o szczęśliwym wyniku naszej wyprawy; wyraził on prośbę o wytrwanie i umiejętne wyzyskanie okoliczności bez szafowania ludźmi. Ludzi przede wszystkim należy oszczędzać, gdyż dla kraju będą później potrzebni.

W Radomsku mianowaliśmy władzę cywilną. Bawiliśmy tam parę dni co dzień się musztrując, gdy nadeszła wiadomość przez szpiegów, że Moskwa sprowadza wojsko mające nas osaczyć. Trzeba było zawczasu dokonać odwrotu nie chcąc co do jednego zginąć. Mimo usiłowań Napoleona i mocarstw, nie byliśmy traktowani, jako strona „wojująca“, tylko jako buntownicy. Nie można dopuścić, aby nasze zwycięstwo było powodem do ucisku, trzeba zostawić piśmienne dowody, że mieszkańcy nie spełniali względem nas żądanych rekwizycji i że ci, których mianowaliśmy urzędnikami, nie odpowiadali zadaniu. A następnie ostrożnie przedrzeć się i dostać do lasu.

Radomsko mnie osobiście nader smutne zostawiło wspomnienie. Wierny mój luzak, Piotr Kopaniak, raniony w Przedborzu, został umieszczony w szpitalu w Radomsku i to pod fałszywym nazwiskiem jakiegoś robotnika, który niby się skaleczył piłą. Odwiedzałem dobrego towarzysza; smutno mi było, że stan jego, zamiast się poprawiać, ciągle się pogarszał. On sam dawał przykład nie tylko nadzwyczajnej cierpliwości, ale i niezwykłego hartu ducha nie uginającego się pod bólem; przeciwnie, opanowawszy go oczekiwał pogodnie na swój koniec, pełen zarazem radości, że spełnił swój obowiązek względem ojczyzny. Witał mnie zawsze z uśmiechem. Kiedyśmy się żegnali, czuł dobrze, że się już nie zobaczymy, starał się ukryć łzy i słowem pociechy mię darzył.

Wróciliśmy do lasu. Drobnymi utarczkami dokuczaliśmy nieraz wrogowi, ale do prawdziwych bitw już nie przyszło. Nasz oddział zmalał; ochotnicy czując, że się powstanie kończy, wymykali się zazwyczaj w przebraniu.

Ponieważ wiedziano o nas i chciano nas otoczyć, trzeba było małymi partiami z oczu znikać, ułatwiać się jak kamfora, śladu nie zostawiając po sobie. Bardzo nam w tym celu pomocnymi okazывali się urzędnicy po różnych biurach, szczególnie na kolei i poczcie, którymi od rządów margrabiego Wielopolskiego byli Polacy. Dawano nam wskazówki, ułatwiano zmianę koni, czuwano nad nami, aby ustrzec od mogących nas schwycić szponów Moskwy.

Ponieważ poszukiwano naczelnika z adiutantem, zdecydowano więc, że Oxiński i ja przedostać się musimy przez granicę. Bierzemy konie pocztowe, mamy fałszywe paszporty, i z jednej stacji do drugiej jedziemy dość spokojnie. W miasteczku N. przy zawrocie jakiś urwis woła: „Znam tych panów, to są wojacy!“ „Może to naczelnik z adiutantem?“ — powtarza Żydek rudobrody i pędzi z wiadomością do stojącego na rogu rynku policjanta. Tamten w krzyk i pogoń; gwizdże,

woła na stangreta, aby zawrócił, i na innych policjantów, aby nas gonili. Niebezpieczeństwo, budząc przytomność, budzi zarazem i śmiałość. Wołam na pocztyliona: „jazda!“, co tchu biorę sam lejce i przy zakręcie drogi ominąwszy szosę puszczam się drożyną polną znikając im z oczu. Rozstaję się niebawem z Oxińskim; on ma przejść granicę w Herbach, ja mam się starać dotrzeć, jeżeli Bóg da, do Wrocławia. „Do awansu i do krzyża jesteście podani — mówi mi dowódca — w Krakowie macie się po to zgłosić“. I daje mi adres. Jakoś wsuwam się do wagonu i tu przytrafia mi się przypadek dość przykry, który zamiast mi zaszkodzić uratował mi życie.

Po tyłu nocach bezsennych, gdy nawet, choć sen zasklepiął powieki, podświadomość czuwała, oddałem się temu błogiemu stanowi całym jestestwem. Nagle konduktor otwiera drzwiczki i żąda biletu. Ja dokańczam sennego rojenia czynem: biorę go za gardło i wołam, żeśmy zwycięzcami, że dworzec w Radomsku jest w naszych rękach... Był to niedokonany zamiar mnie polecony, który mi się przyśnił. Ale żem był silniejszy od konduktora chucherka, więc ledwom go nie powalił o ziemię krzycząc wniebogłosy: „Nie wysuniesz mi się! Jesteś jeńcem!“ „Bądź szczęśliw, jeśli cię nie zastrzele“ — miałem podobno dodać, pokazując mu rewolwer. Biedny konduktor ledwo się wywinął z mojego uścisku i miał powiedzieć rozmodlonej starszej pasażerce (której zresztą nie byłem dojrzał, bo weszła, gdym należał do Morfeusza), iż jestem niebezpiecznym wariatem, więc lepiej mnie nie zaczepiać. Podobno z kontrolerem odnowiła się ta historia; więc obejrzawszy mój bilet do Wrocławia woleli zostawić szamotanie się z szaleńcem władzom niemieckim, niż narażać się na niebezpieczeństwo. Dzięki temu ominęła mnie na granicy sprawa paszportowa. A trzeba dodać, że kontrola ze strony władz rosyjskich i pruskich była teraz ścisła, gdyż carat bał się wychodźstwa niebezpiecznych ptaszków, na których karę śmierci lub ciężkich robót chciał wymierzyć, rząd zaś pruski, sługa Rosji, nie chciał buntownikom dać schronienia.

Tym oto sposobem mogłem dotrzeć do Wrocławia. Zaczynały się smutne dni wygnania.

W hotelu „Goldene Gans“ zebrało się sporo naszych zbiegów. Toczono gawędy o trudnym losie, o chwilowym na początku powodzeniu, o ciężkich późniejszych zawodach i o niepewnym jutrze. Zastanawiano się, jak walczyć dla zdobycia powszedniego chleba. Kilka dni spędziło się tak na ciągłym rozpamiętywaniu naszych bied i na przyjacielskich gawędach, ale potem, przy topniejących ciągle funduszach, trzeba

było programowo chwycić się jakiego planu. Co do mnie, nie mając dość zasobów pieniężnych na uśmiechającą mi się z powodu zapowiedzi Oxińskiego wycieczkę do Krakowa, wyjechałem do Brukseli, aby się na nowo oddać przerwanyemu studiom. Zostałem tam dawnych przyjaciół, więc przyszła chwila wytchnienia.

Kilka miesięcy partyzantki dało się i mnie, jak pewnie wszystkim innym, we znaki. Przy wielkim osłabieniu praca umysłowa jest więcej niż trudna, staje się wprost niemożliwą. Odczuł to mój przyjaciel Hiszpan, który wracał do swego słonecznego kraju. Zachęcał mnie do odwiedzenia jego lubej ojczyzny, a jego perswazje tak mi trafiły do przekonania, że po kilku tygodniach wybrałem się z nim w drogę. Uległem czarowi cudownej krainy i tamtejszych ludzi. Wszystko dla oka okazało się tak doskonale dostosowanym i taką harmonijną tworzyło całość, iż ukojenie ran fizycznych i moralnych szło już w przyspieszonym tempie.

W Hiszpanii wszystko przybiera kształt obrazu, nie ma tam banalnej reprodukcji natury. Przyroda jest doskonale dobraną ilustracją do życia. Piękno zewnętrzne staje się tłem do rysów charakterystycznych, tworzących odrębność narodową. Grenada, Sewilla, Toledo — to grody napiętnowane właściwością zamieszkującej je rasy i świadczące o historycznych zdarzeniach. Cudny wykwit sztuki, na pół realistyczny i mityczny, nowe i dalekie otwiera widnokręgi.

Wchłonawszy to piękno, przejąwszy się charakterystyką półwyspu i jego mieszkańców, wioząc stamtąd hiszpańską „kapę“ (pelerynę wielkich rozmiarów), śpiewy i gitarę, trzeba było wrócić do siedliska nauki i w Brukseli oddać się jej na nowo. Po roku tęsknota za krajem rodzinnym, za rodziną, za swoimi objęła mnie w kleszcze. Trudno bardzo w takich warunkach mieć potrzebny zapał, aby praca na obczyźnie była pokrzepieniem ducha. Nurtowany tęsknicą, zacząłem źle wyglądać i upadać na siłach. Przyjaciele w trosce o mnie, nic mi nie mówiąc, zapytali ówczesnego posła rosyjskiego przy dworze belgijskim, księcia Golicyna, czy Walewski wróciwszy do kraju uległby surowej karze. Poseł zasięgnął zdania swojego rządu. Odpowiedziano mu, że jeśli dawniejszy powstaniec zda się na łaskę i niełaskę, włos mu z głowy nie spadnie. Ojciec tę samą przysłał mi wiadomość od ówczesnego namiestnika w Królestwie, hr. Berga, i jął mnie listownie namawiać, abym się do niej zastosował. Ja sam z przyjacielem odwiedziłem księcia Golicyna; powtórzył mi zapewnienie, więc dostawszy od niego rodzaj tymczasowego paszportu puściłem się w powrotną podróż do kraju.

Trudno opisać radość, jakiej doznałem zbliżając się do rodzinnego gniazda. Widzieć ojca, siostry, cieszyć się rozkwitającą przyrodą, witać dobrze znanych ludzi dworskich, przyjmować odwiedziny sąsiadów — cóż to za rozkosz!

Tylko zasłona żaloby krajowej i zawodów doznanych nadawała tej radości odcień melancholii.

Po dwóch dniach pobytu we wsi polskiej „wesolej i cichej“ otrzymałem urzędowe zawiadomienie, że mam się udać do Warszawy w celu uregulowania, jak się domyślano, sprawy paszportowej. Mój ojciec ani na chwilę nie przypuszczał, żeby mnie spotkać miały przykrości. Przecież zdawałem się na łaskę i niełaskę według danej z góry obietnicy; rząd tak dalece by się nie mógł kompromitować, aby zdradliwie w pułapkę schwycić; chyba minęły czasy chytrłości Piotra Wiekiego i sposobu przezeń użytego, żeby ściągnąć syna-wyгнаńca i karę należytą mu wymierzyć.

Pełen otuchy udawałem się do Warszawy. Stałem w hotelu Angielskim i przez dwa pierwsze dni byłem zajęty poleceniami danymi mi przez ojca. Spotkawszy kilku dawnych kolegów umówiłem się z nimi, że przyjdą nazajutrz zabrać mnie na śniadanie do „Stępka“. Nie mogłem przypuszczać, że mnie nazajutrz czekała koza! Ledwo dnia tego otworzywszy oczy wstawać zaczynałem, gdy dwóch żandarmów stanęło przede mną z rozkazem zabrania mnie natychmiast do więzienia na „Pawiaku“. Wierzyć temu nie chciałem; wszak przyjechałem na zapewnienie rządowe, że mi włos z głowy nie spadnie, że zdanie się na łaskę i niełaskę gładzi winę i że powróciwszy mam zapewnioną swobodę.

Napisawszy przed odejściem parę słów do ojca, podążyłem z oburzeniem do nowoprzeznaczonego miejsca zamieszkania. Nikogo już tam do mnie nie dopuszczono. Mogłem się tylko dowiedzieć o bytności u mnie w hotelu kolegów, a to z zapasów żywności dla mnie tam zostawionych i tym razem mi oddanych. Oznajmiono mi, że rozpoczęto przeciwko mnie sprawę i że jestem potrzebny do śledztwa. obrońcy mieć nie mogę, muszę sam się bronić, na zarzuty odpowiadać. Na posiedzeniach komisji śledczej zjawiały się coraz to nowe Żydki z nowymi dokumentami. Były to przeważnie kwity rekwizycyjne lub surowe zarządzenia, gdzie w imieniu oddziału figurował tylko mój podpis, a młodzieńcza głowa cieszyła się właśnie z tego odpowiedzialnego stanowiska.

Mówiłem, że byłem w powstaniu adiutantem Oxińskiego, uczestniczyłem w dwóch bitwach, kilku potyczkach i rekonesansach i nie byłbym nigdy wracał z zagranicy, gdyby nie zapewnienia rządowe, którym wierzyć miałem nieszczęście. Sędzia wyjaśniał, że oskarżenia były tak obciążające, a winy okazały się tak wielkie, iż musiano wytoczyć sprawę. Uzyskawszy pozwolenie krążenia po korytarzu więziennym, ciągle się tam przechadzałem zadając sobie pytanie, co mnie czeka: stryczek czy odzyskanie wolności.

Wiedziałem, że mój ojciec pewnie już parę razy był w Warszawie dla widzenia się ze mną, jednak o tym zamilczano. Przekonywałem się, że umyślnie tak mnie odgradzano, żebym z nikim nie mógł się zobaczyć.

Później z miny sędziów, z całego nastroju odgadywałem położenie, czułem, że wyrok wydadzą potępiający, a może już jest wydany. Domyśliłem się ze spojrzeń odzwierneń, odprowadzających ze śledztwa żandarmów i z kilku niedomówień, jaki mię los czeka.

Teraz dopiero pojąłem, jak wierzyć nie było można, jak się czasy od Piotra Wielkiego nie zmieniły. Wtedy brano w pułapkę jego syna, aby go zamęczyć, dziś ściągają za pomocą złudnych obietnic zbiegów z zagranicy w tym samym celu, dla zadowolenia zemsty pastwiąc się nad bezbroną ofiarą. W skupieniu ducha prosiłem Wolę Najwyższą, aby moją wolę umacniała, żebym nie okazał najmniejszego przygnębienia. Niech widzą, że odchodzę spokojny, pogodny, zarazem zwycięski, ponosząc karę śmierci z powodu spełnionej powinności. Oczekiwałem więc spokojnie wyroku.

Moja matka tymczasem w Dreźnie żyła w niepokojach. Dzięki Bogu jednak, że odebrawszy niepokojący list, mimo udręki podążyła ze swoim pieskiem do Grosgartenu, gdzie przygrywała dobra muzyka dająca jej, jako artystce, pewne ukojenie w bólu. Tam na nią już oczekiwała jedna pani także z pieskiem. Z powodu faworytów igrających ze sobą dwie te panie zaznały się nieco wcześniej ze sobą. Matce mojej przedstawiła się jako Rosjanka, generałowa N. Mimo naprężonych stosunków rosyjsko-polskich, Rosjanka miała jednak dość prawości, aby potępić prześladowczą rękę i szanować miłość ojczyzny u Polaków. Wywiązało się stąd miłe obcowanie i wymiana zdań przy muzyce w Grosgartenu i zabawie piesków. Dnia tego generałowa zauważyła, że moja matka była zmieniona; ściągnięcie brwi i rysów musiało wyrażać jakąś nurtującą w głębi przykrą tajemnicę. Matka zapytana o przyczynę opowiedziała całą prawdę i wyznała obawę co do potępiającego wyroku.

„Dobrze, iż to tylko tak, że to tylko panią męczy, bo na to jest rada. Wszystko zależy od oberpolicmajstra warszawskiego Trepowa. Zatelegrafuję do niego i niebezpieczeństwo będzie zażegnane“. A z oczu mojej matki zgadując niedowierzanie, dodała: „Generał Trepow jest bliskim moim krewnym, pragnął mię kiedyś poślubić, a choć wyszłam za mąż za innego, nie przestał być naszym wielkim przyjacielem i dotrzymuje słowa nie odmawiając mi nigdy, gdy go o co proszę“.

Panie podążyły na stację telegraficzną.

Nazajutrz generałowa w Gros Gartenie mogła podać mojej matce depezę następującej treści: „Na prośbę Waszą uwolniłem Walewskiego. Trepow“.

Z myślą skupioną, aby się godnie przygotować na wyjazd do wieczności, przechadzałem się znowu po korytarzu, gdy nadeszli oczekiwani przeze mnie żandarmi, jak mniemałem, ze spodziewanym i uprawomocnionym wyrokiem.

„Jestem gotów usłyszeć wyrok — rzekłem do wchodzących gości — już od dość dawna nań czekam“. Uszom swoim wierzyć nie chciałem, gdy mi oznajmili, że odzyskał wolność!... Okazało się to prawdą: drzwi więzienia się otworzyły... Był to prawdziwy cud...

INWENTARZ RZECZY MIESZCZKI ŁÓDZKIEJ Z KOŃCA XVI WIEKU

W drugiej połowie XVI i pierwszej połowie XVII wieku biskupie miasteczko rolniczo-rzemieślnicze Łódź podnosi się, rośnie i dochodzi do największej liczby ludności. Gdy w 1459 r. (wojna pruska) liczy około 100 mieszkańców, a pod koniec XV wieku około 200, to w drugiej połowie XVI przeszło 500, zaś na przełomie stuleci XVI i XVII przeszło 800 mieszkańców. Liczba rzemieślników w tym okresie rozkwitu Łodzi waha się między 23—32.

Lecz nie tylko te dane przemawiają za rozwojem miasta i mieszczan łódzkich. Już ks. Muznerowski¹⁾ zwrócił uwagę na stosunki kulturalne Łodzi z Krakowem, wymieniając na podstawie ogłoszonego drukiem tomu pierwszego i drugiego „Album Studiosorum“²⁾ — kilku studentów łódzian na Uniwersytecie Jagiellońskim immatrykulowanych. Poszukiwania w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, które przeprowadziłem, ujawniły 19 studentów pochodzących z Łodzi rzemieślniczo-rolniczej na przestrzeni około 150 lat, t. j. od końca XV do połowy XVII stulecia. Wiek XVI dał nam trzech profesorów, kilku doktorów, mistrzów i bakałarzy na Wszechnicy krakowskiej.

Szczególną ciekawość budzi kariera dwóch braci Rożkowiców z miasteczka Łodzi, Pawła i Piotra, synów Mikołaja, oraz ich siostry Małgorzaty Rożkówny (Marussia Roskowna).

Paweł i Piotr odbyli studia, zdobyli tytuły naukowe, otrzymali katedry na Uniwersytecie i zostali kanonikami kościołów kolegiackich: św. Anny w Krakowie i św. Floriana na Kleparzu. Dzieje ich życia są nam znane z akt uniwersyteckich i miejskich krakowskich. Natomiast koleje życia Małgorzaty Rożkówny trudno jest ustalić; wiemy tylko, że urodziła się w Łodzi, że była córką Mikołaja Rożka, że braćmi jej byli Paweł i Piotr. Kiedy przybyła do Krakowa, kiedy została

¹⁾ Ks. Stanisław Muznerowski. *Przyczynki do monografii Łodzi*. Łódź 1922, str. 30.

²⁾ *Album studiosorum Universitatis Cracoviensis*, t. I. (ab anno 1400 ad annum 1489), Kraków 1887; t. II. (ab anno 1515 ad annum 1551), Kraków 1892.

małżonką mieszczanina kleparskiego Andrzeja Okiennika i dalsze dzieje żywota aż do śmierci w roku 1592 nie są znane.

W niniejszym przyczynku do dziejów stosunków łódzko-krakowskich oraz do przeszłości mieszczaństwa łódzkiego publikujemy inwentarz rzeczy po zmarłej Małgorzacie Rożkównie z Łodzi i po jej małżonku Andrzeju Okienniku, mieszczaninie kleparskim, sporządzony w r. 1592.

Ciekawy ten materiał jest rzadkim zabytkiem tego rodzaju dla stosunków łódzkich z tak odległych czasów. Wydaje mi się, że godzien jest publikacji dlatego, że 1) dotyczy częściowo mieszczaństwa łódzkiego, 2) podaje szczegółowy wykaz rzeczy przeciętnej zamożnej rodziny mieszczańskiej, 3) został spisany przez brata zmarłej, Piotra Rożkowica, profesora Wszechnicy krakowskiej, a więc daje nam możliwość zapoznania się z polszczyzną wykształconego łodzianina XVI stulecia, i 4) wskazuje na bliższe stosunki Łodzi z Krakowem.

Podany tu „Inwentarz rzeczy...” znajduje się w rękopisie nr 173 Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego p. t. „Decreta vicecustodis S. Floriani tum rationes ab anno 1543—1655” (str. 51—53).

Ogłaszamy go w całości i oryginalnej pisowni. Objasnienia podano posiłkując się Samuela Bogumiła Lindego „Słownikiem języka polskiego“, „Słownikiem warszawskim“, Zygmunta Glogera „Encyklopedią staropolską ilustrowaną“ oraz Zofii Bondy „Słownikiem rzeczy i spraw polskich“ (Warszawa 1934).

Anno Domini 1592, in vigilia Sancti Adalberti.

Inwentarz rzeczy pozostałych bo Nyeboszcziku Andrzeju Okyenniku(?) y po Marussi małżoncze iego Rskownye z miasteczka Łodziy przy oblicznosci executorow opatrznich iako Pana Jendrzejka y Jana Czonszka, sewcza kleparskiego myesczanyna.

Naprzod posczyeli drobne 5 albo poduszek.

Item 2 pyerzinye wyelkye y wezglowye¹⁾.

Item szuknya szamey zielona, kytel²⁾ axamyesczni.

Item czapka potszita muchayerowa³⁾.

Item kytel muchayerowi.

Item subka makowa⁴⁾ krolykamy potszita.

Item czapka stara muchayerowa.

¹⁾ Wezglowie, poduszka nie tylko pod głowę, materacyk.

²⁾ Kitel, sukna płócienna zwierchnia.

³⁾ Muchair, tkanina gruba, rodzaj sukna lub kamlotu tkanego z sierści koziej, po turecku nazywa się muchajjer lub muchajjar.

⁴⁾ Makowy, popielaty.

Item pasz axamyenthi zamkiem srebrnim.
Item waczek¹⁾ moszyadzem oprawyoni.
Item szamego kosul 11.
Item recznykow 5.
Item obrussow 3.
Item czecha²⁾ spyeczini bialla.
Item przesczyeradli 2.
Item szamey kossulek 7.
Item odzyenna 1.
Item fartuchow 5.
Item podwyk³⁾ 2.
Item czeska⁴⁾ czaslychowa⁵⁾ 1.
Item pothuszcze 2.
Item kosulki 2 dzyecczeczye.
Item czepyec czarni jedwabni.
Item chustek 3.
Item plothna byellyonego kriyawego (sic) 2.
Item kosuch odzyewalni dobri.
Item drugi odzyewalni szari.
Item 2 szerdaky...(?)...⁶⁾dzyeczeczi.
Item kapyenyak⁷⁾ czarni.
Item drugi szari sztari.
Item zupanyk stari szari.
Item ubranye byalle.
Item szamey szuknya makowa.
Item zupanyk błekytzni dzyeczeczy.
Item czapcze 2 dzyeczicze yedna druga szamego.
Item Metelsk⁸⁾ szari.
Item worow 6.
Item panewka⁹⁾ 1.
Item szyekyeri 2.

¹⁾ Wacek, woreczek skórzany lub płócienny na pieniądze. ściągany rzemyczkiem albo zamykany zameczkiem, noszony na szyi, czasem w kieszeni.

²⁾ Gecha, cycha, powłoka, poszewka na pierzynę.

³⁾ Podwika, kwef, zasłona kobieca z głowy.

⁴⁾ Geszka, zdrobniła forma od cechy.

⁵⁾ Materia bliżej nieznaną.

⁶⁾ Pismo wytarte.

⁷⁾ Kopieniak, płaszcz od deszczu bez rękawów z peleryną, kroju węgierskiego, wprowadzony do Polski za Stefana Batorego.

⁸⁾ Mętel, rodzaj płaszcza.

⁹⁾ Panewka, rodzaj patelni na trzech nóżkach, tygielek.

Item rozen¹⁾ 1.

Item nyeczek 2 y kesonow (?).

Item thalerzow 10.

Ego Petrus Lodensis, magister collegii maioris Collegii Cracoviensis, canonicus sancti Floriani, annentis (sic) Hedwigis puellae, olim honestae Margarethae Roszkowa ex oppido Lodzia nepote ex sorore mea, recognosco me has eos in registro proscriptos post obitum Margarethae, eiusdem sororis meae ab honesto Martino Kyszolkowic, cive et sartore clepardiensis accepisse. Ex quibus rebus perceptis coram officio V. D. Joannis Pabianicencis, protunc vicecustodis clepardiensis quietto. Ex his rebus vendidis promitto me eiusdem Martino sartori florenos duos monetae et numeri polonicalis daturum.

Actum in habitatione V. D. Joannis vicecustodis clepardiensis. Anno Domini 159 secundo, 10 Junii, idem qui supra.

ROMAN KACZMAREK

¹⁾ Rożen, narzędzie do pieczenia mięsa.

BIBLIOGRAFIA

BIBLIOGRAFIA

HISTORII JEDNOSTEK TERYTORIALNYCH WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

CZĘŚĆ III

Drukowane obecnie materiały bibliograficzne są dalszym ciągiem i uzupełnieniem podobnych prac publikowanych w dwu poprzednich tomach naszego wydawnictwa.

Przy opracowywaniu bibliografii regionalnej narzucają się rozważania i związane z nimi wątpliwości natury zasadniczej: co należy uznać za region naturalny oraz w jakim stopniu momenty historyczne w ujmowaniu pewnych terenów dadzą się pogodzić z dzisiejszym stanem faktycznym.

Odpowiedź na te pytania nie jest ani prosta, ani łatwa. Trudność jej tkwi w rozbieżnościach między tradycją historyczną a potrzebami dnia dzisiejszego. Bibliograf stojąc na stanowisku praktycznym nie lekceważy żadnego z tych czynników, lecz dąży do ich uzgodnienia.

Zmiany granic naszego województwa w ostatnich czasach unaoczniają poglądowo przeszkody, na jakie w swej pracy napotyka bibliografia regionalna.

Do niedawna bowiem w skład województwa łódzkiego wchodziły ziemie historycznych województw łęczyckiego i sieradzkiego z ziemią wieluńską oraz część historycznego województwa kaliskiego. Obecnie te ostatnie obszary włączono do województwa poznańskiego (powiaty: kaliski, kolski, koniński i turecki).

Nasze natomiast województwo zostało powiększone o część warszawskiego (powiaty kutnowski, skierniewicki, łowicki, rawski) i kieleckiego (powiaty konecki i opoczyński), a więc części Mazowsza i historycznej Małopolski. Przed tymi zasadniczymi zmianami w obrębie województwa łódzkiego mniejsza zmiana: w r. 1933 skasowany powiat słupecki przyłączony został do konińskiego.

Oczywiście, tak daleko idące zmiany, jak wyżej wymienione, zachodzą wyjątkowo. Stan przez nie wytworzony pod wpływem wielorakich procesów życiowych ulegnie powoli ustabilizowaniu, tworząc nową rzeczywistość, z którą się trzeba liczyć. Nie mniej jednak zmiany takie, aczkolwiek nie częste, nie ułatwiają bynajmniej pracy bibliograficznej.

Na szczęście te zastrzeżenia i wątpliwości nie dotyczą ogłaszanej obecnie serii naszych prac, które obejmują województwo łódzkie w dotychczasowych granicach.

Zachowując stosowaną od początku metodę pracy Komisja Bibliograficzna uznała za wskazane rozszerzenie zakresu swych badań na dziedziny nie uwzględniane w poprzednich seriach. Posłaliśmy w tym względzie za przykładem Bibliografii K w a r t a ł n i k a historycznego. Jeżeli chodzi o zawartość materiału w naszej publikacji, to składa się ona z bibliografii bieżącej za okres 1930—1937 oraz uzupełnień, w Rocznikach poprzednich pominiętych względnie niedokładnie podanych.

Oba te rodzaje danych umieszczamy obok siebie, gdyż uważamy, że unikając zbędnych podziałów, czynimy nasze zestawienie bardziej przejrzystym, o co w tego rodzaju pracach dbać się powinno.

Przy zbieraniu materiału bieżącego opieraliśmy się przede wszystkim na podstawowych wydawnictwach ogólnych, jak Urzędowy Wykaz Druków wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej, Nowa Książka, nadto korzystaliśmy z szeregu specjalnych periodyków, jak Kwartalnik historyczny, Przegląd historyczny, Roczniki historyczne, Roczniki dziejów społecznych i gospodarczych, Niepodległość, Przegląd archeologiczny, Ziemia i t. p., a zwłaszcza pomocne nam były te spośród nich, które prowadzą systematyczną bibliografię.

Przy opracowywaniu uzupełnień obok źródeł przygodnych (katalogi najróżnorodniejszego typu, roczniki czasopism), zaglądaliśmy do znanych prac podstawowych (Estreicher, Finkel), specjalnie przestudiowaliśmy Gawełka Bibliografię ludoznawstwa polskiego oraz M. R. Witanowskiego Skorowidz przedmiotów w 25 rocznikach Tygodn. Piotrk. z lat 1873—1898.

W pracy przyświecała nam zasada, aby materiał zebrany był obfity i dokładny. Obok publikacyj oddzielnych dużej nieraz wartości naukowej pomieszczyliśmy rzeczy pozbawione tych walorów. Uwaga ta dotyczy także rozpraw, artykułów i krótkich notatek. Szerokość ujęcia zadań oraz pewien liberalizm w wyborze materiału sprawiły, że praca nasza przybrała rozmiary pokaźne i zawiera pod względem naukowym materiał różnorodnej wartości. Rzeczą już korzystających z niniejszej pracy będzie dokonywanie wyboru i ocenianie go ze stanowiska swych potrzeb: naukowych, dydaktyczno-popularyzacyjnych, społecznych, i t. d.

Praca bibliograficzna, tak mało efektywna, jest, jak wiadomo, nader trudna. Mimo najlepszej woli i starań łatwo w niej o błędy i przeoczenia. Komisja Bibliograficzna sądzi, że ma prawo do pewnej względności i wyrozumiałości czytelników.

Komisja w toku swej pracy w pewnych jej fragmentach korzystała z pomocy pp. Eugeniusza Ajnenkla i Romana Kaczmarka, za co im składa podziękowanie.

DZIAŁ OGÓLNY

Biernacki J. — Pamiętnik o wojnie 1809 r. Wydał i opatrzył komentarzem J. Słazewski, Poznań, Roczn. Hystor., 1935, s. 232.

Callier E. — Powiat kaliski w XVI stul., szkic geograficzno-historyczny. Poznań, 1887.

Cellarius Andr. — Regni Poloniae Magnique Ducatus Lithuaniae omniumque regionum iuri Polonico subiectorum novissima descriptio.... studio.... A.... C.... Gymnasii Hornani Rectore, Amstelodami (Amsterdam), 1659.

Choćszewski J. — Kantyczki poznańskie (m. in. pieśni z Kalisza). Poznań, 1886.

Czajewski W. — Włościanie gub. kaliskiej. Wędrowiec, 1886, 237, 249, 261.

Dekowski J. P. — Niektóre zwyczaje bożonarodzeniowe i ostatekowe (pow. łowicki, piotrkowski, brzeziński i opoczyński). Wiadomości ludoznawcze — Łódź 1933, z. 1—2.

Długowieczność ludu w pow. sieradzkim. Gazeta Kaliska, 1898, nr 41.

Dola dziedziców Skrzydłowa, wdzięczność włościan. Tydzień Piotrk., 1895, nr 44.

Durczewski Zdz. — Zabytki z powiatu konińskiego w zbiorach prywatnych. Wiad. archeolog., XIII, s. 123—130, 36 ryc.

Dzierżawski B. dr. — Podania ludowe z Kaliskiego, dotyczące skorup z urn i narzędzi krzemienych. *Wiśła*, 1905, s. 161—4.

Hinc Jan — Szkice architektoniczne krajowych dzieł sztuki. Warszawa, 1887, t. I, z. 7 (omawia kościół św. Mikołaja w Kaliszu i ratusz w Pabianicach).

Holsche — Geographie u. Statistik von West-, Süd- u. Neustpreussen. Berlin, 1800—7.

Gembarzowski Br. — Materiały do historii i działań pułków kaliskich w powstaniu listopadowym. Ziemia Kaliska, 1930, s. 233—44, 1931, s. 40—51.

— Wojsko polskie 1807—1814. Warsz., 1912.

Gesket S. — Wojennyja dziejstwa w Carstwie Polskom w 1863 godu i naczało wozstania (janwar, fewral i pierwaja połowina marta) sostawił pod red. gen.-lejt. Puzyrewskiego. Warsz., 1894, IV, 401, IV.

Gloger Z. — Geografia historyczna ziem dawnej Polski. Kraków, 1900, s. 387, il. 63.

Graeve St. — Stroje i zdobnictwo ludowe w Sieradzkim. *Wiśła* ilustr., zes. 8.

Grajnert J. — Zapiski etnograficzne z okolic Wielunia i Radomska. Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. Wyd. Komisji Antrop. Akad. Umiej. w Krakowie, IV, 185—261.

Guagnin Al. — Sarmatiae Europaeae descriptio, quae Regnum Poloniae, Lituaniae, Samogitiam, Russiam, Massoviam, Prussiam, Pomeraniam, Livoniam, et Moschoviae, Tartariaeque partem complectitur. Kraków, Wierzbęta, 1578; też w polskim przekładzie **M. Paszkowskiego** *Kroniki Sarmacji europejskiej*. Kraków, 1611.

Jamka R. dr. — Prace archeologiczne w pow. kaliskim. Z otchl. wieków. VIII, 97.

— Rozmieszczenie naczyń typu terra sigillata na obszarze dzisiejszej i dawnej Polski z 13 ryc. i mapą. *Przegl. archeol.* t. IV, z. 3.

Jarochowski K. — Z czasów saskich. Poznań, 1886 (szkic: Lauda połączonej woj. kaliskiego i poznańskiego).

Jednodniówka P. O. W. pow. łaskiego. Szkice historyczne i wspomnienia. Nakł. Powiat. Koła Zw. Peowiaków w Pabianicach. Pabianice 1938, s. 87. *Rec. W. Brzozowski. Niepodległość*, Warsz., 1938, XVIII, s. 480—82.

Kamiński W. — Wycinanki sieradzkie. Kalisz, 1937, s. 5 nb., tabl. 10. Oddział kaliski. *Polsk. Tow. Krajozn.*

Karłowicz J. — Dodatek do podań ludowych z Kaliskiego dotyczących skorup z urn i narzędzi krzemienych. *Wiśła*, VII, 164.

Kasiński W. — Stanowiska przedhistoryczne kultury łużyckiej w okolicach Łodzi. Z otchl. wieków, VII, 97.

Kieszkowska W. — Śladem świętych. Obrazy i legendy z życia polskich świętych, błogosławionych i święto-bliwych. Kraków, 1935. Wyd. księży jezuitów, s. 168. (Pięciu świętych męczenników kazimierskich, bł. Bogumił, O. Rafał Chyliński, Wanda Malczewska).

Klimek J. — Bunt nauczycieli szkół powszechnych pow. brzezińskiego. *Niepodległość*, 1933, VII, 295—298.

Konopczyński Wl. — Krwawe dni nad górną Wartą — konfederacje sieradzka, łączycka i wieluńska, *Rocznik oddziału łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego* 1929/30, s. 60, 2 mapy; w odbitce.

Kowalewski St. — Historia związków zawodowych robotników polskich w Królestwie Polskim do wybuchu wojny światowej. Poznań, 1932, s. 154.

Kozierowski St. — Studia nad pierwotnym rozszedzeniem rycerstwa wielkopolskiego, XII. Ród Korabiów. Łomża, 1933, s. 66.

Kutrzeba St. — Historia źródeł dawnego prawa polskiego. Zwyczaje ziemi łączyczej. Lwów, Ossolineum, 1926, I 102—3, 268—70.

Legenda o rzece Warcie. Gazeta Radomska, 1894, nr 12.

Lubicz R. (Łopaciński H.) — Diabeł Boruta. Kaliszanie, 1889, nr 80.

Łaskiego Jana... Liber beneficiorum archidiecezji gnieźnieńskiej... wydał ks. Jan Łukowski, uwagami zaś historycznymi, topograficznymi, heraldycznymi i t. d. oraz obszernym Łaskiego żywotem dzieło to ozdobił ks. Jan Korytkowski. Gniezno, t I — 1880; t II — 1881.

Łęczycanie. — Charakterystyka i stroje Łęczycan. Tydz. Piotrk., 1877, 14; Gazeta Kaliska, 1899, nr 85.

Łopaciński H. — Przyczynki do nowego słownika jęz. pol. (Prowincjonalizmy zebrane na Kujawach, w Kaliskim, Kieleckim, Lubelskim, na Podlasiu i w Łomżyńskim przez podpisanego i z utworów ludowych). Prace filologiczne IV, 173.

Łukaszewicz J. — Historia szkół w Koronie i w W. X. Litewskim od najdawniejszych czasów aż do r. 1794. Poznań, 1848—52.

Masłowski J. — Kolonizacja wiejska na prawie niemieckim w województwach sieradzkim, łączyczym, na Kujawach i w Ziemi Dobrzyńskiej do r. 1370. Poznań, Roczn. Hist., 1937, z. 2.

— Uwagi o rozwoju uposażenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w wiekach średnich. Poznań, Roczn. Histor., 1937, z. 1.

Merczyng H. — Wycieczka w Łęczycie. Kłosa, 1880, s. 170.

Miączyński I. — Uwagi nad teraźniejszym stanem rolnika pod względem ceny zbóż i wydatków jego. Radzie

Departamentowej Kaliskiej podane. Warsz., 1811.

M. — **S.** — Sobótka w Brzezińskim. Tydzień Piotrk., 1890, nr 26.

N. — Wycieczka nad Wartę. Przyj. ludu 1848, I. s. 34, 42, 50, 58; II. s. 211, 218, 234, 251, 262, 271, 285, 300, 310, 313, 324, 329, 339.

Nasza walka o szkołę polską 1901—1907. Opracowania, wspomnienia, dokumenty. Zebrała Komisja Historyczna pod przewodnictwem prof. dr. Bogdana Nawroczyńskiego. Warsz., 1932, s. XII, 487, XX tabl.

Opis woj. kaliskiego. — Kalendarz nowy polityczny warszawski, wyd. Netto na r. 1824.

O szopce w sieradzkich stronach. Gazeta Kaliska, 1897, nr 52.

Parczewski A. — Rejestr poborowy woj. kaliskiego 1618—20. Warsz. 1879, VIII, 304, 2 nlb., IV.

— Powstanie styczniowe w okolicach Łodzi — wspomnienia z lat chłopięcych. Rocznik oddz. Łódzk. P. T. H., 1929/30, s. 193—213; i w odb.

Pawliński A. — Księgi sądowe łączyczej od r. 1385—1419 cz. I—II (Teki... t. III i IV) Warsz., 1897. Rec. Wiśniarz A. Kwartalnik Histor., 1898, s. 913.

— Polska XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym. Wielkopolska. Warszawa, 1883, t. 2.

Pawłowski Br. — Historia wojny polsko-austriackiej 1809 r. Warsz., 1935, XVIII, 551.

Piątkowska Ign. — Cztery bajki z okolic Sieradza. Wisła, XVII, s. 459.

— Jeszcze o klechdach i pieśniach ludu w ziemi sieradzkiej. Kaliszanie, 1890, nr. 2—11. Rec. R. L(ubicz), Wisła 1890, s. 234.

— Jeszcze o ludzie wiejskim w okolicy Sieradza (odpowiedź na kwestionariusz B. Grabowskiego). Kaliszanie, 1889, nr. 85—9.

- Miłość w pieśniach ludu sieradzkiego, w „Upominku“, książce zbiorowej na cześć E. Orzeszkowej. Kraków—Petersburg, 1893, s. 611.
- Obyczaje ludu ziemi sieradzkiej. Szkic etnograficzny. Lud, IV, 410.
- O ludzie w Sieradzkim, notatka etnograficzna. Kłosy, 1890, s. 186, 205, 218, 247, 270, 278.
- Pieśni ludu w ziemi sieradzkiej przy sobótkce i na weselu. Wisła, III, 516.
- Pieśni ludu w ziemi kaliskiej. Wisła, III, 767.
- Podania z nad brzegów Warty. Gazeta Kaliska, 1897, nr. 68.
- Pogadanka o baśniach, zwyczajach i obrzędach z czasów pogańszczyzny w ziemi sieradzkiej. Kaliszanie, 1886, nr. 37.
- Pogadanka z życia ludu wiejskiego w ziemi sieradzkiej. Kaliszanie, 1886, nr. 61—2.
- Z życia ludu w ziemi kaliskiej. Wisła, III, 772.
- Zebracy, pieśni ich i znaczenie, jakie posiadają u ludu w ziemi sieradzkiej, skreśliła... Kaliszanie, 1889, nr. 96—7, toż. Wisła, 1894, s. 784.
- Piotrowski Tad.** — Dostojnicy województwa łęczyckiego za pierwszych Jagiellonów. Z mapą. Przegląd Histor., Warsz., 1935, 125.
- Piotrowski T., Wdowiszewski Z.** — Średniowieczne zapiski heraldyczne łęczyckie. Wydali... Warsz., 1935, Pol-Tow. Herald., s. 28. Uzupełn. i popr. odb. z Mies. Herald., 1935, nr. 7—11.
- Pogadanka** o uroczystościach sobótkowych w ziemi sieradzkiej. Kaliszanie, 1886, nr. 80.
- Prace archeologiczne** w woj. łódzkim. Z otchłani wieków. X, 14—5.
- Prace wykopaliskowe** w województwie łódzkim. Wiadomości ludoznawcze, Łódź, 1933, zes. 1—2.
- Raczyński E.** — Ze wspomnień Wielkopolski: Drahim, Gołańcz, Gołuchów, Konin, Koźmin, Loszokowice czyli Włoszokowice, Trzemeszno, Tuczo, Wielęń, Uniejów. Przyj. ludu, Leszno, 1843, II, s. 348.
- Rafał J.** — Formuła procesowa w Łęczyckim. Księga pamiątkowa ku czci Wł. Abrahama, 1931, II, s. 1—4 i odb.
- Kara „6 grzywien“ w Łęczyckim w późnym średniowieczu. Temis Polska, VII, 46—65 i odb.
- Kradzież w prawie łącz. XIV i XV w. Przegl. Hist., 10(30), s. 33—45 i odb.
- Kradzież w statucie łącz. 1502. Temis Polska, VII, s. 66—73 i odb.
- Przyjęcie poddaństwa w Sieradzkim w epoce nowożytnej. Temis Polska, Warsz., 1935, IX i odb.
- Rozwój przemysłu** rolnego u włościan pow. łęczyckiego. Gazeta Kaliska, 1897, nr. 78.
- Rys historyczny** kampanii odbytej w 1809 w Księstwie Warszawskim. Kraków, 1889.
- Rys statystyczny** woj. mazowieckiego. Gazeta korespondenta warszawskiego 1825, nr. 4. Dodatek do tegoż artykułu — zob. Rozmaitości Warszawskie dod. Gaz. Koresp. Warszaw., 1826, s. 41.
- Seweryn T.** — Tradycje starożytne w zwyczajach Bożego Narodzenia. Echo mazowieckie, 1926, nr. 3.
- Skalski St.** — Szkolnictwo w gub. piotrkowskiej. Szkoły niższe. Tydzień Piotrk., 1900, nr. 4.
- Skalkowski A. M.** — O cześć imienia polskiego. Lwów, 1908.
- Sobleszczański F. M.** — Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawnej Polsce. Warszawa, t. I — 1847, t. II — 1850. (Bełchatów, Gidle, Jeźów, Kalisz, Konin, Łąd, Lagiewniki, Łask, Łęczycza, Pabianice, Piątek, Piotrków, Sieradz, Sulejów, Tum, Warta, Wieluń, Wolbórz).
- Stan moralny** ludu w Piotrkowskim. Tydzień Piotrk., 1891, nr. 32.

Staszewski J. — Generał Józef Biernacki. Poznań, Roczn. Histor., 1935, z. 2.

— Kaliski wysiłek zbrojny 1806—1813. Kalisz, 1931 (1934). Tow. Przyjaciół Książki (w Kaliszu), str. 100. Odb. z Ziemi Kaliskiej. Rec. Szczygielski W. Roczniki histor. 1934, s. 311—3.

— Szkice historyczne kaliskie. Kalisz, 1933.

— Woj. kaliskie 1830—1. Turek, 1926, s. 108. Rec. Dutkiewicz J., Kwart. Hist., 1930, s. 609—12.

— Organizacja siły zbrojnej i działania wojenne w woj. kaliskim 1831 r. Roczn. Histor., 1930, s. 197—235. Rec. W. K(wiatkowski). Ziemia Kaliska, 1930, s. 294—295.

Staszic F. — Zwyczaje wielkanocne nad Wartą. Tyg. ilustr., 1860, s. 255.

Stawiski E. — Przyczynki do archeologii przedhistorycznej, zebrane w okolicach Sieradza i Radomska. Wiadomości archeolog. Warsz., 1873.

Stebelski A. — Przeszość administracyjna ziem województwa łódzkiego. Rocznik oddz. łódzk. P. T. H. 1928, str. 1—42 + 5 map.; i w odb.

Świecki F. — Ze wsi (o demoralizacji ludu w Piotrkowskim). Tydz. Piotrk. 1892, nr. 33. (por. Wisła, VII, 228—9, 415—16).

Szanławski Józef. — O dawnym województwie sieradzkim. Bibliot. Warszawska, 1851, III, 170—356.

Szlachta łęczycka. Przyj. domowy, 1855, V.

Tatarkiewicz Wl. — Typ kaliski i typ lubelski w architekturze kościelnej XVII w. Kraków, 1937, s. 3 nlb., 38, mapa. Nakł. Pol. Akad. Um. Prace Komisji Historii sztuki, 1937, VII. Odb.

Theatrum cosmographico - historicum quartum, Vierdter Schauplatz der hi-

storischen Weltbeschreibung vorstellend die neue sonderbare, traurig u. fröhliche Begebenheiten, wie auch Gross- und Klein-Polen... Auspurg, 1686.

Tomal J. — O sądach grodzkich w ziemi łęczyckiej. Roczn. zb. prac naukowych. Warsz., 1879.

Ulanowski Bol. — Eufrozyna, księżna kujawsko-łęczycka (Szkice krytyczne z w. XIII-go). Odb. z XX tomu Rozpraw Wydz. filozof. Akad. Um. Kraków, 1886. Rec. Semkowicz Al., Kwart. hist., 1887.

W. C. — Lud w powiecie sieradzkim. Głos, 1890, nr 37.

Wallcki M. — Inwentaryzacja, pow. sieradzki. Ochrona zabytków sztuki. Warsz., 1930, I.

— Powiat sieradzki. Ochrona zabytków sztuki, z. 1—4. Warsz., 1930—31, s. 432—7.

Warężak J. dr. — Rozwój uposażenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w średniowieczu z uwzględnieniem stosunków społecznych i gospodarczych w XIV i XV w. Badania z dziejów społ. i gosp. Lwów, 1929, z. 5.

W(dowiszewski) Z. — Szlachta ziemi wieluńskiej biorąca udział w pospolitym ruszeniu pod Lwowem 1621 r. Mies. herald. IX, 192—7.

Wieliczka Z. — Od Proсны po Rawicę — wspomnienia z powstania wielkopolskiego 1918—1919. Poznań, 1931, s. XVI + 424 i 24 ryc. Wyd. Tow. dla badań nad historią powstania wielkopolskiego, 1918—1919.

Wieniawski J. (Jordan) — Z owych czasów, życie przed 30 laty w pow. konińskim gub. kaliskiej. Proсна, 1895.

Wierzbowski Stan. — Konnotata wypadków w domu i kraju zaszyłych od 1634 do 1689. Lipsk, 1858, VII, 234.

Wierzbowski T. — Raporty szkół niższych i o szkołach parafialnych 1776—1793. Warszawa, 1908, 172, III (Kalisz, Konin, Koźmin, Skalmierzyce, Warta, Widawa, Zduny).

Wierzbowski W. — Jak się lud leczy w Piotrkowskim. Tydzień Piotrk., 1893, nr 1—2. Patrz Wisła, VII, 415.

Witanowski R. M. — Po bocznych drogach. Wędrowiec, 1899, nr 41 i nast. 1900, nr 1, 2, 17.

— Skorowidz przedmiotów w XXV rocznikach Tygodnia Piotrkowskiego z lat 1873—1898. Piotrków, nakł. autora, 1907, s. 80, IV.

— Wykopalisko przedhistoryczne w pow. kolskim. Wiad. num.-arch. 1899, IV., nr. 1.

Wiśe St. — Godne ochrony zabytki przyrodnicze pow. konińskiego. Czasop. przyrodn. Łódź, IV, s. 274, 2 il.

— Godne ochrony zabytki przyrodnicze, występujące na terenie woj. łódzkiego. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, IV, s. 97, 1 il., 2 mapy; s. 193, 3 il.

Wyrób płótna zgrzebnego przez włóścian pod Łodzią. Tydzień Piotrk., 1896, nr 8.

Zaremba Z. — P. P. S. w Polsce niepodległej. Zarys historii ruchu robotniczego w Polsce w 1918—1933. Warsz., 1934, nakł. Tow. Wyd. „Światło”, s. 141. Odb. z Księgi jubileuszowej z okazji 40-lecia P. P. S.

Zieliński F. — Liber beneficiorum Długosza. Bibl. Warszawska, 1871—2.

Ziemia Łęczycka żołnierzom niepodległości. 1937. s. 78. Wydane staraniem Rady powiatowej łęczyckiej oraz Federacji P. Z. O. O. w Łęczycy w dniu odsłonięcia pomników w Dalikowie ku czci powstańców 1863 r. i w Gostkowie ku czci Komendanta Józefa Piłsudskiego i jego żołnierzy.

Ziemia Łęczycka w powstaniu styczniowym. Salska H. — Bitwy i potyczki w czasie powstania styczniowego na terenie ziemi Łęczyckiej. Belina S. (Wiktor Jaworski) — Urywek z „Notatek o powstaniu w Łęczyckim powiecie w roku 1863”. Lista powstańców straconych w Łęczycy w latach 1863 i 1864. Pajdak Z. dr. — Kilka szczegółów z okresu powstania 1863 r. w Łęczyckim. Piosenki powstańców Łęczyck. Ziemia Łęczycka i legiony Piłsudskiego. Norwid Neugebauer M. gen. dyw. — Działania II batalionu 1 p. Legionów pod Łęczycą i Gostkowem. Dobrodzicki A. — Spód Warszawy. Gigiel-Meluchowicz J. płk. — Wspomnienia dowódcy plutonu z kampanii jesiennej II batalionu Legionów J. Piłsudskiego. Olszewska S. — Legioniści w Łęczycy w r. 1914. Chrzanowski W. ks. — Z kroniki parafii wartkowskiej. Klepa T. — Łęczyca w pierwszym roku wojny światowej. Skupiński S. — Kartki z dziennika mieszkanka Wiloni 1914—1918 r. Olszewska S. — Liga kobiet w Łęczycy w r. 1916—17.

Znachorzy w Łaskim — Tydzień Piotrk. 1888, nr 37.

Z nad Neru (podanie o Kazimierzu Wielkim). Tydzień Piotrk. 1889, nr 14.

Zmięrodzki J. dr. — Województwo kaliskie w walce roku 1863 i 1864. Broszura przeznaczona dla młodzieży kaliskich szkół średnich. Kalisz, 1936, s. 23. Na prawach rękopisu.

Zurek J. — Pradzieje ziemi wieluńskiej. Wieluń 1936, Koło Polsk. Macierzy Szkoln. w Wieluniu, 96, tabl. 5, mapa 1.

POWIAT BRZEZIŃSKI

B ę d k ó w

Dekowski J. P. i Socha Sz. — Wł. St. Reymont w okolicy Będkowa — praca literacko-krajoznawcza. Kościan, 1930, s. 15.

Domy drewniane z podcieniami w m. Będkowie pod Piotrkowem. Tydzień Piotrk., 1902, nr 5.

Skrodzki E. (Wielisław) — Referendarz w Będkowie, ze wspomnień. Niwa, 1892, s. 280.

Sobieszczański F. M. — Kościół parafialny w Będkowie. Tyg. ilustr., 1860, I, s. 340.

Brzeziny

Arnekker E. — System nakładowy w krajeństwie brzezińskim. Rocznik W. S. H., II, z. 2, Warsz., 1925.

Bartel O. — Grzegorz Paweł z Brzezin. Reform. w Polsce, nr 17—18. Odb. Kraków, 1927, s. 22.

Cercha S. i Kopera F. — Nadworny rzeźbiarz króla Zygmunta Starego Giovanni Cini z Sieny i jego dzieła w Polsce. Kraków, Czernecki, b. r., s. 120, il.

Ellsberger E. — Der Durchbruch bei Brzeziny am 24. Nov. 1914. 2 verbr. Aufl. Berlin. Mittler, 1930, s. 232—32.

Kniffel E. — Das Kirchspiel Brzeziny. Łódź, Libertas. 1933, s. 107. Rec. A. B. Deut. Wiss. Zeitschr. 1934, 28, s. 213—4.

Opis Brzezin. — Zabawy przyjemne i pożyteczne. Warsz., 1857, IV, z. 2—3. Rec. Bibl. Warsz. 1857, 7, III.

Sokołowski M. — Nagrobek w Brzezinach. Spraw. Kom. Hist. Szt. Ak. Um. Kraków, 1903, VII, szp. CXLII.

Sprawozdanie Dyrekcji Gimnazjum Koła Polsk. Macierzy Szkolnej w Brzezinach za okres 1916—1926, ze szczególnym uwzględnieniem lat 1924/25 i 1925/26. Brzeziny Łódzkie, 1926, s. 62.

Sprawozdanie Dyrekcji Gimnazjum Koedukacyjnego Koła Pol. Macierzy Szkolnej w Brzezinach Łódzkich za r. szk. 1926/27. Brzeziny Łódzkie, 1927, s. 48.

Zur Bschezny(Brzeziny)-Gedenkfeier in Berlin am 17. und 18. November 1934. Als Ms. gedr. Bernburg (1934), s. 17, tabl. 5. Divisions-Zeitung der ehemaligen 50. Reserve-Division 1935, Nr. 33, Beil.

Ciołki

Kaśński Wł. — Przemysł tardenoaski na stanowisku wydmyowym pod wsią Ciołki, pow. brzeziński, z 50 ryc. Przgl. archeol. V, s. 200.

Chorzęcín

Topas-Bernsztajnowa — Z Tomaszowa pod Piotrków: Zwyczaje budowlane w Chorzęciniu. Tydzień Piotrk., 1900, nr 21.

Jeżów

Chr. J. — Jeżów i okolice. Wędrowiec, 1883, s. 385, 403.

Łuszczykiewicz Wł. — Przyczynek do historii architektury dworu szlacheckiego w Polsce XVI w. Jeżów, Symbark itd. Rozprawy Ak. Um. Wydz. fil. VIII, s. 193—222, z 28 cynkotypami.

Przywileje kościoła w Jeżowie. Dziennik Powszechny, 1862, nr 137.

Rogów

Próchnik Ad. dr. — Akcja bojowa pod Rogowem. Studium historyczne. Niepodległość, III, 1930—1931, s. 32—45 i 306—322.

Tomaszów Maz.

Dekowski J. P. — Legendy i podania z okolic m. Tomaszowa Maz. Tomaszów Maz., 1935, s. 24.

- Tomaszów Mazowiecki. Przewodnik po mieście i okolicy. Tomaszów Mazowiecki, 1935, wyd. oddz. tomaszowskiego P. T. K., s. 107, plan i 2 m.
- Krahelska H.** — Wizytacje fabryk — Łódź, Częstochowa, Tomaszowska fabryka sztucznego jedwabiu; w tomie II pracy zbiorowej: Krahelska H., Kirsztowa M., Wolski St. — ze wspomnień inspektora pracy, t. I—III, Warsz., 1936.
- Narewski St.** — Z dziejów przeszłości miasta Tomaszowa i jego najbliższe

okolicy. (Tomaszów 1927) w księdze „50 jubileusz Tomaszowskiej Ochotniczej Straży Ogniowej (1877—1927)“, s. 33—59.

Rumszewicz St. — Biała Góra pod Tomaszowem Mazowieckim. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, VI, s. 211.

Wola Branicka

Stanowisko z okresu rzymskiego w Woli Branickiej w pow. brzezińskim. Z otchłami wieków, XI, s. 140, not.

POWIAT KALISKI

Chocz

- Kościół** i pałac infułatów w Chocz. Wydz. Konserw. T. O. n. Z. P. Ziemia, 1914, nr 21, s. 335—6.
- Sobczyński J. ks.** — Proces rodziny Lipskich przeciwko fiskusowi pruskiemu o zwrot skonfiskowanych dóbr chocich w r. 1797. Ziemia Kaliska, 1931, nr 6—7.
- Zempliński M. dr., Adamkiewicz H., Skorupski J.** — Po ostrej ścieżynie ku prawdzie. Walka o prawa ducha i prawa opieki szkolnej. Kalisz, 1935, s. 63 (sprawy szkolne w Chocz).

Iwanowice

- Kościół w Iwanowicach.** — Wydział Konserwatorski Tow. Opieki nad Zabytk. Przeszłości. Ziemia, 1914, nr 29, s. 462—4.

Kalisz

- Bogatko J.** — Dusza „Piątków“. Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.
- Bogner S. K.** — Magistrat kaliski w świetle swej pracy gospodarczej i społecznej. Kalisz, 1927, s. 31.
- Bohólczowa E.** — Fragmenty i wspomnienia „Piątków“ kaliskich. Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.
- Kaliniec a rzeczywistość. Kalisz w końcu XIX w. jako tło „Nocy

i dni“ Marii Dąbrowskiej. Warsz., 1935, s. 17.

— Maria z Chrzanowskich Gałczyńska. Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.

Botner T. i Michalski M. — Strajk szkolny w Kaliszu. Nasza walka o szkołę polską 1901—17. Warsz., 1932.

Brokmanowa M. — Melania Parczewska. Ziemia Kaliska, 1930, z. 2.

— Pamięci Haliny Kożuchowskiej. Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.

Brudnicka-Kononowicz — Drugie dziesięciolecie „Piątków“ 1902—1912. Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.

Bujwid O. — Ze wspomnień o Asnyku. Ziemia Kaliska, 1931, z. 6—7.

Bzowski K. — Muzeum krajoznawcze w Kaliszu. Ziemia, 1912, III, 235.

Chodyński Ad. — Baszta Dorotka (legenda o pochodzeniu nazwy). Gazeta Kaliska, 1902, nr 166.

— Hieronim Bonaparte, król westfalski, w Kaliszu. Rzecz oparta na aktach urzędowych prefektury kaliskiej z r. 1812. Kalisz, 1912, s. 89.

Czajkowski A. — Druki lekarskie z XVI, XVII i XVIII w. w bibliotece kaliskiego Tow. Lekarskiego. Poznań, 1931. Nakł. prof. dr. Adam Wrzosek, str. 9. Odbitka z Archiwum Historii i Filozofii Medycyny oraz Historii Nauk Przyrodniczych. 1931, XI, z. I—II.

- Czerwiński S.** — Wspomnienia o Melanii Parczewskiej. Ziemia Kaliska, 1930, z. 2.
- Fedecki J.** — Muzeum ziemi kaliskiej i biblioteki publiczne Kalisza. Kalisz, 1930, ABC nr 80, 85, 87, 89, 94, 98, 103, 107, 110, 115, 126, 130, 136, 139.
- Galewski M.** — Przed strajkiem szkolnym. Ziemia Kaliska, 1930, z. 2.
- Gembarzewski M. inż.** — Dawne wodociągi Kalisza. Kalisz, 1934, druk Ziemi Kaliskiej, s. 11. Rec. A. W. Roczniki dziejów społecznych i gosp., 1935, s. 358.
- Gembarzewski Br.** — Korpus kadetów w Kaliszu. Encykl. Wychowawcza. Warsz., 1904, VI, 332—340.
- Hryniewicz Z.** — „Piątki“ powojenne 1925—1931. Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.
- Idzikowski A.** — Szkoła kaliska 1850—1900. Kalisz, 1900.
- Kozulubski J.** — Dywizja ułanów w osłonie (29. XI. 1830 — 9. II. 1831). Warsz., 1927, s. 47; odb. z Bellony.
- Kwiatkowski Wł.** — Przewodnik po Kaliszu. Kalisz, 1932, Wyd. Kaliskiego Oddz. P. T. Krajozn., s. 72 + 6 nlb. z planem miasta.
- Samorząd kaliski. Zarys historyczny. Kaliski Oddział Pol. Tow. Krajoznaw. Kalisz, 1934, s. 72. Biblioteka Kaliska, nr 1.
- 325 lat drukarstwa kaliskiego. Kalisz, 1928, s. 19 i 1 nlb. Wyd. Tow. Przyj. Książki.
- Lipezyński K.** — Z lat rewolucyjnych w Kaliszu. Niepodległość, 1930—1, s. 86—103.
- Łączkowska F.** — Co mnie skłoniło do zapoczątkowania „Piątków“? Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.
- Moje wspomnienia o Halinie Kożuchowskiej, Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.
- Münch H.** — Sytuacyjny plan Kalisza z lat 1800—1802. Ziemia, 1931, s. 68—70, plan.
- Mystkowska M.** — Leontyna Szymańska, Ziemia Kaliska, 1931, z. 1—3.
- Newmann W. O.** — Kalisz czyli obraz historyczny z III w. Kraków, 1858.
- Parczewski A.** — Przed dwudziestu pięciu laty w Kaliszu. Ziemia Kaliska, 1930, z. 2.
- Rys historyczny Tow. Kred. m. Kalisza. 1886—1911. Kalisz, 1911, s. 158. Rec. J. Frejlich: Kw. hist., 1914, s. 112—3.
- Parczewska M.** — Szopka w Kaliszu. Wisła, XVII, 476.
- Gry dziecięce w Kaliszu. Wisła, XVIII, 45.
- Pesze J.** — Urywki dawnej szopki kaliskiej. Wisła, XI, 1.
- Płomyk.** — Wspomnienia z kaliskiej P. O. W. „Peowiak“ nr 2, 1932 r.
- Podania ludu polskiego o św. Wojciechu.** Gazeta Kaliska, V, 1897.
- Pstrokońska-Janowiczowa.** — Sprawozdanie z pierwszych 10 lat „Piątków“ 1891—1902. Ziemia Kaliska, 1931, s. 5.
- Raciborski J.** — Kościoły kaliskie. Kalisz. 1930. ABC nr 2, 6, 19, 26, 33, 40.
- Radwan J.** — Sprawa Alfonsa Parczewskiego w Kaliszu. (Wspomnienia z r. 1905). Niepodległość, 1932, s. 457—459.
- Scholtz K.** — Kaliska szkoła handlowa. Ziemia Kaliska, 1930, s. 53.
- Siedemdziesięcioletni** jubileusz Kaliskiej Ochotniczej Straży Pożarnej. 1864 — listopad — 1934 (monografia). (Kalisz 1935). Nakł. Kaliska Ochotnicza Straż Pożarna, s. 47.
- Skretny T.** — Dziesięciolecie szkolnictwa powszechnego w Kaliszu. Kalisz, 1928, s. 31 i 9 nlb.
- S(obieszczański) F. M.** — Pomnik grobowy arcybiskupa Stanisława Karnkowskiego w Kaliszu. Tyg. ilustr., 1863, VII, s. 8.
- Spis alfabetyczny** uczestników „Piątków“ 1891—1912 i 1925—1931. Ziemia Kaliska, 1931, s. 35 + s. 36.

Spis tematów opracowanych na „Piątkach“ w okresie 1902—1912 i 1925—1931. Ziemia Kaliska, 1931, s. 30 + 32.

Staszewski J. — Kalisko-poznańskie pogranicze 1831. Ziemia Kaliska, 1930, s. 245—52.

— Losy ksiąg i dokumentów miejskich kaliskich w XIX w. Archeion, Warsz., 1932, X, 121—126.

— Opis Kalisza z 1820 r. Ziemia Kaliska, 1930.

— Powojenna literatura w Kaliszu. Roczniki Hist. 1930, s. 257—60.

— Trzeci maj 1831 r. w Kaliszu, Ziemia Kaliska, 2, 1931, s. 157—60.

— Wiadomość o aktach kaliskich (w Archiwum Państw. w Poznaniu). Ziemia Kaliska, 1930, s. 135—143.

Stawecki Ed. — Album kaliskie, rys. Barcikowskiego, litogr. Fajansa, s. I., Warsz., 1858.

Stefański K. — Dwa wilkierze (kaliskie) z XVI w. Kalisz, 1933, s. 19. Rec. Kaczmarczyk K. Roczniki histor., 1934, s. 303.

— Herb i pieczęcie m. Kalisza. Kalisz, 1927, s. 40, nakł. Gońca Kalisk.

— Kalisz w latach 1848—1861. Obrazy z przeszłości. Kalisz, 1935. Kaliski Oddz. Pol. Tow. Krajozn., s. 56, tabl. 3. Biblioteka Kaliska nr 2.

— Mieszczanństwo kaliskie w XVI w. Obrazy przeszłości. Kalisz, 193, s. 46.

— Plac Zamkowy w Kaliszu. Kalisz, druk Ziemi Kaliskiej, 1926, 18.

— Szkoły kaliskie za czasów pruskich. (1793—1806). Kalisz, 1923, s. 19 + 1 nlb.

— Teatr w Kaliszu, kartki z przeszłości (XIX w). Ziemia Kaliska, 1931, z. 6—7.

— Tryptyk kaliski. Kalisz, 1930, ABC, nr 45.

Sw. Józef w kolegiacie kaliskiej (historia obrazu i podania do niego przywiązane). Gazeta Kal., 1901, nr 64.

Tarasinowa K., Korcala J. — Teksty źródłowe do lokacji miasta Kalisza i wsi okolicznych. (B. m. w. 1936), s. 4 (na prawach rękopisu).

Umlńska Z. — Niezapomniane. Ziemia Kaliska, 1931, s. 29.

Wallecki M. — Poliptyk kaliski na tle problemu „Mistrza ołtarza z Giessmannsdorf“. Przegl. Histor. Sztuki, 1930—1, II, s. 81—97, tabl.

Wlanki w Kaliszu. Gaz. Kaliska, 1897, nr 50.

Wiedemann F. — Zur Geschichte des Aufrufs von Kalisch 1813. Forsch. z. Brandenb. u. Preuss. Gesch. 45, 1933, s. 262—85.

Wierzbowski T. — Komisja Edukacji Narodowej i jej szkoły w Koronie. Z. 8. Raporty szkoły podwydziałowej kaliskiej. Warsz., 1907.

Zwyczaje śródpotne w Kaliszu. Kaliszanin, 1871, nr 22.

Zuprański Wl. — Wspomnienia zamachu bombowego na szkołę realną w Kaliszu w 1905 r. Ziemia kaliska, 1930, s. 51.

Kokanin

Chodyński A. — O wsi Kokanin. Kaliszanin, 1890, nr 50—60.

Włościanie z Kokanina, ich zwyczaje, przesady, przysłowia itd. Gaz. Kaliska, 1902, nr 130.

Kościelec

Kroplewnica kamienna w Kościelcu, rys. J. Olszewskiego. Ziemia, 1912, nr 37, s. 592.

Koźminek

Z Koźminka. O stanie oświaty i zamożności mieszkańców, Gaz. Kaliska, 1896, nr 63.

Lisków

- Cesul J.** inż. — Pięć lat pracy stałych kursów mleczarskich w Liskowie 1927—1932. Warsz., 1932, s. 32.
- Chmielewska A.** — Wieś polska Lisków w pow. kaliskim. Wyd. wystawy „Wieś polska“ w Liskowie, 1925 r.
- Karczewski W.** — Lisków. Dzieje jednej wsi polskiej. Lisków, 1937, s. 147+1 nlb., tabl. 15, wyd. wystawy „Praca i kultura wsi“ w Liskowie.

Oszczywik

- Fitzke J.** — Odkrycie osady z wczesnego okresu rzymskiego i cmentarzyska z okresu wędrówek ludów w Oszczywiku w pow. kaliskim. Z otchł. wieków, IX, s. 21.

Prażuchy

- Kniefel E.** — Die Gemeinde Prażuchy. Łódź. Libertas, 1933, s. 39.

Skrajna

- Jamka R.** — Sprawozdanie z badań cmentarzyska lużyckiego wczesnoląteńskiego w Skrajnej w pow. kaliskim (Sprawozdania z czynn. i posiedz. Pol. Akad. Umiej., XXXVIII, z. 10 s. 27—28).

Koło

- Fara w Kole.** Ołtarzyk kamienny z XV w. w kościele farnym w Kole rys. J. Olszewskiego. Ziemia, 1913, nr 3, s. 40—42.
- Kniefel E.** — Die Gemeinde Koło. Łódź, Libertas, 1934, s. 24.
- Ratusz w Kole,** rys. J. Olszewskiego Ziemia, 1913, nr 4, s. 57.
- Rozwaliny zamku** pod Kołem i na przedmieściu Konina. Przyj. ludu. Leszno, 1844, I, s. 4.

Stawiszyn

- Dukalski Z.** — Dzieje zboru ewang. augsburg. w Stawiszynie, Głos ewang., 1932, nr 6, 8.
- Trzydziestolecie Straży Pożarnej oraz nieco z dziejów miasta Stawiszyna. Kalisz, s. 34 i 6 nlb., 14 il.

Sulisławice

- Cz. J. ks.** — Sulisławice. Tyg. ilustr., I, 1860, s. 315.

Warta

- Chodyński A.** — Warta. Tyg. ilustr., VII, 1863, s. 163.
- Kościóły** Bernardynów i Bernardynek w Warcie. Noworocznik kaliski, 1875.

Woleń

- Jamka R. dr.** — Grób podkloszowy odkryty w Woleniu. Z otchł. wieków X, s. 62.

Zawodzie

- Chodyński Ad.** — Zawodzie i kościółek św. Wojciecha (Legends i podania o św. Wojciechu). Gaz. kaliska, 1901, nr 77—8.
- O pobyte** św. Wojciecha na Zawodziu pod Kaliszem. Gazeta kaliska, 1897, nr 19, 26, 33, 38.

POWIAT KOLSKI

- Witanowski R. M.** — Ołtarzyk kamienny w kościele kolskim. Wiad. num. archeol. 1897, nr 1, s. 31, 32.
- Zamek w Kole.** Ziemia, 1913, nr 3.

Kubłów

- Groby kujawskie** w Kubłowie w pow. kolskim. Z otchł. wiek., XI, s. 141, not.

Obałki

- Groby kujawskie** w Obałkach w pow. kolskim. Z otchł. wiek. XI, s. 64, 114, not.

Przyworów

Grób kujawski w Przyworowie w pow. kolskim. Z otchł. wiek., XI, s. 140, not.

Słupeczka

Grób kujawski w Słupeczce w pow.

kolskim. Z otchł. wiek., XI, s. 139, not.

Wólka Komorowska

Groby kujawskie w Wólce Komorowskiej w pow. kolskim. Z otchł. wiek. XI, s. 140, not.

POWIAT KONIŃSKI

Ciążeń

Ciążeń. Z otchł. wiek. XI, s. 15, not.

Kazimierz

Cz. P. — Podanie o św. Pustelnikach w Kazimierzu. Dzwonek, I, 177.

Milkowski St. — Wycieczka do Kazimierza. Kalendarz Ungra, Warsz., 1878. toż. Kolberg Lud-Kaliskie, I, 207.

Kawnica

Gawarecki W. H. — Kawnica. Pamiętnik relig.-moralny Warsz. 1850, XIX, s. 237. Kłosa, Warsz. 1871, nr 300.

Konin

A. L. — Kościół św. Bartłomieja w Koninie. Tyg. ilustr. IV, 1861, 248.

Ląd

Gawarecki W. H. — Klasztor w Łądzie. Pamiętn. relig.-moralny. Warsz., 1846, X, 518, 1858, I, 5, 121, 241. Magazyn powszechny, Warsz., 1840, 106.

Historyczny klasztor pocysterski w Łądzie (B. m. w. 1935) s. 4.

Kamiński M. — Dawne opactwo zakonu cysterskiego w Łądzie nad Wartą. Zarys dziejów i zabytki sztuki. Łąd 1936. Nakł. Małe Sem. Selezjańskie. s. 183, tabl. 23.

Kościół w Łądzie. Kłosa, VII, 344.

Sobleszczański F. M. — Kościół i klasztor w Łądzie. Tyg. ilustr., 1862, 259.

— Wnętrze kościoła kapucynów w Łądzie. Tyg. ilustr., 1863, 4.

Licheń

Manlewski S. ks. — Krótka wiadomość o Licheniu i obrazie M. B. Licheń-

skiej łaskami słynącym. Częstochowa, 1905, s. 23.

Pyzdry

Staszewski J. dr. — Bitwa pod Pyzdrami (29 kwietnia 1863) — Ustęp z pracy p. t. Generał Edmund Taczanowski. Rocznik Związku Weteranów Powstań. Narodowych R. P. 1914/19 w Poznaniu. Poznań 1935.

— Obóz Taczanowskiego w Pyzdrach, 1863. Roczniki histor. 1933, 238—41.

Słupca

Wycieczka nad Wartę. — Słupca, Strzałkowo. Przyj. ludu, Leszno 1848, nr 5—7.

Sleszyn

Aniela M. — Opis jeziora Sleszyńskiego Wędrowiec, Warsz., 1880, nr 200, toż Kolberg Lud-Kaliskie I, s. 209.

Powleść o wyspie Siemko. Pamiętnik Sandomierski. Warsz. 1829, I, s. 23; to samo w skróceniu Lwowianin, 1837, s. 34; Kolberg Lud-Kaliskie, I, s. 212.

Tuliszków

Ostrzycki M. ks. — Opis historyczny Tuliszkowa w r. 1890. Kaliszanie, 1891, nr 24—8.

Wyszyna

Raczyński E. — Wspomnienia Wielkopolski. Kłosa, Warsz., 1870, s. 387.

Zychlin

Łodzia K. — Przyczynek do 300-lecia parafii zychlińskiej. Jednota, 1931, VI, s. 84—7.

POWIAT ŁASKI

Łask

Dybczyński T. dr. — Łask, Ziemia, 1932, s. 275—8, ilustr.

Fljalek J. ks. — Legenda o Janie Łaskim i przysięga jego krakowska 1542 r. „Reformacja w Polsce“, Warszawa, 1922, Rec. Barycz H., Kw. Hist., 1924, s. 485.

Graeve bar. — Z wielkanocnych zwycięstw. Straż włościańska w przebraniu podczas grobów w Łasku. Wieś ilustr. z. 4, s. 23.

Kołodowski Ks. — Wiadomość o kościele i infuacji w Łasku. Pamiętn. rel.-moralny, VI, s. 499.

Korytkowski — Jan Łaski, Gniezno, 1880.

Miaskowski K. ks. — Z dziejów rodziny Łaskich. Il. Roczniki Historyczne, Poznań, 1933, s. 46—70.

Sokołowski M. dr. — Zabytki Łasku. Sprawozd. Kom. do bad. histor. sztuki w Polsce. Akad., Kraków, 1915, IX, szp. CCXXIV.

Zelssberg — Johann Łaski, Erzbischof von Gnesen und sein Testament. Wiedeń, 1874.

Zakrzewski W. — Rodzina Łaskich w XVI w. I Jan Łaski arcyb. gnieźn. Ateneum, 1882, II.

Okolowice

Flitzke J. — Trzy groby późnolateńskie odkryte na cmentarzysku łużyckim w Okolowicach, pow. łaski, woj. łódzkie. Przegl. archeol., V, z. 1, s. 107, il.

Orchów

Nowe cmentarzysko łużyckie w Orchowie w pow. łaskim. Z otchl. wiek., X, s. 66, 98.

Pabianice

Baruch M. — Zwyczaje bractw kościelnych w Pabianicach. Tydzień Piotrk., 1882, nr 29.

— Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne. Studia i szkice historyczne z dziejów dawnej włości kapitulnej krakowskiej w Sieradzkim i Łęczycykim. Pabianice, 1930, s. 130.

Józefiak J. — Bibliografia dotycząca m. Pabianic oraz powiatu łaskiego. Głos nauczycielstwa łódzkiego 1935/6, nr 6.

Hajkowski Z. — Uzupełnienie bibliografii dotyczącej Pabianic i pow. łaskiego. Głos nauczycielstwa łódzkiego 1935/6, nr 8.

Kläber Kurt — Die Toten von Pabianice. Erzählungen. Moskau 1936. Verlagsgenossenschaft Ausländischer Arbeiter in der U. d. S. S. R. Druck. „Iskra Rewolucji“ s. 151.

Staszewski K. — 600-lecie m. Pabianic. Pol. Tow. Krajozn., Pabianice, 1933, s. 16.

Szczerców

Przemysł garncarski — Tydzień Piotrk. 1896, nr 47.

Widawa

Kaczkowski Z. — Bitwa pod Widawą, rapsod wojenny. Tyg. il. 1898, nr 6—7.

Zalew II.

Flitzke J. — Groby z okresu wpływów rzymskich odkryte na cmentarzysku łużyckim w Zalewie II-m pow. łaski woj. łódzkie. Przegl. archeol. V, s. 189, il.

— Grób ciałopalny z Zalewa II. Przegl. archeol. V, s. 100, il.

Zelów

Czajkowski Tad. — Chałupnictwo w Zelowie. Drobny przemysł i chałupnictwo. Warsz., 1931, s. 65—164. Rec. Rychliński St. Ekonomista 1931, s. 128—9.

POWIAT ŁĘCZYCKI

D a l i k ó w

Sokollec Ant. — Cysarskie cięcie. Powieść. Warsz., 1934, wyd. Roju (opis bitwy pod Dalikowem w 1863 r.).

Ł ę c z y c a

Ciemniewski H. — Łęczyca. Stary klasztor pp. norbertanek w Łęczycy. Zamek łęczycki. Tyg. il., 1867, s. 171.

Cmentarzysko pod Łęczycą. Z otchłani wieków, VI, s. 68, 85, not.

Cmentarzysko wczesnohistoryczne w Łęczycy. Z otchłani wieków, XI, s. 140, not.

Gawarecki W. H. — Opis Łęczycy. Kalendarzyk polityczny. Warsz., 1834.

Hajkowski Z. — Boruta. Podania wybrał i poprzedził wstępem. Wyd. Łódzki Obyw. Komitet Ratow. Archikolegiaty w Tumie Łęczyckim. Łódź, 1935, s. 31

Kozierowski St. ks. — Nazwa rzeki Bzury. Język polski, 1924, IX, s. 41—3, z dod. J. Rozwadowskiego tamże, s. 43—4.

Kozubal A. kpt. — Zarys historii wojennej 37 łęczyckiego pułku piechoty im. ks. Józefa Poniatowskiego. Warszawa, 1937, s. 46, wyd. 2. Zarys historii wojennej pułków polskich 1918—1920.

Lepecka Z. — W Łęczyckiej Ziemi. Warsz., s. 96, il., nakł. Naszej Księgarni. Rec. Hajkowski Z. Głos nauczycielstwa łódzkiego r. 1935/6, nr 9.

Lesser H. — Opis Łęczycy w gub. kaliskiej. Gazeta świąteczna, 1894, nr 680.

Łęczyca. Przyj. ludu 1835, nr 17.

Niwiński M. — Dokumenty Lokietka dla dóbr łęczyckich opactwa wąchoc-

kiego. Kwartalnik histor., 1932, s. 371—7.

Szyszo-Bohusz — O synagogach żydowskich w Łęczyckim. Spraw. Kom. dla bad. hist. sztuki w Polsce. Akad. Um. Kraków, nr 6, s. 96.

Taylor E. — Szlachcic burmistrzem Łęczycy w końcu XV w. Miesięcznik Heraldyczny. 1934, nr 7—8, s. 105—108.

Wierzbowski T. — Komisja Edukacji Narodowej i jej szkoły w Koronie, zes. 2. Raporty szkoły podwydziałowej łęczyckiej. Warsz., 1902.

Zamek Łęczycki. Baszta przed zawaleniem. Przyj. Ludu. 1835, s. 132, il.

P i ą t e k

Paprocki Fr. — Piątek, rzut oka na przeszłość miasta i jego stan obecny. 1937, b. m., nakł. Banku spółdzielcz. w Piątku, s. nlb. 12, 108, il. Rec. Kaczmarek R. Roczniki dziej. społ. i gospod. Lwów, 1938, VII, 311—3.

T u m

Grodecki R. — Biblioteka Kiełcza, kustosa kolegiaty łęczyckiej. Exlibris, 1924, V, s. 18.

Kluss J. — Konserwacja wież kolegiaty w Tumie pod Łęczycą (stan w 1930 r.). Ochrona zabytków sztuki, Warsz., 1930—1, z. 1—4.

Potkański K. — Nieznani malarze zajęci w kolegiacie łęczyckiej w latach 1414—1445. Spraw. Kom. dla bad. hist. sztuki w Polsce. Akad. Um. Kraków, 1903, III, z. 3, szp. CXC—CXCI.

— Opactwo na Łęczyckim grodzie. Rozprawy Wydz. hist.-fil. Akad. Um., Kraków, 1902, t. 43, s. 81—180 i odb.

POWIAT ŁÓDZKI

Aleksandrów

Holtz E. — Hundert Jahre göttlicher Gnade u. Treue an der evangelisch-lutherischen Parochie Alexandrów. Łódź, 1901.

Kossman O. — O wydminie aleksandrowskiej. Łódź, 1930, s. 11. Wydawn. Tow. Przyr. im. St. Staszica w Łodzi, nr 14.

Ciosny

Jamka R. — Tymczasowe sprawozdanie z prac wykopaliskowych w Ciosnach w pow. łódzkim. Wiadomości ludoznawcze, Łódź, 1932, z. 3—4.

Górki Duże

Rumszewicz St. — Wycieczka do wsi Górki Duże pod Tuszymem. Czasopismo przyrodnicze, Łódź, VII, s. 84.

Łagiewniki

Petersen E. — Mannus, t. XXI, s. 284—8.

Chudek J. M. — Żywot sługi Bożego Rafała Chylińskiego, franciszkanina. Kościan, 1926, s. 15 (dod. do Gazety Polskiej w Kościanie).

Retkinia

Klimek J. — Retkinia a odradzająca się Polska. Niepodległość, 1931, IV, s. 303—314.

Ruda Pabianicka

Rumszewicz St. — Cmentarzysko przedhistoryczne w Rudzie Pabianickiej.

Czasopismo przyrodn., Łódź, r. VI, s. 56.

Tuszyn

Baruch M. — Tuszyn, materiały historyczne. Tydzień Piotrk., 1886, nr 51; 1887, nr 1, 3, 4, 5, 7, 9, 12, 14, 15, 16, 17.

Łitwin J. — Civitas Tusinensis. Karty z przeszłości m. Tuszyna. Łódź, nakł. Magistratu Tuszyna, 1930, s. 78. Rec. Loho J. Przewodnik Hist. Prawny 1930, I, 423, 4. Staszewski J. Roczn. histor., 1931, VII, 146—7; Zaleski Z. Ruch Prawn. Ekon. i Stat., 1931, XI, 406—7.

Rumszewicz St. — Reymontowskie lasy obok Tuszyna pod Łodzią. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, VI, s. 209.

Zgierz

Czyński S. — Zgierz i Łagiewniki. Księga świata, Warsz., 1861, z. 3.

Dzióbekiewicz A. — Zgierskie archiwum miejskie. Gazeta Zgierska, 1927, nr 16.

Świercz J. — Rozwój szkolnictwa powszechnego w Zgierzu od pocz. XIX w. do chwili obecnej. Gazeta Zgierska, 1921.

Odkrycie osady przedhistorycznej w Zgierzu w p. łódzkim. Z otchl. wiek. VII, 103, not.

Wachnik Br. — Zgierz — szkic historyczny. Cz. I. Zgierz rolniczo-rzemieślniczy. Zgierz 1933 (1934), s. 48.

MIASTO ŁÓDŹ

Łódź

- Ajnenkiel E.** — Akcja rozbrajania Niemców w Łodzi. (Noc z dnia 11 na 12 listopada 1918 r.). Niepodległość, VIII, 1933, s. 401—417.
- Aleksander Napiórkowski. Niepodległość, XI, 1935, s. 389—405.

— Aresztowanie Komitetu Łódzkiego P. P. S. w roku 1907. Niepodległość, XIV, 1936, s. 281—286.

— Dzieje jednej piątki (Łódź 1906—1907 r.). Niepodległość, X, 1934, s. 149—154.

- Elekcja „króla polskiego“ w Łodzi w r. 1892. *Niepodległość*, V, 1931—1932, s. 466—468.
- Jeden z pięciu tysięcy (rok 1907—8). *Niepodległość*, XII, 1935, s. 449—455.
- Łódź, pochodnia polskiego socjalizmu. Księga jubileuszowa P. P. S. 1892—1932, Warsz., 1933.
- Manifestacja przeciwmobilizacyjna w Łodzi w r. 1904. *Niepodległość*, IX, 1934, s. 310—313.
- Napad na furgon pocztowy w Łodzi w dniu 17 maja 1907 r. *Niepodległość*, IV, 1931, s. 118—126.
- O mieszkanie Józefa Piłsudskiego w Łodzi i pamiątki jego pracy. (Zdjęcia Wł. Pfeiffra). Łódź, 1936. Nakł. Zarząd Miejski, s. 22, tabl. 6. Rec. Wasilewski L. *Niepodległość*, XIV, 1936.
- Pierwsze oddziały Legionów Polskich w Łodzi. Łódź, 1934. Nakł. S. Seipelt, s. 47.
- Pieśń łódzkich barykad. Odbitka z czasopisma literacko-artystycznego „Budowa“, Łódź, 1936, s. 16.
- Potyczka z Kozakami na Widzewie. Rok 1905. *Niepodległość*, VI, 1932, s. 313—320.
- Śmierć Tomasza Książczyka (styczeń 1905). *Niepodległość*, V, 1932, s. 136—139.
- Walka o zdemokratyzowanie i spolszczenie łódzkiego samorządu w latach 1916—1917. Nakł. Magistrat m. Łodzi. 1933, s. 34.
- Zamach bombowy na policmajstra Łodzi Chrzanowskiego (w roku 1906). *Niepodległość*, VII, 1933, s. 142—148.
- Z kurzem krwi bratniej. (Walki bratobójcze w Łodzi 1906—7). *Niepodległość*, IV, 1931, s. 286—302.
- Z walk rewolucyjnych w Łodzi: I. Początki akcji bojowej P. P. S. w r. 1905. II. Walka pod Beldowem. III. Ostatnia walka bojowca „Blondynka“. *Niepodległość*, XIII, 1936, s. 56—76.

Album Pamiątkowy w 25-lecie istnienia parafii św. Józefa w Łodzi, 1910—35. Łódź, 1935, s. 47. Tekst opracował ks. M. W., fot. ks. J. Bieniasa.

Augustyniak J. — Czasopisma z lat ubiegłych w czytelnictwie publicznym w Bibliotece Publicznej w Łodzi. Kraków, 1937, s. 9. Odb. z Przeglądu Bibliotecznego, 1937.

— Biblioteka publiczna w Łodzi. Zarys rozwoju i współczesna organizacja. Warsz., 1935, s. 7. Nadb. Bibliotekarz, 1934—5, nr 9—11.

— Organizacja sieci bibliotek publicznych na terenie miasta prowincjonalnego z ewentualnym zasięgiem na teren powiatu (na przykładzie Łodzi). IV Zjazd Bibliotekarzy Polskich w Warszawie. Referaty. 1936.

— Życie naukowe Łodzi. Warsz., 1933, Nauka Polska, t. XVII, s. 173—186. Nadb.

Augustyniakowa I. — Sieć bibliotek miejskich w Łodzi. Polska oświata pozaszkolna, 1927, nr 4.

Andrzejak Edw., Malinowski St., Wendt H. — Dzieściecielecie Kasy Emerytalno-Pożyczkowej Pracowników Elektryczni Łódzkiej 1925—1935. Łódź, 1935, s. 27, tabl. 4.

Baruch M. — Łódź i dobra łódzkie w XVI wieku. Tydzień Piótrk., 1897, nr 50.

— Sąsiedztwo biskupa włocławskiego i kapituły krakowskiej na pograniczu włości pabiańskiej. *Gazeta Pabianicka*, 1929, nr 8.

Brzeziński M. i Łączny Cz. — Dzielnica Zielona w Łodzi. „Kiliński“ — N. Z. R. pamiętniki, opisy, wspomnienia, biografie. Wyd. Słow. Kilięczyków i Enzeterowców. Warsz. 1936.

Bryszewski W. — Metodyka regionalnych badań Łodzi i jej okolic w pracy szkolnej. *Czasopismo przyrodnicze*, VIII, s. 70.

- Brynerówna Hal.** — Pieśni łódzkich pracownic. Lwów 1935. Nakł. Tow. Ludoznawcze, s. 29. Odb. Lud, 1934.
- Burkot.** — Łódzka drukarnia P. P. S. w latach 1905—1907. Niepodległość, VIII, 1933, s. 290—295.
- Budownictwo** w samorządzie miasta Łodzi w latach 1928—1932. W opracowaniu Wydziału Budownictwa Magistratu m. Łodzi. Łódź 1933, s. 47. Odb. Samorząd m. Łodzi w latach 1928—1932. Sprawozdanie Zarządu Miejskiego. Łódź. 1933.
- Danielewicz J.** — P. P. S. w Łodzi w roku 1911 (ze wspomnień). Łodzianin, 1933, nr 1.
- Doczkał K.** — Wspomnienia robotnika (z lat 1883—1907). Miesięcznik Literacki, 1930, nr 4, s. 188—200; nr 5, s. 246—257.
- Dla Polski** — Łódź w Legionach. Wydane w dniu poświęcenia sztandaru Zw. Legionistów w Łodzi. 1931, s. 84. Więckowski St. dr.: Legiony polskie. Bp. Bandurski: Nad Styrem. Waszkiewicz L.: Początek powstania 1863 w Łodzi i okolicy. Rzewski A.: Z czasów rewolucyjnych. Wojciechowski Br. dr.: Łódź w dni sierpniowe 1914 r. Kalusiński T. ad. mjr. inż.: Organizacja skautowa w Łodzi. Lipiński W. mjr. dr.: Łódź w moich wspomnieniach. Lorentz Z.: Udział Zgierza w pracach obozu legionowego. Lipińska Br.: Gdy pierś legionowa krwawiła od ran. Lipińska-Wyszzyńska D.: Liga kobiet w Łodzi w latach 1914—16. Więckowska M.: Z działalności „Kół patriotów“ w Łodzi. Tomaszewska M. dr.: Ze wspomnień o Kole pomocy dla Legionistów. Kosińska W.: Pamięci Jadwigi Rowińskiej. Narbutt-Łuczyński A. gen.: Za brata. Lipiński W. mjr.:
- Jak zginął Jerzy Szletyński? Legioniści-łodzianie polegli na polu chwały. Dział sprawozdawczy.
- Dębowski Eug.** — Cech murarzy w Łodzi (1841—1936). Bibl. Instytutu Przemysłowo-Rzemieśln. wojew. łódzkiego. (Łódź). 1937, s. 98. Rec. Warężak J. Roczniki dziejów społ. i gosp. Lwów, t. VII, 307—9.
- Stulecie istnienia gospody stolarskiej w Łodzi. Łódź, 1932, s. 83.
- Dziesięciolecie** pracy Narodowej Organizacji Kobiet w Łodzi, 1918—1928. Łódź, 1928, s. 78.
- Dziesięciolecie** Tow. Przyrodniczego im. St. Staszica w Łodzi 1926—1936. Odb. z Czasopisma Przyrodniczego. Łódź, 1937, z. 1—4.
- Enka** — Podania i przesady ludowe, związane z nocą Bożego Narodzenia w Łodzi. Tydzień Piórk., 1894, s. 52.
- Felde L.** — Lodz le Manchester polonais. Bull. de la société Neufchâteloise de Geogr. 43, 1934, odb. s. 44.
- Lodz le Manchester polonais. Deuxième édition revue et augmentée. Préface de la Chambre d'Industrie et de Commerce de Lodz. Łódź, 1935, str. 54, tabl. 3. mapa 1.
- Feliksiński J.** — Narcyz Gryzel 1883—1907. Roczniki Ruchu Rewol. Warsz., 1937, nr 1.
- Fichna Boł. dr.** — Cztery lata pracy w samorządzie (1923—27). Nakł. Prezydium Rady Miejskiej m. Łodzi, s. 140, 1 il.
- Floericke K.** — Gegen Lodz u. Warschau. Stuttgart. Franckh, 1916, s. 83.
- Friedman F.** — Dzieje Żydów w Łodzi od początku osadnictwa Żydów do r. 1863. Stosunki ludnościowe. Życie gospodarcze. Stosunki społeczne. Łódź 1935 (1936). Nakł. Łódzkiego Oddz. Tow. Krajoznawcz. w Polsce, s. 391, map 5. Rec. J. Warężak — Roczniki dziejów społ. i gosp., V, s. 280—2.

- Ludność żydowska Łodzi do r. 1863 w świetle liczb. Kwartalnik statystyczny, t. X, 1933, z. 4, s. 461—495.
- Powstanie żydowskiego proletariatu przemysłowego i pierwsze konflikty społeczne w Łodzi. Miesięcznik Żydowski, 1935, z. 1—2, s. 60—8.
- Żydzi w łódzkim przemyśle włókienniczym. Łódź, 1931, s. 49. (Rec.: Ereciński T., Ruch Prawn., Ekon. i Socjol., 12, s. 920—1).
- Fuchs Edm. dr.** — Die polnische Textilindustrie (ihre Entwicklung von 1816—1927). Poznań, 1928, X, 168, tabl. 2.
- Gajewicz L.** — Tow. Kredytowe m. Łodzi. Sześćdziesiąt lat na posterunku pracy obywatelskiej i pomocy dla własności nieruchomości miejskiej. Łódź, 1932. Nakł. Tow. Kred. m. Łodzi. 1872—1932, s. 142, tabl. 17, tabeła 1.
- Gedenkschrift** aus Anlass des 20-jährigen Bestehens des Deutschen Gymnasiums zu Lodz, 1908—1928. Lodz, 1928, s. 84.
- Gimnazjum Polskie Tow. „Uczelnia“** — Państwowe Gimnazjum im. Kopernika w Łodzi, 1906—1936. Zjazd Koleżeńcki w Łodzi 8 grudnia 1936 r. Zawiera m. in.: Hajkowski Z. — Pierwsze trzy lata... K. — K. K. M. „Życie Młodzieży“ (kartka z historii uczniowskiej lat 1921—1924). Zjazd.
- Górzyński St.** — Przywilej Władysława Łęczycko-Dobrzyńskiego z 1332 r., w którym zachowała się pierwsza wzmianka o Łodzi. (Uwagi o Łodzi średniowiecznej). Warsz., 1932, s. 26.
- Graliński Tad. ks.** — Ks. dr. Wincenty Tymieniecki, biskup łódzki. Jego życie i działalność. Łódź, 1935, s. 16. Odb. Wiadomości Diecezjalne 1939, s. 5.
- Hallecki B. dr.** — Spis prac geologicznych, dotyczących obszaru woj. łódzkiego. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, III, s. 107.

- Herbiech Tad.** — Strajk szkolny w państwowym gimnazjum w Łodzi. (Nasza walka o szkołę polską 1901—1917). Warsz. 1932.
- Hertz M.** — Znaczenie łódzkiego okręgu gospodarczego i jego upośledzenie. Łódź 1935 (1936), s. 124.
- Łódź w czasie wielkiej wojny. Łódź, 1933, s. 7 nlb., 232. Polskie Tow. Histor., Oddział w Łodzi. Materiały do dziejów Łodzi i ziem województwa łódzkiego, t. I. (Rec. Grot Z. Roczniki histor. 10. 1934, s. 330—1).
- Hirsberg Fr. dr.** — Zarys położenia geograficznego i budowy geolog. t. zw. Wyżyny Łódzkiej. Czasopismo Przyrodnicze. Łódź, I, s. 201, 2 il., 1 m.
- Historia spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywczych „Rola“ i „Wyzwolenie“.** Łódź, b. r., s. 55.
- Humnicki Ant.** — Wspomnienia z lat 1888—1892. Wyd. „Życie“. Warsz., Kraków, 1907.
- Instytutu Nauczycielskiego w Łodzi** sprawozdanie z działalności w latach 1921/22—1925/26. Z zagadnień szkoły średniej i powszechnej, r. 1926, s. 52.
- Jednodniówka** pamiątkowa w 25-lecie Stowarzyszenia Robotników chrześcijańskich Łódź-Zarzew, 1906—1931. Wyd. Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w Łodzi, s. 40.
- Jednodniówka** z okazji dziesięciolecia istnienia szkoły powszechnej 1918—1928. Łódź, 1928, s. 19.
- Jednodniówka** z okazji dziesięciolecia szkolnictwa powszechnego, wyd. przez Komitet Wystawy Szkolnictwa powszechnego w pow. łódzkim. Łódź, 1928, s. 107.
- Jednodniówka** Zarządu Oddziału Łódzkiego Związku Harcerstwa Polskiego. Łódź, 1926, s. XXII, 48 + 40.

- Jędraszczyk Ign.** — Z dzielnicy Bałuckiej w Łodzi. „Kiliński“ — N. Z. R. pamiętniki, opisy, wspomnienia, biografie. Wyd. Stow. Kilińczyków iENZETEROWCÓW. Warsz., 1936.
- Kaczmarek R.** — Łódź i parafia łódzka w roku 1783. Czasopismo Przyrodnicze, Łódź, 1936, s. 117—122.
- Aleksy Drewnowicz, burmistrz Łodzi z XVIII wieku. Kartka z dziejów mieszczaństwa łódzkiego. Łódź, 1937, s. 8, odb. z nr. 9 „Dziennika Zarządu Miejskiego“ w Łodzi.
- Karliński Kl.** — Szkoły średnie w Łodzi. (Nasza walka o szkołę polską 1901—1917. Warsz., 1932).
- Kirchner Wł. ks.** — Walka z nędzą na Bałutach, przedmieściu Łodzi. Łódź, 1901, s. 51.
- Klimek J.** — Park amunicyjny Legionów Polskich w Łodzi. Niepodległość, IX, 1934, s. 388—404.
- „Czytaj“ w Łodzi a P. O. W. Niepodległość, XI, 1935, s. 151—153.
- Klätzner Kurt.** — Die Lodzer Textilindustrie in der Krise. Łódź, 1936, s. 116. Rec. J. W. Roczniki dziejów społ. i gosp. Lwów, t. VI, 1937, 442—3.
- Kochanowski J. K.** — Herb Łodzi. Kurier Warszawski. Warsz., 1903, nr 90.
- W sprawie herbu m. Łodzi. Tygodn. Ilustr. Warsz., 1903, nr 16.
- Kon P.** — Rządy gen. Kaznakowa i sądy wojenne w Łodzi w latach 1907—1909. Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce, organ Stow. b. więźniów politycznych. 1935, s. 226—229.
- Sprawa Henryka Millera o zabójstwo rotmistrza żandarmów Żadko-Andrejewa. Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce. Organ Stow. b. więźniów politycznych. 1936, s. 109—110.
- Kossmann E. O. dr.** — Das alte deutsche Lodz. Mit Aufstellungen und 2 Karten. Deutsche Wissenschaftliche Zeitschrift für Polen. Heft 30. 1936, s. 21—47. Rec. B. Puczyński. Roczn. dziejów społ. i gospod., V, s. 393/4.
- Der Siedlungsgang im Lodzer Urwald (1 Karte). Posen 1935. Odb. z Deutsche Wissenschaftl. Zeitschrift für Polen. Heft 29.
- Deutsche Siedlungskräfte auf Lodzer Boden. Deutsche Monatsh. in Polen. 1934—5, s. 136—53.
- Przyczyny geograficzne powstania przemysłu włókienniczego w Łodzi. Czasopismo Przyrodnicze, V, s. 28, 1 m.; toż w odb.
- Rozwój terenów rolniczych w puszczy łódzkiej w. XIII—XVIII. Czasopismo przyrodn. r. VIII. 1934, z. 2—4, s. 75—86.
- Rys. geograficzny planu m. Łodzi. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, r. IV, s. 167, 4 m.
- Śladami dawnej Łodzi. Łódź, 1934, s. 32, ilustr. 14. Wyd. Tow. Przyrodniczego im. St. Staszica w Łodzi.
- Zabudowania m. Łodzi pod względem krajobrazowym. Czasopismo Przyrodnicze, Łódź, V, s. 185, 11 il., 1 m.
- Krahelska H.** — Wizytacje fabryk — Łódź, Częstochowa, Tomaszowska fabryka sztucznego jedwabiu. Ze wspomnień inspektora pracy. Warsz., 1936.
- Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy. Instytut gosp. społecznego. Sprawy robotnicze nr 2. Warsz., 1927, s. 46.
- Krasuski E.** — Przemysł bawełniany w Polsce powojennej. Łódź, 1935, s. 39.
- Księga jubileuszowa** gimnazjum żeńskiego Zofii Pękowskiej i Wiktorii Macińskiej w Łodzi z okazji 25-lecia, 1901—1926. Łódź, 1927, s. 95.
- Księga pamiątkowa** 25-lecia pracy Pogotowia Ratunkowego w Łodzi. Łódź, 1927, s. 38.

- Kulmatycki Wł. dr.** — Hydrografia i rybostan rzek wojew. łódzkiego. Czasopismo Przyrodnicze. Łódź, r. X, s. 123, 2 m.
- Litwin J.** — Muncypalne fabryki włókiennicze dawnej Łodzi. Oprac. na podstawie materiałów Archiwum Akt Dawnych m. Łodzi. Łódź, 1932, s. 80. Rec. Z. Niedziałkowska. Roczn. dziejów społ. i gospod., III, 1934, s. 519—20.
- Lapiński St.** — Tkacz, obrazek z życia łódzkiego robotnika. Łódź, 1898, s. 16.
- Lurie S.** — Krasnaja Łódź. Raboczaja staczka 1892. Moskwa, 1934, s. 149.
- Małecki L.** — Urwani z szubienicy. Warsz., s. 64. (Wspomnienia robotnika z życia Łodzi robotniczej w okresie działalności szpicla Fremla).
- Manugiewicz J.** — Muzeum etnograficzne w Łodzi. Ziemia, 1932, z. 4—5.
- Przewodnik po oddziale archeologicznym Miejskiego Muzeum Etnograficznego w Łodzi. Łódź, 1936, s. 13.
- Margolis Al. dr.** — Zdrowie publiczne w m. Łodzi w latach 1927—1932. Łódź, 1933, s. 29. Odb.: Samorząd m. Łodzi 1928—1932. Sprawozdanie Zarządu Miejskiego.
- Martynowski St.** — Łódź w ogniu. Łódź 1931, s. 190.
- Matys K. S.** — 50 jubileusz Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej 1876—1926. Łódź, 1926, s. 136+23 nlb.
- Mierzyński Zdz. dr.** — Odżywianie się robotników łódzkich. Łódź, 1927, s. 12. Odb. z Wiadomości Kas Chorych w Łodzi.
- Misjon Bol. dr.** — Walka z chorobami zakaźnymi w Łodzi 1919—1934. Łódź 1935, s. 10. Odb. z Dziennika Zarządu Miejskiego w Łodzi 1935, nr 10.
- Młodzianowski E.** — Łódź na barykadam. Warsz., 1935, s. 63. Univer-
- Mogilnicki Tad. dr.** — 25-lecie szpitala Anny Marii dla dzieci w Łodzi 1905—1930. Łódź, 1930.
- Muzeum Nauki i Sztuki w Łodzi.** Ziemia, 1910, s. 447.
- Nasze piętnastolecie 1907—1922** Polskiego Związku Zawodowego Drukarzy i Pokrewnych Zawodów w Łodzi. Łódź, 1922, s. 16.
- Pamiętnik szpitala dla psychicznie i nerwowo chorych.** Kochanówka (pod Łodzią) ku uczczeniu ś. p. dr. Antoniego Mikulskiego. Kochanówka-Łódź, 1925, s. 322.
- Pamiętnik Tow. Kropla Mleka w Łodzi (1904—1926).** Łódź, 1927, s. 46 + 4 nlb + 2 tabl.
- Pieńkowski E.** — Wspomnienia dziecka ulicy z lat 1905—1907. Niepodległość, VI, 1932, s. 230—239.
- Pęczkowski M.** — Rozbrajanie Niemców w Łodzi i okręgu łódzkim. Niepodległość, XII, 1935, s. 112—123.
- Piekarski St.** — Informator na miasto wojewódzkie Łódź. Łódź, 1935, s. 111.
- Podania do ces.-niemieckich władz okupacyjnych i do Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego.** Sprawozdania i relacje Zarządu 1915—17. Sekcja Przemysłu Włóknistego Okręgu Łódzkiego. Łódź, 1918, s. 78.
- Podgórski Zyg.** — Dziesięciolecie szkolnictwa powszechnego na terenie woj. łódzkiego. Łódź, 1929, s. 56.
- Polskaja promyszlennost' Łodzinskij** Torgowo-promyszlennyj okrug, 1926 god. Izdanie Wostocznowo Tielegrafnawo Agentstwa. Warsz., 1926, s. 114.
- Polenlus** — Lodz. Von der Gründung der deutschen Weberkolonie bis zum Uebergang zum grossindustriellen Betrieb. Der Osten, 1916, H. 30, s. 383—85, H. 31, s. 397—7.

Prace polonistyczne — Łódź, 1937, s. 451.

W treści m. in.: Hajkowski Z.
— Boruta w literaturze pięknej.

- Romanówna M. — „Ziemia obiecana“ Reymonta a rzeczywistość łódzka. Czapczyński T. — Marian Piechal. Braun M. — Aleksander Kraśniański. Fallek W. — Scena łódzka pod dyrekcją A. Zelwerowicza 1908—1911. Stolarzewicz L. — Materiały do bibliografii literacko-kulturalnej Łodzi. Czapczyński T. — Łódź w świetle niektórych utworów literackich. Wrzesińska W. — Opieka społeczna nad dzieckiem na terenie Łodzi, jako temat lekcji jęz. polskiego. Skwarczyńska St. — Momenty hagiograficzne związane z regionem łódzkim na lekcjach jęz. polskiego. Jakubowski J. Z. — Dygresje o poetach łódzkich na lekcjach polskiego. Lipiec W. — Wpływy jęz. niemieckiego w łódzkim żargonie fabrycznym i niekształcenia językowe. Materiały do życia kulturalnego m. Łodzi.

Prace polonistyczne. Seria II. Łódź, 1938, s. 459.

W treści m. in.: Fallek W. — Z dziejów sceny łódzkiej: Teatr Zelwerowicza w Łodzi w r. 1920/21. Stolarzewicz L. — Materiały do bibliografii literackiej Łodzi. Czaplinski A. — Najpospolitsze błędy w wypracowaniach uczniów szkół łódzkich. Kronika oddz. łódzk. Tow. Polonistów R. P.

Próchnik Ad. dr. — Bunt łódzki w r. 1892. Studium historyczne. Wyd. Arch. Akt Dawnych m. Łodzi. Łódź, 1932, s. 156 + VI. Rec. Z. Niedziałkowska. Roczn. dziejów społ. i gospod., III, 1934, s. 585—6.

— Józef Mirecki (1879—1908). Kronika Ruchu Rewolucyjnego, Warszawa, 1937, z. 2.

Portal A. — Drukarnia konspiracyjna w Łodzi w okresie okupacji niemieckiej. Niepodległość, X, 1934, s. 404—430.

Rachalewski St. — Baśń i legenda Łodzi. Łódź, 1935, s. 182.

Rembéliński R. dr. farm. — Rajmund Rembéliński — budowniczy Łodzi przemysłowej. Łódź, 1933, s. 57. Odb. z „Rocznika Łódzkiego“ t. III. Rec. Witanowski R. M. Ziemia 1933, nr 12. Staszewski J. Roczn. Hist., 1934, s. 315—19.

Rocznik Łódzki — poświęcony historii Łodzi i okolicy. Wyd. Arch. Akt Dawnych m. Łodzi. T. II, 1928, s. 515, pod red. Raciborskiego J. przy współudziale Ziemięckiego Br. i Kaczmarczyka K. — Treść: Ziemięcki Br., Raciborski J.: — Przedmowa. Ks. dr. Morawski M. — Materiały do dziejów m. Łodzi z Archiwum Akt Kapituły Katedralnej Włocławskiej. Zand A. dr. — Łódź rolnicza 1332—1793. Studium historyczne o topografii, stanie gospodarczym, organizacji prawnej i kulturze Łodzi. Andruszewski J. — Gwardia narodowa miejska w Łodzi 1809—1815. Brauerman J. — Samorząd łódzki w XIX w. (1810—1869). Staszewski J. mgr. — Początek przemysłu lnianego w Łodzi, przyczynek do rozwoju miasta. Bachulski A. dr. — Pierwsza przędzalnia bawełny w Łodzi Chrystiana Fryderyka Wendischa. Litwin J. — Administracja m. Łodzi jako przedsięwzięcie włókiennicze w pierwszej połowie XIX w. w świetle dokumentów. Friedman F. dr. — Żydzi w łódzkim przemyśle włókienniczym w pierwszych stadiach jego rozwoju. Ajnenkiel E. — Pierwszy bunt robotników łódzkich w 1861 r. (źródła). Raciborski J. — Łódź

w 1860 r. (źródła). Sprawozdanie Archiwalne.

Rocznik łódzki, poświęcony historii Łodzi i okolicy. Wyd. Archiwum Akt Dawnych m. Łodzi. Tom III, 1933, s. 422, pod red. Raciborskiego J.; przy współudziale Ziemięckiego Br. i Kaczmarczyka K.

Treść: Parczewski A., dr. prof. U. S. B. — O genezie nazwy Łodzi. Raciborski J. — Godło i pieczęcie Łodzi. Rembieliński R. dr. — Rajmund Rembieliński, budowniczy Łodzi przemysłowej. Friedman F. dr. — Początki przemysłu w Łodzi 1823—1830. Komar M. — Powstanie i rozwój zakładów przemysłowych Ludwika Geyera 1828—1847. Ajnenkiel E. — Podniesienie m. Łodzi do rzędu miast gubernialnych w 1891 r. Andruszewski J. — Z dziejów rusyfikacji magistratu łódzkiego. Konarski A. dr. — Z dziejów łódzkiej cenzury. Próchnik A. dr. — Rządy wielkorządców łódzkich, generałów Shutlewortha i Szatliowa. Stan wojenny w Łodzi w 1905 r. Janiszewski R. — Projekt budowy linii kolejowej do Łodzi sprzed 75 laty. Raciborski J. — Bibliografia Łodzi za lata 1931—1932. Sprawozdanie Archiwalne.

Rocznik statystyczny m. Łodzi. R. 1924. Łódź, 1926, s. XIV + 202.

Rogowiez St. — Park im. St. Staszica w m. Łodzi. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, V, s. 41, 11 il., 1 m., 1 rys. — Parki i ogrody miejskie m. Łodzi. Czasopismo przyrodnicze. Łódź, V, s. 41, 12 il., 1 m.

Rogoziński A. ks. — Kartka mego życia w Łodzi. Warsz., 1908. — Wspomnienia i wspólne przeżycie ks. Andrzeja Rogozińskiego z łodzianami z okazji 30-lecia pracy społ.

narodowej. Łódź, 1934, s. 24, nakł. autora.

Rosset Edw. — Oblicze polityczne ludności m. Łodzi w świetle statystyki wyborczej. Łódź, 1927, s. 112.

— Zagadnienia gospodarki samorządowej m. Łodzi: Kwestia mieszkaniowa. Wodociągi i kanalizacja. Opieka nad niemowlęciem. Gruźlica. Alkoholizm. Finanse miejskie. Łódź, 1926, s. 86.

Roszkowski J. inż. — Budowa zbiornika wodociągowego na Budach Stokowskich. Czasopismo Przyrodnicze. Łódź, IX, s. 253, 4 il.

Rożnowski K. — Wspomnienia z tajnych drukarni „Robotnika“ w Wilnie i Łodzi. Józef Piłsudski pisarz, wydawca, drukarz, pod red. Zyg. Klemensiewicza, Edw. Kuntzego, Wład. Pocięchy. Kraków, 1936, s. 143.

Rzewski Al. — Lokaut łódzki (1906—7). Niepodległość, V, 1931—1932, s. 49—70; 200—220.

— Szlakami walki i buntu. Wspomnienia z walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Łódź, 1936, s. 204.

— W walce z trójzaborcami o Polskę Niepodległą. Wspomnienia. Łódź, 1931, s. 256.

Samorząd — Samorząd m. Łodzi 1928—1932. Sprawozdanie Zarządu Miejskiego. Łódź, 1933, s. 348, 4 nłb.

Sand H. dr. — Chałupnictwo i jego związek z przemysłem, rzemiosłem oraz bezrobociem. Zagadnienie przyszłej ustawy chałupniczej. Łódź, 1937, s. 92.

Scholz Alfr. — Die Baumwollindustrie im Lodzer Industrierayon 1823—1903. Inaugural-Dissertation. Breslau, 1904, s. 73 + tabl.

Siedziński L. — Wspomnienia z Łodzi (1899—1901). Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce. Organ Stow. b. więźniów politycznych. 1936, s. 183—192.

- Stawiński Winc.** — Pięciolecie Stowarzyszenia drukarzy łódzkich 1907—1912. Łódź, b. r., s. 32.
- Smolik P.** — Memoriał w sprawie braków i potrzeb muzeów miejskich Łodzi. Czasopismo Przyrodnicze. Łódź, V, s. 71.
- Sprawozdanie** Zarządu Pol. T-wa Teatralnego w Łodzi. Łódź, 1906, s. 55.
- Sprawozdanie** z działalności Instytutu Nauczycielskiego w latach 1921/22—1925/26. Z zagadnień szkoły średniej i powszechnej. Łódź, 1926, s. 52.
- Sprawozdanie** Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi z lat 1924—1926. Łódź, 1927, s. 12.
- Stańczak Cz. ks.** — Rzymsko-katolicka parafia św. Kazimierza. Widzew, powstanie i rozwój 1911—1928. Łódź, 1929, s. 60.
- Starkman Ad.** — Łódź i łodzianie — szkic społeczno-obyczajowy. Warsz., 1895, s. 16.
- Staromieszcianie i chłopcy** w Łodzi i okolicy. Tydzień piotrkowski, 1891, s. 11.
- Stolarzewicz L.** — Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia. Szkic literacki i antologia. Łódź, 1935, s. 396.
- Stowarzyszenie Śplewacze** im. St. Moniuszki w Łodzi. 1894—1934. Łódź, 1935, s. 33.
- Strzelecki W.** — Chałupnictwo tkackie w Królestwie Kongresowym w l. 1816—1850. Wyd. Drobny przemysł i chałupnictwo, t. I, s. 21 nlb., 242. Warsz., 1931. Instytut gospodarstwa społecznego.
- Szuman A., Dąbrowski W.** — W Łodzi 1888—1893. Szuman Antoni — Na usługach powstania wielkopolskiego, 1919. Poznań 1935, s. 97.
- Związek robotników polskich w Łodzi 1888—1893. Warsz., 1937, s. 13+1 nlb.
- Trenklerówna El.** — Polski przemysł bawełniany w pocz. XX st. (ze specjalnym uwzględnieniem płac i zarobków). Warsz., 1925, s. 95. Biblioteka Wolnej Wszechnicy Polskiej, fasc. 15.
- Trojanowski Ad.** — Ośmiolate Państwowej Szkoły Włókienniczej (1919—1927) w Łodzi. Łódź, 1927, s. 48.
- Trzeźński Witold** — Czerwona Łódź. Łódzka organizacja P. P. S. 1906—7. Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce. Organ Stow. b. więźniów politycznych, 1936, s. 167—178.
- W. W.** — Łódzkie Archiwum Akt Dawnych. Polski Przemysł Budowlany (numer poświęcony Łodzi p. n. Łódź pierwsza prządka Rzpłitej), Warsz., 1928, r. IV, nr 3, s. 144—5.
- Wasilewski L.** — Katastrofa P. P. S. 1900 r. (Aresztowanie J. Piłsudskiego w Łodzi). Niepodległość, X, 1934, s. 140—149.
- Więckowska M.** — Piętnastoletnia działalność Miejskiej Pracowni Psychologicznej w Łodzi, 1919—1934. Łódź, 1935, s. 6. Odb. Dziennik Zarządu Miejskiego w Łodzi, 1935, nr 2.
- Wisławski T.** — Opieka społeczna w m. Łodzi w l. 1927—1932. Łódź, 1933, s. 25. Odb. Samorząd m. Łodzi 1928—1932. Sprawozdanie Zarządu Miejskiego, Łódź 1933.
- Wiślicki Ad.** — Obecny wzrost m. Łodzi. Kłosy. Warsz., I, s. 115, 131.
- Wyrzykowski Wacław** ks. ś. p. (nekrolog). Łódź, 1936, s. 13.
- Wulffen von mjr.** — Die Schlacht bei Lodz. Verlag „Der grosse Krieg in Einzeldarstellungen“. Oldenburg, 1918, s. 110 mit Mappen.
- Załęski T. dr.** — 15 lat działalności Miejskiej Pracowni Bakteriologicznej. Łódź, 1931, s. 16.

- Zand A.** — Jak powstała nazwa Łodzi. Prawda, Łódź, 1928, nr 17.
— Łódź, Lwów, 1933, s. 35, nakł. Państw. Wyd. Książek Szkolnych.
- „**Z dawnych dni**“ — Miesięcznik społeczno-historyczny pod red. Stan. Martynowskiego. Łódź, 1933, nr 1,

2, 3, 4. (Wspomnienia, opisy, biografie, omawiające życie polityczne Łodzi w 1905—9 r.).

Zmudzynski T. J. — Łódzia—Łódź. Siędemset lat istnienia i sto lat rozwoju. Polski Przemysł Budowlany. Warsz., 1928, nr 3, s. 97—109.

POWIAT PIOTRKOWSKI

Jutroszyn

Mieszkańcy wsi Jutroszyn w Piotrkowskim. Tydzień Piotrk., 1902, nr 45.

Piotrków

Cebula J. — Jak wyprawiają ostatki w okolicach Piotrkowa. Gaz. Świąt., 1889, nr 426.

Czeski J. A. — Kościół pobernardyński w Piotrkowie. Tydzień Piotrk., 1895, nr 41, 43

— Kościół popijarski w Piotrkowie. Tydzień Piotrk., 1889, nr 32.

D. Emil — Piotrków, szkic statystyczno-historyczny. Tydzień Piotrk., 1888, nr 14, 15, 17, 19, 22, 28, 29, 31, 35, 36, 41, 43, 46, 47, 50, 51; 1889, nr 8, 18, 23, 31, 32.

Dylewski E. — Dworek w Piotrkowie. Tyg. Ilustr., 1884, nr 72.

Dublecki M. — Jeden dzień z życia Piotrkowa w XVIII w. Obrazy i studia historyczne, seria I. Warsz., 1901, s. 193—216.

Dziewięciokrotne dzwonicie u fary w Piotrkowie. Tydzień Piotrk., 1879, 39, 41.

Kański J. W. — Przyczynek do poznania warunków ekonomicznych gubernii piotrkowskiej (wyjątek z obszerniejszej pracy). Tydzień Piotrk., 1891, nr 50.

— Szkoły piotrkowskie. Tydzień Piotrk., 1884, nr 3—21, 23, 26—8, 30, 35, 38—44, 46—47, 50 i w odb.

Kościół popijarski w Piotrkowie. Tydzień Piotrk., 1889, nr 15; 1890, nr 11, 26, 27, 29; 1892, nr 41.

Kupczyński Tad. — Wspomnienia o strajku szkolnym w Piotrkowie. Nasza walka o szkołę polską 1901—1917. Warsz., 1932.

Malangiewicz Wl. — Dwadzieścia pięć lat temu. Niepodległość, 1934, X, 350—73.

Próchnik Ad. dr. — Józef Mirecki w więzieniu piotrkowskim. Niepodległość, 1931, IV, 185—8.

Rzeczniowski L. — Kościół farny w Piotrkowie i złożone w nim Synody. Tydzień Piotrk., 1879, nr 39, 41, 44, 45, 46, 48.

— Odrzwia kamienne i futro od okna w zamku piotrkowskim. Tyg. ilustr., 1864, IX, 152.

— Podanie o dziewięciokrotnym dzwonicie w kościele farnym w Piotrkowie. Tygodn. ilustr., 1872, nr 210. Wisła, VII, 243.

— Fara w Piotrkowie. Tyg. il., XII, 1866, 249.

— Kilka słów o Piotrkowie. Tyg. il., III, 1876, 214.

Scena trybunalska z r. 1752 (z rękopisu dotąd drukiem nieogłoszonego). Tyg. literacki. Poznań, 1838, 107.

Sob(ieszczański F. M.) — Zamek w Piotrkowie. Tyg. il., III, 1861, 80.

I-sze Sprawozdanie Dyrekcji Publicznego Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego z r. szk. 1916/17. Piotrków, 1917, s. 25, wyd. M. Dobrzański.

Sprawozdanie Dyrekcji Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego z r. szk. 1917/18. Piotrków, 1918, s. 48.

III Sprawozdanie Dyrekcji Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego w Piotrkowie za r. szk. 1918/19. Piotrków, 1919, s. 34.

Strzyżowski D. — Projekt utworzenia w Piotrkowie muzeum prowincjonalnego. Tydzień Piotrk., 1901, nr 18, 51.

Wianki w Piotrkowie. Tydzień Piotrk., 1897, nr 26.

Wieczorkowski Wl. — Kościół farny i synody w nim złożone. Tyg. il., 1865, nr 325.

— Ustęp z opisu Piotrkowa — dominikanie. Biblioteka Warszawska, t. IV, 1855.

Witanowski R. M. — Ilustrowane okoliczności Piotrkowa. Piotrków Tryb. Wyd. Oddziału Pol. Tow. Krajoznawczego, 1930, s. 60.

— Zarys prac krajoznawczych w Piotrkowie Trybunalskim. „Ziemia“, 1931, nr 23—24.

— Z dziejów trybunału kor. w Piotrkowie. Wiad. Farmac., 1928, s. 22—5.

— Zamek królewski w Piotrkowie siedzibą Tow. Krajoznaw. Ziemia, 1927, nr 2.

— Dział etnograficzny na byłej wystawie w Piotrkowie. Tydzień Piotrk., 1881, 34.

POWIAT RADOMSZCZAŃSKI

Brzeźnica

Zabytki budownictwa polskiego w Brzeźnicy i Białyninie. Tygodn. il., 1908, II, s. 911.

B. T. — Obrzędy weselne w Brzeźnicy w pow. noworadomskim. Gazeta świąt., 1895, nr 773.

T. J. — Brzeźnica (monografia historyczna). Czas, 1862, nr 59.

Wieczorkowski Wl. — O Brzeźnicy. Księga świata. Warsz., 1855, I, s. 131.

Gidle

Kościół modrzewiowy konsekrowany w r. 1059 w Gidlach. Ziemia, 1913, nr 34, s. 563 (ilustr.).

Historia o Cudownym Obrazie Przenajświętszej P. Marii, który jest w Gidlach, w kościele braci zakonu kaznodziejskiego św. Dominika, pisana

przez jednego z Braczej tegoż zakonu. Kraków, 1636.

M. Dominikanin ks. — Pamiątka z Gidel. Najświętsza Maria Panna Gidelska. Warszawa, 1871 i 1899.

Tomasz z Pilzna ks. — Historia i pożytki skarbu znalezionej obrazu cudownego P. Marii Gidelskiej. Kraków, 1645.

Brzozowski Stan. — Najświętsza Maria Panna Gidelska. Warszawa, 1885.

J. Kr. ks. — Wspomnienie pośmiertne o ś. p. O. Gabrieli Switalskim, przeorze dominikanów w Gidlach. Nakład klasztoru gidelskiego, 1916, s. 16.

Giertrudów

Moralność włościan Giertrudowa pod Radomskiem. Tydzień Piotrk., 1896, nr 9.

POWIAT SIERADZKI

Charłupia Mała

Pogorzelski W. ks. — Pamiątka koronacji obrazu Matki Boskiej w Charłupie Małej ziemi sieradzkiej, diecezji włocławskiej. Sieradz, 1937, s. 82.

Dźwignówka

Płatkowska Ign. — Baśń z nad Dźwignówki. Wisła, XIV, s. 686.

Kłodzko

W Kłodzku pow. sieradzk. Z otchl. wiek., XI, 15, not.

Kobyła Miejska

Z cmentarzyska ciałopalnego ze wsi Kobyła Miejska (pow. sieradzki). Z otchlani wieków, X, 69, not.

Męca

P. J. — Opis ubiorów ludu w Męce. *Gazeta świąt.*, 1892, nr 618.

Sieradz

Pogorzelski W. ks. — 43 lata w kapłaństwie. W niewoli rosyjskiej. Wielka wojna. Okupacja austriacka. W wolnej Polsce. Wspomnienia przeżyć, wydarzeń i osób. Sieradz, 1935, nakł. autor., s. 238, tabl. 9.

Jung L. ks. — Stary widok zamku sieradzkiego (obraz w Wrzący Wielkiej), ilustr. *Ziemia*, 1913, IV, s. 514—5.

Monstrancja gotycka z 1603 r. w kościele farnym w Sieradzu. *Ziemia*, 1913, nr 22, s. 365, ilustr.

Płatkowska Ign. — Zamek sieradzki w historii i powieści ludowej. *Lud*, VII, s. 113.

Relikwiarz w kościele farnym w Sieradzu. *Ziemia*, 1913, s. 366.

Stalle w kościele parafialnym w Sieradzu. *Ziemia*, 1913, s. 365.

Wiadomości historyczno-statystyczne o mieście Sieradzu. *Przegląd Warszawski*. 1840, I, s. 207—213.

Zdjęcie z krzyża — rzeźba w drzewie z XV w. w kościele poddominikańskim w Sieradzu. *Ziemia*, 1913, s. 361.

Warta

Jung Kaz. ks. — Na 400-lecie śmierci bł. Rafała z Proszowic 26 stycznia 1534 r. w klasztorze oo. bernardyńców w Warcie. Sieradz, 1934, nakł. autora, s. 14.

Zduńska Wola

Kupsch E. — Geschichte der Baptisten in Polen. 1852—1932. *Zduńska Wola*, 1932, s. 503.

Lehmann G. — Geschichte der evang.-augsb. Gemeinde zu Zduńska Wola. *Zduńska Wola*, 1930, 77. Rec. Kage M., *Deutsche Wiss. Zeitschr.*, 1931, H. 22, s. 171—5.

POWIAT TURECKI

Grodzisko

Legenda o założeniu kościoła w Grodzisku. *Gaz. świąt.*, 1893, nr 637.

Lęg Piekarski

Groby książęce i cmentarzyska ciałopalne z okresu rzymskiego w Lęgu Piekarskim w pow. tureckim. Z otchłani wieków, XI, s. 157, not.

Milków

Przedhistoryczne zabytki w Milkowie pod Turkiem. Z otchłani wieków, XI, s. 141, not.

Piekary

Odkrycie brązów z okresu rzymskiego w Piekarach nad Wartą. *Wiadomo-*

ści ludoznawcze, Łódź, 1933, z. 1—2, not.

Słomów Kościelny

Cmentarzysko halsztackie w Słomowie Kościelnym w pow. tureckim. Z otchłani wieków, X, s. 31, not.

Spicymierz

Cmentarzysko ciałopalne z okresu rzymskiego w Spicymierzu w pow. tureckim. Z otchł. wieków, XI, s. 156, not.

Skołński J. — Spicymierz, gród i kasztelania. Szkic historyczny. Łódź, 1936, s. 19.

Turek

Kruszyński L. L. — Związek Strzelecki na terenie miasta Turku i powiatu tureckiego. *Turek*, 1932, s. 56.

Uniejów.

- Zamek w Uniejowie.** Ziemia, 1913, s. 300, ilustr.
- Ogólny widok Uniejowa.** Ziemia, 1913, s. 301, ilustr.
- Kościółek św. Trójcy.** Ziemia, 1926, s. 151, ilustr.
- Kościół w Uniejowie.** Ziemia, 1923, s. 301, ilustr.

- Chudek J. M.** — Nowy patron Polski bł. Bogumił, arcybiskup gnieźnieński. Kościan, 1926, s. 8.
- Jańczak A. ks.** — Uroczystość bł. Bogumiła w Uniejowie i Dobrowie. A-teneum Kapłańskie, 1926, z. 1.
- Raczyński Edw.** — Wspomnienia z Wielkopolski. Przyjaciel ludu, 1843, II, s. 348.

POWIAT WIELUŃSKI

Danków

- Wieś Danków** w woj. kaliskim, pow. i obw. wieluńskim. Lwowianin, 1837, II, 14.

Grabów

- Karwowski St.** — Grabów w dawnej Ziemi Wieluńskiej. Poznań, 1890.

Krzywonek

- Grajnert J.** — Krzywonek. Bibl. Warsz., 1857.

Mała Wieś

- Fitzke J.** — Poszukiwania archeologiczne na cmentarzysku łużyckim w Małej Wsi w pow. wieluńskim z 4 ryc. Przegląd archeol., V, z. 1, s. 90.

Mokrsko

- Sobleszczański F. M.** — Zwaliska zamku w Mokrsku. Tyg. il. 1861, s. 145.

Praszka

- Jażdżewski J. dr.** — Ciekawe cmentarzysko łużyckie z końca epoki brązowej i z początku epoki żelaznej

w Praszce w pow. wieluńskim, woj. łódzkie. Z otchl. wieków, VI, 57.

Wieruszów

- Koczy L.** — Dzieje m. Wieruszowa. Poznań, Tow. Miłośników Hist., 1930, s. 104.

Wieluń

- Grajnert J.** — Kilka pieśni wojskich zebranych wśród ludu w okolicach Wielunia. Kaliszczanin, 1882, nr 78.
- Zapiski etnograficzne z okolic Wielunia, Radomska, patrz Radomsko.
- Kołodziejczyk E.** — Zwyczaje, obrządki, zagadki i pieśni ludu kaliskiego w okolicach Wielunia. Lud, XV, 91—107.
- Miniszewski J. A.** — Zwyczaje i obrządki ludu w okolicach Wielunia. Niezapominajka, noworocznik, Warsz., 1842, 187.
- Rumszewicz St.** — Grodzisko przedhistoryczne pod Wieluniem. Czasopismo Przyrodn. Łódzk., r. VI, 129.
- Wilczyński Wł.** — Informator wieluński. Wieluń, 1935, s. 140, mapa, uzupełn. i popr., s. 3 nlb.

ZYGMUNT HAJKOWSKI
ZOFIA ERDMANOWA
JADWIGA KRASICKA
GRYZELDA MISSALOWA

BIBLIOGRAFIA

PRAC MICHAŁA RAWITY-WITANOWSKIEGO

CZEŚĆ II (1930—1938)

W Roczniku 1929—30 opublikowany został wykaz prac Michała Rawity-Witanowskiego za okres 45 lat działalności. Obecnie podaje się dalszy ciąg wykazu publikacji czcigodnego pioniera krajoznawstwa i historii regionalnej w naszym okręgu.

1930

Herbarz rodzin tatarskich w Polsce Stan. Dziadulewicz. Recenzje. Ziemia XV nr 1 oraz Goniec Piotrkowski nr 11. Rodowód obrońcy Olsztyna (Kacpra Karlińskiego). Mies. Herald. 1930. Marynarka polska na Bałtyku w dawnych czasach — odczyt urządzony przez Piotrkowską Ligę Morską i Rzeczną z powodu 10-lecia odzyskania morza. Odbitka z Głosu Trybunal. w 150 egz. — rozdano do wszystkich gmin pow. piotrk. Bibliografia prac M. R. Witanowskiego. Roczn. Łódzki P. T. Histor. 1929—30, str. 244—256. Recepta Mikołaja Kopernika. Wiadom. Farmaceutyczne 1930, nr 30, str. 478—9. J. Lejtgeber. Z dziejów handlu i kupiectwa poznańskiego. Recenzja. Wiadom. Farm. 1930, str. 44.

1931

Komandoria Kawalerów Krzyżacko-Gwiazdzystych w Brześciu Kujawskim. Ziemia XVI nr 2, str. 29. Ilustrowane okolice Piotrkowa I. Piotrków Tryb. — wydano star. Oddziału Pol. Tow. Kraj. 1930, str. 58. Pamiętna Rocznica. A. B. C. r. 1931, nr 144. Zegar słoneczny Kopernika. Życie Włocławka i Okolicy VI, nr. 4. Łódź w 1820 r. Rocznik Łódzki II, str. 389—396. Gniazdo Floriana Szarego — rycerza spod Płowiec. Życie Włocławka i okolicy VI, str. 389—396. Ś. p. Halina Jaroszevska. Ziemia XVI, nr. 17—20, str. 310. Zarys prac krajoznawczych w Piotrkowie Tryb. — z powodu jubileuszu XXV-lecia istnienia Pol. Tow. Kraj. Ziemia XVI, str. 364.

1932

Brama wjazdowa Opactwa Witowskiego, zabytek architektury wojennej XV w. Z 2 rys. J. Olszewskiego. Ziemia XVII nr 1, str. 15—17. Ochrona Zabytków Sztuki. Sprawozdanie. Głos Tryb. nr 97 i A. B. C. nr 122. Tatarzyn Temruk-Szymkowicz Petyhorski — indygeną polskim. Rocznik Tatarski, Wilno 1932. Tom I, str. 180—183, odbitki. Rocznik Tatarski I. Sprawozdanie. A. B. C. nr 205, str. 6. Ziemia nr 9, str. 249. M. Feinkind. Dzieje Żydów w Piotrkowie i okolicy. Sprawozdanie. Wiadom. Histor. XLVI. Głos Trybunal. nr 190. W. Dąbrowski. Dzieje m. Rawy — w sprawozdaniu XXV-lecia tamtejszej Straży Ogniowej. Recenzja. A. B. C. nr 243.

1933

Jakich pieczęci używało miasto nasze? A. B. C. nr 217.

1934

Kaplica N. Marii Panny przy kościele poddominikańskim w Piotrkowie. Z 2 ilustr. Słowo Katolickie, nr 8, 9, 10. Nauczanie powszechne w Piotrkowie — w dawnych czasach. Głos Tryb. nr 248. Robert Rembieliński. Rajmund Rembieliński — budowniczy Łodzi przemysłowej. Łódź, 1933. Recenzja. Kwart. Historyczny XLVIII, str. 365—6.

1935

Dzieje Tow. Dobroczynności dla Chrześcijan w Piotrkowie Tryb. — z powodu 50-lecia istnienia. Piotrk. Tryb., 1935, druk T. Dobrzańskiego, in 8°, str. 16. Warowna brama Opactwa Witowskiego. Nurt — organ Tow. Liter. i Dzienn., Piotrk., nr 1, 2.

1937

Józef Rawita-Raciborski — z cyklu biografij słynnych piotrkowian. Nurt, nr 3, z portretem. Czy Kochanowscy byli tylko Korwini? Mies. Heral. XVI, str. 5. Pomnik z wycięstwa beresteckiego pod Witowem. Ziemia, XXVII, nr 10, str. 210—1, z ilustr.

1938

Ś. p. Władysław Młocki. Dzień Narodowy, XXII, nr 76. Działalność Pol. Tow. Krajozn. w Piotrkowie w r. 1938. Dz. Piotr. XXIV, nr 94—5.

SPRAWY ODDZIAŁU

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE

ODDZIAŁ W ŁODZI

RYS DZIAŁALNOŚCI 1927—1939

I. ZAŁOŻENIE ODDZIAŁU

Oddział Łódzki zawiązany został w roku 1927, jako siódma z kolei placówka organizacyjna Polskiego Towarzystwa Historycznego. Powstał w mieście ludnym, drugim po stolicy co do liczby mieszkańców, położonym w centrum Polski etnograficznej, ale pozbawionym głębszych tradycji kulturalnych. Założyciele Oddziału odczuwali konieczność zrzeszenia się celem 1) samoobrony intelektualnej ze względu na oddalenie od środowisk naukowych, 2) podnoszenia poziomu nauczania historii w szkołach i 3) zorganizowania naukowej pracy historycznej w Łodzi i okręgu łódzkim.

Akt zawiązania Oddziału poprzedziły narady inicjatorów, którzy też w marcu 1927 roku powołali do życia komisję organizacyjną. Komisja ta w porozumieniu z Zarządem Głównym Towarzystwa we Lwowie przystąpiła do pracy przygotowawczej. Utworzenie formalne Oddziału nastąpiło na posiedzeniu w dniu 30 września 1927 roku, które wyłoniło zarząd w składzie następującym: Adam Ferens, Jadwiga Krasicka, Zygmunt Lorentz, Gryzelda Missalowa, Cecylia Świderkówna.

Uroczysta inauguracja odbyła się 27 listopada 1927 r. w sali Rady Miejskiej przy udziale 120 osób, członków i zaproszonych gości z Łodzi i miast okolicznych. Przybyli przedstawiciele władz państwowych, kościelnych i samorządowych, towarzystw i zrzeszeń. Posiedzenie zainicjował w imieniu zarządu Oddziału Zygmunt Lorentz, po czym na przewodniczącego zebrania powołano Józefa Adamowicza, prezesa Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Następnie przemówienia powitalne wygłosili: w imieniu Zarządu Głównego P. T. H. Kazimierz Tyszkowski, sekretarz generalny Towarzystwa, w imieniu władz miejskich Łodzi Jan Holcgreber, prezes Rady Miejskiej, w imieniu władz szkolnych Tadeusz Czapczyński, naczelnik wydziału

szkół średnich Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego. Część naukową posiedzenia wypełniła prelekcja Witolda Kamienieckiego, profesora uniwersytetu Stefana Batorego, p. t. „Idea Jagiellońska”.

Uroczystość inauguracyjna upamiętniona została w prasie łódzkiej, która zamieściła szereg artykułów okolicznościowych, nadesłanych przez organizatorów. Artykuł programowy, opublikowany w tygodniku „Prawda” z dnia 27 listopada 1927 roku, wysuwał jako najpilniejsze zadania Oddziału Łódzkiego P. T. H.: 1) zgrupowanie pod sztandarem P. T. H. historyków i miłośników historii w najszerszym tego słowa znaczeniu, 2) organizowanie periodycznych posiedzeń naukowych, 3) założenie na gruncie Archiwum Miejskiego lub Państwowej Centralnej Biblioteki Pedagogicznej w Łodzi pracowni naukowej, która utrzymywałaby kontakt z archiwami i bibliotekami miast uniwersyteckich, 4) ustalenie potrzeb konserwatorskich, archiwalnych i wydawniczych w Łodzi i okręgu łódzkim, 5) wyjednanie od organizacyj społecznych poparcia materialnego dla badań naukowych, dotyczących historii Łodzi i okręgu łódzkiego, 6) zorganizowanie gruntownych studiów naukowych nad przeszłością Łodzi, 7) sporządzenie bibliografii regionalnej itd.

II. CZŁONKOWIE

Pierwszy skład osobowy Oddziału stanowili członkowie Towarzystwa w liczbie 20 zamieszkali w Łodzi. Oddział wykazał dużą siłę atrakcyjną i pod względem liczby członków wysunął się na trzecie miejsce w Towarzystwie (po Warszawie i Lwowie). Proces rozwoju ilustruje następujący wykaz:

Rok	1927 — 27	1930 — 77	1933 — 92	1936 — 91
	1928 — 56	1931 — 77	1934 — 94	1937 — 100
	1929 — 56	1932 — 92	1935 — 93	1938 — 125

W obecnej chwili (31. III. 1939 r.) Oddział liczy 126 członków w tym 103 w Łodzi, 20 poza Łodzią w obrębie działalności terytorialnej, 3 w dalszych okolicach Polski. Poczest członków Oddziału stanowi 98 osób i 28 instytucyj. Liczba historyków wynosi 77.

III. WŁADZE

Władze Oddziału stanowią, zgodnie ze statutem Towarzystwa, zarząd i komisja rewizyjna, wybierane przez doroczne zgromadzenie członków zwykłą większością głosów. W okresie sprawozdawczym

liczba członków zarządu Oddziału łódzkiego wahała się od 6 do 10, w chwili zaś obecnej wynosi osób 9. Od momentu założenia Oddziału wytrwali dotąd, a więc w ciągu lat 12 bez przerwy, na stanowiskach członków zarządu: Jadwiga Krasicka, Zygmunt Lorentz, Gryzelda Missalowa.

Stanowisko prezesa Oddziału w czasie kadencji pierwszego zarządu formalnie nie było obsadzone; faktycznie funkcje te sprawował od początku Zygmunt Lorentz, wybrany na prezesa w roku 1929 i piastujący tę godność do chwili obecnej. Funkcje wiceprezesa pełniła od roku 1929 do roku 1932 Gryzelda Missalowa, przez dwa lata następne — Cecylia Świderkówna, zaś od roku 1934 dotąd — Jadwiga Krasicka. Sekretarzami zarządu byli kolejno: Jadwiga Krasicka do roku 1932, Tadeusz Landecki do roku 1936, Helena Zaborowska — do chwili obecnej. Czynności skarbnika pełniły: Cecylia Świderkówna do roku 1932, Helena Zaborowska do roku 1936, Aurelia Krzywówna do chwili obecnej.

W skład zarządu wchodził: Adam Ferens (1927—1933), Eugeniusz Grzędzielski (1927—1928), Zygmunt Hajkowski (od 1933), Juliusz Jurczyński (od 1934), Aurelia Krzywówna (od 1935), Tadeusz Landecki (od 1932), Jadwiga Lechicka (1932—1934), Andrzej Mazur (1929—1932), Wacław Szczygielski (1933—1934), Jan Waręzak (od 1936), Ludwik Waszkiewicz (1929—1936), Helena Zaborowska (od 1929).

Należy zaznaczyć, że od roku 1933 prezes Oddziału jest członkiem Zarządu Głównego P. T. H.

Do komisji rewizyjnej, wybranej na posiedzeniu plenarnym dnia 20 marca 1928 roku, należeli: Józef Adamowicz, Andrzej Mazur i Stanisław Lewicki. W r. 1929 na miejsce A. Mazura wszedł Jerzy Gadomski; w roku 1932 S. Lewickiego zastąpił gen. Józef Olszyna-Wilczyński, w r. 1933 J. Gadomskiego — Jan Holcgreber. W roku 1935 komisja rewizyjna została rozszerzona do osób pięciu; należeli do niej: J. Adamowicz († 1936), J. Holcgreber, gen. J. Olszyna-Wilczyński, S. Sutkowski, C. Świderkówna, J. Świercz; w roku 1936 uległa reorganizacji i obecnie jej skład przedstawia się następująco: przewodniczący — L. Waszkiewicz, zastępca przewodniczącego — J. Świercz, członkowie M. Hertz, J. Holcgreber, S. Więckowski.

W miarę potrzeby a zgodnie ze statutem Towarzystwa zarząd Oddziału powoływał do życia komisje i sekcje; skład osobowy organów kierujących w ciągu dwunastolecia podaje się przy omawianiu ich działalności.

IV. DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA

a) Posiedzenia naukowe

1927

- 1) 21. V. Z Lorentz: Przegląd niektórych zabytków sztuki w województwie łódzkim (referat informacyjny). Obecnych osób 15.
- 2) 14. IX. J. Krasicka: Wrażenia z konferencji historyków słowiańskich i państw Europy Wschodniej, odbytej w Warszawie w czerwcu 1927 r. Obecnych osób 20.
- 3) 14. XI. J. Krasicka: Przyczynek do udziału mieszczan w konfederacji barskiej. Obecnych osób 17.
- 4) 27. XI. W. Kamieniecki: Idea Jagiellońska. Obecnych osób 120.

1928

- 1) 29. I. J. Siemiński: Źródła do dziejów Łodzi. Obecnych osób 75.
- 2) 17. II. G. Missalowa: Ideologia młodzieży polskiej w latach 1815—1830. Obecnych osób 22.
- 3) 20. III. S. Arnold: Okolice Łodzi we wczesnym średniowieczu. Obecnych osób 38.

1929

- 1) 28. IV. S. Więckowski: Rzymska gmina miejska w epoce cesarza Juliana. Obecnych osób 26.
- 2) 17. VI. T. Landeck: Warszawa w czasie okupacji austriackiej 1809 r. Obecnych osób 23.
- 3) 3. X. A. Stebelski: Łódź u schyłku Rzplitej. Obecnych osób 34.
- 4) 13. X. W. Konopczyński: Kazimierz Pułaski. Obecnych osób 142.
- 5) 26. XI. A. Próchnik: Działacze Żyromdy. Obecnych osób 34.

1930

- 1) 31. III. M. Rawita-Witanowski: Otto Schenking, biskup wendeński, pierwszy opat komendataryjny sulejowski. Obecnych osób 21.
- 2) 13. IV. J. Kucharzewski: Bakunin, Marx, Mazzini — z zagadnień międzynarodowego ruchu rewolucyjnego. Obecnych osób 224.
- 3) 20. VI. A. Ferens, Z. Hajkowski, J. Krasicka, C. Świderkówna: Sprawozdanie ze zjazdu naukowego im. J. Kochanowskiego w Krakowie. Obecnych osób 24.

1931

- 1) 26. II. J. Lechicka: Ze studiów nad sprawą polską w czasie wojny sukcesyjnej. Obecnych osób 36.

2) 28. III. R. Grodecki: Powstanie świadomości narodowej polskiej w wiekach średnich. Obecnych osób 69.

3) 29. III. R. Grodecki: Geneza społeczeństwa polskiego. Obecnych osób 85.

4) 30. III. R. Grodecki: Dzieje osadnictwa na ziemiach polskich w wiekach średnich. Obecnych osób 80.

5) 11. X. T. Landecki: Dział historyczny w większych bibliotekach łódzkich. Obecnych osób 24.

1932

1) 8. I. L. Waszkiewicz: Powstanie styczniowe w Łodzi i okolicy. Obecnych osób 49.

2) 22. I. T. Landecki: Francja a Polska w r. 1863. Obecnych osób 51.

3) 21. III. J. Siemieński: Archiwum Koronne — skarbnica praw, znamię suwerenności, źródło historyczne. Obecnych osób 50.

4) 8. XI. O. Laskowski: Jan Karol Chodkiewicz jako wódz w bitwie pod Kircholmem. Obecnych osób 42.

1933

1) 25. IV. L. Waszkiewicz: Osadnicy niemieccy podczas powstania listopadowego. Obecnych osób 46.

2) 11. V. Z. Stieber: Łęczycanie i Sieradzanie w świetle badań językowych. Obecnych osób 32.

3) 24. IX. O. Laskowski: Batory i Sobieski. Obecnych osób 700.

4) 26. X. M. Danielewiczówna: Dział rękopisów i biblioteka Muzeum im. Bartoszewiczów w Łodzi. Obecnych osób 27.

1934

1) 25. I. W. Tokarz: Insurekcja warszawska 17 i 18 kwietnia 1794 r. Obecnych osób 54.

2) 4. III. J. Dylik: Grodziska wielkopolskie w świetle ich położenia geograficznego. Obecnych osób 30.

3) 11. III. L. Wasilewski: Rola historyka wobec ruchów polityczno-społecznych na terenie Łodzi i okolicy w dobie popowstaniowej. Obecnych osób 95.

4) 8. V. M. Rawita-Witanowski: Piotrków — miejscem sejmów ogólnopolskich. Obecnych osób 55.

5) 6. XI. Z. Zmigryder-Konopka: Czynniki wojskowy w strukturze starożytnego Rzymu. Obecnych osób 47.

6) 13. XII. E. O. Kossmann: Dawna topografia Łodzi w świetle źródeł. Obecnych osób 30.

1935

1) 30. I. Z. Lorentz: Działalność Polskiego Towarzystwa Historycznego w r. 1934. Obecnych osób 35.

2) 28. IV. J. Kucharzewski: Bolesław Limanowski jako szermierz niepodległości i historyk. Obecnych osób 173.

3) 17. X. Z. Lorentz i H. Zaborowska: VI Zjazd Historyków Polskich w Wilnie — informacje i wrażenia. Obecnych osób 32.

4) 21. XI. K. Tymieniecki: Ludność niewolna we wczesnej dobie piastowskiej. Obecnych osób 55.

5) 22. XI. K. Tymieniecki: Miasta słowiańskie wczesnego średniowiecza — problem w świetle wykopalisk w Wolinie. Obecnych osób 165.

1936

1) 30. I. F. Friedman: Przemiany gospodarcze wśród Żydów Królestwa Polskiego (1815—1870) ze szczególnym uwzględnieniem industrializacji. Obecnych osób 28.

2) 13. II. J. Warężak: Osadnictwo w ziemi łowickiej. Obecnych osób 24.

3) 5. III. W. Dzwonkowski: Szymon Askenazy. Obecnych osób 45.

4) 27. III. Z. Zmigryder-Konopka: Bój w Lesie Teutoburskim — z dziejów legendy Arminiusza. Obecnych osób 45.

5) 23. IV. Ks. Bp. K. Tomczak: Leon Wielki — papież czasów przełomowych. Obecnych osób 55.

6) 22. V. S. Więckowski: Z dziejów ostatniej reakcji pogańskiej w Rzymie starożytnym. Obecnych osób 58.

7) 5. VI. M. Walicki: Kolegiata w Tumie pod Łęczycą w świetle ostatnich badań. Obecnych osób 120.

8) 14. X. J. Warężak: Archiwum Miejskie w Łodzi (referat informacyjny). Obecnych osób 42.

9) 29. X. J. Dylik: Położenie geograficzne Tumu i Łęczycy. Obecnych osób 34.

10) 3. XII. M. Handelsman: Ideologia polskiego ruchu demokratycznego w pierwszej połowie XIX w. (w 100 rocznicę Manifestu Demokratycznego). Obecnych osób 190.

11) 10. XII. R. Jakimowicz: Znaczenie grodzisk dla badań wczesnego średniowiecza w Polsce. Obecnych osób 34.

1937

1) 28. I. A. Rynkowska: Próby zaprowadzenia przemysłu lnianego w Łodzi w dobie Królestwa Kongresowego. Obecnych osób 30.

2) 11. II. I. Blauszyld: Organy administracji państwowej w Polsce Stanisławowskiej (Komisje Wielkie i Rada Nieustająca).

A. Stebelski: Cel i program kursu archiwalnego w Łodzi (referat informacyjny). Obecnych osób 28.

3) 21. II. W. Suchodolski: Znaczenie zabytków rękopiśmiennych dla nauki i życia.

A. Stebelski: Dotychczasowe próby zarejestrowania rozproszonych zabytków rękopiśmiennych w Polsce.

Z. Lorentz: Archiwalia własne regionu łódzkiego. Obecnych osób 260.

4) 11. III. M. Wodziński: Powstanie listopadowe w świetle współczesnej opinii niemieckiej. Obecnych osób 34.

5) 15. IV. N. Gąsiorowska: Kapitalizm a reformacja. Obecnych osób 50.

6) 20. V. M. Walicki: Rzeźba architektoniczna kolegiaty w Tumie pod Łęczycą na tle sztuki średniowiecznej. Obecnych osób 94.

1938

1) 23. I. Z. Lorentz: Rok 1863 w dziejach Polski i Europy.

L. Waszkiewicz: Bitwy pod Cyrusową Wolą i Dalikowem. Obecnych osób 475.

2) 3. II. Z. Zmigryder-Konopka: Etruria jako ogniwo kultury śródziemnomorskiej. Obecnych osób 72.

3) 27. III. W. Konopczyński: Biografia polska.

K. Lepszy: Polski Słownik Biograficzny. Obecnych osób 88.

4) 20. X. VIII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych w Zurychu — referat zbiorowy Zdzisławy Gardowej, Tadeusza Landeckiego i Jerzego Szretera. Obecnych osób 50.

5) 11. XI. J. Dąbrowski: Decyzja w wojnie światowej a sprawa polska. Obecnych osób 524.

1939

1) 15. II. A. Stebelski: Łódź pod rządami pruskimi (1793—1806). Obecnych osób 32.

2) 16. II. B. Łapicki: Wolność w ustroju rzymskim. Obecnych osób 30.

3) 20. II. Z. Zmigryder-Konopka: Oktawian August. Obecnych osób 72.

4) 22. II. S. Więckowski: Ideał władcy w ujęciu cesarza Juliana. Obecnych osób 32.

5) 24. II. S. Seliga: „Germania“ Tacyty. Obecnych osób 43.

6) 28. II. W. Wąsik: Recepcja Arystotelesa i jej fazy. Obecnych osób 37.

Zestawienie sumaryczne

ROK	Posiedzenia	Odczyty	Prelegenci miejscowi	Prelegenci zamiejscowi
1927	4	4	3	1
1928	3	3	1	2
1929	5	5	3	2
1930	3	3	5	1
1931	5	5	2	3
1932	4	4	2	2
1933	4	4	2	2
1934	6	6	3	3
1935	5	5	3	3
1936	11	11	6	5
1937	6	9	4	5
1938	5	7	5	4
1939	6	6	1	5
Razem	67	72	40	38

Z powyższego wykazu wynika, że działalność naukowa Oddziału znajdowała wyraz w posiedzeniach, na których prelegenci miejscowi, przeważnie członkowie Oddziału, i zamiejscowi, wybitni uczeni polscy, wygłaszali odczyty z zakresu swej specjalności, podające rezultaty najnowszych badań i poszukiwań. Niektóre z nich stanowiły fragmenty prac przygotowywanych do druku. Po odczytach wywiązywała się na posiedzeniach naukowych dyskusja, która czasem przybierała szerokie rozmiary. Frekwencja na odczytach była dość znaczna i przewyższała prawie zawsze liczbę 30 obecnych. W posiedzeniach specjalnych i uroczystych uczestniczyło przeważnie ponad sto osób. Na posiedzenia naukowe zapraszano nie tylko członków Oddziału, lecz także niezrzeszonych miłośników historii spośród łódzkiej inteligencji. Celem spopularyzowania działalności naukowej Oddziału publikowano zawiadomienia o posiedzeniach w prasie miejscowej.

W okresie sprawozdawczym odbyło się ogółem 67 posiedzeń naukowych, na których 78 prelegentów wygłosiło 72 odczyty. Niektórzy

prelegenci występowali w ciągu dwunastolecia kilkakrotnie; ogólna liczba osób wynosi 48, w tym 24 spoza regionu łódzkiego.

Przy ustalaniu planu działalności kładziono nacisk na wszechstronny dobór tematów i możliwie równomierne uwzględnianie poszczególnych dziedzin i okresów historii. Dlatego wprowadzono zagadnienia zarówno z historii starożytnej, jak średniowiecznej i nowożytnej, zarówno z historii politycznej, jak historii kultury i społeczno-gospodarczej. Szczególną pieczę otoczona była historia Polski, jej też najwięcej poświęcono zebrzań, lecz nie zaniedbywano bynajmniej tematów z historii powszechnej. W zrozumieniu doniosłości historii starożytnej utworzono w r. 1938 osobną komisję, która ma za zadanie systematycznie wprowadzać tematy z tej dziedziny na posiedzenia naukowe Oddziału. Dużą wagę przywiązywano też do historii regionalnej, której poświęcono 18 odczytów.

Pod względem charakteru tematów uwzględniano zarówno syntetyczne jak i analityczne; te ostatnie były przeważnie rezultatem samodzielnych badań prelegentów. Z ważniejszych wymienić tu można odczyty: W. Kamienieckiego o „Idei Jagiellońskiej”, W. Tokarza o „Insurekcji warszawskiej”, W. Konopczyńskiego o „Kazimierzu Pułaskim” i M. Walickiego o „Kolegiacie w Tumie pod Łęczycą”.

Do rzędu odczytów analitycznych zaliczyć należy wszystkie te, które dotyczyły historii regionalnej. Posiedzenia naukowe Oddziału były dla badaczy przeszłości Łodzi i okręgu trybuną, z której mogli referować wyniki swych trudów i dopominać się nie nadaremnie o rzeczową i pożyteczną dyskusję. Istnienie i wyzyskanie tej możliwości wpłynęło w sposób widoczny na tematykę, organizację i poziom studiów historycznych w Łodzi.

Cenną pozycję w działalności naukowej Oddziału stanowią posiedzenia o charakterze uroczystym, w których uczestniczyli prócz członków i sympatyków liczni goście spośród łódzkiej inteligencji. Zwoływane były albo w związku z dorocznymi zgromadzeniami Oddziału, albo też celem uczczenia ważniejszych rocznic. Zaliczyć do nich należy 1) posiedzenie inauguracyjne Oddziału z odczytem W. Kamienieckiego o „Idei Jagiellońskiej”, 2) posiedzenie uroczyste z odczytem W. Konopczyńskiego o „Kazimierzu Pułaskim” w 150 rocznicę zgonu, 3) posiedzenie doroczne z odczytem J. Kucharzewskiego o „Bakuninie, Marxie i Mazzinim”, 4) posiedzenie uroczyste z okazji 250 rocznicy odsieczy wiedeńskiej z odczytem mjra O. Laskowskiego o Batorym i Sobieskim, 5) zgromadzenie doroczne z odczytem J. Kucharzewskiego,

poświęconym Bolesławowi Limanowskiemu — po śmierci tego szermierza niepodległości i historyka, 6) posiedzenie publiczne z odczytem K. Tymienieckiego o miastach słowiańskich we wczesnym średniowieczu, 7) posiedzenie publiczne z odczytem M. Walickiego o Kolegiacie w Tumie pod Łęczycą, 8) posiedzenie uroczyste z okazji stulecia Manifestu Demokratycznego z odczytem M. Handelsmana o „Ideologii polskiego ruchu demokratycznego w pierwszej połowie XIX w.”, 9) posiedzenie publiczne z okazji otwarcia kursu archiwalnego, 10) posiedzenie uroczyste z okazji 75-lecia powstania styczniowego z odczytami Z. Lorentza i L. Waszkiewicza, 11) uroczyste publiczne posiedzenie w 20 rocznicę niepodległości z odczytem J. Dąbrowskiego „Decyzja w wojnie światowej a sprawa polska”.

Dużo uwagi poświęcono zagadnieniom aktualnym z dziedziny organizacji nauk historycznych; tak więc 1) na posiedzeniach naukowych stale informowano członków Oddziału o rozwoju prac P. T. H., raz nawet przeznaczono na ten cel osobne posiedzenie, 2) wysyłano liczne delegacje na zjazdy naukowe historyczne i dziedzin pokrewnych, po czym delegaci Oddziału zdawali sprawę z prac owych zjazdów na specjalnych posiedzeniach. Dotyczy to zjazdów historyków polskich (1930 i 1935) i zjazdów międzynarodowych (1933 i 1938), jak również konferencji historyków Europy Wschodniej w r. 1927 i zjazdu naukowego im. J. Kochanowskiego w Krakowie w r. 1930. Organizowano także odczyty dotyczące łódzkich zbiorów archiwalnych, muzealnych i bibliotecznych, połączone z pokazami.

Nierównomierny rozkład posiedzeń na poszczególne lata wynikał z ogólnego planu prac Oddziału, który wyznaczał kierunek wysiłków w różnych dziedzinach działalności. Jak wynika z podanej tabeli, najintensywniejszy ruch odczytowy przypada na rok 1936, w którym odbyło się 11 posiedzeń naukowych.

b) Sprawy archiwalne

Od początku działalności Oddział doceniał znaczenie spraw archiwalnych, zaniedbanych na naszym terenie pod każdym względem. Dlatego też wdrożono starania, mające na celu translokację archiwum państwowego z Piotrkowa Trybunalskiego do Łodzi. W oparciu o to archiwum i archiwum miejskie w Łodzi rozwijać by się mogły pomyślniej historyczne studia regionalne w środowisku łódzkim.

Zarząd Oddziału, uważając, że sprawa uporządkowania materiałów archiwalnych w województwie łódzkim wymaga szczególnie staran-

nego przygotowania, podjął w r. 1934 odpowiednie zabiegi. Celem stworzenia warunków, w których Archiwum Akt Dawnych w Łodzi stałoby się wzorem dla urzędów archiwalnych województwa, zarząd przyczynił się do zmian personalnych w archiwum łódzkim, które zostało powierzone siłom kompetentnym. Dla podniesienia poziomu pracowników archiwów państwowych, samorządowych i gmin wyznaniowych województwa łódzkiego zorganizowano dla nich w porozumieniu z Wydziałem Archiwów Państwowych kurs archiwalny. Kurs odbył się w dniach od 21 do 25 lutego 1937 roku. Poprzedziło go publiczne naukowe posiedzenie Oddziału, na którym prelekcje wygłosili: Witold Suchodolski, dyrektor naczelny Archiwów Państwowych, Adam Stebelski i Zygmunt Lorentz. Wykłady i ćwiczenia przeprowadzili: Adam Moraczewski, Zofia Olszawska-Skowrońska, Adam Stebelski (kierownik kursu) i Jan Wareżak (sekretarz kursu). Liczba uczestników wynosiła 123 osoby — z Łodzi i 24 miejscowości województwa. Wykłady objęte kursem zostaną wydrukowane. Kurs archiwalny poza znaczeniem praktycznym ma także znaczenie naukowe dla regionu łódzkiego, gdyż na słuchaczach kursu Oddział łódzki P. T. H. pragnie oprzeć prace wstępne, zmierzające do zarejestrowania rozproszonych na terenie województwa łódzkiego materiałów archiwalnych. Wysunięta też została sprawa zorganizowania archiwów gospodarczych¹⁾.

Zarząd Oddziału zainicjował niektóre kwerendy archiwalne, dotyczące dziejów Łodzi, i podjął się roztoczenia nad nimi fachowej opieki. W tym celu wyłonił komisję, złożoną z prezesa Z. Lorentza, Jana Wareżaka i Ludwika Waszkiewicza.

c) Komisja bibliograficzna

Jednym z zadań Oddziału łódzkiego P. T. H., wyszczególnionych w programie prac z r. 1927, jest sporządzenie pełnej bibliografii opracowań i źródeł (drukowanych), dotyczących historii ziem i miejscowości woj. łódzkiego, oraz jej uzupełnianie przez publikowanie materiału bieżącego. Dla przeprowadzenia tej pracy zarząd wyłonił na progu swej działalności w r. 1927 komisję bibliograficzną, do której weszły: Jadwiga Krasicka, Gryzelda Missalowa i Cecylia Świderkówna. W r. 1935 został powołany do komisji Zygmunt Hajkowski i objął jej przewodnictwo. Od roku 1937 skład komisji jest następujący: Z. Hajkowski — przewodniczący, Z. Erdmanowa, J. Krasicka i G. Missalowa — członkowie.

¹⁾ Por. artykuły Adama Stebelskiego w Rocznikach: 1929—1930 i niniejszym.

Komisja przystąpiła bez zwłoki do sporządzania bibliografii, lecz zdając sobie sprawę, że praca ta wymaga dłuższego wysiłku, ogłosiła w Roczniku za rok 1928 fragment, obejmujący wykaz podstawowych wydawnictw encyklopedycznych oraz wybór ważniejszych monografii i pryczyneków, które dotyczą miejscowości województwa, godnych uwagi ze względu na ich rolę historyczną lub zabytki, jako też ich znaczenie w chwili obecnej. W następnym Roczniku za lata 1929/30 komisja umieściła dalsze wyniki swych prac, a mianowicie: 1) wybór bibliografii, odnoszącej się do miejscowości nie objętych poprzednim wykazem, 2) spis miejscowości, które zostały gruntowniej uwzględnione w Słowniku Geograficznym i w „Zbiorach Polskich“ E. Chwalewika, 3) bibliografię bieżącą za lata 1928 i 1929. Komisja rozpoczęła inwentaryzację miejscowości o znaczeniu historycznym lub zabytkowym. Dalsze wyniki swych długoletnich poszukiwań komisja ogłasza w Roczniku niniejszym.

d) Komisja Polskiego Słownika Biograficznego

W marcu 1938 roku na podstawie propozycji redaktora naczelnego Polskiego Słownika Biograficznego uformowała się komisja łódzka tegoż Słownika w oparciu o Oddział łódzki P. T. H. Prezydium komitetu w składzie: Z. Lorentz — przewodniczący, Z. Hajkowski — zastępca przewodniczącego, J. Warężak — sekretarz przystąpiło do akcji określonej w regulaminie ramowym, który opracowała dla komisji lokalnych redakcja Słownika. Prezydium działu solidarnie z szerszym komitetem, do którego należą miejscowi historycy, zajmujący się historią regionalną, oraz grono osób dobrze zorientowanych w życiu i tradycjach Łodzi i okolicy. Działalność komisji znajduje się w stadium początkowym.

e) Badania językowe

Oddział łódzki P. T. H. zainicjował badania językowe (gwaroznawcze) na terenie dawnych województw łęczyckiego i sieradzkiego. W tym celu porozumiano się z łódzkim kołem Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego i w końcu roku 1929 praca została rozpoczęta. Wyłoniono komisję organizującą badania w składzie następującym: Z. Hajkowski — przewodniczący, H. Zaborowska — sekretarz, G. Missalowa — skarbnik, T. Czapczyński, M. Gundlachówna i Z. Lorentz — członkowie. Komisja mogła rozwinąć owocną działalność dzięki życzliwemu poparciu jej zamierzeń przez władze państwowe, kościelne i samorządowe. Działalność tę zapoczątkowała konferencja

odbyta dnia 12 lutego 1930 roku w łódzkim Urzędzie Wojewódzkim pod przewodnictwem wojewody Władysława Jaszczolta. Uczestniczył w niej Kazimierz Nitsch, który w przemówieniu programowym przedstawił projekt atlasu językowego województwa łódzkiego¹⁾.

Właściwą pracę prowadził od jesieni 1930 r. do wiosny 1931 r. Zdzisław Stieber z Krakowa pod kierownictwem i nadzorem naukowym prof. Nitscha. W ciągu tego czasu Z. Stieber zebrał materiał gwaroznawczy w 42 miejscowościach badanego terenu. Za zgodą ministra W. R. i O. P. Sławomira Czerwińskiego prowadzący badania otrzymał etat nauczycielski w gimnazjum państwowym w Łodzi i urlop na cały czas pracy. Potrzebną sumę 3740 zł uzyskano od samorządów powiatowych i miast wydzielonych badanego terenu oraz osób prywatnych.

Materiał należycie zabezpieczony oddano w depozyt Polskiej Akademii Umiejętności — do czasu utworzenia w Łodzi odpowiedniej instytucji naukowej. Sprawozdanie obrazujące wyniki badań ogłasza eksplorator w niniejszym Roczniku.

f) Badania antropogeograficzne

Oddział zainicjował i poparł badania antropogeograficzne okręgu łódzkiego, wychodząc z założenia, że są one niezbędnym elementem planowego studium regionalnego. W tym celu został przez Urząd Wojewódzki w Łodzi oraz izby gospodarcze powołany do życia Komitet, który po porozumieniu się z prof. Stanisławem Pawłowskim powierzył pracę powyższą Janowi Dylikowi. Rezultaty badań antropogeograficznych zostaną opublikowane w najbliższej przyszłości.

g) Ochrona zabytków sztuki

Z inicjatywy Oddziału i przy udziale jego członków powstał pod protektoratem J. E. ks. biskupa Wincentego Tymienieckiego i wojewody łódzkiego Aleksandra Hauke-Nowaka, a pod przewodnictwem J. E. ks. biskupa Kazimierza Tomczaka Obywatelski Komitet Ratowania Kolegiaty w Tumie pod Łęczycą. Z ramienia zarządu weszli w skład Komitetu: Zygmunt Hajkowski, Jadwiga Krasicka i Zygmunt Lorentz. Komitet uznał za swe zadanie 1) współdziałać z państwowymi władzami konserwatorskimi w usprawnianiu organizacji robót konserwatorskich i rozciąganiu należytej opieki naukowo-artystycznej nad

¹⁾ Por. K. Nitsch. O atlas językowy województwa łódzkiego, Rocznik Oddziału Łódzkiego P. T. H. 1929—1930.

Tumem¹⁾, 2) inicjować i popierać badania naukowe nad przeszłością Kolegiaty, 3) popularyzować znaczenie Tumu i Łęczycy.

Ad 1) Zebrano znaczne fundusze (16.000 zł), które przyczyniły się do przyspieszenia i rozszerzenia robót z dziedziny konserwacji i restauracji oraz umożliwiły akcję wydawniczą. Ad 2) Zwrócono się do M. Walickiego z propozycją naukowego opracowania kolegiaty. W rezultacie powstała monografia Tumu pióra tego autora i została wydana z należnym pietyzmem dzięki staraniom zarządu i pod jego pieczęcią. Ad 3) Na życzenie Komitetu tumskiego zarząd delegował Z. Hajkowskiego, J. Krasicką, A. Krzywcównę i Z. Lorentza do współpracy, która znalazła wyraz w wygłoszeniu prelekcji w Polskim Towarzystwie Krajoznawczym w Łodzi oraz w pełnieniu roli przewodników dla masowych wycieczek do Tumu. Wycieczek tych w latach 1934—1938 było pięć (uczestników ca 6 tysięcy).

h) Inne inicjatywy naukowe

Poza tym zarząd Oddziału zainicjował zbieranie materiałów do historii ruchów politycznych i społecznych w ostatnim 50-leciu na terenie województwa łódzkiego (konferencja 11. III. 1934 r. z odczytem Leona Wasilewskiego), jako też badanie grodzisk wczesnohistorycznych na tymże terenie (posiedzenie 10. XII. 1936 r. z odczytem Romana Jakimowicza). Plany te natrafiły na znaczne trudności i na razie nie zostały rozwinięte, zarząd jednak w uznaniu ich znaczenia naukowego nie rezygnuje bynajmniej z wznowienia ich w odpowiednim momencie.

i) Współpraca z instytucjami naukowymi

Zmierzając do poprawienia warunków życia umysłowego i lepszej organizacji pracy naukowej w Łodzi i regionie łódzkim, zarząd Oddziału współdziałał w tworzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Łodzi, jako też użyczał pomocy sekcji nauk humanistycznych tego Towarzystwa. Oddział pozostawał w stałych i przyjaznych stosunkach z Wolną Wszechnicą Polską i wielce to sobie cenił. Dobrze układała się zawsze współpraca z Towarzystwem Miłośników Języka Polskiego, Towarzystwem Polonistów, Towarzystwem Filologicznym, Towarzystwem Wiedzy Wojskowej, Towarzystwem Krajoznawczym i gronem miejscowych geografów.

¹⁾ por. artykuł inż. T. Sawickiego w niniejszym Roczniku.

V. BIBLIOTEKA

Oddział posiada zaczątek biblioteki, w której specjalną pieczęcią otaczany jest dział regionalny. Tak więc, poza książkami otrzymywanymi w darze, egzemplarzami wymiennymi i recenzyjnymi, nabywa się dzieła dotyczące regionu łódzkiego. Głównym źródłem tych nabytków są antykwarnie. Powolny rozwój księgozbioru powodowany jest brakiem odpowiednich funduszy na ten cel.

Obecnie biblioteka liczy 450 tomów, w czym 85 tomów czasopism. Posiada tak poważny zbiór, jak komplet „Kwartalnika Historycznego“ (jedyne w Łodzi), abonuje różne wydawnictwa, wśród nich Polski Słownik Biograficzny. Jest zinwentaryzowana i skatalogowana w całości i pozostaje do dyspozycji członków.

VI. DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA

a) Publikacje

1929

Rocznik 1928. Rozprawy i artykuły: Przeszłość administracyjna ziem województwa łódzkiego, przez Adama Stebelskiego. Źródła: Trzy raporty Rajmunda Rembelińskiego, Prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, z objazdu obwodu łączyckiego w roku 1820, przez Zygmunta Lorentza. Bibliografia regionalna: Bibliografia historii ziem i miast województwa łódzkiego, przez Jadwigę Krasicką, Gryzeldę Missalową i Cecylię Świderkową. Dydaktyka historii: Zakres i metoda nauczania dziejów XX wieku w szkole średniej, przez Hannę Pohoską. Sprawy oddziału: Sprawozdanie z działalności Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego za lata 1927 i 1928. Komunikaty Zarządu Oddziału. Stronic 8 nlb. + 98; 5 map.

1930

Rocznik 1929—1930. Rozprawy i artykuły: Krwawe dni nad górną Wartą. Konfederacja sieradzka, łączycka i wieluńska w latach 1768—72, przez Władysława Konopczyńskiego. Łódź i klucz łódzki u schyłku Rzplitej, przez Adama Stebelskiego. O atlas językowy województwa łódzkiego, przez Kazimierza Nitscha. Regionalna rejestracja i inwentaryzacja archiwów i innych zbiorów rękopiśmiennych, przez Adama Stebelskiego. Źródła: Raport Prezesa Komisji Wojewódzkiej Mazowieckiej o stanie przemysłu włókienniczego w r. 1828,

przez Zygmunta Lorentza. Powstanie styczniowe w okolicach Łodzi, wspomnienia z lat chłopięcych, przez Alfonsa Parczewskiego. Kilka dokumentów do dziejów strajku szkolnego w Piotrkowie Tryb. w r. 1905, przez Ludwika Waszkiewicza. Miscellanea: Królewska księga w Łodzi, przez Przemysła Smolika. Bibliografia regionalna: Bibliografia historii ziem i miejscowości województwa łódzkiego, przez Jadwigę Krasicką, Gryzeldę Missalową i Cecylię Świderkową. Bibliografia prac Michała Rawity-Witanowskiego, 45 lat działalności na niwie historii regionalnej. Sprawy Oddziału: Sprawozdanie z działalności Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego za czas od 1. I. 1929 do 1. VI. 1930. Stronic 12 nlb. + 268; 3 tabele; 9 ilustracyj.

Prace Komisji Dydaktycznej Nr 1. Adam Ferens: Szkolna mapa historyczna. Stronic 4 nlb. + 48; 4 tablice.

1933

Materiały do dziejów Łodzi i ziem województwa łódzkiego. Tom I. Mieczysław Hertz: Łódź w czasie wielkiej wojny. Stronic 8 nlb. + 232.

Prace Sekcji Dydaktycznej Nr 2. Cecylia Świderkowa: Obiektywne podstawy nauczania historii. Stronic 6 nlb. + 18.

1934

Prace Sekcji Dydaktycznej Nr 3. Teksty źródłowe do dziejów Łodzi 1332—1820, wybrał i opracował Adam Stebelski. Stronic 48.

1937

Prace Sekcji Dydaktycznej Nr 4. Jadwiga Lechicka: Polska dydaktyka historii w latach 1925—1937. Stronic 40.

1938

Michał Walicki: Kolegiata w Tumie pod Łęczycą. Wydawnictwo Łódzkiego Obywatelskiego Komitetu Ratowania Kolegiaty w Tumie. Skład główny: Polskie Tow. Historyczne, Oddział w Łodzi. Stronic 10 nlb. + 78, 20 rycin w tekście + 33 ilustr. cynkograf. na 12 tablicach + 41 ilustr. rotograw. na 32 tablicach.

1939

Rocznik 1939. Rozprawy i artykuły: Łódź i okręg łódzki jako przedmiot badań historycznych, przez Zygmunta Lorentza. Rozsiedlenie rodowe szlachty łęczyckiej na przełomie XIV i XV wieku,

przez Tadeusza Piotrowskiego. Przemysł lniany w Łodzi w dobie Królestwa Kongresowego (1824—1832), przez Annę Rynkowską. Położenie geograficzne Tumu i Łęczycy, przez Jana Dylika. Dziesięć lat pracy konserwatorskiej w Tumie pod Łęczycą, przez Tymoteusza Sawickiego. Badania gwaroznawcze na obszarze dawnych województw łęczyckiego i sieradzkiego, przez Zdzisława Stiebera. Przygotowania do rejestracji archiwaliów w okręgu łódzkim, przez Adama Stebelskiego. Studium historii na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi 1928—1939, przez Natalię Gąsiorowską. Źródła: Józefa Oxińskiego wspomnienia z powstania polskiego 1863/64 roku. Z pamiętnika Wincen- tego Walewskiego kartki o powstaniu styczniowym. Inwentarz rzeczy mieszczyki łódzkiej z końca XVI wieku, przez Romana Kaczmarka. Bibliografia: Bibliografia historii jednostek terytorialnych województwa łódzkiego (1930—1937), przez Zygmunta Hajkowskiego, Zofię Erdmanową, Jadwigę Krasicką i Gryzeldę Missalową. Bibliografia prac Michała Rawity-Witanowskiego (1931—1938). Sprawy Oddziału: Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Łodzi, rys działalności 1927—1939. Lista członków Oddziału. Komunikaty zarządu Oddziału. Stronic 464; 11 rycin w tekście; 5 map i planów oraz 12 ilustracji cynkograf. na 8 tablicach.

b) Zakres i organizacja pracy

Z powyższego wynika, że działalność wydawnicza rozwinęła się w dwóch kierunkach: historii regionu łódzkiego i nauczania historii.

Założony w 1929 r. organ własny nie stał się rocznikiem sensu stricto. W trosce o należyty poziom periodyku trzeba było dostosować terminy do tempa i wyników prac badawczych. Względy finansowe i inne nakazywały ogłaszać niektóre prace jako oddzielne książki, niekiedy we współdziałaniu z instytucjami obywatelskimi. Obecny stan teki redakcyjnej jest już dość zasobny.

Publikacje z zakresu dydaktyki, będące dorobkiem Sekcji Dydaktycznej, mają znaczenie ogólniejsze. Także wybór tekstów źródłowych do dziejów Łodzi jest próbą rozwiązania aktualnego problemu dydaktycznego o znaczeniu szerszym. Cecylia Świderkówna referatem swym zagałęła i dziś jeszcze zbyt leniwą dyskusję na temat stosunku zachodzącego pomiędzy nauką i treścią nauczania szkolnego.

Obowiązki komitetu redakcyjnego pełnił zarząd Oddziału, właściwa praca redaktorska spoczywała w rękach prezesa.

Ogólny wynik starań edytorskich Oddziału przedstawia się jak następuje: tekstu stronic 1374, map i planów 22, ilustracyj 126.

VII. DZIAŁALNOŚĆ DYDAKTYCZNA

a) Posiedzenia odczytowe

1928

1) 17. XII. H. Pohoska: Zakres i metoda nauczania dziejów XX wieku w szkole średniej.

1930

- 1) 27. II. A. Ferens: Szkolna mapa historyczna.
- 2) 23. X. Z. Ellenberg i H. Zaborowska: Próby nauczania historii systemem daltońskim w łódzkich szkołach średnich.

1931

1) 27. XI. Dyskusja na temat egzaminów maturalnych — zagała H. Mrozowska.

1932

- 1) 20. X. C. Świderkówna: Projekt prac Sekcji Dydaktycznej.
- 2) 7. XII. C. Świderkówna: O podstawy psychologiczne w nauczaniu historii.

1933

- 1) 27. I. J. Krasicka: Obraz w nauczaniu historii.
- 2) 14. III. A. Stebelski: Teksty źródłowe do dziejów Łodzi jako pomoc szkolna.
- 3) 20. IV. F. Wajcmanowa: Testy wiadomości z historii.
- 4) 28. IX. C. Świderkówna: Zagadnienia aktualne z dydaktyki historii.
J. Krasicka: Organizacja międzynarodowej wymiany pomocy szkolnych do nauki historii.
- 5) 7. XII. I. Roliński: Filozofia w nauczaniu historii.

1934

- 1) 15. II. J. Krasicka: Powieść historyczna jako pomoc w nauczaniu historii.
- 2) 15. III. Dyskusja na temat: Historia w klasie I gimn. — zagały J. Krasicka i H. Zaborowska.
- 3) 9. V. C. Świderkówna: Uwagi nauczyciela historii o klasie I nowego gimnazjum.
- 4) 8. XI. T. Landecki: Podręczniki do nauki historii w klasie II nowego gimnazjum.

1935

1) 28. III. Z. Zmigryder-Konopka: Niektóre zagadnienia z historii starożytnej w nauczaniu szkolnym.

2) 14. XI. J. Krasicka: Sprawy dydaktyczne na VI Zjeździe Historyków w Wilnie.

I. Roliński: Humanistyka w „wytycznych“ programu licealnego.

1936

1) 20. II. M. Minich: Muzeum Historii i Sztuki im. Bartoszewiczów w Łodzi i plan jego organizacji.

2) 12. III. M. A. Wodziński: Nauczanie historii w Trzeciej Rzeszy.

3) 5. XII. J. Manugiewicz: Miejskie Muzeum Etnograficzne w Łodzi — dzieje rozwoju i stan obecny.

1937

1) 16. III. A. Jackowski: Pomoce naukowe dla klasy I gimn.

2) 17. III. T. Landeck: Podręczniki na klasę IV gimn.

3) 17. III. J. Lechicka: Dorobek dydaktyki polskiej w zakresie historii w ciągu ostatniego dwunastolecia.

4) 22. IV. J. Krasicka i H. Zaborowska: Projekt programu historii w liceum ogólnokształcącym.

5) 14. X. Omówienie programu historii w liceum ogólnokształcącym — zagań T. Bornholtz.

6) 4. XI. J. Dutkiewicz: Organizacja nauczania historii w liceum.

1938

1) 13. I. Z. Lorentz: Nauczyciel historii wobec warunków pracy dydaktycznej.

2) 23. II. J. Dylik: Koncepcja i zakres mojej książki o Łodzi.

J. Jurczyński: Potrzeby szkoły w dziedzinie wiedzy o Łodzi i przydatność dydaktyczna zamierzonej publikacji (koreferat).

3) 10. III. Z. Zmigryder-Konopka: Podstawy naukowe programu licealnego w zakresie historii starożytnej.

4) 31. III. P. Bąk: Nauczyciel historii w szkole powszechnej wobec wymagań programu.

H. Zaborowska: Przegląd literatury z zakresu historii pod kątem potrzeb szkoły powszechnej (ilustrowany wystawą najprzydatniejszych wydawnictw).

5) 12. XI. J. Dąbrowski: Zagadnienie historii polskiej i powszechnej w liceum ogólnokształcącym.

Zestawienie sumaryczne

ROK	Posiedzenia	Odczyty	Prelegenci miejscowi	Prelegenci zamiejscowi
1928	1	1	—	1
1930	2	3	3	—
1931	1	1	—	1
1932	2	2	2	—
1933	5	6	5	1
1934	4	5	5	—
1935	3	4	3	1
1936	2	2	2	—
1937	6	7	4	3
1938	5	7	5	2
Razem	31	38	29	9

b) Całokształt działalności

Inaugurację działalności dydaktycznej Oddziału stanowił referat Hanny Pohoskiej wygłoszony w grudniu 1928 r. na temat zakresu i metody nauczania dziejów XX w. w szkole średniej.

W pierwszej fazie rozwoju działalność sprowadzała się przeważnie do zagadnienia regionalizmu i roli historii regionalnej w nauczaniu. Na kursie metodycznym dla nauczycieli historii Okręgu Szkolnego Łódzkiego, zorganizowanym przez Ministerstwo W. R. i O. P. w grudniu 1929 r., Zygmunt Lorentz wygłosił dwugodzinny wykład poświęcony zagadnieniu regionalizmu i będący wyrazem stanowiska historyków łódzkich w tej sprawie. Przykładem wyzyskania materiału dotyczącego najbliższej okolicy była jedna z objętych programem kursu lekcji pokazowych, przeprowadzona przez Adama Ferensa w klasie V. Został na niej przeczytany i omówiony przywilej lokacyjny z roku 1387 dla Łodzi i Widzewa.

Rozwijając stopniowo określony program, powołał zarząd do życia w końcu roku 1929 Komisję dydaktyczną. Jej pracami kierowali Adam Ferens i Helena Zaborowska. Zadaniem Komisji było inicjowanie studiów w zakresie dydaktyki historii na terenie Okręgu Szkolnego Łódzkiego, organizowanie dyskusyj na temat aktualnych zagadnień dydaktycznych, propagowanie i ułatwianie korzystania z materiału regionalnego przy nauczaniu historii, zbliżenie koleżeńskie nauczycieli historii na gruncie towarzyskim. Na początek staraniem Komisji urządzone zostało 27 lutego 1930 r. zebranie nauczycieli

historii z odczytem Adama Ferensa o „Szkolnej mapie historycznej“ i pokazem typowych map i atlasów znajdujących się w zbiorach łódzkich szkół średnich. Było to więc pierwsze posiedzenie Komisji dydaktycznej Oddziału.

Następne poświęcono omówieniu t. zw. systemu daltońskiego. Odbyły się również trzy zebrania towarzyskie; na jednym z nich poddano dyskusji sprawę egzaminów maturalnych z historii. Organizowane przez zarząd odczyty dla młodzieży szkolnej pozostawały w związku z działalnością dydaktyczną.

W roku 1932 Komisja dydaktyczna zamieniona została na Sekcję Dydaktyczną, która skupiła członków Oddziału — nauczycieli. Przewodnictwo z ramienia zarządu objęła Cecylia Świderkówna, zaś od roku 1934 Jadwiga Krasicka. Prace Sekcji poszły w kierunku ustalenia roli i zakresu poszczególnych działów historii w nauczaniu szkolnym (historia polityczna, społeczna, gospodarcza, kultury, wychowania, wojskowości, pojęcia z dziedziny prawa, ekonomii, filozofii), a także objęły rozpatrywanie szczegółowych kwestyj metodycznych w oparciu o podstawy psychologiczne.

Sekcja dydaktyczna wzięła udział w pracach Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w Warszawie w r. 1933, czego wyrazem był referat J. Krasickiej. Dotyczył on ważnej sprawy międzynarodowej wymiany materiału dydaktycznego, a oparł się o ankietę przeprowadzoną wśród nauczycieli historii szkół łódzkich. Referat zamykał się propozycją autorki, by kongres powierzył Międzynarodowemu Komitetowi Nauk Historycznych wydawanie odpowiedniego biuletynu bibliograficznego i by wszystkie biblioteki i muzea pedagogiczne gromadziły zagraniczny materiał dydaktyczny i podjęły jego wymianę w skali międzynarodowej. Propozycja została przyjęta przez sekcję dydaktyczną Kongresu.

Reforma ustroju szkolnego wprowadziła na warsztat prac sekcji sprawę realizacji nowych programów oraz oceny i wyzyskania nowych podręczników. Poza tym w r. 1934 zorganizowano w porozumieniu z władzami szkolnymi konferencję metodyczną dotyczącą wyników nauczania historii w klasie I nowego typu. Podobna konferencja w r. 1937 objęła sprawę nauczania historii w szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych; w ramach konferencji poza lekcjami przykładowymi odbyły się trzy posiedzenia odczytowe. W roku 1934 Sekcja wzięła udział w zorganizowanych przez koło łódzkie Stow. Dyrektorów Polskich Szkół Średnich konferencjach, poświęconych zagadnieniu regionalizmu w nauczaniu. W roku 1935 w takiejże

konferencji Sekcja Dydaktyczna uczestniczyła również, organizując dla jej członków zwiedzanie Łodzi celem zapoznania ich z historycznym rozwojem miasta. Wycieczkę poprzedziły dwa referaty: geograficzny Juliusza Jurczyńskiego i historyczny Zygmunta Lorentza.

Prezydium Sekcji wzięło udział w konferencji zwołanej przez Komisję dydaktyczną P. T. H. w Warszawie dnia 25 kwietnia 1937 roku w celu wyrażenia opinii o projekcie programu historii liceum ogólnokształcącego. Sekcja nawiązała też kontakt z nauczycielstwem szkół powszechnych i na posiedzeniu dnia 31 marca 1938 r. włączyła do zakresu swych prac problem nauczania historii w szkołach powszechnych.

Ogółem sprawom dydaktycznym poświęconych było 31 posiedzeń, na których wygłoszono 38 odczytów, z tego na siły miejscowe przypadło 29, na zamiejscowe 9. Liczba uczestników posiedzeń dydaktycznych wahała się od 25 do 50.

Na specjalne podkreślenie zasługuje wynik starań wydawniczych Sekcji; wszystkie cztery pozycje dorobku w tej dziedzinie określić można jako rezultat pracy indywidualnej w oparciu o żywe środowisko. Wydana w związku z jubileuszem pięćdziesięciolecia Towarzystwa praca Jadwigi Lechickiej o polskiej dydaktyce historii w latach 1925—1937 zawiera próbę krytycznego zobrazowania wysiłku wszystkich środowisk dydaktycznych w dziele ustalania polskiego systemu nauczania historii.

Doceniając znaczenie znajomości zabytków historycznych w miejscowościach województwa łódzkiego dla celów dydaktycznych i popularyzacji, zarząd zorganizował w pierwszej fazie swej działalności w roku 1927 szereg wycieczek do Łęczycy, Tumu, Łasku i Brzezin. Wymagały one starannego przygotowania ze strony przewodników i ułatwiły nauczycielom historii racjonalne prowadzenie wycieczek szkolnych.

Prace sekcji darzone były zaufaniem i życzliwością władz szkolnych wszystkich instancyj.

VIII. DZIAŁALNOŚĆ POPULARYZATORSKA

Oddział uważał za swe zadanie rozwijać możliwie szeroko działalność popularyzatorską uznając niezaprzeczoną konieczność utrzymania na odpowiednim poziomie rozpowszechniania wyników badań naukowych. Popularyzacji służyły więc odczyty publiczne i odczyty dla młodzieży szkolnej, które skupiały setki słuchaczy. Zarząd współpracował z różnymi instytucjami i organizacjami społeczno-obywa-

telskimi, które zwracały się doń o pomoc, i delegował członków Oddziału do wygłaszania prelekcji. Na prośbę komitetu budowy pomnika na mogile powstańców poległych w bitwie pod Dobrą 24 lutego 1863 roku członek zarządu Ludwik Waszkiewicz wygłosił 23 marca 1930 roku odczyt p. t. „Początki powstania styczniowego w okolicach Łodzi i bitwa pod Dobrą“, przygotował ilustrowaną publikację dotyczącą tej bitwy, zaś w dniu poświęcenia pomnika dnia 23 września 1935 roku przemawiał na polu bitwy do 5 tysięcy uczestników uroczystości. Oddział współpracował też w roku 1934 z organizatorami „miesiąca zagadnień polsko-niemieckich“. Delegatem zarządu w komitecie był Wacław Szczygielski. Na zebraniach zwołanych w związku z „miesiącem“ wygłosili odczyty zaproszeni przez zarząd członkowie Oddziału.

Na pograniczu działalności naukowej i popularyzacyjnej umieścić należy odczyty publiczne o charakterze naukowym. Dotyczy to głównie wystąpień podczas uroczystości urządzanych celem uczczenia rocznic historycznych. Tak więc Oddział uczestniczył w organizowaniu obchodów urodzin Batorego i odsieczy wiedeńskiej, kierując pracami komitetu obywatelskiego powołanego przez wojewodę łódzkiego. W związku z tym odbyło się publiczne naukowe posiedzenie Oddziału 24 września 1933 roku z odczytem m. j. O. Laskowskiego i tegoż prelegenta odczyt dla młodzieży szkolnej (900 słuchaczy). Oddział upamiętnił także 75 rocznicę powstania styczniowego przez zwołanie w porozumieniu z komitetem miejskim publicznego uroczystego posiedzenia naukowego w dniu 23 stycznia 1938 roku i przez dostarczenie całkowitego materiału do okolicznościowego dodatku ilustrowanego „Kuriera Łódzkiego“. W listopadzie 1938 roku Oddział zorganizował w porozumieniu z Obywatelskim Komitetem Obchodów i wspólnie z Oddziałem łódzkim Towarzystwa Wiedzy Wojskowej oraz Związkiem Oficerów Rezerwy uroczyste posiedzenie naukowe z odczytem prof. Jana Dąbrowskiego, poświęcone 20-jej rocznicy Niepodległości.

Często też członkowie Oddziału zabierali głos w prasie łódzkiej, umieszczając artykuły okolicznościowe, recenzje i notatki informujące o ruchu naukowym, zjazdach historycznych i t. d. Próbowano także rozpocząć działalność popularyzacyjną za pośrednictwem łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia, lecz, niestety, starania w tym względzie nie dały spodziewanych rezultatów.

Za jedno z najdonioślejszych zadań w dziedzinie popularyzacji wiedzy o regionie łódzkim uznał Oddział wydanie na solidnych podstawach

naukowych opartego i utrzymanego na odpowiednim poziomie przewodnika po Łodzi i okolicy. Z inicjatywy Zarządu podjął się tej stanowiącej pilną potrzebę pracy Jan Dylik i zrealizował ją wydając książkę, która jest nie tylko przewodnikiem, lecz zarazem posiada cechy monografii. Książka ukazała się nakładem Zarządu Miejskiego m. Łodzi w r. 1939.

Zarząd Oddziału użył także swej pomocy przy ogłaszaniu innych wydawnictw popularnych. Trzej członkowie Oddziału należeli do komitetu redakcyjnego publikacji „Dla Polski“, poświęconej udziałowi Łodzi w walkach o niepodległość. Ponadto zarząd dopomógł wydziałowi powiatowemu w Łęczycy przy redagowaniu książki p. t. „Ziemia łęczycka żołnierzom Niepodległości“.

Należy stwierdzić, że zarząd Oddziału w rozwijaniu działalności popularyzatorskiej zmuszony był przewyżczać różnorodne trudności wynikające ze specyficznych warunków lokalnych i odcinać się wyraźnie od tych zjawisk z dziedziny popularyzacji, występujących dość często na gruncie łódzkim, które znamionował zbyt niski poziom.

IX. SPRAWY FINANSOWE

Podstawą finansów Oddziału w ciągu minionego okresu działalności były subwencje. Ogólna suma wpływów z tego źródła za cały czas istnienia Oddziału wynosi 34.000 złotych. Kwotę 5.000 złotych uzyskano od państwowych instytucji centralnych (Fundusz Kultury Narodowej, Ministerstwo W. R. i O. P. oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych), reszta — 29.000 złotych — to wpłaty instytucji z obszaru działalności Oddziału. Pierwsze miejsce zajmuje tu od początku Zarząd Miejski w Łodzi, następne — Izba Przemysłowo-Handlowa w Łodzi i sejmiki powiatowe województwa łódzkiego. Przed ośmiu laty niezbędną do utrzymania porządku finansowego sumę 1.500 złotych uzyskał Oddział od kilkunastu osób spośród inteligencji polskiej w Łodzi.

Drugą z kolei pozycję przychodu stanowiły sumy ze sprzedaży własnych wydawnictw; ogółem wpłynęło z rozsprzedaży bezpośredniej i komisów księgarskich przeszło 6.500 złotych.

Wreszcie rozliczenia z Zarządem Głównym P. T. H. z tytułu należnej Oddziałowi części zainkasowanych wkładek członkowskich pozostawiły w kasie Oddziału kwotę 3.800 złotych.

Globalny przychód Oddziału do dnia 31 marca 1939 r. przekroczył sumę 45.000 złotych. Zamknięcie kasowe z tegoż dnia wykazało saldo

•

dotądnie w wysokości 1.380 złotych. Majątek Oddziału (wydawnictwa na składzie, biblioteka, ruchomości) sięga sumy 12.000 złotych.

Główną pozycję rozchodu stanowiły wydawnictwa; koszty drukarskie oraz honoraria autorów zamiejscowych (członkowie Oddziału honorariów nie otrzymują) pochłonęły z górą 27.000 złotych. Wszystkie inne wydatki Oddziału (administracja, sekretariat, lokal, honoraria prelegentów zamiejscowych, delegacje, reprezentacja i t. p.) wyniosły w ciągu 12 lat sumę około 15.000 złotych, co pozwala ustalić przeciętną wydatków bieżących Oddziału na 100 złotych miesięcznie.

W konkluzji wolno stwierdzić, że przez ubiegłych lat dwanaście Oddział łódzki P. T. H., zmierzając do zrealizowania wyznaczonych sobie zadań, przyczynił się w sposób niezaprzeczony do ożywienia na łódzkiej glebie ruchu naukowego, rozbudził wąż przedtem zainteresowanie pracą historyczną, a obecnie odgrywa wydatną rolę w kształtowaniu kulturalnego i narodowego oblicza Łodzi i okręgu łódzkiego. Ważny jest także fakt, że Oddział skupił pod egidą P. T. H. liczne grono historyków i miłośników historii — głównie nauczycieli, których udział w pracach P. T. H. w dziedzinie dydaktyki wywarł niewątpliwie dodatni wpływ na poziom szkolnego nauczania historii.

Działalność Oddziału spotykała się z niezmienną życzliwością i poparciem władz i szerokich sfer kulturalnych województwa, zyskała też sobie aprobatę innych ośrodków P. T. H. Szczególnie cenny dla Oddziału był serdeczny do jego prac stosunek kolejnych prezesów P. T. H.: ś.p. Stanisława Zakrzewskiego, Franciszka Bujaka i Ludwika Kolankowskiego, życzliwość i uczynność długoletniego sekretarza generalnego Kazimierza Tyszkowskiego oraz uznanie Zarządu Głównego, o czym świadczy opinia w jubileuszowym LI roczniku Kwartalnika Historycznego, centralnego organu Towarzystwa.

LISTA CZŁONKÓW ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO P. T. H.

(stan z dnia 31. III. 1939 r.)

1) Adlerówna Esfira, Łódź, Nawrot 38 a, 2) Ajnenkiel Eugeniusz, Łódź, Podmiejska 16 a, 3) Archiwum Diecezjalne, Łódź, Ks. Skorupki 5, 4) Archiwum Miejskie w Łodzi, Plac Wolności 1, 5) Bagińska Helena, Łódź, Andrzeja 42, 6) Berkowicz Henryk dr, Łódź, Radwańska 25, 7) Biblioteka Państwowa Pedagogiczna, Łódź, Piotrkowska 86, 8) Biblioteka Publiczna Miejska, Łódź, Andrzeja 14, 9) Biblioteka Publiczna Miejska im. Bolesława Prusa, Zgierz, 10) Biblioteka Wolnej Wszechnicy Polskiej Oddział w Łodzi, Łódź, Sterlinga 24, 11) Blaszyld Ignacy, Łódź, Trębacka 16, 12) Brzozowski Kazimierz dr, Łódź, Kilińskiego 78, 13) Cywuszowa Antonina dr, Łódź, Narutowicza 16, 14) Czabak Orest, Łódź, Wysoka 35, 15) Czeraskiewiczówna Janina, Łódź, Miedziana 14, 16) Domańska Izabella, Łódź, Przejazd 46, 17) Dylik Jan dr, Łódź, Sienkiewicza 149, 18) Dziubani-Trzepałkowska Irena, Łódź, Sienkiewicza 115, 19) Erdmanowa Zofia dr, Łódź, Sienkiewicza 31, 20) Ellenberg Zygmunt dr, Łódź, Narutowicza 96, 21) Fichna Bolesław dr, Łódź, Nawrot 7, 22) Frankowski Józef, p-ta Pabianice, wieś Zdżary, 23) Friedman Filip dr, Łódź, Piramowicza 4, 24) Gardowa Zdzisława, Łódź, Głogowa 8, 25) Geyer Robert, Łódź, Piotrkowska 282, 26) Gimnazjum Państwowe Męskie im. St. Żeromskiego, Łódź, Pierackiego 11, 27) Gimnazjum Państwowe Męskie im. M. Kopernika, Łódź, Śródmiejska 41, 28) Gimnazjum Państwowe Męskie im. G. Narutowicza, Łódź, Targowa 68, 29) Gimnazjum Państwowe Żeńskie im. E. Szanieckiej, Łódź, Pomorska 16, 30) Gimnazjum Miejskie Męskie im. J. Piłsudskiego (Koło Naukowe Uczniów), Łódź, Sienkiewicza 46, 31) Gimnazjum Męskie Zgromadzenia Kupców, Łódź, Narutowicza 68, 32) Gimnazjum Społeczne Męskie, Łódź, Pomorska 105, 33) Gimnazjum Męskie A. Zimowskiego, Łódź, Boczna 5, 34) Gimnazjum Żeńskie Janiny Czapczyńskiej, Łódź, Narutowicza 58, 35) Gimnazjum Żeńskie Zofii Macińskiej, Łódź, Wólczajska 55, 36) Gimnazjum Żeńskie im. E. Orzeszkowej, Łódź, Al. Kościuszki 21, 37) Gimnazjum Państwowe Koedukacyjne im. Kazimierza

Wielkiego, Zduńska Wola, 38) Gimnazjum Państwowe Żeńskie im. Anny Jagiellonki, Kalisz, 39) Gimnazjum Męskie im. Tadeusza Kościuszki, Wieluń, 40) Głuchowski Władysław, Łódź, Wólczańska 129, 41) Godlewski Mikołaj, Łódź, Julianów, 42) Grabowska Wanda, Piotrków Tryb., Sienkiewicza 13, 43) Grzędzielski Eugeniusz, Łódź, Narutowicza 90, 44) Hajkowski Zygmunt, Łódź, Nawrot 54, 45) Hei-nówna Wanda, Łódź, Orzeszkowej 11, 46) Hertz Mieczysław, Łódź, Al. Kościuszki 69, 47) Holcgreber Jan inż., Łódź, Sienkiewicza 42, 48) Izba Przemysłowo-Handlowa, Łódź, Al. Kościuszki 4, 49) Ks. Biskup Jasiński Włodzimierz, Łódź, Skorupki 1, 50) Jackowski Aleksander, Łódź, Południowa 24, 51) Jeskowa Stefania, Świekatówka p-ta Świekatowo (woj. poznańskie), 52) Jeżewski Mieczysław, Łódź, Piotrkowska 277, 53) Jurczyński Juliusz, Łódź, Trębacka 3, 54) Kaczmarek Roman, Łódź, Plac Wolności 1, Archiwum, 55) Kappes Aleksander, Łódź, 11-go listopada 73/75, 56) Kejna Kazimierz, Łódź, Piotrkowska 49, Inspektorat Szk., 57) Kniatowa Maria, Łódź, Wodna 40, 58) Koło Historyków Słuchaczy Wolnej Wszechnicy Polskiej, Łódź, Sterlinga 24, 59) Korzcycowa Maria, Łódź, Daniłowskiego 7, 60) Koszańska Jadwiga, Łódź, Julianów, Hortensji 17, 61) Kotula Karol ks. pastor, Łódź, Pierackiego 2, 62) Kowalska Weronika, Łódź, Karpia 13, 63) Kozuchowska Zofia, Piotrkowska 77, Biuro Ł. E. K. D., 64) Krasicka Jadwiga dr, Łódź, Małachowskiego 4, 65) Krzywcówna Aurelia, Łódź, Wodna 38, 66) Krzywkowski Edmund, Koluszki, Gimnazjum, 67) Kulak Jan dr, Łódź, Senatorska 34, 68) Landecki Tadeusz dr, Łódź, Narutowicza 91, 69) Lechicka Jadwiga dr, Warszawa, Rakowiecka 39, 70) Liceum Pedagogiczne, Zgierz, 71) Lorentz Zygmunt, Łódź, Wólczańska 62, 72) Lulla Fabian, Łódź, Pomorska 46/48, Gimnazjum, 73) Marczyńska Kazimiera, Łódź, Kopcińskiego 36a, 74) Marek Stanisław, Hrubieszów, Urząd Powiatowy, 75) Mazurowski Henryk, Łódź, Skarbowa 16, 76) Millerowa Regina, Piotrków Tryb., Piłsudskiego 69, 77) Missalowa Gryzelda dr, Łódź, Andrzeja 7, 78) Nowakowska Janina, Łódź, Narutowicza 40, 79) Ostrowska Zofia, Łódź, Różana 17, 80) Palmąka Andrzej, Łódź, Przejazd 51, 81) Pedagogium Państwowe, Łódź, Lipowa 49, 82) Podciechowska Helena, Łódź, Kilińskiego 72, 83) Potzówna Wanda, Łódź, Radwańska 38, 84) Przesmycki Karol, Łódź, Cieszyńska 5, 85) Rac Leonard, Łódź, Sienkiewicza 63, 86) Rembéliński Robert dr, Łódź, Andrzeja 28, 87) Rau Zygmunt inż., Łódź, Kilińskiego 72, 88) Remiszewski Antoni, Łódź, Al. Kościuszki 57, 89) Rosset Edward, Łódź, Mostowa 34, 90) Rothowa Aniela, Łódź, Narutowicza 109b, 91) Rutkowski Jan, Zduńska Wola,

Gimnazjum, 92) Rynkowska Anna, Łódź, Srebrzyńska 89, 93) Salska Helena, Pabianice, Legionów 59, 94) Spektor Izaak, Łódź, P. O. W. 1, 95) Sauter Jan, Łódź, Orzeszkowej 11, 96) Seminarium Duchowne, Łódź, Św. Stanisława 14, 97) Skoiński Jan, Łódź, Głogowa 4, 98) Sroka Jan, Zgierz, Liceum Pedagogiczne, 99) Sterlingowa Helena, Tkacka 15 a, 100) Stojdowa Anna, Piotrków Tryb., 3 Maja 18, 101) Szczygielski Mieczysław, Łódź, Wójtowska 5, 102) Szczygielski Wacław, Łódź, Żółkiewskiego 2, 103) Szkoła Powszechna nr 69, Łódź, Czerwona 8, 104) Szreter Jerzy, Łódź, Kilińskiego 96, 105) Szweycer Janusz, Ostrów, poczta Łask, 106) Świdwiński Adolf dr, Łódź, Żelazna 4, 107) Świercz Jan, Zgierz, 108) Tarasinowa Katarzyna, Kalisz, Górnośląska 14, 109) Tokarski Józef, Piotrków Tryb., Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, 110) Ks. Biskup Tomczak Kazimierz dr, Łódź, Skorupki 5, 111) Polskie Tow. Krajoznawcze Oddział w Łodzi, Al. Kościuszki 17, 112) Towarzystwo Wiedzy Wojskowej Oddział w Łodzi, 11-go listopada 87, 113) Tylińska Janina, Łódź, Srebrzyńska 99, 114) Walewski Kazimierz, Tubądzin, poczta Sędzice, 115) Warężak Jan dr, Łódź, Pl. Wolności 1, Archiwum, 116) Waszkiewicz Ludwik, Łódź, 6-go sierpnia 22, 117) Weiss Bernard Przemysław kpt. dypl., Łódź, Aleja Unii 20, 118) Węgrzyn Wojciech, Kalisz, Staszica 19, 119) Więckowski Stanisław dr, Łódź, Narutowicza 115 a, 120) Witkowski Michał, Piotrków Tryb., 121) Wodziński Michał dr, Łódź, Ks. Brzóska 39, 122) Wyczółkowski Mieczysław, Łęczycza, Gimn. Państwowe, 123) Worona Włodzimierz, Łódź, Lokatorska 10, 124) Zaborowska Helena, Łódź, Pomorska 16, 125) Zieleniewska Maria, Łódź, Narutowicza 58, Gimnazjum, 126) Zwolińska Alicja, Sieradz, Sienkiewicza 16.

*Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział w Łodzi, Sienkiewicza 46.
Konto w P. K. O. Nr 604.615.*

Sprawy redakcyjne: Zygmunt Lorentz, Łódź, Wólczańska 62, m. 10.

Sprawy dydaktyczne: Jadwiga Krasicka, Łódź, Małachowskiego 4.

WYDAWNICTWA ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO

	Zł
Rocznik Oddziału Łódzkiego P. T. H. 1928	2.50
Rocznik Oddziału Łódzkiego P. T. H. 1929—1930	5.—
Rocznik Oddziału Łódzkiego P. T. H. 1939	7.—
Mieczysław Hertz: Łódź w czasie wielkiej wojny (wyczerpane) . .	
Adam Ferens: Szkolna mapa historyczna	1.—
Cecylia Świderkówna: Obiektywne podstawy nauczania historii . .	1.—
Adam Stebelski: Teksty źródłowe do dziejów Łodzi 1332—1820	1.—
Jadwiga Lechicka: Polska dydaktyka historii w latach 1925—1937	1.—
 Odbitki:	
Bibliografia historii jednostek terytorialnych województwa łódzkiego, Część I i II, przez J. Krasicką, G. Missalową i C. Świder- kównę	2.50
Bibliografia historii jednostek terytorialnych województwa łódzkiego, Część III, przez Z. Hajkowskiego, Z. Erdmanową, J. Krasicką i G. Missalową	2.50
J. Dylik: Położenie geograficzne Tumu i Łęczycy	2.50
Wł. Konopczyński: Krwawe dni nad górną Wartą	1.—
Z. Lorentz: Raporty Rajmunda Rembielińskiego Prezesa Komisji Wojewódzkiej Mazowieckiej. I — Objazd obwodu łęczyckiego w roku 1820. II — Stan przemysłu włókienniczego w roku 1828	2.50
T. Piotrowski: Rozsiedlenie rodowe szlachty łęczyckiej na przelo- mie XIV i XV wieku	2.50
H. Pohoska: Zakres i metoda nauczania dziejów XX wieku w szkole średniej	—60
A. Rynkowska: Przemysł lniany w Łodzi w dobie Królestwa Kon- gresowego (1824—1832)	2.50
T. Sawicki: Dziesięć lat pracy konserwatorskiej w Tumie pod Łęczycą	1.—
A. Stebelski: Łódź i klucz łódzki u schyłku Rzplitej	3.—
A. Stebelski: Przeszość administracyjna ziem województwa łódzkiego	1.—
<hr/>	
Michał Walicki: Kolegiata w Tumie pod Łęczycą. Wydawnictwo Łódzkiego Obywatelskiego Komitetu Ratowania Kolegiaty w Tumie	7.50

KWARTALNIK HISTORYCZNY. Organ Polskiego Towarzystwa Historycznego założony przez Xawerego Liskego. Redaktor: Kazimierz Tyszkowski. Adres: Polskie Towarzystwo Historyczne, Lwów, Uniwersytet. Konto P. K. O. Nr 152.226. Ostatni zeszyt: Rocznik LIII/2. Prenumerata roczna 32 zł, za granicą 40 zł. Członkowie P. T. H. otrzymują bezpłatnie. Wkładka członka zwyczajnego wynosi 20 zł rocznie.

WIADOMOŚCI HISTORYCZNO-DYDAKTYCZNE. Organ Polskiego Towarzystwa Historycznego dla spraw nauczania historii. Redakcja: Antoni Knot i Kazimierz Tyszkowski. Adres: Polskie Towarzystwo Historyczne, Lwów, Uniwersytet. Ostatni zeszyt: Rocznik VII/2. Prenumerata za 4 zeszyty 8 zł. Członkowie P. T. H. otrzymują bezpłatnie.

„**ARCHEION**“. Redaktorowie: Witold Suchodolski i Wincenty Łopaciński. Adres: Warszawa, Długa 13. Cena 9.45 zł. Rabat dla członków P. T. H. 2.85 zł. Ostatni zeszyt: XVI. Zeszyt następny: lato 1940 r.

ATENEUM WILEŃSKIE. Czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości ziem W. Ks. Litewskiego. Wyd. Wydziału III. Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie. Redaktorowie: Bolesław Wilanowski i Stanisław Zajczkowski. Adres: Wilno, Uniwersytet, Seminarium Historyczne. Ostatni tom XIII, zeszyt II, 1938.

KRONIKA RUCHU REWOLUCYJNEGO W POLSCE. Redaktorowie: Jan Cynarski-Krzyształowski i Adam Próchnik. Adres: Warszawa, Senatorska 36 m. 15. Prenumerata roczna 6 zł. Ostatni zeszyt nr 16 za IV kwartał 1938 r. Następny nr 17 w lecie 1939 r.

MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. Organ Polskiego Towarzystwa Heraldycznego. Redaktorowie: Oskar Halecki i Zygmunt Wdowiszewski. Adres: Warszawa, Okólnik 9, Biblioteka Ord. Krasińskich. Otrzymują tylko członkowie Towarzystwa. Ostatni zeszyt nr 5, 1939.

NIEPODLEGŁOŚĆ. Czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski. Ukazuje się 6 razy rocznie. Redaktor: Tadeusz Szpotański. Adres: Warszawa, Al. Ujazdowskie 1. Prenumerata rocznie 18 zł, cena zeszytu 4 zł. Ostatni zeszyt T. XIX/3 (53).

PRZEGLĄD HISTORYCZNO-WOJSKOWY. Półrocznik wydawany przez Wojskowe Biuro Historyczne. Redaktor: Mjr Otton Laskowski. Adres: Warszawa, Aleja Szucha 14. Cena zeszytu 6 zł, w prenumeracie 5 zł. Ostatni zeszyt T. X/2 1938.

PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historii. Redaktorowie: Marceli Handelsman i Stanisław Kętrzyński. Adres: Warszawa, Rynek St. Miasta 31. Ostatni zeszyt T. XXXV/1.

PRZEWODNIK HISTORYCZNO-PRAWNY. Redaktorzy: Przemysław Dąbkowski (Lwów), Jan Adamus (Wilno), Karol Koranyi (Lwów). Adres: Lwów, ul. Mickiewicza 5a parter. Cena w prenumeracie i sprzedaży 25 zł. Rabat dla członków P. T. H. 50%. Ostatni rocznik V, następny: 1939.

REFORMACJA W POLSCE. Organ Towarzystwa do badania dziejów reformacji w Polsce. Redaktor: Stanisław Kot, Kraków, ul. Straszewskiego 7. Administracja czasopisma i Zarząd Towarzystwa: Warszawa, Gimn. im. Reya, pl. Małachowskiego 1. Cena rocznika 20 zł. Zarząd Twa przyznaje zniżki osobom pracującym naukowo. Ukazało się tomów osiem. Tom następny ukaże się w r. 1939.

ROCZNIK GDAŃSKI. Organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, założony w r. 1927. Komitet Redakcyjny: Roman Bataglia, Adam Czartkowski, Marcin Dragan, Franciszek Kręcki, Marian Pelczar, Władysław Pniewski. Adres: Gdańsk, Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. Cena waha się stosownie do objętości. Członkom P. T. H. przysługuje 50% rabatu. Ostatnio ukazał się tom IX—X za lata 1935/36, cena 20 zł, tom XI za rok 1937 cena 16 zł, tom XII za rok 1938 w druku.

ROCZNIK TATARSKI. Czasopismo naukowe poświęcone historii i kulturze Tatarów polskich. Organ Rady Centralnej Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów. Redaktor: Leon Najman-Mir'za-Kryczyński. Adres: Gdynia, ul. Świętojańska 44, m. 33. Cena w Redakcji waha się stosownie do objętości: tom I (1932) — 5 zł, tom II (1935) — 12 zł, tom III (1938) — 6 zł. Tom IV ukaże się w czerwcu 1939 r.

ROCZNIK WOŁYŃSKI. Redaktor: Jakub Hoffman. Adres: Równe-Woł., skr. poczt. 228 — Zarząd Wołyńskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Cena: prenumerata każdego tomu 6 zł (dla członków Z. N. P.) w sprzedaży, cena księgarska tomu V i VI razem 20 zł. Rabat dla członków P. T. H.: przy sprzedaży za gotówkę 25%, prenumerata jak dla członków Z. N. P. Ostatni tom — VII. Następny tom VIII — czerwiec 1939 r.

ROCZNIKI DZIEJÓW SPOŁECZNYCH I GOSPODARCZYCH. Redaktorzy: Franciszek Bujak i Jan Rutkowski. Adres: Lwów, Uniwersytet, Mickiewicza 5a, II p. Cena 15 zł. Rabat dla członków P. T. H.: 25%. Ostatni tom VII, następny w czerwcu 1939 r.

ROCZNIKI HISTORYCZNE. Organ Towarzystwa Miłośników Historii w Poznaniu. Redaktorowie: K. Tymieniecki i K. Kaczmarczyk. Adres: Poznań, Archiwum Państwowe, Góra Przemysława 1. Składka członkowska rocznie 8 zł. Cena księgarska poszczególnego zeszytu 6 zł. Ostatni zeszyt: R. XIV, zeszyt 2, 1938.

ROCZNIK TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU. Redaktor: X. Dr Emil Szramek. Adres: Katowice, Piłsudskiego 42. Cena za rocznik VI (1936/37) 12 zł broszur. i 14 zł opr. Rabat dla członków P. T. H. 25%. Rocznik VII za rok 1938/39 w druku.

DAWNA SZTUKA. Czasopismo poświęcone archeologii i historii sztuki. Komitet Redakcyjny: Stanisław Jan Gąsiorowski, Mieczysław Gębarowicz i Tadeusz Mańkowski. Adres: Lwów, ul. Ossolińskich 2. Prenumerata roczna wynosi 20 zł, cena zeszytu 6 zł. Zeszyt następny 2/II, 1 lipca 1939 r.

WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE. Organ Towarzystwa Numizmatycznego w Krakowie. Redaktor: Ludwik Piotrowicz przy współudziale Władysława Semkowicza i Stanisława Gąsiorowskiego. Adres Towarzystwa: Kraków, ul. Św. Anny nr 1. Adres redaktora: Kraków, ul. Piotra Michałowskiego nr 9, m. 6. Cena w prenumeracie: 10 zł, w sprzedaży: 12 zł. Rabat dla członków P. T. H.: rocznik 10 zł. Ostatni zeszyt: Nowej serii tom XX (dwurocznik 1938/39). Następny zeszyt: w r. 1940.

WYKAZ LITERATURY BIEŻĄCEJ O ŚLĄSKU. Wydawnictwo kwartalne Instytutu Śląskiego. Redaktor: Jacek Koraszewski. Adres: Katowice, Piłsudskiego 42. Cena: prenumerata roczna wraz ze skorowidzami alfabetycznym i rzeczowym: zł 3.20. Cena numeru pojedynczego 0.80 zł. Rabat dla członków P. T. H. — 25%. Rok IV. Zeszyt 4 za rok 1938.

ZARANIE ŚLĄSKIE. Dwumiesięcznik, organ Instytutu Śląskiego w Katowicach i Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie. Redakcja: Roman Lutman i Franciszek Popiołek. Adres: Katowice, Piłsudskiego 42. Cena: prenumerata roczna 8 zł, pojedynczy zeszyt 2 zł. Rocznik XV, zeszyt 1 za rok 1939.

ZIEMIA CZERWIEŃSKA. Redaktor: Kazimierz Hartleb. Adres Redakcji: Lwów, Uniwersytet. Cena w sprzedaży 8 zł, członkowie Oddziału lwowskiego P. T. H. otrzymują bezpłatnie. Prenumerata 5 zł. Ostatni zeszyt: Rocznik IV, zeszyt 1.

Instytut Bałtycki, Gdynia, Świętojańska 23 — wydaje:

BALTIC AND SCANDINAVIAN COUNTRIES. Redaktor: Józef Borowik. Prenumerata rocznie (za 4 zeszyty kolejne) 25 zł, cena zeszytu 10 zł. Rabat dla członków P. T. H. 25%. Ostatni zeszyt nr 11.

JANTAR. Redaktorowie: Józef Borowik i Józef Bieniasz. Prenumerata rocznie (za 4 zeszyty kolejne) 10 zł, cena zeszytu 3 zł. Członkowie i współpracownicy Instytutu Bałtyckiego płacą rocznie 6 zł, za numer 2 zł. Rabat dla członków P. T. H. — 25%. Ostatni zeszyt nr 9.



492-A